

Antologia SF

Różni

Książka IV z Wizje Alternatywne



calibre 0.9.43

Antologia polskiej fantastyki

Wizje alternatywne 4

Wybór: Wojtek Sedeńko

Wprowadzenie

Minęły dwa lata od ukazania się poprzednich „Wizji”. Wydawać by się mogło, że to niewiele czasu, ale w polskiej fantastyce wydarzyło się bardzo dużo. Kto wie, może na naszych oczach dokonuje się właśnie pokoleniowa zmiana warty?

Gdy zacząłem rozsyłać wici do antologii, zorientowałem się, że czas nieubłaganie pędzi do przodu. Oto dinozaurami polskiej fantastyki, czyli najstarszymi uprawiającymi ten gatunek są — i mam nadzieję, że się za te słowa nie obrażą — Marek Oramus, Andrzej Zimniak, Eugeniusz Dębski, Andrzej Sapkowski i Marcin Wolski. A przecież kilku z nich zaczęło pisać fantastykę wcale nie tak dawno, bo w latach 80.

Przypomina się pokolenie czterdziestolatków, które, wydawało się, że zawiesiło już pióra na kołku — oto ponownie „debiutują” Krzysztof Kochański i Andrzej Ziemiański (ten ostatni z wielkimi sukcesami). Z tego pokolenia wciąż ostatniego słowa nie powiedział Jacek Ingłot.

Najgłośniejszy debiut poprzedniej dekady — Jacek Dukaj — jest już wziętym, nagradzanym i doświadczonym pisarzem, świadomym, czego chce od swojego pisarstwa. Zamilkli za to inni autorzy, o których pisało się jako o wielkich nadziejach polskiej SF: Marek S. Huberath i Maciej Żerdziński. Wierzę jednak, że jeszcze o nich usłyszymy.

Na gwiazdorów wyrosli tymczasem Feliks W. Kres (czy uwierzycie, że pisze już od 20 lat?) i Andrzej Pilipiuk. Powiększa się grono polskich pisarek fantastyki, do Brzezińskiej i Białołęckiej doszła Maja Lidia Kossakowski i Izabela Szolc, obie debiutują w „Wizjach alternatywnych”. Przez kilka lat monopolistą w wydawaniu rodzimych fantastów była Supernowa, teraz nieodwołalnie straciła pozycję lidera, mamy już wydawnictwa „Fabryka Słów”, „Runa”, „Solaris”, „Mag”.

Największe poruszenie w polskiej fantastyce zostało wywołane przez rewolucję na rynku czasopism. Powstały trzy nowe pisma, w tym dwa ukierunkowane na polską SF i fantasy, a jedno, wielce zasłużone dla promowania rodzimych autorów — „Fenix” — zostało zamknięte. „Nowa Fantastyka” nadal jest liderem, ale w niej trudniej zadebiutować, a kryteria oceny tekstu są nadal ostre. To dobry objaw, w pozostałych pismach obserwuję niestety znaczne obniżenie kryteriów i punktu oznaczającego drukowalność utworu. Czytając w ciągu ostatnich lat bardzo dużo napływających do mnie tekstów, odrzucając je z antologii lub odsyłając autorom do poprawek — widzę je potem w tychże pismach, niezmienione na jotę. Więcej, autorzy na ostatnim Polconie skarżyli się, że jedno z tych pism odrzuciło ich opowiadania z powodu... zbyt skomplikowanych psychologicznie bohaterów, za bardzo rozwiniętej fabuły, trudnych dla młodego czytelnika dialogów. Włosy stają dęba na głowie.

Dokąd zmierzamy? Nie wiem, za to z tekstów, które spłynęły do czwartej edycji „Wizji alternatywnych” jestem zadowolony. Bardzo grubaśna wyszła ta antologia, ale nie stawiałem tym razem, ograniczeń objętościowych, nie ukrywam zresztą, że lubię formę krótkiej powieści. Pozwala wyczerpać dobry pomysł, a jednocześnie nie daje autorowi możliwości pójścia w wodolejstwo. A tego nie znoszę. Nadal mało w polskiej fantastyce kosmosu, gwiazdolotów szorujących po „ścianach” wszechświata, supermanów, kowbojów z blasterami. Dominuje fantastyka problemowa, której akcja

rozgrywa się na Ziemi. Mamy tematy podróży w czasie, historie alternatywne i tzw. „wysokie” — anielskie, religijne. Wspólnym mianownikiem tych utworów jest nieco pesymistyczne przedstawienie literackich rzeczywistości, nie są to opowiadania smutne, ale światy w nich opisane nie są też radosne, pokazują przyszłość raczej w ciemnych barwach. Widzę też skłonność do grozy, horroru, ten gatunek ma w Polsce jeszcze przed sobą przyszłość. A ja lubię te klimaty, stąd i kilka podobnych opowiadań w niniejszych „Wizjach”.

Antologię otwiera opowiadanie Wolskiego, jego bohatera znamy już z powieści „Pies w studni” — pierwszej „poważnej” powieści fantastycznej Wolskiego. To historia alternatywna, rozgrywająca się w siedemnastowiecznej Polsce, a autor, jako historyk, wie, że nasze dzieje są kroniką straconych szans — i taką historię właśnie opowiada. Cóż, mądry Polak po szkodzie.

Krzysztof Kochański łapie wiatr w żagle po prawie dziesięciu latach milczenia jako autor fantastyki. Oczekuje w Magu na wydanie dwóch swoich książek, a tutaj przedstawia krótką powieść opisującą schyłek ludzkości i Ziemi, ale zgrabną pętlą, dzięki bramie w czasoprzestrzeni, łączy ostatnich ludzi na Ziemi z pierwszymi. Nie na darmo mówi się, że historia kołem się toczy.

Jarosław Grzędowicz porusza się w „wysokich” tematach. Jego bohater to typowy nieudacznik, Polaczek, człek zdolny, ale pechowy, który dostaje szansę zrealizowania swoich marzeń dzięki diabelskiej karcie kredytowej. Ale każdy podarek ma swoją cenę, a puenta jest naprawdę zaskakująca. Pamiętajcie, pieniądze szczęścia nie dają.

Bardzo polubiłem od razu nowelę, a może krótką powieść, Mai Lidii Kossakowskiej. Za piękny i barwny język, aurę grozy i mocne sceny. O Kossakowskiej, nominowanej dotąd do kilku literackich nagród, mówi się, że jest specjalistką od spraw anielskich, ale ta nowela odbiega od nich. Zabiera nas w niesamowitą krainę istniejącą równoległe do naszej rzeczywistości. Nawet w tym okrutnym świecie jest miejsce na miłość — przeczytajcie, a zobaczycie, że nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Izabela Szolc to łódzka autorka, o wszechstronnych zainteresowaniach, ostatnio zaliczyła epizod aktorski na planie „Pianisty” Polańskiego, jej opowiadania drukował „Fenix”, „Talizman”. Pisze teksty z pogranicza inner space, grozy i opowieści niesamowitych. „Izabella” to króciutkie i bardzo przejmujące opowiadanie, jestem pewien, że o Izie usłyszymy jeszcze wiele dobrego.

Najkrótszy tekst przesłał Andrzej Ziemiański, zgarniający — razem z Dukajem — wszystkie Sfinksy i Zajdle w ostatnich dwóch latach. W sumie, nie jest to opowiadanie fantastyczne, jakby ktoś chciał się temu bliżej przyjrzeć, ale „Spadek” ma dobrą puentę i tchnie z niego jakaś groza. To jakby odpoczynek przed następującymi potem nowelami.

Wojciech Szyda, jak Kossakowska, lubuje się w tematach anielskich. Jego opowiadanie nawiązuje nieco do „Pieśni Adoriona”, pomieszczonej w „Wizjach 3-ich” i myślę, że zwolennicy jego prozy będą usatysfakcjonowani. Poza tym to jedyne opowiadanie, które kończy się optymistycznym akcentem.

Jacek Dukaj gości w „Wizjach” prawie od początku serii i jest, nieodmiennie, mocnym punktem tych zbiorów. Wypracował swój własny, niepowtarzalny styl i jak zawsze zasypuje czytelnika mnogością pomysłów. Animowana „Katedra” według prozy Jacka święci teraz triumfy na Festiwalach, ale myślę, że „Córka łupieżcy” to dopiero byłby sprawdzian dla animatorów — Oskar murowany. Wymiękniecie przy tej powieści.

Pozostaje mi życzyć Warn, Drodzy Czytelnicy, mnóstwa wrażeń w trakcie lektury, ta antologia sprawi, że nie będziecie chcieli czytać fantastyki z Zachodu; a skoro już rzucam dzisiaj na lewo i prawo przysłowiami, to i takim zakończę — „cudze chwalicie, swego nie znacie”. Więc poznajcie.

Lustro i kolumna

Lubię noc, szczególnie trzecią jej kwartę, kiedy idą spocząc nawet złodzieje i dziwki. Cichnie nareszcie uliczny ruch, gasną ostatnie okna w pracowniach na najwyższych piętrach, a palą się jedynie szyldy i reklamy, obnosząc, niczym ekshibicjoniści, swą pustotę pod obojętnym spojrzeniem gwiazd. Nie mogąc spać, a może nie tyle nie mogąc, ile nie chcąc, świadom, że sen to kradzież bezcennych godzin żywota, wychodzę na taras. Zaraz uderza mnie zapach wilgoci. Słonawa bryza od strony Laguna d'Esmeralda zderza się z zapachem kwiatów, przypominając o odwiecznej walce lądu i morza. Nad głową palą się Plejady i Orion, we mnie zaś wzbiera jakaś dziwna lekkość przy jednoczesnym wyostreniu zmysłów. Od czasu mej rekonwalescencji słyszę lepiej niż młodzieniec i widzę wiele rzeczy, do których nigdy nie przyznam się Monice, ani doktorowi Rendonowi.

Czy są to aury, czy może urojenia, które aurami sam przed sobą nazywam? A jednak wiem, którzy ludzie rychło umrą, a którym pisana jest szczęśliwość. Nie wiem tylko co czynić z mą umiejętnością. Uprzedzać ludzi o ich losie? Parokrotnie usiłowałem im pomóc. Czując nadchodzący zawał u mego kucharza Bonifacja zmusiłem go, by poddał się badaniom kardiologicznym. Niestety zmarł w rosettyńskim szpitalu Świętego Rocha. Roztrzępana pielęgniarka podała mu zestaw leków przeznaczony dla innego chorego. Przewidziałem, z krzykiem zrywając się z nocnego koszmaru, że kuzynka mej żony, Claudia, zginie w katastrofie samolotowej. Wielkim wysiłkiem wyperswadowałem jej wypoczynkowy lot do Kenii. Wybrała się w Dolomity, gdzie kolejka linowa, którą podróżowała, została dosłownie ścięta przez wojskowy samolot z pobliskiej bazy amerykańskiej. Zaiste trudno jest przechytryć Ananke. Po tych zdarzeniach poniechałem prób walki z przeznaczeniem. Choć, bywa, łapie mnie bolesny skurcz, kiedy widzę mijającego mnie młodego motocyklistę, za którym podąża szary cień Thanatosa. Zagryzam usta, wiem, jeśli nawet powstrzymam go dziś, już jutro dosięgnie go pazur losu. Zatem kiedy na podobieństwo mglistego całunu uderzonego podmuchem wichury, rozdziera się przede mną zasłona kryjąca jutro, modłę się w intencji nieszczęśników i proszę Pana, aby odjął mi ową moc Kasandry, skoro i tak nie mogę zapobiegać Jego wyrokowi.

Gdzieś w głębi domu bije trzecia. Znów podnoszę się z łóżka, rozdygotany jeszcze snem złym, amorficznym, szalonym. Serce łomocze, to znów zamiera chwilami na podobieństwo człowieka potykającego się podczas ucieczki. Starając się nie zbudzić Moniki narzucam szlafrok... Idę galerią, pozostawiając z boku pokoje, pełne ciągle pęczniejących zbiorów Moniki, która kocha się w antykach. A odkąd opowiedziałem jej o mym alter ego Alfredo Derossim, kolekcjonuje szczególnie siedemnastowieczne meble i bibeloty. Wychodzę na taras. Nocne powietrze studzi moją głowę. Mając u stóp wielkie miasto, czuję jak jego nerwowy, zda się gorączkowy puls, tak znamienity dla współczesnych metropolii wreszcie uspokaja się, wtapia w sen. I ja się uspokajam, jak jedna ze składowych drobin wielkiej aglomeracji. Fakt, że czuję tych ludzi, a nie widzę ich, pomaga w odzyskiwaniu pogody ducha. Można powiedzieć, kiedy nie mam mych ziomków bezpośrednio przed oczyma, nawet ich kocham. Jakoś nie ma we mnie owej bezbrzeżnej dobroci Raymonda Priestla, który każdego zboczka, schizoida, drania czy pojebańca potrafił traktować niczym zbląkaną bożą

krówkę. Ja niestety uważam, iż rodzaj ludzki przy bliższym poznaniu jest zbiorowiskiem osobników paskudnych, egoistycznych, leniwych, nade wszystko jednak głupich.

Zerowałem na tych słabościach dość brutalnie ponad dwadzieścia lat, tworząc SGC, ów gigantyczny medialny humbug, będący równocześnie pisuarem, spluwaczką jak i saturatorem. I do dziś dnia wielu nie może mi darować, że zniszczyłem go własnymi rękami. Niedawny laureat literackiej Nagrody Nobla, wielki łotr, który zapomniał już płacone mu przez lata stypendia, napisał o mnie nawet powieść „Nawrócony w burdelu” i wdrapał się z tym paszkwilem na czoło listy bestsellerów. Wybaczam mu, albowiem nie wie co czyni. Byłem taki samotny.

Byłem? Zastanawiające jak mało pamiętam ze swej przeszłości, owej rutyny codziennego zarządzania, narad z asertywnymi pracownikami reklamy, konkursów na maksymalne plugastwo, orgiet na jachcie. Czasem oglądając się przez ramię patrzę na moją wczorajszosc, jak na film dokumentalny z cudzego żywota, doklejone *curriculum vitae* i zadaję sobie pytanie, kim jestem? Starym zestrachanym skurwielem czy może rzeczywiście Alfredem Derossim, poślacanym zakrętasem rosetyńskiego baroku. Nie do wiary, ale ciągle przypominają mi się nowe szczegóły z jego życia. Ludzie, miejsca, zdarzenia, nie umiem tego wytłumaczyć inaczej jak defektami mego mózgu, nowotworem, który mi wycięto, ale czy do końca... Bywa, że przedstawiam się nazwiskiem Derossi. (Ostatnio na raucie u prezydenta Republiki.) Gryzmołę poprawki na marginesach historycznych książek pewny, że sprawy miały się inaczej niż w relacjach pamiętnikarzy, bom sam był ich świadkiem. Ale przecież nie wystąpię na historycznym sympozjum jako świadek defenestracji praskiej, szturmów La Rochelle czy procesów w Loudun. Muszą to być, jestem pewien, konfabulacje na temat lektur i filmów, miraże z różnych pięter snu. A może po prostu marzenia.

Podchodzę do balustrady i spoglądam ponad cyprysami, widzę jak co dzień nocną metropolię. Gdybym jednak zdecydował się przymknąć oczy, być może znów posłyszałbym nawoływania portowych przekupniów, stukot kół na drewnianym bruku, perlisy śmiech dziewczek spod „Błaszanego Anioła”, a rychło, nie wiedzieć skąd pojawiłaby się woń tempery z mej pracowni, a potem zapach mięsiwa i korzeni, którymi Anzelmo zwykł doprawiać pieczyste... Aż wreszcie...

Sygnał policyjnych sygnatów i pulsujące światła paru radiowozów przywołały mnie do rzeczywistości. Coś działo się pod dolną bramą. Zadzwoiłem do Corrado dyżurującego przy monitorach. Ochroniarz nie odpowiadał. Zapewne spał na służbie, jak zwykle. Ściągnąłem mocniej szlafrok i wsiadłem do windy.

Dolny hali mojej rezydencji stanowi kompromis tradycji z nowoczesnością. Tradycję reprezentują solidne drzwi, nowoczesność zabezpieczają kamery. Policjant stojący przed bramą miał beczelną, okrągłą gębę wieśniaka z Rumunii, wąsy, w jego mniemaniu, miały jej dodać bojowego ducha i znamion szlachetności.

— Ścigamy zbiega — rzucił krótko. — Istnieją obawy, że mógł dostać się na teren pańskiej posiadłości.

— Zauważyłem, że sepleni, może było to wynikiem ukruszonego zęba jedyńki, a może tylko wrodzonego niechlujstwa.

— Jestem gotów do wszelkiej współpracy z władzą, kapitanie — powiedziałem, uchylając drzwi. — Obawiam się jednak, że tracicie czas. Mój dom wzniesiony jest na niedostępnej maczudze skalnej. Jedyne wejścia, czyli te drzwi i wrota garażowe, są monitorowane dzień i noc.

— Wskazałem na zielone lampki czujników — Jak widzicie nie ma żadnych śladów alarmu. Natomiast wejście po skale, bez alpinistycznego sprzętu jest zupełnie niemożliwe...

Funkcjonariusze z latarkami rozbiegli się wzdłuż ścian. Kapitan wyglądał na rozczarowanego. Tymczasem ze służbówki wyszedł półnagi Gino, dwumetrowa konstrukcja kości i mięśni, brat —

bliźniak Corrada, rozróżniałem ich jedynie po większej tępotcie malującej się na twarzy Gina.

— Gdzie Corrado? — zapytał, skrobiąc się po nieuczesanej łepetynie.

— Na górze — odparłem bez namysłu, nie wiedząc czemu kłamię. Czułem się dziwnie, nie potrafię zdefiniować tego uczucia, z jednej strony składał się na nie lęk, z drugiej ciekawość, nienaturalne podniecenie, licho wie co jeszcze.

— A właściwie kogo ścigacie? — zapytałem oficera.

— „Słowianina” — odpowiedział niechętnie — Ten diabeł wcielony dwie godziny temu wydostał się z zakładu, zabił dwóch pielęgniarzy, poranił wartownika, porwany wóz z pustym bakiem znaleźliśmy trzysta metrów stąd..

„Słowianin”, prawdziwe nazwisko przerażającego psychopaty nie zostało do tej pory odkryte, od pewnego czasu był ulubieńcem mediów.

Człowiek znikąd. Frankenstein. Hanibal Lecter bis — popołudniówki nie szczędziły mu „epitetów”. Rok temu morze wyrzuciło go kompletnie nagiego na północ od San Leone. Skręcił kark lekarzowi próbującemu zrobić mu sztuczne oddychanie, pobił dwóch ratowników. Okiełznał go dopiero strzał z wiatrówki oraz dawka usypiacza, zdolna powalić szarżującego nosorożca. Przez następnych kilkanaście miesięcy ani prokuraturze, ani psychiatrom, ani adwokatowi Pietro Fellaci nie udało się nawiązać z nim kontaktu. Klątwy w językach słowiańskich były jedynym dowodem posiadania przezeń strun głosowych.

Ogłędziny fortyfikacji musiały wypaść zadawalająco, kapitan wręczył mi wizytówkę i przeprosił za zawracanie głowy...

— Gdyby zauważył pan coś podejrzanego, proszę dzwonić...

Z trudem opanowałem szcęknięcie zębami. Z minuty na minutę bałem się coraz bardziej, a jednocześnie czułem, że pod żadnym pozorem nie wolno mi się z tym zdradzić...

W połowie skały znajduje się galeryjka gospodarcza, którą można dojść do piwnic winnych, pomieszczeń mieszczących agregaty i magazyny. Wiedziony intuicją zatrzymałem windę na tym poziomie. Ciało Corrada znalazłem w zacienionej części galerii. Obrzmiała twarz i wytrzeszczone oczy wskazywały na uduszenie. Kto jednak, na miły Bóg, mógł udusić takiego olbrzyma? I jak wspiął się po niemal szklanej górze?

Machinalnie sięgnąłem do kieszeni. Nie miałem tam broni, tylko komórkę. Oczywiście mogłem zadzwonić do kapitana, ale nie zadzwoniłem.

Wchodząc do biblioteki usłyszałem zduszony krzyk. Monika!

Rzeczywiście, „Słowianin” miał Monikę. Trzymał ją w żelaznym uścisku. Nie był wielki, ale osobliwie krępy, długoreki, niesamowicie owłosiony. W groteskowej koszulce Rosettina–Sport przypominał zmutowanego kraba czy pająka.

— Jest interes do zrobienia, panie Gurbiani — powiedział, szczerząc zęby w grymasie mającym zapewne udawać uśmiech.

A ja zastanawiałem się, skąd znam tę twarz? A jeśli nie ja, to może Derossi?

* * *

Po raz pierwszy zobaczyłem go zaraz po wejściu do oberży. Nie powiem, żeby starał się zwrócić na siebie uwagę. Siedział przygarbiony w kącie, tyłem do wejścia. I jeśli go zauważył, to z racji

rąk długich, zwinnych, kosmatych, którymi wybierał kluski z misy. Nie odwrócił się na me wejście, ale gdy gospodarz postawił przede mną świecznik akuratny, menorze podobny, lico mężczyzny odbiło się w wypolerowanym dzbanie stojącym przed nim. Nawet biorąc pod uwagę deformacje obrazu na wypukłej ścianie naczynia, gębę miał paskudną jak pysk samego diabła, którego ojciec Filippe z pewnej opętanej zakonnicy wygnał, potem pojmał i ubił, ponoć samym znakiem krzyża, aż wreszcie wypchanego, przechowywał na dnie szafy w *sagrestii* i co większym grzesznikom ku postrachowi pokazywał. Osobiście miałem duże wątpliwości czy jest to diabeł, czy raczej płód pokraczny, owoc kopulacji siostrzyczki z wilkołakiem, który rzadko bo rzadko, ale w owych czasach spotykany bywał jeszcze w regionie Montana Rossa. Mimo młodego wieku miałem, dzięki memu pierwszemu preceptorowi van Tarnowi wykształconą pamięć wzrokową, nastawioną na kolekcjonowanie wrażeń, iżby kiedyś je płótnom powierzyć. I rzeczywiście, wiele lat później utrwaliłem go w orszaku zmór j potworów, kiedym obraz Piekła na osobiste zamówienie Anny Austryjaczki malował. Insza rzecz, wcale nie byłem naonczas pewien czy pragnę iść w ślady wielkiego Michaelangela lub Rafaela, czy też wolę zgłębiać wiedzę i ostać się jak mój wiedeński mentor Kurt Stummacher — medykiem dziennym i alchemikiem nocnym. Świat jawił mi się kłębowiskiem tajemnic, które malarstwo mogło rejestrować, nie było jednak w stanie ich zgłębić.

Długoręki przez cały wieczór nie powiedział słowa. Gdy wysuszył dzban z winem, gestem ręki przywołał oberżystę żądając następnego, ja zaś byłem zbyt zmęczony by widzieć, iż za pośrednictwem swego zaimprovizowanego zwierciadła przygląda mi się bacznie. Sporo później przypomniało mi się jeszcze szuranie, dowodzące, że do zajmowanej przezeń alkowy udało się na spoczynek jeszcze kilka indywiduów. Na spoczynek dostałem alkierz jak na warunki miejscowe wcale czysty, odmówiłem wszelako dziewczek. W onych czasach nie korzystałem z usług kurew — nie pozwalały mi na to: wysublimowany zmysł estetyczny, lęk przed francuską chorobą, a także wrodzona niechęć do trwonienia pieniędzy...

W tym momencie czytelnik mych zapisków zapytać może, jakim prawem ja, 55 letni Aldo Gurbiani, owoc epoki neorealizmu i egzystencjalnej filozofii podszywam się pod młodego Alfredo Derossiego z pierwszej dekady XVII stulecia. Bardzo przepraszam. Ale ja to tak pamiętam! Świat młodego il Cane jest dla mnie równie rzeczywisty, jak wnętrze supermercado przy via Adratice, a nawet konkretniejszy, ponieważ z zasady nie robię zakupów w tych nowoczesnych świątyniach handlu.

Pamiętam tedy dzień, a właściwie noc spędzoną na skraju puszczy, zapach słomy w sienniku, zawrodozenie wichru w kominie, nawet wysokość rachunku za nocleg, posiłek i obrok dla konia. Nie uszło mej uwadze, że gdym świtaniem do dalszej drogi się sposobił, kąt demonicznego nieznanomego świecił pustką.

* * *

Musieli wyjść z gospody przede mną. Najwyraźniej zdałem się im dość majątnem, skoro puścili się w knieje, nie bacząc na mróz tak siarczysty, że człek bał się powiek przymknąć, iżby te nie zamarzyły jak wierzeje. Ja zasię nie śpieszyłem się z odjazdem, wołałem wpierw dobrze o drogę i miejsca na popas popytać, popręgi sprawdzić, sakwy spakować .

Zaczaiwszy się kilka stajañ dalej, w środku boru zwanego przez miejscowych Puszczą

Niepołomicką, otoczyli mię, żądając iżbym tylko trzos im wydał i obiecując w zamian ostawić mię żywym. Nie wierzyłem tym zapewnieniom, a trzos, czy raczej jego resztki, stanowiły jedyną gwarancję, że wcześniej z głodu i chłodu nie pomrę niż dwór królewski, stale się oddalający ku północy, odnajdę.

Toteż zmacawszy krócicę, wypaliłem w pierś brodatemu, ciąłem szablą przez łeb niższego, który do wędzideł mego konia się rwał i puściłem się ścieżką w las. Idea była dobra, póki ścieżka nie zagubiła się całkiem w ośnieżonej gęstwinie, a gałąź mocna, jak łapsko wyrwidęba skrycie szlak przegradzająca, z siodła mnie nie strąciła.

Zaraz mnie dopadli i nie żalowali razów, uważając wszelako, iżby futrzanego kaftana, którym we Wiedniu nabył, nie uszkodzić. Potem, gdym na wpół omdlały leżał w śniegu, zdarli ze mnie przyodziewek i solidne czeskie trzewiki, a najbardziej rozsierzony spośród nich, ów zapamiętany z gospody przerażający pajęczak — na pałkowatych nogach, który w trakcie napadu trzymał się nieco z tyłu, spisał rzecz postanowił zakończyć. Nie zwrócił jednak uwagi, że ostrze omskło się po skórzanym szkaplerzu, z konterfektem Santa Maria del Frari, który za radą mej piastunki Giovanniny pod koszulę na drogę zawsze żem wdziewał.

Mróz zahamował krwawienie i obudził mnie, całego w dygocie, bez sił. Nawet powstać nie mogłem. Próbowałem pełznąć ku drodze, pozostawiając za sobą krwawy ślad na śniegu. Pocieszać się mogłem jeno tym, iż pierwszej zamarznę, niż wilcy na ząb mnie wezmą.

Przeklinałem dzień, w którym miał ostać w złotej Pradze, puściłem się ku północy, zwabiony opowieściami o bogactwie polskiego króla, magnatów i księży. Jednak byłem dopiero skromnym malarzyną i nie lada gratkę stanowiła perspektywa pracy dla dworu Sigismunda III, gdzie miał obietnice od mistrza Tommaso Dolabelli, wparte listem samego Rubensa, życzliwie moje ryciny pochwalającego. Natomiast w Pradze ledwie jeden Żydowin kwapił się zatrudnić mnie jako pomocnika w swem warsztacie przy Złotej Uliczce. Nie byłem bowiem jeszcze słynnym il Cane, a jedynie Alfredo Derossim, młodym uciekinierem z ogarniętej religijną wojną Rosettiny.

Zmrożony śnieg parzył mi twarz i kaleczył ręce, gdy pełzłem wciąż wolniej i wolniej, czując jak wzrok mi się mąci, a tchu nie staje.

Naraz ozwały się dzwonki. Brzmiały jak anielski śpiew i w pierwszej chwili wydawało mi się, że muszą z drugiej strony anielskiej furty dochodzić. Aliści po chwili szum płóz, parskanie koni i okrzyki w cudzoziemskim języku przekonały mnie, iż nie dane mi było jeszcze spotkać świętego Piotra, ani nawet świętego Mikołaja.

— Dalej, Rafał, Błażej, bierzcie huncwoty nieboraka! Jeno, ostrożnie. Podłóż derki Jagnieszko. I prędko futrami go nakryjcie, bo się ze szczętem wyziębi.

Słuchałem owego, nieznanego mi języka jak przez mgłę, nie pojmując jacyż anieli zesłali mi wybawcę, któren nie pyta się nawet, kogo znajduje i z czyjej ręki ranionego. Prędko jednak resztek sił mnie opuścił i popadłem w niebyt.

Jak się okazało, ran wielkich nie odniosłem. Dzień i noc starczyły, abym doszedł do siebie. Gorączkowałem trochę, toteż na karb maligny gotów byłem złożyć zwidy, które nawiedziły mnie krótko przed zarankiem.

Obudziłem się spocony w izbie przestronnej, a mrocznej. Żar w kominie wygasł, a przez małe zmrożone szybki przedzierało się bardzo niewiele światła miesiąca. Mimo to dostrzegłem postać w bieli, która zda się wyszła ze ściany. Wzrok mam dobry, częstymi nocnymi wędrówkami i śledzeniem gwiazd wyrobiony, toteż gdy zjawa znalazła się trzy łokcie od łoża postrzegłem, że jest to dziewczyna, młoda, jak cyprysstrzelista. Byłabyż duchem, jedną z owych białych dam, tak często występujących w zamkach i dworach na północ od Alp, a szczególnie Karpatów? Roztaczała wokół

siebie woń kwietną, co jako żywo widmom raczej się nie zdarza, wedle autorytetów śmierdzą bowiem zgnilizną, smołą i siarką gorzej niż pierd Gargantuy. Leżałem nie poruszony, oddychając równo, starając się oczu nie rozszerzać i jeno wąską szparką obserwować, co się dzieć będzie. Pochyliła się ku mnie. Twarz miała bladą, pociągłą, na długiej szyi osadzoną, oczy kroju cudnego, choć ich barwy w pomroce mogłem się co najwyżej domyślać. Jej oddech miodomleczny musnął mą twarz. Przypatrywała mi się uważnie, niby kłusownik sarnie we wnyki złapanej i nagle wypowiedziała parę słów cichym, lekko gardłowym głosem. Nie znałem naonczas polskiego, ale zapamiętałem je do końca dni moich — „Uciekaj, póki nie będzie za późno”.

Uniosłem powieki, cofnęła się gwałtownie niczym ptak spłoszony, chciałem poderwać się, ale boleść odnowionych ran przeszła mnie na wskroś i znów omdlałem.

Ponownie obudził mnie śpiew dziewczęcy dochodzący z pobliza, otwarłem oczy i ujrzałem sufit dębowy, belkowany, a wiodąc wzrokiem dookoła, zobaczyłem komin z buzującym wesołym ogniem, okienka małe, z niewielkimi tafłami szkła kompletnie mrozem zarośniętymi, a wszędy obfitość skór, skrzyń, o porożach łbów zwierzęcych ze wszystkich ścian pozierających nie wspomnę.

— Obudziłeś się, waćpan? — Zapytał, powstawszy sprzed ognia, przed którym siedział, grzejąc ręce i stopy mój wybawca, mąż postawny w sile wieku, z postury nieco wielkiego króla Stefana przypominający. — Rad jestem temu wielce.

Wymamrotałem coś po włosku, pojął zapewne, że nie znam jego mowy, toteż na łacinę przeszedł, dość okropną w akcentacji, ale w regułach niewątpliwie dobrze przez ojców jezuitów w podgolony łeb wbitą.

— Wielkie szczęście, iż przejeżdżałem właśnie owymi ostępami — mówił ów szlachcic uprzedzając moje pytanie. — Mogłem tedy asana w mróz, z pewnej opresji salwować. Atoli, jeśli mogę spytać, z kim mam przyjemność?

— Alfredo Derossi z Rosettiny, malarz i rzeźbiarz, na usługi Jego Królewskiej Mości do Warszawy śpieszę.

Nie zdziwiła go ta informacja, wszelako wstał i wzięwszy się pod boki rzekł:

— Jam jest Michał Piekarski, herbu Topór, pan na Bieńkowicach. Dopóki nie wydobrejesz, czuj się waćpan miłym memu sercu gościem... Służebne moje nagotowały polewki i jeśli macie taką wolę, panna Jagnieszka, wychowanica moja, chętnie karmić was będzie...

Zaraz pojawiła się dziewczoja, chuda, niezbyt ładna z twarzy, ale o dłoniach kształtnych i oczach bystrych. Siadła koło mnie, pałając rumieńcem na jagodach i poczęła pić mnie zawieszistą zupą, skwarek pełną.

Przez moment myślałem nawet, że jest to mój gość nocny, zmieniony dziennym światłem, aliści żadne oświetlenie nie przemieni kury w albatrosa.

Zagadałem do niej po włosku, łacinie, wreszcie po niemiecku, ale odpowiedział mi jedynie uśmiech i słowa wypowiedane w dziwnym języku, przy którym nawet czeski wydawał się bardziej europejski.

Jak miałem się przekonać, nikt z domowników żadną obcą mową nie władał. Toteż jedynym partnerem do rozmowy mógł być gospodarz. Typowy Polak, niechętny sąsiadom, ale świata i cudzoziemców ciekaw, gospodarz dobry, we dworze bowiem nie zbywało na niczem. W młodym wieku musiał przejść niezłe termina, których świadectwem mogła być szeroka blizna, widoczna na podgolonej czaszce.

Trzeciego dnia, lubo słaby, podniosłem się z łoża. Gorączka spadła, rany zablizniły się grzecznie, snadź siarczysty mróz, w którym leżałem, zapobiegł zakażeniom. Pan Michał nie chciał nawet słyszeć o mem wyjeździe.

— Póki mrozy nie zelżeją, musisz ostać mym gościem. A jeśli opowiesz mi o świecie szerokim, w którym bywałeś, to ja sam będę asana dłużnikiem.

Pozostałem tedy w Bieńkowicach, wypoczywając i rewanżując się memu dobrodziejowi opowieściami o młodości, która mi w Rosettinie zbiegła i o podróżach, które w ostatnich latach udało mi się poczynić. Opowiadałem więc o boskiej Wenecji, perle wśród lagun, o Wiedniu i Pradze, i o Alpach sięgających nieba. Zbawcę mego interesowały najbardziej wszelkie sprawy związane z polityką. Historie szalonego mnicha Giuseppe Piedimonte, zwanego rosettyńskim Savonarolą, musiałem opowiadać mu ze trzy razy. We dworze bibliotekę miał niewielką, ale zacną, dostrzegłem w niej i „Orlanda Szalonego” Ariosta i „Il Principe” Makiawela, księgi Erazmusa, także pisma polskich mężów — Modrzewskiego Frycza, Orzechowskiego oraz całkiem ponoć udatną przeróbkę „Dworzanina” Castiglione’a wiek blisko temu przez pana Górnickiego sporządzoną. Były tam również kroniki Mundi i Polonii, niejakiego Bielskiego i Kromera, lecz próżno szukałbyś błahostek i figlików, jakimi raczyli Polaków ich renesansowi mistrzowie z Czarnolasu i Nagłowic. Sam dwór — obszerny, z drewna, acz wzmocniony kamiennymi szkarpami, wzniesiono na dawniejszej gotyckiej jeszcze fortalicji, z której ostała wieża półokrągła, mieszcząca pewnie zbrojownię i skarbczyk, czego jednak mogłem się tylko domyślać, albowiem drzwi do niej zawsze zastawałem zawarte.

Wraz z powracającymi siłami słabła ma odporność na awanse Jagnieszki, owe zalotne śmieszki, pąsy, oczków przewracanie czy smakołyki ze spiżarni specjalnie dla mnie wynoszone.

Pan Piekarski nic przeciw owej konfidencji nie miał, a przeciwnie, zachęcał mnie, bym wieczorami uczył dziewczkę czytać i pisać po łacinie. „Boć — jak mówił — to nie chłopka żadna, a uboga kuzynka, córka jedyna szurzyna mego, Kacpra, którego za rokосу Zebrzydowskiego poległ, pierś za mnie pod Guzowem nastawiając”

Czyniłem to tym chętniej, że sam gospodarz wieczorami przepadał gdzieś i mimo, iż domostwa nie opuszczał, nigdzie znaleźć go nie mogłem. Pytany o swe nocne zajęcia twierdził, iż historię panowania Zygmunta III Wazy pisze, co mogło być prawda, jako że w sprawach polskich wiedzę miał zaiste niezwykłą. Uczyłem tedy Jagnieszkę, lekceważąc wściekłe spojrzenia młodego Błażeja, syna rządcy, który na długo przed mem przybyciem smażył do podwinki cholewki.

Jak na białogłową okazała się dość bystra, w dwa tygodnie recytowała Wergila i Horacego, a gdy przyszedł dzień świętego Walentego, kiedy to mimo chłódów panujących, nawet w tej północnej krainie ptactwo za parami rozglądać się zaczyna, nieopatrznie po Owidiusza sięgnąłem. Akurat Błażej z Rafałem do Sandomierza na parę dni się wypuścili, czeladź się pościła, pan Michał gdzieś w wieży nad opisaniem *victorii* Kircholmskiej ślęczał, a ja... a my.

Wspominałem już, że, jeśli idzie o miłosną eksperencję, szczególnie zaawansowany nie był. Naprawdę kochałem się tylko raz, z tą czarownicą Beatrycze, w warunkach dość szczególnych. Reszta były to namiastki ino lub doświadczenia, które najchętniej wolałbym zapomnieć.

Wszelako krew nie woda...

Kiedy, późnym wieczorem, poprawiając pisownię Jagnieszki (ablativus pomylił się jej z accusativem) rękę jej żem ujął, ona uniosła moją do swych ust. Czy godziło się ją wyszarpnąć? Tymczasem młódka, pokrywając wierzch i wnętrze dłoni drobnymi pocałunkami dotarła do palców, po czym pochwyciła jeden swemi usty i jak dziecię jąssać go zapamiętała.

Co było dalej?

A co być mogło. Mocowanie się z zapinkami i sznurówkami, oddechy mocno przyśpieszone, słowa wzbraniające, które brzmiały jak przyzwolenie. A potem uniesione w górę ręce, piersi białe na podobieństwo alpejskich szczytów wypięte. Cień łona, wąskość szpary niezwykła, ruchliwość łądźwi, nogi oplatające mnie jak dyby, skowyt rozkoszy...

Potem uciekła, snadź odwagą własną przerażona, a ja leżałem bez ducha, jakby zbójcy drugi raz w zasadzce mnie posiekli. Spałem bez snów, bez zwidów. A jednak, gdym się zbudził nad ranem, ciągle pachnący Jagnieszka i swą chucią, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że owej nocy był w komnacie ktoś jeszcze. Dowodów dostarczył napis rdzawym inkaustem na zakładce Makiawela uczyniony. „FLUCHTE!”

Moja niemczyzna nie była pierwszej wody, nie mogłem jednak mieć wątpliwości, ktoś w trakcie mego snu napisał słowo w trybie rozkazującym — „Uciekaj!”

To, co jednak oczywiste było tuż po przebudzeniu, już w trakcie śniadania, któremu usługiwała ożywiona Jagnieszka, a imć pan Michał, w wyjątkowo w dobrym humorze sypał dykteryjkami, uległo zatarciu.

I ostałem, obiecując sobie wyjechać, kiedy mrozy zelżeją, a śniegi spłyną. Przecie oprócz dwóch wizyt tajemniczej nieznajomej żadnych innych powodów obaw mieć nie mogłem. To, że nikt z domu na łów nie wychodził, a na stole pojawiała się świeża dziczyzna, (dla mnie, rekonwalescenta, pan Piekarski bowiem wielki post szanował), długo nie budziło nawet mego zainteresowania. Mój gospodarz zdawał się być ulepiony z samej życzliwości — serdeczny i bogobojny, co niedzielę do kościoła wyruszał, a wszelkie posiłki modlitwą zaczynał. Atoli gdym w kolejną niedzielę na nabożeństwo wraz z nim podążył, zadziwiło mnie traktowanie dobrodzieja przez miejscowych. Zda się otaczał go pęcherzyk ciszy. Panowie szlachta czy czeladź dbała, aby przypadkiem go nie dotknąć, czapkowano mu z dystansu, a po mszy, kiedy inni zebrali się kupami wiadomości i plotki wymieniać, on pozostał sam i dość spieszenie do domu zawrócił. Intrygowało mnie to. Nie było sposobności by o przyczynę zapytać, bo kogo? Inny element budzący me zdziwienie, bo trudno by mówić o niepokoju, zresztą zrazu drobny, prawie niepostrzegalny, to codzienna przemiana, jaka dokonywała się w polskim szlachcicu, gdy szło ku wieczorowi. Jowialność ustępowała wewnętrznemu spięciu, milczenie zdawało się być podminowane jakimś niepokojem, złością. Bywało w połowie wieczery, iż podnosił się znad stołu, mówiąc:

— Wybacz wasze, że go opuszczam, ale myśli we mnie nagromadziło się wiele, które bezzwłocznie na papier przeleję.

Wszelako gdym prosił, aby choć kawałek swych pism mi pokazał, sromał się i krygował, twierdząc, że dzieło niegotowe, pełne usterek jeszcze, wszelako z pewnością mnie z nim zapozna, a nawet zgodzi się, abym przełożywszy je na włoski, w świat je powiózł. Składałem to jednak na karb pasji twórczej, wiedziałem bowiem, iż dziwnie koncentrować mogli się artyści, jeden z rosettyńskich rzeźbiarzy zwykł chłostać swe sługi, inny, batalista przedni, dziwki sprzedajne zamawiał, by te go znieważały, mnie samego najlepsze koncepty nachodzą w kąpielu, bądź w trakcie defekacji...

Tak więc zażywałem podle Bieńkowic miłych wywczasów, oddając się lekturom, rysowaniu portretów pana i domowników, nocami zaś w ramionach Jagnieszki zaznawałem rozkoszy płochych, ale każdego mężczyznę w stan błogostanu wprawiających.

* * *

Z początkiem marca, mróz nadal trzymał siarczysty, choć dni stały się nieco dłuższe, powrócili Rafał z Błażajem, a wraz z nimi ksiądz kanonik z sandomierskiej kapituły, drobny i krągły niby fryga dziecinna

1 jak owa zabawka pełen wirującej, kontrreformacyjnej energii.

Korzystając, iż po zmierzchu pan Michał, jak to miał w zwyczaju, oddalił się do swej wieży, siedliśmy z księdzem przy gąsiorze — on sam sobie udzielił dyspensy, jako podróżnemu, mnie zaś — cudzoziemca, surowe reguły wielkiego postu nie obowiązywały. Zresztą w Rzeczypospolitej trwała wojna, a ta, jak wiadomo znosi normalnie obowiązujący stan rzeczy.

Sandomierski kanonik zrazu rozwodził się nad perspektywami aktualnej kampanii moskiewskiej, która, jego zdaniem, z Bożą pomocą miała rozszerzyć zasięg prawdziwej wiary. Dzięki Unii w Brześciu, na której większość wschodniego duchowieństwa uznała prymat rzymskiego papieża, i sukcesom polskiego oręża, które od wielu lat dowodziło niewątpliwej wyższości nad ruskim, perspektywa takowego zwycięstwa Rzymu zdawała się realna. Moskiewski kolos ciągle nie mógł się pozbierać ze stanu *smuty*, która była następstwem szaleństw cara, Iwana zwanego Groźnym, a także jego następców, często dorównujących mu w okrucieństwie. Godunow, Szujscy, dwóch Dymitrów Samozwańców wspieranych przez polskich panów Mniszców — wojenne paroksyzmy i bunt ludowe zdawały się nie mieć końca, niosąc śmierć, zniszczenia i nieprawdopodobne cierpienia ludu, od wiek wieków traktowanego w Rusi gorzej od zwierząt. I dziwiła mię kontentacja Polaków takim stanem sąsiada, budzącym w człowieku Zachodu skurcz serca i łzę niejedną.

Atoli mawiał nieraz pan Piekarski:

— Ruski niedźwiedź póki otumaniony, schorowany, niegroźny jest i pokorny — dajcie mu jednak urosnąć w siłę, a okaże się gorszy od Tamerlana.

Pan Michał Szweda nie lubił, Niemcem gardził, a z Czecha się wyśmiewał, do Wielkorusa zaś miał żywą, nie do końca nieuzasadnioną nienawiść, dowodząc, iż jest to człek, a może i nie człek z innej ulepien gliny —jakiegoś mongolsko–bizantyjskiego iłu, nawilżonego łzami i krwią.

— Wszelako — twierdził — gdyby go oświecić, ucywilizować i dać w karby ojców jezuitów, może z czasem wyszedłby na ludzi.

Burzyła się we mnie dusza przeciw takim opiniom. Inna sprawa, że z Moskwiczinów znałem jednego, na wskroś zeuropeizowanego księcia, balującego bez przestanku w Rosettinie oraz genialnego malarza ikon, któregom odwiedził w Krakowie, gdzie na wygnaniu przebywał.

Kanonik w zasadzie podzielał animozje pana Michała, choć u księdza brała górę niechęć bardziej spirytualnej natury. Uważał wschodnią ortodoksję, a nawet sam obrządek, w Brześciu przecież dozwolony, za obelgę rzucaną w każdej chwili panu Jezusowi i Najświętszej Paniencie, co było o tyle dziwniejsze, że niejedna madonna z polskiego domu miała rysy wschodniej ikony. Ową nienawistność wobec potomków Ruryka tłumaczył pokrętnie ich kryptożydostwem. Zaskoczyło mnie to wielce, ale kanonik opowiedział mi o dawnym państwie Chazarów, którzy na długo przed chrztem Rusi judaizm przyjęli i choć po ich chanacie nie pozostał nawet ślad, krom nazwy Kozak, jaką stepowym mieszkańcom Małej Rusi przydawano, to na wielkich przestrzeniach wschodnioeuropejskiego niżu mnóstwo miało być owych rudawych, błękitnookich potomków Abrahama.

Przy drugim dzbanie doskonałego węgryna, wedle zapewnień gospodarza jeszcze z czasów Batorego pochodzącego, ksiądz, który jak każdy Polak, mimo wzrostu nikczemnego łeb miał mocny, a brzuch wielki, dał się namówić na zmianę tematu. I z wielkiej polityki do spraw pana Piekarskiego przeszliśmy.

Pociągnięty za język kanonik chwalił wielce pana Michała, wywodził pod niebiosa jego hojność dla kościoła, aliści, w którymś momencie napomknął, iż Bóg doświadcza ciężko najlepszych nawet ludzi. Postawiłem uszy w słuch.

Wnet okazało się, że za młodu imć Piekarski hultaił sporo, aż oberwał w niejasnych okolicznościach w czerep tak, że długo bez zmysłów leżał, potem zaś popadł w niebezpieczne

rozumu pomieszanie, aż pewnego razu w furii, bez wszelkiego powodu na zamku krakowskim kucharza swego szwagra Płazy zabił, a wielu ludzi powstrzymujących go, poranił. Toteż za zgodą rodziny, reskryptem kasztelana krakowskiego, w wieży musiał być trzyman. Szczęściem po pewnym czasie, za sprawą modlitw, jakie zań krewni, a przyjaciołowie do Bożego Jana zanosili, doznał znacznego uspokojenia. Mógł być zwolnion i do wszelkich praw przywrócony, choć ludzie, jak to ludzie, nadal zerkali nań jak na tego, któren bywał po drugiej stronie rozumu.

— Zatem wariat, ale niegroźny — skomentowałem w duchu.

Duchowny przeszedł tymczasem do istoty sprawy, która go do Bieńkowic sprowadziła. Słyszając, iż jestem włoskim malarzem, fama pomnożyła moje rzeczywiste kwalifikacje, zaproponował mi wykonanie cyklu obrazów *al fresco* dla sandomierskiej kolegiaty. Nie powiem, ucieszyła mnie ta propozycja, o jakiej w innych stronach marzyć tylko dotąd mogłem. Ostudziły zaś mnie nieco szczegóły.

— Marzy mi się, panie Derossi, szereg malowideł obrazujących cierpienia i zniewagi jakich doznawała i doznaje nasza święta wiara katolicka. Szczególnie w zacnem moim grodzie nie brak odszczepieńców: luteran, adherentów Ariusza, co Braćmi Polskimi zwać się ośmielają, a co gorsza Żydów. Ich zbrodnie wobec Polaków są tak wielkie i tak odrażające, iż proszą się wymalowania, gwoli przestrogi.

Tu wpadłszy w prawdziwy ferwor przytaczać począł liczne przykłady zasłyszanych żydowskich zbrodni, profanacji hostii, porwań dzieci niewinnych, rytualnych mordów, polegających na wytaczaniu z nich krwi... A opowiadał o tem w sposób tak plastyczny, iż włosy jeły stawać mi na głowie.

Gdym spytał, z jakiego powodu Izraelici mieliby dopuszczać się takich czynów w gościnnej przecie dla ich szczepu polskiej krainie, wobec prześladowań jakich gdzie indziej zaznają, kanonik odparł błyskawicznie, iż co prawda nie ma w tem logiki, ale taka jest istota żydowskiej natury, udokumentowanej najlepiej kaźnią Bożego Syna.

Gdybym nie widział na własne oczy, w Rosettinie, czego dokonać może ciemnota i zabobon sprzężone z nietolerancją, może bym sandomierską propozycję przyjął. Jednak sama myśl, jakie owoce zrodzić kiedyś się mogą z równie zatrutego ziarna, jakim byłoby plastyczne podparcie ohydnych zabobonów, nie pozwoliła mi na to. Odparłem tedy grzecznie, że tak długo w okolicy bawić nie zamierzam, by podjąć się malowania fresków w kościele, chętnie namaluję jeden lub dwa obrazy, na przykład Świętej Rodziny w malowniczych strojach polskich, tak odmiennych od panujących w Europie kryz i koafiur. Potraktował tę propozycję kwaśno, mówiąc, że zapłacić wiele nie może.

— Bardziej od zapłaty zależy mi na bożym miłosierdziu — odparłem dyplomatycznie.

Jeszcze podczas śniadania kanonik, wspierany mocno przez pana Michała ponawiał swą ofertę, ale trwałem przy swoim i postawiłem kropkę nad i stwierdzeniem, że malowaniem Żydowinów się po prostu brzydzę.

To uszanowali. Błażej z Rafałem wyjechali odprowadzić księdza aż do Sandomierza i dokonać tamże niezbędnych zakupów, w których listę byłem ich zaopatrzył. Krom płótna i komponentów potrzebnych do zrobienia farb, wypisałem parę jeszcze innych aptekarskich specyfików. Ich nazwy dla postronnych nic nie mówiły, mnie zaś potrzebne były do realizacji pewnej idei, która się w mej głowie zalegała.

Nadal bowiem byłem tym samym ciekawym chłopakiem, który omal życia nie postradał, podglądając pogańskie misteria w Montana Rossa. Tu wyznam, nie tyle interesowała mnie literacka twórczość pana Piekarskiego, co owa tajemnicza dama, którą w swej wieży niewątpliwie więził.

Kimże była? Nie córką, bo takowej nigdy nie posiadał, nie żoną, bo mu przed laty odumarła. Prócz nocnych wizyt, miałem insze dowody jej istnienia. Błądą twarz, którą zoczyłem parokroć w okienku na szczycie wieży, dym dobywający się od rana z komina ponad nią i wreszcie dźwig, który odkryłem w ścianie kuchni, przystającej do donżonu, niechybnie służący do dostarczania posiłków na szczyt budowli.

Studia u pana Stummachera nie poszły na marne, z przywiezionych przez ludzi pana Michała proszków i mikstur udało mi się sporządzić silny, acz nieszkodliwy środek nasenny, znany alchemikom od dawna. Zaprawiłem nim wino serwowane do wieczery, także resztkę zupy, którą po zabraniu z pańskiego stołu syciła się czeladź.

Nie minął kwadrans, a pan Piekarski zachrapał na swem stolcu, osunęli się na ławy jego totumfaccy, sen zmorzył Jagnieszkę w korytarzu. Zajrzawszy po chwili do kuchni, ujrzałem trzy śpiące dziewczki i czterech równie śniętych pacholików, kuchcika zaś musiałem szybko gasić, bo opadłszy kole pieca żywym ogniem się zajął.

Zawarłem drzwi wejściowe, izby z dworu nikt postronny nie nadszedł i wziąłem się do dzieła. W sakiewce gospodarza znalazłem klucz od kłódki. Otwarłem ją i już po chwili, z kagankiem w dłoni, wspinałem się wąskimi, stromymi stopniami w górę gotyckiej wieżycy. Minąłem dobrze zaopatrzoną zbrojownię i otworzywszy wąskie drzwi u szczytu schodów, znalazłem się w komnacie niewielkiej, całkowicie okien pozbawionej, której mroczność pogłębiał czarny aksamit, którym wybite były ściany. Także czarny był fotel przed stołem stojący i ława skóra, ciemnego jak noc byka, wyłożona. Od czerni odbijały woskową barwą jedynie świece, stojące na czarnym stoliku i purpurowa jedwabna narzuta, kryjąca obraz wiszący za stołem. Pociągnąłem ją, spodziewając się ujrzeć lico diabła, ale zobaczyłem tylko własną, lekko pobladłą twarz. Tkanina przysłaniała lustro. Dość stare, w srebrnych ramach zdobionych jakimś pradawnym stylem, przypominającym babilońskie ornamenty, o tafli zmatowiałej i usianej setką starczych żyłek.

Rozglądałem się dalej po izbie, lekko zadziwiony. Jeśli gospodarz oddawał się w tej samotni magii, brakowało mi kabalistycznych znaków, magicznych akcesoriów, nade wszystko zapachu towarzyszącego czarnoksiężskim praktykom. Tu czuło się jedynie zapach spalonych knotów i topionego wosku, z odrobiną kobiecego pachnidła.

— Gdzie kryjesz się piękna nieznajoma? Macając tkaniny, odnalazłem ukryte pod nią kolejne drzwi i dalsze schody.

W ich połowie natrafiłem na otwór kuchennej windy i kołowrót ją uruchamiający. Szedłem dalej, aż natknąłem się na jeszcze jedno zamknięte przejście. Blokowała je solidna zasuwa. Naoliwiona, otwarła się łatwo.

Szczytowa izdebka przypominała rajskie gniazdko, wybite jasnymi tkaninami, ciepłe i przytulne. Pomieszczenie pełne pięknych obrazów, farfur i lalek, miało też swego rajskiego ptaka. Dziewczynę śpiącą na łożu z brokatu.

Na mój widok poderwała się na równe nogi.

— To pan! — krzyknęła po polsku. A potem przeszła na niemiecki — Cóż najlepszego uczyniłeś nieszczęsny człowieku? Nikt bezkarnie nie może tu przebywać.

Starąłem się uspokoić ją, opowiadając o swem fortelu i zapewniając, że mikstura, sporządzona wedle recepty pana Stummachera, zapewni wszystkim niezakłócony sen aż do rana. Nie całkiem przekonana uspokoiła się na tyle, iż mogła odpowiadać na me pytania i opowiedzieć o sobie.

Nazywała się Margareta Hausner, po polsku Małgorzata i była córką krakowskiego mieszczanina, trudniącego się drukarstwem. Parę lat temu, jako czwarta córka, w wieku czternastu lat do nowicjatu sądeckich klarysek została oddana. Wszelako nie dojechała do celu. Za Bochnią, na kupców, z

którymi podążała, grupa zbójów napadła. Wszystkich podróżnych bezlitośnie wybito, ją zaś krótko w leśnej ziemiance więziono, po czym przywieziono tutaj.

— O hańba! — zakrzyknąłem. — Szlachcic ze zbójcami w paku, parający się procederem godnym Tatarów. Cóż za niegodziwiec! Zapłaci gardłem!

— Pohamuj swój gniew, panie — rzekła Małgorzata. — Pan Michał, prócz więzienia mnie tu, nijakiej krzywdy mi nie czyni, mogę nawet mniemać, iż prowadzę tu żywot lepszy niż w klasztorze. Nie zbywa mi na niczym. Miałam nawet gadającego kosa, ale uciekł mi w Boże Narodzenie. Pan mój traktuje mnie z respektem jak królową i dba jak o skarb...

Luksusowa odaliska — pomyślałem. Odgadła mą myśl bo spłonęła się.

— Traktuje mnie jak córkę. I mimo młodego wieku poznałabym, gdyby, korzystając z mego uśpienia, zapragnął mnie pohańbić.

— Usypia cię pani!?

— Co noc sprowadza mnie do czarnej komnaty, tam daje do picia napar aromatyczny, sadza na ławie, rozstawia świece i odsłania lustro...

— A potem?

— Nie wiem, bo śpię, bez snów żadnych. A po przebudzeniu niczego nie pamiętam.

— Nic ci nie mówi o swych praktykach?

— Twierdzi jeno, że dzięki memu pośrednictwu czerpie z lustra wiedzę o rzeczach teraźniejszych i przyszłych.

— Jednak czasami udaje ci się wychodzić z wieży?

— Gdy nie ma gości, zdarza się iż wyprowadza mnie sam. Kiedy indziej, nocie przed lustrem wyczerpują go tak bardzo, że zbudziwszy się, znajduję go omdłego lub uśpionego. Wtedy schodzę na dół, latem, w księżycowe noce spaceruję nawet po ogrodzie... Czasem przyglądam się gościom takim jak pan.

— I ostrzegasz ich?

Zawahała się.

— Tylko pana.

— Coś mi grozi?

— Nie wiem, ale przypadkowo słyszałam, jak na pytanie Mykoły, co będzie jeśli pan odmówi współpracy, pan Michał odrzekł „Nie odejdzie przecie wolno”

Zadrżałem.

— A pani nigdy nie próbowałaś uciec? — spytałem.

— Nie myślałam dotąd o tym, pan Piekarski dał mi szlacheckie słowo honoru, iż gdy tylko osiemnaście wiosen ukończę, co za pół roku nastąpi, wolna i posażna będę. Jeśli zechcę, rękę swą panu Michałowi oddam, bo zabiega o nią, jeśli nie, będę mogła do klasztoru iść, lub na damę dworu, do któregoś z możnych przyjaciół pana Piekarskiego rekomendację otrzymam.

— Wierzysz zatem współnikowi rzeźmieszków i morderców?

— Wyboru nie mam. Pan i jego słudzy mają długie ręce, szczególnie Mykoła, herszt owych zbójców, którzy mnie pojмали.

Olśniło mnie.

— Chwileczkę! — zawołałem — Czy ów Mykoła, to nie taki potwór o łapskach pajaka?

— Onże sam! Osobliwie mocny i bezwzględny, ślepo jednak swemu panu oddany.

— A zatem pani — wyjąkałem — oboje jesteśmy takimiż samymi więźniami, albowiem i ja za sprawą onego Mykoły się tu znalazłem, a nasz ciemiężca intrygę sprytną przedsięwziął, tak abym brał go za swego wybawcę...

— Dobrze wykoncypowane — rzekł Piekarski, stając w drzwiach. Za nim dojrzałem cień w postaci upiornego rzezimieszka. Gospodarz jednak celowo ujawniwszy nam jego obecność, kazał mu iść precz. — Trafnie doceniłem twój dowcip panie — ciągnął — aczkolwiek ty nie doceniłeś mojego.

— Jak pan zdołałeś się obudzić?— wybąkałem.

— Przejrzawszy twój plan, symulowałem jeno picie. Zresztą i bez swego odkrycia dowiedziałbyś się o wszystkim.

— Nie zaprzeczysz tedy, mój panie, że zostałem raniony z twego polecenia, że jestem twym więźniem i że...

— Pozwól panie Derossi, że najpierw zapoznam cię z faktami, potem sam o mych intencjach wyrokować będziesz! — Tu podsunął mi miękkiego karła, sam zaś przysiadł na skrzyni. Daj nam Margoś miodu i bakalii, które wczoraj dla ciebie z Carogrodu nadeszły.

Słuchałem tedy gospodarza mego, a historia zdała mi się dziwniejsza, niż baśnie z tysiąca i jednej nocy.

— Widziałeś już moje lustro, asan, nie masz mu równego na tej ziemi. Jedni powiadają, że jego ramy uczyniono ze stopionych srebrników Judasza, inni, że pamięta jeszcze czas budowy wieży Babel. Mnie wydaje się to nieprawdopodobne, albowiem nie znano naonczas jeszcze szkła i wierzę, iż pochodzi z Wenecji, skąd trafiło w ręce Nostradamusa, onego Żyda w służbie króla Henryka, któremu przypisuje się poznanie tajemnic ludzkości aż do skończenia świata. Człek, któremu je zawdzięczam, utrzymywał, że w bezksiężycową noc, na krakowskich Krzemionkach wręczył je sam czart pewnemu polskiemu szlachcicowi, któren mu duszę zaprzedał.

— Twardowskiemu! — wykrzyknęła Margosia, która mimo, iż rozmowa toczyła się po łacinie, musiała wiele z niej rozumieć

— Różne człek ten nosił imiona i różnym panom służył. W zмовie z dworzanami króla Augusta — Mniszchami, wywoływał dlań ducha królowej Barbary Radziwiłłówny, ba, mam powody wierzyć, iż do Unii Lubelskiej go przekonał, przed zaturą Rzeczypospolitej przestrzegając. Lecz gdy stary król nie uwierzył, iż jego zaufani rękodajni zamach nań szykują, by w Knyszynie skarbcem zawładnąć, Twardowski ucieczką ze swym pacholikiem się salwował. Zbiry Mniszchów dopadły go nocą w karczmie „Rzym” i uprowadziły w nieznane, stąd klechda poszła, iż diabeł go porwał. Co dalej z czarnoksiężnikiem się stało nie wiadomo, istotne iż Mniszchowie uwierzyli jego wróżbom, w których obiecał ich córce — Marynie, tron Wielkiej Rusi i koronę carów. To właśnie, sadzę, ich do działań wspólnych z Dymitrem Samozwańcem natchnęło. Atoli Twardowski zataił przed nimi, jak żałośnie i tragicznie owo carowanie się zakończy. Co do jego lustra magicznego, mówi się, że jest przechowywane przez spadkobierców Mniszchów. Ja wiem wszelako, iż dżierzą oni jedynie duplikat nie posiadający mocy oryginału...

— A oryginał? — wyrwało mi się.

— Pacholik Twardowskiego, gnany ogromnym strachem, zwierciadło ukrył, sam zaś pod zmienionym nazwiskiem, jako kościelny w jednej wsi pod Krakowem posługiwał. Z wiekiem lęk przerodził się w urojenie, urojenie w szaleństwo tak mocne, że zamknięto go w wieży, przeznaczonej dla podobnych jak on nieszczęśników. Tam, na śmiertelnym leżu, wyznał gniojącą go tajemnicę jednemu z współtowarzyszy niedoli.

— Którym pan byłeś?

Skinął głową.

— Nie uwierzyłem w tę opowieść. Kiedym jednak zdrowie i wolność odzyskał, uznałem, iż nie zawadzi sprawdzić. Podążyłem w Karpaty i wedle jego wskazań, w dolinie dzikiej, gdzie krom skał i

kniei ino kuźnia i koliby poszukiwaczy rud, odszukałem jaskinię tajemną, bogatą w stalaktyty i stalagmity, a w niej nienaruszone zwierciadło. Nie posiadałem magicznych predyspozycji mistrza Twardowskiego, nie zawarłem też paktu z diabłem, toteż początkowo w żaden sposób nie umiałem wykorzystać swej zdobyczy. Aż los i Mykoła sprowadzili w me ręce skarb, w postaci dziewicy czystej, darem prekognicji obdarzonej... Margosi.

— Zali zaprawdę możesz pan przewidywać przyszłość?

— Mogę wam to pokazać, mości Derossi.

Zesliśmy wespół do czarnej komnaty. Piekarski polecił mi siąść w kącie, nie odzywać się i nie dziwować, jeno baczyć, co się będzie działo. Margosia wypita napar, snadź zawczasu przysposobiony i ułożyła się na ławie. Gospodarz rozpałił świecę i ustawił niewielką klepsydrę. Gdy piasek przesypał się, w milczeniu obrócił ją i rzekł „Wstań Margareto”. Dziewczyna wstała, oczy miała zamknięte, wszelako dość równymi krokami podeszła do stołu i zasiadła naprzeciw lustra.

„Otwórz oczy” — rzekł Piekarski.

I ujrzałem w lustrzanym odbiciu gwałtowne powiek uniesienie. Oczy Margosi przypominały teraz dwie puste, głębokie studnie.

„Widzisz?” — pytał dziewczyny gospodarz.

„Co mam wiedzieć?”

„To, coś widziała wczoraj”

Dłuższą chwilę trwała w milczeniu, potem zaczęła się kiwać jako Żydzi w bożnicy, oddychać gwałtownie, wreszcie mówić. Po polsku, nie rozumiałem więc słów, choć z intonacji mogłem się domyślać, o czym prawi. Zrazu musiała relacjonować jakiś widok, a był on tak sugestywny, że aż czuło się w nim powiew wietrzyka, upał letniego dnia. I przysiągłbym, że spod słów zaczyna dobiegać do mnie tysięczny tupot nóg po gościńcu, szcęk ekwipunku, zgrzyt toczonych kół i lawet, a nagle z ust dziewczyny poczęły padać komendy, jedne niemieckie, inne śpiewne, zda się ruskie. Potem jęła imitować granie harmat, grzmoty rozpryskujących się pocisków, krzyk ginących, kwik koni. I posłyszałem wielki tętent jazdy i okrzyki animuszu, to znów bólu i przerażenia.

Pan Michał stanął nad Małgorzatą i uniósł dłonie nad jej głową. Poruszając niemi, począł sterować jej głową tak, jakby należała do marionetki poruszanej niewidocznymi nitkami. Przyspieszał i zwalniał tak, że zda się żeglowała pośród linii ataku i obrony, obserwowała trwający bój spod wieloma kątami, aż wreszcie krzyczeć poczęła, wydając z siebie zwielokrotnione męskie głosy „Victoria, victoria!”, a potem, cała potem pokryta opadła twarzą na czarne sukno.

Wszelako Piekarski nie dał jej odpocząć.

„Kiedy to będzie?” — zapytał.

Milczała, nie podnosząc głowy. Wyjął tedy z kieszeni malowane na kościanych płytkach cyferki, jakie daje się niekiedy do zabawy dzieciom.

„Kiedy?” — powtórzył.

Drżące palce zmacały czwórkę i szóstkę.

„4 czerwca?” — upewnił się pan Michał.

Westchnęła afirmująco.

„W którym roku?”

Z jej ust dobył się szept ledwie dostrzegalny

„W tem”.

— Zakonotuj sobie tedy waćpan — rzekł, zwracając się do mnie — że 4 czerwca Anno Domini 1610 wojsko polskie pod wodzą pan hetmana Żółkiewskiego zetrze w pył moskiewską potęgę.

Na czym jak na czym, ale na bezczelności mu nie zbywa! — pomyślałem. Wówczas byłem więcej

niż pewien, iż cała scena jest jedynie sprytną mistyfikacją, zaaranżowaną przede mną w bliżej niejasnym celu, przez zręcznego prestigitatora przy współdziałaniu utalentowanej brzechomówczynie.

Wszelcy wróże, jasnowidze i prorocy, o jakich zdarzyło mi się czytać bądź słyszeć — od świętego Jana na Patmos po rzeczonoego Nostradamusa, kreślili obrazy przyszłości enigmatyczne, wieloznaczne, tu zaś ukazywano mi jutro tak wyraźne, jak na obrazie wyrysowane. Udałem jednak, że biorę prezentację za dobrą monetę. Pomogłem zanieść uspioną dziewczynę do łóżnicy, sami zaś zeszedliśmy na dół. Po drodze zauważyłem na poziomie gruntu jeszcze loszek ciemny, odchodzący w dół. Prowadził zapewne na zewnątrz dworu i dzięki niemu gospodarz mógł komunikować się ze światem poza wiedzą pozostałych domowników.

— Nie wierzy mi pan?— Piekarski popatrzył mi prosto w oczy, kiedy zamknął już kłódkę chroniącą jego tajemnicę.

Byłem zbyt zmęczony na wykręty.

— Szczerze mówiąc nie! — odparłem.

— Chwalebna szczerość. Pojedziemy zatem jutro do Sandomierza. Winny czekać tam listy z obozu królewskiego, donoszące mi o tem, iż w dniu 24 lutego, w obozie pod Smoleńskiem poselstwo moskiewskich przeciwników Wasyla Szujskiego zaoferowało królewiczowi Władysławowi koronę cara. A Zygmunt III zdecydował się ją przyjąć...

— Wie pan to ze zwierciadła?

— Nie inaczej.

— Zatem jest pan wszechwiedzący, jak pan Bóg.

— Pozornie. Zdarzenia mające nastąpić niebawem Małgorzata może opisywać nieomal tak dokładnie, jakby spoglądała na nie przez okno. Im dalej w czasie, obraz staje się coraz bardziej mglisty, może mieć wiele wersji... Nadto jest jeszcze jeden defekt onej prekognicji.

— A mianowicie?

— Nie sposób dostrzec w tym lustrze siebie. I swoich własnych losów.

* * *

Owego wieczoru nie kończyliśmy rozmowy, obaj byliśmy nadto zmęczeni. Rano, jak pan Michał obiecał, czekały nas konie. A z nimi gotów do drogi Rafał. Błazej miał ostać się w domu. Z Jagnieszką.

Dzień wstał słoneczny, bezchmurny, wszędy topniały śniegi, z leśnych ostępów dochodził szczebiot ptactwa, radującego się bliską już wiosną. Mimo dość wyteżonego cwału i częstej zmiany koni podróż z racji rozmiękłych dróg, wielości brodów i przepraw przez rozlane rzeki blisko pół tygodnia nam zajęła.

W trakcie drogi rozmawialiśmy mało. Snadź mój gospodarz pragnął, abym ochłonał po nocnych rewelacjach, a może uznał, że wyznał za wiele. Za dnia na koniu, zdawał się najnormalniejszy w świecie, co skłaniało mnie do refleksji, jakimż dziwnym w istocie urządzeniem jest człowiek. Wiezorami zaś zmęczeni dosłownie usypialiśmy w zajazdach.

Tak przemierzywszy szmat kraju, dopiero trzeciego dnia pod wieczór stanęliśmy przy przeprawie. Na tle purpurowiejącego od zachodu nieba panorama miasta Sandomierza przedstawiała się pięknie, nie ustępując urodą miastom włoskim, aż zapragnąłem chwycić za pędzel i ja

odmalować. Jednak z braku czasu poprzestałem jedynie na węglowym szkicu. Zapamiętałem tedy z mierzwy drzew wyrastające kościoły świętego Pawła i świętego Jakuba, jeszcze za murami położone, dalej mnogość baszt i wieżyc strzelistych — których przynależność pan Michał mi objaśniał — wskazując Ratusz, rozległy zamek oraz kościół Św. Piotra i samą Farę. Dołem, nad Wisłą ciągnęły się liczne spichlerze, podkreślając dostatni handlowy wizerunek miasta.

O zmroku stanęliśmy u celu, w wąskim domu, podle sandomierskiej kanonii, gdzie nasz niedawny gość wyszykował dla nas komnatę grzeczną, z dwoma alkowami do spania i stołem chędogim w ryby oraz suszone owoce, choć postnym. W komnacie przyległej mieściła się biblioteka, w której wielki globus stał, majstersztyk jakiegoś gdańskiego mistrza. Po krótkiej wieczerzy, gdy ksiądz kanonik się oddalił, pan Michał pokazał mi listy, które już z obozu pod Smoleńskiem nadeszły. Zauważyłem, iż usunął wprawdzie z nich pieczęcie i odarł podpisy, tak jakby chciał ukryć, kto w obozie królewskim jest jego tajnym informatorem, a może i mocodawcą. Z pewnością musiał być to ktoś mający wgląd do królewskiej kancelarii.

— Czytaj wasze — rzekł, podając mi pismo.

List, sporządzony po łacinie, stanowił odpis raportu nuncjusza papieskiego.

Wspominał o warunkowej zgodzie Zygmunta na wybór królewicza Władysława carem ruskim, ostatecznego potwierdzenia miał dopiero dokonać polski Sejm. („Bez consensusu wszystkich stanów nie chcieliśmy z nimi nic skutecznego zawierać” — zastrzegał się monarcha).

We wstępnym porozumieniu Sigismundus Vasa zobowiązywał się cerkiew prawosławną w Wielkiej Rusi zachować, choć w Moskwie wrychle stanąć miał kościół katolicki. Godził się też, iżby Polacy i Litwini mieli być wykluczeni od urzędów w państwie moskiewskim, zaś włości swym sługom mógłby car Władysław Zygmuntowicz nadawać jedynie za zgodą bojarstwa.

— I co o tym waść myślisz? — pan Michał uśmiechnął się chępliwie — Czyż nie przewidziałem tego?

Zgodziłem się z tym, myśląc w duchu, że przecież pismo mogło być mu znane parę dni wcześniej. Zresztą pan Piekarski nie słuchał mnie wcale, tylko krążąc po izbie, jak jastrząb upatrujący łupu, gadał bez ustanku, podniecając się własnymi słowy coraz bardziej i bardziej. Twarz krwią poczęła mu obrzmiewać tak, iż jałem obawiać się, iżby nie padł rażon apopleksją.

— Jak wiesz pan, panie Derossi, nie masz u mnie żony ni dzieci — prawil. — Jedyne miłość, która goreje we mnie, to umiłowanie ojczyzny mej Rzeczypospolitej, dla której postanowiłem żyć, a jak Bóg zechce i umrzeć. Czyż jest bowiem kraj cudniejszy i naród bardziej dumny niż szlachta nasza? — (Profilaktycznie nie polemizowałem).

Podszedł do globusa i palcem poczał na nim limesy kreślić.

— Czyż może równać się z nami mała Francja, rozczłonkowane Włochy, podzielone Niemcy czy wyspiarska Anglia? A gdzie większe są wolności i swobody? Gdzie każdy obywatel nie może być więzion bez wyroku sądowego, a szlachcic po równi, wielki czy też mały, mocen jest króla sobie obierać, a nawet onym królem ostać? Pokaż mi kraj, gdzie wiara katolicka, wszędy reformą podkopana może równie rozkwitać, pozwalając wszelako nawet odmieńcom żyć w zdrowiu, nie grożąc im stosami, chociaż trochę by nie zaszkodziło... A jeśliby — tu mocniej w globus klepnął — jeśliby udało się młodemu Władysławowi władztwo moskiewskie utrzymać, a potem jedną unią wszystkie korony połączyć i dziedzicowi przekazać, któż by się nam oparł? Za Moskwą już tylko tysiące mil głuszy, lasów zwierza pełnych, skarbów pod ziemią ukrytych. Zdobyć Kreml, to jakby klucz znaleźć do bezkresnych przestrzeni aż do Chin i Wielkiego Oceanu. Kto rozumnie tą dziedziną zawładnie, będzie panem tego świata, większym niż Aleksander, niż Cezar...

Atoli — głos mu się zrobił chrapliwy, tak mroczny, iż zdało mi się, że świece w komnacie

przygasły — atoli, jeśli sprawy potoczą się zwyczajną koleją, tak się nie stanie. Krom splendoru udziałem naszym będzie ztrata własna i pogarda obcych. Nim wiek minie, kraj nasz przemieni się w karczmę rozstajną dla obcych wojsk, nim drugi zbiegnie, przypadnie los nam zaginionych Etrusków, Trojanów, Babilończyków. Przepadniemy ze szczętem, panie Derossi, rozszarpani przez wilka, niedźwiedzia i orła. Dziś w Moskwie po polsku mówią i czapkami drogę przed nami miotają. Prędko też jest dzień, kiedy na salach zamku warszawskiego rzucą na posadzkę pod nasze stopy rosyjskich carów, jako zwykło się rzucać chorągwie zdobyczne. Wszelako praszczury nasze, cyrylicy uczyć się będą i las w sybirskiej kniei karczować im przyjdzie. Teraz księżę pruski stopy nam liże, a cesarz rzymski z pola walki pohańbiony schodzi, pojutrze pospołu z Moskwicinem rozszarpia Rzeczypospolitą jak psi trupa. Tak, il Cane, zapewne nie wiesz, że kiedyś takim przydomkiem cię nazwą, ja widziałem to wszystko oczyma Małgorzaty. Owe tysiączne rzezie, karawany wozów uwożących w Moskwę bogactwa nasze, kibitki pomykające na wschód z zesłańcami i strzały w tył głowy w brzozowym lesie... Nie wiem, zali jest ktokolwiek w świecie władny to odmienić, ale, na mękę Chrysta, czyż wolno mi, dysponując taką wiedzą, nie spróbować? Spróbujemy zatem mości Derossi, a wiem, że przed tobą wielka rola...

Nie wiem co miał na myśli, mówiąc o mej roli. I nie bardzo chciałem wiedzieć.

Przed oczyma memi miałem oczywistego szaleńca.

— Margośka mówi, iż z twoim udziałem odmiana taka jest możliwa. Tedy błagam, nie odmawiaj mej skromnej prośbie, a jak nie — tu z furią porwał czekan przy sakwożażach leżący — tym czekaniem mózgu twego na wierzch dobędę!

Wiedziałem, że nie żartuje, a ponieważ nie był pierwszym waryjatem, którego w życiu poznał, cofnąłem się za stół i powiedziałem szybko:

— Uczynię wszystko, aby waszmość panu w jego chwalebnym dziele dopomóc.

Na to *dictum* czekan z rąk upuścił i miast dalej wygrażać, skoczył ku mnie, objął serdecznie i zalewając się łzami wzruszenia, całować zaczął. Wołał przy tem, iż będę salvatorem, zbawcą. Dalszej opowieści poniechał, jeno wypił do końca wino, legł w swej alkowie i wnet pochrapywać zaczął.

Uznałem, że najwyższa pora opuścić jego niebezpieczne towarzystwo i ucieczką się salwować. Mając zajętą drogę przez przedpokój, w którym spał Rafał, otwarłem okna i po skarpie spuściłem się na ulicę. Miałem ze sobą swój trzos i żywiłem nadzieję, że w gospodzie dostanę konia, który pozwoli mi szybko i raz na zawsze opuścić te strony. Wszelako ledwim z zaułka wyszedł, ujrzałem cień pokraczny, a znajomy.

— Mogę w czymś panu pomóc? — zapytał po niemiecku, przymilnym tonem Mykoła, najwyraźniej mnie tu oczekujący.

Jedyne kłamstwo, które przyszło mi do głowy to wyznać, iż wypuściłem się w poszukiwaniu dziewczki, która mogłaby mi umilić noc. Nie minęły dwa pacierze, a znaleźliśmy się w zamtuzie. Mykoła wyszukał dla mnie Hankę, młódkę może piętnastoletnią, ale już w fachu swem obrotną, choć na mój śródziemnomorski gust zanadto kocią szczyną waniającą.

Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Rankiem pan Piekarski nie skomentował ni słowem mej nocnej ekspedycji. Mykoła zaś jakby pod ziemię się zapadł, tak że gdyby nie obolałość ciała od miłosnej akrobatyki, mógłbym myśleć, iż nic ciekawego się nocą nie zdarzyło.

Zmitrężywszy na mę prośbę jeszcze jeden dzień, chciałem bowiem obejrzeć historyczne pamiątki miasta po wielokroć często przez historię doświadczonego — mówiono mi o szczególnie okrutnych najazdach Tatarów — zlustrowawszy kolegiatę, zamek, takż kolegium ojców jezuitów, następnego dnia z rana podążyliśmy samotrzeć w drogę powrotną. Rafał wysforował się nieco z przodu, my trzymaliśmy się lekko z tyłu. Najwyraźniej pan Michał nijakich rzezimieszków się nie obawiał, będąc z niemi w najlepszej konfidencji, czego dowodził mój przypadek.

Zresztą jechaliśmy przez kraj ludny, żyzny, gęsto zaludniony i osobliwie dostatni, przy którym moja kamienista Italia zdawała się ubogą krewną, na dodatek doświadczaną nieustannymi wojnami, przemarszami wojsk i łupiestwem maruderów. Tu, jak twierdził mój *cicerone*, pamięć o jakichkolwiek wojnach prawie zatarła się w ludzkiej pamięci. Trzy wieki mijały od ostatniego zagonu tatarskiego, wojny toczono hen, na inflanckich lub mołdawskich rubieżach, a jeśli nawet nieprzyjaciel jaki podniósł rękę na Rzeczypospolitą, jak zbity pies rychło z niej uchodził. Owszem, zdarzały się wewnętrzne rokosze i burdy, ale stanowiły one raczej obyczajową ciekawostkę niż rzeczywiste zagrożenie egzystencji państwa. Żyli więc Polaczkowie jak u Pana Boga za piecem, spokojni o dziś, pewni jutra, przekonani o jakiejś nieuzasadnionej opiece Chrysta i jego Matki, zgoła nie pomni, jak bolesne bywały doświadczenia innych narodów, wprzódy uważających się za wybrane. Jeśli zgodnie z prorocत्वami zwierciadła miały iść na ten kraj okropne termina, to trudno wyobrazić sobie lud równie do nich nieprzygotowany. Wojska, nie licząc chorągwi prywatnych, było w nim mało, podatki śmieszne, władza monarsza iluzoryczna, a indywidualizm szlacheckiej braci niepomierne. Jeśli zdarzał się król wielki, a takim, jak twierdził Piekarski, był przedwcześnie zmarły Stefan Batory, panował jakoś nad owem rozhukanem bractwem.

— A Zygmunt? — pytałem na kolejnym popasie.

Samo imię Wazy sprawiało, że twarz pana Michała czerniała, wąsa zagryzał, a oczy miały błyskawice. I choć słowa miarkował, czułem, iż nienawidzi do żywego tego Szweda o duszy mnicha, pełnego pychy, a zarazem pogardy wobec ludzi mu najwierniejszych. Toż gotów był jak niesławnej pamięci Walejusz tron polski poświęcić, byleby stolec Sztokholmski odzyskać, skąd go lud własny pogonił. Katolicki neofita, Polaków nie rozumiał i zrozumieć nie chciał, a najpierwszych z nich — jak przesławnego Jana Zamoyskiego, którego go na tron wprowadził, a rywala, cesarza Maksymiliana pod Byczyną pobił — poważać nie chciał i na boczną koleinę odsunął.

— Wierzysz panie — powiedział unosząc głos Piekarski — że szakał może stać się lwem i orłem? Toż tylko *pro forma* przystał on na koronę moskiewską dla syna.

Dla siebie jej chce, iżby frymarczyć mógł ją, celem odzyskania berła Szwecji. Boć czymże dlań polski Orzeł, litewska Pogoń czy ruski Archanioł, wobec chudego snopka Wazów. Już dziś, cichcem obiecuje jezuitom, iż będąc w Moskwie, cerkiew tamtejszą ogniem i mieczem do Unii przymusi. Zaiste, drogi Derossi, słusznie powiadają poeci: Wiek Złoty przeminał, Srebrny przemija i ani się obejrzym, jak żelazne obręcze niewolnika zacisną się na naszych gardłach.

* * *

Zmierzchało się już, gdy trzeciego dnia przeprawiwszy się przez rozlaną roztopami Rabę, we dworze stanęliśmy. Nie dał mi jednak pan Piekarski, u którego jak co noc pobudzenie wzrosło, iść na spoczynek, jeno znów do czarnej izby zaprowadził i tam tak prawić począł:

— Nie chcę ja na waszmości nijakiego gwałtu czynić. Muszę jednak wyznać, że ani spotkanie nasze przypadkowym nie jest, ani to, iż mój wybór was nie jest wynikiem ślepego trafu.

— Jak pan to rozumiesz?

— Szukając w lustrze człeka, który zdolen jest odmienić losy tego kraju, znalazłem was.

— Mnie, kiedy?

— Byliście naonczas jeszcze we Wiedniu. Aliści, jak myślicie, kto mistrzowi Dolabelli myśl podsunął, by nieznanemu nikomu młodzikowi propozycję przybycia do Polski złożył i pracę na dworze obiecał?

— Wy?

— A kto po całej Złotej Pradze się uganiał, uprzedzając kroki wasze i płacąc talary, iż byście nigdzie pracy, nawet u Żyda, nie dostali.

— Nie może być! — wykrzyknąłem.

— Któż wreszcie namówił wędrownego golibrodę pod Krakowem, iżby ten wskazał wam drogę ku Warszawie prawem brzegiem Wisły, nie lewem, tak byście się na skraju Puszczy Niepołomickiej znaleźli, gdzie już was czekał Mykoła i jego ludzie?

— Na Boga żywego, wszystko to jest pańskim dziełem?

— Mojem i mych przyjaciół. A choć biorą mnie tylko za biednego waryjata, mam ich wielu — dorzucił dumnie.

— Jakiż jednak jest cel tych wszystkich działań? — pytałem — Przecie nawet teraz mogę powiedzieć, że odmawiam partycypowania w pańskich conceptach. Gwałtem mnie przymusicie?

Roześmiał się tylko:

— Ani myślę przymuszać, bo wiem, że po dobrej woli wesprzecie mnie i moje dzieło.

Zdumiałem się wielce pewnością onego człeka. Choć napotykać liczących wariatów wiem, że silnie przywiązani do swej *idei fixe*, głusi są i ślepi na wszelkie przeciwności.

— Zapominasz panie Derossi, iż znam pańską przyszłość.

— Tedy musisz wiedzieć, co ci odpowiem.

— Przyszłość, mój miły panie, jest jako ogród o rozwidlających się ścieżkach. Pójdiesz jedną, zaprowadzi cię ku zaszczytom, pójdiesz drugą, a popadniesz w wielkie opaty, trzecią wybierzesz, wstąpisz na trakt idący ku zatracie i wiekuistej hańbie.

— Jakież tedy pańskim zdaniem możliwości stoją przede mną?

— Jest jedna, iż odejdziesz wolnem i żałować będziesz iż oszedłeś, śledząc z oddalenia jak ziszczają się me przepowiednie, a za późno będzie im zapobiegać. Wiele świata zwiedzisz, wiele umiejętności posiadasz, tak że zaczną zwać cię jeniuszem, aż wszystko utracisz, z życiem łącznie i przepadniesz marnie w kaźni okrutnej, a z tobą w niwecz pójdzie twój dorobek oraz wszelka pamięć o tobie.

— Czyżbyś wiedział jak umrę? — zapytałem, czując rzeczywisty niepokój.

Usta swe suche, w kącikach których biaława piana zbierać się poczęła, do uszu mych zbliżył i wyrzekł jeno dwa słowa:

— Studnia Potępionych!

Poczułem ciary na plecach i ziąb przeraźliwy w trzewiach, bo od małości owa sztolnia, w której tracono winnych najcięższych zbrodni, podle rosettyńskiej skarpy swe czeluście otwierająca, budziła we mnie niepojętą grozę.

— Mów zatem o drugiej ścieżce — zaproponowałem. Uśmiechnął się, a okiem zazezował szelmowsko:

— Opuszczę wersję, wedle której zdradzić mnie umyśliłeś, albowiem wedle niej czeka cię śmierć prędką z ręki Mykoły. Pomówmy o alternatywie dla wszystkich najlepszej — kiedy działając pospołu, uczynimy wiele dobrego, zapewniając światu pokój, Rzeczypospolitej tysiąc lat potęgi, a tobie sławę, jaka była dotąd udziałem nielicznych — Arystotela, Makiawela i Leonarda w jednym...

— Jakby to stać się miało?

— Jest na dworze królewskim osoba nader wpływowa, ochmistrzyni Urszula Meierin, jeszcze przez królową nieboszczkę z Austrii sprowadzona, przez osiem lat Zygmuntowego wdowieństwa ze wszystkich mu dworaków najbliższa...

— Rozumiem — mruknąłem z uśmiechem.

— Nic waść nie rozumiesz! Można o królu rzec wiele złego. Ci co znają go dobrze twierdzą, że jest po trzykroć T i po trzykroć P. — *tardes, taciturnus, tenax* i zarazem, *pius, parcus, pertina*. (Nierychliwy, małomówny, uparty, pobożny, oszczędny, zacięty — przetłumaczyłem w myśli). Wszelako on i oficjalna metresa? Dalibóg nigdy w to nie uwierzę, toż on żadnej mszy nie odpuszcza, na niedźwiedni polega, dyscypliną się chlęsta, we włosiennicy chadza. Zresztą pani Meierin urodą nie grzeszy, choć różne gusta ludzie miewają. Tak czy owak, nawet po ślubie z królową Konstancją i narodzinach królowica Jana Kazimierza, jej rola u Zygmunta nie zmalała. Podobnie nadal ma na młodego Władysława wpływ spory, jak w onych latach, gdy jako jedyna mogła go różgą za dziecięce przewiny karcic. Choć oficjalnie przybyłeś Dolabelli pomagać, dama owa wprowadzi cię na dwór do najbliższej kompanii następcy tronu, a tam już swemi niewątpliwymi przymiotami, wiedzą i talentami zaufanie Władysława uzyskasz, tak, że gdy nadejdzie moment sposobny, pomożesz mu właściwych wyborów dokonać.

— Moment sposobny?

Zmieszał się. I rzekł, że pomówimy, gdy już we Wilnie się znajdem.

— Będziecie mi tam towarzyszyć?

— Wobec polskich magnatów chudopachołek jam tylko. Będę w pobliżu ewentualną radą służyć. I informacje w lustrze czytać.

I jakby co, Mykołą straszyć — dodałem w myślach, a głośno rzekłem:

— Zali panna Małgorzata towarzyszyć ci będzie?

— Nie sadzę — odparł szlachcic i węża podkręcił. — Jako żona moja w domowych pieleszach pozostanie.

— Jako żona? — zdumiałem się — a lustro?

— Znalaziono już dla mnie w Krymie dziewicę cudną, dwanaście wiosen liczącą, która zdolnościami metafizycznymi dorównuje Margośce, a nawet ją przewyższa. Niedługo przywiozą ją do Bieńkowic, a wtedy dotychczasowe mitręgi przyszłej pani Piekarskiej dobiegną kresu.

— Niewątpliwie zamążpójście będzie dla niej zaszczytem wielkim. Słyszałem, jednak, że obiecaliście jej wolny wybór. A jeśli klasztor lub wyjazd za granicę wybierze?

Zacisnął usta i warknął gniewnie:

— Moja głowa w tem, by nie wybrała. Zaręczam ci asan, iż gdy mej jurności posmakuje, nie w głowie jej będzie habit czy furta konwentu...

Dwie noce później, gdym skutkiem kobiecych przypadłości Jagnieszki spał samotnie, Małgorzata znów przysła do mnie. Rozedrgana, we łzach cała.

— Wiesz już panie, jaki los mi ów tyran gotuje?

Skinąłem głową.

— Wolałabym umrzeć. Albowiem człek ten nie tylko bezbrzeżnym przejmuje mnie lękiem, ale jeszcze większym obrzydzeniem.

— Cóż mogę radzić ci pani — rozłożyłem ręce.

— Upieraj się, że przecie dał ci w tej materii *nobile verbum*.

— Nie znasz panie jego zawziętości. Czwarty rok grzeszna oskoma go zżera, na mój widok ciągiem oblizuje się, sapie, dyszy, a gdy sądzi, iż nie widzę, własnoręcz folgę sobie czyni. Gdyby nie lęk, że wraz z cnotą dar jasnowidzenia utracę, dawno by mnie pohańbił, nie licząc się z oporem.

I lzy puściły się jej na jagody. Ze współczucia przygarnąłem ją do siebie, aż poczułem jak drży. Co gorsza poczułem piersi jej jędrne, naparły na mnie na podobieństwo źrebiąt z zagrody, na łąkę się wrywających. Odsunąłem ją od siebie.

— Zabierz mnie ze sobą panie Alfredzie — wyszeptała.

A ponieważ milczałem zaskoczony, mówiła dalej:

— Widzę panie, że ci nie wstrętna. Ja zaś... ja... pokochałam cię za pierwszym wejrzeniem.

— Margosiu!

— Kocham panie twe lica i twój umysł, oczy mądre i rękę sprawną w tworzeniu sztuki. Kocham twą duszę ciekawą, odważną i to... to co niepojęte, co różni cię od innych chleba zjadaczy...

Dalibóg, coż mogłem jej powiedzieć. Że jest aniołem, za którym każdy mężczyzna w ogień by skoczył. Że jest pierwszą kobietą, na której widok serce bije mi tak, jak przy Beatrycze.

— Pomóż mi panie, przygotuj truciznę, którą albo katu memu zadam, albo sama z jej pomocą w objęcia śmierci umknę.

— Mogę spróbować pani, wszelako nie sądzę, żeby był to czyn najwłaściwszy.

Dotknęła mej ręki i podniosła do ust. Potem wpełzła na łóżko. Cofałem się ku ścianie, jednak gdy poczułem jej usta pełne na swoich, jej język zachłanny, rozkoszny, spleciony z moim, gotów byłem zapomnieć o strachu, o zemście niechybnej...

Skrzyknęły drzwi.

Do komnaty zajrzał Błażej.

— Dalibóg, Margośka, dom cały rozbudzisz... I pana.

Oprzytomniawszy, zerwała się i wybiegła z komnaty. I ostaliśmy sami. Ja i młody giermek Piekarskiego.

— Bądź panie pewien, że nie doniosę — rzekł wolno, patrząc mi w oczy. Na tyle osłuchałem się w polszczyźnie, że pojąłem co do mnie powiada.

— Zapłacę dobrze — wyjąkałem w tej samej mowie.

— Nie chcę zapłaty — odrzekł twardo, twardością ludzi z gminu, którzy naraz moc swoją poczuli. — Jeno ostaw mi Jagnieszkę. Ja chcę się z nią ożenić.

— Dobrze — odparłem bez wahania i wyciągnąłem doń rękę.

* * *

Nie wiem, czy pan Michał domyślił się, co zaszło między nami. Dość powiedzieć, że drzwi prowadzące na wieżę odtąd zawierał dokładnie, tak że więcej pięknej dziewczyny nie widział. Truciznę sporządziłem, atoli nie udało mi się ni razu samemu w kuchni ostać, iżby windą ją do góry ekspediować. Zato z Jagnieszką rozwiązałem rzecz tak: zwierzyłem się jej z pewnych niemiłych

swędeń, a owrzodzeń, które mogły być wynikiem mej wizyty w sandomierskim zamczysku, aż odeszła jak zmyta. Tusze, iż w ramiona Błażeja.

Minął post i Zmartwychwstanie Pańskie, śniegi spłynęły, a po długiej i mroźnej zimie kwiecień nastął wręcz gorący, co ludzie poczytywali sobie za korzystną wróżbę.

Wreszcie otrzymawszy wiadomość, iż dziewczica wykupiona w Krymie jest już w Zamościu, pan Michał zdecydował wspólnie z nieodstępny Kacprem odprowadzić mnie aż tam, skąd wspólnie z posiłkami ziemi sandomierskiej pod Smoleńsk dążącymi, miałem zabrać się aż do Wilna i zostać przedstawiony na dworze królowej Konstancji. Oznajmił mi to podczas spaceru, nie zezwalając do domu powrócić, tak że nawet nie mógł Błażeja przepłacić, iżby zmówioną truczkę Małgorzacie dostarczył.

Oponowałem przeciw nagłemu trybowi, jednak sama służba dla królewicza Władysława sprzyjała moim planom, mniemałem też, że oddalwszy się od szaleńca, zdołam się jakoś zabezpieczyć przed ewentualnością popadnięcia w niepotrzebne kłopoty. Żałowałem wielce Małgorzaty i opuszczając dom czekałem, iżby pojawiła się chociaż w oknie, ale się nie doczekałem. Może leżała cała we łzach na myśl o czekającym ją ślubie. Czułem się arcypodłe. Wszelako wobec przeważającej siły fizycznej mego gnębiiciela, a także jego wiedzy dotyczącej przyszłości, nie mogłem uczynić nic skutecznego.

Zamość okazał się pięknym, zasobnym miastem, jakby żywcem z mej Italii pod chłodniejszy nieboskłon przeniesionym, z wielkim rynkiem i doskonałymi fortyfikacjami. Przyjaciół Piekarskiego, kupiec bławaty, udostępnił nam dom — wąską kamieniczkę przy rynku, gdzie dwóch kamratów Mykoły przedstawiło nam Chawę, młodzieńką Żydówkę, uprowadzoną rok temu w Krym z małego miasteczka koło Białej Cerkwi. Spodziewałem się zastać zestrachane dziecko, dostrzegłem rezolutną dziewczynkę, wielce z odmiany losu zadowoloną. Z szacunkiem cmoknęła w rękę pana Piekarskiego, mnie ukłon złożyła. Mimo młodego wieku mówiła biegle po rusku i polsku, wtrącając jedynie pojedyncze słowa w jidysz w gwarze.

— Pracując dla mnie, będziesz miała dostatek, a i gdy przyjdzie czas, dobrego męża znajdziesz — powiedział pan Michał.

Ciekaw byłem jakim sposobem emisariusze Piekarskiego wykryli w dziecku parapsychologiczne zdolności, czyżby wyłącznie na podstawie wskazówek zwierciadła? I czy aby nie pomylili się w wyborze wieszczki. Dziewczynka szybko i bez oporów poddała się egzaminowi. Ledwie pochwyciła dłoń mego gospodarza i chwilę wpatrywała się w siatkę linii i wzgórków, szepnęła cicho.

— Czekan, oznacza śmierć!

— Wielkie mi odkrycie — zaśmiał się Rafał. — Są tacy, którzy umieją grać na czekaniku, ale mój pan do nich się nie zalicza..

Jasnowidzka odwróciła ku niemu swe oczy czarne, węglom podobne:

— Ty zaś strzeż się rapiera! — powiedziała dobitnie.

A śmiech umilkł mu w krtani.

— A mnie co powiesz dziewczyno? — zapytałem, okrutnie kalecząc polszczyznę.

Obejrzała moje ręce, zajrzała w oczy. I milczała.

— No więc?

— Nie jestem pewna.

— Ale coś widzisz.

— Jakby pies... jakby pies z żelaza. Ale to dobry znak. Strzeż się studni, pajaków i miłości, które niosą śmierć...

— Zaiste prawdziwa to poezja — powiedział pan Piekarski. — A co rzekłabyś panu

Derossiemu na drogę? Zali powiecie się to, co zamierzamy?

Znów zamyśliła się, przymknęła oczy.

— Mgła, dużo mgły, nic nie widać — westchnęła wreszcie. — Może pójść dobrze, może pójść źle.

Wieczorem siadł pan Michał ze mną przy stole i wyjawiał wreszcie istotę swych zamysłów. Przypomniał bitwę wielką, relacjonowaną w mej przytomności przez Małgorzatę, następnie wzięcie Moskwy i upokorzenie uwięzionego cara.

— Niestety, wielce możliwym jest, że victoria owa, wskutek osobistych ambicji króla i jego zawistnej niechęci wobec hetmana Żółkiewskiego, ostatecznie zmarnowana — prawil. — Miast szybkiego ustanowienia królewicza Władysława na Kremlu, mogą przejść dwa lata jałowej zwłoki, niepojętych układów, niepotrzebnych rokowań. Aż bunt jesienną porą nasze regimenty z murów Kremla wygna, mnóstwo ludzi polegnie. I miast dwóch państw, wspólnem berłem połączonych, będziemy mieć pod bokiem wrogów zapiekłych. Rychło wschodni sąsiad rosnąc w siłę, zmieni się w potwornego kolosa, nienawistnego wszystkiemu, co zachodnie, polskie i katolickie.

— Czyż jest sposób, by temu zapobiec?

— Jest! — zawołał i na nogi równe się poderwał.

— Czyż śmierć Aleksandra nie zapobiegła podbojowi Indii przez Greków, a nóż Jacques'a Clementa nie oddał Francji Henrykowi IV—mu?

— Mówisz pan o królobójstwie!?!— wykrzyknąłem. — Czyżbyś się na nie ważył?

Nie odparł mi wprost. Oczy tylko przymknął, jakbym mógł z jego źrenic coś przypadkiem wyczytać.

— Wszystko jest w ręku Boga! — powiedział wolno. — Jeśli jednak niebo da znak, sprawy potoczą się szybko. Ważne będzie, by w chwili próby znaleźli się obok dziedzica tronu ludzie, którzy mądrze nim pokierują. By miast ku Warszawie, gdzie na konwokacji jeno burdy i gadania o paktach konwentach będą, ku Moskwie go skłonili. Bo mając tamtejsze władztwo, podporządkowaną cerkiew, uległe bojarstwo i wojska spełniające rozkazy, bez szemrania nawet z panami szlachtą łatwiej rozmawiać mu się będzie...

— Nie przyłożę ręki do królobójstwa! — zawołałem z mocą.

— Nikt waszmości prosić o to nie będzie. Służ jedno Władysławowi IV dobrą radą. A pożytek będzie z tego dla nas, Polski i świata.

Nie mogłem odmówić wprost, czując za ścianami obecność jego zbirów. Pocieszałem się też, że czym innym są mrzonki szaleńca, a czym innym ich urzeczywistnienie. Wielu jeszcze zdarzyć się mogło.

Tak więc nazajutrz pożegnawszy się w zgodzie z Piekarskim, w towarzystwie jedynie Rafała podążyłem ku Lublinowi, gdzie w podmiejskiej karczmie miałem popasać dni parę, póki nie nadejdą oddziały Małopolskie na moskiewską wojnę idące.

Wiosna wkroczyła tymczasem w czas kwietny. Dnie nastały całkiem upalne, nocami wyśpiewywały słowiki.

Trzeciej nocy zbudziło mnie skrobanie w okiennicę. Początkowo myślałem, że to jakiś zwierz w poszukiwaniu jadła pod dom zabłądził, sięgnąłem po podróżny rapier, ale zaraz głos cichy usłyszałem:

— To ja panie Alfredzie.

— Margosia?

Rozwarłem okiennicę i wciągnąłem do wnętrza dziewczynę, ubłoconą od stóp do głów i obarczoną wielkim pakunkiem.

— Koń mi padł pod miastem — szepnęła. — Strasznie bałam się, że cię panie już tu nie zastanę.

— Ale jak ci się udało zbiec? — spytałem, krzesząc ogień celem zapalenia kaganka. — Przecie skutkiem przezorności Piekarskiego nie udało mi się dostarczyć ci żądanej trucizny.

— Uciekłam szybem windy, którą od lat pokarm mi dostarczali — wyznała rezolutnie. — Zapierając się nogami ścian i czepiając sznurów dotarłam aż do kuchni. Noc była już głęboka, pan Błażej ze swą Jagnieszką w alkowie baraszkowali. Z domu wymknęłam się ku rzece, gdzie ukradłam łódź. Wezbraną Rabą spłynęłam do Wisły, Wisłą zaśię podążyłam na północ do Zawichostu. Tam kupiłam konia.

— Miałaś pieniądze!?

— Mam pieniądze i klejnoty, bom za zgodą pana na klasztorne wiano zbierała.

— I nikt nie dziwił się samotnie podróżującej biało—głowie.

— Pożrzyj na mnie dokładnie! — zawołała, rozniecając kaganek. — Włosy czapką skryłam, męskie szaty wdziałam, twarz sadzą przyczerniłam.

— Zuch dziewczyna!

— A jak jaki łapserdak drogę mi zastępował, dobywałam króciocy spod płaszcza.

Dość jednak, na opowiadanie czasu mieć wiele będziemy. Teraz uciekajmy stąd, a nuże, jeśli nam życie miłe...

— Na Litwę? Do królewicza? — zapytałem.

— Ostatnia to strona, w którą możemy się udawać. Jedźmy ku Warszawie, albo lepiej ku Prusom Książęcym. Stamtąd ruszymy w świat...

— Mówisz pani tak, jakbyś nie bała się, że nowa jasnowidzka, dzięki lustru nas wysledzi.

— A myślisz, że co taszczę ze sobą — wskazała pakunek.

— Lustro Twardowskiego?

— Nie inaczej.

W największym pośpiechu ubierać się począłem, kiedy drzwi otworzyły się i do izby zajrzał Rafał. Młodzian był wściekły, widząc Małgorzatę i mnie gotujących się do drogi.

— Hola, co zamierzasz panie Derossi?

— To co uważam za słuszne! — rzekłem hardo, mając nadzieję, że totumfacki Piekarskiego jest sam.

— Nie zezwolę wam, byście oddalili się z tą dziewczką.

— Hamuj się chłopcze, uwłaczasz damie! — zawołałem.

Na te słowa za szablę chciał chwycić, ale rozebrany do snu jedynie koszulę zmacał. Miał jednak w nogawicy nóż o długiej klindze, wyrwał go i w oczy mi zaświecił. Zasłoniłem się gołem rapierem, który szczęściem miałem na podorędziu.

— Zaniechaj nas — krzyknęła Margosia — zapłacę dobrze.

— Nie ma takiej ceny!

Kawał polana do pieca porwał i wywijając nim niczym berdyszem, skoczył. Uderzony nim rapier pękł, iż ostałem ino z ułomkiem w ręku. Młodzian ryknął z ukontentowania, pewien iż jestem już w jego mocy. Zasłoniłem się krzesłem, obalił je wraz ze mną i chwilę turlaliśmy się na polepie, unieruchomiwszy sobie nawzajem ręce. Nie jestem cherlakiem, ale wobec młodego giermka w walce wprawionego, wielem zrobić nie mógł. Czuję, iż słabnę, a ostrze sztyletu opuszczało się coraz bliżej memu gardłu...

Naraz Rafał zadrzał, jęknął, nóż upuścił, a z ust polatała mu się jucha. Straciłem go z siebie, podniosłem kaganek. Młodzian leżał martwy, a z pleców sterczał mu ułomek mego rapiera.

— Tyś to zrobiła? — zdumiony spytałem Margoški.

Lubo blada, przytaknęła energicznie.

Ukryłem zwłoki i obudziwszy oberżystę wynająłem dwa konie mówiąc, że pilne sprawy wzywają nas do Zamościa. Miast tego, oddaliwszy się dwa stajania od karczmy, opłótkami w stronę Lubartowa się puściliśmy. Nikt nas nie ścigał. Często zmieniając konie, stawaliśmy jak najrzadziej. Wkrótce weszło słońce, co napełniło nasze serca otuchą. Małgorzata, jak na niedoszła mniszkę, znakomicie trzymała się w siodle. Wiatr i słońce zaróżowiły jej bladą do niedawna twarz, tak że oczu odwrócić od niej nie mogłem. Galopując co koń wyskoczy dotarliśmy przez dzień aż za Łuków, żywiąc nadzieję, że ewentualny pościg pozostawiliśmy daleko w tyle.

W przydrożnym zajeździe wziąłem izbę ładną, widną, na pięterku położoną. Dla większego bezpieczeństwa Margosia pozostała w szatach hajduka. Pacholę miał spać ze mną, toteż przygotowano mu posłanie przy drzwiach. Zaordynowałem gorącą kąpiel, służba nagotowała więc wrzątku i dostarczyła akuratną kadejkę, także kolację dostarczono mi do pokoju. Kiedy dziewczyna sposobiała się do zanurzenia w stągwi, taktownie opuściłem izbę i poszedłem lustrować okolice zajazdu. Nikogo jednak podejrzanego nie zoczyłem. Gdy wróciłem, czesała swe włosy piękne, połyskliwe. Oświetlona płomykami świec przywodziła na myśl zjawisko nie z tego świata. Czym ją kochał? Nie wiem. Zachwyciłem się ją, podziwiałem.

Pożądałem...

Czymże jest miłość? — W swem wcześniejszym i późniejszym życiu poznałem parę kobiet niezwykłych i nie porównywalnych z drugimi — boską dziwkę Beatrycze, przedziwną inkarnację starożytnej Kybele, Laure, szelmowską zdrajczynię, towarzyszącą mi w zmaganiach z Aztecką rekonkwistą, i wreszcie jako Gurbiani, Monikę — moją żonę, wcielenie powszedniej dobroci. Każda była inna i każda ma swój zakątek w duszy mojej, niczym w muzeum pamięci. Może powinienem porównywać je do żywiołów — Beatrycze była tedy gorejącym ogniem, Laura wodą zmienną a żywą, Monika ziemią — Matką. A kim być mogła z nich wszystkich najtragiczniejsza, moja arcyksiężna Maria — ziszczony sen, godny ceny najwyższej — niebem? W każdym razie w owej klasyfikacji winieniem nazwać Margoškę wiatrem, porywem gwałtownym, zrazu bezcielesnym, potem szaleńczym, tylko chyba od początku pozbawionym przyszłości. Tej nocy jednak miał być tornadem.

Przy kolacji, gdym kroił nożem kawałki mięsiwa, podając je na przemian jej i sobie, spytałem panny Hausner czy nie mogłaby teraz w lustro popatrzeć izby przewidzieć, czy nic nam nie grozi. Pokręciła głową.

— Czyż nie powiadał ci pan Michał, iż oglądanie własnych losów nie jest możliwe. Jest to tak, jakbyśmy sami sobą cień na przyszłe sprawy rzucali.

Tu ujęła jedną ze świec palących się nad stołem i postawiła ją na gzymisie ponad łóżem.

— A jeśli nawet jest nam pisane tyle życia co w tym knocie, czyż mamy wahać się z zapaleniem go? — Powiedziała, po czym skierowała ku mnie swe źrenice.— Kochaj mnie, Alfredo.

— Teraz?

— Natychmiast.

— A twój dar dziewiczy?

— Nic już po mem darze. Nade wszystko chcę twej miłości, ukochany.

— Tedy zawrzyjmy związek przed ołtarzem.

— A jeśli zbraknie nam na to czasu?

Odpięła fibule i opadły jej szaty. Dzięki śnieżnobiałej płci wyglądała jak antyczna rzeźba Praksytelesa czy Myrona, w każdym detalu doskonała.

Podszedłem ku niej, również zrzucając swój przyodziewek.

Dobry Boże! Pragnąłem, a zarazem bałem się onej chwili. Objęliśmy się, wymieniając pocałunki niespieszne, raz muśnięcia lekkie, niczym dotyk motyle, to mocne, nieomal do krwi smakowania, przypominające miążdzenie malin. Jej ciało wiło się w pościeli poszukując mego, jej dłonie prowadziły mnie ku matecznikom niewysłowionej rozkoszy.

Gdym wniknął w nią, krzyknęła, lecz w krzyku tym zabrzmiał ból pomieszany z rozkoszą, a rozkoszy, wnosząc po jej pomrukach, było wciąż więcej i więcej. I pieniała się jak gejzer i rosła jak ciasto drożdżowe. Była spełnionym marzeniem, objawiającym się różowością szyi, grzesznym uśmiechem, jękiem ostatecznego spełnienia.

Leżeliśmy potem wtuleni w siebie, jak dwie połówki jednego owocu, które odnalazły się w bezmiarze wszechświata. Następnie kochaliśmy się raz jeszcze, i raz, pieszcząc językami najskrytsze intymności i z nowa cwałując, a koziołkując, aż znalazła się nade mną. Włosy jej tworzyły wokół jej twarzy ni to kurzawę, ni ciemną aureolę. I galopowaliśmy tak środkiem nocy między wieczorem a zarankiem, obojętni na świat wokół nas.

Nie wiem kiedy zapadłem w sen. A zwidy miałem piękne. Oto, wśród ukłonów i szeptów dworaków, szedłem wraz z Margaretą u mego boku, tuż za władcą, w czapie Monomacha, przez złotem kapiące podwórce, ani chybi Kremlinu, bo złożone kopuły nad nami błyskały. To znów poilem konie w jeziorze olbrzymim zda się bezkresnym. Byłżeby to opiewany przez podróżników Bajkał? W kolejnym mirażu siedziałem obok mego monarchy, mocno już postarzonego, na dziedzińcu inszego zamku, przypominającego niedawno spalony krakowski Wawel, tu z wielkim rozmachem odbudowany i odnowiony. A byli z nami i cesarz rzymski i król francuski i Ojciec Święty, o którym powiadali, iż jest bratem mego pana — Janem Kazimierzem. I prawiliśmy o wieczystym pokoju europejskim. Wreszcie nad jakimś ciepłym morzem pluskałem się z gromadką berbeci, po asyście wnosząc, z królewskiego rodu — zapewne były to dzieci Władysława IV i jego żony, carowej z domu Romanowów... Zali śniło mi się to wszystko, com swą ucieczką zaprzepaścił? A może jeszcze nie zaprzepaściłem?

Ocknąłem się, czując ciało boskiej Margosi wtulone we mnie, na całej długości bezpieczne, ciepłe, czułe... Ostatnia świeca zgasła, pozostawiając cienką stróżkę dymu. Za oknem różował blask nowego dnia.

Ktoś szurał na dachu. Kot chucią oszalały parzył się przy dymniku?

Uniosłem się na łokciach, nagi, szukając krocie. Leżały gdzieś w bagażach, niezdatne do walki. Tymczasem kłapa uniosła się. Ujrzałem pałakowate nogi, buty rajtarskie... Zeskoczył opodal stołu, w zębach miał nóż, krzywy tatarski kindżał, bandolety wisiały w olstrach u pasa.

— Mykoła — krzyknęła, podrywając się ze snu Małgorzata.

Zaśmiał się, ukazując zęby białe, bardziej do wilczych niż ludzkich podobne.

— Odejdź dziewczko, bom przybył tu z panem Derossim porozmawiać,

— Nie zabijaj go! — zawołała.

— A cóż mi po śmierci jego? Przydać się jeszcze może! Tak jak owo zwierciadełko, któreś panu memu skradła. Wrócim doma i wszystko będzie po dawnemu. Jeno dla zabawy rzucę panu Piekarskiemu pod nogi jego klejnoty męskie, któreś dzisiejszej nocy tak polubiła.

Tu ruszył ku mnie z kindżałem, nie spuszczać wzroku z mej męskości, która z bojaźni skurczyła się do rozmiarów mysikrólika.

— Nie — krzyknęła dziewczyna i pragnąc go powstrzymać, poderwała się na równe nogi.

Biegając jednak po pościeli, potknęła się i nim Mykoła zdołał dłoń cofnąć, całym impetem na nóż upadła.

Rozległ się chrzęst straszny, który i na śmiertelnych marach pamiętać będę. I jej jęk bolesny, a

śmiej Mykoły zastygł mu na ustach.

Ogarnęła mię desperacja obłąkana. Porwałem nóż srebrny ciągle w resztki pieczeni wbity i tak, jak w dzieciństwie uczył mnie kapitan Massimo, prawie nie mierząc, cisnąłem. Aż po całą rękojęść wbił się w gardło Mykoły.

Potwór nie zdołał nic powiedzieć. Oczy wyszły mu z orbit, wydał chrapliwy ryk godny rannego tura i padł, bluzgając posoką na kobierzec zaścielający podłogę.

Małgorzata, lubo śmiertelnie ranna, żyła jeszcze pół godziny. Kazała mi krzyż srebrny ze swej szyi zdjąć i przytknąć go do czoła Mykoły. Mądra to była rada, choć krzyżyk był zimny, po komnacie rozszedł się odór palącego mięsa, a wypalone znamię pozostało na czole trupa. Domyślałem się, iż tym sposobem chciała zapobiec jego zmartwychwstaniu. Potem trzymałem ją za rękę, patrząc jak gaśnie, na przemian modląc się i zapewniając ją o swej miłości i wiecznej pamięci .

Zmarła z moim imieniem na ustach, dokładnie gdy tarcza słoneczna weszła ponad wiosennym krajem, w którym zaczynały kwitnąć już sady...

* * *

Co było potem, dziwnie słabo pamiętam.

Uchodziłem z Polski nader bystro, podejrzewany o mord na dwóch istotach, których ciała odnaleziono w zajeździe. Lustro Twardowskiego zakopałem w kniei, podchodzącej aż pod opłotki wsi Grochowo, niedaleko karczmy zwanej Wawer. Wielokroć zamierzałem powrócić, wszelako wojny szalejące w Europie ciągle oddalały ten zamysł. Pozbawiony lustra i narzeczonej, Piekarski w obłęd popadł, a gdy pojął, że i ja się mu wymknąłem, dwór swój spalił, po czym *de novo* do wieży szaleńców trafił. Wypuszczony po latach, zbiedniały, pobawiony przyjaciół i protektorów, nie zapomniał o swej nienawiści wobec Zygmunta III-go. W roku 1620, 15 listopada, zaczaiwszy się na krytym ganku, prowadzącym z warszawskiego zamku do fary świętojańskiej, zaatakował monarchę swym czekanem, uderzając po trzykroć. W wąskim przejściu jednak nie mógł wziąć należytego rozmachu, więc choć za pierwszym razem uderzał oburącz, trafił jeno, całkiem nieszkodliwie w plecy królewskie. Zygmunt obejrzał się, wtedy Piekarski uderzył po raz drugi, raniąc króla od ucha przez policzek i brodę... Monarcha padł na ziemię. Pan Michał zamierzył się po raz trzeci, lecz idący za królem marszałek nadworny Łukasz Opaliński, uderzywszy go w ramię laską, oręż mu wytrącił. Równocześnie królewicz Władysław podążający w orszaku, szabli dobył i pierwszy ciał zamachowca po czerepie, ścinając mu kawał skóry.

Pochwycony przez straż szlachecką, męczon okrutnie, żadnych współspiskowców nie wyjawiał, plółł za to historyje o przyszłych losach Rzeczypospolitej, o jej zatriacie, rozbiorach, aż poszło od tych bają popularne w Polsce powiedzonko — „plecie jak Piekarski na mękach”. Stracono go w tydzień potem. Każn miał straszną. Pierw obwożono go na wózku pospołu z oprawcami i narzędziami tortur po rynku i ulicach Warszawy, po czym zaprowadzono go na rusztowanie osiem łokci nad ziemią wzniesione, gdzie kat ów czekan żelazny, którym zbrodzień na majestat się targnął, w rękę mu wsadził i razem z nią w żywy ogień wraził, a po spaleniu mieczem odciął. Następnie obcięto mu lewą kończynę, a później, wzorem wziętym z egzekucji zabójcy Henryka IV-go, Ravaillaca, czterema końmi, na cztery części rozerwany został. Szczątki zamachowca zostały spalone, a proch zeń powstały w działo nabito i wystrzałem rozproszono. Jego dwór w Bienkowicach, częściowo

odbudowany po pożarze został zrównany z ziemią, a warszawska fara, sprofanowana zabójstwem na dłuższy czas zamknięta. Wielkie plany Piekarskiego umarły wcześniej od niego. Świetne zwycięstwo Kłuszyńskie zostało przez Zygmunta zmarnotrawione. Tron Moskwy zajęli Romanowie, potomkowie patriarchy Filareta, ongiś gorliwego sługi Samozwańców. Następca Zygmunta IV-go, niedoszły Kremla władca Władysław IV nie zdołał okiełznać rosnącej samowoli magnaterii i zmarł w chwili, kiedy cała konstrukcja państwa przez Dom Jagiellonów wzniesiona, chwiać się zaczęła.

Zaś po całej szalonej koncepcji Piekarskiego, o której wiem tylko ja, pozostał jedynie przechowywany w Warszawie płat skóry wielkości talara, ciosem królewicza z głowy zamachowca odłupany. Wyznam jednak, iż nigdy nie zastanawiałem się, co by było, gdybym misję powierzoną mi przez pana Michała wypełnił?

* * *

I jest XXI wiek, Rosettina. Dom mój, rezydencja Aldo Gurbianiego. Jest też Mykoła jak żywy i ukochana żona moja, daremnie z jego łap usiłująca się oswobodzić. Niczego nie rozumiem i pojąć nie mogłem, jak człek ubity przeze mnie w wieku siedemnastym mógł znaleźć się tutaj, choć równocześnie brak śmiertelnej aury wokół Moniki dowodził, iż przynajmniej ona ujdzie żywa z tej opresji.

— Czego chcesz? — spytałem „Słowianina”.

Wzruszył ramionami.

— Lustra! To chyba jasne.

— Myślałem, że cię zabił, Mykoła.

Znów rehot.

— Powiadał ci chyba pan Piekarski, że przyszłość to ogród o rozgałęziających się ścieżkach, nie powiedział jednak, że istnieje nieskończona ilość bytów, w których rzeczy toczą się inną koleją, niż myślimy. W jednym ty zabijasz mnie, w drugim ja ciebie, w trzeciej jak komilitoni współdziałamy razem.

— Skąd jednak wzięłeś się tutaj, równie młody jak wówczas?

— Rodzinna tajemnica, il Cane. My nie rodzimy się. My się odradzamy, służąc tym, którzy i nam służą.

— Czyżbyś był diabłem?

— Różnie o mnie mówią, w mem rodzinnem Siedmiogrodzie, skąd za Batorego wstąpiłem na służbę do rodu Piekarskich, duby smalone prawią, że odżywiamy się krwią. Za to na Litwie, gdzie przez wiek przebywał, twierdzą, że umiemy pod postacią niedźwiedzia egzystować. Niemiaszki znów uważają nas za krzyżówkę człowieka z wilkiem...

— A jaka jest prawda?

— Nie po prawdę przybyłem, lecz po lustro.

Tu ścisnął mocniej Monikę, aż jęknęła.

— Cóż mam ci powiedzieć, Derossi zakopał je w lesie niedaleko Warszawy...

— Tyle też wiem. I sporo więcej, dwieście lat później odkopał ten skarb arendarz miejscowej karczmy, Wawrem zwanej. W jego rodzinie zwierciadło przeżyło po warszawskich mieszkaniach wiele pokoleń. W trakcie ostatniej wojny pozostało w ostatnim z nich, po wysiedleniu mieszkańców

do getta. Zabierano ze sobą przedmioty uważane za cenniejsze. Niedługo później pewien Włoch stojący tam kwaterą zabrał zwierciadło do Włoch.

Po jego śmierci przechodziło z rąk do rąk, wreszcie wylądowało na targu staroci w Rosettinie, gdzie przed rokiem nabyła je pewna kolekcjonerka antyków.

— Ja...? — wyksztusiła Monika.

— Wedle mych informacji tak, szanowna pani. Zdobyć ich zajęło mi sporo czasu, a gdym przybył tu osobiście, z powodu nieco porywczego charakteru popadłem w konflikt z miejscowym wymiarem sprawiedliwości.

— Jeśli chcesz, oddamy ci je — powiedziała Monika, nim zdołałem rzec słowo.

Oszołomiony tym stwierdzeniem Mykoła puścił ją.

— Nie będziesz nas więcej nachodził? — upewniała się moja żona.

— Parol kawalerski.

Przez galerię pełną szaf, sekreter, obrazów i tkanin, Monika zaprowadziła go do małej gotowalni urządzonej w stylu baroku. Zwierciadło w srebrnych ramach wisiało nieco z boku. Zabawne, nigdy nie zwróciłem na nie uwagi.

Mykoła tylko okiem błysnął, palcem po ornamentach przesunął.

— To ono! — stwierdził — Stokrotne dzięki. Od dziś jestem waszym dłużnikiem. Jeśli zawadza wam ktoś albo życycie komuś szybkiej i niespodziewanej śmierci, chętnie dopomogę.

— Dziękujemy, nie skorzystamy!

Patrzyłem, jak zwinnie przypina sobie lustro trokami do pleców, Monika milczała, żałując pewnie cennego artefaktu. Postanowiłem zapytać.

— A właściwie Mykoła, po cóż ci to zwierciadło?

— Po co? To wielofunkcyjne cudeńko, posiadając je i odpowiednio uzdolnioną dziewczinę, choć w waszych czasach o dziewczinę trudniej niż o lamparta jarosza, wiele można z nim zwojować. To klucz do wiedzy, a także bram ponad czasem i przestrzenią... a zresztą, za dużo chcielibyście wiedzieć.

Nie podtrzymałem rozmowy. Zbój jednak rzekł z własnej inicjatywy:

— Ponieważ nie wypada, abym z gołymi rękami się oddalił, ostawiam wam ten mały suvenir.

— Tu Monice wręczył jakąś małą książeczkę z za pazuchy wydobytą, po czym skłonił się nam i na swych pałakowatych nogach na taras podążył. Poszliśmy za nim, obserwując, jak bez lęku balustradę przesadza i na podobieństwo muchy, bez jakiegokolwiek asekuracji, po pionowej skale niestęchanie zręcznie się opuszcza.

Gdy zniknął nam z oczu, sięgnąłem do kieszeni po komórkę. Obywatelski obowiązek nakazywał telefon do karabinierów. Mykoła z lustrem stanowił zagrożenie jeszcze większe niż bez lustra. Przed zadzwonieniem powstrzymała mnie Monika.

— Nim zatelefonujesz, powinieneś wiedzieć jedno. Kiedy kupiłam lustro, było w opłakanym stanie.

— Wiem, wyczyściłaś ramę...

— I wymieniłam taflę na nową, zamówioną specjalnie w hucie w Murano, pięknie postarzoną... Ale chyba bez magicznych właściwości. Miejmy nadzieję, że ten straszny człek długi czas brak skuteczności lustra będzie przypisywał nie taflę, lecz kiepskiej jakości dziewczic.

Uściskałem Monikę, woląc nie myśleć co będzie, gdy Mykoła podmiany się domyśli.

— A co się stało z oryginałem?

— Muszę pomyśleć, jeśli nie wyrzuciłam, pewnie poniewiera się gdzieś na strychu.

Zamknąłem drzwi od tarasu, lecz zanim zadzwoniłem do kapitana by wspomnieć mu o znalezieniu

zwłok Corrada, przyjrzałem się jeszcze książeczce wręczonej Monice.

Była to typowa składanka pocztówek, wydana w Warszawie w roku 2002.

Przypadkowo byłem tam latem z pielgrzymką krzyżobłękitnych przy okazji kolejnej wizyty papieskiej. Nie przypominałem sobie jednak takiej mnogości wieżowców, mostów, rozjazdów i pałaców. Na zdjęciach wszystko wydawało mi się nieporównanie większe, wspanialsze... Znajome wydało mi się tylko parę zdjęć Starego Miasta, a szczególnie kolumna górująca nad placem koło zamku. Chociaż...

Jeśli dobrze pamiętałem, w lipcu stał tam król z mieczem i szablą, a tu...

Pochwyciłem lupę.

Mąż na pomniku miał dłonie puste, jedną skierowaną ku wschodowi, drugą ku górze. Nie zgadzała się również data umieszczona na pomniku. Ten z pocztówki postawiono dopiero w roku 1675. W rok po śmierci przedstawionego na nim bohatera. Napis na płycie głosił „Największemu i najlepszemu z Kanclerzy Rzeczypospolitej — Władysław V, z Bożej Łaski Król Polski, Moskiewski, Ruski, Pruski, Litewski, Szwedzki, Czeski, Węgierski, Grobu Chrystusa Opiekun, Cieśnin Konstantynopolitańskich Protektor, Ligi Wszej Europy Honorowy Przewodniczący”

Powróciłem ku twarzy pomnikowego herosa. Dziwnie jakoś znajomej.

— To ty? — zapytała, zabierając mi lupę żona. — Nieźle wyszedłeś. Tylko co ty tam robiłeś, że aż tak cię uhonorowano?

Oślupiały czytałem wiersz anonimowego XIX wiecznego poety, podpisany pod współczesną fotografią:

Co nam zdrady, jest u nas kolumna w Warszawie, Na której usiadają podróżne żurawie...

KONIEC

(albo nawet początek zupełnie innej historii)

Krzysztof Kochański

Europa po deszczu

Pod koniec XX wieku dziura ozonowa znad Antarktydy zaczęła rozszerzać się nad tereny południowej Afryki. Kilkadziesiąt lat później przekroczyła Zwrotnik Koziorożca, docierając nad obszary tropikalnej dżungli. Dla pewnego słabo zbadanego gatunku światłolubnych lian okazało się to nadzwyczajnym ewolucyjnym przełomem.

Ale nie o tym jest ta opowieść.

Nie tam jej CZAS.

I. Szlak na Suwałki

1

Rozstawił satelitarną antenę i połączył się z Monachium. Gdy stacja meteorologiczna potwierdziła przemieszczanie się niekorzystnego frontu atmosferycznego, niezwłocznie złożył osprzęt i wysłał impuls do pagerów. Rozproszone na szlaku stado przyspieszyło. Najsilniejsze osobniki już były przy nim; rozsiadły się i wystawiały na ostatnie promienie słońca, zanim schowa się za nadciągającymi ciężkimi chmurami. Egzemplarze słabsze, bądź po prostu leniwe, jeszcze wlokły się bezdrożem, podążając ku przewodnikowi. Jak dotąd nie popędzał ich, ale teraz sytuacja się zmieniła. Trzeba Poszukać schronienia.

Zatrąbił ponagłajaco, przeliczył nadbiegające sztuki, analizując w międzyczasie chronometryczną mapę. Nie znalazł niczego. Niedobrze. Przetawił bramkę mapowego timera, potem raz jeszcze i wreszcie na coś trafił. Jakieś miasteczko. W dość dalekiej przeszłości, lecz całkiem blisko jeśli chodzi o przestrzeń geodezyjną. Powinno się udać.

— Będzie burza — oznajmił, gdy wreszcie dotarli do niego wszystkie osobniki. Trzydzieści osiem sztuk. Całkiem pokaźne stado.

Zaledwie na kilku twarzach pojawił się strach; reszta zachowała obojętność.

— Znalazłem kryjówkę — kontynuował — ale musimy się pośpieszyć. Jeśli nikt nie będzie marudził, za godzinę dotrzemy do celu. Gotowi?

— Gotowi! — potwierdzili zgodnie. Ci, którzy nie umieli mówić, pokiwali znacząco głowami. Nawet jeśli nie wszyscy go zrozumieli, instynkt stadny powinien im pomóc.

— Niech każdy dobrze się pilnuje. Przez tę godzinę będę bardzo zajęty i nie znajdę dla was czasu — pouczył jeszcze i uruchomił silniki, przełączając sprzęgła na szybką jazdę terenową. Podążył naprzód, machając uspokajająco do pozostających w tyle dzieciaków. Kilkoro odmachało mu z entuzjazmem. Ogólnie stado nie wyglądało na zestresowane. To dobrze.

Na równinie morze traw falowało aż po horyzont. Zostawiał za sobą wyraźny, lekko przeorany ślad, żeby dzieciaki nie pogubiły się. Trawa nie była zbyt wysoka, więc nie powinna specjalnie przeszkadzać w marszu. Ale chmury systematycznie gęstniały. Napływały z południa, gnane podniebnym wichrem, który tu, na dole, na razie był jeszcze ledwie wyczuwalny. Chmury południa są najgorsze, ponieważ przynoszą najwięcej wyładowań.

Gdy dotarł do punktu wskazanego przez chronometryczną mapę, jeszcze nie padało, ale jemu dojazd zajął zaledwie dziesięć minut. Teren nie był najłatwiejszy, sporo dołów i rowów, więc obawiał się, że zapowiedziana jedna godzina drogi może dzieciakom nie wystarczyć.

Szkoda byłoby któreś utracić w tak banalny sposób.

Jeszcze raz ocenił współrzędne położenia. Zgadzały się. Naokoło, we wszystkich stronach świata, jak okiem sięgnąć, ten sam monotony krajobraz traw uspokajał zielenią i nic nie wskazywało, iż niegdyś w miejscu tym ludzie mieli swoje siedziby. Może gdyby pokopać, znalazłyby

się jakieś ślady. A może i nie. Wszystko tak się wymieszało.

Ponownie rozstawił menisk anteny, w zamiarze połączenia się z Monachium. Nie od razu się udało, widać Żywozon musiał być gęstszy w tym miejscu i blokował dostęp do stacjonarnego satelity. W końcu jakoś się udało, choć łączność była słaba, a sygnał co chwila zanikał w trzasku zakłóceń. I tak dobrze. Bywało, że zalegający w górnych warstwach atmosfery Żywozon w ogóle nie pozwalał na nadawanie.

Złożył zwięzły raport o sytuacji i otrzymał formalną zgodę na pomiar. Formalną, bo zarówno on, jak i Miasto dobrze wiedzieli, że i tak robi swoje. Tu, w stepie, on sam był Miastem.

Uruchomił laser, którym wypalił okrąg o średnicy około dwunastu metrów, mierząc dookoła siebie, gradus po gradusie, aż zamknął czterechsetnym. Wyschnięta trawa próbowała zająć się ogniem, ale natychmiast zgasił płomień rozpyloną wodą. W kranie wody zawsze było pod dostatkiem. Nie trzeba było oszczędzać.

Przez chwilę jeszcze rozgrzana ziemia syczała jak żywy organizm wypluwający mgiełkę pary wodnej. Dokonał kontrolnego pomiaru, stwierdzając, że środek okręgu znajduje się zaledwie piętnaście centymetrów od wyznaczonego miejsca. Wystarczająco precyzyjnie. Sześciometrowy promień wydawał się bardzo duży, ale te pięćdziesiąt siedem metrów kwadratowych to absolutne minimum, żeby bezpiecznie pomieścić całe stado.

Powbijał w ziemię helowe elektrody, uważnie, jedna za drugą, na wypalonej krzywej okręgu. Utworzyły niski płótek, sto osiemdziesiąt dwie sztuki ustawione w zgrabne koło, może wystarczyłoby dziesięć mniej, ale brakowało czasu na precyzyjniejszy pomiar odległości między nimi. Nie stać go było na takie ryzyko. Nie mówiąc już o stracie wszystkich wykorzystanych elektrod.

Oddalił się nieco od brzegu, ku środkowi generowanego obszaru i odpalił zapalnik. Wzbogacane He3 pręciki wybuchały z cichym pyknięciem, strzelając żółtym, siarkowym płomieniem. Roztopiały się kolejno, jeden za drugim, w mikrosekundowych odstępach, niczym pchane zasadą domina i w niecałe cztery sekundy było już po wszystkim. Uwolniony He3, choć w śladowych ilościach, skutecznie skaził wybrany obszar, zalegając drobinami o przyzwoitym czasie połowicznego zaniku. Wyłącznie w obszarze skażenia możliwe było przywołanie fragmentu egzotycznej czasoprzestrzeni.

Uczył to. Wdarł się w czas miniony, rozdzierając continuum.

Czekał w kompletnej pustce. Do żadnego z receptorów nie docierał choćby ślad sygnału. Wszechświat zniknął, poza nieustającym deszczem wsędobylskich neutronów, których widać nawet nicość nie jest w stanie powstrzymać. Poza tym, absolutna cisza. Absolutna ciemność.

Aż świat powrócił. Zupełnie nagle, w jednej chwili. Jakby był tu zawsze, co w zasadzie było prawdą.

Miał szczęście, wpasował się we wnętrze jakiegoś budynku. Przecież mogła to być ulica, jakiś plac, których w każdym mieście bez liku i trzeba by powtarzać proces, na nowo wypalać okrąg, wbijać elektrody. A czasu pozostało niewiele. Wycofał się, powrócił w terażniejszość — dopóki było to jeszcze łatwe — i przesunął się, precyzyjniej parkując w centrum wyznaczonego pogorzeliem kręgu. Zrzucił bagaż, dla dzieci niezbędny do przeżycia — przede wszystkim kran, żywność i leki.

Potem zaczął się przekształcać.

Nie starczyło masy na cały obiekt, mimo iż wnętrze ścian wypełniało powietrze, ale najważniejsze, że udało się uzyskać strop nad parterem, żeby nie lało się na głowę, wyżej wystarczą filary, do więźby dachowej, byle miała do czego przyczepić się instalacja odgromowa.

Skontrolował czas. Minęła właśnie godzina, odkąd rozstał się z dziećmi. Za późno na próbę z innym obiektem. Trudno. Musi pozostać jak jest.

Nadbiegło pierwsze dziecko, zdyszane, spocone. To Rudi — jak zresztą można było się spodziewać, najczęściej bywał pierwszy — wyrosnięty, silny dziesięciolatek, mistrz wszelkich sportowych konkurencji. Za nim kilku następnych. Przybiegali przeważnie dwójkami, czasem trójkami, tak jak zazwyczaj łączyli się w grupy przyjaciół, a to oznaczało, że nie wpadli jeszcze w panikę.

Liczył nadchodzących. Każde dziecko miało identyfikacyjny pager, niestety, pozostając w przekształceniu nie potrafił ich zlokalizować. Przy dwudziestym dziewiątym dziecku usłyszał grzmoty, przy trzydziestym siódmym, pierwsza błyskawica przeszła niebo. Niewielu jeszcze pozostało na zewnątrz, gdy spadły pierwsze krople deszczu. Brakowało jednego chłopca i sześciu dziewczynek. Chłopiec nadszedł jako trzydziesty drugi. Choć sam ledwie trzymał się na nogach, przyprowadził ze sobą aż cztery zapłakane, zziębnięte rówieśniczki. Jedną mieszczącą się w normatywie i trzy niepełne, którymi natychmiast zajęły się pozostałe dzieci, wzięty pomiędzy siebie, przytuliły. Brak miejsca akurat działał tu na korzyść. Trzydzieści sześć. Jeszcze dwoje. Obawiał się, że już nie zdążą.

Jakoba, chłopca który przyprowadził cztery ostatnie dziewczynki, przerzucił na pierwszą pozycję listy powrotów. Dotąd, właściwie od samego początku, był na niej Rudi, który — siłą rzeczy — spadł teraz na drugą lokatę.

Był zaskoczony postawą Jakoba. Dzieciak na liście powrotów był dopiero czwarty. Dopiero — zważywszy, że dwudziestu sześciu w ogóle na niej nie umieszczał. Byli niepełni. Ale i ci niepełni mieli swoją listę. Tyle, że na niej imiona wypisane były w odwrotnie narastającej kolejności i w żadnym wypadku nie była to lista powrotów. Pierwszą pozycję zajmował na niej Amadeus, otyły Jedenastolatek z rumianą buzią.

Nie po raz pierwszy miał okazję przekonać się, że dzieci bywają nieprzewidywalne. Lista powrotów ewoluowała przez cały czas podróży. Mógł wrócić do Monachium z wybranym dzieckiem, jeśli uzna, że jest ono tego warte. Jak dotąd, tylko jeden raz nie skorzystał z tego prawa i było to wyjątkowo ofermowate stado. Prawie sami niepełni. W Monachium żyło już dziewięcioro dzieciaków z jego listy, które odbyły podróż w obie strony. Siedem dziewcząt i dwóch chłopców. Oczywiście większość z nich dawno już przestała być dziećmi. Niektórzy nawet przestali być ludźmi.

Gdzieś niedaleko uderzył piorun. Dzieci przykucnęły, skuliły się, kilkoro zapłakało, ale zaraz ucichły. Czekają. On również. Po dziesięciu sekundach z kosmosu spadł pocisk. Nie miał pojęcia, jak to się dzieje, że tych pocisków nigdy nie brakuje. Przez dziesiątki lat ogrom burz, miliony atmosferycznych wyładowań, a z okołoziemskiej orbity wciąż spada śmiertcionośna odpowiedź. Jakby kosmiczny arsenał był niewyczerpalny. Nie wiedział jak to możliwe i czy w ogóle nadejdzie taki dzień, gdy zabraknie amunicji.

Ale nie był to jego problem. Miał swój. Już był pewien, że te ostatnie dziewczynki, trzydziesta siódma i trzydziesta ósma, nie przybędą. Być może żyją jeszcze, a ich ostatnie minuty nieubłagany los wypełnia koszmarem. Czy są razem, czy też samotnie wykrzykują swoje przerażenie? Odrzucił wizję oszalałej istoty, zagubionej wśród traw, smaganej zimnym deszczem, skulonej niczym embrion, gdy pociski orają wokół ziemię i topią ocalałe jeszcze kamienie. Kamieni jest bez liku, zawsze jakieś pozostaną. W odróżnieniu od ludzi.

Odrzucił tę wizję. Już pora. Zamknął bryłę przekształcenia.

Natychmiast wszystko ucichło. Cisza. Dzieci z wolna podnosiły głowy.

— W skrzynce aptecznej jest aspiryna — poinformował. — Kto czuje się zziębnięty, niech weźmie tabletkę. Jedną — zaznaczył dobitnie — i żadnych innych leków póki się nie odezwę, nie znacie się na tym. Woda wyłącznie z kranu, jedzenie tylko ze skrzyń pomarańczowych.

Byli tylko dziećmi. Wymagającymi ciągłej kontroli, mimo imperatywu posłuszeństwa.

— Zostawiasz nas, Tato? — zapytał Rudi.

— Na krótko — odparł. — To konieczne. I nie bójcie się, zostawiam was, ale równocześnie przez cały czas będę z wami.

Nie była to prawda. Pozostawiał im tylko swą masę, przekształconą w zagubioną czasowo konstrukcję, fragment budynku wydartego przeszłości. Pozostawiał nie siebie — jego energia musiała odejść. Aby utrzymać przekształcenie do końca trwania burzy, potrzebna była nie tu, lecz w czasie tak odległym, że Europa nie wiedziała jeszcze co to deszcz.

W innej sytuacji miałby pewne — nawet całkiem spore — szansę na powrót, lecz tutaj musiał zapewnić długotrwałą stabilność. Trudno było nawet określić jak długotrwałą. W tym celu będzie musiał zapewne dokonać konwersji własnego przekształcenia. Powtórzyć je, gdzieś tam, w czasie x. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Potem odwrotne złożenie tego wszystkiego do kupy nie było możliwe.

Nie widział potrzeby, żeby martwić dzieci informacją, iż nigdy pewnie nie wróci. Że przeszłość to nie tylko wspomnienia i jeśli zabrniesz w nią zbyt daleko — zostajesz tam na zawsze. A on był dalej, niż słowo „zbyt”. O wiele dalej.

Nie widział potrzeby, żeby im o tym mówić, gdyż pewnie niewiele by zrozumiały, a gdy będzie już po wszystkim i tak tego nie zauważą. Będą sądziły, że dotrzymał słowa i że wciąż jest z nimi.

W pewnym sensie będą miały rację.

2

— Tata powiedział, że po jednej — przypomniał Rudi, kładąc pastylki aspiryny na wyciągnięte, chude dłonie.

— Jestem głodna — powiedziała Ute.

— Ja też — zawtórowało jej kilka głosów.

— No nie wiem, Tata...

— Powiedział, że żarcie jest w pomarańczowych skrzyniach — wtrącił Jakob. — Wszyscy słyszeli. Nie powinieneś tak się rządzić, Rudi.

— Bo co?

— Bo rządzi tylko Tata. Nie przypominam sobie, żeby zrobił cię zastępcą szeryfa.

Rudi nie odpowiedział. Rytmicznie ścisnął szczęki, jakby przeżuwał jedzenie. Wstyd było się przyznać, że nie wie kto to szeryf, choć pewnie reszta też nie miała pojęcia, poza Jakobem, który wiedział wiele różnych rzeczy, fakt, ale poza tym był cienki jak patyk, wystarczyło pyknąć palcem, żeby rozłożył się i więcej nie wstawał. Zresztą sprawdzone — Rudi nie raz go pyknął.

Ale nie tym razem. Prawdę mówiąc, tym razem Rudi też się bał, jak wszyscy. Nie dość, że na zewnątrz trwa wojna, to jeszcze Tata zostawił ich samych. Uprzedzał, że tak będzie, ale przecież nie teraz, miało to nastąpić dopiero w Suwałkach. Gdy przygotowywali się do podróży, Tata nie raz przypominał, że prawdopodobnie nie unikną burzy, wyjaśniał, czym jest wojna, lecz nie wspominał, że ich zostawi.

Ktoś rozbił jedną z pomarańczowych skrzyń i wysypały się woreczki z planktonem. Woda była w kranie, jak zwykle. Z wodą nigdy nie było problemów. Jak powiedział kiedyś Tata: woda jest wszędzie, nawet w powietrzu. Czasem brakowało planktonu.

— Myślałam, że wojna jest straszna — powiedziała Greta, mieląc w ustach planktonowe płatki.

— A tylko trochę zmokłam.

— Idiotka — skomentował Karl. — Nic nie wiesz. Nic nie widzisz, bo jesteśmy w środku Taty. Na dźwięk imienia, ktoś zawołał Tatę i zapłakał, nie doczekawszy się odpowiedzi.

— Zamknijcie tę głupią gęś! — zawołał Rudi.

— Nie płacz, Ute — Jakob podszedł do dziewczynki. Była to jedna z tych, które ściągnął w ostatniej chwili do schronienia. — Karl ma rację. Jesteśmy w środku Taty. To on stworzył ten dom. Czy ktoś, kto potrafi stworzyć taki dom, nie poradzi sobie z wojną? Pomyśl, dziewczyno.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Rety! — zawołał z drugiej strony pomieszczenia Herman. — Czuby rzygają!

Czuby to ci, którzy nie mówią. Którzy przewracają śmiesznie oczami, czasami toczą pianę z ust i ledwie rozumieją, co się do nich mówi. W grupie było dwadzieścia sześć czubów. Zdecydowana większość.

— Za dużo zezarli — powiedział Herman, krzywiąc się z odrazą. Mimo tłoku odsunął się, najdalej jak mógł.

— Nie mogłeś przypilnować? Przecież wiesz, jacy są!

— A ty nie mogłeś!?

Jakob zaczął się śmiać.

— Czego rżysz? — zapytał Rudi.

— Jak zaczną srać, będzie gorzej. My też będziemy.

— I to jest takie śmieszne?

— Nie. I dlatego się śmieję.

Rudi popukał się wymownie w czoło.

I wtedy ze ściany wyszedł duch.

Żadne z nich nigdy dotąd nie widziało ducha, choć Szkoła uprzedzała, że istnieją.

Był wysoki i gruby. Oczy miał przesłonięte dwiema grubymi szybkami, połączonymi ze sobą drucianą konstrukcją, zawiniętą aż na uszy. Wyglądał jak niedorozwinięty, bo brodę i policzki pokryte miał gęstymi włosami. W dodatku włosy miał również na głowie, co widzieli po raz pierwszy w życiu.

Mężczyzna przeszedł przez zbite w gromadkę czuby — przeniknął przez nich niczym nóż przez wodę — dotarł do bocznej ściany, zakasał rękawy, sięgnął po coś, w próżnię i zaczął zacierać ręce, jedna o drugą, jakby było mu zimno.

Wszystkie dzieci, nawet czuby, patrzyły zdumione.

— On się myje — zrozumiał Rudi.

— Kartka — szepnął Jakob.

— Co?

— Na plecach ma kartkę.

— Co z tego?

— Podobno umiesz czytać, kretynie!

Do Rudiego nie dotarło, że Jakob nazwał go kretynem. Może dlatego, że natychmiast — choć w czytaniu nie był asem — odszyfrował ostatni wyraz z kartki. Wielki podpis: TATA.

Duch wyprostował się i odwrócił. Był na wpół przeźroczysty i wszyscy widzieli odwrotną stronę przyklejonej do pleców kartki.

— O rety! — podskoczył Jakob. — Co tam jest napisane? Co jest napisane!?

Dał susa naprzód, za nim Rudi, potknęli się, przetoczyli przez nogi ducha.

Jakob natychmiast zerwał się na nogi, przylepił twarz do liter, postępując krok w krok za odchodzącym mężczyzną, sylabizując wyrazy.

— Odsuń się! — wrzasnął Rudi. — Czytam lepiej od ciebie!

Duch dotarł do miejsca, w którym się pojawił, wszedł w ścianę i zniknął, a wraz z nim kartka.

— I co!? — krzyczał Rudi. — I co!? Co pisał Tata?

Jakob z przymkniętymi powiekami składał słowa.

— Nie... — rzekł w końcu. — Nie wiem.

— Niech Amadeus otworzy czarną skrzynię — odezwała się nieoczekiwanie Ute.

Zaskoczeni spojrzeli na nią, a potem po sobie.

— Tak było napisane na tej kartce. To chcieliście wiedzieć, prawda? — powiedziała i powtórzyła zdanie o Amadeusie i czarnej skrzyni.

Podeszli do sterty równo ułożonych, metalicznych sześcianów.

— Czarna jest tylko jedna — zauważył Jakob po dokładnych oględzinach. — Prawie na samym spodzie.

Wzięli się do roboty. Zagonili do pracy kilku wyrosniętych czubów i wkrótce jakoś wydostali czarny pojemnik. Jeden z bliźniaków, Lothar, przygniół sobie przy tym nogę i teraz popiskiwał cicho w kącie. Tylko popiskiwał. Był czubem, a oni nie czują tak bardzo bólu. Jego brat obejmował go pocieszająco.

— Gdzie ten Amadeus? — zapytał Jakob.

— Zarzygał się i zasnął — odparł Herman.

— To może ja otworzę? Spojrzeli na Jakoba z ciekawości.

— Tata napisał, że ma to zrobić Amadeus — zauważyła Ute.

Jakob bez słowa położył dłonie na wierzchu czarnej skrzyni. Trzymał je tak przez chwilę, a potem wyprostował się. Wybuchnął śmiechem: — Żartowałem.

— Hej, Amadeus, wstawaj!

Jakob nie żartował. Sam był zaskoczony, że coś takiego przyszło mu do głowy, przecież dobrze pamiętał kogo wyznaczył Tata. Wiedział nawet, że Ute nie pomyliła się odczytując napis: teraz, gdy już znał jego treść, wyraźnie przypominał sobie imię grubego czuba w tekście.

Amadeus przepchnął się przez odgradzające go dzieci.

— Tata kazał to otworzyć — powiedział Rudi, akcentując wyraz Tata i pokazując na odsuniętą na bok skrzynkę.

Amadeus skinął głową i wyciągnął obie ręce ku olistwowanym krawędziom. Wprawnym ruchem zwolnił zapadki. Umiał to robić, każde dziecko umiało; takich i podobnych czynności uczyła Szkoła. Uchylił wieko.

Ze środka wyskoczył dżin. Dżin był obłokiem białego dymu, który zawirował wokół głowy Amadeusa, owinał całunem całą postać chłopca i w ułamku sekundy wystrzelił w górę, pod sufit. Przebił go i przepadł. W tej jednej chwili, nim się rozwiął, usłyszeli łoskot trwającej na zewnątrz wojny, krótki zgrzyt, jak uderzenie kamieniem, i cisza.

Cisza.

Nikt nie śmiał nawet odetchnąć.

Amadeus zniknął, a skrzynia była pusta.

Przemierzał szlak od wielu godzin, w pośpiechu, a satelita wciąż wysyłał sygnał naprowadzający; o wiele częściej niż tego potrzebował. Monachium martwiło się o swoją przesyłkę. O stado ze szlaku na Suwałki.

To w poszukiwaniu stada przemierzał teraz wypalony do gołej ziemi obszar. Było płasko, jak na spokojnym oceanie, tyle że wody nieoczekiwanie zmieniły barwę na czarny mat. Chłonał ten widok z uczuciem niepokoju, bo chociaż był tylko niewielkim odpryskiem Miasta, mechanicznym palcem zdolnym do samodzielnego działania, to przecież w niczym nie umniejszało to jego wrażliwości. Był Tata, jednym z zaledwie kilku posiadanych przez Monachium, a mało której maszynie wrażliwość była potrzebna tak jak jemu.

Odpowiedział na kolejny natrętny sygnał satelity i dla świętego spokoju skorygował kurs o ułamek radiana. Jakby na tej bezkresnej równinie miało to jakieś znaczenie. Zawsze było płasko, ale gdy wojna wyniszczyła trawy, było to zdecydowanie bardziej widoczne. Podejrzewał, że miarą wojennego sukcesu jest ilość zrównanej ziemi. Oczywiście, iż największym osiągnięciem byłoby zrównanie z ziemią wszystkiego. Całej planety. Ale bojowe satelity nie są w stanie dobrać się do przeszłości. Nieliczne Miasta, które opanowały sztukę symbiozy z czasem minionym, dla kosmicznych arsenałów są nieosiągalne. Jak usłyszał kiedyś dowcipnie w Barcelonie: one myślą, że nas już nie ma.

Dziś Barcelony nie ma już naprawdę.

Któregoś roku wysiadł układ energetyczny Miasta. Prawdopodobnie awaria była do usunięcia, każda awaria jest do usunięcia, lecz Barcelona nie posiadała własnego satelity — w ogóle oprócz Monachium posiadał go tylko Kijów i Wędrujące Miasto Spitsbergen — więc zanim wiadomość dotarła do odległych sąsiadów, było już za późno na pomoc. Silna, letnia burza zahaczyła o zachodnią krawędź Europy. Bojowe satelity, niewidzialne na swych wysokich orbitach, milczące póki energetyczne wyładowania nie zbudzą ich ze snu, rozpoczęły swoją wojnę.

Nikt nie był w tamtych stronach od owego czasu, nie było po co. W iberyjskim rejonie Europy Barcelona była ostatnim Miastem.

Cel wyprawy wyłonił się wprost przed nim, odległy o 3,14 km. Dokładnie o tyle, ile wynosił zasięg jego optycznych soczewek. Poruszał się z prędkością do dwudziestu kilometrów na godzinę, więc w niespełna kwadrans później stanął przed wciąż pozostającym w przekształceniu Tata VII. Fragment odtworzonego budynku był większy, niż się spodziewał. Opiekun wykonał kawał solidnej roboty.

Wysunął podnośniki i wychylił własną konstrukcję w stronę obiektu, dość sporo od poziomu, aby nie przewróciła go energia przejścia. Trzy manipulatory, zakończone gniazdami ujemnego voltażu, przylgnęły do widmowej ściany. Tworząc kształt równoramiennego trójkąta wyglądały, jakby wisiały w powietrzu — taki pozostawał kontrast między nimi, a materią dalekiego wymiaru.

Samo przejście Taty VII trwało moment. Gdy urwał się kontakt z przeszłością, cała budowla rozpląnęła się, niczym gwałtownie podgrzana kostka lodu. To co z niej pozostało, było poskręcanym złomem, pełnym opiłków, tworzących niewielki wał na obrzeżach okręgu wyznaczającego wcześniej granice kontaktu dwóch rzeczywistości. Ze spalonych izolacji unosiły się smużki dymu. Lecz tuż wcześniej Tata II był razem z tym drugim: odległym o pięć numerów i kilkaset lat. Czas kontaktu nie dał się zmierzyć nawet w milisekundach, ale był wystarczający, żeby elektroniczny umysł Taty II przejął priorytetowe informacje.

Uwolnione stado zbiło się w gromadkę. Osobniki rozglądały się wokół zaskoczone, przestraszone

i jednocześnie zaciekawione. Dzieci. Mrużyły oczy, porażone nagłym błyskiem słońca — przekształcenie przepuszczało nieco światła, jednak sfera Schwarzschilda odbijała większość fotonów.

— Tata! — krzyknął ktoś.

— Jestem — odparł.

Nie przypuszczał, żeby którekolwiek było w stanie zorientować się, że nie jest tamtym Tata. Kilkoro chłopców weszło na niego, czepiając się o występy. Znosił to, gdyż uznał, że należy się im chwila wytchnienia.

Zinwentaryzował stado i przywołał pierwszą trójkę z listy powrotów: Jakoba, Rudiego i Ute. Z informacji przejętych od Taty VII wynikało, że powinno brakować dwóch dziewczynek, tymczasem nie do końca była to prawda.

— Co stało się z Amadeusem? — zapytał.

Opowiedzieli mu o duchu i dżinie z czarnej skrzyni.

Zrozumiał i wykreślił chłopca z listy niepełnych. Żaden żywy organizm nie przetrzyma przekształcenia.

Załadował skrzynie oraz kran, rzeczy, które dostały mu się w spadku. W skrzyniach pozostało jeszcze sporo artykułów, które z pewnością wykorzysta. Nie potrzebował tego kranu, miał własny, ale było to zbyt cenne urządzenie, by je zostawiać. Dzieci, zwłaszcza te niepełne, domagały się zabawy, więc zagrał z nimi w palanta, potem wyemitował kilka prostych bajek i wreszcie obwieścił, że czas maszerować dalej. Wtedy okazało się, że są głodne. Nie była to pora posiłku, lecz — zważywszy na wcześniejsze przeżycia — zdecydował się im ulec.

Właśnie rozdał plankton, kiedy miało miejsce pierwsze tąpnięcie. Było delikatne, ledwie zarejestrowane przez sejsmografy, dzieciaki nawet nie zauważyły, ale zaniepokoił się. Po chwili tąpnięcie powtórzyło się. Za kolejnym razem dokładnie przeanalizował sejsmowykresy. Nie mylił się.

— Zbiórka! — obwieścił. — Wymarsz alarmowy.

Skupiły się przy nim w musztrowej formacji: opiłki przyciągane magnetyczną siłą. Większości obojętna była przyczyna alarmu — ich umysły nie potrafiły przenieść w realia abstrakcyjności informacji o zagrożeniu — ale kilkanaście par oczu wpatrywało się w niego wyczekująco.

— Wysłannicy Bunkra! — poinformował tę mniejszość. — Nie bójcie się. Zdamy. Są jeszcze daleko.

Nie bały się. Bo Tata tak powiedział.

— Ruszamy! — zakomenderował i pierwszy ruszył w drogę.

— A żarcie! — zawołał Rudi, z buzią pełną planktonu.

— Zostawiamy. Wszystko zostawiamy. Natychmiast za mną.

Były zdyscyplinowanym stadem. Bez zwłoki pobiegły za przewodnikiem, choć ten — na wszelki wypadek — podyktował dość szybkie tempo.

Zapewne wysłannicy Bunkra przybywali zwabieni przekształceniem. Niewykluczone, że przebicie się z głębi litosfery zajmie im trochę czasu, ale wołał na to nie liczyć. Właściwie nie wiadomo o co chodzi tym, których wysyłał Bunkier, nigdy nie było tego wiadomo, ale jedno pozostawało pewne: należy ich unikać. Pewnie dzieciom nic nie zrobią, rzadko się nimi interesowały, ale maszyny muszą się mieć na baczności. Szczególnie tak złożone i cenne jak Tata.

— Dlaczego uciekamy przed tymi z Bunkra? — zapytał nieoczekiwanie chłopiec imieniem Jakob. Szedł tuż obok, może zbyt wąty jak na swój wiek, ale wygimnastykowany, z prawidłową koordynacją ruchów.

— Uważaj! — ostrzegł go. — Każde moje koło to siła półtorej tony. Nie wolno podchodzić tak blisko.

— Przecież je wyłączyłeś — chłopiec wzruszył ramionami.

Była to prawda: w takim terenie, przy tak wolnym tempie marszu, tylko cztery spośród szesnastu kół było w użyciu.

— Nie bądź taki przemądrzały — skarcił rutynowo. Wyłącznie rutynowo. Praktyka wskazywała, że z tych przemądrzałych bywało najwięcej pożytku.

— Dlaczego uciekamy? — Jakob ponowił pytanie.

— Nie uciekamy — sprostował. — Po prostu schodzimy im z drogi. Musimy dotrzeć do Suwałk.

— Są niebezpieczni?

— Dla mnie.

— A dla nas?

— Raczej nie. Jeśli nie wejdziecie im w drogę. Ale gdyby mnie zabrakło, nie przetrwalibyście długo, dlatego można powiedzieć, że są niebezpieczni i dla was.

Chłopiec zamrugał nerwowo powiekami i pokiwał ze zrozumieniem głową. Musieli zwolnić, gdyż kilkoro dzieci zostało nieco z tyłu. Przywołał je do Porządku.

— Bunkier chce cię zniszczyć? — podjął Jakob. — Chce toczyć z tobą wojnę?

— Ze mną nie można toczyć wojny — wyjaśnił cierpliwie. Początkowo zamierzał przerwać tę rozmowę, ale chłopak był pierwszy na liście powrotów. Monachium zawsze zalecało cierpliwość dla pierwszych z listy. — Nie umiem walczyć. Umieję tylko się bronić.

— Ale nie przed nim.

— Nie przed Bunkrem — zgodził się. — Żadna maszyna nie przetrwała spotkania z jego wysłannikami. Czy Szkoła tego nie uczyła?

— Uczyła. Pamiętam. Maszyny znikają. Za każdym razem. Dzieci czasem też. Ale co innego pamiętać lekcję, a co innego zetknąć się z tym naprawdę.

Przez następnych kilka minut Jakob milczał. Zwolnił nieco kroku, a na jego twarzy odbijał się wysiłek; ciężar z jakim zmagał się dziecięcy umysł. W pewnym momencie ponownie wyrównał do jadącego jednostajnym tempem Taty.

— Gdybyśmy zostali, moglibyśmy przekonać się, jak naprawdę groźny jest Bunkier — rzekł.

— Nawet o tym nie myśl!

— Jednak...

— Nie myśl!

— Dobrze. Już nie myślę.

Do wieczora zrobili sześć kilometrów. Nie dało się więcej, ale tyle powinno wystarczyć, żeby ustrzec się przed spotkaniem z wysłannikami Bunkra, którzy niechętnie poruszali się po powierzchni. Wiadomo było, iż woleli nie oddalać się od kretów, które — jak pokazywały zdjęcia satelitarne — zawisały w otwartym wykopie, najwyraźniej nie będąc w stanie rozstać się ze światem podziemi.

Stado zjadło ostatni tego dnia posiłek, a potem Tata rozdmuchał trzy namioty, do których dzieciaki rozbiegły się z radością, każdy zgodnie ze swoim przydziałem. Prawie wszystkie posnęły od razu.

Prawie wszystkie.

— To nie jest nasz Tata — powiedział Jakob do Rudiego.

— No coś ty!

Leżeli w ciemnym namiocie, na zespolonych z podłożem materacach. W górze szumiał jednostajnie wentylator.

— Mówię ci, to nie jest ten sam Tata — powtórzył Jakob. — Przez cały czas szedłem obok niego i dokładnie się przyjrzałem. No i mówi jakoś inaczej. Głos niby ten sam, nie wiem jak to określić, ale po prostu mówi inaczej.

— Dla mnie wygląda tak samo — rzekł w ciemność Rudi.

— Tata miał prawą stronę z nieco większym połyskiem niż lewą, mówił, że to ślad po wymianie poszycia. A pamiętasz koło numer jeden?

— To z samego przodu?

— Tak. Tata prawie nigdy go nie używał, jakaś oś była niepewna czy coś takiego. A dzisiaj przez całą drogę było włączone. No dobra, może jakoś naprawił, ale jest coś jeszcze... najważniejsze.

— No?

— On ma dwa krany. Widziałeś, żeby Tata miał kiedyś dwa krany?

— Nie. Teraz też nie widziałem.

— Bo jak opadło przekształcenie i zobaczyłeś słońce, wtedy wyłeś i biegałeś z czubami, jakbyś był jednym z nich. A ja patrzyłem na Tatę... Chciałem mu powiedzieć, jak to dobrze, że już jest z nami, i że... — zająknął się. — Zresztą nieważne! Ważne, że widziałem jak pakuje kran, który tam mieliśmy. Zwróciłem na to uwagę, bo włożył go zupełnie gdzie indziej niż zazwyczaj. A potem, jak dał nam pić, wyciągnął kran z tego miejsca gdzie zawsze. Przecież kran to nie żywa maszyna, żeby sam się przemieszczał, w dodatku w środku Taty, prawda? To musiał być inny kran.

— Poczekaj. — Rudi prześliznął się nad jednym z niepełnych, który oddzielał jego poślanie od Jakoba.

— Chyba on nas nie słyszy, co? — szepnął, przysuwając się bardzo blisko.

— Nie wiem — odparł Jakob, również szeptem.

— Jakoś o tym nie pomyślałem. Jeśli słyszy, to i tak już za późno, no nie?

— Chyba tak.

Przez dłuższą chwilę nasłuchiwali, wstrzymując oddechy.

— Sądzisz, że ktoś go podmienił? — odważył się zapytać Rudi, muskając wargami ucho Jakoba.

— A jak inaczej to wyjaśnisz?

— Może po prostu zapytać?

— Chciałem — rzekł Jakob. — Chciałem, ale akurat powiedział o tych z Bunkra. Pomyślałem...

— umilkł.

— No co?

— Pomyślałem, że to może oni.

— Co takiego!?

— Że to Bunkier podmienił Tatę.

Rudi westchnął głęboko i przewrócił się na wznak.

— Chcą nas dorwać — szepnął po chwili.

— Nie.

— Nie?

— Przemyslałem to i wiem, że się pomyliłem. Przecież uciekaliśmy przed nimi. Gdyby było jak najpierw pomyślałem, to przecież Tata by się ich nie bał.

— Tata niczego się nie boi.

Jakob zignorował schematyczną uwagę Rudiego.

— Myślę, że to raczej Monachium przysłało nam drugiego Tatę — powiedział. — Bo nasz zginął. Albo może został tam, w świecie duchów. Może mógł zabrać z sobą tylko jednego z nas i wybrał Amadeusa. Przecież wiadomo, że Amadeus to największy głąb, jemu najtrudniej byłoby bez Taty, no nie?

Odpowiedzią było kolejne westchnięcie.

— Tata nas kochał, wiesz? Czy ten Tata też nas kocha?

Cisza. Rudi spał.

Jakob tej nocy już nie zasnął. Nad ranem wymknął się z namiotu.

II. Bunkier

1

Było ich dwoje. Mężczyzna i kobieta. Mogłoby się wydawać, że stają się LudźmiWZaniku, jakich nietrudno spotkać przebywając w Monachium, ale ci tutaj zachowywali się inaczej.

Mężczyzna był dobrze zbudowany, wyglądał na silnego i zdrowego, choć skóra na umięśnionym torsie była zrogowaciała, z mnóstwem dziwaczkich wyprysków. Albo pokryta korą. Jego jedynym odzieniem była nieokreślonego koloru szata, niedbale owinięta wokół bioder.

Na głowie kobiety, odzianej w obszarpaną sukienkę, tkwił dziwaczny, byle jaki kapelusz. LudzieWZaniku nie przywiązywali wagi do ubrań, wręcz ich nie lubili, i to by się zgadzało, lecz tych dwoje rozmawiało głośno i to już się nie zgadzało, bo jeśli ktoś przestaje być człowiekiem, zdolny jest najwyżej do szeptu. O czym mówili, Jakob nie mógł usłyszeć z takiej odległości.

Kobieta zmieniła pozycję i wtedy Jakob zorientował się, że jej kapelusz wcale nie jest dziwaczny, tylko wystają spod niego ciemnorudawe włosy. Włosy! Zupełnie jak u tego ducha, podczas burzy!

Ale ci tutaj duchami nie byli. Nie byli ani trochę przeźroczyści. Z pochylonymi głowami przepatrywali teren krok po kroku. Co pewien czas któreś podnosiło głowę, bacznie lustrując odległy horyzont. Na szczęście nie byli w stanie dostrzec obozu — Jakob stracił wiele czasu na powrót w to miejsce, wymknął się z namiotu tuż przed świtem, a obecnie słońce stało już bardzo wysoko. Gorzej, że głód zaczął dawać mu się we znaki i coraz bardziej żałował swojej ciekawości. Co będzie, jeśli Tata nie zaczeka na niego? Jeśli stado odejdzie w stronę odległych Suwałk, pozostawiając go tutaj samego?

Kobieta w kapeluszu podniosła coś ziemi i podeszła do ziemnego wykopu obsypanego jasnym piaskiem. Z wykopu wystawał metaliczny obiekt, niezbyt wielki. Zapewne kret. Jedyny kret, jakiego widział Jakob, był obrazkiem na satelitarnym zdjęciu i dlatego teraz zdziwiło go, że jest tak mały. Wydawało się niemożliwe, żeby tych dwoje zmieściło się w nim, w dodatku razem z przedmiotami, które co pewien czas wrzucali do środka. Dopiero potem przyszło mu do głowy, że przecież widzi zaledwie część. Nie wiadomo, jak daleko konstrukcja sięga w głąb ziemi.

Jakobowi było niewygodnie. Leżał na brzuchu, przylepiony do przepalonego podłoża, wsparty na wbitych w piasek łokciach, które zaczęły już drętwieć. Usiłował zmienić pozycję i nie zauważył jak półnagi mężczyzna spojrzał prosto w jego stronę. Jak dotąd przybysz poruszał się powoli, zarówno on jak i jego towarzyszka wydawali się dość ociężali, lecz teraz nagle wyskoczył w górę, zadziwiającą wysoko i lekko. Tak kiedyś Jakob wyobrażał sobie ptaki, których opis znalazł pewnego razu w książce znalezionej w jakimś starym domu w Monachium. Tyle, że ten mężczyzna opadł zaraz z powrotem: nie wzbił się w górę, nie poleciał ku niebu, chmurom na spotkanie. Za to ruszył biegiem, wprost ku niemu. Jakob zerwał się na nogi, zawrócił i popędził przed siebie. Uciekał co sił.

Gnał naprzód, a strach rósł w nim z każdym krokiem. Im biegł szybciej, tym większe stawało się

jego przerażenie. Z trudem chwycił oddech. Gdy wreszcie ośmielił się zwolnić i spojrzeć za siebie, zajrzał prosto w ptasie oczy — mężczyzna był tuż za nim. Jakby tkwił za plecami Jakoba od dłuższego już czasu i tylko droczył się z nim ku własnej uciechu. A może to tylko chłopięca wyobraźnia podpowiadała ewentualność okrutnej zabawy. W każdym bądź razie był przy nim, wcale nie zmęczony i niezwykła była szybkość, z jaką się teraz poruszał.

Wreszcie Jakob poczuł jego dłoń na swoim ramieniu. Najpierw delikatne muśnięcie, a potem uścisk żelaznej podkowy. Przewrócił się i nawet nie poczuł uderzenia.

Ocknął się w jakimś ciasnym pudle w kształcie rury, do którego skądś z góry ledwie docierało światło, było tak ciasno, że nie mógł rozprostować wykręconych do tyłu rąk, gdy tymczasem koniec rury — gładka, metaliczna krawędź — znajdował się całkiem blisko. Ledwie wyciągnąć w górę dłoń. Spróbował stanąć na palcach, pełznąć wbrew prawu ciężenia w kierunku wyjścia. Nie udało się. Był więźniem. Nie mógł zrobić nic, poza wpatrywaniem się w koliste krawędzie nad sobą, aż zwały się na podobieństwo księżycowej tarczy.

Raptem coś zaryczało, głucho i miarowo. Rura zaczęła drgać i nagle żołądek zawędrował do gardła. Niewiele brakowało by zwymiotował. Minęło trochę czasu, nim zdołał opanować się na tyle, żeby skojarzyć fakty.

Winda. Podobnie czuł się, gdy wjeżdżał windą na najwyższy gmach w Monachium. Albo może raczej, gdy wracał już w dół. Oznaczało to, iż był wewnątrz kreta, przemierzającego powrotną drogą do Bunkra.

Po pewnym czasie przykre uczucie spadania minęło, lecz wibracje i hałas nie ustały. Jakob zorientował się, że nastąpiła zmiana kąta nachylenia rury, w której się znajdował, niemal do poziomu. Podróż przedłużała się; chłopiec zdrętwiał, pozostając przez cały czas w tej samej, niewygodnej pozycji. W dodatku zaczął odczuwać ból startego naskórka, od ciągłego obijania się od ścianek i szorowania o twardą powierzchnię. Hałas przestał mu przeszkadzać, ale te bolesne niewygodności stawały się trudne do wytrzymania.

Czy ten kret kiedykolwiek się zatrzyma?

Zatrzymał się, jakby był maszyną do spełniania życzeń.

Wrażenie ciszy było pozorne. Po chwili do uszu Jakoba dobiegły ciche szумы pracujących gdzieś urządzeń. Odgłosy znajome: przez chwilę poczuł się jak w domu. Jak w Monachium.

Czy to Bunkier? Czyżby Bunkier też był Miastem?

— Jesteś Miastem?

Wyciągnęli go z rury i postawili na nogi. Posadzili na krześle widząc, że nie może utrzymać się na nogach. Mężczyzna, który go pojmał i kobieta w kapeluszu.

— Jestem Pułkownikiem — powiedział głos, dziwnie niski i monotony.

Jakob rozejrzał się. Znajdował się w obszernym pomieszczeniu, zamkniętym od góry kolistą czaszą stropu podpieranego licznymi filarami. Było bardzo ciepło. Zatęchłe powietrze niesło zapach rdzy i wilgoci.

Tuż przed nim, na połyskującym chromem fotelu z wielkimi kołami, siedział mężczyzna o stalowej twarzy. Jakob nie wiedział czy to maska, czy może skóra tego człowieka jakimś sposobem przemieniła się w metal.

— Pułkownikiem! — powtórzył mężczyzna. Przez chwilę wpatrywał się w chłopca pozbawionymi rzęs oczami, a potem zapytał: — Z jakiego jesteś Miasta?

— Z Monachium.

— Zgubiłeś się?

— Nie.

— Ach, nie? — Błysk wyraźnego zainteresowania w ukrytych głęboko oczach. — Uciekłeś?

— Nie.

— Jak to? — Stalowa powłoka twarzy nie drgnęła nawet, ale w niskim, jak wydobywającym się z jakiejś tuby głosie, pojawiła się nuta zawodu. — W takim razie skąd się tu wzięłeś?

— To znaczy... — Jakob zmieszał się. Strach, który początkowo utrudniał mu mówienie, jakoś mijał. — Chciałem tylko... zobaczyć.

— Co zobaczyć? Mów chłopcze, mów, nawet nie wiesz, jak wielka to przyjemność dla starego człowieka rozmawiać z kimś tak młodym i nieprzewidywalnym jak ty.

— Jesteś stary?

— Nawet bardzo. Zwracaj się do mnie Panie Pułkowniku. Otóż tak, jestem stary.

— I wciąż jesteś człowiekiem?

— Mów Panie Pułkowniku, powiedziałem. Wciąż nim jestem, choć nikt na tym przeklętym świecie zdaje się o tym nie pamiętać.

— Ludzie nie są starzy — zauważył ze zdziwieniem Jakob. — Czy chcesz mnie oszukać, Panie Pułkowniku?

— Oszukać? Broń Boże! Dawno z tym skończyłem.

— W takim razie nie jesteś człowiekiem, Panie Pułkowniku. Oni też nie są ludźmi, prawda? — wskazał na stojących w milczeniu mężczyznę i kobietę, tych, którzy przywieźli go tu z powierzchni.

— Oni nie — przytaknął Pułkownik, poruszając rytmicznie swymi metalowymi wargami.

— Więc dlaczego tak się zachowują?

— Jak, chłopcze?

— Jak ludzie.

— Tak sądzisz? — wzrok Pułkownika spoczął na nieruchomych sylwetkach. — Sądzisz, że tak się zachowują?

Jakob poczuł zakłopotanie.

— No... — zaczął z wahaniem — może niezupełnie, ale przynajmniej nie tak jak LudzieWZaniku. Nie są LudźmiWZaniku, prawda?

Pułkownik pokręcił głową.

— To żołnierze. To... — uniósł rękę i pstryknął palcami — Och! Było kiedyś takie proste słowo... pewnie go nie znasz...

— Cyborgi — rzekł wreszcie z zadowoleniem. — Żołnierze to cyborgi. Oni nigdy nie byli ludźmi i to zapewne cię zmyliło, mój chłopcze.

— Ty też jesteś cyborgiem, Panie Pułkowniku? Postać w chromowanym fotelu na kółkach drgnęła.

Niespodziewany atak kaszlu potrząsał nią jak lalką, nim wreszcie Pułkownik zdołał nad sobą zapanować i ponownie wbił spojrzenie w Jakoba. Bezręse powieki zamykały się i otwierały; powoli, bez pośpiechu. Po dłuższej chwili, z tą samą powolnością, drgnęły wargi:

— Tak uważasz? — szept przetoczył się echem po Podziemiach.

Na moment do Jakoba powrócił strach. Zorientował się, że powiedział coś nieodpowiedniego, coś co dla Pułkownika nie było przyjemne.

— Nie masz racji, mój chłopcze — usłyszał. — Zupełnie jej nie masz.

— Ja... — zaczął ostrożnie Jakob — nie wiem... Nawet nie wiem, co to jest cyborg. Pomyślałem tylko, że pewnie jakaś maszyna i... że ty nią jesteś...

— Panie Pułkowniku!

— ...Panie Pułkowniku, bo wyglądasz jak...

— Tak wyglądam?

— Tak. Jak maszyna.

Znowu ruch powiek z metalu. Powolny. Senny.

— Co za czasy — westchnął Pułkownik. — Cyborgi wyglądają jak ludzie, a ludzie jak cyborgi.

2

Pomieszczenie, w którym umieszczono Jakoba, właściwie nie było nawet pokojem; wyglądało na wydzieloną część długiego korytarza, w dodatku nie ślepego, bo na samym środku zamykającej go ściany tkwiły masywne drzwi — metalowe, jak większość elementów Bunkra. Masywne koło sterowało z nich na podobieństwo okrętowego steru. Nad drzwiami do ściany przynitowano tablicę z napisem. Jednym wyrazem, który Jakob odczytał nie bez trudu: TEMPORALIZATORIUM.

Choć było tu jeszcze cieplej niż w innych częściach Bunkra — i czyściej — to i tego miejsca nie oszczędziła wszechobecna woń stęchlizny. Nawet woda, którą wreszcie Jakob mógł ugasić pragnienie, wydawała się mieć nieprzyjemny posmak. Co do jedzenia — jakiejś dziwacznej substancji, pokrojonej w plasterki i czegoś zmieszanego z gorącą wodą w szklanym naczyniu — to Jakob był tak głodny, że nie zamierzał wybrzydzać. Złakniony, zjadł dużo, czego potem żałował, gdyż torsje, nicujące jego żołądek, gorsze były od głodu. Pytania o plankton Pułkownik w ogóle nie rozumiał.

Ale Jakob nie rozumiał o wiele więcej.

Nie za wiele pojął z tłumaczeń Pułkownika dotyczących temporalizatorium, tajemniczego miejsca znajdującego się za drzwiami z kołem. W czasie wojny w temporalizatorium powstawała broń, czy też samo to miejsce stanowiło broń, jakoś tak. Jakob skojarzył, że działa się tam coś podobnego do przekształcenia, jakiemu uległ Tata, aby ochronić stado przed wojną. Tyle, że ze słów Pułkownika wynikało, że wojny już nie ma. Jak to nie ma? A to burzowe bombardowanie? A Amadeus? A te dwie dziewczynki, które nie zdążyły dotrzeć na czas? A wypalona ziemia, gdy opadło przekształcenie? Słowa Pułkownika zapadły mu w pamięć: „Gdy skończyła się wojna, coś w temporalizatorium trzasnęło.”

— Trzasnęło?

— Popsuło się. Awaria. Zresztą, może nie. Może to uwolniły się prawa, które człowiek więził?

Zginęła cała obsługa i ginął każdy, kto szedł zobaczyć, co się tam dzieje. A poszło wielu, nim zorientowano się, że nie chodzi o zwykłą utratę łączności. Przepadały również cyborgi. I inne maszyny. Temporalizatorium stało się studnią bez dna, w której tonie wszystko, co wrzucisz.

Ktoś wysunął tezę, że otworzyła się droga do przeszłości tak odległej, że nie przystają do niej nawet prawa fizyki.

Nie zamierzano już sprawdzać tej hipotezy. Było za późno. Bo kto miałby to robić?. W Bunkrze ludzi pozostało zaledwie kilkudziesięciu, cyborgi trzeba było oszczędzać. Wobec tego zamknięto drzwi. Opieczętowano dawne temporalizatorium niczym sejf, lecz właściwie nie po to, aby nikt nie dostał się do wewnątrz, lecz aby NIC się stamtąd nie wydostało. Nie wiadomo CO. Nie wiadomo czy w ogóle COKOLWIEK mogło się stamtąd wydostać. Lecz dojście zamknięto. Na wszelki wypadek.

Czas wchłaniał kolejne lata. Coraz więcej cyborgów nie dawało się naprawić, ludzie chorowali,

starzeli się i umierali. Maszyny wciąż jeszcze modernizowały się same — wspomagane przez cyborgi, dostarczające im części, które udało się zdobyć na powierzchni — ale wiadomo było, że i one kiedyś odmówią posłuszeństwa. Wtedy wysiądą systemy regeneracji, urządzenia energetyczne i wentylacyjne. Wtedy Bunkier umrze. Nie oglądając się n& to, czy pozostaną w nim jeszcze żywi ludzie.

Ale wyglądało, że nie pozostaną. Czas jednostajnie Pożerał sam siebie, niespiesznie lecz i nieopieszale, a ludzi zabierał w postępie kwadratu ilości ziaren na szachownicy.

Dzień, w którym Pułkownik został sam, miał być dniem jego śmierci. Tak postanowił. Nie będzie szyprem na łajbie pozbawionej załogi. Nie będzie ostatnim człowiekiem. Nie!

Mylił się.

Kapitan Cejrowski był fizykiem. To on postawił tezę o tempopasacji z wektorem nieskończoności. Hipoteza nie była odkryciem, jeszcze przed wojną fizyka teoretyczna rozważała konsekwencje tego rodzaju ujemnego przekształcania terażniejszości, ale doświadczenie nie potwierdziło takiej możliwości, sugerując, że problem sprowadza się do czysto abstrakcyjnej matematyki. Kapitan Cejrowski skojarzył studnię za drzwiami temporalizatorium z tą właśnie hipotezą; sugerował, że zaszło tam coś, co urealniło nieskończony wektor tempopasacji.

Co się stanie, gdy dotrzemy do przeszłości najbardziej odległej z możliwych? Nieskończenie odległej, czyli takiej, której w świetle fizycznych prawideł nie było?

Zatem, co się wtedy stanie?

— Powinienem był tam pójść. Zobaczyć, co się stanie — powiedział siedemdziesięcioletni kapitan Cejrowski, umierając pod skórą Ziemi, w ramionach dowódcy bojowego Bunkra Tempolarnego BT/0023, jako przedostatni członek jego ludzkiej obsady. — Powinienem to zobaczyć.

— Zobaczysz — odpowiedział mu Pułkownik, lat sześćdziesiąt, i wrzuciwszy na plecy swego towarzysza, ruszył ku opieczętowanym drzwiom temporalizatorium.

Trzasnęły rygle i koło obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Drzwi otworzyły się niemo, bez zgrzytów i trasków, jak spodziewać się można było po ich topornym wyglądzie, a z wnętrza buchnął gęsty obłok; nieprzejrzysty, biały jak mgła, pachnący kwiatem i żywicą, przepelniony gorącem i wilgocią.

Pułkownik stał w progu, ściskając w dłoniach przełożone przez szyję nadgarstki rąk Cejrowskiego. Czekał aż opadną opary, trzymał tak mocno, że nie wiedział ani wtedy, ani później, w jakim momencie umarł jego ostatni podwładny; nie zauważył tej istotnej chwili, w której stał się ostatnim człowiekiem Bunkra, a może i całego wszechświata. Po prostu to przegapił, czekając w napięciu, w ciemności bezdennej studni, która porwać ich miała ku sobie, wciągnąć w czas, jakiego przeliczyć ludzki umysł nie jest w stanie.

Wierzył jednak, że Cejrowski zdążył zobaczyć co odsłoniła opadająca mgła. Zieloną, gorącą dżunglę, mrowie zwierząt i tych dwoje na odległej polanie, nagich i brudnych, lecz z błękitem w oczach, spojrzeniem pogodnym i czystym, widocznym nawet z tej odległości, jak światło kolorowej latarni.

— Jeśli chodzi o temporalizatorium — podjął Pułkownik, nie patrząc nawet na wskazywane palcem drzwi

— to nie byłem tam od dawna. Nie chcę ich straszyć. Lecz pomyślałem, że ciebie powinni zaakceptować. Od razu tak pomyślałem, jak tylko cię zobaczyłem. Wyglądasz tak prawdziwie.

— Czy można wyglądać nieprawdziwie?

— Mam na myśli, że zupełnie przypominasz chłopca z tamtych lat. Sprzed wojny.

— Nie wiedziałem, że ludzie kiedyś wyglądali inaczej.

— Byli ludźmi aż do śmierci — rzekł Pułkownik.

— A znałem i takich, którzy twierdzili, że jeszcze dłużej.

Jakob milczał. Po raz któryś z rzędu odnosił wrażenie, że Pułkownik testuje go, wymyśla różne rzeczy, może dla zabawy, by sprawdzić jak zareaguje.

— Umierali młodo? — Mimo wszystko starał się jakoś go zrozumieć.

— Większość umierała znacznie po pięćdziesiątce. Widzisz, starość nie oznaczała utraty człowieczeństwa. Spójrz na mnie. Mam sto czterdzieści cztery lata i wciąż jestem człowiekiem.

— Żyjesz dzięki systematycznej przemianie w maszynę. Tak mówiłeś, Pułkowniku.

— Owszem. To moja recepta na długowieczność. — Pułkownik przycisnął pilota sterującego jego inwalidzkim wózkiem i podjechał bliżej stołu, przy którym Jakob po raz kolejny próbował poradzić sobie z przydzielonym jedzeniem. Mdłości minęły, ale wciąż nie potrafił zjeść tyle, by definitywnie zaspokoić głód. — Do sześćdziesiątki nie miałem w sobie niczego sztucznego, poza kilkoma plombami w zębach. Sześćdziesiąt lat, mój chłopcze. Powiedz, kto jest najstarszy spośród ludzi, których znasz? Ile ma lat?

Jakob zastanowił się.

— Fryderyk. Gdy wyjeżdżaliśmy, mówił że to już czwarte stado, odkąd Tata zabrał go z powrotem. Bo Fryderyk wrócił ze szlaku. Czasami ktoś wraca.

— Jak często Miasto wysyła stado?

— Co dwa lata.

— Jakby nie liczyć, to ten twój Fryderyk ma teraz najwyżej osiemnaście.

— Może tak... — Jakob zawahał się.

— No?

— Na twarzy Fryderyka widziałem korę. Dłonie już od dawna miał szorstkie.

— Odchodzi.

— Chyba tak.

— A nie ma nawet dwudziestu lat — skomentował oschle Pułkownik. — To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że wyglądasz prawdziwie. Wyglądasz, jakbyś miał dojrzeć, zestarzeć się i umrzeć.

— Wszystkie dzieci wyglądają podobnie. — Jakob wzruszył ramionami.

— Ależ skąd! Było tu już kilku z twojego Monachium, pogubieni na szlaku. I wszyscy okazali się idiotami, żaden nawet nie umiał mówić.

— Czuby — wyjaśnił Jakob. — Czubów jest najwięcej. I najczęściej się gubią.

Pułkownik wyjął z kieszeni jakąś paczuszkę.

— Papierosy — wyjaśnił, widząc zdumione spojrzenie chłopca. — Wprawdzie nie powinienem palić, wkrótce nie będzie czym oddychać, bo wentylacja nie działa najlepiej, ale co tam... — machnął ręką. — I tak zostałem tylko ja.

— To jak będzie z tymi drzwiami — podjął, zapalając papierosa. — Chcesz przez nie przejść?

Pytanie nie od razu dotarło do Jakoba, przypatrującemu się z zaciekawieniem wydmuchiwany kłębowi dymu. Widać Pułkownik inaczej zrozumiał tę zwłokę, gdyż powiedział:

— Mógłbym cię zmusić, ale wolę tego nie robić.

— Gdyby jeszcze miało to jakiś sens — mruknął.

— Tak, tak! — zgodził się Jakob. — Mogę tam pójść, jeśli tego chcesz. Czemu nie, Panie Pułkowniku.

— Więc idź!

— Teraz?

— Teraz. I powiedz im, że ja wciąż o nich pamiętam, i że... Albo nie. Nic im nie mów. To też jest bez sensu. Po prostu zobacz jak żyją, a gdy wrócisz, wtedy wszystko mi opowiesz.

Pułkownik ścisnął dłońmi poręcze inwalidzkiego fotela, aż na wierzch wyszły napięte ścięgnięta palców. Tłący się papieros wypadł mu spomiędzy palców, ale on nie zwrócił na to uwagi. Potem wezwał swoich milczących żołnierzy: mężczyznę z drewniejącym torsem i kobietę w kapeluszu.

— Otwieramy — powiedział do nich, manipulując przy swoim pilocie. Koło zamachowe, tkwiące w samym środku stalowej zapory, drgnęło z cichym stęknieniem, wykonało pół obrotu i znieruchomiało. Drzwi otworzyły się na pół szerokości.

Nie było gorących oparów, mgły, jaką pamiętał Pułkownik z czasów Cejrowskiego, zatrzymującej przybysza w samym progu i przesłaniającej widok. Nie było. Jakby świat z temporalizatorium przeniknął już po części do reszty Bunkra i wyrównały się ciśnienia.

— Albo my przenikamy do niego — powiedział głośno Pułkownik. — Drzwi nie wystarczają.

Powitała ich dżungla, oślepiając jaskrawą zielenią roślinności. Na stepie trawa nigdy nie była tak soczysta. Tak wysoka, sięgająca ku niebu. Jakob przez długą chwilę stał nieruchomo, chłonąc nieznaną zapach, powietrze ciepłe i wilgotne. Stał na szczycie porośniętego kwiatami pagórka, wystającego niczym narośl z płataniny drzew i krzewów, za to ozdobionego kilkunastoma głazami, wielkimi nieforemnymi jajami, każde w innym odcieniu. Tego też Jakob nie znał; w jego otoczeniu bojowe satelity dawno już przemieniły w pył tak okazałe skalne obiekty.

W dole, całkiem niedaleko, rzeczywiście była polana, tak jak opowiadał Pułkownik, lecz Jakob nie dostrzegł na niej nikogo. Choć przez chwilę wydawało mu się, że widzi jakiś ruch na jedynym stojącym tam drzewie.

Za plecami trzasnęły drzwi, zamykane rękami żołnierzy, ale Jakob nie zwrócił na to uwagi. A potem, gdy otrząsnął się już z zauroczenia, ruszył ku polanie. Coś załaskotało w rękę, odruchowo klasnął dłonią i na nadgarstku pozostał krwawy ślad. Owad. Znał owady, ale one nigdy nie latały jak ten. Wyłącznie pełzały lub drobiły szaleńczym truchtem w miejscach brudnych i wilgotnych. Nagle zobaczył ptaka, który przemknął tuż przed nim i zniknął w gęstwinie. Zaraz pogonił za nim drugi.

Ptaki! Ten widok po prostu zapierał dech.

Na polanie zielsko sięgało Jakobowi po piersi, lecz w pewnym momencie natknął się na ścieżkę. Zwrócił uwagę, że trawa nie była wydeptana, lecz wycięta, miejscami powyrywana do gołej ziemi. Ścieżka zaprowadziła go wprost do samotnego drzewa, jakby celowo wyeksponowanego spośród reszty dżungli. Na gałęziach rosły owoce; dość spore, te największe z ledwością pomieściłby w dłoni. Niektóre były zielone, niektóre malowane delikatną czerwieńią od strony, z której padały na nie słoneczne promienie.

Wyciągnął rękę, sięgnął po najbliższy owoc, wcale nie ten najokazalszy. Zielonoczerwona kula mocno trzymała się gałęzi, lecz człowiek był silniejszy; konar odskoczył, gubiąc kilka liści, pozostawiając plon w dłoni intruza. Jakob przyjrzał się zdobyczy, zastanawiając się, czy nadaje się do zjedzenia. Powąchał, zapach był bardzo przyjemny, delikatnie dotknął wargami twardej skórki. I wtedy wystraszył go nagły szelest za plecami.

Stali zaledwie kilka metrów dalej. Dokładnie tacy jak opowiadał Pułkownik. Mężczyzna i

kobieta. Nadzy, spaleni słońcem, z niebem i płomieniem w oczach. Nie patrzyli na niego. Patrzyli na owoc.

I nagle!

— Ja–kob!

Głos jak grzmot burzy przetoczył się nad polaną.

— Ja–kob!

Na szczycie pagórka, na inwalidzkim fotelu siedział Pułkownik. Promienie słońca odbijały się od jego metalicznej twarzy. Chwilami wydawało się, że oblicze tego człowieka płonie żywym ogniem. Za nim majaczał prostokąt drzwi: ciemna czeluść w jasnej zieleni drzew.

Jakob uniósł w górę rękę na znak, że słyszy i odwrócił wzrok. Tych dwojga, mężczyzny i kobiety, już nie było. Zniknęli gdzieś, spłoszeni zapewne dudniącym okrzykiem, a może i samym wyglądem wołającego. W pierwszym odruchu zapragnął ich odszukać, jednak następne zawołanie przegnało tę myśl. Podążył z powrotem; najpierw utartą ścieżką, potem własnym śladem. Gdy wspiał się na górę, okazało się, że Pułkownik jest już w środku, a w drzwiach pozostała tylko szczelina, szeroka akurat na tyle, by zdołał się przez nią precyzyjnie. Gdy tylko znalazł się w Bunkrze, jęknęły rygle, a koło cofnęło swój półobrót.

— Wracasz na powierzchnię — powiedział Pułkownik, lustrując Jakoba elipsami swych nagich oczu.

— Chciał pan, żebym zaprzyjaźnił się z tymi...

— Chciałem — przerwał mu ostro Pułkownik. — Ale co tam. Jeszcze przyjdzie na to czas. Nie ty, trafi się ktoś inny. A może wreszcie sam się tym zajmę. Twoja maszyna upomniała się o ciebie. Nie mam pojęcia o co jej chodzi, ale to też nieważne. Wracasz. Jeden z moich psów odprowadzi cię. To dobry żołnierz i jest uzbrojony, więc od razu przekazaj maszynie, że żadne sztuczki nie są możliwe. Umowa to umowa.

— Jaka umowa?

— Panie Pułkowniku! Nie zapominaj, że masz zwracać się do mnie Panie Pułkowniku! I nie marudź, nie zawracaj mi głowy i ruszaj wreszcie, nim się rozmyślę.

Cyborg zaprowadził Jakoba do kreta, przypominającego zabrudzony gigantyczny pocisk z rysunkiem tysięcy zwojów na kadłubie. Był to ten sam kret, którym chłopiec przybył tutaj, uwięziony w bagażowym cylindrze; być może jedyny, który pozostał na wyposażeniu.

Podróż powrotną miał odbyć w pomieszczeniu załogi, znajdującym się w dolnej części maszyny. Cyborg odsłonił tę ciasną, najwyżej dwuosobową kryptę jakimś ukrytym sygnałem i milcząco wskazał miejsce. Sam usiadł obok.

Nim wyruszyli, raz jeszcze pojawił się Pułkownik, choć wcześniej wydawało się, że uważa ich znajomość za zakończoną. Nadjechał na swym chromowanym wózku inwalidy, majestatyczny, poważny, jakby sam stanowił część pojazdu. Zbliżył się do kreta, pochylił nad kadłubem, niemal wkładając do wnętrza stalową bryłę głowy.

— Widziałeś ich? — zapytał. Jego niski głos znów brzmiał bezbarwnie, zniknęła nagła złość, z którą wywołał Jakoba ze świata za drzwiami temporalizatorium.

— Tak. Ale uciekli.

Wydawał się zawiedziony: — Przestraszyli się.

— Nie mnie. To... pan, Panie Pułkowniku. Wystraszyli się pańskiego krzyku.

— Taak. — Kaszlnął. — Zawsze się mnie boją. Ty też się mnie boisz, prawda?

Jakob przytaknął.

— To dobrze. Widzisz, ludzie powinni się siebie bać. To dyscyplinuje. Gdyby kiedyś bardziej

bali się siebie nawzajem, to może... Zresztą, i tak pewnie nic z tego nie rozumiesz.

— To dlatego pan się ich boi?

— Ja ich? — mężczyzna omal nie parsknął śmiechem. — Skąd ci to przyszło do głowy, u licha!?

— To dlaczego wysłał pan mnie, dlaczego sam z nimi nie porozmawia, jeśli tak panu na nich zależy?

— Jak mam to zrobić, skoro... — nagle wzrok Pułkownika spoczął na opartej o brzeg kabiny ręce Jakoba: — Co tam masz?

Jakob rozwarł zaciśnięte palce.

— Owoc. Przyniosłem stamtąd.

Pułkownik zbliżył twarz, jakby chciał upewnić się, czy wzrok go nie myli.

— Wiesz co to jest!? — wykrzyknął.

— Owoc.

— To jabłko. Zerwałeś jabłko!

— Rozumiem, zerwałem jabłko. Czy to źle?

Pułkownik wyprostował się. Jego głowa przez chwilę trzęsła się w dziwnych podrygach, a z nieruchomych warg wydobył się odgłos, który równie dobrze mógł być śmiechem jak i bełkotem w niezrozumiałym języku.

— Przecież ty nawet nie wiesz, kim oni są! — zawołał nagle. — Oczywiście, że tego nie wiesz! Skąd miałbyś wiedzieć?

— Są ludźmi.

— Są szczególnie. Bardziej szczególnie niż ja i ty, bo my jesteśmy ostatni. Żaden to honor, żadna tajemnica, być ostatnim. Oni są pierwsi, to dopiero jest coś!

Pułkownik umilkł.

— Chce pan to jabłko? — zapytał Jakob, wyciągając rękę.

Zespolona z wózkiem postać wyprostowała się, właściwie odskoczyła, uchylając się przed niewidzialnym ciosem.

— Więc mogę je zabrać ze sobą? — upewnił się chłopiec.

— Możesz. — Pułkownik zawahał się. — Zamierzasz je zjeść?

— Nie wiem — odparł Jakob. — Czy... Czy nie jest trujące?

— Nie. Przynajmniej nie w sensie o jakim myślisz.

— Więc może zjem. Zobaczę.

Pułkownik wykonał rękami nieokreślony gest, wyglądało no to, że chce coś powiedzieć, lecz słowa jakimś sposobem ugrzęzły w krtani i nie potrafił znaleźć sposobu, aby je stamtąd wydobyć.

— Zrób to teraz — rzekł w końcu. — Przy mnie. Jakob spojrział na jabłko.

— Pan się spodziewa, że coś się stanie, gdy zjem ten owoc, prawda?

Odpowiedzią było wyczekujące spojrzenie.

— Ugryź je chociaż.

Chłopiec zrobił to. Z tak intensywnym smakiem spotkał się po raz pierwszy w życiu. Podniebienie zostało podrażnione do bólu, który ścisnął gdzieś w kącikach ust. W gruncie rzeczy ból ten okazał się nawet przyjemny, choć nazbyt intensywny, wyzwolił ogromną ilość śliny, mieszającej się z sokiem, cieknącej po brodzie, spływającej po szyi. Jakob walczył z sobą, na przemian to pragnąc wypluć jabłko, to gryząc zawzięcie, nerwowo, wciąż ten sam kęs, który — wydawało się — rósł mu w ustach.

Pułkownik wbijał w Jakoba wciąż ten sam wyczekujący wzrok, pełen pazernej ciekawości, lecz i respektu równocześnie. Najwyraźniej spodziewał się, że coś się stanie, najwyraźniej coś

nieoczekiwanego, nieprzewidywalnego.

Ale nie stało się nic. Zupełnie nic. Przynajmniej nic takiego, co byłby w stanie zauważyć.

4

Słońce. Wiatr. Czarny, spalony step.

Podążali szlakiem na Suwałki. Olbrzymi mechaniczny dinozaur przewodził licznemu stadu, podążającemu za nim niestrudzenie, jakby przewodnik wiódł ich na niewidzialnym sznurze.

Tylko jeden chłopiec siedł tuż obok wielokołowej maszyny.

— Dałem za ciebie kran — powiedział Tata.

Jakob milczał. Z jednej strony cieszył się, że znów jest z dziećmiakami, z Ute, Karlem, nawet z Rudim, z drugiej jednak czuł niedosyt. Zbyt wiele zdarzyło się tam, na dole, zbyt wiele, by mógł o tym zapomnieć. Przede wszystkim o niezwykłym świecie temporalizatorium.

— Dałem za ciebie kran — mówił Tata — bo tak zdecydowało Monachium. Nie mam pojęcia dlaczego. Zdajesz sobie sprawę, jak ważny jest kran? Prowadziłem wiele stad, niektóre nawet mądrzejsze od waszego, ze znacznie lepszą średnią normatywu, ale jeszcze nigdy nie kazano mi rozmawiać z Bunkrem. Bunkier jest wrogiem. Należy go unikać.

— Ty myślisz Tato, że Bunkier jest jak Miasto — zorientował się Jakob. — A to nieprawda.

— Nieprawda?

— Bunkier jest człowiekiem. To znaczy... — Jakob zmieszał się. — Chodzi o to, że jeśli rozmawiasz z Bunkrem, to tak naprawdę rozmawiasz z człowiekiem. On nazywa się Pułkownik. Pan Pułkownik. On... jest żywy.

— Żywy?

— Mam na myśli, że jest jak my.

— To możliwe — przyznał Tata. — Ale bez znaczenia. Znaczenie ma kran. Niewiele pozostało kranów, a bez nich nikt nie możecie przetrwać. To co określasz jako żywe, nie może obyć się bez wody. Bez niej umiera.

— Jak Amadeus?

— Skąd wiesz, że umarł?

— Wiem.

— Tak — odrzekł Tata. — Jak Amadeus. Ale on nie umarł z braku wody.

— Więc dlaczego?

— Bo nie było innego wyjścia, jeśli reszta z was miała ocaleć.

Zamyślony Jakob pozostał nieco z tyłu. Szedł w milczeniu, jednostajnym krokiem zmęczonego piechura, tak jak pozostałe dzieci, rozproszone niczym pogubione koraliki. Nagle ktoś krzyknął. Chłopiec obejrzał się i zobaczył kilka rąk wyciągniętych w górę, wskazujących na niebo.

Spadały Żywokosztany.

Dwa... Trzy... Trzy Żywokasztany. Ciemne kule tańczyły po niebie, jakby szukały się nawzajem, wywijając dziesiątki pętli, to znów pikowały w dół, gnając ku zderzeniu z ziemią.

Jakob nigdy w życiu nie widział z bliska Żywokasztana. Wiedział, że jest wytworem Żywozonu, jego owocem, dojrzewającym w górnych warstwach atmosfery — tak wysoko, że nie można było dostrzec tego z ziemi, chyba że nocą.

Pierwszy Żywokasztan zniknął gdzieś na linii horyzontu, drugi również, ale trzeci, ten, który spadał ostatni, wyraźnie zmienił trajektorię lotu i mknął w ich kierunku. Już był większy, jak duża piłka, ale równocześnie tracił pułap, coraz mniejsza odległość dzieliła go od wypalonej ziemi.

— Nie da rady dolecieć do nas — powiedział Karl, który niespodziewanie znalazł się przy Tacie.

— Nie — potwierdził podekscytowany Jakob.

Mieli rację. W pewnym momencie Żywokasztan zatrzymał się. Był już niedaleko, lecz nisko nad ziemią; wydawało się, że wystarczyłoby podskoczyć, żeby go dotknąć. Wykonał jeszcze jeden szybki ruch, może zawirował — ale z tej odległości trudno było to stwierdzić na pewno — po czym spadł.

Nie było słychać jak upadł.

— Tato, idźmy tam! — zawołał Jakob.

— Idźmy! — zawtórowali równocześnie Rudi i Karl. Nawet niektórzy niepełni przyłączyli się do próśb. Wszyscy byli ciekawi. Wiedzieli, że ostatnio Żywokasztany spadają coraz częściej, kilka przywieziono nawet do Monachium, ale nikomu z dzieci nie pozwolono nawet na nie popatrzeć. Fryderyk tłumaczył, że mogą być niebezpieczne. „*Ja bym wam pozwolił*”, powiedział kiedyś, „*Wygląda na to, że na razie są niedojrzałe. Ale nie ja decyduję*”. „*Co się stanie, kiedy dojrzeją?*”, zapytał wtedy Jakob. „*Tego nie wiemy...*”

— Tato! Idźmy! — rozległ się powtórny chór głosów.

— Nie — padła krótka odpowiedź.

— Dlaczego? Będiesz mógł zabrać go do Monachium.

— Nie ma mowy. Nikomu nie wolno nawet się zbliżyć. Dobrze o tym wiecie.

Byli wyraźnie zawiedzeni.

Wędrowali dalej. Czuby wkrótce zapomniały o wydarzeniu, a i reszta pogodziła się, że nie dane im będzie oglądać z bliska owocu zagadkowego Żywozonu. Jedynie Jakob wciąż odczuwał niepokój.

— Tato? — odezwał się. — Tak?

— Cieszysz się, że Monachium kazało mnie odszukać?

— Oczywiście — odparł Tata. — Jestem z tego bardzo zadowolony.

— Ale straciłeś kran — przypomniał Jakob. — To poważna strata, sam mówiłeś.

— Mówiłem tylko, że dziwi mnie decyzja Miasta, a nie, że mi się ona nie podoba. Zawsze uważałem, że dzieciaki są najważniejsze.

— To dobrze. Ja też się cieszę.

Wciąż nie mógł zapomnieć Żywokasztanów. Dręczyło go, że spadały aż trzy naraz. Może rzeczywiście dojrzewają? Szkoła uczyła, że kiedyś z owoców powstawały nowe rośliny, identyczne z tą, z której wyrosły. Co wyrosnąć może z dojrzałego Żywokasztana? Żywozon? Przecież Żywozon jest jeden. Co więc się stanie?

„*Tego nie wiemy*”, powiedział Fryderyk, „*Nie wiemy nawet, czy jest się czego bać*”.

III. Monachium

1

— Zbudź się! — powiedział Kamerdyner.

Fryderyk się zbudził.

Była dziesiąta. Już dziesiąta. Przed miesiącem Monachium budziło go dwa kwadransy wcześniej, pół roku temu o dziewiątej, a przed rokiem nie musiało go budzić właściwie nigdy, ponieważ lubił wstawać wcześnie, ze świadomością, że jest w Mieście sam, samiuteńki, bo reszta jeszcze śpi.

A teraz stawał się CzłowiekiemWZaniku. Właściwie Już nim był. Gdyby taki eksperyment przyszedł mu na myśl, mógłby swą opancerzoną głową uderzać choćby w ścianę, nie czując śladu bólu.

W dzieciństwie Fryderyk bardzo bał się LudziWZaniku. Nie! To nie tak! Bał się tego, że kiedyś sam zostanie CzłowiekiemWZaniku; Zanikających — do których teraz należał i on — nie bał się nikt, gdyż byli łagodni i cisi, i nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek zrobili komuś krzywdę.

Gdy skończył dziesięć lat, przekraczając magiczną granicę miastowego dzieciństwa, ten strach przeistoczył się w przerażenie. Sama myśl o tym, iż kiedyś jego własne ciało będzie się zmieniać, potrafiła doprowadzić go do mdłości, nerwowych drgawek, a nawet wymiotów. Spędził wiele bezsennych nocy, a gdy zdołał zasnąć, budził się z krzykiem, dręczony jakimiś koszmarami. Doszło do tego, że Mama pozwoliła mu spędzać noce w sobie, tuż obok dziewięciu niemowlaków i dwudziestu sześciu maluchów. Na szczęście nie stanowiło to problemu, ponieważ akurat wtedy miejsca w Mamie było dość.

Mama poradziła sobie z lękami Fryderyka. Seria zastrzyków i systematyczne dawki leków, znacznie wygładziły nadpobudliwość chłopca. Ale strach tylko przygasł; powrócił po niefortunnej wyprawie do Suwałk, kiedy sprzedano wszystkie dzieci, nawet najgorsze czuby, a jego jednego nie. To był cios. Nie wiedział, co dzieje się ze sprzedanymi dziećmi, lecz cokolwiek by to miało być, Suwałki stanowiły nadzieję, że nie stanie się CzłowiekiemWZaniku.

Zatem strach przed Zanikaniem znów zaczął dręczyć Fryderyka, który jednak był już starszy, mądrzejszy, potrafił się kontrolować i okiełznać fobię. Mimo to czasami płakał po nocach i to aż do czasu, gdy dojrzał — kiedy tempo namnażania komórek w organizmie, stosunek nowo powstających do tych, które obumierały, zmalał na tyle, że mogły rozpocząć się procesy Zaniku. Wtedy wszystko się skończyło. Strach, niepewność, załamania. Odeszło właściwie z dnia na dzień.

Teraz Fryderyk miał osiemnaście lat. Był spokojny, zadowolony, pogodzony ze światem i z samym sobą.

Czuł się doskonale, zwłaszcza po tych nielicznych posiłkach, które jeszcze spożywał.

Umysł wciąż miał sprawny. Prawdę mówiąc nie był pewien, czy tak pozostanie, kiedy on sam przestanie już być człowiekiem. Początkowo trochę się tego oba—wiał, ale teraz było mu już wszystko jedno. Orientował się doskonale, że jego wiedza jest nieprzeciętna, zważywszy na warunki

w Monachium. Wszak był najstarszy. Prócz niego tylko Hans i Irmina powrócili z wyprawy na Suwałki, reszta liczyła poniżej dziesięciu lat.

— Idzie Irmina — poinformował Kamerdyner. Fryderyk pośpiesznie dopiął pasek spodni. Obciągnął koszulę.

— Cześć — powiedziała Irmina. Miała dopiero lat dwanaście, ale to właśnie po jej powrocie Fryderyk ostatecznie potwierdził swoją hipotezę, iż ci, których nie przyjęto w Suwałkach, wcale nie są w niczym gorsi od reszty. Wręcz przeciwnie.

— Widzę, że już się ubrałaś.

— Dopiero — sprostował Fryderyk. Mówił ledwie słyszalnym szeptem. Jeszcze był w stanie wydobywać z siebie skoordynowane dźwięki, ale wiedział, że niedługo to potrwa. — Coraz trudniej zakładać ubranie. A z guzikami w ogóle sobie nie radzę. Palce są coraz bardziej sztywne, nie chcą mnie słuchać.

Pomachał brzegami koszuli.

— Przyniosłam ci żarcie. Rano rozmawiałam o tobie z Mamą. Niepokoi się i powiedziała, że jeśli otrzymasz plankton ode mnie, będziesz jadł chętniej.

— Dziękuję, nie jestem głodny. Ale chętnie się napiję.

— Tak jej właśnie powiedziałam. Nie będziesz jadł, ponieważ nie jesteś głodny. — Zaśmiała się. — No, ale musiałam spróbować. Wystarcza ci woda i słońce, prawda?

— Niezupełnie.

— Im dłużej będziesz jadł normalne jedzenie, tym dłużej...

Niespodziewanie chwyciła go za rękę. Pogładziła chropowatą dłoń, która z dnia na dzień przybierała coraz bardziej brązowy odcień.

— Ojej! — odruchowo cofnęła się. — Pęka! Przepraszam.

— Nic nie szkodzi — wyszeptał Fryderyk, sam z zainteresowaniem przyglądając się głębokiej na dwa milimetry szramie, przecinającej wierzch dłoni, ukosem, od wskazującego palca do kostki nadgarstka. Wczoraj jeszcze jej nie było.

— Nie boli?

— Wcale. To nawet... — pociągnął palcem wzdłuż pęknięcia — ...przyjemne.

— A jak głowa? — zainteresował się. Irmina przyjrzała się uważnie.

— Nie widzę różnicy — odparła. — Mogę dotknąć? — zapytała po chwili.

— Proszę. — Patykowate wargi Fryderyka drgnęły, prawdopodobnie w zamiarze uśmiechu. Sam Fryderyk sprawiał wrażenie, jakby założył na głowę głęboki, półokrągły hełm, zdeformowany w miejscu, gdzie znajdowała się twarz. Ta deformacja przypominała rzeźbioną w drewnie maskę, z otworami na oczy, uszy, usta oraz karykaturalny nos.

Dziewczynka ostrożnie pogłaskała zdrewniałą powierzchnię, ciepłą i przez to miłą w dotyku. Z troską popatrzyła w ukryte głęboko oczy, nienaturalnie zielone, lecz wciąż człowiecze, może tylko zbyt zażawione, gdyż sztywna powieka drażniła wrażliwy organ i nie domykała się do końca.

— Też jest przyjemnie, gdy tu dotykam? — spytała Irmina.

— W tym miejscu już nic nie czuję — odpowiedział Fryderyk. Obojętnie. Bez cienia smutku. — Może niżej. Pod brodą. Albo za uszami.

— Jak Myszka — zaśmiała się Irmina.

Myszka była jedynym zwierzęciem w Monachium. Została przywieziona przez Hansa z Suwałk, zaszczerpiona przez Mamę dawkami specyfików, po których omal nie wyzionęła ducha i stała się ogólną maskotką—Niestety, nie przepadała za tą rolą i z rzadka pokazywała się młodszym dzieciom. Nawet Hansa częstokroć ignorowała, czym zasłużyła sobie na miano zdrajcy, co zresztą w

najmniejszym stopniu nie przeszkadzało jej w faworyzowaniu Irminy.

— Nie boisz się mnie, prawda? — zapytał Fryderyk.

— Dlaczego miałabym się bać?

— Bo ciebie kiedyś też to spotka. Nawet dokładnie wiadomo kiedy. Policz sobie, ile zostało jeszcze lat.

— To trochę nieprzyjemne — przyznała Irmina. — Dlatego wolę o tym nie myśleć. Nie mówmy o tym, dobrze?

— Nie — zaprzeczył Fryderyk. — Nie zamierzam cię straszyć. Wręcz przeciwnie. Chcę ci powiedzieć, że możesz śmiało patrzeć w przyszłość. Gdy byłem w twoim wieku, nawet w wieku Hansa, bardzo się jeszcze bałem. Dziś wiem, że niepotrzebnie.

— Byłaś kiedyś szczęśliwa? — zapytał nieoczekiwanie

— No... tak. — Irmina zaczerwieniła się. — Gdy Hans mnie pocałował — wypaliła.

Z zaskorupałych warg Fryderyka wydobył się odgłos przypominający śmiech.

— Dobrze — odrzekł. — Niech będzie. Otóż, ja czuję się tak codziennie. W każdej chwili, nawet gdy śpię. Teraz również. Jestem szczęśliwy przez cały czas, jeśli w ogóle możesz to pojąć.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Paradoksem jest, że przez całe życie nastolatka marzyłem, że pewnego dnia Miasto oznajmi, że znalazł się sposób na Zanikanie, tymczasem gdyby coś takiego zdarzyło się teraz, gdybym znowu miał być zwyczajnym Fryderykiem, chyba umarłbym z rozpacz. I powiem ci, że jest to jedyna rzecz, która mnie aktualnie niepokoi. Ale tylko trochę, bo przecież to niemożliwe.

— Zanikanie jest nie do pokonania. I nieodwracalne — wyrecytowała Irmina.

— Pora na pierwszą wizytę — rozległ się bezosobowy alt Kamerdynera. Musiał być bezosobowy, gdyż Kamerdynier był tylko głosem zegara, mającego tę przewagę nad zwyczajnym czasomierzem, iż doskonale wiedział, kiedy jego kukułczy sygnał zostanie właściwie zrealizowany. Wszak zegar był częścią Miasta.

Gdy wyszli na ulicę, Fryderyk z tęsknotą spojrział w górę, na błękitnomleczy strop nad głowami. Tachio—nowa sfera przepuszczała co prawda znaczną część światła, nigdy jednak nie mogło to dorównać światu poza Miastem. Nawet nie było wiadomo, w którym miejscu znajduje się słońce.

— Chcesz iść ze mną? Idę teraz do Przedszkola — zaproponowała Irmina. — Przecież Kamerdynier powiedział ci, że czas na pierwszą wizytę — nalegała widząc, że Fryderyk kręci odmownie głową.

— Zawsze tak mówi. Nie jest w stanie działać inaczej. Harmonogram to dla niego rzecz święta.

— Ojej! — zawołał Irmina.

— Co się stało?

— Nic. Czasami mówisz tak mądrze.

— Wcale nie mądrze — zaoponował Fryderyk. — Dałem ci kilka książek. Powinnaś więcej czytać.

— Nie lubię czytać. Więc jak, nie dasz się namówić?

— Wolę taras — odparł Fryderyk, a po chwili dodał, wciąż tym samym, rachitycznym szeptem: — Jestem na emeryturze.

Dziewczynka oczywiście nie zrozumiała dowcipu.

Na tarasie1 było pusto. Nie licząc Nikodema, lecz on tkwił tu jako swego rodzaju eksponat; wyłącznie dlatego, iż przynajmniej jeden z Zanikających przebywał tu zawsze. Tak chciała Mama. Uważała, że dzieci powinny oswajać się z Zanikaniem, więc tak było.

Fryderyk zdawał sobie sprawę, że gdy nadejdzie jego czas, zajmie miejsce Nikodema, który z kolei zostanie przeniesiony na taras0. Tam, gdzie byli inni, przemienieni w drewniane kadłuby, w których tylko wybujała wyobraźnia dostrzec potrafiła ślad twarzy.

Kontrolowany przez Miasto atmosferyczny korytarz, sięgający otaczającej Monachium tachionowej sfery i przebijający ją niczym niewidzialna rura, otwierany był tylko na kilka godzin dziennie i to wyłącznie wtedy, gdy dopisywała pogoda. Wraz z drugim podobnym obiektem — na tarasie0 — stanowił niezbędny układ wentylacyjny, przy okazji pozwalając przetrwać takim jak Fryderyk. A także tym, którzy ludźmi być przestali, jak na przykład Nikodem.

Fryderyk przez dłuższy czas stał nieruchomo, w pełnym blasku, delektując się fenomenem. Był jak na dnie studni — otwartej wprost na gorejącą słoneczną tarczę — do której bez przeszkód wdierał się wszechświat. Światło. Mnóstwo światła. Kiedyś przeczytał, że energia Słońca wędruje sto pięćdziesiąt milionów kilometrów, nim dotrze do Ziemi. To niewiarygodne.

Coś poczuł. Jakiś ruch pod skórą. Pośpieszenie — na tyle pośpieszenie na ile pozwalały mu sztywne ręce — zrzucił z siebie koszulę. Słoneczne igły natychmiast wdarły się w każdy por, każdy dostępny fragment odsłoniętego torsu; tam gdzie nie sięgały bezpośrednio, docierały odbite od ścian, przedmiotów, cząstek powietrza.

Rzecz jasna, było przyjemnie. Bardzo przyjemnie. A kiedy na plecach Fryderyka z cichym sykiem pękła zrogowaciała, zabrązowiona skóra, ten aż westchnął z rozkoszy. Naprawdę, warto było żyć, żeby zostać CzłowiekiemWZaniku.

Powoli uspokajał się. Wciąż chłonał światło — prawdziwe, niefiltrowane fotony, bez przeszkód wdzierające się przez otwarty czasowo krąg — ale przyjemność nie była już tak nagła, tak gwałtowna i zniewalająca.

Podszedł do Nikodema: pnia wyrastającego niespodzianie na skraju tarasu 1. Dwa króciutkie kikuty w górnej części bryły, były mirażem człowieczych rąk. Po nogach nie pozostało śladu, zwały się w jedno; chyba, że weźmie się pod uwagę stopy, rozstawione w kształcie szeroko rozwartego V, niczym dwa korzenie usiłujące przyssać się do podłoża. Karykatura pozbawionego korony drzewa.

— Cześć — szepnął.

Oczywiście wiedział, że jego słowa nie docierają do Wystawionego na słońce adresata. Mimo to objął ramionami pokryty korą słup, tak jak to czynił zawsze, gdy tu przychodził. Przytulił do twardej powierzchni swoją równie twardą twarz, coraz bardziej upodabniającą się do tamtej, a więc coraz bardziej nijakiej, coraz bardziej nieczłowieczej.

Nikodem był o dwa lata starszy. Prócz niego Fryderyk pamiętał jeszcze pięciu Zanikających, ale z nikim nie był związany tak bardzo jak z Nikiem; nie miał zresztą specjalnego wyboru: pozostawał jeszcze młodszy o cztery lata Hans i aż o sześć Irmina.

— Cześć.

Doskonale pamiętał, jak nie dowierzał, gdy Nikodem przekonywał — tak jak on dzisiaj Irminę — że Zanikanie nie jest cierpieniem. Że jest przyjemne. Chciał wierzyć Nikowi, pewnie że chciał, lecz coś mu nie pozwalało, może ten strach z dzieciństwa, może rozpacz, że traci przyjaciela, a może po prostu głupota. Trudno mu było teraz to zrozumieć. Pewnie, że trudno. Nie był już tamtym Fryderykiem. Sfrustrowanym, pełnym lęku. Teraz wszystko odeszło. Pozostał spokój i ukojenie. Samą

prawdę wyrzekł dziś rano: szczęście.

Dlatego tyle uwagi poświęcał Irminie. Nic chciał, żeby przeżywała dręczące go w dzieciństwie katusze i wyglądało na to, że w pełni mu się udało. Irmina z pewnością nie będzie go raniła scenami rozpacz, tak jak on dręczył Nikodema od pierwszych symptomów Zaniku. Nie będzie wieszała się na nim, okładała pięściami, błagała o coś, co niemożliwe jest do spełnienia.

Na Hansa dawno już machnął ręką. Chłopak był gruboskórny, pewny siebie. Żył tak, jakby był przekonany, że jego to wszystko nie dotyczy. Inni owszem, ale on? Fryderyk czasami zazdrościł takiej postawy. Prostszy świat to prostsze życie.

Kiedy kilkanaście dni temu Monachium opuściła grupa dzieci, Irmina płakała, żegnając się z nimi, nie potrafiła się powstrzymać, choć było to wbrew zaleceniom Mamy. A Hans rzekł tylko cynicznie.

— Wreszcie będzie mniej roboty.

W dodatku niezupełnie była to prawda. Zarówno przedszkole, jak i Szkoła (a tym bardziej Mama) właściwie nie potrzebowały pomocy. Liczyła się sama obecność Wzorcowych. Przede wszystkim obecność.

Tamto stado było wyjątkowo liczne, liczyło trzydzieści osiem sztuk. Aż tyle z dwóch tylko roczników. W samą porę wyruszyły na Suwałki — Miasto dłużej nie zdołałoby utrzymać tylu ludzi. Jak zwykle, zdecydowaną większość grupy stanowili niepełni, ale były wśród nich dwa wyjątkowe okazy. Jakob i Ute. Fryderykowi trudno było zawyrokować co do Ute, dziewczynki cichej i raczej zamkniętej w sobie, ale co do chuderławego Jakoba, z wiecznie rozbieganymi oczami, nie miał wątpliwości: on to właśnie — jeśli przeżyje podróż — wróci do Monachium. Dołączy do Wzorcowych. Do Hansa i Irminy.

Siebie Fryderyk już nie liczył.

Usiłował przypomnieć sobie, kiedy to po raz pierwszy zwrócił uwagę na Jakoba. Chyba było to zaraz po powrocie z Suwałk, kiedy jako załamany dziesięciolatek pobiegł do Mamy szukać pocieszenia. W tamtym okresie Mama pękała w szwach, przebywało w niej grubo ponad pięćdziesiąt dzieciaków, na którą to liczbę była maksymalnie zaprojektowana. Można było zwariować od pisku i smrodu pieluch, tamtejsi Wzorcowi mieli naprawdę ciężki żywot, wiedział coś o tym Fryderyk, przecież akurat do nich dołączył. I wtedy raczkujący malec przycłapał do leżącego na podłodze dziesięcioletniego chłopca, tulącego się do matki i wypłakującego w nią swe żale. Położył się tuż obok, cichutko i delikatnie, i również zaczął płakać. Nie krzykliwie, roszczeniowo, jak to mają w zwyczaju najmłodszy, lecz skrycie, z żalem dorównującym rozpacz starszego towarzysza.

— A ty co? — zapytał zaskoczony Fryderyk, bezwiednie uspokajając się.

Jakob otarł łzy. Okrągłymi jak koraliki oczami wpatrywał się w przemawiającego do niego chłopca. Pociągnął nosem, po dziecięcemu zatrzęsł się wyrzucając z siebie pozostałość niedawnego szloch, i powiedział:

— Włócieś ydelyk.

Nie chodziło nawet o to, że nikt nigdy nie słyszał, żeby jakiś roczniak już nauczył się mówić; żeby ktokolwiek nauczył się mówić wcześniej niż chodzić. Rzecz w tym, że chociaż w Mamie znajdowała się grupka dzieci o ponadnormowej inteligencji, choć część z nich, jak na przykład Karl i Rudi, była przynajmniej pół roku starsza, to nikt, w najmniejszym nawet stopniu nie zareagował na powrót Fryderyka w sposób wskazujący na świadomość jego długiej nieobecności. To naturalne. Maluchy nie miały jeszcze pojęcia ani o Zanikaniu, ani o Suwałkach.

Odmienność Jakoba potwierdzała się w następnych latach. Był inny. Nieprzewidywalny. Kwestionujący autorytet Monachium. Dla takich podróży na zewnątrz, poza Miasto, jest szczególnie

niebezpieczna. Zwłaszcza, gdy jest się słabej kondycji fizycznej i wrażliwym na wirusy. Dlatego Fryderyk brał pod uwagę również Ute. Pracowitą, zawsze na czas wykonującą polecenia. Mógł być jeszcze Rudi, ale niespecjalnie lubił Rudiego. Może dlatego, że sam w dzieciństwie był słabowity, popychany przez osiłków, takich jak Rudi.

Ale to wszystko jest już przeszłością. Zarówno tamte lata, jak i minione niedawno dni, odeszły w inny wymiar czasu. Wczorajszy dzień stawał się równie odległy jak pierwsza rozmowa z Jakobem, jak fobie dzieciństwa. I jednakowo nieważny.

Istotne były nowe, wspaniałe doznania, dostępne wyłącznie LudziomWZaniku.

3

Okolo południa pojawiły się dzieciaki. Piętnaście sztuk. Dziewięciolatki z czwartej klasy, aktualnie ostatniej, nieco przetrzebionej, gdyż niektórych wcielono do grupy, która przed dwoma tygodniami opuściła Monachium.

Przybyły z Hansem. Wszystkie miały na głowach berety, umożliwiające stałą łączność ze Szkołą. Szkoła nie posiadała ruchomego terminala, jak to było w przypadku Przedszkola. Nie wiadomo dlaczego tak było, bo wszyscy kolejni Wzorcowi, bez wyjątku, byli zdania, że jeśli już, to powinno być raczej odwrotnie. Z przedszkolakami było więcej kłopotów, ale to uczniowie częściej wychodzili poza przeznaczone dla nich obiekty.

— Żyjesz jeszcze, Fryc? — błysnął czarnym humorem Hans.

— Nie mam zamiaru umierać — odparł poważnie Fryderyk, ale Hans udawał, że nie dosłyszał, albo rzeczywiście stał zbyt daleko.

Dzieciaki nałożyły przeciwsłoneczne okulary. Wszystkie zrobiły to równocześnie, zapewne powiadomione przez Szkołę. Czasami zdarzały się przypadki ślepoty, na szczęście krótkotrwałej, gdyż — mimo napomnień — ciekawskie oczy, szczególnie niepełnych, wędrowały ku Słońcu.

Bruno, dobrze rozwinięty ośmiolatek, lider klasy, wyjął z kieszeni szary kształt, strzelający na boki czarnymi jak noc oczkami, strzygący niecierpliwie wąsikami. Myszka. Jedyne zwierzę w Mieście. W Suwałkach jest ich mnóstwo, chyba z dziesięć, twierdził Hans, który tam właśnie ją zdobył.

Myszkę powierzyła Brunowi Irmina, która dzisiaj nie wybierała się na taras1. Wiedziała jednak, jak bardzo to małe zwierzątko uwielbia słońce i świeże powietrze, i w takich dniach zabierał je kto inny. O ile oczywiście Myszka nie dała nogi, przepadając na jakiś czas, dopóki głód nie zmuszał jej do powrotu, bezrozumnie nie zdając sobie sprawy, że wszyscy mają na względzie tylko jej dobro.

— Popatrz sobie — powiedział Bruno, stawiając Myszkę na posadzce, lecz wciąż trzymając za ogonek. Pamiętał o tym co mówiła Irmina: Nie puszczaj jej samopas, bo rozdepczecie.

Kiedy zaczęła się wyrywać, zniecierpliwiona, Bruno odszedł na bok, gdzie pod ścianą stała gęsto kratowana klatka, skonstruowana niegdyś przez Hansa. Do niej wrzucił mysz, zamykając uważnie drzwiczki.

Dołączył do pozostałych dzieci, które już biegały po tarasie. Większość podskakiwała, gaworząc po swojemu, wyciągając ręce ku górze, czasem odchylając okulary i zerkając na Słońce, co w czwartej klasie było już tolerowane. Wszak to ich grupa następnym razem wyruszy na Suwałki. Powoli powinni się przyzwyczajać. Żadne z dzieci nie zwracało uwagi na Fryderyka, ani tym

bardziej na całkiem już uprzedmiotowionego Nikodema. Na tarasie l bywały przynajmniej dwa razy w tygodniu, zdążyły zatem przywyknąć do ich stałej tu obecności.

— Jak się czujesz? — zapytał Hans, podchodząc bliżej Fryderyka.

— Coraz lepiej. — Szept był ledwie słyszalny w ogólnym harmiderze.

— Trochę ci zazdrościsz? — oświadczył nieoczekiwanie Hans.

— Zazdrościsz? — Oczy spod zdrewniałej szpary powiek błysnęły niekłamanym zainteresowaniem.

— Nic nie musisz robić.

— Ty też nic nie musisz robić.

— Akurat. Nie dostanę żarcia.

— Dostaniesz. Wystarczy, że jesteś. Wszystko inne to tylko propozycje Szkoły.

— Właśnie o to mi chodzi, że wciąż muszę być z nimi, szwendam się z czubami, w kółko to samo, oszaleć można!

— Jesteś Wzorcowym. Dzieciaki muszą mieć kogoś, kogo mogą naśladować. To ma sens.

— Uwaga! — Fryderyk podtrzymał dziewczynkę, która wpadła na niego w zabawowym szale i teraz cielecym wzrokiem wpatrywała się w zdrewniały tors.

— Nie poznajesz mnie, Sabinę? — Wysilił się na donośniejszy ton głosu, ale niewiele to dało: szept pozostawał szeptem.

Oczywiście nie odpowiedziała. Sabinę była czubem, ledwie na granicy normy i nigdy nie nauczyła się mówić.

— Baw się dalej! — Fryderyk delikatnie popchnął dziewczynkę. Pobiegła do rówieśników; nie wiadomo czy zrozumiała polecenie, czy też Szkoła zadziałała odpowiednim bodźcem poprzez beret.

— Po co tu Wzorcowy? — Hans wzruszył ramionami. — Tym czubom wystarczyłaby Myszka!

— Nie mów tak. Nie wszyscy są tacy.

— No to co, że nie wszyscy?! — zawołał zaczepnie Hans, wymachując gniewnie rękami.

Jeśli nawet spodziewał się odpowiedzi na swoje pytanie, nie miał okazji jej usłyszeć, ponieważ ledwie skończył mówić, jakiś cień padł na taras l.

Zaskoczony Hans spojrział w górę, akurat w chwili, kiedy błyskawicznie zamknął się tunel na tachioniebo. Błyskawicznie, ale za późno. Obiekt, który rzucił niespodziewany cień, już był wewnątrz miasta. Spadał w dół niczym pocisk. Nagle zatrzymał się; przecząc prawom grawitacji zawisł kilka metrów ponad tarasem l. Miał kształt kuli metrowej średnicy, nieco spłaszczonej z jednej strony. I piękny kolor soczystego brązu, za wyjątkiem miejsca spłaszczenia, gdzie dominował beż, tworzący pole w kształcie zwichrowanej elipsy.

Z bliska widać było, że pokryty jest mnóstwem złotych, miniaturowych liszai, drobnych ścieżek, przypominających może te na elektronicznych płytkach, lecz nie tak precyzyjnych, pełnych luków, zaokrągleń, w dodatku pozostających w ciągłym ruchu, wijących się, zanikających i powstających na nowo. Jedyne beżowy owal wolny był od tych zawirowań.

Żywokasztań. Owoc Żywozonu.

Czekał.

Wszystkie dzieciaki zastygły w bezruchu. Fryderyk niemal słyszał rozsadzające berety wołanie Szkoły:

— Nie ruszać się! Niech nikt się nie rusza!

Naturalnie ktoś musiał się poruszyć. Nie mogli tak stać w nieskończoność.

Padło na Sabine. Żywokasztań runął na nią w oka Mgnieniu, bezszelestnie obracając ku dziewczynce spłaszczoną stronę z owalnym, beżowym znamieniem. Gdy uderzył w drobne ciało,

powietrze przeszył nieprzyjemny zgrzyt, jaki wydają otarte o siebie metalowe elementy, zębatki zakleszczone zbyt gwałtownym przełożeniem. Sabine skuliła się, całkowicie pogrążając w brązowej masie owocu. Mimo to wciąż doskonale widoczny był zarys przykucniętej sylwetki, usta otwierające się łapczywie, najpewniej w zamiarze złapania oddechu, wytrzeszczone panicznie oczy. Wtem uspokoiła się. Pokręciła głową, w wyraźnym zdumieniu obserwując otoczenie.

— To miejsce nie nadaje się do życia — usłyszeli jej głos. Może niezbyt wyraźny, ale zrozumiwały. Były to pierwsze słowa w jej ośmioletnim życiu czuba. I ostatnie.

Chociaż — zdaniem Fryderyka — dziewczynka nigdy nic nie powiedziała. Nie ona.

Sabine jeszcze raz rozejrzała się po tarasie, jak gdyby chciała upewnić się co do swych deprecjonujących słów i zaraz potem zniknęła, a właściwie zniknął Żywokasztan, w którego wnętrzu się znajdowała. Rozległo się głośne „Pyk!”, gdy w zwolnioną przestrzeń wdarło się powietrze. Gwałtowny powiew, rzecz w Mieście niebywała, przetoczył się przez taras, z którejś głowy zrywając nawet beret.

Zrobiło się cicho. Jeszcze niedawno dziecięcy wrzask toczył się przez pół Miasta, a teraz cisza. Fryderyk patrzył na Hansa, Hans na Fryderyka, w obu spojrzeniach było to samo zdziwienie. Zaskoczenie. Już kiedyś zdarzyło się, że owoc Żywozonu trafił w tunel w tachionowej sferze. Wtedy również pochłonął dzieciaka. Ale nigdy nie zniknął.

Nie zniknął!

Nie porywał w niebyt swojej ofiary! Nie przepadał, jakby go nigdy tutaj nie było!

— EWAKUACJA! — Bezosobowy głos Monachium przetoczył się po tarasie 1, wrywając dzieci z transu. — TARAS 1 ZAMYKANY ZA DZIESIĘĆ SEKUND!

— Ewakuacja! — zapiszczała Szkoła we wszystkich beretach.

— DZIEWIĘĆ!

— Jazda! — ryknął poblady Hans. Rzucił się ku wyjściu.

— OSIEM!

Przy drzwiach zatrzymał się. Poganiał uciekające dzieciaki krzykiem i kuksańcami. SIEDEM! Monachium beznamiętnie liczyło sekundy.

Jedna z dziewczynek przewróciła się.

— SZEŚĆ!

Hans przyskoczył, pomógł jej wstać, (PIĘĆ!) wcisnął na głowę obłuzowany beret i popchnął ku wyjściu, brutalnie i w pośpiechu, że omal ponownie nie upadła. CZTERY! Fryderyk nie tylko nie dostrzegał strachu na twarzy czternastolatka, ale wręcz wydało mu się, że takiego ożywienia nie widział na niej jeszcze nigdy dotąd. Jakby chłopak wreszcie znalazł się w swoim żywiole.

— TRZY!

„To miłe, że w sytuacjach zagrożenia jednak potrafisz się zachować, Hans”, myślał Fryderyk, „Może im potrzeba właśnie takich jak ty, a nie podobnych do mnie? Któż to wie?”

Nie starczyło czasu, żeby powiedzieć to głośno.

— DWA!

— A ty, Fryc?! — krzyknął Hans. Ostatnia dwójka dzieci wybiegała z tarasu 1. Istny cud, że się udało.

— JEDEN!

Fryderyk patrzył łagodnie. Nie poruszał się.

— Zostaję z Nikode...

— ZAMYKAM!

Hans wyskoczył. Jeszcze nie opadł po drugiej stronie, a stalowa groź ruszyła z cichym szumem.

Trzasnęły klamry. Syknęło powietrze, ulatujące z próżniowego zamka.

— Nie wydaje mi się, żeby to miejsce było dla mnie niebezpiecznie — mówił dalej Fryderyk, jakby nie zauważył, iż został sam.

Przez jakiś czas wpatrywał się w zamkniętą grodz. Nie czuł nic. Ani radości, że wszystkim udało się uciec, ani żalu, że nie jest z nimi. A przecież nie byli mu obojętni. Życzył im jak najlepiej. IM.

Podszedł do Nikodema.

— Chyba bliżej nam do Żywokasztana niż do tych dzieciaków — powiedział swym karykaturalnym szeptem.

Nagle poczuł nieodpartą chęć stanięcia obok Nika — ramię w ramię, jeśli zwrot ten ma w tym przypadku jakikolwiek sens — i porównania się z nim. Niczym dziecko, które przymierza się do starszego kolegi, pragnąc przekonać się, jak wiele mu jeszcze do niego brakuje. Uczynił to.

W opalizującej ścianie tarasu 1 niewyraźnie odbijały się ich nieludzkie sylwetki. Dwie bryły, kokony lub trumny, któż to może wiedzieć? I któż przejmowałby się takim drobiazgiem, skoro terażniejszość jest tak upojona, każda chwila pełna ciepła i ciszy. Gdyby tylko jeszcze raz otworzył się tunel tachionieba i wspaniałe światło wróciło na taras 1. Niczego więcej nie potrzeba do życia. Niczego więcej.

Coś zaszeleściło. Szszszsz...

Fryderyk obejrzał się.

Źródłem dźwięku był Żywokasztan. Powrócił. Wielka kula leżała na posadzce, dokładnie w tym samym miejscu, w którym wcześniej znikła. Brązowa powierzchnia była obecnie ciemniejsza, niemal czarna. Złote liszajowe ścieżki — teraz bardziej widoczne na kontrastowym tle — jeszcze żywiej tańczyły po powierzchni. Nie był przejrzysty jak wówczas, gdy wchłonął Sabinę, nie można więc było stwierdzić, czy dziewczynka wciąż znajduje się w jego wnętrzu.

Wtem zaczął pękać. Rysy rozchodziły się promieniście z kilku centralnych punktów. Jak po hartowanej szybie, w którą uderzyło kilka kamieni. Szelest stał się donośniejszy, doszły trzaski, wyraźne oznaki pękającego materiału.

Żywozonoowy owoc eksplodował z hukiem. Poczerniały czerep rozpadł się w kawałki, na ułamek sekundy odsłaniając żółty miąższ. Zaledwie na ułamek sekundy, ponieważ zaraz i wewnątrz Żywokasztana rozpadło się, strzelając wokół niezliczoną ilością malutkich igieł. Przynajmniej kilkadziesiąt z nich wbiło się w korę ciał Fryderyka i Nikodema, reszta, całe tysiące, odbijała się od twardych ścian tarasu 1, ześlizgiwała się po nich, zaścielając podłogę.

Oniemiały Fryderyk wpatrywał się w liczne otworki na swojej przemienionej skórze. Z niektórych wystawały końcówki podłużnych pestek, z innych nie, widać wbiły się głębiej. To samo u Nikodema. Próbował wyciągnąć jedną, jednak palce miał niezgrabne, zeszywniałe j bez czucia, nie udało się. Więc pochylił się i jakoś zdołał zebrać kilka z posadzki, gdzie w niektórych miejscach, pod ścianami, utworzyły się małe kopczyki.

Zbliżył do oczu rozwartą dłoń. Pestki były wilgotne, wciąż lśniły miąższem Żywokasztana. Długie najwyżej na trzy milimetry, grube na jeden, spłaszczone, krótkie igły. Nasiona? Jeszcze raz obejrzał swoje ciało. Nic nie bolało, może trochę w momencie uderzenia, tak, coś wtedy poczuł, ale raczej łaskotanie niż ból. Jeśli to rzeczywiście nasiona, to co z nich wykiełkuje?

Fryderyk rozejrzał się raz jeszcze, szukając śladów zniszczenia i jego wzrok padł na stojącą pod ścianą klatkę. Myszka! Rzucił igły i zbliżył się. Leżała na boku. W pierwszej chwili wydało mu się, że okrągłe oczka, błyszczące fioletem guziki, spoglądają na niego z wyrzutem, obwiniając o ból, ale nie była to prawda. Myszka nie mogła czuć niczego, ponieważ była martwa. Na szarym futerku wykwitły dwie czerwone plamki. Niewątpliwie ślad po igiełkach, które bez problemu wbiły się w

miękkie ciało; może nawet przeszły je na wylot, uszkodzając wnętrze.

Fryderyk wyjął z klatki małe ciało. Było zupełnie zeszywniałe, jakby wyjęto je z lodowni. Jak to możliwe? Kołek przeturlał się po jego dłoni. Wyszczzerzone zębki raz znikwały, raz pojawiały się, niczym w upiornym kalejdoskopie.

IV. Suwałki

1

— Patrzcie! — powiedział Rudi. Na horyzoncie widniała czarna plama. Kopuła. Wierzchołek sfery, która zdawała się drgać, rozmywać

niczym tusz na bibule, ale było to tylko złudzenie. Takiej czerni nie widuje się nigdzie indziej. Nie sposób pomylić jej z niczym. Miasto w tachionowym kokonie.

Suwałki.

Całe stado ożywiło się. Maruderzy żwawo dołączali do stojącej grupy, wszyscy gestykulowali, oczy strzelały wokół, jednakowo rozgorączkowane, bez względu na stan umysłu. Każdy wiedział, że dotarli do celu.

— Słuchajcie uważnie — powiedział Tata, gdy wszyscy byli już przy nim. Mówił powoli, głośno jak zawsze, gdy chciał być dokładnie zrozumiany. — Gdy dotrzemy do granicy Miasta, niech każdy oprze ręce na kopule. Ręce! — powtórzył. — Całe dłonie na kopule! Znacie tę pozycję, uczyliście się w Szkole.

Prawie wszyscy przytaknęli.

— Obserwujcie sąsiadów — przypomniał Tata, mając na myśli przede wszystkim niepełnych. — Róbcie to, co inni...

— Nie mogę się doczekać, kiedy Suwałki nas zabiorą — szepnął Jakob.

— Jak tam jest? — zapytał Karl.

— Skąd mam wiedzieć?

— Często rozmawiałeś z Fryderykiem...

— On nawet nie dostał się do środka. Podobno Hans był tam przez chwilę, ale wiesz jaki jest Hans, trudno cokolwiek z niego wydobyć.

— Trochę się boję — oznajmił Karl.

— ...Wszyscy tak zrobią — kontynuował Tata. — Oprócz Jakoba i Ute. Oni zostaną na zewnątrz. Ze mną.

Oprócz Jakoba i Ute!

Przez chwilę panowała cisza. Tylko kilku niepełnych, zupełnie nie rozumiejących sytuacji, gaworzyło coś po swojemu.

— Dlaczego ja? — zapytał zrozpaczony Jakob.

— Dlaczego dwoje? — zapytała Ute. — Nigdy nie słyszałam, żeby wracało dwoje?

— Jesteście pierwsi na liście powrotów — wyjaśnił Tata. — Coś stało się w Monachium. Nie wiem co. Ale otrzymałem jasne wytyczne. W tym roku ma wrócić dwoje.

Stado bez problemów sformowało kolumnę; taki szyk, trójka za trójką, był podstawą na uliczkach Monachium. Ruszyli. Początkowo opiekun jechał przodem, potem zwolnił. Dzieci minęły go, a on kazał im iść dalej. Zostali tylko Jakob i Ute, oboje niezadowoleni. Dlaczego dzieci tak garną się do

zmiany? Nie potrafił tego zrozumieć.

Wreszcie odezwały się Suwałki. Wtedy Tata zatrzymał się na dobre.

Maszyny zdolne były do odbioru wyłącznie kodu własnego Miasta. Dlatego sygnał Suwałk biegł do ich własnego satelity, stamtąd do modułu satelity Monachium i dopiero znów na Ziemię, do Monachium. Tam mógł — ale nie musiał — po przekodowaniu wrócić do satelity i zostać przekazany Tacie. W tym układzie odpowiedź wcale nie była odwróceniem schematu. To nie Tata odpowiadał. Odpowiadało Monachium, bezpośrednią drogą łączności międzysatelitarnej. To, co Tata słyszał, było zdublowanym sygnałem. Żeby wiedział, co się dzieje. Co najwyżej, mógł do swojego Miasta wysyłać zapytania.

W rezultacie to Suwałki rozmawiały z Monachium. Tata tylko czekał. Obserwował dzieciaki.

Wszystkie rozstawiły się już przy kopule, wspierając się o nią rękami, tak jak przykazano. Jasne dłonie — nim napotkały opór — częściowo ginęły na głębokość kilku milimetrów w czarnej, niestabilnej sferze. Żadne z dzieci nie wytrzymało tego za pierwszym razem. Cofały ręce w niekontrolowanym odruchu. Ale za drugą lub trzecią próbą udawało się. Tachiosfera sama w sobie nie była niebezpieczna. Ona tylko filtrowała rzeczywistość, co w praktyce oznaczało, że nie przepuszczała żadnej cząstki posiadającej masę spoczynkową. Większości energii ruchu również nie.

Czarny fragment tachiosfery — ten, przy którym tkwiły dzieci — zaczął zanikać, rozpraszać się w mgiełkę, wciąż Jaśniejącą, aż wreszcie całkiem przeźroczystą.

Tata obserwował to ze spokojem: rutynowy proces WeJścia do Miasta. Odmiennie niż Jakob i Ute, podekscytowani, mrugający nerwowo błyszczącymi oczami. Wydawałoby się, że w takiej chwili zapomnieli o niepowodzeniu jakie ich spotkało.

Nie zapomnieli. Przynajmniej nie Jakob.

W pewnej chwili poderwał się, wypuszczając z dłoni rękę Ute. Wyskoczył naprzód, aż poleciały w górę wyrwane butami grudki ziemi i już biegł w kierunku Suwałk. Nie była to duża odległość, pędził ile sił, więc w ciągu paru sekund już był przy kopule. Wpadł na nią w ostatniej chwili, w lukę między Hermanem a czubem Lotharem, akurat gdy resztki czerni rozpadły się całkowicie. Widział Miasto. Suwałki. Jednak przegroda, choć przeźroczysta, pozostawała na swoim miejscu, czuł ją pod dłońmi, pod każdym opuszką palców. Przestraszony, próbował cofnąć się, ale nie było to już możliwe. Coś trzymało. Jakby stał się częścią niewidzialnej ściany.

Tkwili tak wszyscy, jedno przy drugim, trzydzieści cztery znieruchomiłe małe sylwetki, chłopcy i dziewczynki, przybysze z Monachium.

A potem tachiosfera przesunęła się w oka mgnieniu; ruch ten widoczny był powyżej dziecięcych głów, gdzie kryształ kłębił się z węglem, tworząc nadproże bramy do Miasta. Przesunięcie nie było duże, może metrowe, ale wystarczające, by pochłonąć dziecięcy szereg. Jakby wszechpotężny olbrzym nakrył ich naporstkiem.

Kopuła Suwałk znów stała się czarna. Niedostępna. Swoiste zjawisko Schwarzschilda. Nagle cofnęła się ze zgrzytem, jękiem oranej ziemi; dokładnie w poprzednie miejsce.

Zapadła cisza.

Wyciągnięte do przodu ręce straciły oparcie. Przewrócili się wszyscy, bez wyjątku. Padali w

łtoku, objając się o siebie, ale chóralny wrzask nie oznaczał okrzyków bólu, lecz raczej ekscytacji. Ci, którzy nie polecili wystarczająco daleko, poczuli na piętach nacisk przesuwającej się ściany.

Wstawali powoli, niektórzy tylko siadali, rozcierając zbolące miejsca. Głowy obracały się wokoło, w oczach lśniła ciekawość, ale i cień lęku.

Sklepienie było identyczne jak w Monachium, mleczone z niebieskim odcieniem, lecz ze znacznie większą krzywizną; bliskość horyzontu oznaczała, iż Suwałki są mniejszym miastem. Inne elementy również były podobne: te same pobawione kolorów chodniki, szare ściany budynków, może trochę więcej gruzu i śmieci, a może i nie, tylko nie zostały tak dokładnie zgrupowane w pryzmy i zepchnięte na bok.

Gwar rozmów cichł stopniowo, w miarę gdy kolejne oczy trafiały na sylwetki dwojga ludzi, tkwiące nieopodal, na samym środku ulicy. Nie tak łatwo było je dostrzec, chociaż stały w całkowicie odsłoniętym miejscu.

Duchy.

Mężczyzna i Kobieta. Oboje dorośli, czyli w wieku, gdy nie powinno się już być człowiekiem.

W Monachium nigdy nie było żadnych duchów, ale każde dziecko doskonale wiedziało, kim one są. Duchy to ci, którzy dawno już nie żyją, ale zaglądają w teraźniejszość. Mogą być przyjazne — to te, które potrafią się z nami porozumieć — lub obojętne, które w ogóle nie wiedzą, że istniejemy. Tak uczyła Szkoła. Fryderyk twierdził, że niegdyś, jeszcze przed wojną, niektórzy ludzie bali się duchów. Trudno było w to uwierzyć. Być może Fryderyk zmyślał. Lubił wymyślać rzeczy, których sam mógłby się bać. Taki już był.

Eteryczna para wciąż stała nieruchomo. Wydawałoby się, iż są jedynie delikatnym, ulotnym malunkiem, powietrznym mirażem, dopóki kobieta nie odwróciła głowy do swego towarzysza. Coś powiedziała. Nie słyszeli co — lecz nie dlatego, żeby znajdowali się zbyt daleko.

Ducha nie można usłyszeć bezpośrednio. Duch mówi w innym miejscu i w innym czasie.

Mężczyzna skinął głową, przyglądził krótkie włosy. Jego wargi poruszały się bezdźwięcznie, jak przed chwilą usta kobiety.

I nagle:

— *Czy już są?* — zagrzmiało w ciasnej uliczce. Wszystkie dzieci momentalnie ucichły. Zaskoczony Jakob rozglądał się dookoła. Nie on jeden. Nie widzieli nikogo poza tamtą dwójką.

— *Zdaje się, że tak.*

Półprzeźroczyste postacie spoglądały teraz w ich kierunku. Mniej więcej w ich kierunku — bo w rzeczywistości wyglądało na to, że wcale ich nie widzą, lecz jedynie spodziewają się, gdzie mogą być.

— Kto to mówi? — zapytała Greta.

— Oni! — odarł niepewnie Jakob.

Teraz na duchy patrzyły już wszystkie dzieci. Niektóre czuby nawet wyciągały ręce, szukając u towarzyszy potwierdzenia niezwykłego zjawiska.

— Przecież mają zamknięte buzie.

— Teraz tak, ale...

Na przekór jego słowom, usta kobiety poruszyły się. Znów coś mówiła, ale niemo, jak gdyby stała za dźwiękochłonną szybą. Przemowa była nieco dłuższa, a gdy skończyła, uśmiechnęła się przyjaźnie, gestykulując zachęcająco i pokazując coś za sobą. Zaraz po niej odezwał się mężczyzna.

Po długiej, kilkunastosekundowej zwłóce usłyszeli:

— *Witajcie dzieci. Nie bójcie się! Jesteście tu bezpieczne. Zaopiekujemy się wami. Pewnie chcecie odpocząć? Tam są wasze kwatery. Zaprowadzimy was. Idźcie za nami. Proszę.*

— O rany! — krzyknął Rudi. — Słyszemy ducha! Jak...

— *Niech nikt się nie zgubi. Mamy niewielkie możliwości kontroli. Sami musicie się pilnować.*

Przynajmniej na razie.

— ...Jak one to robią? — skończył pytanie Rudi.

— To chyba nie ich głosy — odezwał się Karl. — Zauważ, że brzmią identycznie. Jakby mówiła ta sama osoba.

— A ile dotąd słyszałeś duchów, co? — zapytał drwiąco Rudi.

— Nooo... żadnego.

— Więc skąd możesz wiedzieć, że ich głosy nie są identyczne, matole?

— Sam jesteś matolem!

— To Suwałki — wtrącił się Jakob. — Słyszemy głosy Miasta. Ono tłumaczy słowa duchów.

— W jaki sposób?

— Skąd mam wiedzieć? — Ręka Jakoba wykonała niecierpliwy gest.

— Ale te duchy rzeczywiście mówią jakoś dziwnie — zauważyła Greta. — Takie krótkie zdania.

Może... może są trochę, no wiecie... niepełni?

— Albo wiedzą, że jesteśmy czubami i jeśli nie mówi się do nas krótko, to my: ani be, ani me — kontynuował swoje zaczepki Rudi.

— Mów o sobie!

— *Wszyscy idą za nami!* — skandował głos. Nie wiedzieli, które z duchów to powiedziało. Przegapili tę chwilę, a teraz oba już odwróciły się i bardzo powoli przemieszczały się w głąb uliczki.

— To co robimy? Idziemy, jak sobie życzą? — zapytał Rudi.

— A masz inny pomysł?

Większość dzieci i tak już podążała za niewyraźnymi sylwetkami duchów, zdających się falować w powietrzu, jakby w tym miejscu podłoże rozgrzane było do wysokiej temperatury.

— Miałeś zostać z Tatą — powiedział Karl do Jakoba.

— Miałeś wrócić do Monachium. Razem z Ute.

— Ale nie zostałem.

— Jak mogłeś nie posłuchać Taty?

— Mogłem! — krzyknął z nieoczekiwaną złością Jakob i pobiegł naprzód.

Wyprzedził idące dzieci, doganiając duchy. Przez jakiś czas szedł obok, krok w krok, kołysząc się podobnie jak one. Żaden nie zareagował, co upewniło go, że duchy rzeczywiście nie są w stanie dostrzec tego, co się wokół nich dzieje. Jak tamten mężczyzna z kartką na plecach, myjący beztrąsko ręce. Ale on nie wiedział, że jest obserwowany. Nie miał Pojęcia, że wyszedł poza ramy swojego czasu.

A te duchy wiedziały.

Nic pewnie nie czuły. Wszelkie zmysły pozostały w ich odległym świecie, ale jakimś sposobem potrafiły jednak się komunikować. Jakim? Czy to może raczej Suwałki znalazły sposób skomunikowania się z nimi?

Jakob potknął się i poleciał głową do przodu, omal nie padając na ziemię. Przeniknął przez duchy, fizycznie nie odczuwając niczego. Przecież tak naprawdę wcale ich tam nie było. Kiloro dzieci, widząc to, podbiegło i powtórzyło wyczyn kolegi. Z wrzaskiem przeskakiwały przez idące spokojnie sylwetki, za każdym razem tak samo rozśmieszony kompletnym brakiem reakcji atakowanych.

— *Wszyscy idą za nami!* — powtarzał ten sam monotony głos.

Doszli do skrzyżowania. Duchy skrzyły w prawo i zatrzymały się przed prowadzącymi głęboko w dół schodami. Wyglądało to na wejście do tunelu, podobnego do tego, jaki dzieci znały z Monachium. Ale nad tamtym wisiała złuszczone tablica „WZORZEC”. Nad tym nic nie wisiało.

Duchy odwróciły się, nie zdając sobie sprawy, że większość dzieciarni znalazła się przed nimi. Błądziły oczami ślepców po opustoszałej ulicy. Poruszały wargami.

— Cisza! — krzyknął Jakob, z miernym raczej skutkiem. Czuby nieźle się bawiły. Nie tylko czuby zresztą.

— *Wszyscy wejdziemy do tunelu* — zabrzmiało bez—, osobowo. Ten głos przypominał Jakobowi Monachium, i Głos Mamy, Szkoły... Trochę się różnił, ale tylko barwa; poza tym tak samo monotony, prawie bezakcentowy. Dzieci nigdy tak nie mówiły. Pułkownik również nie. Tak mówiły Miasta.

Jakob przypomniał sobie, że Hans — który był tu kilka lat temu — twierdził, że Suwałki posługują się dziwnym językiem, przez co nie można zrozumieć ani jednego słowa.

— Suwałki mówią po polsku — wyjaśnił Fryderyk—’ — Znajdują się na terenie, który kiedyś nazywał się’ Polska.

Fryderyk dużo czytał i dlatego wiedział więcej od Hansa, chociaż nigdy nie znalazł się pod kopułą Suwałk; wrócił stamtąd, tak jak wróci Ute, otarłszy się jedynie o nieznanne. Wrócić miał też Jakob, gdyby nie uciekł.

Dzisiaj Suwałki nie mówiły po polsku. Przynajmniej wszystko na to wskazywało, skoro rozumiałe było każde słowo. Hans albo zmyślał, albo — z jakichś powodów — wtedy było inaczej. Ale Hans nie wspominał również ani słowem o duchach. To oczywiste, że się z nimi nie spotkał.

„*Czy już są?*”, czyż nie tak zabrzmiały pierwsze słowa wypowiedziane przez duchy?

Najwyraźniej ich oczekiwały.

Byliśmy spóźnieni, zdał sobie sprawę Jakob, zamarudziliśmy przez zmianę Taty i mój pobyt w temporalizatorium. Duchy czekały, aż przybędziemy. A skoro można się spóźnić, to można i przybyć za wcześnie. Najwyraźniej Hans przybył za wcześnie.

— *Wszyscy do tunelu* — uśmiechał się zachęcająco mężczyzna. Powtarzał to kilkakrotnie i akurat ruchy jego warg zgrały się z mechanicznymi słowami, skutkiem czego choć na chwilę umknęło wrażenie nierealności.

On mówi po niemiecku, zorientował się Jakob, a Suwałki po prostu wiernie powtarzają słowa. A to oznaczać mogło tylko jedno.

Że duchy doskonale orientują się, skąd przybyło stado.

3

Jakob z Rudim pierwsi weszli do podziemnej hali. Zatrzymali się u stóp schodów, zaskoczeni jej wielkością. Pozostałe dzieci tłoczyły się za ich plecami. Nie próbowały przepychać się do przodu, uznając przywództwo dwójki chłopców.

Hala była bardzo wysoka, z mnóstwem filarów. Miała tylko dwie ściany i strop: wzdłuż przecinały ją cztery stalowe belki, idealnie proste, ułożone w płytkich wykopach. Rozstawione co kilka metrów, biegingły z jednej strony hangaru i ginęły w ciemnościach po przeciwnej. W oczy rzuciła się czarna strzałka na białym tle i napis „WARSZAWA”. Nikt nie wiedział co to znaczy. Nieco dalej obok „PERON 2”, była taka sama strzałka, tyle, że skierowana w przeciwną stronę. „KLAIPEDA”.

Również niezrozumiała.

— *Jezu! Ale tu cuchnie!*

— *Agata, pozwól tutaj.*

— *Wentylacja siada.*

— *Masz ich?*

— *Skąd mam wiedzieć? Ty mi powiedz.*

— *Czy ktoś jest głodny? Pytam czy...*

— *Wygląda, że tak. Schodzą po schodach, grzeczni jak...*

— *Co za pieprzona robota!*

— *...aniołki. Gdyby moi tu przyszli, rozpirzyliby...*

— *Gdzie Agata? Cholera, gdzie jest Agata? Nigdy...*

— *Ty to nazywasz jedzeniem?*

— *...jej nie ma, jak jest potrzebna.*

Nie śmieli się ruszyć. Wszędzie były duchy. Niektóre stały, inne siedziały na niewidzialnych krzesłach, jeden nawet wisiał w powietrzu, w na wpół leżącej pozycji. Przytłaczał nieustający potok słów, z którego nie sposób było cokolwiek zrozumieć. Nawet Jakob nic nie mógł pojąć. Hans nie kłamał. Właśnie teraz Suwałki mówiły po polsku.

— *Przestańcie! Już są! Przestraszycie ich. To przecież dzieci!*

Nieoczekiwanie zapadła cisza. Jakob odsunął się, pozwalając przejść napierającym z tyłu towarzyszom. Kobieta, która ich przyprowadziła, stała teraz przy innym duchu, tym unoszącym się w powietrzu. Pochylała się i oboje obserwowali sobie tylko widoczny punkt w przestrzeni. Wyprostowała się, popatrzyła na wejście do tunelu i pomachała ręką.

— *Nazywam się Weronika. Wejdźcie. Nie bójcie się* — usłyszeli poniewczasie jej słowa. Znów je rozumieli, znów przerzuciła się na polski.

— *Co ona z tym baniem!? Może sama ma stracha?* — roześmiał się nerwowo Karl.

Rudi wzruszył ramionami.

— *Co to za miejsce?* — krzyknął do kobiety.

— *Co chcecie z nami zrobić?* — zapytał ktoś inny.

— *Ja tam chcę pić.*

— *A ja chcę siku.*

— *Lothar już się ssikał!*

— *Czy jest tu jakaś Mama?*

— *Jest dla was jedzenie* — informował obojętny głos. — *Będziecie mogli się przespać.*

Odpocząć. Jutro przybędzie Spitsbergen.

Niektóre dzieci nie słuchały. Dalej słały pytania i żale, nie rozumiejąc, że nikt ich nie słyszy. Że do żadnego z tych kilkunastu dorosłych, mieniących się tęczą poświatą w przygaszonym świetle podziemi, nie dociera ani jedno ich słowo. Trudno było to zrozumieć, zwłaszcza, iż akurat teraz wszystkie duchy patrzyły w miejsce tunelowego zejścia, gdzie skupiła się grupa dzieci.

Jeden z duchów powstał ze swego nieistniejącego krzesła. Podeszedł do kobiety, która przedstawiła się jako Weronika i coś rzekł, krzywiąc się z wyraźnym niezadowoleniem. Weronika odpowiedziała mu, zatrzepotała śmiesznie ramionami, jakby wstrząsnął nią zimny dreszcz i podeszła bliżej wpatrzonych w nią dzieciaków.

— *Trzydzieści cztery.*

— *Dużo. Mamy tyle He3?*

— *Mamy. Ale nie wiem co będzie dalej.*

— *Nikt nie wie.*

Tuż przed nimi pochyliła się. Gdyby nie to, że jej oczy wciąż zmieniały położenie, mogliby przysiąc, że ich widzi. Jakob zmarł. Miał w pamięci liczbę wymienioną przez niezadowolonego mężczyznę. Trzydzieści cztery. Był pewien, że się wydało. Wiedzą, że jest o jedno dziecko za dużo.

— *Jesteście gotowi? Jeśli tak, to zaprowadzę was.* Nie wiedzą. Jakob odetchnął. Wszystko było w porządku.

Poszli za Weroniką, jak chciała. Rudi celowo prze—szył widmową postać pólężącego mężczyzny, reszta dzieci nie pozostała w tyle — każdy z duchów został przekroczony kilkakrotnie. Podążali wzdłuż stalowych szyn, do miejsca gdzie stał wysoki słup z dwoma światłami, czerwonym i zielonym. Żadne się nie świeciło.

— *Jeden został!* — rozległo się wołanie. Znow wypowiedziane po polsku, ale gdy Jakob odwrócił w tył głowę, zorientował się o co chodzi.

Przy tunelowym zejściu stał Karl. Samotny, oddzielony od nich poruszającymi się sylwetkami duchów.

— Karl, co z tobą?

— Boję się — odpowiedział Karl.

— *Co mogę zrobić?*

— *To co zawsze. Nic.*

Jakob zawrócił. Kilka dzieci instynktownie chciało iść za nim, ale powstrzymał je Rudi: — A wy dokąd?!

— *Co robią?*

— *Zatrzymali się. Chyba zauważyli co się stało.*

— *Mamy iść.*

— *Poczekaj chwilę. Jeden wraca.*

— Karl! — zawołał Jakob. — Jeśli zostaniesz sam, będziesz się bał jeszcze bardziej.

Stał przy skurczonym w siedzącej pozycji duchu, który bezustannie przebierał palcami obu rąk, wyciągniętych przed siebie, trzymany na wysokości żołądka. Najwyraźniej celowo, delikatnie opukiwał jakiś przedmiot. To chyba ten duch wołał, że ktoś pozostał.

— Dlaczego wy się nie boicie? — spytał żałośnie Karl.

— Trochę się boimy. Ale robimy co do nas należy.

— Co należy? Co to w ogóle znaczy?

— To znaczy, że musimy być razem. Jesteśmy jednym stadem. Karl! — głos Jakoba nieco zadrżał.

— Czy chcesz się bać jeszcze bardziej?

— Nie chcę.

— To chodź.

Karl otarł rękawem nos, skinął głową i powoli ruszył naprzód. Ominął duchy, przeciwnie niż jego rówieśnicy. Razem z Jakobem wrócili do reszty.

— Wrócili! — dobiegła spóźniona informacja, gdy tworzyły się drzwi w bocznej ścianie podziemnego gmachu.

— Guten Tag! — przywitał ich głos. Wreszcie w innym brzmieniu. Bardziej człowieczy, choć niezupełnie: jak głos Taty. Od razu poczuli się różniej.

To przywitanie pochodziło od stojącej nieopodal wejścia maszyny; niewielkiej — tak się zrazu wydawało, gdyż wysokością ledwie dorównywała wzrostowi dziecka — lecz z boku przylegało doń kilka modułów, niczym małe cysterny do lokomotywy. Wyglądały na wymienne. Ale to nieważne. Istotne było, iż jedna z cystern była najprawdziwszym kranem, a dwie następne podajnikiem planktonu.

— Nazywam się Zawiadowca — powiedziała maszyna. — Jak ktoś chce, może mnie nazywać Dyżurnym Ruchu, bez różnicy, ani jedno, ani drugie nie jest prawdą...

— To jest poczekalnia — weszła mu w pół zdania Weronika. Już zdążyli przyzwyczaić się, że jej słowa dobiegają spóźnione, w dodatku skądś z góry, a nie z miejsca, w którym się znajdowała.

— Nie zwracajcie na nią uwagi — oznajmiła maszyna. — Biedna kobieta nie widzi nas ani nie słyszy, nic zatem dziwnego, że...

— *Ktoś da wam jedzenie.*

— No właśnie — skwitowała maszyna. — Ale przynajmniej wie, że tu jesteście. Natomiast o moim istnieniu, jak widać, nie ma pojęcia. Wyjaśniam zatem, że ten ktoś, to ja! I rzeczywiście zamierzam głodnych nakarmić, a spragnionych napoić.

— Śmieszcie mówi — rzekł Jakob do Karla, który zdołał już pokonać stres.

— Mam nadzieję, że mówię śmiesznie — powiedział Zawiadowca. — Takie mam wytyczne: być zabawnym, dzieci łatwiej akceptują zabawnych. Na przykład takich którzy wyskakują z nienacka i mówią: A kuku!

— A kuku?

— I takich, co dają jeść! — zawołał Rudi.

— I takich też — zgodziła się maszyna. — Jak widać spełniam wiele warunków, żeby się wam przypodobać. Zatem do dzieła.

Niepotrzebna była następna zachęta. Rzucili się wszyscy. Dopiero teraz zdali sobie sprawę, jak są głodni i spragnieni. A tu jeszcze trzeba było czekać na swoją kolej. Mimo tego, zwyczajowo, najpierw przepuścili niepełnych.

— Co to znaczy, przypodobać? — zapytała Greta.

— Podlizać, ptasi mózdzku.

— Żebyście mnie polubili, młoda damo — ciągnął niezrażony Zawiadowca.

Greta zachichotała.

— Naprawdę jest zabawny — stwierdziła.

— Patrzcie! — zawołał niespodziewanie Karl. Przez drzwi zaglądał duch.

Tylko część ulotnej postaci znajdowała się w poczekalni, reszta pozostawała za zamkniętymi drzwiami. Dziwaczne prezentowała się głowa, z nerwowo podrygującymi wargami. Być może był to ten sam mężczyzna, który przywitał ich w Suwałkach, towarzysz Weroniki, a może ktoś inny — duchy były tak do siebie podobne, że trudne do rozróżnienia, szczególnie gdy nie stały obok siebie.

— *Weroniko, nie mamy Spitsbergenu!*

— *Co?! Może to tylko błąd transmisji?*

— *Oby...*

Znów mówili po swojemu i nikt nic nie rozumiał.

— *Już idę!*

Mężczyzna, zniknął bezszelestnie. Weronika podążyła za nim, również nie zadając sobie trudu otwarcia drzwi. Dla nich pozostawały otwarte. Może w ich czasie w ogóle nie były zamykane.

— *Zostawiam was. Na razie. Mam nadzieję, że wszystko w porządku* — rozległo się w pomieszczeniu, już po zniknięciu Weroniki.

— I nie bójcie się — zaciągnął Rudi, wspinając się na palce i naśladowując głos Suwałk.

— *I nie bójcie się niczego. Czuwamy nad wami.*

Większość dzieci wybuchła śmiechem. Nawet Karl, niepomny swego wcześniejszego zachowania.

— Nie ma się czego śmiać — rzekł przytomnie Jakob. — Skoro Weronika tak powtarza te słowa, to widać jest zdania, że się boimy. Może ma jakieś podstawy, żeby tak sądzić? Może powinniśmy się bać?

Wszyscy momentalnie ucichli.

— Nie strasz — powiedział Karl.

— Nie strasz, mój miły chłopcze — powtórzył jak echo Zawiadowca. — To tylko duchy. Mają bardzo mgliste pojęcie, jak tu jest naprawdę.

— Czyjej świat był bezpieczniejszy? — zapytał Jakob.

— Nie był. Mimo to ludzie umierali jak muchy. Ale umiał zachować pozory. Tutaj pozorów nie ma.

— Nic nie rozumiem. Zdaje się, że nasz Dyżurny Ruchu zaczął mówić po polsku — skwitował Rudi.

— Co to są muchy? — spytała Greta.

— Dlatego Weronika sądzi, że żyjecie w ciągłym strachu — dokończył Zawiadowca. — A tymczasem dla was to zwykłe: A kuku!

— Wiem! — oznajmił z triumfem Jakob — Ona wyobraża sobie siebie na naszym miejscu. Myśli, że będąc w takim położeniu, bardzo by się bała.

— Otóż to! — przytaknął Zawiadowca. — Bardzo trafne spostrzeżenie. Jak masz na imię, przesympatyczny osobniku?

— Jakob — odpowiedział Jakob.

Wzięli się za posiłek. Było tylko kilka kubków, więc rozlano sporo wody, gdy paru rozgorączkowanych niepełnych próbowało na gwałt ugasić pragnienie. Na szczęście było ciepło i nikomu to nie przeszkadzało. Stratą wody nikt się nie przejmował, w kranie nigdy jej nie brakowało. Za to z planktonem poszło bez kłótni: podajnik wypluwał niewielkie paczuszki, każdemu kto tylko podstawił rękę. W dodatku nie trzeba było pilnować, żeby ktoś — jak zwykle w takich sytuacjach — nie zjadł za dużo, gdyż pokarm miał smak nieco odmienny, niż ten, do którego przywykli, więc każdy poprzestawał na zaspokojeniu pierwszego głodu.

Pomieszczenie poczekalni wydawało się duże, ale gdy wszyscy porozkładali się na ławkach i stołach wcale nie zostało wiele wolnego miejsca. Zwłaszcza, że większość potraktowała swoje siedliska jak łóżka.

Nieco przygasło światło. Dziecięce oddechy stawały się coraz cięższe. Teraz, gdy się najedli, zmęczenie wygrywało. Wkrótce wszyscy zasnęli.

Suwałki. Podziemia. Poczekalnia. Leżał w bezruchu, z otwartymi oczami, obserwując źródła światła. Było ich wiele, niektóre w kształcie dużych, przyćmionych płaszczyzn, z reguły oświetleniowe; inne mniejsze, nawet całkiem mikroskopijne, za to w różnych kolorach. Nad drzwiami wyróżniało się mlecze koło z cyframi na obwodzie i dwoma czarnymi pałeczkami różnej długości. Widział coś podobnego w Monachium. Zegar. Na takich planszach dawno temu pokazywano czas.

Wstał z twardej ławki. Omijając śpiące na ziemi dzieci, ostrożnie zbliżył się do drzwi wejściowych. Zastygł na moment, wyczekiwał reprimendy, był prawie pewien, że zostanie upomniany, nic takiego jednak się nie stało. Suwałki milczały. Może pozostawiały mieszkańcom więcej swobody niż Monachium, albo — co również było prawdopodobne — nie miały tak bezpośredniego kontaktu z ludźmi. Milczał również Zawiadowca. Jakob spojrział na swój pager. Gotów był się założyć, że jest bezużyteczny.

Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Nic nie usłyszał. Cisza. A gdyby tak...?

Obejrzał się za siebie, odnajdując wzrokiem Zawiadowcę. Maszyna tkwiła w tym samym miejscu, w którym wcześniej wydzielala pożywienie. Może nie potrafiła się poruszać?

— Też się zastanawiam, co mogło się stać — powiedział Zawiadowca głosem zniżonym do szeptu, żeby nie obudzić śpiących.

— Czy... — Jakob zająknął się, nie potrafiąc sformułować pytania. — Czy coś jest nie tak?

— Nie wiem — odparł Zawiadowca. — Może cię to dziwić, ale tutaj obieg informacji nie jest scentralizowany. Monachium, o ile dobrze się orientuję — a orientuję się dobrze, wszak wiele przyjałem stamtąd transportów — doskonale kontroluje swe części składowe. Tutaj jest inaczej. Suwałki są najmniejszym Miastem w całej Europie. Problem w tym, że nie przewidziano, iż ocaleje. Prawie do samego końca ważniejszym ośrodkiem był Białystok. I pewnie by tak zostało, gdyby nie czasododatni kontakt.

— Ja nie bardzo rozumiem o czym mówisz — oznajmił Jakob.

— No tak, rzeczywiście. Ale nie szkodzi. Coś zrozumiesz, czegoś innego nie. Taka już twoja dola, szacowny rozmówco. Nikt nie jest w stanie zrozumieć wszystko.

Ktoś poruszył się na jednej z ławek, mruknął przez sen i zmienił pozycję. Przez chwilę balansował na krawędzi legowiska, w końcu jednak siła ciężkości zwyciężyła i runął na podłogę. Usiadł, potoczył wokół nieprzytomnym spojrzeniem. Wybąkał kilka niezrozumiałych słów i położył się. Spał dalej.

— Ale coś jest nie w porządku, prawda? — Jakob powrócił do swego problemu.

— Tak — odparł Zawiadowca. — Weronika zawsze spędza noc z dziećmi.

— Dlaczego tym razem wyszła?

— Dlaczego nie wraca! — uściśliła maszyna. — Były jakieś kłopoty ze Spitsbergenem. Widać są nadal. Niepokoi mnie to, ale nie mogę się stąd ruszyć.

— Ale ja... mogę? — bardziej stwierdził, niż zapytał Jakob.

— Ty możesz — przytaknął Zawiadowca. — Zrób to, genialny przedstawicielu ludzkości. Zrób, proszę.

Jakob chwycił za klamkę. Obrzucił spojrzeniem poczekalnię, śpiące dzieciaki i majestatycznego Zawiadowcę. Ostrożnie przekroczył próg i zamknął za sobą ciężkie drzwi. Znów stał przed stalowymi belkami, biegnącymi ze strony „KLAIPEDA” do „WARSZAWA”; lub odwrotnie, zależnie od punktu widzenia. Było cicho i chłodno. Przez chwilę miał ochotę wrócić do znacznie bardziej swojskiej poczekalni i przyjaznego Zawiadowcy, jednak ciekawość zwyciężyła. Podążył w kierunku, z którego nadeszli z Weroniką. Jeśli czegokolwiek miał się dowiedzieć, to właśnie tam.

— *Wciąż nic?*

— *Nic.*

— *A ty, Duda?*

— *Szukajcie dalej!*

— *Po co? Wszystko jest jasne.*

Duchy były dokładnie tam, gdzie przedtem. Wciąż zmieniały miejsca, niektóre znikaly, by po kilku minutach pojawić się ponownie. Większość jednak tkwiła w pozycjach siedzących, wsparta na niewidzialnych krzesłach, obsługując niewidzialne urządzenia. Trajkotały bez przerwy, ale Jakob nie rozumiał ani słowa w tym miękkim, szeleszczącym języku, który nazywał się polskim.

— *To koniec. Spitsbergen trafił szlag.*

— *Nie mów tak!*

— *A jak mam mówić? Kiedyś musiało tak się skończyć. Wszyscy o tym wiedzieliśmy.*

— *Wcale nie! Spitzbergen jest za kołem polarnym Żywozon tam nie...*

— *Ble, ble, ble!*

Jakob podszedł bliżej. Czuł się trochę nieswojo. Co innego być w grupie dzieci, a co innego samotnie wchodzić pomiędzy duchy. Zwłaszcza, że trudno jakoś przyzwyczaić się, że nikt cię nie widzi. Że nie jesteś nawet duchem.

— *Co robisz, Wielicki?*

— *Piszę raport.*

— *Po cholere! Dla kogo piszesz ten raport? Może dla mnie, co? Przecież nie ma już nikogo, kto będzie mógł go przeczytać...*

— *Nigdy nic nie wiadomo.*

— *Wiadomo, wiadomo...*

— *Uwaga! Ktoś tu jest!*

Jakob zorientował się, że już od jakiejś chwili duchy skupiły się w jednym miejscu, przy mężczyźnie z wiecznie rozedrganymi palcami.

— *Ktoś ze Spitsbergenu? Więc jednak udało się im...*

— *Nie sądzę.*

— *To dzieciak!*

— *Gdzie Weronika?*

— *Jestem.*

— *To chyba ktoś z twoich.*

— *Jesteś pewien?*

— *Skąd, do diabła, mogę być pewien. Widzę to samo co ty. To tylko punkt, cholerny punkt na ekranie monitora. Ja jedynie rozumiem logicznie, kobieto.*

Przed Jakobem pojawiła się Weronika. Była tak blisko, że nie mógł się powstrzymać, żeby nie spróbować jej dotknąć.

— *Podobno jesteś genialnym fachowcem, mężczyzno.*

— *Gówno tam! Geniuszem są Suwałki. Nasz fachowiec nic nie wie.*

— *Możesz się zamknąć?*

Oczywiście ręka przeszła powietrze. Przez przezroczystą jak szyba postać wyraźnie widział rozświetlony hangar i znacznie mniej wyraźnie inne duchy.

— *Zamknij się, Wielicki. Jak możesz się czepiać? Tadeusz wykonuje najważniejszą robotę. Zresztą, to w końcu on stworzył Suwałki.*

— *Czasem w to wątpię. Przecież on nic nie wie. Nawet nie domyśla się, jakim sposobem nawiązały z nami kontakt. Wytwór mądrzejszy od Boga. Jajo mądrzejsze od kury.*

— *Lepiej pisz swoje raporty, palancie!*

— *Przestańcie! Przecież ten dzieciak wciąż tu jest!*

— *Przepraszam, Weroniko.*

— *W porządku. Mam pomysł! W którym dokładnie miejscu znajduje się nasz ciekawski?*

— *Gdzieś tam.*

— *Gdzieś, czy na pewno.*

— *Na pewno.*

Niespodziewanie kobieta pochyliła się nad Jakobem. Wyglądała strasznie z tymi swoimi długimi włosami, ciemnymi plamami na powiekach i jakimiś przedmiotami w uszach, chyba zapętlonymi kawałkami metalu. Gdyby nie to, że tęczówki jej oczu skierowane były nieco za daleko, można by pomyśleć, że naprawdę go widzi. Poruszyła wargami i wtedy przypomniał sobie, że słyszy słowa duchów z opóźnieniem, zastygł więc wyczekująco. I rzeczywiście doczekał się.

— *Tschüß!* — wreszcie zrozumiałe słowo! — *Jeśli jesteś z Monachium, dziecko, przesun się w prawo, a potem wróć w to samo miejsce, dobrze? Niczego się nie bój, to tylko taka zabawa.*

Niczego się nie bój! Mimo wszystko, ta kobieta chyba nie jest normalna. Ale Jakob zrobił jak chciała.

— *I jak tam, Tadziu?*

— *Nic. Albo cię nie słyszy, albo to jednak ktoś inny. Ale poczekamy, może jest opóźnienie.*

Wtem galaretowata postać podskoczyła, niemo klaszcząc w dłonie, całkiem jak dzieci u Mamy.

— *Udało się!* — dotarło po jakimś czasie.

— *Mam na imię Weronika.*

— Przecież wiem. Mówiłaś już — odparł pobłaźliwie Jakob. Napięcie, które paraliżowało go początkowo, znikło zupełnie. Nie bez znaczenia, była tu świadomość, że wśród duchów również mogą być niepełni. To, w jakiś sposób, je ucłowieczało.

— *Powtarzamy?*

— *Nie. Nie trzeba. On mnie słyszy.*

— *Co robimy?*

— *Trzeba mu powiedzieć.*

— *Co to da?*

— *Powinni wracać do Monachium. W Suwałkach nie przeżyją miesiąca.*

— *Wielicki, co ty na to? W końcu jesteś tu szefem*

— *A dajcie wy mi wszyscy święty spokój! Mam dość! Róbcie jak chcecie!*

Kilka duchów dołączyło do Weroniki. Zaglądały ciekawie, błędząc wzrokiem.

— *Posłuchaj dziecko. Właściwie nic o tobie nie wiem, nożna tylko że pochodzisz z Monachium. Nie wiem nawet czy jesteś chłopcem, czy dziewczynką. Ale to nieważne. Rzecz w tym, że Spitsbergen nie może odebrać twojej grupy. Nie wiemy tego na pewno, ale prawdopodobnie został zniszczony. Nie możecie zostać w Suwałkach, musicie wrócić, dopóki jest to jeszcze możliwe, dopóki maszyna, która was przyprowadziła, jeszcze czeka na He3— Im szybciej wyruszyacie, tym lepiej. Rozumiesz mnie? Jeśli tak, powtórz proszę ten manewr co wtedy, przesun się w prawo, żebyśmy mogli to zobaczyć na komputerze.*

W tej wypowiedzi były słowa, które dla Jakoba brzmiały obco, lub których znaczenia nie był pewien, jednak ogólny sens wydał mu się oczywisty. Nie udało się! Wróci do Monachium! I nie tylko on, wrócą wszyscy. Kompletna klęska! Nigdy nie słyszał o takim przypadku. Nikt chyba nie brał czegoś takiego pod uwagę.

— *I co?*

— *Poczekaj...*

Po krótkim namyśle, zdecydował się zmienić pozycję, żeby wiedzieli, że się zgadza. Trudno! Tak widać musiało być.

— *Poruszył się!*

— *Brawo! A teraz najważniejsze. Słuchaj uważnie! Wiemy, że Żywozon znacznie się uaktywnił. Wiemy to na pewno. Dlatego uważajcie. Nie zbliżajcie się do niczego, co mogłoby pochodzić od niego. Ostatnia wiadomość, jaką dostaliśmy ze Spitsbergenu, dotyczyła zrzucania jakichś Żywokasztanów. Nie mamy pojęcia o co chodzi, co to są Żywokasztany, ale być może wy to wiecie. A jeśli nie wy, to wasza maszyna...*

— Tata — wtrącił Jakob.

— *...W każdym bądź razie, uważajcie. I lepiej będzie, jeżeli nie powiesz o tym innym dzieciom, przynajmniej dopóki nie będzie to konieczne. Mogłyby się wystraszyć i...*

Chłopiec wymownie wznosił oczy ku górze.

— *...popęlnić jakieś głupstwo. To chyba wszystko, j sobie sprawę, że musisz mieć mnóstwo pytań, ale niestety nie ma żadnej możliwości, żebyśmy mogli porozmawiać. To i tak istny cud, że w ogóle wiemy o waszym istnieniu.*

— *Cały wasz świat jest cudem.*

— *Cholernym, przeklętym, cudem!*

— *Przestań, Wielicki!*

Znowu zaczęli rozmawiać po polsku. Przez jakiś czas Jakob wsłuchiwał się w całkowicie obcy bełkot. W końcu wzruszył ramionami i odszedł. Wracił do poczekalni. Do prawdziwych ludzi, z których najstarszy miał zaledwie jedenaście lat.

6

— No to popatrz na mnie, uroczy młodzieńcze. — Zawiadowca nieoczekiwanie błysnął zielonkawym światłem. — To ja jestem Spitsbergen.

Wokół stały dzieci, wszystkie już przebudzone, niektóre powchodziły na ławki, żeby lepiej widzieć.

— Nie możesz nim być? — oświadczył Jakob. — Spitsbergen to Wędrujące Miasto, nie myśl, że o tym nie wiemy.

— Oczywiście — zgodził się Zawiadowca. — Jestem Spitsbergenem w takim sensie, w jakim wasz Tata jest Monachium. Chodzi o to, że nie należę do Suwałk, lecz do Spitsbergenu. Zostałem tu umieszczony, żeby przygotować takich jak wy do podróży na Północ.

— Na Północ?

— Poza krąg polarny. Tam gdzie pyłki Żywozonu nie są w stanie przetrwać. Spitsbergen miał was tam zabrać.

— Ale nie zabierze, prawda? — zapytała cichutko Greta.

— Nie zabierze. Wygląda na to, że Spitsbergen nigdy już nikogo nie zabierze.

— Nie żyje?

— Można i tak powiedzieć. Zapadła cisza.

— Idźcie już, przemili osobnicy — rzekł Zawiadowca.

— Weronika ma rację. Musicie wracać i to jak najszybciej. Dopóki Tata jeszcze nie odjechał. Bez Taty nie macie szans.

Nikt się nie odezwał.

Jakob zorientował się, że wszyscy patrzą tylko na niego. Nawet Rudi. Stali wokoło, mniejsi i więksi, normalni i czuby, a w każdym z tych spojrzeń widział to samo wyczekiwanie. Decyduj!

— Chodźmy — powiedział. Był nieco zmieszany tym nagłym uznaniem. — Wracamy do Monachium!

Pierwszy podszedł do otwartych drzwi poczekalni i ostentacyjnie wyciągnął rękę. Dzieci przechodziły, jedno po drugim, aż wreszcie został sam. Wtedy po raz ostatni odwrócił się do Zawiadowcy i zapytał:

— Tam, gdzie zaprowadzić miał nas Spistbergen, ludzie nigdy nie zmieniają się w nie ludzi, prawda?

— Nie zmieniają.

— To musiało być wspaniałe Miasto — westchnął Jakob.

— Zależy od punktu widzenia — oświadczył Zawiadowca. — Tak czy siak, musisz wiedzieć, że Spitsbergen właściwie nie był Miastem.

— Jak to nie?

— Różnił się od tych, jakie znasz. Przede wszystkim tym, że nie powstał na bazie istniejącej architektury. Zbudowano go od podstaw, w miejscu, gdzie ziemia pokryta jest wiecznym lodem, gdzie powietrze nawet latem jest jak ten lód zimne, ale i jak on czyste. Dlatego to, co wędrowało do Suwałk, bardziej przypominało gigantyczną maszynę, niż Miasto jakie znasz.

— Dlatego mogło się przemieszczać?

— Dlatego.

Przez drzwi zajrzał Rudi.

— No co jest? — zapytał z niecierpliwością w głosie. — Idziemy czy nie? Czuby się rozbiegły. Jeszcze który się zgubi.

— Oczywiście, że idziemy — odparł spokojnie Jakob.

— Żegnaj Spitsbergenie! — zwrócił się do Zawiadowcy.

— Żegnaj Człowieku!

Jakob raz jeszcze skinął głową, uśmiechnął się smutno i wyszedł w ślad za Rudim.

W podziemiach hałasowały czuby. Dawno nie były tak niezdyscyplinowane. Ganiały się wokół słupa „KLAIPEDA”, kilka stoczyło się do wykopu ze stalowymi belkami. Basowe echo wzmocniało ich krzyki i śmiechy.

Mimo to, panował jakiś... spokój? Cisza? Dopiero po chwili Jakob zorientował się w czym rzecz.

Duchy zniknęły.

V. Szlak na Monachium

1

Z opuszczeniem Suwałk nie było problemu. Tym razem tachiosfera zachodniego krańca Miasta nie przesunęła się swym ślimaczym ruchem. Nie musieli nawet ustawiać się w szereg jak wówczas, gdy wchodzili do wnętrza kopuły. Wystarczyło po prostu przejść, nie zwracając uwagi na przeszkodę. Nikt z dzieci nie zastanawiał się czy to ściana usuwała się w niebyt, czy też może raczej oni na moment przeistoczyli się w duchy. Nie był to problem, który mógłby ich zainteresować. Tak po prostu było. Ważne, że w ten sposób wydostali się z Miasta.

Tata stał dokładnie w miejscu, w którym go pozostawili. Nie odjechał, co Jakob przyjął z ogromną ulgą, wręcz z niedowierzaniem. Przez cały czas dręczyło go przeczucie, że wyjdą z Suwałk i zastaną tylko pustą równinę, jednakową aż po horyzont. Nie będzie Spits—bergenu, który mógłby zaprowadzić ich na Północ, do tajemnej krainy szczęśliwości, ani Taty, przewodnika do Monachium, krainy spokoju.

Tymczasem Tata czekał, jakby minęło zaledwie kilka minut od chwili, gdy go opuścili. Lecz teraz z kolei dopadły Jakoba innego rodzaju obawy. Przecież uciekł, wbrew decyzji o powrocie z Ute do Monachium...

— Suwałki poinformowały Tatę o wszystkim — powiedział uradowany Rudi, wtajemniczony w wątpliwości Jakoba. — Wiedziałem, że nas nie zostawi!

— Wiesz może, co to jest He3? — zapytał Jakob.

Rudi popatrzył na niego z ukosa.

— Nie mam pojęcia.

— Tata miał dostać He3. Ciekawe czy dostał.

— A co to jest? — spytał z kolei Rudi.

— Ty pytaj mnie, bo ja pytam ciebie — odparował Jakob. — Ale z tego co słyszałem od duchów, Tata oczekiwał na jakieś He3.

— Nie na nasz powrót?

— Nie.

Na korpusie Taty siedziała Ute; biały motyl na olbrzymim szarym kamieniu, z niezwykle skupieniem wpatrujący się w przestrzeń przed sobą. Być może pojawienie się grupy dzieci wydało się jej tylko snem, bo wciąż tkwiła w bezruchu, nie przyjmując do wiadomości, że to wszystko dzieje się naprawdę.

— Hej, Ute! — zawołał Jakob, wesoło machając rękami. — Jesteśmy! Wracamy z tobą!

Wracamy z tobą! Przynajmniej był jakiś plus w całym tym niepowodzeniu. Bardzo lubił Ute, prawie tak jak Fryderyka.

— Hej! — zawołał raz jeszcze i zaczął biec kierunku dziewczynki. Za nim ruszyły pozostałe dzieci.

W pewnej chwili Jakob zaczął zwalniać. Inni wyprzedzali go, nie dostrzegając zmiany, jaka dokonywała się na twarzy chłopca. Biegli ku Tacie, przekrzykując się, rozradowani, jakby osiągnęli właściwy cel wędrówki. A Jakob już tylko szedł, coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymał się. Od Ute dzieliło go kilkanaście metrów. Z tego miejsca widział ją dokładnie, wysokie czoło, kształtną, gładką głowę — jakże odmienną od makabrycznych włosów Weroniki — wystawioną wysoko na długiej szyi. Ręce miała splecione na piersiach, mocno zaciśnięte, aż marszczyło się ubranie. I niewiarygodnie szeroko otwarte oczy, jakby ze szkła.

Jak ze szkła!

Szarożółta cera lśniła niczym wysmarowana oliwą. Wyglądało to upiornie. Patrzyło się nie w twarz człowieka, lecz odlaną wiernie maskę.

Pierwsza podeszła Greta. Ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła nieruchomej dziewczynki. Ciało było zimne; zeszywniałe. Powiodła dłonią po twarzy. Stał. Opuszkami palców odważyła się dotknąć znieruchomiałych gałek ocznych i przekonała się, że nie tylko wyglądem przypominały szkło. W dodatku rzęsy kłuły jak igły. Greta cofnęła się, nieco wystraszona i zahaczyła niezgrabnie o wystawione w przód łokcie. Posąg zachwiał się i nie powrócił już do pierwotnej pozycji. Ześliznął się z pancerza Taty, z głośnym stukiem uderzył w ziemię.

Dopiero wtedy podbiegł Jakob. Usiłował podnieść Ute, która upadła wprost na twarz. Ledwie mu się to udało z pomocą Rudiego.

— Ute... — szepnął, oczyszczając z piasku woskowe oblicze.

— Ona nie żyje — wypowiedział oczywistą prawdę Karl. — Nie wiedziałem, że to tak wygląda. Wszystkie dzieci tłoczyły się wokół, zupełnie milczące. Nawet nie było słychać oddechów.

— A Tata? — zapytało któreś.

Jakob wyprostował się. Wymienili z Rudim przerażone spojrzenia.

— Tato?! — zawołali, niemal równocześnie.

— Tato! — powtórzył bezładny chór głosów.

Wielka monachijska maszyna z zewnątrz wyglądała tak jak zawsze, ale widać w jej wnętrzu coś się zmieniło, bo choć wołali długo jeszcze, na przemian prosili i walili pięściami w stalowy tors, wciąż nikt im nie odpowiadał.

2

Coraz bardziej oczywiste stawało się, że czegokolwiek by nie robili i tak nie zdołają wrócić do Suwałk. Miasto, czarna twierdza na bezkresnej przestrzeni, pozostawało nieczułe na wszelkie próby przedostania się niego. Wielokrotnie powtarzali wciąż te same czynności — zapamiętane z pierwszego przejścia — nic to jednak nie dawało. Najwyraźniej zabrakło jakiegoś podstawowego elementu. Może właśnie kontaktu z Tatą? Albo z Monachium? Co stało się z Tatą — widzieli na własne oczy. Nie rozumieli tego, ale widzieli. Cóż jednak mogło stać się z Monachium?

W końcu zmęczone czuby zaczęły się buntować. Chciały jeść i pić, i nijak nie można im było wyjaśnić, że dopóki nie wejdą do Miasta, nie dostaną ani jednego, ani drugiego.

Zresztą, wszyscy mieli dość, nie tylko czuby.

Zapadał zmrok i zrobiło się chłodniej. Po raz pierwszy w życiu dzieci zapowiadała się noc pod gołym niebem; nie w Mieście i nie w stawianym przez Tatę szczelnym namiocie, na ciepłych

materacach, z uspokajająco szumiącym w górze wentylatorem. Nic zatem dziwnego, że kolejno odchodziły od ponurej kopuły Suwałk i kierowały się w przytulniejsze, ich zdaniem, miejsce. Ku coraz słabiej widocznej w ciemnościach bryle Taty, który choć niemy, był na tym pustkowiu jedynym elementem pocieszenia. W końcu pozostali tylko Rudi i Jakob. Usiedli, wsparci plecami o ścianę tachiosfery.

— Co teraz zrobimy? — zapytał zrozpaczony Rudi. Głos miał zmęczony i ochryply. Chciało mu się pić. Wszystkim strasznie chciało się pić.

— A skąd niby ja mam to wiedzieć? — odburknął Jakob.

— Przecież to ty mówiłeś, żeby wracać!

Jakob milczał. W gruncie rzeczy czuł się winny.

Siedzieli w ciszy, obserwując siniejące niebo. Na północy widać już było kilka drżących gwiazd, srebrzystych punkcików, lecz nie na te czekali, wpatrując się w zenit. Wreszcie pojawiły się i tam, najpierw jedna, być może wołająca trochę wcześniej nim ją dostrzegli, a zaraz potem następne.

Zielone gwiazdy.

Od tych przy północnym skraju horyzontu różniły się nie tylko kolorem, ale i intensywnością blasku. Były Przygaszone, jak małe żaróweczki pokryte zbyt grubą warstwą farby. Szybujący wysoko Żywozon tłumiał ich blask, większości światła zapewne w ogóle nie przepuszczał, a to co przechodziło, rozpraszał intensywną mgiełką, rzecz jasna również zieloną.

— Żywozon jest rośliną — powiedział Jakob.

Rudi drgnął, wyrwany z zamyślenia.

— To przecież wiadomo — odparł, nieco zdziwiony.

— Rzecz nie w tym, że mówiła to Szkoła — wyjaśnił Jakob — ale w tym, co widzę na własne oczy. Rośliny są zielone. Spójrz, Żywozon jest zielony.

— O co ci chodzi?

Jakob trzymał głowę wciąż wysoko uniesioną, oczy utkwione w górze.

— Zastanawiam się — rzekł.

— Nad czym?

— Czy wiesz, skąd wziął się Żywozon?

Zamiast odpowiedzi Rudi rozłożył ręce.

— I nie jesteś ciekaw?

— Chyba jestem...

— To dlaczego nigdy nie zadałeś tego pytania w Szkole? — Jakob przeniósł wzrok na Rudiego.

— Dlaczego nikt z nas nigdy o to nie zapytał? Nad tym właśnie się zastanawiam.

Rudi wzruszył nieznacznie ramionami.

— Nie pytaliśmy również, skąd się wzięły inne rzeczy. Po prostu są, zawsze były.

— Nie zawsze. Popatrz na północ. Tam gwiazdy nie są zielone i widać ich o wiele więcej. Bo tam nie ma Żywozonu. Nad Spitsbergenem też nie ma Żywozonu.

Niespodzianie, gdzieś w oddali, jasny błysk przeszył ciemniejące niebo. Nie był zielony.

— Burza!

Wśród dzieci przeszedł szmer. Burza?! Jednak, choć gorliwie nasłuchiwali przez kilka dobrych chwil, nie usłyszeli grzmotu, będącego zwykle następstwem wyładowania. Widocznie jednak nie była to burza. Może meteory. Jakob czytał trochę o meteorach. Kiedyś oglądał je nawet na nocnym niebie. Co prawda, kopuła Monachium nie była na tyle przejrzysta, by można było dostrzec ich jasne trajektorie, ale co pewien czas Szkoła zarządzała wyjście na zewnątrz, szczególnie w okresie przed wymarszem do Suwałk. Któregoś wieczoru mieli okazję ujrzeć istny pokaz. Leonidy — tak zabawnie

nazywał się tamten rój.

Leonidy także były zielone, ale gdy któryś przeszył Żywozon, jego ostatnie tchnienie miało już kolor ognia.

— Trzeba iść do czubów — powiedział Jakob. — Mogą się bać.

— Przecież nic nie kumają! — odparł ponuro Rudi.

— Kumają więcej, niż ci się wydaje. Poza tym, nie powinniśmy się rozdzielać, szczególnie w nocy. Jesteśmy jednym stadem.

— Stadem... — powtórzył niechętnie Rudi, ale wstał z miejsca.

Wolnym krokiem ruszyli w kierunku Taty.

Godzinę później dwie kolejne białe smugi zatańczyły ponad horyzontem i wówczas Jakob nabrał pewności, że to jednak nie są meteory. Zbyt długo pozostawały widoczne i w dodatku zmieniały prędkość ruchu. Przypominały raczej zjawisko, które widzieli kilka dni temu, co prawda za dnia, ale latające obiekty zachowywały się identycznie jak tamte. Jak spadające Żywokasztany.

Ledwie o nich pomyślał, coś stuknęło nieopodal, jakby nagle któryś owoc Żywozону ściągnięty został samym tylko o nim wspomnieniem. Chłopiec rozejrzał się czujnie, ale w mroku niewiele było widać. Stuk powtórzył się.

— Rudi — szepnął zaniepokojony Jakob.

Rudi nie odpowiedział. Spał, podobnie jak większość dzieci. Ale wołanie usłyszał czub Lothar, który podpełzł natychmiast, na czworakach. Wyseplenił coś niezrozumiale.

— Ciii... — uciszył go Jakob i pochwycił pulchną dłoń. Zawsze raźniej we dwójkę. „*Nie bójcie się*” — czyż nie tak powtarzała uporczywie Weronika, duch odległej przeszłości? Teraz nie wydawało się to takie śmieszne.

Wytrzeszczał oczy aż do bólu, usiłując dociec źródła dźwięku. I nagle ich zobaczył.

Gdyby nie to, że siedział wsparty o jedno z kół Taty, pewnie by ich przeoczył, zlaliby się z ciemnym tłem ziemi, ale z żabiej perspektywy odcinali się od granatu nocnego nieba. I to wcale wyraźnie — teraz, kiedy wiedział już, gdzie patrzeć — nawet jakby trochę fosforyzowali.

Dwie człowiecze sylwetki.

Od razu wiedział, kim są, chociaż więcej musiało być w tym dziecięcej intuicji niż rzeczywistej percepcji. Wszak trudno rozróżnić cienie.

Poderwał się z ziemi, podekscytowany.

— Widzę was! — krzyknął, nie zważając na śpiących towarzyszy. — Dlaczego się chowacie?

Jedna z postaci zbliżyła się. Druga, ta wyższa, zakołysała się tylko i pozostała w miejscu.

— Nie chowamy się — powiedziała kobieta w kapeluszu. — Obserwujemy.

Podeszła jeszcze bliżej. Przestraszony Lothar uciekł, chowając się za korpus Taty. Przy okazji do reszty rozbudził innych, depcząc po nich bez pardonu.

— Kto to? — Rudi stał już za plecami Jakoba. Głos miał od razu trzeźwy, jakby wcale nie spał.

— Cyborgi — odparł Jakob, nie odwracając się i nie spuszczać z kobiety oczu. — Żołnierze z Bunkra. Opowiadałem ci.

— Co tu robicie?! — Rudi odważnie wyszedł przed Jakoba. Pięści miał zaciśnięte, szczęki mocno zwarte, aż drgały mu mięśnie na policzkach.

— Nie wiemy.

Ta zaskakująca i w jakiś sposób bezbronna odpowiedź uspokoiła Rudiego. Rozładowała napięcie, najpewniej dlatego, że musiała być szczerą, a podświadomie oczekiwał kłamstwa lub agresji. Nie sposób, żeby ktoś, odpowiadając w ten sposób, nie mówił szczerze. „Nie wiemy”!

— Pułkownik najpewniej nie żyje — oznajmiła kobieta cyborg. — Wszedł do temporalizatorium

i zapowiedział, że już nigdy stamtąd nie powróci. Powiedział również, że bez niego jesteśmy bezwartościowi. Że powinniśmy poszukać innych ludzi.

— Mnie? — zapytał Jakob.

— Tego nie sprecyzował. Sami podjęliśmy taką decyzję.

— Podjęliście? — Rudi badał ciemności gwałtownymi ruchami, strzelając wokół oczami.

— Drugi jest tam! — Jakob wskazał kierunek. Rudi cofnął się o krok. Na jego twarzy wciąż malował się ten sam, waleczny wyraz.

— Daj spokój! — zaprotestował Jakob. — Nie są niebezpieczni. Oni tak tylko wyglądają. Zresztą, gdyby chcieli, już dawno zrobiliby z nami porządek. Ten tam — machnął ręką w ciemność — porusza się jak błyskawica. Gdy mnie wtedy złapał, podniósł w górę jak piórko.

— Czy cyborgi mają imiona? — zwrócił się do kobiety.

— Pułkownik nazywał mnie Maxą — odparła wymijająco. — I był z tego pomysłu bardzo zadowolony, ponieważ mój partner to Ernst.

— Żył niegdyś człowiek nazwiskiem Max Ernst — wyjaśniła, widząc niezrozumienie na chłopięcych twarzach. — Pułkownik twierdził, że przypominamy mu postacie, które Max Ernst utrwał na płótnie. Będąc nietrzeźwym, Pułkownik niejednokrotnie deklarował, że prędzej czy później, upodobni nas do nich całkowicie. Ale nigdy tego nie zrobił. Chociaż... — dotknęła ręką swojej głowy — ten kapelusz to jego pomysł. Na pewnym obrazie...

Niespodziewanie zza Taty wyskoczyła Greta.

— Ja chcę pić! — oświadczyła, patrząc błagalnie na kobietę w kapeluszu.

— Macie może kran? — zapytał niepewnie Jakob. Wydawało mu się, że minęły wieki, nim usłyszał odpowiedź Maxy: — Mamy kran.

Te słowa zrozumiały wszystkie dzieci, bez względu na poziom umysłowy. Kran to woda, którą można ugasić pragnienie. Jeśli przed sekundą czuły respekt przed nocnym gościem, obcym o niesamowitym wyglądzie, to teraz zupełnie o tym zapomniały. Obstały kobietę, jedno przez drugie domagając się kranu. Wtedy w polu widzenia pojawił się drugi żołnierz z Bunkra, mężczyzna o dziwnym torsie, kojarzącym się z LudźmiWZaniku. Tuż za nim podążał niewielki pojazd. Przez moment Jakobowi wydało się, że to Zawiadowca, który przybył z pomocą z Suwałk, może nawet z wiadomością, że Spitsbergen jednak nie zginął.

Cyborg uniósł nieco dłoń i zapalił flarę. Wyglądało to tak, jakby zapłonęła cała jego ręka. Zrobiło się jaśniej.

Nadjeżdżający pojazd nie był Zawiadowcą. Najwyraźniej należał do cyborgów, ponieważ właśnie z niego Maxa wyjęła nieduży sześcian z wylewką. Te żółto-niebieskie paski każdy doskonale znał. Kobieta dotknęła wylewki, z której natychmiast popłynął strumień wody. Prawie wszyscy rzucili się do niego, zapominając o dyscyplinie, jakby minęło kilka dni, odkąd ostatnio pili, a nie najwyżej kilkanaście godzin.

— Czy to pod kapeluszem to włosy? — spytał cicho Rudi, stojący wciąż w tym samym miejscu. Nie przyłączył się do ogólnego zamieszania.

— Włosy — mruknął Jakob. — A niby co ma być?

— Rety! Jeszcze dziwniejsze od Weroniki.

— Są sztuczne — usłyszeli nieoczekiwanie głos kobiety-cyborga. Słyszała chłopców, choć mówili cicho i stali w znacznej od niej odległości. — Wszystko co mam, jest sztuczne. Za wyjątkiem tego elementu w głowie — dotknęła własnego czoła. — Choć i to niezupełnie.

— A plankton? — Znow pojawiła się Greta, z mokrymi plamami na ubraniu i kroplami wody na twarzy.

— Ona pyta o jedzenie — wyjaśnił Jakob, przypomniawszy sobie, że w Bunkrze zamiast planktonu spożywano kawałki jakiegoś twardego pokarmu.

— Plankton wymyka się tej klasyfikacji — oznajmiła spokojnie Maxa, kierując na dziewczynkę szklany wzrok swych pozbawionych rzęs oczu. — Jest organiczny, lecz równocześnie sztuczny.

Rzecz jasna, Greta nie rozumiała odpowiedzi. Ale i nie o nią jej szło.

— Czy macie też plankton? — sprecyzowała. — Jesteśmy głodni.

— Nie mamy nic do jedzenia — poinformowała cyborg. — Dla nas jest nieprzydatne. He3 wystarcza nam w zupełności.

Rudi spojrział znacząco na Jakoba. Powrócił wzrokiem do cyborga.

— Tata miał dostać He3 od Suwałk — oznajmił.

— Czy...

— Od Suwałk? — przerwała mu Maxa, z wyraźnym zainteresowaniem. — Nie wiedziałam, że Suwałki mają He3.

— Może wcale nie mają — powiedział Jakob. — Bo przecież Tata nic nie dostał. Ale może dlatego, że duchy zniknęły z Miasta.

— Albo dlatego, że Wędrujące Miasto gdzieś przepadło — wyraził inne przypuszczenie Rudi.

— Czy możesz nam wyjaśnić, co to jest He3 — zapytał po chwili Jakob.

— Nie wiecie? A Pułkownik twierdził, że Szkoła w Monachium zadziwiająco skutecznie wpoila wam wiedzę.

— O tym nie wspominała. Pamiętałbym.

— He3 jest alotropową odmianą helu. Z trójatomową cząsteczką.

— Aha — mruknął Rudi, zaczynając rozumieć, dlaczego Szkoła pozostawiła ich w niewiedzy.

— Zwykły hel to podstawowy pierwiastek chemiczny. We Wszechświecie jaki znamy, zaraz po wodorze...

— Maxa spróbowała z innej strony, lecz przerwała, gdyż Rudi coś szepnął i obaj chłopcy zaczęli się śmiać.

— Co się stało? — wyraziła zdziwienie.

— Przepraszamy — rzekł Jakob, poważniejąc. — Tam w Suwałkach... to znaczy... — zająknął się i poprawił:

— Suwałki mówiły po polsku. Kompletny bełkot. Nic nie można było zrozumieć...

— Czy przed chwilą ty również mówiłaś po polsku?

— zapytał Rudi, wciąż z dość niepoważną miną.

— Mówiłam po niemiecku — sprostowała obojętnie cyborg. Najwyraźniej obce jej było poczucie humoru. — W takim razie ujmę rzecz inaczej. He3 jest paliwem.

Źródłem energii. Można rzec, że tym, czym dla was plankton, lecz o nieporównywalnie większej sprawności.

— Moglibyśmy zobaczyć?

— Proszę?

— Czy możemy zobaczyć He3. Gdzie go trzymacie?

— Tego nie da się zrobić. He3 jest w nas, w unitarnej przestrzeni zamkniętej plazmatyczną sferoidą. Ale nawet gdyby — i tak niewiele byście zobaczyli. Objętości są znikome. Ja mam jeszcze jakieś półtora dekagrama He3, Ernst niewiele więcej. Wystarczy z pewnością na jakieś trzydzieści lat. O wiele więcej, niż potrzeba. Wcześniej przestaną działać elementy mechaniczne. Wasza maszyna — wskazała na Tatę — dysponowała zapewne większą ilością, ale i tak będzie tego tylko kilka dekagramów.

— To po co jej był He3?

— Dla Monachium. Miasto potrzebuje gigantycznych ilości energii.

— A Bunkier?

— Bunkier również, choć przy pewnej dyscyplinie potrafi być samowystarczalny, przynajmniej przez jakiś czas. W Miastach najwięcej mocy idzie na utrzymanie tachiosfery. Z pewnym przybliżeniem można rzec, że właściwie wszystko idzie na utrzymanie tachiosfery. Inaczej sprawa przedstawia się, jeśli chodzi o temporalizatorium. Ono powstało na skutek wybuchu temporalnych ładunków. Odtąd jest samonapędzającym się obiektem. Z własną entropią, zdecydowanie niższą od tej w obserwowalnym Wszechświecie.

Obaj chłopcy słuchali uważnie, usiłując nie pogubić się w natłoku informacji. Reszta dzieci, ugasiwszy pragnienie, powróciła na zaimprovizowane legowiska wokół Taty. Nawet Karl i Herman, którzy przez Szkołę zawsze notowani byli w pobliżu Rudiego i Jakoba, czasami nawet przed Jakobem, nie wykazywali zainteresowania tą rozmową.

Nagle zrobiło się ciemno. To zgasła flara, palona przez cyborga nazywanego Ernstem. Nie zapalił jej ponownie. W kilku szybkich ruchach zbliżył się do Maxy.

— Dzieci powinny spać — poinformował ją, zupełnie ignorując stojących obok chłopców. — Nie mamy dla nich jedzenia, więc musimy wyruszyć jak najwcześniej, jeśli nie chcemy, żeby w drodze pomarły z głodu.

— Ile dni szliście od Bunkra do Suwałk? — zapytała Maxa.

Jakob i Rudi popatrzyli po sobie i obaj pokręcili przecząco głowami.

— Nie wiemy.

— Kilka czy kilkanaście?

— Nigdy nie liczyliśmy dni. Po co je liczyć? Chyba kilkanaście, ale...

— Wytrzymają? — Oczy Maxy skierowane były w ciemność, jakby tam szukała adresata swojego pytania.

— A skąd mam wiedzieć? — powiedział Ernst. — Nie znam się. Dzieciaki to nie żołnierze.

— Pułkownik mówił, że dzieci są niezniszczalne — odezwał się niespodziewanie Jakob. — Potrafią przetrwać nawet tam, gdzie żołnierze gryzą piach.

Zmieszał się pod spojrzeniem cyborgów. Oba patrzyły na niego w milczeniu. Ich ledwie widoczne w mroku twarze były, jak zawsze, pozbawione wszelkiego wyrazu, ale oczy zdawały się świecić lekkim blaskiem.

— Naprawdę tak powiedział — rzekł cicho Jakob.

Cyborg mężczyzna odwrócił się i odszedł.

— Panie Ernst! — zawołał za nim Jakob. — My jeszcze nie piliśmy. Gdzie jest kran?

— Jest tutaj! — dobiegł z ciemności monotony głos. — Zawsze do waszej dyspozycji. Nie musicie pytać.

— I nie musicie mówić do niego: panie Ernst

— powiedziała Maxa. — Wystarczy Ernst.

— Myślałem, że... Bo Pan Pułkownik...

— Jeśli Pułkownik nie żyje — oświadczyła — to oznacza, że nie ma już dowódcy.

— To dobrze czy źle? — zapytał Rudi.

Po krótkiej chwili wahania Maxa odparła:

— Nie mam pojęcia.

Wokół słyhać było tylko głośnie posapywania. Najwyraźniej pozostałe dzieci posnęły, choć z pustymi żołądkami. Ale przynajmniej nie męczyło ich pragnienie.

— Co tu się stało? — zapytał Jakob Maxę chwilę później, gdy również on i Rudi ułożyli się do snu.

— Proszę?

— Co stało się z Ute? Co stało się z Tatą? Dlaczego umarli? Czy wiesz?

— I wiem, i nie wiem — odparła Maxa. Przekręciła zabawnie głowę, sztywno, jak pacynka.

Wpatrywała się w chłopca z uwagą.

— Poczuleś się pewnie — powiedziała. — Dopiero co się bałeś, a teraz domagasz się, wręcz żądasz odpowiedzi. Jak Pułkownik.

Jakob zmieszał się.

— Przepraszam.

— Nic nie szkodzi. Mówiąc, że wiem i równocześnie nie wiem, oznacza że coś widziałam, ale do prawdy mogę dojść tylko drogą dedukcji... — Przerwała na chwilę, może w oczekiwaniu na kolejne pytanie, lecz gdy nie padło, podjęła ponownie: — Widziałam spadający owoc Żywokozonu. Akurat zauważyliśmy Tatę i podchodziliśmy bliżej, czołgając się, aby pozostać niezauważonymi. Żywokasztan spadał wprost na niego. Wtedy jeden z luków Taty otworzył się, wypadły dwie skrzynie, a na zwolnione miejsce wskoczyła dziewczynka. Ledwie zamknął się luk, Żywokasztan już wisiał nad Tatą. Okrążył go kilkakrotnie, następnie osiadł na skrzyniach i nagle zniknął wraz z nimi.

— Jak to zniknął?

— Nie mam pojęcia. Usłyszeliśmy tylko donośny, głuchy dźwięk, jak spotęgowany huk z odkorkowywanej butelki i przestaliśmy go widzieć. Nie było ani jego, ani tych skrzyń.

— A Ute?

— Tata wypuścił ją i to był błąd. Powinien był dłużej czekać. Ledwie wyszła, Żywokasztan pojawił się ponownie. Zmienił kolor na prawie czarny, ale — jak sędzę — był to ten sam Żywokasztan. Trzeba przyznać, że ten wasz Tata potrafił reagować błyskawicznie. Właściwie równocześnie z powrotem owocu, z luku wystrzelił wysięgnik, pochwycił wirującą kulę i wciągnął ją do środka. Luk zamknął się. Gdyby w tej chwili dziewczynka zaczęła uciekać, może by ocalała, choć nie jestem pewna czy zdążyłaby. Rozległ się ponowny trzask, już we wnętrzu Taty, który aż się zakołysał, a przecież ma olbrzymią masę. Ute stała plecami do niego, twarzą do nas. Doskonale widziałam tę twarz, znam ten wyraz, pełen zdumienia, niedowierzania, oblicze człowieka trafionego śmiertelnym pociskiem; nie ból jest wtedy ważny, lecz niemożliwa do akceptacji świadomość, że wszystko się kończy. Ute odwróciła się, usiłowała wspiąć na Tatę, a jej ruchy stawały się coraz bardziej niezgrabne. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund, nagle usiadła i tak już pozostała. Tak ją znaleźliście.

Przez jakiś czas Jakob milczał. Zastanawiał się. Usiłował zrozumieć. Nie przywykł do relacji tak bogatych w fakty.

— Nadal nie wiem, jak umarła Ute — przyznał ostatecznie. — Powiedziałaś, że Tata zdążył pochwycić Żywokasztan. Jak więc mógł zrobić krzywdę Ute?

Maxa sięgnęła do kieszeni, naszytej na jej obcisłym ubiorze i coś z niej wyjęła.

— Gdybyś obejrzał dokładnie ciało dziewczynki, znalazłbyś małą ranę, drobny pryszczyk, lecz sięgający przez nią na wylot — powiedziała. — Ta ranka powstała na skutek przejścia niewielkiego pocisku w kształcie spłaszczonej igielki. — Wyciągnęła przed siebie dłoń. Podsunęła ją pod oczy Jakoba i błysnęła latarką. — Wygląda na organiczną, lecz twarda jest jak diament. Nie mam wątpliwości, że wystrzelił ją Żywokasztan.

— Przeszła przez pancierz Taty? — zdumiał się Jakob.

— Aż tak twarda nie jest — zaprzeczyła. — Tata ma szczeliny wentylacyjne. Przy założeniu, że

pocisków były setki, kilka mogło się przez nie wydostać.

— Czy to oznacza, że Żywozon chce zabić nas wszystkich?

— Co do tego nie mam pewności. Ale bez wątpienia dokonuje ostatecznej próby rozszerzenia swojej ekologicznej niszy.

3

Stado odchodziło. Prowadziła je Maxa. Cyborg Ernst wygładził kopiec ziemi, formując prostopadłościan.

— Tak będzie dobrze? — zapytał.

Jakob nie odpowiedział. W oczach wciąż miał twarz Ute, spiętą, z szeroko rozwartymi powiekami, twarz na którą spadały porcje piasku.

— W ten sposób chowaliśmy ludzi — mówił cyborg. — Pułkownik twierdził, że tak należy i że gdy umrze, chce być podobnie potraktowany.

— Nie wiem — odezwał się Jakob. — Nic o tym nie wiem.

— Chyba będzie dobrze — zdecydował cyborg i wrzucił łopatę na wózek.

— Na co czekasz? — zapytał chłopca, widząc, że ten nie rusza się z miejsca.

— Na odpowiedź. Dlaczego nie próbujemy dostać się do Taty? Tam jest plankton. Tam jest również wiele innych, przydatnych także dla was przedmiotów.

— To nie takie łatwe. Nie mam przy sobie odpowiedniego osprzętu. Poza tym, w środku jest Żywokasztan, wiesz przecież. Nie wiemy co się stanie, gdybyśmy umożliwili mu wydostanie się. Widziałeś, co uczynił z Ute. Unieruchomił również Tatę. Jest groźny tak dla was, ludzi, jak i dla nas, cyborgów.

Jakob spoglądał za oddalającym się stadem, grupą dzieci zgodnie podążających śladem Maxy. Zupełnie jak do niedawna za Tata, tyle że teraz przewodnik nie wyróżniał się aż tak wyraźnie, a wschodzące słońce oświetlało plecy idących.

— Bez planktonu umrzemy.

— Nie umrzecie, jeśli będziecie nas słuchać.

— I jeśli nie spadną nowe Żywokasztany.

Cyborg Ernst popatrzył po nieboskłonie.

— Powinieneś już iść z innymi, jeśli nie chcesz się zgubić. — Gładko zmienił temat. — Nie będę później cię holował.

Ruszyli.

Jasnoblękitne niebo nie zdradzało śladu obecności Żywozону. A przecież tam był, w swej niszy, w górnych warstwach atmosfery. Był i nieprzerwanie pożerał światło.

— Światła jest mnóstwo — wyjaśniał kiedyś Fryderyk. — I napływa nieprzerwanie. Żywozon może przejąć tylko jego część, gdyż inaczej ugotowałby się, a nawet spłonął. W górze powietrze jest znacznie rzadsze, zatem w niewielkim stopniu wyrównuje temperaturę.

— A dlaczego jest niewidoczny?

— Spójrz — Fryderyk uniósł w górę kartkę papieru. — Ale tylko jednym okiem, drugie zamknij i spójrz. Co to jest?

— Kartka.

— A teraz? — odwrócił papier prostopadłe do Jakoba.

— Ta sama kartka.

— Owszem. Ale widzisz coś innego. Tylko linię. No, powiedzmy, widziałbyś ją gdybym zdołał utrzymać dokładny pion. Mówisz, że to kartka wyłącznie dlatego, że o tym wiesz. Jeśli odejdę wystarczająco daleko, nie będziesz już pewny czy trzymam jeszcze tę kartkę, czy też nie. Jej obecność zostanie przed tobą ukryta.

— Nie będzie rzucała nawet cienia?

— Dla obserwatora w twoim położeniu, nie. Oczywiście to tylko model. W rzeczywistości budowa Żywozonu jest o wiele bardziej skomplikowana.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Byli ludzie, którzy mimo wojny, prowadzili badania Żywozonu.

— W Monachium?

— Nie. Nie w Monachium. Ale kiedyś nie miało to znaczenia, pozawirtualny przekaz informacji nie stanowił problemu. Do dziś pozostało coś, co nazywano gazetami, źródło niezliczonej ilości informacji. Dotarłem do takich gazet.

— Czy Żywozon jest naszym wrogiem?

— Bez wątpienia — potwierdził Fryderyk. — Nie jestem jednak przekonany, czy my jesteśmy wrogiem również dla niego. Czy w ogóle zdaje sobie sprawę z naszej obecności, czy posiada świadomość.

— Co to znaczy: świadomość? — zapytał Jakob.

— Że nie jesteś niczego pewien — odpowiedział Fryderyk.

4

Rozwiązanie problemu braku żywności wydawało się proste. Cyborg Ernst pośpieszył naprzód, żeby dotrzeć do Bunkra jak szybko się da i przywieźć coś do jedzenia. Zaproponował Jakobowi, że weźmie go ze sobą, jedną osobę zabrać może, nie opóźni to specjalnie marszu, ale chłopiec nie zgodził się. Wolał zostać ze stadem. Ernst nalegał kilkakrotnie, w pewnej chwili wyglądało nawet na to, że gotów jest zabrać Jakoba siłą, w końcu jednak dał spokój i ruszył sam.

Tymczasem prowadzone przez Maxę stado systematycznie podążało na zachód; cyborg obawiała się, że podążają stanowczo za wolno, o czym niejednokrotnie przypominała idącym, ale skutkowało to tylko na chwilę. Z każdą godziną coraz trudniej było utrzymać dyscyplinę, zwłaszcza, że dzieci wciąż domagały się jedzenia. Mimo to pierwsze dwie doby minęły spokojnie i pokonali nawet przyzwoitą odległość.

Pierwszy incydent miał miejsce trzeciego dnia wędrówki. Z samego rana pojawiły się Żywokasztany. Było ich aż pięć, leciały w grupie, bardzo blisko siebie. Niczym sterowane pociski zmierzały wprost w kierunku stada.

— Wszyscy na ziemię! — poleciła Maxa i sama również przykucnęła, nie oglądając się, czy jej polecenie znalazło posłuch. Szybkim ruchem wyciągnęła z wózka jakiś pokaźny przedmiot, przypominający zdeformowaną na jednym z końców rurę. Gdy zaczęła strzelać, kilkoro dzieci wrzeszczało z całych sił, sądząc, że nadchodzi burza. Nie dotyczyło to Jakoba, który od chwili gdy opuścił ich Ernst, przez cały czas prawie nie odstępował kobiety cyborga i dokładnie widział, jak

sięga po broń.

Dwa pierwsze Żywokasztany rozprysnęły się niemal równocześnie, trafione precyzyjnie. Pozostałe przemknęły przez pozostałą po nich mgiełkę, nie zwalniając ani nie zmieniając kierunku, jakby nic się nie stało. Kilka pocisków nie sięgnęło celu i ta sekunda wystarczyła, żeby owoce Żywozonu pokonały poważną część odległości dzielącej je od stada. Ale Maxa skorygowała celownik i zaraz rozpadł się kolejny Żywokasztan, a po chwili następny: już tak blisko, że ci, którzy odważyli się podnieść głowy i patrzeć, widzieli wyraźnie grad igieł sypiących się z nieba, niczym zastygłe krople deszczu.

Pozostał ostatni. Już wisiał nad dziećmi, z wolna zataczając powietrzne kręgi, a Maxa wodziła za nim lufą broni; mogłoby się wydawać, że to ona kieruje ruchem brązowawej kuli, związana z nią niewidzialną linką. Żywokasztan znieruchomiał i nagle runął w dół. Nawet jeśli Maxa zamierzała jeszcze strzelić, nie miała już ku temu sposobności; ruch był tak błyskawiczny, że właściwie niedostrzegalny nawet dla cyborgowych zmysłów. Po prostu zamiana miejsc w przestrzeni.

Padło na Lothara. Gdy znalazł się wewnątrz Żywozonowego wystawnia, zdołał jakoś wstać. Był bardzo niski, niemal mógł wyprostować się w mieniącym się żywymi ścieżkami bąbłu. Coś krzyczał, a może tylko dusił się i usiłował zaczerpnąć oddech, bo nic nie było słychać. Nagle przestał. Uspokoił się.

— To miejsce nie nadaje się do życia — rozległ się głos, niewątpliwie należący do Lothara. Równocześnie jednak nie mógł należeć do niego, ponieważ Lothar był czubem, posiadającym ubogi słownik, a nawet wyrazy, które znał wypowiadał niewyraźnie.

Nieoczekiwanie Żywokasztan zniknął z hukiem.

— Uciekać! — krzyknęła Maxa, zrywając się na równe nogi. I tak jak poprzednio, gdy zaatakowały Żywokasztany, tak i teraz nie czekała by sprawdzić, czy została wysłuchana. Chwyciła po drodze Jakoba, bez wysiłku, jakby zupełnie nic nie ważył i oddalała się olbrzymimi susami.

— Uff! — Zatrzymała się.

Jakob zdołał się wyrwać z jej uścisku.

— Uciekajcie stamtąd! — krzyczał. Wiedział to, czego inni, poza Rudim, byli nieświadomi. Tylko oni słuchali, gdy cyborgi opowiadały co stało się z Tatą i z Ute.

Z przerażeniem spostrzegł, że niektórzy biegną do miejsca, w którym zniknął Lothar, zamiast w przeciwnym kierunku. Inni nie biegli wcale. Leżeli, wtuleni w ziemię, jedyną kryjówkę, jaka zdawała się być w zasięgu. Jeden Rudi zmykał jak Myszka, zachowując na tyle przytomności, że ciągnął za rękę Gretę, przy której akurat się znalazł.

Żywokasztan powrócił. Jakob gotów był patrzeć na niego jak urzeczony, zapominając o zagrożeniu, ale Maxa zbiła go z nóg, kładąc się tuż obok i osłaniając własnym ciałem. Usłyszał ponowny huk, znacznie głośniejszy niż poprzednio. Coś zaszeleściło, jakby nagle zaczął padać ulewny deszcz i chłopiec skulił się z przestachem. Nieoczekiwanie zapadła cisza.

— Możesz wstać — odezwała się Maxa i zwolniła uścisk.

— Gdzie Żywokasztan? — Jakob czujnie rozglądał się dookoła. Widział tylko dzieci, wciąż leżące na ziemi.

— Nie ma — odparła cyborg. — Rozpadł się.

— Jak wtedy, wewnątrz Taty?

— Tak jak wtedy — potwierdziła.

Gdzieś z boku pojawił się Rudi, wciąż trzymający za rękę niemiłosiernie umorusaną Gretę. Z ziemi podniosło się kilka sylwetek. Tylko kilka: wyłącznie ci, którzy znajdowali się stosunkowo daleko od miejsca eksplozji. Pozostali leżeli nieruchomo i Jakob zrozumiał, że nie żyją. Że gdyby

podszedł do nich i dotknął ich ciała, okazałoby się, że są twarde i zimne niczym skała.

— Co się stało? — To podszedł Karl, z rozbitą wargą i kreską wciąż jeszcze cieknącej krwi.

Nikt mu nie odpowiedział. Zaczęły podchodzić inne dzieci i Jakob z przerażeniem stwierdził, że są to same czuby. Raz, dwa, trzy... pięć. Pięć czubów. Poza tym on, Rudi z Gretą i Karl. Tyle pozostało ze stada. Dziewięć osób. Wystarczyło zaledwie kilka minut.

— Dlaczego nie strzelałaś?! — krzyknął z rozpaczą do Maxy.

— Przecież strzelałam — zauważyła. — Cztery Żywokasztany zostały wyeliminowane.

— Dlaczego nie strzelałaś do tego ostatniego? Przecież był na to czas, kiedy wisiał nad nami.

Zwróciła ku niemu swą niezmiennie kamienną twarzą i raptem Jakoba przeszył dreszcz, bo wydało mu się, że rozumie wreszcie, co w tym spojrzeniu się kryje. Patrzyła na niego jak na przedmiot.

— Przepraszam — odezwała się cyborg, zupełnie na przekór odczuciom chłopca — ale uznałam, że tak będzie bezpieczniej. Eksplozja w powietrzu zwiększyłaby zasięg rażenia igieł. Mógłby nie przeżyć nikt.

— Ani ty?

— Ani ja. Widziałeś co się stało z Tatą.

— Wszyscy widzieliśmy, ale... — Jakob urwał. Coś znowu nagle przyszło mu do głowy. Pytań był mnóstwo, ale niektóre wymagały natychmiastowych odpowiedzi.

— Kobieto cyborgu — rzekł. — Dlaczego ty i Ernst nie strzelaliście do tego Żywokasztana, który zaatakował Ute i Tatę, skoro w gruncie rzeczy jest to takie proste? Wystarczy jeden strzał...

— Byliśmy ciekawi — odparła bez zastanowienia.

— Ciekawi czego?

— Co się stanie. Żywokasztany dotąd nie zachowywały się w taki sposób. Ich spektrum nigdy nie było tak soczyste. Pułkownik był zdania, że kiedyś dojrzeją, każdy owoc kiedyś w końcu dojrzeje. Polecił nam zbieranie informacji na ten temat.

— Przecież Pułkownika już nie ma!

— Najpewniej masz rację, ale rozkaz nie został przecież odwołany.

— Pozwoliliście więc, żeby Ute umarła, ponieważ należało zbierać informacje?

— Można tak powiedzieć. Zważ jednak, że nie wiedzieliśmy, jaki będzie tego finał.

— A gdybyście wiedzieli?

— Nie potrafię odpowiedzieć. Może zaszłyby jakieś inne okoliczności. Jedno jest pewne: jeśli zaszłyby możliwość wykonania rozkazu, wykonalibyśmy go.

— A ja? — Jakob niemal rzucił się na przewyższającą go wzrostem Maxę. — Czy ja mogę zmienić ten rozkaz?

— Nie możesz — odparła. — Żołnierz słucha tylko rozkazów dowódcy. Ty dowódcą nie jesteś.

Zdezorientowany Jakob odwrócił się do towarzyszy, przysłuchujących się w milczeniu prawie niezrozumiałej dla nich wymianie zdań. Uśmiechnął się do spiętej Greta, a Rudiemu i Karłowi zaproponował, żeby zebrali ocalałe czuby i odeszli trochę dalej. Jeszcze się któryś nadzieje na śmiertelne nasiono. Maxa pochwaliła, że to mądra decyzja, sama natomiast udała się po wózek, który pozostał na skraju strefy zasięgu ataku Żywokasztana. Przez dłuższy czas oglądała skrzynię, zapewne w poszukiwaniu przebić, w końcu, najwyraźniej usatysfakcjonowana, zgarnęła leżące na wierzchu nasiono, odbite od twardszej od nich powierzchni, kilka chowając do kieszeni.

— Co teraz? — spytał ją bezradnie Jakob, gdy powróciła. Kogóż innego miał pytać? Był tylko dziesięcioletnim chłopcem, pozostającym z dala od swego Miasta. I z nikłymi szansami, aby doń wrócić.

— Nie mamy wyboru. Idziemy dalej, na zachód. Do Bunkra.

— A oni? — wskazał za siebie. — Może któreś żyje — coś ścisnęło go w krtani. — Trzeba sprawdzić.

— Umarli wszyscy — odpowiedziała cyborg. — Nie ma co tego najmniejszych wątpliwości. To był cały deszcz pocisków. W Ute wbiło się jedno jedyne nasionko, a widziałeś rezultat.

— I nie zakopujemy ich w ziemi? — Jacob spuścił głowę. Głos zniżył mu się do zupełnego szeptu. — Ernst mówił, że Pułkownik...

— W tej chwili Ernsta z nami nie ma — przerwała mu Maxa — a ze mną Pułkownik na ten temat nie rozmawiał. Zatem ewentualny rozkaz mnie nie dotyczy. Zresztą... — zawahała się przez chwilę, jakby próbowała przekonać samą siebie — nie powinniśmy wchodzić na tamten teren. Wszędzie są igły, mnóstwo igieł.

Ruszyli. Kobieta-cyborg i dziewięcioro dzieci. Wkrótce jednak Maxa zatrzymała się.

— Zaczekajcie tutaj! — wydała polecenie i zawróciła. Nie podążała jednak dokładnie z powrotem, lecz nieco na północ, w miejsce nad którym zestrzeliła Żywokasztany. Im była bliżej, tym stąpała ostrożniej, niczym łowca podchodzący do zwierzyny. W pewnej chwili pochyliła się i podniosła coś z ziemi. Potem jeszcze raz i jeszcze. Za każdym razem uważnie przyglądała się zdobyczy. Wreszcie dała spokój i wróciła do wyczekujajar cego w milczeniu stada.

— Chcemy pić — powiedział Karl. Wszystkie czuby przyskoczyły, słysząc znajome słowo.

Maxa podała im kran. Jakob również ugasił pragnienie, ze zdziwieniem stwierdzając, że nie czuje już głodu. Jeszcze wczoraj chciało mu się jeść, przedwczoraj myślał, że umrze, a dzisiaj nic. Zupełnie nic. Powiedział o tym Maxie.

— To naturalna reakcja — odparła. — Tak było kiedyś w Bunkrze. Pięćdziesiąt lat temu zawalił się trzeci sektor. Sporo ludzi zostało odciętych. Mieli wodę, ale żywność szybko się skończyła. Zanim do nich dotarto, przez warstwy stali i betonu, których żaden kret pokonać nie może, część umarła z głodu. Ci, którzy ocalili, mówili to samo co ty. Już po kilku dniach czuli się dobrze. Nawet ci słabsi, którzy umarli, nim przyszła pomoc, nie skarżyli się zbyt. Cierpieniem jest śmierć z pragnienia, bo twój organizm nie zapomina o nim nawet na sekundę; głód jest tylko łaknieniem, zanikającym, gdy gruczoły właściwe żołądka przestają produkować silnie kwaśną wydzielinę.

Jakob odszedł od kranu, ustępując miejsca Rudiemu.

— Dlaczego zawróciłaś? — zapytał Maxy.

— Sprawdzalam teren, na który spadły szczątki zestrzelonych Żywokasztanów.

— Zbierałaś informacje? — domyślił się. — Zgodnie z rozkazami?

— Właśnie tak.

— Znalazłaś coś ciekawego?

— Tak. Mnóstwo igłowatych nasion. Ale... — zawahała się.

Jakob zorientował się, że nie jest pewna, czy może mu o czymś powiedzieć.

— Co w tym dziwnego? — ponaglił pytaniem.

— Te igły są miękkie. Uginają się pod byle naciskiem. Nawet gdybyś tego chciał, nie zdołają przebić ubrania, ani nawet wbić się w gołą skórę.

— Jak to? Przecież Ute! I oni...? — Rozejrzał się bezradnie, jakby oczekiwał, że nagle ujrzy całe stado w komplecie.

Maxa pokręciła głową, być może w zamiarze zaprzeczenia czemuś, a może jedynie wyraziła w ten sposób swoje niedowierzanie.

— Wygląda na to — rzekła — że swych właściwości nasiona Żywokasztana nabierają poza continuum.

Jakob nie rozumiał. Wyjaśniła, że chodzi tu o zdarzenia zachodzące w czasie pomiędzy zniknięciem owocu, a jego ponownym pojawieniem się.

— Czyli wtedy, gdy go tu nie było? — upewnił się Jakob. — Przecież to tylko chwila!? Większość dzieci nie zdążyła nawet uciec...

— Dla nas chwila — odparła cierpliwie cyborg. — A w rzeczywistości mogą to być nawet lata.

— Nic z tego nie rozumiem!

— W zasadzie ja też nie — przyznała Maxa. — Żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć czym jest czas.

— A kto to wie? Pułkownik?

— Wątpię. — Cyborg wyprostowała się, odgarniając brzeg kapelusza, jak gdyby wspomnienie dowódcy uruchomiło uśpione poczucie obowiązku. — Chodźmy już. Im szybciej będziemy wędrować, tym większa szansa na uniknięcie spotkania z Żywokasztanami.

Kilka minut później Jakob, wyraźnie gnębiony jakąś myślą, powiedział: — Igły zestrzelonych Żywokasztanów nie były groźne, prawda?

— Nie były.

— Mogłaś spokojnie strzelić do tego ostatniego. Nikomu nic by się nie stało.

— Pewnie nie — odparła Maxa, bezbarwnym jak zwykle głosem, obojętnie ciągnąc za sobą wózek.

5

Dziewiątej nocy od opuszczenia Suwałk pojawił się Tata. Cyborg Maxa zorientowała się dużo wcześniej, sobie tylko dostępnymi zmysłami i gdy rankiem dzieci obudziły się, wszystkie były spięte sznurem, silnie przewiązanym w nadgarstkach prawych rąk. Dziewięcioosobowy łańcuch mógł poruszać się tylko wszystkimi ogniwami, albo wcale.

— Tata! — zawołała radośnie Greta.

Trudno było go nie zauważyć — jedyne urozmaicenie pustej linii horyzontu, dopiero co oświetlonej nikłym blaskiem wschodzącego słońca.

— Wiedziałem, że Tacie nic nie może się stać — powiedział Karl. — Trzeba było zostać w Suwałkach i czekać!

— To nie ten Tata — skomentował oschle Jakob.

— Zauważ, że nadjeżdża z zachodu.

— Dlaczego stoi? — zapytał Rudi. Rzeczywiście, od chwili, gdy Greta dostrzegła opiekuna, ten nie zbliżył się ani na jotę.

— Prowadzimy negocjacje — odezwała się Maxa.

— Mamy zasięg radiowy.

— Czemu nas związałaś?! — krzyknął Karl.

Któryś z czubów widać zrozumiał okrzyk, bo gniewnie zaczął szarpać więzy. Widząc to, pozostałe zaczęły naśladować towarzysza.

— Uspokójcie się! Nikogo nie związałam. Połączyłam tylko sznurem, aby mieć pewność, że nie ulegniecie chęci rozproszenia.

— Co to za negocjacje? — odezwał się Jakob. Masował ściśnięty sznurem nadgarstek. Z jednej

strony miał Karla, a potem resztę towarzystwa, z drugiej tylko Gretę. Maxa wiązała ich prawdopodobnie przypadkowo, tak jak leżeli.

— Tata chce was zabrać — odparła cyborg, ze zwykłą u niej szczerością.

Na twarzach pojawiły się uśmiechy. Czuby nie wiedziały, o co chodzi, ale przynajmniej przestały wrzeszczeć.

— Wiedziałem — rzekł po raz wtóry uradowany Karl.

— Tata zawsze nas uratuje.

— Nie chcesz nas oddać, prawda? — wypalił nieoczekiwanie Jakob.

— Dlaczego nie? — odpowiedziała pytaniem Maxa.

— Ja tylko nie chcę oddać was wszystkich.

— Mnie?

— Ciebie.

— Po co ci jestem potrzebny?

— Nie twoja sprawa!

— Tata ci na to nie pozwoli — rzekł Rudi. — Jest silniejszy. Nie myśl, że nie jest uzbrojony.

— Nie orientujecie się w sytuacji — powiedziała Maxa, stojąc nieruchomo i wpatrując się w odległy horyzont.

— To ostatni Tata Monachium. Nie może sobie pozwolić na żadne ryzyko. Jeśli coś się z nim stanie, nie będzie zastępcy. Dlatego negocjuje, choć może nędzny ze mnie przeciwnik. A teraz się uspokójcie, jeśli zamierzacie kiedykolwiek wrócić do Miasta!

Uciszyli czuby, na nowo wszczynające harmider i usiedli na ziemi. Czekali, a Maxa wciąż tkwiła w bezruchu, niezmiennie wpatrzona w dal. Wiatr rozwiewał jej rudawe włosy. Wreszcie skończyła.

— Łączność jest fatalna — powiedziała. — Żywozon dowodzi jak nigdy. Ale doszliśmy do porozumienia.

Szybkim ruchem przecięła sznur na odcinku łączącym Jakoba z Karlem, rozdzielając w ten sposób stado na dwie części: siedem osób z jednej strony, Jakob i Greta z drugiej. Uniosła ostrze w zamiarze oddzielenia Grety, lecz nagle coś ją powstrzymało. Po sekundzie zastanowienia zmieniła zdanie. Zostawiła ich razem.

— Biegnijcie! — krzyknęła do reszty. — Do Taty! Nie trzeba im było drugi raz powtarzać. Nawet czuby pojęły o co chodzi.

— Greta zostaje? — zapytał cicho Jakob.

— Zostaje — odpowiedziała Maxa.

Niespodziewanie jasny promień błysnął od strony Taty. Maxa przysiadła błyskawicznym ruchem. Już trzymała broń przez sobą, wymierzona wprost w Tatę, w biegnące ku niemu dzieciaki, ale wtedy błysk powtórzył się i zobaczyła, że mierzy w niebo. Spadały Żywo—kasztany. Jeszcze dwa. Cyborg Maxa wyprostowała się. Strzeliła w górę, chybiła, dopiero powtórka okazała się celna. Następny strzał nie był już potrzebny. Tata trafił za pierwszym razem.

— Idziemy! — powiedziała cyborg.

— Dokąd?

— Wciąż w to samo miejsce, Greta. Do Bunkra. Gdzie indziej mogłabym chcieć pójść?

Dwa dni później Maxa przestała czekać na powrót Ernsta. W zasadzie przestała czekać już wcześniej, ale teraz stało się to już całkowicie pewne. Szczątki, które napotkali, nie budziły wątpliwości, choć nie należały do Ernsta; cyborg zniknął bez śladu, najpewniej pochłonięty przez owoc Żywozonu.

Sądząc po śladach, Żywokasztanów musiało być mnóstwo, doprawdy mieli szczęście, że nie na nich to trafiło. Wózek Ernsta leżał przewrócony na bok, naszpikowany tysiącem igiełek, ale żadna z nich nie przebiła twardej stali. Maxa nie pozwoliła dzieciom się zbliżyć. Sama rozbiła skrzynię i przepakowała bagaż do swojego wózka.

— Dlaczego Ernst nas zostawił? — zapytała Greta. Jej ładna twarz wydłużyła się, policzki zapadły. Zdecydowanie gorzej od Jakoba zносиła wielodniową głodówkę.

— Nie zostawił — odpowiedziała cyborg. — Wracał z pokarmem dla was.

Jakob ostrożnie zajrzał do jednego z odzyskanych pojemników i zobaczył jedzenie. Oczywiście nie plankton, lecz tę twardą, porcjowaną w plasterki substancję, która w Bunkrze go zastępowała.

— To właśnie jest pokarm. — Odczuwał dziwną obojętność; czy to możliwe, żeby nie jadł od tak dawna?

Rozerwał folię próżniowego opakowania i spróbował. Poczł dziwny ruch w żołądku, jakby znalazła się tam jakaś żywa istota. Ogromne ilości śliny napłynęły mu do ust. Za chwilę wprost wpychał sobie do ust zawartość torebki. Jak już zaczął, nie mógł przestać.

— Spróbuj! — zachęcił Gretę.

Dziewczynka wyciągnęła rękę.

— Wstrętne! — skomentowała, krzywiąc się z niesmakiem.

— To nie jec — wyseplecił Jakob, zapominając, że gdy po raz pierwszy próbował poczęstunku Pułkownika, również wydawał mu się on niejadalny.

— Sam sobie nie jedz! — wzięła następną porcję.

Jedli, dopóki pragnienie nie wzięło góry i musieli poprosić o kran.

— Cztery dni — powiedziała w pewnym momencie Maxa.

— Co? — Oboje spojrzeli na nią, nic nie rozumiejąc.

— Jeśli zachowamy dotychczasowe tempo marszu, powinniśmy dotrzeć do Bunkra za cztery dni. Poradzimy sobie bez Ernsta. W zasadzie wykonał swoje zdanie. Jedzenie dotarło na czas.

— Skąd wiesz, że Ernst zginął? — zapytała Greta. — Może udało mu się uciec.

— Wiem — odparła Maxa. — Dla mnie to oczywiste. Jeśli się pośpieszycie, to wcześniej dotrzemy do Bunkra — powtórzyła.

— Pośpieszmy się — zapewnił Jakob i z wymiotował. Cztery dni później rzeczywiście dotarli do Bunkra.

Nikt ich nie przywitał.

Oto drzwi. Szare, masywne, ogromne. I koło, rygiel pancernego sejfu. A nad drzwiami napis, wciąż świeży, nawet trochę nie przykurzony, jakby nie miał się go czas: „TEMPORALIZATORIUM”.

— Jesteś tego pewna? — zapytał Jakob.

Maxa stała nad nim, z twarzą bez wyrazu, przyciononą rondem kapelusza.

— Tak zalecił Pułkownik — odpowiedziała. Spojrzała w bok, na Gretę, która nieoczekiwanie chwyciła ją za rękę.

— A ty jak sądzisz, Greto? — zwrócił się Jakob do dziewczynki, choć widział strach na jej twarzy i mógł spodziewać się jaką otrzyma odpowiedź. On strachu nie czuł, ale pomyślał, że może powinien, bo tamto miejsce za drzwiami, tamten świat, jest przecież obcy.

— Wolalabym zostać tutaj — szepnęła Greta. — Boję się.

— Dlaczego? — zapytała Maxa. — Przecież nawet nie widziałas, co jest za tymi drzwiami...

— Nie mam pojęcia skąd ten strach — przyznała cicho Greta. — Ale... Ale nie potrafię go opanować.

— Z zakłopotaniem zamruwała oczami.

— Pułkownik wyraźnie zalecił, żebyście tam poszli — powtórzyła Maxa. — Lecz oczywiście zrobicie, jak zechcecie. Tak nawet powiedział: „Niech uczynią to z własnej woli!”

Jakob spojrzał podejrzliwie na cyborga. — Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej? — spytał.

— Kiedy wcześniej?

— Nie wiem. Obojętnie. Choćby od razu, wtedy, przy Tacie. Powiedziałaś tyłka, że Pułkownik zniknął, a wam kazał szukać prawdziwych ludzi.

— Po to, by wskazać drogę do temporalizatorium, gdy ich znajdziemy.

— Tego właśnie nie mówiłaś.

— Nie było takiej potrzeby. Poza tym nikt, prócz ciebie, nie zrozumiałby.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, chłopiec z lekko uniesioną w górę głową, cyborg wręcz przeciwnie.

— O co chodzi? — zapytała Maxa. — Możecie zapomnieć. Zostać tutaj. Powiedziałaś przecież.

— To jak? — Jakob przeniósł wzrok na Gretę.

— A ty?

Jakob obejrzał się na drzwi.

— Chcę pójść — powiedział. — Bardzo chcę tam pójść.

— Tam nie ma Żywozonu — powiedziała zachęcająco Maxa. — Nie ma, nie było, a może i nigdy nie będzie. Naprawdę warto udać się do takiej krainy.

— Dobrze — szepnęła Greta. — Przecież nie mogę zostać sama.

Niespodziewanie jej oczy zaszkliły się łzami.

— Poczekaj — odezwał się Jakob i sięgnął do kieszeni. Wepchnął głębiej rękę i wyjął coś niewielkiego, z jednej strony pokrytego zieloną wciąż skórka, z drugiej zbrązowiałego, częściowo zaszuszonego.

— To jest jabłko — rzekł, podając nadgryziony owoc. Greta spoglądała pytająco.

— Jedz! — zachęcił Jakob. — Smakuje zupełnie inaczej niż plankton. Tam — wskazał na temporalizatorium — jest tego mnóstwo.

Dziewczynka ostrożnie chwyciła jabłko. Najpierw powąchała je, potem ostrożnie spróbowała małej kawałek. Po chwili ugryzła większy kęs. Uśmiechnęła się lekko do Jakoba, który dodał pocieszająco:

— Przecież zawsze możemy wrócić, jeśli nam się nie spodoba, prawda?

Greta, już rozpogodzona, pokiwała głową. Z wyraźną przyjemnością rozkoszowała się niezwykłym dla niej smakiem.

— Prawda? — powtórzył Jakob, kierując wzrok na Maxę.

— Oczywiście. Możecie wrócić w każdej chwili — odparła cyborg. — O powierzchni, co prawda, na razie nie ma mowy, przynajmniej dopóki spadają dojrzałe Żywokasztany, ale do Bunkra zawsze.

Gdy uruchamiała koło, nieprzyjemnie zgrzytnął stary mechanizm, dźwięk który Jakob już znał, lecz Greta schowała głowę w ramiona. Chłopiec pochwycił ją za rękę, którą wyrwała z uścisku Maxy.

Drzwi stanęły otworem. Rozwarte na oścież, zachęcały do przekroczenia progu. Buchnęło wabiące ciepło, powietrze gęste, że ledwie dało się nim oddychać. Wyszli na skalisty pagórek, otoczony ze wszech stron zieloną, tropikalną dżunglą.

— A ty? — Jakob odwrócił się w stronę Maxy, nadal stojącej w cieniu bunkrowego korytarza. — Nie pójdziesz z nami?

— Ależ nie! — Cyborg cofnęła się o krok. — To świat przeszłości. Nigdy nie ośmieliłabym się.

— Myślałem, że...

— Nie! — ucięła ostatecznie cyborg.

— Nawet gdybyśmy, jak Pułkownik, mieli już nigdy nie powrócić?

— Żegnajcie! Mogę już zamknąć drzwi?

— Możesz.

— Ty również tego chcesz, Greta?

— Czemu ona tak pyta?

— To żołnierz — odparł Jakob. — Żołnierz zawsze wykonuje rozkazy Pułkownika. Słyszałaś przecież, mamy przyjść tu z własnej woli.

— Zamykaj!

Nawet nie obejrzeliby się za siebie, gdy za plecami zamknął się świat.

— Nie puszczaj mnie — powiedziała Greta, mocniej ściskając dłoń Jakoba, rozglądając się wokół rozpromienionym wzrokiem.

— Nie ma mowy — odparł chłopiec.

Poprzez chaszczę podążyli w stronę polany, gdzie rozłożyste owocowe drzewo wabiło dojrzałym plonem.

VI. Śmierć Pułkownika

1

— I jak? — zapytał człowiek na inwalidzkim wózku.

— Wszystko w najlepszym porządku, Panie Pułkowniku — wyrecytowała służbiście Maxa. — Wedle rozkazu!

— Jak przyjął wiadomość o mojej... moim odejściu?

— Dobrze.

— Co to znaczy, dobrze?! Nie przejął się?

— Raczej nie. Można powiedzieć, że przyjął to obojętnie.

— Ach, tak... — Stalowa twarz uczuć wyrażać nie mogła, ale w głosie zdawał się brzmieć cień zawodu. Mężczyzna nacisnął przycisk na oparciu swego chromowanego fotela i podjechał bliżej cyborga, wciąż tkwiącego przy drzwiach temporalizatorium.

— Dobrze zamknęłaś? — zapytał.

— Z pewnością, Panie Pułkowniku.

— Jak powiedziałem, damy im godzinę. Może dwie.

— A jeśli wrócą? Dziewczynka nie wyglądała na przekonaną.

— Powiedziałaś im, że mogą wrócić?

— Tak pan rozkazał, Panie Pułkowniku.

Wyjął papierosa. Wsunął go między pobawione czucia wargi, bacząc by nie zmiażdżyć delikatnej rurki. Nim zapalił, przez dobrą chwilę wpatrywał się w papierosową paczkę.

— Zostały tylko dwa — rzekł i skrzesał ogień. Pierwszy dym wypchnął z ust ostrym kaszlnięciem, następną porcją zaciągnął się głęboko.

— To ostatnia paczka — podjął. — Ponad osiemdziesiąt lat temu, gdy zesliśmy pod ziemię, papierosów było tyle, że myślałem, że starczy ich do końca świata. Zwłaszcza, że oficjalnie wcale ich w Bunkrze nie było. To prominencki zapas. — Wydał z siebie dźwięk, równie dobrze mogący być śmiechem, jak i stłumionym kaszlem. — A jednak przyszedł czas, że się kończą. Zawsze przychodzi taki czas.

— Nie można jednak wykluczyć, że miał pan rację, Panie Pułkowniku.

Uniósł głowę ku Maxie.

— Co?

— Mam na myśli koniec świata — wyjaśniła. — Jeszcze może nastąpić, nim wypali pan te dwa ostatnie.

— Znasz mój plan? — zawołał ze zdziwieniem.

— Tylko się domyślam, Panie Pułkowniku. — Maxa wyprostowała się służbiście.

— Zdziwiająca — mruknął. — Wiesz co raz żartem powiedziałem Jakobowi? Że nastały czasy, gdy cyborgi wyglądają jak ludzie, a ludzie jak cyborgi. Zaczyna wyglądać na to, że następuje również

transpozycja sposobów myślenia.

Maxa milczała.

— Ha, ha, ha! — dodał Pułkownik i również zamilkł.

Czekali. Maxa niestrudzenie stała obok drzwi, niczym wartownik na długim dyżurze. Pułkownik skończył papierosa, potem kilkakrotnie zaglądał do opustoszałej paczki, sięgał do dwóch mohikanów, bardzo już wysuszonych, kruszących tytoniem przy dotknięciu, za każdym razem jednak cofał rękę.

— Nie ma potrzeby czekać dłużej — oznajmił, gdy minęła równo godzina.

— Nie ma potrzeby — powtórzyła Maxa i nie wiadomo było czy jest to pytanie, czy potwierdzenie faktu.

— Zresztą... — Pułkownik pochylił się nasłuchując i wpatrując w wejście do temporalizatorium. — Nawet jeśli dzieciaki wróciłyby teraz i tak już bym ich nie wpuścił. Gdybym to zrobił, przypadłoby wszystko, co nieoczekiwanie nabrało jakiegokolwiek sensu.

Niecierpliwym ruchem sięgnął do paczki papierosów.

— A oto i przedostatni — rzekł, zaciągając się delikatnie, bez zachłanności. — Chodźmy, moja droga! — zawołał do Maxy słowami, jakich nie użył w stosunku do cyborga jeszcze nigdy dotąd.

— Tak jest, Panie Pułkowniku! Przemieszczali się zatechłymi korytarzami Bunkra, czasem pustymi, czasem zawalonymi jakimiś starymi gratami, których od lat nikt już nie potrzebował. Pułkownik sprawnie manewrował swym inwalidzkim wózkiem, Maxa szła tuż za nim, sztywno wyprostowana, czasem jednak skacząc z gracją, jakiej trudno było się spodziewać po topornej sylwetce. Wreszcie dotarli do komory kreta. Cyborg pochyliła się, chcąc przenieść Pułkownika do pojazdu, ten jednak powstrzymał ją.

— Nie. W wózku! To część mojego ciała. Nie mogę rozstawać się z częścią własnego ciała. Jakoś się zmieszczę.

Rzeczywiście, zmieścił się.

— Nie zawiedziesz mnie?

Cyborg wpatrywała się w Pułkownika, jakby go w ogóle nie słyszała; zareagowała dopiero, gdy powtórzył zapytanie:

— Wszystko odbędzie się tak, jak pan rozkazał, Panie Pułkowniku!

— To dobrze, żołnierzu.

Nim zatrzasnęła się pokrywa kreta, rzekł jeszcze:

— To doskonale, że przyprowadziłaś również dziewczynę. Naprawdę doskonale! Nie można tego było lepiej ułożyć.

— Przypadek — odparła Maxa. — Zwyczajny przypadek.

— A co nie jest dziełem przypadku? — zapytał Pułkownik.

Kret znieruchomiał na skraju wykopu. Po chwili luk otworzył się i jasne światło uderzyło w twarz Pułkownika; bez wątpienia zostało przytłumione przez Żywozon, ale i tak zmusiło go do opuszczenia goglowej osłony. W porównaniu do oświetlenia w Bunkrze, była to istna orgia światła.

Zaklął z cicha: wyjście z kreta znajdowało się prawie metr nad ziemią. Niby nic, ale dla

inwalidzkiego wózka taka przeszkoda jest prawie do pokonania. Prawie. Pułkownik zdał sobie sprawę, że w zasadzie wózek nie będzie mu już do niczego potrzebny. Co tam! Nacisnął przyciski i z cichym szumem silniczków zbliżył się do ościeży. Przez moment balansował na krawędzi, jakby urządzenie samodzielnie próbowało złapać równowagę, w końcu jednak poddało się.

Spadł na ziemię nieco bokiem, odbił się i nagle poczuł jak pas puszcza. Rzuciło go do przodu, upadł na twarz, a wózek poturlał się gdzieś dalej, poza zasięg ramion. Instynktownie próbował wstać, jednak nie zdarzył się cud i nogi wciąż pozostawały nieczułe na wezwanie. Przewrócił się więc na wznak i leżał tak, wpatrzony w jasnoblękitne niebo. Puste aż po horyzont.

— Ani kawałka cholernego Żywozonu — powiedział Pułkownik, głośno i wyraźnie, jak gdyby stał przed nim niewidzialny rozmówca. — Myślałby kto, że nie ma tam ani kawałka!

Pokręcił głową, w poszukiwaniu jakiejś chmurki. Nie znalazł. Szkoda. Byłoby pięknie, gdyby teraz spadł deszcz. Doprawdy, cudowny epilog. Żołnierz powinien umierać podczas bitwy. Rzecz jasna, doskonale wiedział, że wojny dawno już nie ma. To tylko Żywozon przemierza przeszłość, niczym okręt fale spienionego oceanu. W czasie burzy zagęszcza czas. W swej ekologicznej strefie, w rzadkich warstwach wysokiej atmosfery, na granicy kosmicznej próżni, łechtany wysokoenergetycznymi wyładowaniami, których znaczną część ku niemu się kieruje, nie ku Ziemi, przywołuje upiory historii, bojowe satelity, wypełnione śmiercią i pożogą. I to co było, staje się tym co jest. Wiecznym ripleyem, w godzinie potrafiącym zmieścić całe tygodnie. Całe dni w przeciągu minut.

A nie powinno tak być. Nie powinno! To wbrew prawom, na podstawie których zbudowano podziemny Bunkier. I wcale nie prawa fizyki miał na myśli scyborgizowany Pułkownik, ostatni dowódca ostatniego Bunkra Europy.

Wtem zadrżała ziemia.

Pułkownika przeszył dreszcz, choć przecież spodziewał się tego, na to przecież czekał. Cyborg Maxa wysadziła Bunkier, wykonała ostatni rozkaz; ostatni tak dla niej, jak i dla człowieka, który nie ma już komu ich wydawać.

Ziemia zatrzęsała się raz jeszcze, o wiele gwałtowniej, i nagle przez kreci otwór, niby z wulkanicznego brzucha, wypadł gejzer sprężonego powietrza, betonowych odłamków i stalowych odprysków. Sam kret odrzucony został na bok, zwierzę powalone ciosem drapieznika, cudem minął mężczyznę w wojskowym odzieniu, leżącego na wznak i rechoczącego w głos, jakby sądził, że jest nieśmiertelny i nie jego dotyczy apokalipsa. Może i miał rację, przynajmniej w tamtej chwili, bo gdy wszystko ucichło, gdy uspokoiła się ziemia i nastąpiła cisza, on wciąż żył, oczy błyszczały mu radośnie, a ryczeć przestał tylko dlatego, że zmuszony był wypluwać pył, który opadał wszędzie, jak po wybuchu bomby.

Minęło sporo czasu, nim Pułkownik doczołgał się do szczątków kreta. Właściwie nie wiedział, po co w ogóle pełźnie do niego. Może dlatego, żeby upewnić się, że na pewno jest zniszczony; zdobyć dowód, iż zagładzie uległ również Bunkier, gdzie w każdy korytarz, każdą kubaturę, ziemia wróciła na swoje miejsce.

Pomacał się po kieszeniach i odnalazł ulubioną paczkę, a w niej ostatni papieros, a raczej to, co z niego pozostało. Wykruszona pałeczka cudem dała się jeszcze zapalić. Tym razem Pułkownik nie zmarnował pierwszego pociągnięcia, jak to miał w zwyczaju, wciągnął dym do płuc z masochistyczną niemal przyjemnością. I znów patrzył w niebo, ale chmur wciąż nie było. Nie dane mu było doczekać deszczu.

Nagle wysoko, wysoko, Żywozon upuścił kolejny owoc. Czarna gwiazda rosła w oczach, ujawniając swój kulisty kształt. Bez wątpienia spadała na pogorzeliisko. Wprost na Pułkownika,

opartego o szczątki maszyny, najspokojniej w świetle palącego papierosa, jakby znajdował się na jakimś pikniku, a nie w nieprzyjaznym, pozabunkrowym otoczeniu.

Żywokasztan zatrzymał się może metr przed siedzącym mężczyzną. Rotował z wolna, a pokrywające go złotawe zawirowania wiły się, niczym małe węże. Sprawiał wrażenie wężącego zwierzęcia, usiłującego rozpoznać swą ofiarę.

Pułkownik wypuścił kolejny kłęb dymu, leniwym ruchem ułożył palce i pstryknął niedopałkiem wprost w brązową kulę.

— Możesz zabrać sobie ten świat — powiedział. — Ci, co zaczęli od początku, dostali swój własny.

Owoc Żywozonu poruszył się, jakby tylko czekał na te słowa, i nagle człowiek znalazł się wewnątrz niego, zgnieciony, skurczony do embrionalnej pozycji, ale wciąż żywy.

— Ha, ha, ha! — dobiegł jeszcze stłumiony śmiech. „Pyk!”

Masy powietrza wypełniły nagłą próżnię. Żywokasztan zniknął wraz ze swą zawartością, w tajemnym celu przemierzając otchłań czasu. Gdy pojawił się ponownie, szerniały i dygoczący, niebo wciąż wyglądało tak samo, tak samo wyglądał step i zdewastowana maszyna nazywana kiedyś kretem.

Rozprysnął się jak bomba z opóźnionym zapłonem, z hukiem odrzucając skorupę, wypluwając tysiące igłowych pocisków.

Lecz nie było nikogo, kogo mogłoby to obchodzić.

Jarosław Grzędowicz

Klub Absolutnej Karty Kredytowej

— Tym razem, w mordę, jesteś załatwiony, Zięba — powiedział Zięba, po czym zjechał na pobocze autostrady i oparł czoło o kierownicę. Siedział tak przez chwilę, słuchając bębnienia uporczywego październikowego deszczu o dach i rytmicznego stukotu wycieraczek. Przejeżdżające z rzadka samochody mijaly jego zmaltretowanego garbusa z szumem opon i potraçały lekko karoserię podmuchami czołowymi, a Zięba leżał na kierownicy, zastanawiając się, dlaczego nie może się rozplakać. W końcu po raz pierwszy od dawna, był nareszcie zupełnie sam.

Do tej pory, od kilku a może kilkunastu miesięcy miał wrażenie, że gdyby mógł choć na chwilę przestać udawać, iż panuje nad sytuacją, to by mu pomogło. Wciąż miał takie uczucie, jakby w jego głowie znajdował się przegrzany kocioł parowy. Uśmiechał się do ludzi, reagował rzeczowo, kiedy mu tłumaczyli dlaczego redukcja jest konieczna i dlaczego musi objąć również jego, cierpliwie znosił załamania i lęki Jolki, nie reagował na zrzędenie matki i spokojnie patrzył, jak wskazówka wędruje po czerwonym polu skali. Jeszcze kilka takich prezentów od losu jak ostatnio i po prostu eksploduje niczym parostatek na Nilu. Gdzieś tam kończy się ludzka wytrzymałość, a potem po prostu przechodzisz na drugą stronę granicy. Różnie może być. Może Wariatkowo? Może zacząć rabować, albo strzelać do ludzi? A może po prostu poszukać sobie jakiejś linki i gałęzi?

— Jestem nieudany — powiedział w stronę dźwigni zmiany biegów. — Stanowią felerny egzemplarz. Odpad jakiś czy coś. Człowiek powinien mieć dość oleju w głowie, żeby znaleźć dobrą pracę. Powinien umieć zdobyć mieszkanie dla swojej rodziny, powinien chcieć mieć dzieci, powinien skończyć studia i móc planować przyszłość. Powinien do cholery, umieć się dogadać z własną żoną. Sęk w tym, że to nie są żadne cuda. Wszyscy to umieją. Nie mówimy tu o milionach dolarów, ani międzynarodowej karierze. Mówimy o przetrwaniu.

Chciałbym być normalny.

Nadal nie mógł się rozplakać i to było dziwne. Czytał, że to pomaga. Kobiety na przykład mogą i między innymi dlatego żyją dłużej. A zatem powinien, choćby dla higieny. Najwyraźniej się oduczył. I dobrze.

Wrzucił jedynkę i wtoczył garbusa na najwolniejszy, prawy pas, przeznaczony dla ciężarówek, maluchów i życiowych rozbitków podróżujących po kraju wrakami. Nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd właściwie jedzie. Wybrał Gdańską E-7, bo była ładna i kojarzyła mu się miło, beztrosko i jakoś wakacyjnie. Najwyraźniej nie jeździł nią nigdy w październiku. Teraz, wśród mgły, siąpiącego deszczu i zapadającego niczym brudna kurtyna zmroku, wyglądała jak autostrada prosto do piekła. Pracowicie wrzucając biegi, dobrnął do osiemdziesiątki i parł naprzód, słuchając łomotania zaworów upodabniających silnik volkswagena do diesla rybackiego kutra.

Przydałaby się jakaś muzyka. Jakiś smętny blues dla przegranych, który zapewniłby jego ucieczce odpowiedni podkład. Bardzo mu tego brakowało. Niestety, samochodowy radiomagnetofon kosztuje pięć milionów jak obszył. Nie ma z tym dyskusji.

Oczywiście, wszędzie spotkasz facetów, którzy popukają się w czoło, twierdząc, że można to mieć za półtora bańki, razem z głośnikami i montażem. Tylko, że to dotyczy wyłącznie tych facetów.

Gdyby Zięba nawet miałkiedykolwiek tyle pieniędzy, co zważywszy okoliczności raczej nie było możliwe, to i tak nie trafiłby ani w odpowiednie miejsce, ani odpowiedni czas, albo na odpowiednich ludzi. Tak to już było. Ze wszystkim. Być może dałby sobie wmówić, że ma nieodpowiednie nastawienie, albo że w życiu wszystko się wyrównuje i w ogóle jest ono ciężkie — gdyby nie miał tylu znajomych. Znał ich na wylot i wiedział doskonale, że nie jest od nich głupszy ani mniej pracowity czy gorszy. Startowali mniej więcej z tego samego poziomu, a teraz ziała między nimi przepaść. Tamci również mieli rodziny, mieli mieszkania, przyzwoite samochody, pracę, dzięki której nie tylko podtrzymywali funkcje biologiczne, ale pozwalali sobie na zbytki i gromadzili oszczędności. A wszystko to osiągnęli mniej więcej połową tego wysiłku, który Zięba wkładał w stanie w miejscu. Zupełnie jakby pchał się pod prąd na ruchomych schodach. Nie rozumiał tego. Inni jakoś mogli sterować swoim życiem i nie napotykali na tego rodzaju obiektywne trudności, na które Zięba nadziewał się przy najgłupszej nawet sprawie. Najprostsze rzeczy zamieniały się w problemy nie do przebycia, jeżeli tylko on się za nie zabrał i naprawdę nie było w tym jego winy. Tu nie chodziło o negatywne nastawienie, brak wiary we własne siły ani żadne inne psychologiczne sztuczki, o których pisze się w magazynach dla kobiet. Zięba ze wszystkich sił myślał pozytywnie, przygotowywał się drobiazgowo, a potem jego papiery ginęły, ludzie, na których liczył odmawiali mu pomocy, w przepisach pojawiały się rozmaite kruczki i interpretacje — zawsze na jego niekorzyść, urzędnicy pałali do niego gwałtowną nienawiścią od pierwszego spojrzenia i tak dalej. Miał w sobie coś, co zamykało wszystkie drzwi, nawet jeżeli dla każdego innego były otwarte na oścież. Nauczył się, że w jego przypadku absolutnie wszystko zależało od ślepego losu. Oczywiście, na jakimś etapie ważne były twoje zdolności, pracowitość, albo inwencja twórcza, ale żeby w ogóle do tego doszło, musiał zaistnieć jakiś korzystny zbieg okoliczności. Kiedy był czas zarabiania za granicą, każdy kto chciał jechać, musiał najpierw otrzymać paszport, pieniądze na bilet i cokolwiek, choćby najlichszy punkt zaczepienia na miejscu. Oczywiście, żeby dostać wizę, trzeba było mieć od kogoś zaproszenie i jakiś zamiar na ewentualną pracę. No i każdy miał kogoś takiego, a jeżeli nie, to istniała jeszcze przyjacielska samopomoc. W przypadku Zięby nie było o tym mowy. Rodzina udawała, że nie wie o co chodzi, a przyjaciele zmieniali temat. Kiedy inni potrzebowali mieszkań, każdy miał jakąś sędziwą babcię, ciotkę albo wujka, którzy byli tak mili, by na czas wykorkować i zaopatrzyć potomka w stosowny zapis testamentowy. Inni otrzymywali posag lub coś w tym rodzaju i mieszkali.

Zięba miał trzypokojowe piekło na ziemi dzielone z żoną, trójką dzieci i swoimi rodzicami.

Kiedy inni szukali pracy, zawsze docierały do nich pogłoski o jakimś wakacie, zawsze korzystniejszym niż poprzednie stanowisko i to zanim zaczęli się na dobre martwić.

A teraz sam stracił pracę. Marną, bo marną, ale zawsze. Co gorsza, doskonale wiedział, co będzie dalej. Dojedzie na samą krawędź galicyjskiej nędzy, a potem po gigantycznych wysiłkach uzyska prawo do jakiejś beznadziejnej harówki za psie pieniądze, a wszyscy będą mu robili niesłychaną łaskę. Miał dość. A na domiar tego wszystkiego, jeszcze był odpowiedzialny za dzieci. Nie był w stanie poukładać własnego życia, a tu jeszcze miał kogoś wychować i utrzymać.

Jolka oczywiście wpadnie w histerię. Załamie się kompletnie i zamieni mu życie w neurotyczne przedpiekle. Rodzice będą triumfować. Gdyby został lekarzem, tak, jak sobie życzyli, to nie byłoby tego wszystkiego.

Akurat. Nie dość, że robiło mu się niedobrze na samą myśl o krwi, to pamięć miał jak jętka. Nienawidził nawet zapachu szpitala, ale liczyło się to, że oni byli lekarzami. Tradycje rodzinne i całe to pieprzenie.

Garbus zaczął jakoś dziwnie dygotać i Zięba stwierdził, że wydobywa z biednego pojazdu całe

dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Nieświadomie wcisnął gaz do deski. Makabra.

Uciekał. Robił dokładnie to, co poradził mu Stefan.

Siedzieli w jego kawalerce, urządzonej ze specyficznym smakiem świadomego samotnika. Zięba na skórzanym fotelu, ze szklanką whisky, a Stefan za swoim biurkiem. Stefan zawsze miał dobre alkohole, wolny czas, pogodę ducha i przyjaciółkę na podorędziu.

Był też opętańczo życzliwy ludziom.

— Spierdalaj — powiedział zniecacka, wysłuchawszy całej historii i wypełnił pokój kłębami prince alberta. Zięba skamieniał. — To znaczy nie stąd, tylko w ogóle. Weź trochę kasy z tej twojej odprawy, zatankuj chruszcza i wypierdalaj, gdzie pieprz rośnie. Na tydzień. Po pierwsze, jesteś tak zmalretowany, że musisz odpocząć, bo się wykończysz. Po drugie, musisz naprawdę poważnie zebrać myśli, a nie masz na to żadnej szansy w tym kołchozie pełnym wariatów. Jedź gdziekolwiek. Nad morze, albo w góry. Jest po sezonie, wynajmiesz pokój za grosze. Przemysł wszystko, ułóż jakiś gryplan.

— Jolka mnie nie puści — powiedział ponuro Zięba. — Dla ciebie wszystko jest takie proste. Ja mam dzieci. Nie mogę wydać na siebie kilku setek, jeżeli jestem bezrobotny. Co będzie dalej?

— Kretyn! — wrzasnął Stefan. — Przecież zarobiłeś te pieniądze głupku, a nie ukradłeś. Ja stąd widzę, że wyglądasz jak trzy ćwierci do śmierci, a nie chce mi się specjalnie na ciebie patrzeć. Jeżeli Jolka nie rozumie takich prostych rzeczy, to ją okłam. I tak jej jeszcze nie mówiłeś, prawda?

— Nie.

— To powiesz po powrocie. Odpoczniesz, to łatwiej będziesz mógł to znieść. Jak na ciebie patrzę, to nie mogę zrozumieć po co ludzie się żenią. Kobieta powinna cię wspierać, a nie dołować.

— Zrozum ją. Prawie osiem lat takiej vegetacji, bez domu, bez przyszłości. Poza tym, kiedy kobieta jest matką, to liczy się dla niej tylko przetrwanie. Żadnego ryzyka i żadnych zbędnych wydatków. Zwłaszcza w takiej sytuacji.

— Jezu, jakie głupoty. Jedź! Jedź do lasu, czy coś. Jedź, zanim ci kompletnie odbije.

Zrobił jak mu radzono. Zełgał coś o jakimś szkoleniu, spakował torbę i pojechał, sam nie wiedząc dokąd i czując się potwornie. Jednak z każdym kilometrem odepchniętym łysiejącymi oponami volkswagena, czuł się lepiej. Podobno doświadczają tego marynarze wyruszający w długie rejsy; lądowe kłopoty zostają na lądzie i człowiek z każdą chwilą staje się lżejszy. Dobrze było tak jechać samemu, bez wrzasków dzieci wypełniających samochód, bez rozżalonego na świat milczenia Joli, bez tego całego nieszczęścia na kołach, w które zamieniały się wszystkie wspólne wyjazdy. Czuł się prawie tak, jakby był panem swojego życia. Przynajmniej normalni ludzie muszą się tak czuć. On sam już nie pamiętał, jak to jest. Jola zaszła w pierwszą ciążę, kiedy byli na drugim roku studiów.

To tyle, jeżeli chodzi o panowanie nad własnym życiem. Okazało się, że znowu dodał gazu.

Minął most w Modlinie i jechał dalej, jakby na północy leżało rozwiązanie jego problemów. Kawalek za mostem przypalił sobie marsa i zauważył, że wskazówka poziomu paliwa opadła prawie do zera. Nie było rady. Nie miał dużo pieniędzy, ale kto chce uciekać, musi mieć benzynę. Tak mówi pierwsze prawo zmotoryzowanego uciekiniera.

Stacja benzynowa wyglądała sztywnie i niestosownie, niczym kosmiczny ładownik na bagnie. Pastelowe, przeszklone budyneczki aż zapraszały do środka. Zięba zatankował za sto pięćdziesiąt i postanowił się napić kawy. W przypiływie jakiejś desperackiej rozrzutności kupił jeszcze paczkę goldenów i nalał sobie kawy ze szklanego dzbanka stojącego w ekspresie przy długiej ladzie z syntetycznego marmuru. Zrezygnował z kanapek, kiełbasek i pizzy, natomiast usiadł sobie w tym skandynawskim wnętrzu, przy drewnianym stolyczku i zapalił papierosa, patrząc na deszcz siekący

kosztowne, panoramiczne szyby.

Poczuł się dobrze, siedząc w tym wnętrzu nie z tej bajki, pijąc sobie kawę za całe sześć złotych, nie użerając się z nikim, nie tocząc małżeńskiej gierki, nie spiesząc się, bo ktoś tam nie może za długo zostawać z dziećmi, tylko po prostu sobie siedząc. Tak dobrze, jakby był zupełnie kimś innym. Tak dobrze, że nie miał nawet ochoty opłakiwać swojego schrzanionego życia.

Dziewczyna usiadła przy sąsiednim stoliku naprzeciwko Zięby. Nawet nie potrafiłby jej opisać: brunetka, bardzo smagła karnacja niczym u Cyganki, czarne oczy w kształcie migdałów, kasztanowe włosy upięte w niedbały, puszysty kok, wypukłe kości policzkowe — to pasowałoby do tysięcy kobiet, nawet gdyby dodać, że była piękna. Miała zestaw podstawowych elementów urody śródziemnomorskiej, ale ułożonych w niepowtarzalny układ. Bardzo oryginalna twarz.

Nic z tych rzeczy. Już nigdy. Naprawdę nie przypuszczał, że widok ładnej dziewczyny z długimi nogami może wydawać się tragiczny. Sprawiała mu ból. Młody, sympatyczny facet w lotniczej kurtce z brązowej skóry, o której Zięba mógł tylko pomarzyć, usiadł obok dziewczyny, stawiając na stoliku taczkę z hamburgerami. Dziewczyna uśmiechnęła się i nadstawiła usta do przelotnego pocałunku. Zięba miał nadzieję, że potem zabiorą się do jedzenia, ale oczywiście natychmiast zaczęli się do siebie łączyć. Facet powiedział coś ściszym głosem i dziewczyna zachichotała. Roztaczali wokół atmosferę takiej słodkiej sielanki, że aż się niedobrze robiło.

Zięba miał czasami wrażenie, które mogło być po prostu produktem jego rozbuchanej wyobraźni, że wystarczy mu przelotny kontakt z kimś, by poczuć coś, zapach, może jakąś aurę, która pozwalała wiedzieć o człowieku niemal wszystko. Czasem wyprzedzał go na światłach jakiś samochód, za szybą przez sekundę majaczyła twarz kierowcy, a Zięba wiedział jaki kolor mają meble w mieszkaniu tego faceta, czuł atmosferę jego domu, smak ulubionych potraw. Albo przynajmniej tak mu się wydawało. Niemniej, uczucie było przyjemne.

Tym razem było podobnie. Wystarczyło na nich spojrzeć i czuło się atmosferę tego młodego małżeństwa, widziało przytulną prostotę ich kawalerki: drewno, tropikalne rośliny, len, skóra i słoma.

Wiedział, że oboje pracują, nie mają dzieci, a każdą wolną chwilę poświęcają, uprawiając kosztowne przyjemne sporty. Narty, żagle, windsurfing. Urządzają kolacyjki przy świecach i pieprzą się bez przerwy jak susły: w łóżku, na dywanie, w kuchni, łazience.

Byli takimi cholernymi, rozpieszczonymi powodzeniem dzieciakami, że aż go piekło w dołku z zazdrości. Jemu i Joli nigdy nie było to dane. Nigdy nie mieszkali sami, nigdy nie byli u siebie, a kiedy się pobierali, pierwsze dziecko było już w drodze. W jednej chwili byli dziećmi, a w następnej rodzicami uginającymi się pod ciężarem obowiązków i powinności. Jeżeli chcieli być przez chwilę sami, musieli to organizować na tydzień naprzód, jak ekspedycję polarną. Słowo „spontaniczność” zniknęło z ich języka. Podziało się gdzieś. Młodość była dla kogoś innego, na przykład dla tych tu dzieciaków, którzy byli starsi co najmniej o kilka lat, a mimo to wciąż cieszyli się swobodą.

Kawa przestała mu smakować. Wbił wzrok w stół i zaciągnął się papierosem, czując się stary i przegrany.

Jakąś godzinę później zorientował się, że popełnił błąd. Miło było tak jechać bez celu, ale gdzieś musiał się zatrzymać. Chciał wynająć jakiś domek kempingowy na Mazurach, ale robiło się ciemno, a po nocy nie miał na to żadnych szans. Zanosił się na nocleg w samochodzie i powrót do domu jutro, za to z ciężką grypą. Bardzo miła perspektywa.

Drugi błąd popełnił, skręcając z trasy na wschód, gdzieś, za Waplewem. Chodziło o te Mazury, ale tym sposobem znalazł się na bocznych drogach i nadzieje na nocleg spadły do zera.

Garbus toczył się ciemnymi drogami, wśród lasów i opłotków, a Zięba wlepił oczy w mrok

rozcinany reflektorami, usiłując wypatrzeć cokolwiek.

Znalazł dwa ośrodki wczasowe, puste i ciemne, po czym odjechał oczekiwany przez chude psy i żegnany pustymi spojrzeniami lekko zawianych cieciców. Co gorsza, nie miał pojęcia, gdzie jest. Skręcił tyle razy, że atlas stanowił lekturę nudną i bezwartościową.

Pierwsza tablica stała na poboczu i wyglądała podejrzanie porządnie. Miała nawet własne oświetlenie. W krainie zardzewiałej siatki, zbutwiałych desek, zapyziałych szyb i dzikich lasów, taki ostentacyjny totem lepszego świata zapierał dech w piersiach.

Zięba przystanął i przeczytał napis MOTEL „SARGASSO” 0,5 km, a pod spodem krzepiące „czynne cały rok”. Ruszył, mając nadzieję, że będzie go stać na nocleg. Teraz, kiedy znalazł jakieś rozwiązanie, nagle poczuł dawno zapomniany smak przygody.

Następne pół kilometra przejechał powoli, wśród mgły wypełzającej z lasu, przepatrując uważnie pobocza.

Szyld kołysał się na dwóch łańcuchach, wskazując stylizowaną strzałką na boczną dróżkę, odchodzącą w las od szosy, wysypaną jasnym żwirem.

„Sargasso”. Podobała mu się ta nazwa. Coś w sam raz dla rozbitka.

Żwirowa dróżka prowadziła przez ciemny, sosnowy las, ociekający deszczem, pachnący igliwiami i mokrymi grzybami. Od bardzo dawna nie był w lesie. Pomyślał, że jeżeli będzie mógł się tu zatrzymać, to jutro pójdzie na spacer. Oczywiście, zaraz trzeba będzie ruszyć dalej. Nie było mowy o kilku dniach w motelu.

Reflektory oświetliły jaskrawo białą bramę zamykającą drogę, z odblaskowym znakiem stopu przymocowanym pośrodku. Była zamknięta.

„Zaczynają się schody” — pomyślał Zięba i w tym momencie nad bramą zapłonął halogenowy reflektorek, rozbrzmiał miły, trójtonowy gong i krata miękko odsunęła się w bok, niknąc gdzieś w krzakach. Czary.

Motel przywodził na myśl programy telewizyjne o miliardowych aferach albo seriale z życia wyższych sfer. Mógłby przypominać dużą, urokliwą leśniczówkę gdyby każdy, nawet najgłupszy szczegół nie był tak elegancki i zbytkowny.

W środku było jasno, ciepło i przytulnie, choć przepych wnętrza był ostentacyjny i nuworyszowski. Boazerie, skóra, mosiądz — styl myśliwski za ciężkie pieniądze.

— „To jakieś nieporozumienie” — pomyślał spłoszony Zięba, ociekając na wytworną terakotę i czując się jak wędrowny dziad. „Posiedzę w kawiarni przy herbacie albo może mógłbym się zdrzemnąć na fotelu, albo w garażu. A najlepiej jak sobie pójdę.”

Ogromny, tłusty kot perski uplasowany dekoracyjnie na czarnym, szorstkim futrze dzika podniósł na osobę i bagaż Zięby spojrzenie pełne arystokratycznej pogardy, po czym powrócił do przerwanej drzemki.

Całą szerokość kontuaru recepcji okupowała grupka hałaśliwie szczęśliwych Anglików. Zastawili podłogę sakwożazami i sztucerkami w futerałach, trzech podrywało recepcjonistkę, błaznując niczym wędrowny cyrk Monty Pythona, zaś dwóch poszturchiwało się w udawanej bójce.

Pięciu wyluzowanych Angoli na wakacjach. Nie przeszkadzało im nietaktownie bogate wnętrze, nie bali się wracać do domu, nie znajdowali się na wirażu życia od lat. Byli tak ostentacyjnie normalni, że aż się niedobrze robiło.

— Słucham? — recepcjonistka zaszczyciła Ziębę błękitnym spojrzeniem. (Niestety, jestem żonaty)

— Ile będzie kosztował wolny pokój?

— Jest pan sam? (Tak, i czuję się taki samotny).

— Tak, na jedną noc. (Ale całą, ślicznotko).

— Trzysta pięćdziesiąt ze śniadaniem.

Zapłacił z góry, czując, jakby wydzierał sobie serce, dostał klucz i ruszył po drewnianych schodach na górę, a jakiś mały człowieczek w jego głowie obrzucał go wyzwiskami, żądał, by natychmiast odebrał pieniądze, opamiętał się i wracał do domu. Panie i panowie! Oto pan Zięba, który na co dzień przez pięć minut wybiera pomiędzy dwoma paczkami żółtego sera, posiada jedną parę całych spodni, a bilet do kina od lat stanowi dla niego niedościgny luksus. Właśnie zapłacił trzysta pięćdziesiąt złotych za pokój — witamy na dnie. Ciekawe, co jego dzieci jedzą dziś na kolację — czekamy na telefony od państwa!

„Oszalałem” — pomyślał ze zgrozą — „nareszcie”. Otworzył drzwi, żegnany oskarżycielskimi spojrzzeniami wypchanych kozłów, saren oraz jeleni i wszedł do środka. Pokój był dość bezosobowy, jak to pokój w hotelu. Tapczan, szafka nocna, komódka z małym, japońskim telewizorkiem, stół, krzesło, szafka nocna z lampką i telefonem, tacka ze szklankami, drewniany stojak na strzelby obok szafy, w małym korytarzyku. Wszelkie sprzęty wykonał ktoś natchniony myślistwem i jazdą konną, niemniej, Zięba był zachwycony. Sam pędził życie w ciasnym, zagraconym i pełnym zgiełku pokoju, zmienionym w dwie klitki za pomocą paskudnej meblościanki.

Zamknął za sobą drzwi i położył torbę na podłodze. Zdjął przemoczoną kurtkę, a potem usiadł na brzegu tapczanu i spojrzał na facjatowe okienko wbudowane w pochyły dach, słuchając deszczu, siekącego równo sosnowy las. Zupełnie nagle poczuł przyływ zimnej wściekłości i dzikiego buntu, który od dawna wrzał mu gdzieś pod czaszką. Zostanie tu.

Pieprzyć to wszystko.

Pieprzyć odpowiedzialność i poczucie winy.

Nie będzie szukał żadnego kempingowego ośrodka, ani poddasza u wiejskiej gospodyni. Zostanie tak długo, na jak długo wystarczy mu pieniędzy, myślał, odkrywając w przedpokoju miniaturową lodówkę. Oznaczało to najwyżej dwa, trzy dni, ale co tam. I tak niczego by przez ten tydzień nie wymyślił.

— Trzy dni — powiedział stanowczo, oszołomiony wstrząsająco nowobogacką łazienką, z wypolerowanymi mosiężnymi kranami i czarno — złotą glazurą. Trzy dni, a potem wróci do domu i przynajmniej będzie miał co wspominać. Będzie odpoczywał, łąził po lesie, oglądał telewizję, siedział w barze i udawał kogoś innego. A potem, kiedy będzie mu się wydawało, że już dłużej nie wytrzyma, przypomni sobie trzy dni z życia normalnego człowieka.

Odkręcił oprawione w mosiądz porcelanowe kurki i słuchając przytulnego plusku wody lejącej się do wanny, zdjął przemoczoną kurtkę i powiesił ją w przedpokoju. Rozpiął torbę i rozłożył swój skromny dobytek na półkach w szafie. Zadowalał się.

Spędził prawie godzinę w wannie, mocząc się w gorącej wodzie, patrząc na czysty biały sufit i rozkoszując się ciszą. Nikt nie wrzeszczał, nikt się nie kłócił i nie dobijał się do drzwi. Mógłby tak leżeć cały dzień. Ukryty przed światem, poza zasięgiem telefonów, pretensji, wezwań i obowiązków, którym nie można sprostać.

Nie zdołał całkowicie odpocząć, ale coś z panującej w pokoju ciszy, trochę sennego spokoju deszczowego, jesiennego wieczoru przeniknęło do jego zmaltretowanego mózgu. Kiedy wstał z wanny i ubrał się, miał ochotę poruszać się miękko i cicho, mówić szeptem, a najchętniej milczeć. Do tej pory rozpiekała go potrzeba wrzeszczenia aż do zachrypnięcia albo puszczenia się panicznym sprintem wprost przed siebie. Teraz czuł, jakby ktoś wymienił mu filtry w mózgu na nowe i czyste.

Zmienił koszulę, wypalił papierosa i postanowił pójść na kolację. Udało mu się wejść w rolę i stać się na chwilę tym innym, bardziej udanym człowiekiem, bo nie uciekł na widok krochmalonych białych obrusów, świeczników i snujących się jak widma kelnerów w myśliwskich marynarkach.

Przy stolikach siedziało najwyżej kilkanaście osób. Anglicy wyglupiali się i rżeli jak ogiery, ale teraz poczuł do nich lekką sympatię. Znalazł sobie dyskretny stolik pod ścianą, z premedytacją rozłożył serwetkę, niszcząc zaprasowane kwietne origami i otworzył kartę dań. Trzeba przyznać, że ceny były zaporowe i Zięba mimo swojego nowego wcielenia na chwilę stracił rezon. Przez jakiś czas nieprzytomnie wodził wzrokiem po cenach, szukając panicznie czegoś dwucyfrowego, przeliczał stare złotówki na nowe i odwrotnie, myląc się za każdym razem, wreszcie znalazł wśród zakąsek jakieś kielbaski „Darz bór” i zamówił, dołożywszy sobie jeszcze herbatę. Mimo najgorszych obaw, kelner wcale nie był wyniosły i nie dawał niczego do zrozumienia. Przeciwnie, zachowywał się przyjacielsko jak terapeuta i przez pięć minut opowiadał Ziębom o pieczonym na liściach chrzanu tutejszym wiejskim chlebie, od którego zagranicznicy uzależniali się jak od kokainy i kupowali na drogę całe bochny.

Kielbaski były ponoć z dzika, pieczone na węglach i rzeczywiście smaczne. Zjadł, ale dalej był głodny. Kupił jeszcze małą butelkę coca-coli w cenie dwulitrowej butli, pięćdziesiątkę wyborowej i zamknął tym samym budżet na ten dzień.

Piekielnie słodka cola pozwoliła oszukać głód, więc siedział, paląc papierosy, sącząc homeopatyczne ilości wódki i obserwując innych gości. Bardzo był ciekaw, pod jakim względem jest od nich gorszy.

Anglicy, wiadomo. Urodzili się w odpowiedniejszym miejscu i wszystko załatwiła za nich historia. Robili swoje za godziwą zapłatę, a pogarda do własnego kraju nie była wśród nich modna.

Przy innym stoliku siedzieli sobie trzej panowie, noszący krawaty do myśliwskich kurtek, odznaczający się tą szczególną elegancją, która każe wybierać się do lasu w lakierkach i zakładać spodnie od dresu, do białej koszuli. Rozmawiali po rosyjsku i wznosili toasty.

„Jeżeli zaczną śpiewać coś bardzo smutnego i płakać, to znaczy, że właśnie kogoś zakopali w lesie” — pomyślał Zięba. — „To jest jednak charakter narodowy. Przynajmniej wiadomo, skąd mają forszę.” W pobliżu kominka, po drugiej stronie sali przy długim stole, biesiadowało hałaśliwie kilkusobowe, mieszane towarzystwo, należące do młodego polskiego biznesu. Nikt nie miał więcej niż czterdzieści lat, nosili flanelowe, ocieplane kurtki w czarno-czerwoną kratę albo maskujący przyodziewek z amerykańskiego demobilu, wszystko kosztowne i nowiutkie. Wrócili najwyraźniej z polowania i obstawili kominek sztuczerami i dubeltówkami, ale na stole królowały telefony komórkowe i papiery w plastikowych okładkach. Japiszony. Ciekawe, czy któryś umie strzelać.

Posiedział jeszcze trochę, ale w końcu zabrakło coli i trzeba było iść. Zresztą, nie było to takie złe. Miał pokój jak marzenie, mógł oglądać telewizję albo słuchać deszczu; spać do syta i nikt nie będzie niczego od niego chciał.

Notes leżał na nocnej szafce, obok popielniczki i telefonu. Zięba nie musiał się nawet specjalnie zastanawiać, żeby stwierdzić, że to nie jego. To było widać. Nie miał notesu oprawionego w czarną, miękko wyprawioną skórę i nigdy nie będzie miał. Podniósł go bezwiednie, a wtedy okazało się, że to nie notes, tylko książeczka. Wydrukowana na cieniutkiej bibułce, okrągłą, czytelną czcionką, ale drobniutką, jak maczek. Modlitewnik? Własność hotelu? Może poprzedni gość zostawił? Nonsens.

Zajrzał na pierwszą stronę i w ułamku sekundy pożegnał się z logiką. Jak cios w potylicę. Jak nagłe wejście w cień. **WŁASNOŚĆ PANA ARTURA ZIĘBY.**

Drukiem. Tą samą czcionką, którą wydrukowano całą książeczkę. Nie był to żaden ręczny czy maszynowy dopisek. Napis powstał na tej samej bibułce i w tej samej chwili, kiedy produkowano całość. Odłożył notes powoli na stolik i zdjął słuchawkę telefonu. Poruszał się jak we śnie, albo wysokiej gorączce. Nie myślał. W jego mózgu panowała głucha, watowana cisza. Wdusił zero.

— Dzwonię z pokoju trzydzieści osiem. Czy przyszła do mnie jakaś przesyłka?

— Zaraz, trzydzieści osiem... nie, przykro mi, nie było żadnej poczty. Jeżeli coś przyjdzie, to zadzwonimy, albo recepcjonista powie panu przy okazji. Staramy się nie zakłócać gościom wypoczynku.

— Czy mają państwo jakiś swój folder, chciałbym polecić znajomym.

— To bardzo miło z pańskiej strony, foldery są w recepcji.

— Dziękuję — powiedział mechanicznie i odłożył ostrożnie słuchawkę. Sięgnął po książeczkę, ale bał się otworzyć. Materiał reklamowy? Wygrałeś jedną z nagród, wśród których jest pięć miliardów albo gipsowe krasnale, musisz tylko kupić nasz komplet garnków w cenie samochodu? A może to żart? Nie ma się co oszukiwać. Nie było do niego żadnych przesyłek. Ktoś go wytropił w tej leśnej głuszy, w motelu, w którym zatrzymał się przypadkiem, nawet nie wiedząc gdzie jest. Ktoś go dopadł i czegoś chciał.

Zupełnie spokojnie dopuścił do świadomości, że dzieje się coś niemożliwego. Tak po prostu.

Otworzył książeczkę.

To nie jest żaden żart, przyjacielu, loteria reklamowa ani folder hotelowy. Nie musisz się niczego obawiać. Nie jesteśmy żadną mafią, urzędem, czy sektą. Wiemy, że potrzebujesz pomocy i właśnie chcemy ci jej udzielić. Bez żadnych warunków i jakichkolwiek kosztów z twojej strony.

— Akurat — powiedział ponuro Zięba. — Nie ma niczego za darmo, z wyjątkiem przynęty. Tego akurat to się dobrze nauczyłem.

Oczywiście, nie ma niczego za darmo, ale akurat w tym przypadku, ty już swoje zapłaciłeś. Tym razem nie kupujesz niczego, tylko odbierasz zaległą pensję. Czy nigdy nie miałeś wrażenia, że z twoim życiem coś jest nie w porządku?"

— Mowa — powiedział Zięba. Poczul rodzący się gdzieś w środku histeryczny chichocik. Robiło się coraz dziwniej. Zaczynał czuć ciarki na plecach i głowie.

Tysiące razy szukałeś odpowiedzi, zadawałeś retoryczne pytania, szukałeś przyczyny w sobie i na zewnątrz. Modliłeś się i cierpiełeś. Pracowałeś i starałeś się, ale zawsze miałeś do czynienia ze znacznie twardszym materiałem niż inni. Oni rzeźbili swoje życie w glinie, a ty w granicie. Tylko, że gołymi rękami nie można rzeźbić granitu. My chcemy dać ci dłuto.

— Kurwa — wyszeptał Zięba i z trudem przełknął ślinę. — Co tu się dzieje? Co to, kurwa jest?

To jest pomoc dla ciebie. Usiłujesz grać blotkami, bo takie karty przypadły ci w udziale, a my chcemy to zmienić. Chcemy, żebyś od tej pory miał w ręku asa.

Zięba cisnął książeczkę na tapczan i wstał. Trzęsły mu się ręce, kiedy zapalał papierosa i trzęsły się nadal, gdy wcisnął je do kieszeni koszuli i zaczął chodzić po pokoju. Nosiło go. Okno i las szumiący ulewą, nocny stolik z telefonem i lampką. I z tą piekielną książeczką. Chodził. Okno, stolik. Obraz na ścianie: mgła, szuwarek, stadko kaczek na szarym niebie, brązowe wyżły i dwóch facetów w brązowo płowych kurtkach z jesiennym kamuflażem. Strzelby.

Jezu. Ta książka z nim gadała. Naprawdę. On sobie myślał, a tam stały jak wół odpowiedzi. Chodził. Okno, łóżko. Przeczesał palcami włosy, wyłamał z trzaskiem kłykcie. Chodził. Lodowate dreszcze czuł już na plecach i głowie pod włosami. Stawały mu dęba. Oszalałem. Mógłby tak chodzić całą noc. Chryste.

A gdzieś w głębi jego duszy pomalutku kiełkowała nadzieja. Ta nieśmiała, ale żywotna jak kot nadzieja wszystkich straceńców, która każe im wstawać rano i przyjąć kolejne ciosy, która szepce cichutko, że tym razem będzie inaczej, że kiedyś wszystko się zmieni, która pcha ich w łapy kolejnego nieszczęścia, która daje żer wszystkim cwaniakom. Mówi ci: to już! Udało się, łap okazję! I kupują fałszywe akcje, losy na loterię i tombakowe pierścionki. Bo nie ma żadnych okazji, nigdy nic się nie zmieni, a przed twoim okienkiem nigdy nie wstanie słońce. Bo należysz do przegranych. Wygrywa się

albo przy każdej okazji, albo wcale.

Usiadł i otworzył książeczkę. Na nadzieję nie ma rady. Rozprzestrzenia się jak pożar.

Wcale tak być nie musi. Niektórzy powiedzą ci, że wszystko się równoważy, ale to nieprawda. Kłamią. Powinno się równoważyć, ale jest inaczej. Powiedzą ci, że tracisz jedno, a zyskujesz drugie. Ich zdaniem to, że masz dzieci, równoważy to, że nie masz im co dać jeść. W rzeczywistości, jesteś zaprzeczeniem równowagi. Jesteś anomalią. Możesz nam wierzyć, to ma znaczenie. Jesteś zaprzeczeniem statystyki i chodzącą ofiarą chaosu. My chcemy przywrócić równowagę i dlatego wyciągamy do ciebie rękę. Oczywiście, nie jesteś jedynym takim przypadkiem. Jesteś tylko małym krokiem na drodze do harmonii, ale każdy krok jest równie ważny. Żadnego nie można ominąć. I nie chodzi tylko o twoje szczęście, którego zostałeś pozbawiony. Twój przypadek nie wytrąci świata z równowagi, ale sumuje się z innymi i wtedy umierają ludzie. Świat to naczynia połączone, a wojna, fanatyzm, szaleństwo, mord, powódź i susza, to tylko różne twarze tego samego chaosu, który włada twoim życiem. Dlatego nie bój się i chwyć wyciągniętą do ciebie rękę.

— Dobrze, ale co mam robić? — jęknął Zięba. Do tej pory myślał, że jest po prostu małym, nieszczęśliwym człowieczkiem, który opadł z sił, a tu okazuje się, że jest chodzącą apokalipsą.

Twój przypadek jest, na szczęście, bardzo prosty. Technicznie rzecz biorąc, jesteś po prostu zablokowany. Nie możesz wyrwać się z marazmu i wywalczyć sobie satysfakcjonującej egzystencji, ponieważ zawsze staną ci na drodze okoliczności, które zapewnią ci niepowodzenie. To bardzo silna anomalia, ale łatwa do zwalczenia. Wystarczy tylko jeden czynnik, a ściana, która cię przytłacza, runie. Musisz mieć pieniądze.

— A to ci nowina.

Na razie nie możesz ich sam zdobyć. Na tym właśnie polega zaburzenie. Nie zarobisz ich, ani nie ukradniesz. Nie zdobędziesz niczego, co ma jakąkolwiek wartość. Im mocniej będziesz się starał, tym silniejszy napotkasz opór. Będą ci się przydarzały rzeczy graniczące z cudem, zresztą doświadczyłeś tego już nadto. Znasz to doskonale, jesteś ekspertem od niekorzystnych zbiegów okoliczności. Chaos jest oszczędny. Twoja anomalia koncentruje się na pieniądzach, ponieważ to w zupełności wystarczy. Można wynieść lub pogrążyć człowieka wyłącznie za pomocą pieniędzy. Można, rozbijać małżeństwa, dręczyć dzieci, albo mordować, wyłącznie za pomocą przepływu pieniędzy. Można zaburzać równowagę i wywoływać chaos. Dlatego musimy dać ci broń do ręki. Damy ci coś, co sprawi, że nigdy nie będziesz już miał kłopotów z majątkiem. Kiedy przeczytasz tę instrukcję do końca, w kieszonce okładki znajdziesz Absolutną Kartę Kredytową. To nie jest karta żadnego banku. To uniwersalny ekwiwalent pieniędzy. Mógłby wyglądać jakkolwiek, ale ta forma będzie dla ciebie najwygodniejsza w użyciu.

Nawet nie miał siły się śmiać. Obmacał książeczkę i obejrzał okładki, ale nie znalazł niczego. Dobre sobie.

Karta należy wyłącznie do ciebie. Nie można ci jej skraść, nie możesz jej zgubić ani stracić w inny sposób. Jeżeli z jakiegokolwiek powodu nie będziesz mógł jej znaleźć, następnego dnia pojawi się ponownie w zasięgu twojej ręki.

Zasięg jej działania nie jest niczym ograniczony. Gdziekolwiek na świecie byś się nie znalazł, jeżeli ludzie sprzedają tam i kupują, karta będzie działała. Wystarczy ją pokazać zamiast zapłaty. Jeżeli w tym miejscu honorują jakiegokolwiek karty kredytowe, zachowają się tak, jakbyś użył właśnie takiej karty. Jeżeli nie, obejrzą ją i zwrócą ci — kupiony właśnie towar będzie należał do ciebie.

— Kpiny — powiedział oszołomiony Zięba. — Przecież to po prostu kradzież.

To nie jest kradzież, ponieważ sprzedawca oddaje ci towar dobrowolnie i tylko do takiej sumy, na jaką go stać. Wzór na karcie powoduje, że oddaje ci towar za darmo na takiej samej zasadzie, na jakiej sam wzięłby go sobie do domu, podarował komuś albo poniósł koszt reklamy. Ograniczeniem jest wysokość rachunku, ponieważ nie możesz za pomocą tej karty nikogo zrujnować albo wpędzić go w kłopoty finansowe. Odda ci tyle, ile będzie mógł. Karta najlepiej będzie działała wobec przedstawicieli naprawdę dużych firm. Jej działanie przenosi się w górę hierarchii służbowej, nawet wobec tych, którzy jej nie widzieli. Mimo to, widząc twój rachunek bez najmniejszych wątpliwości potraktują go tak samo, jak rozliczenie czyjejś delegacji, kosztów reprezentacyjnych albo coś podobnego.

Jeżeli sprzedawca nie będzie w stanie zrezygnować z zapłaty za swoje towary czy usługi, po prostu grzecznie ci odmówi. Nie będzie żadnej sensacji ani skandalu. Ale wyłącznie wtedy, gdy naprawdę nie będzie mógł sobie na to pozwolić. Karta wyzwała w ludziach altruizm wobec twojej osoby, niezależnie od indywidualnego skąpstwa, czy zapobiegliwości.

— Rany boskie, zwariowałem — jęknął olśniony nagle Zięba. — Naprawdę zwariowałem, to wszystko są moje urojenia. To dlatego wydaje mi się, że ta książka ze mną gada. Jestem świrem.

Wstał i znowu zaczął chodzić. Mimo że powiedział to na głos, wcale nie uwierzył. To byłoby zbyt proste. Wszystko co widział za oknem, było zbyt realne. I jego wątpliwości i szum deszczu za oknem i dotyk wilgotnych dżinsów na udach i zapach tego pokoju. Czuł, że nie zwariował. Przynajmniej na razie. Chodził, a tymczasem nadzieja brała się za niego na dobre. Czuł narastające stopniowo, głuszące strach podniecenie. Czuł, że w zasięgu jego ręki może znaleźć się klucz do innego świata. Takiego, w którym Zięba jest zupełnie kimś innym. Mógł wywołać zmianę. Sprawić, by jego życie przestało płynąć ustalonym torem. Jednocześnie przerażało go to — magiczna karta zastępująca pieniądze? Jakaś tajemnicza książeczka, list od ludzi, którzy chcą przywrócić światu równowagę? I czy to wszystko naprawdę było takie proste? Czy rzeczywiście wystarczy trochę forsy, żeby naprawić jego małżeństwo, uspokoić znerwicowaną psychikę, pozwolić mu odzyskać godność, pogodzić się z tym, że już na zawsze został ojcem?

Po namyśle doszedł do wniosku, że tak. Właściwie wszystkie jego problemy brały się z braku pieniędzy i na nim polegały. Taka karta rzeczywiście uniezależniłaby go od kaprysów losu i sprawiłaby, że z jego życia zniknąłby strach. Oczywiście, pod warunkiem, że nie jest to jakiś niesamowity dowcip. W końcu jego wątpliwości można było przewidzieć, na przykład wróżbici jakoś to robią. Taka karta... No, ale na razie nie było żadnej karty. Wprawdzie napisali „po przeczytaniu instrukcji”, a on jeszcze nie przeczytał... do diabła z tym!

— Zapłacisz — powiedział ten gderliwy, mały staruszek w jego głowie. — Nie ma niczego za darmo. Zapłacisz za to i to z procentami.

Straszliwe podejrzenie narodziło się tam, gdzie mieszkał jego strach — gdzieś pod splotem słonecznym i popłynęło w górę. Było tak absurdalne, że przez chwilę starał się tego nie dopuszczać do świadomości, ale było za późno. Wiedział.

— Szatan — powiedział drżącym głosem w kierunku książeczki. Wcale nie wydało mu się to śmieszne. To nie była żadna przenośnia. Normalny, najprawdziwszy, kurwa, diabeł, prosto z cuchnącej otchłani piekła wyciągnął łapy po jego duszę. Dygocącymi rękami podniósł instrukcję. W pierwszej chwili chciał ją cisnąć przez okno, ale otworzył. Musiał wiedzieć, co będzie dalej. Diabeł — to mogło wiele tłumaczyć. Pojawienie się książki, jej niewiarygodne możliwości, karta, przecież to najprawdziwsze kuszenie. Co powinien zrobić? Jak na złość, do spanikowanego mózgu przyszły mu tylko „Mistrz i Małgorzata” Bułhakowa oraz postać Marcina Kabata z „Igraszek z diabłem”. Nawet nie pamiętał żadnej modlitwy.

— Apage satanas — wymamrotał drżącym głosem, jednak mając poczucie, że robi z siebie durnia. Nakreślił nad książeczką dygocący znak krzyża i zajrzał do środka.

To bardzo ważny moment. Chwila, która musiała nadejść. Twoje wątpliwości są najzupełniej zrozumiałe, dlatego trzeba to powiedzieć wyraźnie: to nie ma nic wspólnego z piekłem ani żadnymi siłami ciemności. Nie chcemy twojej duszy.

Pomyśl: staramy się raczej zmniejszyć oddziaływanie chaosu, a nie zwiększać. Chcemy raczej ocalić twoją duszę — jeżeli pozostaniesz w obecnym stanie, to ile czasu upłynie zanim się pogrążysz? Uciekniesz, pozostawiając żonę i dzieci na pastwę losu? Popelnisz samobójstwo? Zaczyniesz kraść, czy popadniesz w alkoholizm? Jeszcze jedno: możesz przyjąć kartę, albo ją odrzucić, zależy to wyłącznie od ciebie. Nie chcemy niczego w zamian.

Powiedzmy wyraźnie jeszcze jedną rzecz: nie rozmawiasz w tej chwili również z Bogiem. Kategorie religijne nie pomogą ci w zrozumieniu tej sytuacji. Należy ją rozumieć wyłącznie jako próbę przywrócenia równowagi.

Tak naprawdę, nie rozmawiasz w tej chwili z nikim. Po prostu czytasz instrukcję Absolutnej Karty Kredytowej. Nie staraj się tego zrozumieć, po prostu przyjmij do wiadomości. A teraz, proszę, odmów z nami krótką modlitwę.

Na następnej stronie znajdował się precyzyjnie wydrukowany święty obrazek, chyba replika jakiegoś klasycznego obrazu, a obok kilka modlitw. Przeczytał je na głos, tak skołowany, że sam już nie wiedział czy jest to odpowiedź na jego wątpliwości, czy nie. Najwyraźniej miał do czynienia z jakąś inną siłą, nie mającą nic wspólnego z religią. Czy szatan może drukować modlitwy? Czy Bóg ofiarowuje wybranym karty kredytowe? Może zadzwonić do Kurii?

Zapalił papierosa i czytał dalej, mimo że było mu trochę niedobrze. Chyba z nerwów.

Dalszy ciąg już zupełnie przypominał instrukcję przysłaną z banku. Tajemniczy autor tłumaczył jak używać karty, jak kupować, podejmować w bankach gotówkę i skąd ona się bierze. Wszystko było pomyślane tak, by podłączyć Ziębę do gigantycznego krwiobiegu kosztów własnych, kosztów reprezentacyjnych, promocji i reklamy, ulg podatkowych i innych magicznych sztuczek księgowości. Miał żywić się okruchami podbieranymi możliwym tego świata, a nie krzywdzić małuczkich. Wyglądało to na robotę jakiegoś kosmicznego Robin Hooda. Wreszcie napięcie ustąpiło ekscytacji i Zięba dostał monstualnego ataku histerycznego śmiechu. Całe napięcie ostatnich lat i godzin zeszło z niego na raz, więc skręcał się ze śmiechu na dywanie, rechotał, kwiczał, wył i chichotał, aż lekko zsikał się w spodnie i leżał bezsilnie jak ryba na plaży, w mokrej bieliźnie, z obolałą przeponą i szczęką, chwytając spazmatycznie oddech i pokwikuując słabo od czasu do czasu.

Wstał z dywanu, otarł załzawione oczy, zmienił bieliznę, potem opłukał twarz zimną wodą i wypił duszkiem małą butelkę wody mineralnej znalezionej w lodówce.

Po tym ataku poczuł, że doszedł do kresu wytrzymałości. Po prostu przestał się już denerwować, ekscytować i zastanawiać. Zadziałały bezpieczniki. Człowiek zawsze się zastanawia, co stanie się z jego mózgiem, kiedy zetknie się z czymś przekraczającym granice wytrzymałości. Tymczasem, zwykle nic się nie dzieje — jest tak, jakbyś podkręcił potencjometr. Pstryk — i hałas opada do znośnego poziomu.

Śluzy zostały zamknięte i teraz czuł po prostu podniecenie. Zapalił następnego goldena i sięgnął po instrukcję. Czytał jak szalony, mimo, że czuł już piasek pod powiekami. Nawet dłonie przestały mu drżeć. Właściwie już się zdecydował. W końcu, uczciwie rzecz biorąc, niczego już nie ryzykował. W końcu gorzej być już nie mogło.

Wiszące na ścianie japońskie pudełko, będące skrzyżowaniem budzika i termometru pokazywało dwudziestą drugą trzydzieści dwie oraz dziewięć stopni na zewnątrz i dwadzieścia pięć wewnątrz,

kiedy skończył lekturę.

Czuł się już tylko zmęczony. Przewrócił ostatnią kartkę i wtedy dostrzegł ledwo widoczne nacięcie na czarnej skórze okładki. Wystawał z niego maleńki rożek białego plastyku. Nie zauważył tego przedtem, zresztą całkiem możliwe, że w ogóle wtedy tego nie było. Rozchylił nacięcie i po raz pierwszy zobaczył Absolutną Kartę Kredytową.

Rzeczywiście wyglądała jak karta kredytowa, choć Zięba znał tylko swoją kartę, służącą do wyświetlania w bankomatach napisu „Brak środków na koncie” albo „Bank nie zezwolił na operację”.

Była prostokątna, chyba plastikowa, wzdłuż górnej krawędzi wytłoczone było imię i nazwisko Zięby oraz jakiś numer kodowy, prawdopodobnie kamuflaż. Natomiast ornament niewątpliwie miał znaczenie. Zięba spojrział na niego tylko raz — i uwierzył natychmiast. Uwierzył we wszystko: w działanie karty, w potyczkę między harmonią i chaosem, w której był pionkiem, w rozmowę z Instrukcją, we wszystko. Przeczytał o wpływie tego wzoru na innych ludzi i o tym, że dla niego będzie to tylko cieszący oko abstrakcyjny ornament, ale na coś takiego nie był przygotowany. W sumie trochę to przypominało ruchomy hologram, przedstawiający kalejdoskopową plątaninę barwnych linii, ale ten motyw urzekał, wciągał wzrok coraz głębiej i głębiej, w jakąś tęczową otchłań, gdzie wszystko znajdowało się w doskonałym spokoju i równowadze. Nie w martwym bezruchu, ale właśnie równowadze. Nie można było oderwać od niego wzroku, znajdując coraz to nowe głębie i nowe kształty.

W głowie huczało mu od mnóstwa rad i informacji. Wiedział, jak postępować z urzędem podatkowym, jak się zachowywać w bankach i sklepach. Miał w ręku kartę z mieniącym się tęczowym rysunkiem, brzemieną potencjalnym bogactwem i dopiero teraz zaczął się bać naprawdę. Nie czających się wokół tajemniczych sił rządzących losem, nie tego, że stał na polu bitwy jakiejś nieludzkiej gry pomiędzy żywiołami, ale tego, że to wszystko okaże się złudą, żartem. Karta nie będzie działała.

Być może nie ma żadnej karty, jest tylko przedwcześnie posiwiiały dwudziestopięciolatek, siedzący w maleńkim pokoju hotelowym i wpatrujący się z głupawym uśmiechem w swoje puste palce.

Mógł to sprawdzić bardzo łatwo. Wystarczyło zejść na dół do restauracji i zamówić zaległą kolację. Wystarczyło tylko użyć karty. Nic prostszego. A mimo to nadal siedział w pokoju.

Dawno nie bał się aż tak, chociaż przez ostatnie miesiące doskonale poznał smak strachu. Nie tylko zwyczajnego, nerwicowego lęku, ale prawdziwego, czarnego strachu, który odbiera władzę w nogach i umyśle.

Wstał. Wiedział, że jeśli się natychmiast nie ruszy, ten strach nigdy go nie opuści.

— Czy honorujecie państwo karty kredytowe? — Trafił na tego samego kelnera, z pociągłą, pobrużdżoną twarzą i dobrodusznymi, siwymi wąsami.

— Tak, visa, master card, american express...

— A tę..? — Położył kartę na stole, prosto na biały obrus, czując w gardle bicie serca, tak dokładnie, jakby je połknął. Kelner spojrział na kartę odruchowo, po czym drgnął i spojrział dokładniej. Potem wyciągnął rękę i podniósł ją do oczu.

— Wie pan, nie mam pojęcia. Pozwoli pan, że zapytam szefa.

Czekał. Straszne to było czekanie. Zawsze tak było. On czekał, a ktoś decydował. A potem przychodzili i ogłaszali wyrok. Rodzice, nauczyciele, wykładowcy, lekarze. W tę, albo we w tę. Najczęściej we w tę.

Kelner wyszedł z zaplecza i ruszył wolnym krokiem w jego stronę. Czuło się coś niedobrego w

tym jego wolnym kroku i stanowczym spokojem. Nie uśmiechał się, nie ruszał energicznie, by odebrać zamówienie bogatego—klienta—z—kartą.

Masywny Rosjanin z groźnym, gruzińskim obliczem wychylił się do tyłu w stronę kelnera i powiedział coś. Ten przystanął i nachylił się do gościa, jednak co chwilę zerkał na Ziębę twardym, zimnym wzrokiem.

Niedoszły milioner czuł już tylko ulgę. To efekt szoku. Wściekłość, rozczarowanie, żal i poniżenie czekały już w kolejce. Jednak w tej chwili chciał już tylko, żeby to się skończyło.

Kelner podszedł do stolika i szurnął kartą po obrusie.

Uśmiechnął się.

— Honorujemy te karty. Co pan zamawia?

Następnego dnia, po lekkim śniadaniu (płatki kukurydziane, twarożek ze szczypiorkiem, wędzona szynka z dzika, gorące rogaliki, masło, dżem figowy, kawa ze śmietanką, sok z mango), Zięba został w swoim pokoju. Spędził rano z długopisem w ręku, kreśląc plany na hotelowej papeterii. Spisywał listy zakupów i problemów, którym wystarczyło tylko zapchać gęby pieniędzmi, by przeistoczyły się z koszmaru w proste sprawy do załatwienia.

Wyglądało na to, że samo znalezienie i kupienie mieszkania urządzenie go i wyposażenie, a nie brał pod uwagę jakichś niesamowitych luksusów, tylko przyzwoity, przeciętny standard, wypełni mu najbliższych kilka miesięcy. Zanosilo się na to, że będą to bardzo miłe miesiące, ponieważ odkrył w sobie jeszcze jedno: umiał się cieszyć. Wątpił, by podczas wczorajszej kolacji mógł znaleźć kogoś, komu sprawiłaby ona podobną przyjemność.

Urządził sobie trzydniowe wakacje, podczas których uczciwie odpracował wszystko, co tylko Motel „Sargasso” oferował w swoim folderze. Bilard, saunę, lekcje jazdy konnej. Przez parę godzin obijał piłeczką ścianę na tartanowym korcie, nie bacząc na lodowatą mżawkę i ciężki, przemoczony dres. Spędził wieczór w barze, kosztując wszystkich nieznanym sobie alkoholi i dwóch kelnerów odniosło go do pokoju. Strzelał do rzutków, zmarnował mnóstwo amunicji, ale po trzech godzinach udało mu się dwukrotnie rozstrzelać gliniany talerzyk i zarobić na ironiczne brawa od obsługi.

Wieczorem, czwartego dnia zadzwonił do żony. Jola miała złamany, lodowaty głos — jak zwykle. Jak zwykle była też zmęczona i nie dawała sobie rady z dwójką dwuletnich bliźniąt i zbuntowanym trzylatkiem. Miała już wszystkiego dość. Chciała tylko wiedzieć, kiedy Zięba będzie w domu i pomoże, kiedy będą jakieś pieniądze, choć właściwie z tonu głosu wynikało, że straciła już nadzieję na cokolwiek i właściwie jest jej wszystko jedno.

Zrobiło mu się jej potwornie żal.

— Joluś, poczekaj, to jest bardzo ważne. Załatwiam kontrakt na ogromną sumę. Będę miał prowizję, to jest naprawdę kupa forsy... Nie, robię to na własną rękę, nie przez firmę. Tam nic nie wiedzą... poczekaj, mówię, że pośredniczę w kontrakcie. Prowizja... nie wiem jeszcze, ale kupa forsy. Kasa. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to kupimy mieszkanie, może nawet otworzę własny interes... nie wygłupiam się i jestem trzeźwy... nie wiem dokładnie kiedy, za kilka dni. Nie, nie mogę rozmawiać, wyszedłem na chwilę z rozmów. Później ci wszystko opowiem... muszę lecieć... pa.

Odłożył słuchawkę z ciężkim sercem i obolałym sumieniem. Biedna Jola... tam w tle przez cały czas słyhać było wrzeszczące pandemonium i równy, ostry jazgot Pani Ordynator Ziębowej, która jak zwykle wymagała dla siebie całej uwagi, bo niniejszym miała coś do zakomunikowania i guzik ją obchodziło, czy akurat rozmawiasz przez telefon, przewijasz niemowle czy musisz wyjść.

To nic, kochanie, jeszcze tylko kilka dni, a potem będziesz wreszcie we własnym domu, gdzie nikt nie będzie na ciebie wrzeszczał, nikt nie rzuci ci w twarz mokrych pieluch, nikt nie będzie cię

częstował złośliwościami ani uważał za „osobę nieodpowiednią”. Już nigdy nie będziesz płakać na sam widok rachunku, ani sprzedawać ostatniej biżuterii, żeby dzieci miały choć jedną rzecz od ciebie. Teraz ci to wynagrodzę.

* * *

— Słyszałem w życiu różne rzeczy — powiedział powoli Stefan. — Widziałem na własne oczy, jak jeden polityk łąził po ogniu boso, widziałem ducha i raz nad Saharą widziałem autentyczne UFO. W Indiach widziałem, jak faceci masowo przebijali się hakami i igłami, aż wyglądali jak jeże, ale nie krwawili. Ale takiej bzdury...

Siedzieli w mieszkaniu Stefana, urządzonej ze specyficznym smakiem samotnika. Zięba na skórzanym fotelu, z kieliszkiem rumu Havana Club w ręku, a Stefan za swoim biurkiem. Zięba obracał delikatnie palcami stopkę kieliszka, zerkając kątem oka na tarczę swojego tytanowego Tag Heuera. Czekał na reakcję przyjaciela. Nadal lubił to jego mieszkanie, w którym kiedyś, (miesiąc temu? Przed dwudziestu laty?) znajdował jedyny, krótkotrwały azyl. Teraz wydawało mu się nieco klaustrofobiczne i ciasne, meble były zagracone, a ściany błagały o nową warstwę białej farby. Jakoś dotąd tego nie zauważył.

— Wchodzisz w spółkę? — zapytał.

— Słuchaj, to jest osobna sprawa. Ja jestem wolny strzelec i nie lubię się wiązać, ale to brzmi nieźle. Rzeczywiście są pomysły na kapitalne reportaże, których nikomu nie chce się robić i moje wejścia w kilku telewizjach wystarczą, żeby takie rzeczy sprzedać. Jeżeli obiecasz mi, że nigdy nie padnie taki argument, iż to ty podpisujesz rachunki, więc jako producent będziesz decydował o wszystkim, jeżeli będziesz się chciał ode mnie uczyć, to nie ma sprawy. Zaryzykuję. Ale w terenie ja dowodzę. Czekaj, o tym zawsze możemy pogadać, tamto jest ważniejsze. Muszę wiedzieć, skąd masz forszę. Albo mi ufasz, albo nici z tego. Buchnąłeś jakimś mafiosom?

— Stefan, czy ja cię kiedykolwiek w życiu okłamałem?

— Owszem, pamiętasz Edytę?

— Nie wygłupiaj się, mieliśmy po siedemnaście lat, a ja spałem z nią raz, przez pomyłkę właściwie, poza tym to był incydent, a ja łągałem wyłącznie po to, żeby ochronić twój związek, durniu jeden. Skąd miałem wiedzieć, że ta idiotka cię rzuci? Czy kiedykolwiek potem cię okłamałem?

— No bracie... Tracisz pracę. Mówię ci: jedź odpocząć i zebrać myśli. Jedziesz. Po tygodniu wracasz Range Roverem, wynajmujesz żonie i dzieciom apartament w „Merkurym”, kupujesz pięciopokojowe mieszkanie, remontujesz je, kupujesz dzieciom wymarzone zabawki, ubierasz Jolkę jak Michelle Pfeiffer na wręczanie Oskara...

— Sama się tak ubrała — przerwał Zięba.

— W porządku, lotnicza kurtka z barankiem, to też nie jest szczyt gustu, jeżeli chcesz wiedzieć. A potem przychodzisz tu z butelką zupełnie niesamowitego kubańskiego rumu, który musiałeś sprowadzić z Czech, i paczką Amphory, której nie paliłem od ośmiu lat, żeby opowiedzieć mi jakąś taoistyczną historię o walce harmonii z chaosem, o tym, że twój pech jest przyczyną wojny na Bliskim Wschodzie i że siły Ying podarowały ci magiczny plastik zastępujący pieniądze? Chcesz w mordę?

Zięba wyciągnął z wewnętrznej kieszeni portfel, z portfela kartę i rzucił na stół. Stefan odłożył na

chwilę fajkę i podniósł plastikowy prostokąt do światła.

— No... — wymruczał w brodę. — Wygląda na autentyczną kartę kredytową, jakkolwiek nieznaną firmę. Tu jest nazwisko, numery, ten kiczowaty obrazek wygląda na hologram, całkiem ładny, tylko dlaczego nie ma żadnego banku? Ładna. No, ładna cholera.

— Czy ten nocny na parterze jest otwarty?

— Otwarty.

— No, to się zbieraj — idziemy na dół po coca-colę i cytrynę do rumu.

— To niczego nie dowodzi — upierał się Stefan, kiedy wrócili na górę. Mogłeś jej zapłacić wcześniej, a zresztą tam honorują karty kredytowe — mogli nie zauważyć, że ta jest jakaś lewa. — Zięba znieruchomiał na chwilę z kurtką dłoni, po czym znów wydobył kartę i wręczył osłupiałemu Stefanowi.

— Przyjrzyj się dobrze — powiedział. Stefan popatrzył na rysunek, potem na Ziębę. Bawił się przez chwilę kartą, nachylając ją w różnych kierunkach i obserwując wzór.

— Pożycz mi pięć stów — wypalił zniecierpliwiony Zięba.

Stefan zamyslił się, pyknął z fajki, po czym spojrział machinalnie na kartę i westchnął.

— To jest coś, o czym chciałem ci powiedzieć — wyznał ponuro. — Trochę mi głupio. Czytałem ostatnio taki artykuł, dosyć zabawny, była tam lista uniwersalnych rad dla dżentelmena. Po prostu dla jaj, ale jedna rzecz dała mi do myślenia... No dobra. Postanowiłem, że nie będę ci już pożyczał pieniędzy.

Zięba podniósł ze zdumieniem brwi. Tego się nie spodziewał.

— Doszedłem do wniosku, że jeżeli przyjaciel naprawdę potrzebuje pieniędzy, to nie powinno się pożyczać — potem musi ci oddać, nie zawsze może i to jest niezręczna sytuacja. Dlatego dam ci te pięć stów. Nie chcę, żebyś oddawał, rozumiesz? Zresztą, głupio mi, że do tej pory ci pożyczałem, a ty byłeś w takim dołku. Masz rodzinę na utrzymaniu, a ja — uśmiechnął się — jakoś przebiduję za trzy tysiące w tym miesiącu.

Sięgnął do kieszeni dzinsów, wyciągnął mały portfelik i nim Zięba zdążył zaprotestować, odliczył dziesięć sztywnych, nowiutkich banknotów.

— Stefan opanuj się, przecież to był tylko test. No, zabieraj to kretynie, chciałem ci tylko pokazać, że karta działa.

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć, ale to głupie — przecież dla mnie wystarczy, a ty masz rodzinę na utrzymaniu...

— Stefan, ty durniu, nie potrzebuję żadnych pieniędzy! — ryknął Zięba. — Nie potrzebuję, rozumiesz? Jestem bogaty. Żyję poza całą tą paranoją, mam wszystko za darmo. Wszystko czego potrzebuję i więcej. Pieniądze to dla mnie teraz obrazki — łapiesz? Potrzebuję koszulę — idę do sklepu i biorę sobie koszulę. Jaką chcę, a nie na jaką mnie stać. Pokazuję ludziom kartę i koniec. Chcę buty, biorę buty. A jak potrzebuję pieniędzy, idę do banku i proszę o pieniądze. Schowasz wreszcie tę sałatę i nalejesz wódki? Obudź się!

— No, nie wiem... — powiedział Stefan. — Ja naprawdę czytałem taki artykuł i tak sobie pomyślałem... karta... to jakaś paranoja. Skol! — Podniósł kieliszek, zakręcił bursztynowym płynem w środku i jednym ruchem wlał go do gardła. Mlasnął i stuknął kieliszkiem w matowy, czarny stolik.

Zięba też wypił i szybko splukał colą karmelowy smak trzciny cukrowej.

— Za Afrykę, bracie — powiedział. — Za Himalaje, Zanzibar, Chiny i Rów Mariański. Za wszystkie cuda, które możemy sfilmować i pokazać ludziom. Za cały pieprzony, kolorowy świat.

A potem, kiedy skończył się rum Havana Club i Zięba z wysiłkiem zamówił sobie taksówkę, Stefan odprowadził go do windy i podając rękę na pożegnanie, wsunął mu w dłoń dziesięć złożonych

pięćdziesięciozłotowych banknotów.

* * *

Przez następne pół roku Zięba zrosł się z kartą i przyzwyczał. Stała się przedłużeniem jego ciała i wcale nie chodziło tylko o pieniądze. Karta zapewniała mu nieznanne dotąd poczucie bezpieczeństwa. Pieniądze nie dają szczęścia. W porządku. Ale mogą od niego skutecznie odgradzić. O inne rzeczy, takie, których nie trzeba kupować, mógł się zatroszczyć sam. Teraz to wiedział. Cały świat kręcił się wokół nich — mogły łamać i zmieniać ludzi, czyli dokonywać więcej, niż jakakolwiek resocjalizacja, albo wychowanie; mogły wynosić na szczyty tych, którzy w przeciwnym razie nigdy by się na nich nie znaleźli mogły też pogrążyć wartościowych i zamieniać ich w nędzarzy. Miliardy ginęły, oddawały innym ciało i umysł, cierpiały i skazywały się na niewolniczą pracę do końca życia; wyłącznie z powodu pieniędzy. Świat żył forszą, a Zięby to nie dotyczyło. Żył sobie spokojnie, bezpiecznie osłonięty małym, prostokątnym kawałkiem plastyku. Nie przejmował się inflacją, zasiłkami, opłatami, podatkami, czynszami i clami. Niczym, co zaprzętało połowę energii wszystkich innych. Wszystkich poza nim. Nikomu poza Stefanem nie powiedział o karcie. Nawet Joli. Zresztą, tak z zewnątrz nie było w tym niczego magicznego ani niesamowitego, poza faktem, że się wzbogacił. Używał niejednej karty, miał firmę, grał też na giełdzie, ale raczej dla pozoru, więc nie było szansy, żeby ktokolwiek zauważył coś niezwykłego, zwłaszcza, że dbał, by jego standard nie odbiegał zbyt daleko od przeciętnego.

Współpraca ze Stefanem układała się jak najlepiej. Wynajęli biuro, zatrudnili sekretarkę, księgowego, operatora kamery i dźwiękowca. Zięba nafaszerował po brzegi konto firmy bankowymi pieniędzmi i robota ruszyła.

Najlepsze było to, że wcale nie musiał pracować. Ale pewnego, pięknego, letniego przedpołudnia stwierdził nagle, że tępo gapi się na program dla młodych matek i że oszaleje, jeżeli nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia. Przedtem nigdy by w to nie uwierzył.

Przedtem był zwykłym Jasiem Odbij–Kartą. Wstawał zawsze o tej samej porze, zawsze niewyspany, zawsze z płacziwym przekleństwem na ustach. Dopóki miał pracę, szedł do pracy. Wypełniał druki i umowy, przepisywał korespondencję, telefonował i wypełniał polecenia. Zawsze odwalał nudną stronę przedsięwzięć, które obmyślił ktoś inny, nigdy nie wiedział, po co to robi i nie widział efektów. Kiedy rozmyślał o tym swoim poprzednim życiu, nie był w stanie rozróżnić poszczególnych dni ani miesięcy. Wszystko ujednoliciło się i zamazało, jakby życie stanowiło tylko małą, gorzką pigułkę, którą należało zażyć i umrzeć. Nie miał pojęcia, jak mógł to znieść. Szczegóły zatarły się, znikły dni i twarze, a jedynymi wspomnieniami były strach i czekanie. Bał się codziennie, takim beznadziejnym, mdlącym strachem bez końca i jasnej przyczyny. Bał się, że go wyrzucą, opieprzą, bał się urzędów, poczty, bał się rodziców, bał się Joli, bał się rachunków i bał się każdego dnia.

Czekanie było nawet gorsze. Przychodził do pracy i czekał, aż będzie mógł wyjść. Zaklinał wzrokiem wskazówki, rysował na małych karteczkach odcinki czasu i odznaczał na nich ile już odsiedział, a ile jeszcze mu zostało. Potem wracał wreszcie do domu i nieodmiennie okazywało się, że nie było się o co ubiegać. W domu czekała wiecznie ponura Pani Ordynator, ciągłe fochy i awantury, zapracowany i stale śpiący ojciec, rozkojarzone i agresywne dzieci oraz zdruzgotana,

gasnąca w oczach Jola. Bezustanny tłok, bałagan i bieda. Czekał na weekendy, ale były tak urocze, że w poniedziałek z ulgą szedł do pracy. Żeby znowu czekać.

Teraz pracował jak szatan i sprawiało mu to ogromną przyjemność. Po raz pierwszy w życiu robił coś naprawdę. Wymyślał filmy i reportaże. Przygotowywał researching, umawiał ludzi na wywiady, organizował pracę ekipy, uczył się posługiwać kamerą, stołem mikserskim i zestawem playbacku. Ani przez chwilę nie miał wrażenia, że pracuje. Wszystko go cieszyło i wszystko działało się naprawdę. Cały ogromny, barwny świat, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Oczywiście wiedział, że gdzieś tam istnieje dzika przyroda, politycy, Wielkie Wstrząsające Wydarzenia, mafia, sekty religijne i inne, niesamowite, gwałtowne przejawy życia, ale to wszystko wydawało mu się nierealne. Realne było zapyziałe biuro, z oknem wychodzącym na szare podwórko zastawione garażami i magazynami. Realne było zatłoczone, brudne mieszkanko, kłótnie i zaległe rachunki. Realny był strach i tarcza zegarka.

A teraz to wszystko minęło. Był współwłaścicielem firmy i wszystko wokół niego, ludzie i przedmioty, były takie, jak zdecydował. Dawny świat powracał tylko czasem, w środku nocy, a wtedy budził się nagle, ściskając w przepoconej dłoni plastikową, magiczną kartę, która pojawiała się tam nie wiadomo skąd.

* * *

Kasinda płonąła, podpalona przez własnych mieszkańców. Płonęły stosy opon, ropa w beczkach, stosy śmieci. Cuchnąca na co dzień odpadkami, zgnilizną i nędzą dzielnica Betebele dziś rozsiewała zapach tłustego, gryzącego dymu. To był ogień gniewu. Rozwścieczeni Hotha tańczyli wokół ognisk, wymachując maczetami, kijami i zaimprovizowanymi włóczniami z prętów zbrojeniowych, wybijając z matematyczną precyzją frenetyczny rytm afrykańskiej furii, bębniąc w blaszane ściany szałasów, beczki i wypalone karoserie starych samochodów. Hotha chcieli wolności, żeby zabijać Batussi, Watou i białych. Batussi pojawiali się w Betebele rzadko, a od kilku dni tylko przelatywali jej wąskimi uliczkami w poobijanych landroverach, rozpryskując błotniste kałuże, płosząc kury, psy i dzieci. Jedyne Batussi w Betebele nosili stare, natowskie hełmy i trzymali w dłoniach automaty Kałasznikowa. Starali się na razie nie zadrażniać sytuacji i tylko czasem, gdy okrzyki Hotha i grad kamieni na serio zagrażał patrolowi, któryś unosił się z drewnianej ławki, przytrzymując jedną ręką wsporników i pruć rozprażone niebo nad Betebele krótkim, ogłuszającym ściegiem rosyjskich pocisków albo lekkim ruchem posyłał tańczącym tekturową tulejkę granatu łzawiącego.

Hotha chcieli zabijać, bo od kilku dni sami byli zabijani.

Układ od lat był czysty. Hotha w miastach i na urzędach, Watou na wsi, a Batussi w wojsku. Tak było dobrze, bo Hotha i Watou zawsze toczyli wojnę. Ale teraz równowaga upadła, bo Watou mieli prezydenta i wzięli do rąk maczety. Purpurowa, dziwnie jaskrawa krew czarnych, chlusnęła na drogi, wyschniętą trawę i rudy, afrykański pył. Zabijano kobiety, żeby nie rodziły nowych Hotha, dzieci, żeby nie śniły o zemście i męczyzn, żeby nie żyły.

A Batussi patrzyli na to obojętnie spod głębokich, stalowych hełmów i przejeżdżali w brudnożółtych landroverach. Dlatego zapłonął ogień gniewu i dlatego słup tłustego dymu podniósł się nad Kasindą i położył daleko na północny zachód, docierając aż tutaj, na przedzierającą się przez dżunglę drogę z misji Mapatano, gdzie na poboczu i w korycie strumienia leżało trzystu osiemdziesięciu czterech ludzi z plemienia Hotha. Smród ogni Betebele mieszał się z ciężkim, ostrym

odorem śmierci.

Zięba stał na środku szosy, kalibrując oporny trójnóg Betacama, kiedy nagle dotarło do niego, że oto jest na swoim miejscu i osiągnął szczęście. Dolina należała do much, które pchały się do ust i oczu, wzbivszy się z popielatych, wykręconych ciał Hotha, zarąbanych dwa dni temu, Dan Crusting rzygał na asfalt whisky i stekiem z antylopy, opierając się o Rangę Rovera NBC i usiłując nie opryskać spodni, a smród nagłej śmierci oblepiał włosy i ubrania.

Ustawił trójnóg, wyprostował się, a potem zsunął nieskuteczną maskę przeciwpylową na szyję i zapalił Lucky Strike'a. Krzycki klęczał nad swoją magiczną skrzynką i nie odwracał oczu od potencjometrów, celując przed siebie puchatą pałą mikrofonu kierunkowego. Nie chciał niczego widzieć. Chciał być tylko uszami świata, a dźwięki na drodze z misji Mapatano nie były takie straszne. Krzycki rejestrował tylko przeciągły grzmot miliardów niebieskich, tłustych much, kłębiących się w rozpalonym, drgającym powietrzu, obojętne milczenie ludzi w białych kaskach Czerwonego Krzyża, ładujących trupy na ciężarówkę i wrzask papug.

— Dobra, daj parę zbliżeń ciężarówki i panoramę drogi. Nie rób zbyt ostentacyjnie tych żołnierzy, bo się wkurzą. Ten mały i tak się cały czas gapi, jakbyś mu kożę wydoił — powiedział Zięba w stronę operatora. Orzechowski zarzucił kamerę na ramię i splunął.

— Kurwa, jak ja nienawidzę robić headline'ów. Zawsze to samo. Skurwysyny na dziupie i martwe dzieciaki. Bośnia, Gaza, Afganistan, pieprzę to wszystko. Czy tych ludzi pogięło? Co się dzieje?

— Jeszcze komentarz Stefana i spieprzamy stąd — uspokoił go Zięba. „Afryka” — pomyślał. — „Nie taka jaką sobie wymarzyłem, ale jednak Afryka. To jest jedno z najgorszych miejsc na Ziemi, prawdziwe pogranicze piekła, ale nadal jest o wiele lepsze niż tamto biuro i tamto podwórko.” Wiedział, że powinien tu być, bo ktoś musi też pokazywać tę nową twarz Afryki. Wykręconą odwiecznym, plemiennym gniewem, z ogniem mordy płonącym w oczach. Ktoś musi pokazywać ludzi, którzy celowo zarażają się AIDS, bo biali kochają AIDS i człowiek, który jest na to chory, może dostać koc i torbę fasoli, paczkę herbaty i woreczek cukru. A przecież liczy się to co teraz, liczy się koc dzisiaj i fasola na kilka dni, a na AIDS umiera się za kilka lat. Za kilka lat można być martwym sto razy, bo tu jest Afryka. Tu są setki chorób, o wiele mniej abstrakcyjnych niż jakiś AIDS, takich które zabijają w dwa tygodnie, można dostać w głowę maczetą, można zostać zastrzelonym, można umrzeć z głodu i pragnienia. Za kilka lat, to znaczy za całą wieczność.

Kiedy wracali brudnym, popielatym volvo wynajętym w „Majesticu” w Kasindzie, nie było już trupów i płonących point-checków, tylko prawdziwa Afryka. Busz, czarne kobiety z pakunkami na głowach, owinięte wzorzystymi chustami, małpy na drzewach i chude krowy z gigantycznymi rogami.

— Jest pomysł — powiedział Zięba, przerywając grobowe milczenie współników. — Widzieliście „This is America”, albo „Shocking Asia”?

— No i? — zapytał niechętnie Orzechowski.

— A gdyby zrobić taki serial o Afryce?

— Było — powiedzieli równocześnie Stefan i Krzycki. Volvo zatańczyło na wybojach.

— Co to znaczy „było” — zachnął się Zięba. — Coś tam było, ale nie tak. Tu jest znacznie więcej materiału niż mogłoby „być”, tu jest samo mięcho; wystarczy na sto takich filmów. Zobaczcie — usadowił się wygodnie na siedzeniu i zapalił papierosa. — kiedy pokazuje się Afrykę, to na dwa sposoby. Albo to co my robiliśmy dzisiaj, czyli wojna, karabiny i zamieszki, ewentualnie w stronę nędzy, czyli chude dzieci z muchami na twarzy, żywe szkielety, choroby i dzielnych chłopców z Ameryki, co to rozdają mąkę albo robią wszystkim zastrzyki. Albo z kolei pełna egzotyka: antylopy, słonie i tańczący Masajowie. Tam-tamy, Serengeti i cały ten staff. A dziwki w Kasindzie? A afrykańskie dyskoteki? A szamani juju w miastach? A te całe bandy popieprzonych białych

obieżyświatów? A ci politycy nie—z—tej—planety, jak choćby nasz tutejszy Jeane Baptist Kobutu? Mało?

— Nie wiem — powiedział z namysłem Orzechowski. — To ty jesteś szefem, ale moim zdaniem sam reseat — ching na coś takiego, to są lata roboty.

— Ale..! — zaproponował Zięba. — Taki researching możesz zrobić, nie wychodząc z „Majestica”. Każdy dzieciak w Kasindzie za pięćdziesiąt szylingów pokaże ci numery, od których Europejczykom gały wyjdą z orbit. Tutaj materiały są na każdym rogu.

— Może — powiedział Stefan. — Ale to jest pomysł na serial albo pełen metraż. Kto to kupi? Polska telewizja na pewno nie. Za drogie.

— Discovery — zaczął wyliczać Zięba. — BBC, może NBC. Rai Uno...

— A masz tam wejścia?

— W Discovery mam. Ty zresztą też — Chambers — ten producent. W Tokyo 12 też. Przez londyńskie biuro i tego, jak mu tam, Małacipa...

Ż Mawashita. No dobra, ale ja muszę coś zjeść i wypić na ten temat. Pogadamy wieczorem w hotelu.

* * *

Restauracja hotelu „Majestic” w Kasindzie kojarzyła się Ziębie z ostatnimi dniami panowania Batisty na Kubie. Ostentacyjny, kolonialny przepych, palmy, kelnerzy, tancerki i orgia nieco przykurzonego luksusu, a zza okien nie tak znów odległe terkoty kałasznikowów w Betebele. Ochrona parkingu chodziła z łukami, żeby nie budzić gości, a za murem ogrodu stał policyjny wóz pancerny. Tylko patrzeć, jak zgłodniały tłum zwali się tutaj, tłukąc szkło, przewracając livingstone w donicach i strącając na arabskie dywany misy z pływającymi w nich kompozycjami z orchidei.

Zięba zamówił tylko melona z duńską szynką i wodę sodową z puszki, natomiast Orzechowski kaczkę z truflami i sałatkę z jarzyn, Stefan stek z antylopy gnu, Krzycki jakąś dziwną rybę z pieca, z afrykańskimi warzywami. Ekipa odbijała sobie lata głodowych diet polskiej telewizji i Zięba nie miał nic przeciwko temu. Przez pół roku niespodziewanego bogactwa zdążył zobaczyć tylu dupków marnujących znakomite warunki, że czuł się zaszczycony, mogąc je zapewnić tym, którzy je doceniali i zasługiwali na to. Podobną radość odczuwał, płacąc im królewskie stawki i niespodziewanie okazało się, że jeżeli zamarzy sobie reportaż z piekła, to będzie tam miał ekipę. Tak po prostu.

— To jest Evaryst Matabele — powiedział Stefan po angielsku. Zięba podniósł wzrok znad talerza i spojrzał wprost w przenikliwe, orzechowe oczy szczupłego, intelektualnego Murzyna ubranego w konserwatywny, ciemny garnitur, z kolorowymi paciorkami nanizanymi na długie włosy.

— Dzień dobry, siadaj z nami — powiedział przyjaźnie Zięba.

— Matabele jest szamanem — dodał Stefan po polsku. — Nowoczesnym szamanem. Trzy języki, oficjalne biuro w Kasindzie, komputer i te rzeczy.

— Komputer to nie do juju. Mam consulting bureau. Magia to poważna sprawa, komputer — zabawka — powiedział raptem po polsku Matabele. Wszyscy skamienieli. — Ja studiowałem Czecinie — dodał szaman i nalał sobie wody. Przeczekał ryk śmiechu, najwyraźniej zadowolony z efektu.

— No, ładnie. Tego nie wiedziałem — wystękał Stefan i otarł łzy radości. — Chodzi o to, że

ten... Szczecinianin zna środkową Afrykę jak własną kieszeń. Zastanawiałem się nad tym, co mówiłeś i myślę, że masz swojego przewodnika.

— *Garçon, comme ça va!* — wrzasnął radośnie Zięba. — *Le whisky!*

Podali sobie ręce — Matabele ścisnął dłoń po afrykańsku, w niepojęty sposób pstrykając twoimi palcami, gdy dłonie się rozłączały. Kiedy jednak przyszła kolej na Ziębę, dłoń Murzyna drgnęła, jakby między ich opuszkami skoczyła iskra. Skurcz strachu przebiegł po jego twarzy i zniknął, po czym wszystko wróciło do normy. Szaman usiadł i udawał, że słucha Stefana, ale nie spuszczał badawczego wzroku z Zięby.

* * *

„Wygrałem” — pomyślał Zięba pewnej zimnej, pustynnej nocy, pół roku później. — „Dokopałem diabłu i wygrałem swoje życie. Z niewielką pomocą moich przyjaciół. Warto było i guzik mnie obchodzi, że teraz zdycham”.

Z miejsca w którym siedział, widział czarne sylwetki landroverów na tle pożaru zachodzącego słońca, połyskujące metalicznie kopuły namiotów, płomień gazowej kuchenki malował na niebiesko twarze siedzących wokół ludzi.

W pierwszym landroverze siadła pompa paliwowa. Jechał sto czterdzieści kilometrów na holu i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w drugim zatarł się silnik. Albo może poszła uszczelka pod głowicą. Albo jedno i drugie. Nieważne. Byli uziemieni. Na amen. Gdzieś pomiędzy oazą Sitachwe, a Nwatle na środku pieprzonej Kalahari. Wody zabraknie jutro.

Orzechowski nie poddawał się nigdy. Od pięciu godzin majstrował przy silniku, usiłując przełożyć pompę z jednego wozu do drugiego. Która część w silniku jest pompą — wydedukował. W życiu nie widział silnika landrovera z bliska. Brakowało narzędzi. Nie było instrukcji. Pracował za dużym kluczem nasadkowym, złamanymi kombinerkami i scyzorykiem. Pociął ręce i upaprał je smarem. Jeżeli wyjdą z tego cało, dostanie zakażenia. Afryka.

Zięba był spokojny. Taka śmierć nie wzbudza paniki. Jest jakaś prozaiczna i mało gwałtowna. Ot, awaria samochodu. Kiedyś miał samochód, który potrzebował oddziały intensywnej terapii raz na miesiąc i doskonale znał to uczucie bezsilnej wściekłości na opór materii. W pierwszej chwili, jakoś nie dotarło do nich, co się dzieje. Kalahari była tylko plamą na mapie, brudnożółtą plamą, na której zaznaczono niebieskie malutkie półkola z napisem Kwai albo Lekuru, oznaczające oazy, do których drogę mierzyło się w godzinach. Mówiło się: dwieście kilometrów? Wieczorem będziemy w Sitachwe. Potem nagle przejście od beztrudnej podróży, w której jedynym problemem był kurz zalepiający usta i parzący upał prażący karoserię, do nagłego, martwego bezruchu. Silnik zaniósł się dychawicznym kaszlem, a wreszcie rozlegało się piłujące nerwy wizgotanie rozrusznika, a potem głucha, pustynna cisza. Pierwsze sępy kreślące kręgi na rozpalonym, sinym błękicie i siadające bezczelnie wokół wozów, niczym fałszywi żałobnicy. Odległości nagle rozrosły się, sto kilometrów zrobiło się dystansem nie do przebycia, zwłaszcza w ciężkim terenie pustyni Kalahari, z resztkami wody. Ktoś z ekipy, nawet nie zauważył kto, rozplakał się ze złości, ale Stefan powiedział tylko łagodnie: nie marnuj wody. Nikt nie histeryzował i nie klócił się — Zięba był z nich dumny. Rozłożyli obóz, zebrali zapasy wody. Wykopali w piasku i kamieniach rowek w kształcie dużego F i W. „F” oznacza w międzynarodowym kodzie sygnałów „potrzebna żywność i woda” a „W” —

„potrzebny mechanik”. Wieczorem polali rowek ropą i podpalili. Pocięli na kawałki nylonowe torby z bagaży i przykryli nimi dołki w piasku, obciążając brzegi i kładąc na środku każdej nieduży kamyczek. Pod spód podłożyli puste puszki i manierki. Kiedy wstanie słońce, w dołku skropi się para wodna z powietrza. Osiedzie na folii i zacznie skapywać do puszki. Będzie kilka łyków wody. Teoretycznie. Więcej nie można było zrobić. Pozostawała nadzieja, modlitwa i juju.

Ta ostatnia była mało krzepiąca, zważywszy, że Matabele, przede wszystkim wydobył swój telefon komórkowy i ze smutkiem wskazał stan baterii. Nie miał możliwości doładowania ich od tygodnia. To tyle, jeżeli idzie o voodoo.

Orzechowski mozolił się z pompą, przyświecając sobie miniaturową latarką trzymaną w zębach jak cygaro, rozwalone kombinerki ślizgały się na zapieczonych śrubach. Beznadziejne.

— Krzysiu, daj spokój, już ciemno — powiedział Krzycki. — Nic dzisiaj nie zwojujesz.

Stefan z tęym uporem studiował postrzępioną mapę drogową, jakby próbował przyciągnąć oazę wzrokiem. Przycisnął ją masywnym, szwajcarskim nożem wengera i wyciągnął busolę. Igła kręciła się w kółko. Stefan zdębiał i potrząsnął kompasem. Latarka Orzechowskiego zaczęła świecić na żółto, a potem zgasła.

— Co się, kurwa dzieje? — warknął Orzechowski. — Założyłem nowiutkie Energizery w Johannesburgu!

Gazowa kuchenka zaczęła pykać i migotać.

Zięba włożył skręta między wyschnięte wargi i pstryknął pokrywką zapalniczki. Zapalniczka Zippo jest tak prosta, że właściwie niezawodna. Przestanie działać jeżeli zabraknie benzyny, którą nasącza się schowany wewnątrz kłębek bawełny, spalisz knot albo zetrzesz kamień. Nie przeszkadza jej wiatr, piasek, ani śnieg. Ale nie działała. Miała benzynę, miała nowiutki, firmowy kamień, knot był w porządku. Nie chciała palić. Złośliwość rzeczy martwych. Zdarzało się. Kiedyś rujnowało mu to życie, bo było kosztowne. Musiałeś zdążyć na określoną godzinę, a tu rozkraczał się samochód, pękały sznurówki w jedynych butach, zamykali kioski z biletami, uciekały autobusy. Potem, sięgał po prostu do kieszeni, wysyłał samochód do naprawy, wynajmował inny albo dzwonił po taksówkę. Zakładał inne buty. Wtedy miał już swoją kartę. Był bogaty. „Bogatemu diabeł dzieci kołysz”.
A teraz co? Może ktoś chce forsy?

— Wyrzuć to! — Matabele wychynął z mroku jak cień.

— Dlaczego? Zupełnie dobra zapalniczka.

— Nie zapalniczka. Nie udawaj debilu. Masz coś, co jest jego.

— „Debila” się mówi. Co mam, co jest czyje?

— Umoya Omube. Masz coś, co on chce. Po prostu wyrzuć. On sobie znajdzie i zostawi nas w spokoju. Samochód zapali. Pojedziemy. Będziemy żyli. Ja wiem.

— Evar, co ci jest? Co ty pieprzysz?

— Pomyśl. Ja wiem. Masz coś co jest jego. Umoya Omube. Zabije wszystkich, jak mu nie oddasz. Masz jakiś, jak się mówi... nasibu... fetysz. Dobry fetysz. On pomagał. Ale teraz Umoya Omube go chce. Trzeba oddać.

— Evar, połów się. Muszę pomyśleć.

Matabele odwrócił się i potykając się wśród kamieni zszedł do obozowiska.

Zięba posiedział jeszcze chwilę, kilka razy bezsilnie zgrzytnął kółkiem zapalniczki i poszedł za nim. Otworzył tylne drzwi landrovera i przez chwilę przewracał nabite, wojskowe wory z ubraniami, aluminiowe walizki sprzętu, aż wreszcie natrafił na długą, brezentową torbę. Świsnął suwakiem i wydobył ze środka poobijanego Rugera M 14. Pierestrojka swoją drogą, Mandela mógł sobie być prezydentem, ale jeżeli jesteś biały, to nadal możesz kupić broń bez zbędnych pytań. Nawet, jeżeli

wyglądasz jak European.

— Na polowanie? — zapytał Stefan. Leżąc w śpiworze, wyglądał jak sarkastyczna gąsienica.

— Rozejrzę się — powiedział Zięba, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu magazynków. — Nie bój się, nie stracę kuchenki z oczu.

— Lada chwila zgaśnie.

— Przecież nie zgubię się na tej stolnicy.

— Kurwa, co to jest? — Orzechowski wyjadał coś palcami z płaskiej puszki. Oliwa kapiała mu z dłoni.

— Wędzone małże.

— Co? Jem wędzone małże? Co to w ogóle jest? Raut w „Bristolu”? Kto bierze małże na pustynię?

— Są lżejsze od homarów — warknął Krzycki. — I nie żryj tego paluchami. Wywraca mi się wszystko, jak na ciebie patrzę. Już bym wolał, żebyś to jadł grzebieniem. Smar ma na łapach i je palcami. Jezu.

Zięba wsunął piętnastrostrzałowy magazynek w obsadę i trzasnął suwadłem, słysząc jak drobny piach chrzęści na sprężynie i podajniku.

— Małże pomagają wędrowcom pamiętać o kobietach — rzucił Orzechowskiemu na odchodnym. — Dlatego je zabieramy.

Pustynia wchłonęła go zimnym mrokiem, ale nie było całkiem ciemno. Nigdy nie przypuszczał, że księżyc daje tyle światła. Nawet nie uszedł daleko, kiedy zobaczył ślady. Wyraźnie odcisnięte ślady wąskich, podkutych butów. Potem zobaczył sylwetkę wysokiego, karykaturalnie chudego mężczyzny w łopocącym długim płaszczu i kapeluszu. Pojawił się tak nagle, że w jednej chwili Zięba spocił się jak mysz. Przerazone serce tłukło się boleśnie o żebra. Facet stał na tle nieba, widoczny całkiem wyraźnie i nie był skałą ani cieniem, a jego płaszcz łopotał mimo bezwietrznej pogody. Patrzył na obozowisko i pełgającą niebieskimi płomykami kuchenkę, a potem nagle rozpostarł ręce jednym, gwałtownym wyrzutem, aż go odgięło do tyłu, zadzierając twarz ku niebu. Kuchenka zgasła. Biło od niego coś strasznego i odrażającego zarazem, co kojarzyło się z dusznym trupim odorem w letnie popołudnie, brzęczeniem tłustych much, gnijącą beznadzieją slumsów i brudnym, bezmyślnym okrucieństwem.

Zięba patrzył na niego, zapomniawszy o kurczowo ściskanym w dłoniach karabinie, czując wyraźnie, jak włosy stają mu jeden po drugim, długim pasem przez całą głowę, aż jeżą się nawet te mikroskopijne włoski na karku i wzdłuż kręgosłupa. Mężczyzna stał tam nadal i wyglądał trochę jak szalony egzekutor prawa, z jakiegoś czarnego westernu, na którym wszyscy są podli i brudni, a trochę jak zeszmatałwiony kaznodzieja podejrzanej sekty. Zięba przemógł wreszcie ołowianą sztywność mięśni i podniósł rugera do ramienia.

„To on” — pomyślał w popłochu. — „Pieprzony Umoya Omube, czy jak go tam zwać. Skurwysyn z piekła rodem, który nie chce się ode mnie odczepić.” Nie potrafił sobie wytłumaczyć, skąd to przekonanie, w końcu mógł to być dowolny włóczęga, biały czy czarny, ubrany w powłóczyste szmaty i kapelusz. Nic nadzwyczajnego na pustyni. „Nie trafię go, jeżeli na mnie spojrzysz” — pomyślał panicznie. Wiedział, że nie wytrzyma jego wzroku. Facet był straszny już z daleka i nie brało się to z wyglądu.

Ukląkł na ziemi, opierając kolano całym ciężarem na ostrym kamieniu, syknął i stracił równowagę. W bok szurnął odprysk. Poderwał kolbę do ramienia, ale mężczyzny już nie było.

Zniknął. Skała nadal bodła nocne niebo, z księżycem w tle, ale była pusta. Zięba wstał powoli i grzbietem palca namacał na osłonie spustu jęczyczek bezpiecznika. Ciche, stalowe kliknięcie

zabrzmiało niemal ogłuszająco.

— Strzelanie nic nie pomoże. — Szept. Ostry, syczący i po polsku. Tuż przy uchu. — Są rzeczy, do których nie można strzelać.

Kucał na skale tuż obok, z rękami splecionymi pomiędzy kolanami, twarzą zasłoniętą do połowy rondem kapelusza. Tylne, rozcięte poły płaszcza łopotały miękko jak muślin, wznosząc się za jego plecami niczym skrzydła i nadając mu straszny, na poły ptasi wygląd. Zięba wydał z siebie wyschniętą karykaturę krzyku, ni to pisk, ni to skrzek i lekko zmoczył się w spodnie.

— Nie marnuj wody — syknął nieznajomy. Nawet jego głos brzmiał dziwnie, jakby wydawała go ptasia krtań. Trochę jak gruchanie gołębia, z cieniem ledwo zrozumiałych słów ukrytych gdzieś pod spodem.

Zięba poderwał karabin do biodra i nacisnął spust. Prosto w korpus. Dwa metry. Nie można nie trafić. Rozległ się metaliczny, jałowy trzask. Zaklął i szarpnął suwadłem, wyrzucając na piach nabój ze zbitą spłonką. Następny pocisk przekreślił się w podajniku i zablokował komorę.

— To nic nie da — zaświergotał mężczyzna. — Przecież nie zastrzelisz anioła stróża?

— Spierdalaj! — miauknął żałośnie Zięba przez suche nagle gardło. — Nic ode mnie nie dostaniesz, kutasie.

— No, no, co za język. Całe szczęście, że jesteśmy w Namibii, nikogo nie zgorszysz. Ja tylko chcę, żeby wszystko wróciło na swoje miejsca. Masz coś, na co nie zasługujesz. Na wszystko trzeba zapracować. Nie czytałeś bajek Ezopa? Każdy ma swoje miejsce. Twoje jest wśród szarych ludzi, którzy w chwale obracają swój kierat i nie mają innych niedościgłych marzeń ponad to, żeby wystarczyło do pierwszego. To bardzo prosty handel: oddaj kartę i będziesz żył. Tak, jak należy.

Zięba przez cały czas mocował się z zamkiem karabinu, usiłując usunąć zgięty nabój. Wściekłość zwyciężyła przerażenie. Nareszcie miał wroga. Istotę, która spieprzyła mu życie. Jeden strzał. Z takiej odległości wystarczy. Umowa umową, a nabój 0.30 winchestera, swoją drogą. Mężczyzna wstał, wolnym, niepowstrzymanym ruchem, jakby kuczał na równym gruncie, a nie na spiczastym kamieniu. Wstał, ręce na boki. Wstał, powoli rozkładając ręce i podnosząc głowę. Cień kapelusza ześlizgnął się z jego twarzy, odsłaniając małe, zniekształcone usta i nos przypominający haczykowaty dziób. Jego twarz wyglądała tak obco i strasznie, że w pierwszej pełnej popłochu chwili nie mógł jej rozpoznać jako ludzkiej. Małe, żółte oczy z dziwacznymi źrenicami, przypominały oczy sowy. Białej sowy, z ludzką twarzą.

— No i jak ? — zapytał Umoya Omube, a jego usta były samą drapieźnością. Jego oczy były hipnotyzujące jak lufy dwururki. Wszystko będzie dobrze, tylko oddaj mu kartę. Oddaj kartę, a te straszne oczy odejdą, oddaj kartę, a Umoya Omube zostawi cię w spokoju. Oddaj kartę, a nie będziesz musiał umierać w męczarniach, oddaj kartę i wracaj do swojego marnego życia, wracaj do biura.

— Nie! — ryknął Zięba strasznym głosem i szarpnął zamek z nadludzką siłą. Zgnieciony nabój wykoziołkował przez okno wyrzutowe, a na jego miejsce gładko wjechał następny.

— Wybrałeś — zaświergotał mężczyzna, odwrócił się plecami i odszedł. Pieprzyć westerny i te wszystkie nie-strzela-się-w-plecy. Zięba poderwał ciężką kolbę do ramienia i pociągnął za spust. Ruger huknął ogłuszająco, a widziany przez rozbłysk pomarańczowego ognia Umoya Omube rozłożył szeroko ramiona i rozleciał się nagle bezładną chmurą czarnych strzępów, stadem małych ptaków, które znikły pośród pustynnej nocy.

W dali, tam gdzie wystrzelił, zapłonęły światła samochodu. Potężny, prawy reflektor i kilka umieszczonych na dachu halogenów, płonących jakoś asymetrycznie, prawdopodobnie część świetlnego relingu miała poprzepalane żarówki. Poobijany, zakurzony GMC truck wyłonił się z

mroku prosto na Ziębę, który stał bezradnie, z dymiącym jeszcze M 14 w rękę i kompletną pustką w głowie. Ludzie. Ratunek.

Do obozowiska zszedł z rozbitymi ustami, pełnymi słonometalicznej krwi i rękoma na karku. Ekipa stała już zgoniona w przerażoną gromadkę, przez ośmiu czy dziewięciu Murzynów, z głowami okręconymi kraciastymi arafatkami, w najprzeróżniejszych, roboczych łachach, którzy absolutnie nie wyglądali na ekipę ratunkową. Byli uzbrojeni.

Przewodził im niski, krępy facet, czarny jak asfalt, z kręgiem szczeciniastego zarostu wokół ust. Na głowie nosił zielone, kubańskie kepi i gogle w gumowych oprawkach. Mówił gardłowym, obcym narzeczem, brzmiącym inaczej niż Suahili, z którym Zięba zdążył się już osłuchać. Jedno słowo brzmiało zrozumiale i strasznie, jak wyrok. Słowo, które powtarzało się prawie w każdym zdaniu przywódcy: Afrikaans.

Zięba spojrział na landrovery ekipy wynajęte w Johannesburgu, beznadziejnie świecące południowoafrykańskimi tablicami rejestracyjnymi.

Afrikaans. Afrykanerzy. Obywatele Republiki Południowej Afryki. Biali, na środku pustyni, z samochodami prosto z RPA. Bez względu na to, do jakiej organizacji należeli ci faceci, o ile w ogóle do jakiejś należeli, byli czarni. To mogło oznaczać tylko jedno. Śmierć.

Jeden z bojówkarzy oddał koledze swojego galila i energicznie wskoczył na skrzynię pick-upa, po czym kopniakami zepchnął z niej kilkanaście opon samochodowych. Zięba poczuł, jak jego ciało zamienia się w lód. Patrzył nieruchomymi oczami, prosto z ołowianej twarzy, jak toczą te opony w ich stronę, jak tamten zeskakuje z paki samochodu, trzymając w rękach dwa chlupoczące kanistry z benzyną.

Krzycki osunął się na ziemię w martwej ciszy, miękko, jak puszczone z ręki kurtka, z drgającymi powiekami, pod którymi błyskały białka wywróconych oczu.

— Chryste... Żywe pochodnie... — wymamrotał Stefan gasnącym głosem.

To bardzo popularna w środkowej Afryce metoda walki politycznej. Bierze się gościa o odmiennych poglądach albo w niewłaściwym T-shircie i nabija na niego trzy, cztery, stare opony. Opony nie bardzo chcą przejść przez ramiona, więc trzeba je nabić na siłę, zdzierając skórę i kalecząc delikwenta drutami wyłazącymi z osnowy. Napięta opona bardzo skutecznie krępuje ruchy, znacznie lepiej niż kaftan bezpieczeństwa. Nie można jej właściwie zdjąć, trzeba by rozciąć. Miażdży ci ramiona i klatkę piersiową, niczym sploty gumowej anakondy. Nie możesz oddychać. Następnie bierze się kanister benzyny i wylewa delikwentowi na głowę. Benzyna zlepia ci włosy, gryzie w oczy i dostaje się do ust. Krztusisz się i prychasz cuchnącym paliwem, cała skóra momentalnie wysycha i piecze, gdzieś pod warstwą zimnej, parującej cieczy. Ubranie nasiąka, aż po skarpetki. Gazolina chlupocze ci w butach. Żre w oczy, ale w tej chwili już nie zważasz na to, ponieważ jesteś oszalałym z paniki zwierzęciem. Wrzeszczysz na całe gardło, okropnym, nieludzkim rykiem, od którego siwieją drzewa, a Bóg mógłby oszaleć. Wyjiesz nie zwracając uwagi na płyn dostający się do ust, palący w wytrzeszczone oczy, których nie mógłbyś zamknąć za żadne skarby świata, bo straciłbyś najlepszą część widowiska. Oto twój przeciwnik polityczny odstawia kanister i zrywa wiecheć żółtej, wyschniętej trawy. W Afryce cała trawa jest żółta i wyschnięta. W tej chwili twój adwersarz skręca wiecheć w solidny powróż, na tyle gruby, by palił się przyzwoicie i nie zgasł od razu, a zarazem by był dostatecznie sztywny — nie chce się przecież poparzyć. W tym klimacie nic nie goi się porządnie i od razu się paprze. A już szczególnie oparzenia. Jest zbyt zajęty, żeby słuchać twojego wrzasku i należycie go docenić.

Potem wyciąga zapalniczkę, zwykłą, banalną jednorazówkę Bica i w tym momencie staje się twoim Bogiem. Uwielbiasz go. Zrobiłbyś dla niego absolutnie wszystko. Wszystko. Oczywiście,

nawet nie za to, żeby uwolnił cię od opon i pozwolił zmyć benzynę. Nawet łaskawość boskich istot ma swoje granice. Zrobisz wszystko tylko za to, żeby łaskawie rozwalił ci łeb maczetą. Głupota ludzi, którzy wyją i uciekają przed czymś tak schludnym i niemal bezbolesnym jak kilka kul z kałasznikowa, wydaje ci się niepojęta. Fakt, że zasłużyłeś na śmierć, jest dla ciebie oczywisty i naturalny — w końcu popierałeś tego diabła Mobutu. W końcu założyłeś absolutnie nieodpowiednią koszulkę. I urodziłeś się w zupełnie niedopuszczalnym plemienu. Błagasz tylko, żeby normalnie zadźgał cię prętem zbrojeniowym. Żeby zastrzelił jak człowieka, z zardzewiałego FN–Fala. Żeby zwyczajnie udusił drutem.

A potem, twój chuderlawy bóg, ubrany w podarte tenisówki, brudne, worowate szorty i dziurawą podkoszulkę, podpala wiecheć.

Twój wrzask zmienia się o oktawę. Teraz wyjesz wyżej, niż ci się to wydaje możliwe. Twoje możliwości są ograniczone. Możesz dziko szarpać głową na wszystkie strony. Możesz się przewrócić i miotać, możesz próbować się turlać, w końcu masz na sobie opony. Możesz, jeżeli jesteś naprawdę twardy i zostało ci aż tyle rozsądku, spróbować rozwalić sobie głowę o twardą, afrykańską ziemię. Niestety, opona nadziana na twoje barki stanowi doskonały, elastyczny ochraniacz.

A potem cię podpalają.

Bojówkarz z kanistrami postawił pojemniki na ziemi i spojrzał na zwalone wokół opony. Krzycki leżał na ziemi z podciągniętymi kolanami i rozrzuconymi na boki rękoma.

— Jezu, tylko nie to...

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

— To niemożliwe, Stefan powiedz im, że jesteśmy Polakami, na rany Chrystusa, oni myślą że my z RPA.

— Zamknij się, kurwa, to jeszcze gorzej, Polak zastrzelił im jakiegoś komunistę... spalą nas, Chryste przenajświętszy, spalą nas...

— Błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus... Jezus... nie pamiętam dalej, o Boże, nie przypomnę sobie.

— Chcę moją kamerę! Chcę umrzeć jak dziennikarz, gdzie moja kamera...

— Stul pysk, spalą nas, o Boże spalą nas...

Orzechowski miał czterdzieści osiem lat. Był przystojnym mężczyzną, z siwymi skroniami i siwymi wąsami. Nie był żonaty, a jako operator pracował od zawsze. Nigdy się nie poddawał. Prawdopodobnie dotarła do niego banalna prawda o przewadze kuli nad pożerającym ciało benzynowym płomieniem i czar, który każe ludziom pokornie dreptać na miejsce kaźni, w nadziei, że to wszystko nie jest naprawdę, że to jakiś żart, a oprawcy docenią to, iż jesteś grzeczny. Ten czar przestał dla niego istnieć.

Przestał bredzić o swojej kamerze, rozepchnął stojących z boku i skoczył na stojącego najbliżej partyzanta, chwytając za lufę jego stare Uzi z dorobioną drewnianą kolbą. Tamten wrzasnął coś piskliwie, śmiertelnie zaskoczony i szarpnął się rozpaczliwie. Orzechowski uczeplił się Uzi i jego kurtki niczym zbawczej burty na środku Atlantyku. Czarny próbował uderzyć kamerzystę kolbą Uzi, próbował kopnąć go kolanem w podbrzusze, ale był na to za lekki i za chudy. Przez chwilę szarpali się jak dzieci wrywające sobie zabawkę, a potem dowódca wyjął pistolet i podszedł do nich, zamierzając przyłożyć Polakowi spluwę do głowy i zakończyć tę niesmaczną scenę jednym strzałem, ale Orzechowski złapał równowagę i zakreślił partyzantem, osłaniając się nim od dowódcy i jego pistoletu. Pozostali bojówkarze wrzeszczeli opętańczo wymachując karabinami, ale nikt nie mógł znaleźć pozycji do czystego strzału. Upłynęło kilkanaście sekund idiotycznej, patowej sytuacji, wreszcie któryś z partyzantów zaszedł Orzechowskiego od tyłu i zdzielił kolbą w bok głowy.

Czarni zaczęli wrzeszczeć. Była to zwyczajna, chaotyczna awantura, bez ładu i składu. Orzechowski zwał się na ziemię, ale zaraz podciągnął nogi i wstał. Chwiejnie, z pływającymi na wszystkie strony oczami i strumieniem krwi toczącym się po policzku, ale wstał. Wcale nie jest tak łatwo pozbawić człowieka przytomności. Nie tak, jak pokazują na filmach.

Zięba dygotał. Trząsał się jak osika, latały mu zęby, dygotały kolana i absolutnie nie mógł nad tym zapanować. O takim strachu mówi się „zwierzęcy”, ale chyba tylko ludzie mogą bać się aż tak. To był strach inny niż ten, który kiedyś drażył go na co dzień. Dziki, niezrozumiały, sięgający jakichś prastarych instynktów. Bał się tym bardziej, że wiedział, iż musi ruszyć się z miejsca i zrobić coś, bo tylko on może to przerwać. Ruszy się z miejsca i wtedy go zastrzelą. Jeżeli natomiast zrobi to, na co ma największą ochotę, zwinie się w kłębek i zemdleje, albo ucieknie w katatonię, wtedy ich spala. Dla rozrywki. Wcale nie w jakiejś wielkiej wojnie, nie z jakichś ważkich powodów, tylko po prostu z nudów. W imię Umoya Omube, dla którego nawet śmierć była niska, przyziemna, przypadkowa i głupia. Musi podejść. Nie ma się nad czym zastanawiać, bo wtedy się nie zdecyduje. Jak przed skokiem do lodowatej wody. Cztery, trzy, dwa, jeden... już.

Sekundy rozciągnęły się pomiędzy przerażonymi, głuchymi uderzeniami serca, które brzmiały w jego uszach niczym pogrzebowy dzwon. Przełamał dygocące, sztywne mięśnie i postąpił krok naprzód. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, byli zajęci Orzechowskim, który znowu leżał na ziemi. Zięba ostrożnie podniósł nogę i przestąpił nad leżącym nadal bez czucia Krzyckim. Z uchylonych ust dźwiękowca wyciekła odrobina śliny i wsiąkła ciemną plamką w pustynny pył obok policzka. Zięba zrobił następny krok. Przecisnął się pomiędzy stojącymi bezradnie kolegami i wyszedł na pustą przestrzeń, pomiędzy jeńcami, a rozkrzyczanym kręgiem napastników, zalaną ostrym blaskiem reflektorów samochodowych.

Dostrzegli go. Krzyk, niezrozumiały, w bantu. Ostrzeżenie albo rozkaz. Jeszcze jeden krok. Trzask suwadła. Podwójny, metaliczny klekot naboju wjeżdżającego do komory. Uniwersalne, ostatnie ostrzeżenie, zrozumiałe ponad wszystkimi językami. Zignorował je, wyraźnie widząc jak ogarnia go huczająca ciemność. Pozostało mu tylko centrum pola widzenia, odrobina światła, gdzie widniała twarz przywódcy. Ciemnobrązowa, błyszcząca od potu, z upiornie jasnymi białkami, czarny, szczeciniasty zarost, zupełnie inny niż u białych, otaczał mu usta i kłębił się jak ostry mech na podbródku. Drobne kropelki potu zatrzymywały się w tym zaroście i lśniły jak kryształki. Rozdęte wściekle szerokie nozdrza nadawały mu wyraz niepohamowanej furii. Jeszcze jeden krok. Zaraz umrę. Teraz sięgnąć do kieszeni. Bardzo powoli, żeby nie wywołać gwałtownej reakcji. Nagłego gradu gorących, twardych pocisków, które w sekundę zamienią go w rąbanekę. Nie było potrzeby. Zaczął unosić oporną, drewnianą rękę do kieszeni koszuli, kiedy poczuł delikatny, pojawiający się stopniowo nacisk na spoczone wnętrze dłoni, ostrą, sztywną krawędź karty. Dowódca wrzeszczał, plując śliną, a Zięba wyciągnął kartę w jego stronę. Prosto pod oczy.

Murzyn nie zareagował. Pchnął Ziębę w ramię, odrzucając go do tyłu i wyrwał mu kartę z dłoni. Nie patrzył na nią.

NIE PATRZYŁ NA NIĄ.

Musiał na nią spojrzeć, ale w ogóle go nie interesowała. Podniósł pistolet, poobijanego webleya, pamiętającego jeszcze Tobruk i przytknął Ziębie lufę do czoła. Na samym środku. Trzask bezpiecznika zabrzmiał ogłuszająco, jak odgłos złamanej kości.

A potem ciekawość zwyciężyła i mężczyzna spojrzał na trzymany w dłoni kawałek plastyku. Przelotnie, jednym okiem. Wystarczyło. Zimny, parząco metaliczny nacisk lufy ustąpił. Bandyta zamrugał oczami i lekko rzucił głową, jakby raziło go światło. A potem wlepił wzrok w rysunek, nachylając kartę w różne strony.

— Płacę ci — powiedział Zięba po polsku, z trudem zmuszając skurczone, wyschnięte gardło do wysiłku. Krew waliła mu w tętnicach szyjnych z taką siłą, jakby połknął własne serce. — Zabierz nas do oazy. No Afrikaans. Bolando. Polonia — improwizował z wysiłkiem, uśmiechając się jakby miał na twarzy glinianą maskę. — Fuck apartheid.

Murzyn opuścił bezradnie rękę z pistoletem. Spoglądał to na Ziębę, to na kartę z uniesionymi brwiami i zmarszczonym czołem, na którym malował się ciężki umysłowy wysiłek.

— Poland? — spojrzał na kartę, najwyraźniej usiłując zebrać myśli. — Walesa? Walesa good, Walesa–Man–dela.

— Yes — wyjąkał Zięba ogłupiałym tonem. Też coś. Murzyn schował webleya do kabury, następnie jakoś niepewnie oddał Ziębie kartę i nagle trzepnął go po przyjacielsku w ramię.

Zięba nie widział już, jak szef wrzeszczy do swoich ludzi, pokazując na zdezorientowaną ekipę stojącą z podniesionymi rękami, ani jak Murzyni nagle opuszczają broń i śmieją się, podnosząc z ziemi zmaltretowanego kamerzystę i otrzepują go z pyłu oblepiającego ubrania. Zemdlał.

* * *

— Miał ptasią twarz? — zapytał Stefan.

— Albo maskę czy jakiś rysunek na twarzy. Nie jestem pewien. Było ciemno. Wyglądał potwornie. Siedział na kamieniu, a właściwie kucał, jakoś tak dziwnie. Mówił do mnie po polsku.

— Biały?

— Chyba nie. Trudno powiedzieć, mówiłem ci — nie widziałem go dokładnie, ale raczej wyglądał na czarnego, o ile w ogóle był człowiekiem.

— A kim?

— Nie wiem. Strzeliłem do niego, a wtedy znikł.

— Gdybyś strzelił sekundę wcześniej, trafiłbyś tego czarnego Janosika w sam środek twarzy. Akurat zjechali z wydmy i odstrzeliłeś im tylko reflektor z dachu. Wtedy sto kart by nie pomogło.

— Jezu, i tak mieliśmy fart. Mogli nas spalić. — Krzycki nie słyszał dokładnie o czym mówili, gęsty od piachu pustynny wiatr zagłuszał wszystko. Landrover kołysał się na holu za półciężarówką niedoszłych oprawców i toczył w stronę oazy Sitachwe. Dźwiękowiec pochylił się w stronę Stefana i Zięby siedzących z przodu. Wszystkim trzęsły się ręce i czuli się słabi jak niemowlęta, więc Krzycki nie zwrócił uwagi, że nikt nie podtrzymuje rozmowy. Odreagowywał słownym katarem; to o farcie i spaleniu mówił już siedemnasty raz. Zięba milczał, bo przeczuwał najgorsze. Umoya Omube przegrał potyczkę, ale wojna trwała. Co teraz? Meteoryt? Piorun z jasnego nieba? Katastrofa samolotu? Czekają go teraz życie z ręką na kaburze, sprawdzanie każdego krzesła i zagłądanie w każdy ciemny kąt. To nic. Głupstwo, w porównaniu z życiem, które toczył, kiedy jeszcze był zablokowany. A może krokodyl? Dziurawa łódka? Nie wydarzyło się nic z tych rzeczy.

* * *

— Oczywiście, musimy jeszcze przeprowadzić kilka badań — powiedział doktor równym, nienaturalnie spokojnym głosem. Wszystko w porządku, jesteś w bardzo dobrych rękach, pan profesor jest najlepszym specjalistą, a to jest bardzo droga, prywatna klinika. — Jednak chciałbym rozmawiać z pańską żoną.

Uczucie w pierwszej chwili było takie, jak wtedy, gdy na środku Kalahari spotkał twarzą w twarz swoje przeznaczenie, jak wtedy, gdy kilka przeznaczonych na jego śmiertelną koszulę opon, rąbnęło z łomotem o rudy piach pustyni. Jak wtedy, gdy w Sarajewie stał się osobistym celem serbskiego snajpera. Jak wtedy, nad Kongo, gdy nagle stanął silnik przedpotopowej cesseny i samolocik zaczął zsuwać się po powietrznym zboczach, prosto w wodospad Kirinyaga. To jest jak chłusnięcie wrzątkiem w twarz, lód we wnętrznościach i cierpnąca nagle skóra. To jest ta chwila, gdy rozum już wie, a dusza wciąż jeszcze ma nadzieję. Chwila, gdy lekarz nie chce już z tobą rozmawiać, chce natomiast rozmawiać z twoją żoną, bo przestałeś już być człowiekiem. Stałeś się mięsem na stole operacyjnym, które patroszy się, faszeruje odczynnikami, przewozi jak pakunek. Mięso nie ma prawa do godności, ani do życia. Ma leżeć na swojej półce i biernie czekać na następny zabieg. Wydało mu się, że powinien usłyszeć drwiący syk dalekiego, zuluskiego demona, który teraz wydawał się odległy i nieskończenie egzotyczny. Śmierć z ręki przedstawicieli zbuntowanego Bantustanu, albo od kuli snajpera, wydała się nagle pociągająca, ale było za późno. Został szpitalnym mięsem. Przedmiotem ciężkiej, niewdzięcznej pracy pielęgniarek.

— Wolałbym, żeby pan najpierw rozmawiał ze mną. Jestem dorosły.

— Na razie nie ma jeszcze nic pewnego...

— Mojej żonie miał pan coś do powiedzenia, profesorze. Płacę panu dość, żeby usłyszeć parę szczerych słów.

— No tak... Oczywiście to jeszcze nic pewnego, ale ma pan bardzo wysoki opad, ponad dziewięćdziesiąt, opuchnięte węzły chłonne, ciągły stan podgorączkowy, suchy kaszel, odpluwa pan krwią, silne bóle, no i rentgen oraz tomograf... Słowem, nie ma pan żadnej afrykańskiej choroby. Wykluczaliśmy AIDS, ebolę, posocznicę, Marburg, dżumę i inne. Obawiam się, że ma pan nowotwór płuc. Wszystko wskazuje na to, że nieoperowalny. Przykro mi.

Przykro mu. Pewnie. Jemu jest przykro, a ja umieram. Umieram. Nie chciałem umrzeć na pustyni, więc umrę na szpitalnym łóżku, odarty z godności, nagi, obesrany i skowyczący z bólu. Możecie sobie wsadzić wszystkich najlepszych specjalistów w dupę. Rak płuc to wyrok i doskonale o tym wiecie. Boże, moje płuca gniją. Śmierć.

Dalej było jak w podręczniku. Najpierw bunt. Wściekła awantura z Bogiem, piana na ustach, histeria. Narkotyki uśmierzające ból. Wódka. Potem rozpacz. Czarne, cuchnące grobem dni, pełne łez, bólu i rozdzierającego smutku. Ciągące się w nieskończoność, rozdarte gdzieś pomiędzy ucieczką, a kolejnymi, bolesnymi i obrzydliwymi zabiegami. Potem obojętność i głucha, depresyjna bezradność. A później nie mógł już dłużej uciekać przed szpitalem.

Rzeczywiście został mięsem. Gapił się z rezygnacją w sufit, słuchając kroków na korytarzu, bezcenne, ostatnie dni uciekały mu w nieznośnych, rozwlekłych godzinach pomiędzy atakami wściekłego bólu, które zamieniały go w kłuszące zwierzę. Odwiedziny były potworne, niczym jakaś rozciągnięta w nieskończoność stypa. Rodzice robili mu wyrzuty, że palił i polecali wciąż nowych znajomych lekarzy. Dzieci nudziły się i wygłupiały. Były chodzącą esencją życia i na ich widok krwawiło mu serce. Jola była śliczna jak nigdy, chciało mu się wyć na jej widok. Chodziła po świecie i była człowiekiem. On był mięsem, bez prawa do seksu, bez prawa do miłości i życia. Umierał. Umieranie było nudne i bolesne. Nie mógł nawet oglądać telewizji, bo absolutnie wszystko co pokazywała, będzie żyło i trwało nadal, kiedy jego już nie będzie. Wolał już udawać, że cały

świat odejdzie razem z nim.

Stopniowo stał się zombie. Chodzącym, żywym trupem. Przypominał szkielet. Cuchnął trupem. Rozpadał się. Po korytarzu chodził tak samo jak inne żywe trupy, tocząc stojak z kroplówką, ostrożnie, jakby obawiał się, że przegniłe kawałki ciała odpadną mu od kości.

Szpitalna noc była najgorsza. Zwłaszcza w zwykłym, miejskim szpitalu, do którego przenieśli go, pod opiekę kolejnej medycznej sławy. Bardziej przydałby mu się dobry balsamiarz. W tym nowym szpitalu wszystko było stare, brzydkie i zniszczone. Ściany, łóżka, talerze, kafelki i pielęgniarki. Leżał na zapadniętym, pikowanym materacu pokrytym plastikową folią, która odparzała mu skórę i patrzył przez tlenowy namiot na tłustą plamę na ścianie. W nosie miał kroplówkę, drugą w przedramieniu, cewnik na fiucie i czujniki przyklepione brudnym plastrem do zapadniętej klatki piersiowej. Już nawet nie oddychał jak człowiek. Leżał w półmroku, sine światło jarzeniówek z korytarza padało mu na twarz, przez grubą folię namiotu, słuchał elektronicznego pikania własnego organizmu i wzbudającego echa pod sufitem chóralnego chichotu pielęgniarek. Nienawidził ich. Traktowały go jak przedmiot albo jak niedorozwiniętego. Upokarzały przy każdej okazji. Każde mycie i defekacja były koszmarem. Był mięsem. Patrzył na tłustą plamę na ścianie.

Plama była duża, rozgałęziona i okazała. Z rozmazanymi zaciekami i kroplami. Żółtobrazowa, na brudnożółtej ścianie. Była to najważniejsza plama na świecie, ponieważ stanowiła jego jedyny widok i zarazem był to ostatni widok, jaki zobaczy i zabierze pod powiekami na tamten świat. Czasem wyglądała jak drzewo, pokryte liśćmi, powykręcane i karłowate, świetne drzewo na szubienicę, rosnące na jakimś ponurym odludziu. Kiedy indziej przypominała galopującego konia z rozwianą grzywą, z szaleństwem w oczach i z agonalnie wyszczerzonymi zębami. Po kilkunastu dniach, plama, jak to zwykle bywa z plamami, jeśli wpatruje się w nie zbyt długo, pokazała twarz.

Prawie każda plama, przypadkowy układ liści, światła i cienia, ukrywa twarz. Twarze z profilu, twarze o rysach wymalowanych głębokim cieniem, jak na prze — kontrastowanym zdjęciu, twarze szydercze, groteskowe, karykaturalne. Tak funkcjonuje mózg. Jest tak zaprogramowany na rozpoznawanie twarzy, że niechybnie rozpozna je w każdym przypadkowym kształcie, jeżeli nie ma innych bodźców. Mózg Zięby nie miał.

Twarz jego plamy była wyjątkowo paskudna. Lisia, chytra i wredna. Włosy zaczesane do tyłu i nabłyszczone brylantyną. Mężczyzna w nieokreślonym wieku, raczej młody, w typie alfonsa. Owalne, czarne okulary, usta jak ślad cięcia brzytwą, rozciągnięte w szyderczym uśmiechu. Twarz nosiła znamiona psychopatycznego okrucieństwa. Patrzyli na siebie godzinami przez gruby plastik namiotu tlenowego i Zięba zaczął go nienawidzić z całych sił. Był zupełnie pewien, że nie jest to twarz, którą chciałby zabrać ze sobą na tamten świat, razem z konającym koniem i schnącym drzewem, ale nie miał wyjścia. Mężczyzna patrzył pogardliwie ze ściany na jego rozwlekłą agonię i uśmiechał się z pogardliwą wyższością, zabarwioną satysfakcją. Bolesna, niekończąca się szpitalna noc płynęła w ciszy, przerywanej tylko kaszlem, chrapaniem i popiskiwaniami aparatury. Pielęgniarki pochlały się albo po prostu poszły spać i nareszcie ucichły. Ból przycichł i byłoby prawie znośnie, gdyby nie hipnotyczny wzrok ucieszonego złośliwie skurwiela na ścianie.

Chciał odwrócić wzrok, chociaż wiedział, że może zobaczyć tylko poobijaną, blaszaną szafkę i szklankę z ciekawą herbatą. Wszystko było lepsze od tego spojrzenia. Chciał patrzeć na cokolwiek innego, ale nie mógł. Usiłował zobaczyć konia albo drzewo i też nie mógł. Usiłował przywołać z pamięci płonące królewskimi barwami pejzaże Afryki albo kryształowe wieże Tokio, ale to wszystko gdzieś przepadło, zrobiło się nierealne, szare i sypkie jak popiół. Człowiek na ścianie zrobił się jeszcze wyrazistszy, impresjonistyczny portret zmienił się w zdjęcie, a wizerunek rósł, potężniał i pulsował hipnotycznie, wśród mieniącej się mgły, która wypełniła wszystko inne. Zięba

leżał bezsilnie, zaciskając suche jak gałęzie pięści i patrzył. Nawet nie zauważył, jak świat zmienił się wokół niego. Zmiana nadeszła płynnie i powoli, niczym kiełkowanie trawy, jak ruch ziarenek piasku w klepsydrze.

To był nadal ten sam szpitalny pokój, sprzęty były te same: parawan zawieszony na poobijanych rurkach, którym oddziela się żywe trupy od świata żywych, szafka ze szklanką herbaty, stojak z monitorami, ściana z plamą. Ale wyglądało to inaczej, jakby widział tylko odbicie przedmiotów w jakimś bliźniaczym, martwym świetle, gdzie przebywa tylko mroczna strona wszystkiego. Twarz ze ściany królowała nad tym wszystkim, jaśniejąc niczym cudowne objawienie z piekła rodem.

A potem twarz zrobiła się przestrzenna, niczym płaskorzeźba. Zięba szarpnął się na łóżku, a monitor odpowiedział nagłą kakofonią popiskiwań, rysując na ekranach zębate, alarmowe linie. Pojawił się nos, ostry jak płetwa rekina, pokryty łuszczącym się tynkiem, ale realny, z zawiniętymi skrzydełkami, niczym rozdęte końskie chrapy, wąskie usta przecięły pociągłą twarz, złośliwy uśmiezek stał się jeszcze gorszy. Potem ze ściany wychyłała spiczasta grdyka, tynk wybrzuszył się, obrysowując tors, barki, ręce i nogi obute w szpiczaste buty.

Zięba leżał oniemiały z przerażenia, nie mogąc się poruszyć, wrzasnąc, uciec ani zemdleć. Niewiarygodne, ale nawet człowieka, który został już skazany i zrozumiał, że jedyne, co go jeszcze spotka w życiu, to agonia i śmierć, można doprowadzić do takiego przerażenia, że nie będzie mógł wytrzymać we własnym ciele. Jego nemezis nadal wynurzało się ze ściany, przebijając ciałem tynk i farbę niczym powierzchnię wody, a Zięba ze wszystkich sił usiłował zemdleć. Albo przynajmniej umrzeć, jeżeli nie można inaczej. Po raz pierwszy śmierć wydała mu się stosunkowo najbezpieczniejszym wyjściem. Okazało się, że może go czekać coś znacznie gorszego.

Człowiek ze ściany wyłonił się w całej okazałości. Zięba dygocąc malarycznie, uczynił heroiczny wysiłek usiłując wstać, po czym rozkaszał się bolesnym, świszczącym kaszlem, który powalił go z powrotem na przepoconą poduszkę.

Tamten postąpił ze zgrzytem obcasów i stanął nad Ziębą, po czym jednym ruchem zdarł z niego namiot tlenowy.

— No i jak się dziś czujemy? — zapytał. W tym momencie Zięba zdecydowanie powinien zemdleć, ale nie wiedział jak. Człowiek ze ściany rzucił na ziemię namiot tlenowy, zamieniony w strzęp bezużytecznego, grubego plastyku, sztuczne płuco rozsyczało się spazmatycznym oddechem, tlen syczał jadowicie, napełniając powietrze metalicznym zapachem. Wskaźniki rozwyły się elektronicznym alarmem. Zięba podrygiwał na łóżku, kaszląc i dusząc się, a Człowiek Ze Ściany przechadzał się po pokoju niczym makabryczna karykatura lekarza. Nawet miał na sobie brudny, biały kitel, jakby przyszedł w odwiedziny albo na obchód. Zdarł z oparcia łóżka kartę chorobową i przestudiował ją, cmokając z uznaniem, a potem podniósł wzrok na siniejącego Ziębę.

— Prześliczne — powiedział. — Uwielbiam szpitale i dobrze pomyślane choroby. A to — pomachał blaszaną ramką z wpiętymi kartkami — jest majstersztyk. Taka genetyczna bomba zegarowa. — Przysiadł na łóżku Zięby i tchnął mu prosto w twarz trupim odorem. — Zżera cię od środka i jest wpisana w strukturę każdej komórki. Rozprzestrzenia się jak pożar albo jak szaleństwo. Szaleństwo też jest wspaniałe. Cóż to, dusimy się? — Wyciągnął do Zięby szponiastą, chudą dłoń, zgarnął w wiązki wszystkie przewody i wyszarpnął je pękiem. Monitor zaniósł się spazmatycznym piskiem. Człowiek Ze Ściany wstał i zdzielił go pięścią. Aparat zamilkł. Zięba wyprężył się i znieruchomiał.

— No nie — powiedział z niesmakiem Człowiek Ze Ściany. — Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy, poza tym przyszedłem po ciebie, więc nie wyjdiesz chyba tak sam, bez pożegnania. Tak się nie traktuje gości.

Przycisnął dwa palce do ust, jakby chciał pobłogosławić, po czym nagle zwinął usta w pogardliwym grymasie i plasnął Ziębę tymi palcami w czoło. Chory szarpnął się niczym porażony prądem i usiadł gwałtownie na łóżku. Przez chwilę oddychał ciężko, przycisnąwszy dłoń do mostka, wreszcie znieruchomiał. Jego oddech stał się wolniejszy i jakby ostrożny. Zniekształcona chorobą twarz przybrała wyraz niedowierzania.

— Mam sprawę — wyjaśnił Człowiek Ze Ściany. — I wolałbym, żebyś nie przeszkadzał w rozmowie tym swoim rozsypującym się organizmem. Jak się oddycha?

— Kim... — wyrzęził słabo Zięba.

— To nie jest moja pierwsza taka rozmowa, więc nie będę odpowiadał na banalne pytania. Nie jesteśmy w kinie. — Przekreślił się nagle na łóżku, przerzucając nad Ziębą chudą nogę, kowbojski trzewik błysnął okuciem i łuskowatą węzową skórą, po czym siadł mu na klatce piersiowej i chwycił za gardło.

— To zaszczyt rozmawiać ze mną, ty durny kutasie — syknął Człowiek Ze Ściany. — Rzadko się do tego zniżam, żeby rozmawiać z Niskim gatunkiem. Znam wszystkie twoje pytania i odpowiedzi, dlatego to jest takie nudne. — Obliznął lubieżnie wargi i zachichotał. Jego twarz z bliska wydawała się zupełnie realna, widać było drobne włoski na policzkach, nie miał normalnego zarostu i właściwie wyglądał trochę jak dziewczyna. Hermafrodytyczny, szalony demon ze ściany. Zupełnie jakby słysząc jego myśli, ściągnął okulary, ukazując czarne jak węgiel tęczówki i lśniące oślepiająco, prawie fioletowe od bieli białka. Poprawił włosy i spojrzał zalotnie, wszystko wystudionymi, damskimi ruchami.

— A teraz posłuchaj. Wszystko toczy się według planu. Jest genialnie wymyślone i zaplanowane. Ten świat jest stuprocentowo materialistyczny, rozumiesz? Nauka i statystyka. Poza tym nic. Nic, rozumiesz? Żadnej nadziei. To, czego nie rozumiesz, albo co się nie zdarza statystycznie, nie istnieje, gnojku! Medycyna, fizyka, matematyka i statystyka. Tego się masz trzymać, ogolony pawianie! To jest twój świat! To czego nie ma, jest moje! Taki układ był od zawsze i nie będziesz tego zmieniał. Nie ma cudów, nie ma piekła, nie ma nieba, nie ma mnie, a przede wszystkim nie ma żadnych, pieprzonych, magicznych kart. Ani żadnego, cholernego, mistycznego przywracania równowagi. Nie ma. Jeżeli ci nie idzie, to wyłącznie dlatego, że jesteś pieprzonym nieudacznikiem. Zerem. Kalekim psychologicznie tworem. Mierzwą. Detrytusem. Nie umiesz zarabiać szmalu, więc nie będziesz go miał — ścisnął policzki Zięby w dzióbek i potrząsnął. — Nie zasługujesz na niego, jasne? Nie umiesz, więc zdychasz — tak mówią nauki przyrodnicze. Gnijące resztki mają opadać na dno i tworzyć muł. Żaden gnój nie będzie mi się pchał pod prąd przemiany materii, wymachując pieprzonymi cudami.

— Jesteś pieprzoną halucynacją — powiedział Zięba słabym, wyschniętym głosem, niczym szelest liści pod nogami listopadowych żałobników.

— Nareszcie — ucieszył się Człowiek Ze Ściany. — Zaczynasz łapać, o co chodzi. Daj mi kartę i świat wróci na swoje miejsce. Halucynacje pozostaną halucynacjami, cuda wrócą do bajek i — parsknął — Biblii. Możesz nawet jeszcze trochę pożyć. Zakończmy tę scenę i pozwólmy jej zostać koszmarem, który zblednie rano. No, dawaj kartę i przejdźmy do „A rano okazało się, że to wszystko było tylko złym snem”. No i jak?

— Apage satanas — jęknął Zięba. — Ego te exorciso...

— Ożesz ty w dupę... — zdenerwował się Człowiek Ze Ściany. — Za kogo ty się uważasz? Księdza Cebulę? Nie będziemy w ten sposób rozmawiali! Jeszcze raz. — Zlął z Zięby, chwycił go garścią za przepoconą koszulę od piżamy i szarpnięciem postawił na nogi. Chory rozkrzyżował odruchowo ręce przekonany, że za chwilę polecą bezwładnie na szare, szpitalne linoleum, ale zdołał

utrzymać się w pionie, pomimo miękających gwałtownie kolan. Jakoś nic go nie bolało i pozostawał dziwnie spokojny — zupełnie jakby dostał solidną porcję trunkwilizatora. Wszystko wydawało mu się jakieś odległe, banalne i nie budzące emocji. Rozmawiał z demonem, a może z diabłem lub po prostu miał halucynacje — i co z tego? A bo to mało dziwnych rzeczy na świecie?

Człowiek Ze Ściany przycisnął kciuk do jego czoła i wydawało się, że to z tego kciuka płynęła cała obojętność na otaczający go koszmar i cała siła, która utrzymywała go na nogach. Kciuk był twardy, suchy i zimny niczym martwa jaszczurka.

— Zaczynamy od początku — powiedział Człowiek Ze Ściany. — Czy ja jestem?

— Nie — powiedział obojętnie Zięba. Nagły paroksyzm doskonale znanego bólu zwinął go w ułamku sekundy w kłębek wyjącego cierpienia. Rozległ się trzask i pomiędzy jego czołem, a przyciśniętym do niego kciukiem rozkwitł nagle krzaczasty rozbłysk fioletowego wyładowania, który cisnął Ziębę plecami o ścianę. Runął na podłogę, rozbijając sobie policzek o poręcz łóżka. Jakiś aparat runął ze stelaża, z pustym, blaszanym łomotem obudowy.

— Zła odpowiedź — powiedział surowo Człowiek Ze Ściany. — Majaczysz, a nie rozmawiasz. Nie myślisz. A ja muszę z tobą porozmawiać.

Zięba skręcał się przez chwilę bezradnie w bezsilnym bólu, a potem nagle obudził się. Leżał na zimnej podłodze, chory, umierający, przeklęty i opuszczony przez wszystkich. Przed nim stał potwór, więc świat nie miał sensu i nie rządził się żadnymi prawami; nie było nadziei. Jego mózg dopuścił do siebie to wszystko tylko na sekundę, po czym zapadł się w kolaps katatonii. Na placu boju pozostało tylko jego wewnętrzne dziecko i Zięba miał w tej chwili cztery lata. Zwinął się w kłębek pod ścianą i z martwym wzrokiem wbitym w papierki i kłębki kurzu zalegające pod łóżkiem, rozplakał się.

— Ech, ludzie, ludzie — powiedział Człowiek Ze Ściany z politowaniem. — Gdyby było w was tyle siły, ile mieści się cierpienia, to bylibyście równi bogom. Wspaniałe. Najwspanialsze zabawki, jakie można sobie wyobrazić. Tyle bólu. Widzę, że tu się nie dogadamy. — Skinął dłonią i Zięba ocknął się z katatonii tak gwałtownie, jakby pneumatyczna kamizelka wyrzuciła go na powierzchnię rzeczywistości. Przestał płakać, natomiast zaczerpnął ze świstem powietrza i zaczął dygotać.

— Zapraszam — powiedział Człowiek Ze Ściany, odwrócił się ze zgrzytem obcasów i pchnął przeszkłone, poobijane drzwi na korytarz. Zięba wstał jak zombie i poszedł za nim. Nie wiedział, dlaczego.

Szpitalny korytarz wyglądał dziwnie i obco, mimo że wszystkie sprzęty, a nawet nalepki na ścianach były takie same. Panowała głucha, nienormalna cisza. Wydawało się, że są tu sami. Rozlegał się tylko ostry, stalowy zgrzyt obcasów Człowieka Ze Ściany i świszczący ciężko oddech Zięby.

W małym pokoiku, za uchylonymi drzwiami siedział samotny pielęgniarz, przysypiający przed szumiącym srebrzyście telewizorem. Człowiek Ze Ściany zatrzymał się, spoglądając na pielęgniarza z drapieżnym, złośliwym uśmiechem, który przeciął mu twarz zębątem V. Pchnął przeszkłone drzwi i wszedł do środka. Pielęgniarz nie zareagował. Nadal siedział na niewygodnym, metalowym krześle, z wyciągniętymi daleko nogami, walczył z opadającą głową i wywracającymi się w tył oczami, siedział i gapił się w syczący pustką ekran, którego nie miał siły wyłączyć. Zięba chciał ze wszystkich sił ostrzec go, ale nie mógł wydobyć głosu. Mężczyzna na krześle wyglądał jakoś nierzeczywiście, jak cień albo może widmo i trudno powiedzieć, na czym to polegało.

Człowiek Ze Ściany wykonał dłonią skomplikowany ruch, niczym iluzjonista i nagle między jego palcami zaśniła fryzjerska brzytwa. Zawachłował przed twarzą pielęgniarza, ale ten nie zareagował. Nadal walczył z hormonem snu krążącym w jego żyłach. Upłynęła może minuta i nagle pielęgniarz przegrał z kretesem. Dokładnie w chwili, gdy zapadł w sen, stał się nagle wyrazisty i realny, jakby

przepłynął miękko do świata, w którym przebywali Zięba i Człowiek Ze Ściany i w którym opustoszały szpital płynął miękko, w gwiżdżącej, migotliwej ciszy.

Wtedy zobaczył nachyloną nad sobą twarz zabójcy, świecąca ultrafioletowymi białkami i studzienną czernią tęczówek. Zobaczył uśmiech rekina. Zobaczył szponiastą dłoń z polakierowanymi paznokciami, która chwyciła go za włosy szarpiąc twarz ku górze, zobaczył ostrze starej, fryzjerskiej brzytwy, która rozmazała się w świetle jarzeniówek w rtęciowy półksiężyc i zanurzyła na chwilę w jego gardle. Człowiek Ze Ściany puścił jego włosy i odskoczył. Fontanna czarnej krwi strzeliła na ściany kantorka, na syczący księżycowym blaskiem ekran małego telewizora, na seledynowe, olejne lamperie i postrzępiony plakat antynikotynowy. Pielęgniarski zerwał się zaciskając palce na śliskiej, tryskającej krwią krawędzi rany i wydał z siebie bulgotliwy syk. Poślizgnął się na własnej krwi, runął na podłogę i — znikł.

— Obudził się — powiedział Człowiek Ze Ściany oblizując ostrze. — Szkoda.

Pielęgniarski znowu siedział na krzeselku, potrząsając z niedowierzaniem głową i znowu był nierzeczywisty.

— Jutro zacznie się źle czuć — powiedział z satysfakcją Człowiek Ze Ściany, zamykając ostrze. — Najdalej za dwa tygodnie pójdzie do lekarza i usłyszy coś nowego. A był pewien, że jemu się to nie przydarzy, bo nigdy nie palił. Co za tupet. Chodźmy.

Schowwał brzytwę i ruszył dalej korytarzem, gruchocąc obcasami, a Zięba bezwolnie podreptał za nim. Nie wiedział dlaczego. Po prostu musiał.

Człowiek Ze Ściany pchnął kolejne wahadłowe drzwi, tym razem na schody i ruszył w dół. Zięba maszerował, usiłując zebrać myśli.

Schodzili w dół i w dół, piętro za piętro, mijając strzałki wyjścia awaryjnego i prymitywne graffiti nabazgrane na tynku grubym pisakiem. Gdzieś w oddali zahurkotała winda, ale poza tym panowała głucha, nienormalna cisza. Człowiek ze ściany pchnął kolejne, wahadłowe drzwi i pomaszerował piwnicznym korytarzem, wyklejonym podłymi, białymi kaflami. Pod ścianą stały metalowe wózki przypominające stoły, albo może stoły przypominające wózki, pod sufitem ze śpiewnym brzękiem zapalały się świetlówki. Gdzieś za ścianą szumiało jakieś urządzenie. Korytarz zamykały potężne, metalowe drzwi, zaopatrzone w rygle i uszczelki, ale idący przodem Człowiek Ze Ściany nie zawracał sobie nimi głowy. Maszerował niepowstrzymanie, jakby drzwi w ogóle nie było. Coś szcęknięto i ciężka, wielowarstwowa płyta wysunęła się sama na dociskowych zawiasach, po czym odchyliła miękko, wypuszczając kłęby mroźnej mgły, cuchnącej ostro chemią i zgnilizną. Weszli do środka, prosto w cuchnące zimno i ciemność. Śliska, kafelkowa posadzka parzyła w stopy, kant metalowego stołu dziabnął Ziębę boleśnie w biodro, a potem rozświetlony rząd świetlówek zapalił lśniące kreski na szklanych oczach zalegających stoły, sinych i sztywnych z zimna, trupów. Nie ulegało wątpliwości, to nie był sen. Człowiek Ze Ściany odwrócił się i raptem grzmotnął dłonią w klatkę piersiową najbliższych zwłok. Rozległ się pusty, drewniany dźwięk, a w powietrze uniosł się obłok jakiegoś pyłu.

— No, coś taki sztywny? — huknął wesoło na Ziębę. — Przywitaj się z kolegami!

Zięba spojrział na niego z jakimś dystansem i prychnął pogardliwie. Tamten odwrócił się i zaparł dłońmi o kafelkową ścianę, jakby chciał ją odepchnąć. Ściana pękła pionowo, wzdłuż szarej, cementowej fugi dzielącej płytki, wpuszczając do środka szczelinę oślepiającego, siniego światła. Pęknięcie rozjechało się na boki, obrysowując kształt rzymskiej jedyńki, a potem fragmenty ściany obróciły się niczym dwuskrzydłowe wierzeje. Człowiek Ze Ściany wstąpił w rozświetloną czeluść, a Zięba bezwolnie podreptał za nim, osłaniając oczy od blasku. Światło przestało razić, gdy tylko znalazł się po tamtej stronie. Po tamtej stronie czego? Ściany?! Nie wiedział i nie zastanawiał się już.

Być może znajdował się po tamtej stronie światła, może po tamtej stronie rzeczywistości, wiedział tylko, że jest po Tamtej Stronie. Wszystkiego. Stał na kamiennej posadzce, otoczony nierzeczywistą, świetlistą mgłą, Człowiek Ze Ściany gdzieś zniknął, a Zięba po raz pierwszy zdołał jako tako zebrać myśli. Przynajmniej na tyle, by próbować rozumować i zastanawiać się, ignorując brak związku tego, co doświadczał, z realnym światem. Mgła zaczęła ustępować, skłębiła się tylko kilkanaście centymetrów nad posadzką, gęsta jak mleko. Wokół wznosiły się obrośnięte skomplikowanymi reliefami kolumny, spotykające się gdzieś wysoko i splatające w odwrócone kielichy palmowego sklepienia. Katedra. Człowiek Ze Ściany łomotał podszwami maszerując pomiędzy rzędami kamiennych ławek, wydawał się większy i potężniejszy niż przed chwilą, a poły poczerniałego płaszcza miękko falowały za jego plecami niczym peleryna. Zięba nie zauważył, skąd wziął się ten czarny płaszcz. Bywał w prawdziwych średniowiecznych katedrach i dobrze zapamiętał atmosferę surowej, nieomal nadludzkiej mistyki, która je przenikała. Jakaś surową magię promieniującą z każdego ornamentu i odbłask potęgi wiszący gdzieś pod sufitem. Teraz też stał w katedrze, ale katedrze będącej ostatecznym bluźnierstwem. Nie wiedział, na czym to polegało, ale odczuł to natychmiast, tak jak poczuł wilgotny smród gnijących liści i zwęglonego zepsutego mięsa, który unosił się w powietrzu, niczym parodia kadzidła.

Ruszył prosto przed siebie przejściem pomiędzy ławkami, w ślad za Człowiekiem Ze Ściany, który dotarł już na środek nawy i cały czas potężniał, rósł i wypełniał się grozą. Zięba podniósł oczy na wypełniający frontową ścianę żywy, poruszający się witraż, przedstawiający płonących na stosie, wijących się ludzi w otoczeniu tłumu o twarzach rodem z Boscha. Stwierdził, że może myśleć w miarę logicznie. Człowiek Ze Ściany, chełpiąc się potęgą — przesadził. Zamiast ostatecznie zastraszyć, pokazał, że musi negocjować. Był potężny — władał wydarzeniami losowymi, nowotworami, śmiercią i, przynajmniej częściowo, życiem po śmierci. Mógł zgnieść Ziębę jednym palcem jak komara — więc dlaczego tego nie robił? Po co były te wszystkie demonstracje, dziwne światy za ścianą, psychodeliczne katedry? Doprowadził go na samą krawędź śmierci, wystarczyło, żeby nie zrobił nic więcej. Genetyczny pożar trawiący bezlitośnie ciało Zięby dokonałby reszty. To wszystko mogło oznaczać tylko jedno: Człowiek Ze Ściany musiał się z Ziębą dogadać. Chciał karty — ale nie mógł jej odebrać siłą. Nie mógł też, z jakiegoś powodu, pozwolić Ziębie umrzeć. Najwyraźniej nie rozwiązywało to problemu. A to z kolei oznaczało, że sytuacja nie była beznadziejna. Mógł się z tego jeszcze wykaraskać, o ile zdoła zachować rozsądek i przytomność umysłu. Po prostu musiał zahandlować z diabłem. Jak ten chłopiec z bajki, podsuwający Złemu stalowe kulki zamiast orzechów.

Tylko tyle. Oszukać potwora, który trzymał w ręku życie i śmierć. Który lepił po tamtej stronie światła katedry z wijących się i drgających w męczarniach, wychudłych jak szkielety ludzi. Dla zabawy. Albo z jakiegoś innego powodu. Spojrzał na kolumnę, która z bliska okazała się opleciona woskowożółtymi ciałami, na sklezione czymś szklistym twarze, ręce i ryflowane żebrami gotycko zapadłe klatki piersiowe, drgające w rytm rozpaczliwych oddechów, na błyskające rozpaczliwie wyblakłe oczy, które patrzyły na niego błagalnie, usłyszał wibrujący w cuchnącym powietrzu chóralny, bezgłosny jęk, niczym głos jakichś ultradźwiękowych organów.

Oszukać potwora. Teraz, stojąc przed nim twarzą w twarz, nie wierzył. Tego nie można dokonać. Można opowiadać teoretycznie, że da się zniszczyć czołg granatem albo butelką z benzyną. Można myśleć, że da się oszukać demona. Ale potem trzeba stanąć na wprost rozpędzonej, pięćdziesięcotonowej maszyny, zobaczyć rwące darń i mielące bruk stalowe pazury traków, solidne spawy na zetknięciach pancernych płyt, przesłonięte pancernym szkłem wizjery tripleksów, lufy pokładowych działek, tunel studwudziestomilimetrowej armaty, ogień rzygający z rur wydechowych,

usłyszeć ryk turbiny i poczuć, że się zbliża. A potem spojrzeć na metalową puszkę wypełnioną materiałem wybuchowym we własnym ręku.

Pokonać potwora. Oszukać demona. Zatrzymać czołg. Tego miał dokonać Zięba. Zmęczony, chory człowiek, któremu nic w życiu się nie udało. Przeklęty już w kołysce. Pozostawiony na pastwę demonów w świecie, który okazał się tylko dekoracją.

— Zawsze macie wybór — zadudnił pod sklepieniem głos Człowieka Ze Ściany. — Zawsze go dostajecie, prędzej czy później. Możesz wrócić na górę, albo zejść ze mną na dół. Mam dla ciebie miejsce. Ale żeby wyjść, musisz pozostawić kartę. Wyjdź i żyj. Zejdź i trwaj dla mnie. Twój wybór.

— Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? — spytał Zięba desperacko.

— Zawsze kłamię — syknął Człowiek Ze Ściany. — Także kiedy mówię, że zawsze kłamię. Filozofia to cudowna rzecz. Taka użyteczna.

— Nie możesz mnie zabrać, kiedy mam kartę.

— Przekonaj się. Jest moja — sam ci ją dałem.

— Kłamiesz.

— Zawsze kłamię.

— Płacę ci — powiedział Zięba twardo, jakby rzucał egzorcyzm.

— Nie jesteś w sklepie. Oddaj kartę i będziesz mógł wyjść.

— Nie wierzę ci.

— Nie musisz wierzyć, ale wybrać tak. Zresztą — co możesz stracić? Zamierzasz robić jakieś zakupy?

Karta pojawiła się w jego dłoni. Czuł delikatny, ostry nacisk jej krawędzi, ciepłą, lekko śliską powierzchnię. Jego karta. Jego talizman. Jego obrona przed światem.

— Nie uznaję cię. Nie uznaję twojej władzy. Nie jestem po twojej stronie. Chcę tylko, żebyś przestał mnie dręczyć. Zostaw mnie w spokoju, zostaw moją rodzinę i przyjaciół. Dotąd wszystko obracało się przeciwko mnie. Nie mogłem niczego osiągnąć, nie mogłem niczego zapracować. Każda szansa była mi odbierana — to twoja robota. To nie jest żaden cholerny pakt. Nie prosiłem o tę kartę. Jeżeli ci ją oddam, nie istnieję dla ciebie. Nie oddaję ci duszy, nie oddaję ci niczego, tylko kartę. Ty zostawiasz mnie w spokoju — chcę być zdrowy i żyć jak inni ludzie — pracować, przegrywać i wygrywać. Dotąd tylko przegrywałem. Tylko, że ci nie wierzę. Zawsze kłamiesz.

— Prawda zależy od punktu widzenia. — Głos Człowieka Ze Ściany dobiegał gdzieś zza niego. Zięba odwrócił się i zobaczył swojego Prześladowcę stojącego na drodze do wyjścia. Jego twarz nikła w czarnym kapturze i była plamą w mroku. Migotliwe, krwawe światło lizało tylko zarys szczęki i policzków, kiedy mówił.

— Można na to też patrzeć tak: oddasz mi kartę, a ja rozedrę cię na strzępy — po prostu dla zabawy. Tylko po co? Bardziej prawdopodobne, że wyjdiesz stąd i obudzisz się w swojej *gescheissen* pościeli, zdrów jak płotka. *Pourquoi*? A dlatego, że ja odzyskam moją kartę i będę zadowolony. W granicach swoich możliwości. Zastanów się raczej nad tym, co będzie, jeżeli nie oddasz mi karty. Przemyśl to sobie starannie. Przeanalizuj sytuację, w której się znajdujemy. Zapadła cisza. Syczały kaganki, w których płonął krwawy, kopcający ogień, powietrzem płynął zwielokrotniony echem bezgłośny lament.

No dobra, pomyślał Zięba. Potraktujmy to jak partię szachów. Sprowadźmy do ludzkich proporcji. Ja mam w ręku odbezpieczony granat, on, powiedzmy, pistolet. Sto pistoletów. Armatę. Laser. W dwie strony się nie rozejdziemy, bo on mnie tak nie puści. To co mam, jakoś mu jednak zagraża albo przynajmniej przeszkadza. Powiedzmy, że nie oddam karty. Że zdetonuję granat. Będzie po mnie. Już właściwie jest po mnie. Jemu zadzwoni w uszach i nie dostanie tego, czego chce. A

mnie nie będzie. Albo, co jeszcze gorsze, znajdę się w jego władzy. Tutaj. W tej potwornej katedrze. Nie ma nic innego. Nie ma żadnej innej strony. Bo, jeżeli jest, to dlaczego nie interweniuje? Gdzie mój Anioł Stróż — w kamizelce kuloodpornej i z automatem? Gdzie jest Druga Strona? Przecież ja tu jestem sam. Całe życie byłem sam. Tylko ja i on. Mój kat. Więc co mogę zrobić? Orzechy na żelazne kulki. Tylko tyle. Ocalić moje orzechy... Jeżeli oddam mu kartę, to może pójdzie na moje żądania. Co mu zależy. Jeżeli nie oddam — trup. Jeżeli oddam... Nagle go olśniło. Jak uderzenie pioruna. Omal się nie roześmiał — przecież żadna karta nie była mu już potrzebna. I tak jej nie używał. Pieniądze? Mógł je zarabiać i zarabiał. Zresztą wierzył już w siebie i wiedział, że poradzi sobie i bez pieniędzy. Już stworzył swoją szansę i wykorzystał ją. Naprawił swoje życie i mógł je ciągnąć sam. Miał przed sobą cel, miał kochającą rodzinę, swoją firmę i miejsce na ziemi, którego nikt mu już nie odbierze.

Karta pomogła mu stworzyć to miejsce, pomogła zmusić świat, żeby pozwolił mu żyć, ale już nie była potrzebna. Była tyle warta, co garść żelaznych kulek. Wygrał.

— Powiedzmy, że oddam — wciąż był przerażony, więc specjalnie nie musiał grać. —
Ozdrowisz mnie?

— Powiedzmy, że ci to obiecuję — uwierzysz mi?

— To mi więcej daje, niż zatrzymanie karty — powiedział Zięba niebywale chytrze. Spomiędzy jego palców sączył się fosforyczny, błękitny blask. Wysunął kartę, świecąca jak jarzeniówka. Trzymał ją między kciukiem i palcem wskazującym, niczym atutowego asa. Asa zwycięstwa. Tamten wyciągnął z szerokiego, jak utkanego z mroku rękawa dłoń, która nie była już smukłą, dziewczęcą dłonią, ale węzłą kończyną starca. Tylko lakier na paznokciach pozostał taki sam.

Zięba poczuł, że świat stanął w miejscu, że zatrzymał się werk kosmosu. Stały monstrualne zębatki, ustało wiekuiste tykanie. Całe jego życie, czas i przestrzeń, zbiegło się w tym jednym miejscu i czasie. W punkcie. Punkcie krytycznym. Podał tamtemu kartę. Suche, artretyczne palce zacisnęły się na drugim końcu rozjarzonego prostokąta, lekko zapachniało spalenizną, w powietrze uciekły drobne smużki dymu. Zięba poczuł, że tamten ciągnie. Lekko, nie tak jakby chciał wyrwać, ale jakby badawczo. Wystarczyło rozsunąć lekko palce, odrobinę, ułamek milimetra. Rozluźnić kurczowy nacisk na plastikową powierzchnię. Ostatnia możliwość do wycofania się. Ostatnia sekunda przed ostatecznym krokiem. Czas wciąż stał w miejscu. Poczł kroplę potu toczącą się po policzku jak łza. Wystarczyło tylko puścić.

I puścił.

Nic się nie stało.

A potem buchnął krzyk. Krótki, przeraźliwy krzyk miliona gardeł. I cisza. Werk kosmosu zaskrzypiał i ruszył. Ruszyły zębatki, zakołysały się krzywki, zaczęły obracać się koła, najpierw największe, wielkości galaktyk, aż do najmniejszych jak atomowe orbitale czy spiny elektronów. Werk kosmosu ruszył.

W zupełnie inną stronę.

Człowiek Ze Ściany położył kartę delikatnie na czytniku, przycisnął kalką, czerwoną jak krew w świetle płomieni i fachowo szurgnął suwadłem. Błękitny blask karty zgasł. Znikły cienie na łukach, przyporach i maswerkach. W nawy wpełzł wieczny mrok.

— Potwierdzenie otrzyma pan pocztą — syknął. Jego oczy płonęły czerwienią w mrocznej jamie kaptura.

— Przez chwilę, trzymałeś w ręku cały świat — dodał.

— Jakże to uczucie?

Usunął się Ziębie z drogi i wyciągnął w stronę drzwi, skrytą w skrzydle łopocącego jak stara pajęczyna rękawa, dłoń.

— Wygrałeś. Nie będę się już tobą zajmował. Teraz odejdz.
Zięba ruszył ku górze. Do światła.

* * *

Stał na ulicy i wystawiał twarz do marcowego słońca, które prześwitywało pomiędzy poszarpanymi, stalowymi chmurami. Stał przed szpitalem, który opuszczał o własnych siłach. Żył. Mógł oddychać. Mógł chodzić. Żył. Nigdy nie przypuszczał, że samo życie, samo biologiczne funkcjonowanie, można czuć. Czuł je całym sobą. Wdychał powietrze i wydychał dwutlenek węgla. Jego płuca pracowały. Jego serce biło i tłoczyło przez żyły czystą krew, a nie truciznę. Pracował jego żołądek i organy wewnętrzne. Działały jelita, penis i mózg, i mięśnie. All systems ready. Zięba żył i był zdrowy.

Patrzył na świat i podziwiał życie. Czuł jego pulsowanie w ciałku pierwszego, odważnego skowronka, który pikował w niebo, po którym sunęły z opętańczą prędkością chmury, niczym strzępy szarych płaszczy, czuł bijące serca i działające baterie życia w ciałach kierowców karettek, jedna po drugiej wpadających oszalałą kawalkadą na podjazd szpitala i zawodzących chórem syren. Czuł, jak pulsuje życie we wszystkich stworzeniach, poruszających się wokół niego, oddychających, pompujących krew, wszędzie wokół, na ziemi, w powietrzu, pod ziemią. Pławił się w oceanie życia. Był jak pijany, pozbawiony możliwości oceniania, obserwacji i krytycyzmu. Na to jeszcze był czas. Na razie kontemplował życie i świat. Proste piękno słońca, błyskającego pomiędzy dzikim parasolem chmur i malującego tęczowe błyski na kryształach tłuczonego szkła. Pyszne frak — tale tłustego dymu wznoszące się spomiędzy budynków. Fale zimnego, przesiąkniętego ropą i zgnilizną wiatru.

Ulice były puste i w zasięgu wzroku nie było nie tylko taksówek, ale w ogóle żadnego samochodu. Pewnie jakieś święta. Wiatr gonił po asfalcie tysiące luźnych kartek papieru, niczym przerośnięte konfetti. Najbliżej miał do firmy. Poszedł piechotą, rozkoszując się każdym krokiem. Willa, w której mieli biuro, stała w otoczeniu bezlistnych drzew, na cichej uliczce, gdzie pod drzewami przetrwały jeszcze łachy skryzalizowanego, brudnego śniegu. Furtka była otwarta, ktoś wybebeszył stalową kasetę elektronicznego zamka. Obiektyw kamery zwisał na pęku światłowodów, niczym wy — łupione oko, ale ten widok wydał się Ziębie raczej zabawny. Chuligani, pomyślał dobrotliwie. Po świętach się naprawi. Drzwi też były otwarte, ale w środku nikogo nie było. Ciemnozielona terakota na podłodze została pokryta sympatycznym, jasnobrązowym wzorem podszew, głęboko żłobionych, wojskowych butów. Tak jest nawet ładniej, pomyślał Zięba.

Szyby studia udźwiękowienia zmieniły się w zasy kryszałków sekuritu, które chrzęściły mu pod nogami. Minął wybebeszone pulpity i zawalone elektronicznym gruzem stanowisko macintosha. Pod ścianą, na podłodze, za wywróconym fotelem siedział Stefan, patrząc tępo przed siebie. Podniósł głowę, pokazując zabarwioną z jednej strony na rudo siwą brodę. Na policzkach miał zaschnięte, rozmazane smugi zakrzepłej krwi.

— Ja żyję — powiedział Zięba. — Stefan, ja żyję!

Stefan podniósł się i objął go szerokim, przyjacielskim gestem. Zięba poklepał go po plecach. I wtedy Stefan nagle rozplakał się.

— ...Wszystko będzie dobrze — paplał Zięba. — Studio się naprawi... to przecież nic takiego... tylko sprzęt. Ja żyję, Stefan. Wszyscy żyjemy. Weźmiemy kamery i pojedziemy. Gdzieś coś się

dzieje... Pokażemy ludziom, jaki świat jest piękny... pokażemy jeszcze tyle ciekawych rzeczy, Stefan. Zabiorę z nami Jolę, sfilmujemy wszystkie cuda świata... mam tyle pomysłów...

— Co chcesz sfilmować? — krzyknął nagle Stefan przez łzy. — Co chcesz pokazać?

Wyrwał się Ziębie i wyszarpnął z podłogi pomietą wstęgę komputerowej składanki. Wydruk serwisu informacyjnego

— To?! Płonący Watykan? Sześć tysięcy trupów w Rzymie? Bonn zatrute sarinem? Cztery miliony trupów na ulicach? Może Milicję Postępu pacyfikującą Los Angeles? Może siedemset samospaleń na Times Square? Albo żywe pochodnie wzdłuż drogi do Moskwy? A może osiem tysięcy ukrzyżowanych na stadionie Jankesów? A może chcesz pokazać warszawskie ulice? Rzezie na Pradze? Albo Brygady Eutanazyjne szukające chrześcijan? Czy może oddziały Nowego Oficjum pałace heretyków? Nie zauważyłeś, że świat oszalał? Komu chcesz jeszcze pokazywać... cuda? To koniec, Zięba, uciekaj stąd. Ratuj dzieci, żonę i uciekajcie. Trzymajcie się z dala od miast. I nie ufaj nikomu. Ani Oficjum, ani Katolickiej Armii Wolności, ani Akcji Socjalistycznej. Nikt nie pozostał normalny. Uciekaj!

Zięba popatrzył na niego i wyszedł na ulicę. Był zdrowy. Mógł oddychać. Mógł żyć. Skorupa szczęścia opadła z niego nagle, ale nadal nic nie rozumiał. Szedł jak automat i patrzył. Znikły reklamy. Idiotyczne, uliczne planszety płonęły, albo straszyły chmurami dziur po pociskach. Nie wszystkie sklepy rozbito i splądrowano, ale ze wszystkich zerwano reklamy. Slogany, infantylne, kolorowe plakaty, wesolutkie reklamowe maskotki leżały w zwęglonych stosach na rogu ulicy. Nie myślał. Rejestrował obrazy jak żywa kamera. Jak ostatni dziennikarz świata nagrywający relację na Sąd Ostateczny. Zbliżenie. Tłum. Wszyscy w workach, z wycięciami na ręce i głowy. Fioletowe z zimna stopy depcą lodową kaszę. Kobiety mają ogolone głowy i różańce. W ogień lecą książki. Zwijają się kolorowe okładki, płonące kartki lecą z wiatrem jak czarne motyle. Panorama.

Chór słów, bez ładu i składu, nad głowami rozpedzony dziki gon ołowianych chmur. Cięcie.

Wypalony szkielet kościoła, na ocalałej ścianie czarny napis sprayem „PENITENTIAGITE”, na schodach martwy człowiek w sutannie, z rozprutym brzuchem. Z pogorzelniska wznosi się ku niebu żelazna, dłoń przebita hufnalem. Cięcie.

W rozbitym seks shopie leżą ciała, ułożone równo, rzędem. Szczupła dziewczyna nachyla się nad podbrzuszem jednego z leżących, jak chirurg. Ręce i skalpel ma do łokci schlapane krwią. Na ścianie napis: MĘSKIE SZOWINISTYCZNE ŚWINIE. Cięcie.

Dziewczyna leży wepchnięta w stos śmieci, nogi rozrzucono szeroko, sztywno, w szklanych oczach dziki gon chmur. Gdzieś daleko pruje ciszę samotne staccato kałasznikowa. Cięcie.

Sześciu młodych ludzi idzie całą szerokością ulicy, długie koszule, na piersi pacyfy wycięte z blachy, na ogolonych wysoko czołach zielony napis „GAJA”. Jeden z nich wyciąga prosto w kamerę kij do baseballu.

— Masz skórzane buty, bracie. Ile zwierząt musiało za nie oddać życie, faszysto? Cięcie. Koniec relacji.

Zięba ocknął się, sięgając do kieszeni. „Płacę ci”. Karta działała zawsze. Każdemu można zapłacić.

Nie miał już karty. Oddał ją.

Wojownik Gai oparł pałkę na ramieniu i oblizwał wargi. Zięba wyjął rękę z kieszeni i spojrział.

Nie miał karty. Miał tylko garść żelaznych kulek.

Maja Lidia Kossakowska

Zwierciadło

*Rozważcie to panowie, orły i jaguary,
Choćbyście byli ze złota,
Choćbyście byli z jadeitu
I tak pójdziecie tam,
Do miejsca ludzi bez ciała.*

Wiersz aztecki

Obudził ją hałas. Brzęk, jakby pękała szklana tafla. Jednak, gdy otworzyła oczy, nie dostrzegła niczego niezwykłego. Kontury znajomych mebli przypominały w ciemności uśpione zwierzęta. Najlżejszy powiew nie poruszał zasłon, więc żadne okno z pewnością nie zostało wybite. Mrok wypełniał pokój jak ogromne, spokojne jezioro, a łóżko zdawało się spoczywać na dnie, podobne do szkatułki ze skarbami.

To musiał być sen, z którego nie zapamiętałam nic poza dźwiękiem, uznała przymykając powieki. Ogarnęła ją ciepła, przyjazna ciemność. Zasypiała już, gdy dźwięk się powtórzył, tym razem o wiele cichszy. Towarzyszyło mu ledwie dosłyszalne dzwonienie i odgłos delikatnego skrobania. Zadrzała.. Zaniepokojona usiadła na łóżku. Dźwięk umilkł.

Może to jednak szyba, pomyślała, spuszczając nogi na podłogę. Podeszła do okna, uchyliła zasłonę. Szkło wydawało się nienaruszone. Za szybą ujrzała fragment ogrodu, parkan z wysokich, kutyh sztachet, postrzępione cienie drzew i ulicę. Noc wyglądała jak malunek na blasze. Z nieba, cyklopim okiem spoglądał na nią księżyc. Wisiał nisko, niczym lampion zawieszony na żyłce. Wiatr nie poruszał nawet jednego listka, więc nie mógł rozkołysać gałęzi tak, żeby uderzały w okno.

Oparła dłoń na framudze i wtedy trzask rozległ się znowu, tym razem zdecydowanie za jej plecami. Obróciła się gwałtownie, spojrzała w głąb pokoju. Z przybitego do ściany trema sączyła się blada poświata, a dźwięk zdawał się dochodzić właśnie stamtąd. Owalne lustro, otoczone srebrną, kutą w fantazyjne wzory ramą, powieszono w jej pokoju, kiedy była bardzo mała. Wtedy wymyśliła przyjaciółkę mieszkającą po drugiej stronie tafli i potrafiła prowadzić z nią niekończące się rozmowy. Potem dorosła i lustro stało się zwykłym przedmiotem.

Podeszła do niego. Na gładkiej powierzchni, zmatowiałej nieco wskutek upływu czasu, nie zauważyła żadnego pęknięcia ani zadrapania. Mleczny poblask, który się z niej wydobywał, nie rozjaśniał mroku. Odbity obraz pokoju był dziwnie obcy, niepokojący.

Na pewno hak się obluzował i trzeszczy, próbowała się uspokoić. Jutro każę to sprawdzić, inaczej lustro gotowe spaść ze ściany.

Nie chciała przyznać, że bardzo przeraża ją mdłe, nienaturalne światło, bo wtedy musiałaby przyjąć, że nie należy do świata zmysłów. A potem uciec z krzykiem. Z wysiłkiem odwróciła się plecami do trema i ujrzała cienki jak sztylet promień księżycy wpadający przez szczelinę w zasłonie. To jego rozproszona poświata odbija się w lustrze. Z pewnością tak. Poczwała ulgę, lecz strach jej nie opuścił. Podbiegła do okna, zaciągnęła kotarę. Mrok się zagęścił. Prędko wskoczyła do łóżka.

Ogromne, z baldachimem w złote gwiazdy, wyglądało raczej jak łódź niż pudełko na kosztowności i choć zdawała sobie sprawę jakie to dziecinne, wydawało się jej jedynym naprawdę bezpiecznym miejscem. Otuliła się szczerze kołdrą, bojąc się, że nie będzie mogła zasnąć, ale już po chwili ciemność, znów przyjazna i cicha, zamknęła się ponad nią, niosąc w sobie sen.

Obrócony plecami do wnętrza pokoju wpatrywał się w okno. Zmierzch wypełził już z cieni w bramach i załomach murów. Słońce ciężko staczało się z nieba, kalecząc boki o ostre krawędzie dachów i wieże katedry. Ponad nimi ślizgały się chmury. Wszystko miało czerwoną barwę jak palce, którymi przed chwilą dotknął twarzy. Strużka ciepłej wilgoci znów popłynęła z nosa. Na wargach poczuł żelazisty posmak krwi.

Jak mogło do tego dojść? — zapytał sam siebie chyba po raz setny. Chociaż postronnemu obserwatorowi wydałby się zupełnie spokojny, wewnątrz dygotał z bezsilnej wściekłości. Zacisnął palce na framudze. Miał ochotę wybić pięścią szybę, przewracać meble i rozbić je na kawałki. Czy zauważył coś wcześniej? Nie, jasne, że nie. Od niedawna miewał bóle głowy, był poirytowany i zmęczony, ale nie zwracał na to uwagi. Do czasu, kiedy pierwsze czerwone krople, ładne jak szklane paciorki, potoczyły się po pościeli, tworząc wesoły sznureczek. Wtedy wszystko zgrabnie złożyło się w całość, ale i tak potrzebował sporo czasu, żeby prawda do niego dotarła.

To moja wina, stwierdził. Mogłem uważać. Mogłem, kurwa, myśleć. Teraz, oczywiście, na wszystko zrobiło się za późno.

Obłoki na niebie pociemniały, zaczęły przypominać brudne tampony. Znów dotknął nosa. Rozmazał lepka, krzepnącą czerwień. Ze złością wytarł twarz leżącym na parapecie ręcznikiem, zmiął go i cisnął na podłogę. Będę się musiał przyzwyczaić, powiedział sobie ponuro.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejść! — zawołał.

Do pokoju nieśmiało wsunął się Corffy.

— Przepraszam, szefie — wymamrotał — ale wszyscy czekają.

Zbył go machnięciem ręki.

— Niech poczekają. Zaraz przyjdę — miał nieprzyjemny, gardłowy głos.

— Szefie... — zatroskany Corffy nerwowo skubał mankiet — Wszystko w porządku?

— Wynoś się! — warknął — Powiedz, że już idę.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. Zmierzch objął tymczasem w posiadanie całe niebo, zaczął dziergać lśnącymi niemi pierwsze blade gwiazdy. Noc nadchodziła bez pośpiechu, a wściekłość w sercu wpatzonego w okno mężczyzny płonęła, nie mogąc się wypalić.

W wielkiej sali na dole było ciemnawo. Świeciły tylko boczne lampy, bo szef nie lubił górnego oświetlenia. Zgromadzeni przy stole, około piętnastu osób, szemrali, że każe im tak długo czekać, ale umilkli natychmiast, gdy tylko dał się słyszeć odgłos kroków na schodach.

Corffy uśmiechnął się do siebie. Był pewien, że nikt nie ośmieli się mu podskoczyć. Szef zbliżył się do nich.

— Dobry wieczór, panowie — powiedział, unosząc ręce w geście powitania — Cieszę się, że wszyscy przyjęliście zaproszenie. To bardzo uprzejme z waszej strony. Mam nadzieję, że nie nudziliście się beze mnie.

Posłał im drwiący uśmiech. Na twarzach niektórych gości pojawiły się brzydkie grymasy, ale wszyscy milczeli. Corffy miał ochotę się roześmiać. Lubiał patrzeć, jak szef trzyma ich za pyski. Był jak lampart w stadzie kundli. Usiadł u szczytu stołu, nalał sobie do szklanki bursztynowego trunku. Wyglądał, jak zwykle, niesamowicie, miał na sobie miękką białą koszulę, krótki skórzany płaszcz i

wysokie buty. Gęste włosy, sięgające niemal do pasa, nosił rozpuszczone. Miały niespotykaną barwę. Ciemnobrązowe, lśniły rdzawym połyskiem, raczej w kolorze sangwiny niż rudym.

— Wasze zdrowie — niedbałym gestem wzniosł w górę szklanę. Na ustach wciąż błąkał mu się ironiczny uśmieszek.

Corffy zdawał sobie sprawę, że szef jest stuknięty, a może nawet szalony, ale podziwiał go i kochał jak pies pana. Do niego bezsprzecznie należała władza w mieście. Żaden z tych dupków przy stole nie mógłby ani się z nim równać, ani tym bardziej wyrwać mu jej z rąk. Matka zawsze powtarzała, że w Dniu Sądu po dusze grzeszników upomni się mściciel o czarnych skrzydłach i w snach Corffiego miał on drapieżne rysy szefa.

— Z pewnością zastanawiacie się, po co zwołałem to małe zgromadzenie — usłyszał jego chrapliwy głos. — Mam wara do przekazania wiadomość, która część z was ucieszy, a innych raczej zmartwi. Kiedy jakiś czas temu zakładałem naszą wspólnotę, chyba wolno mi ją tak nazywać?... nie przypuszczałem, że wypłyną, całkiem dosłownie, pewne niespodziewane okoliczności. Z powodów czysto osobistych muszę was opuścić, pozbawiając mojej protekcji, uwagi i pieniędzy. Wycofuję się ze wszystkich interesów. Bieżące sprawy doprowadzą do końca moi przyjaciele, panowie Vincent i Luger. Nie będę się wtrącał do tego, jak podzielicie strefy wpływów.

Powstało zamieszanie. Niektórzy zgromadzeni wykrzykiwali coś nieskładnie, inni klęli, część wpatrywała się w siedzącego u szczytu stołu mężczyznę z niedowierzaniem i lękiem. Corffy czuł się, jakby oberwał pałką po głowie. Miał nadzieję, że to kolejny przewrotny numer szefa, ale coś w duszy mówiło mu, że nie. Skonsternowany, spojrzął w oczy zajmującego najbliższe krzesło Vincenta i wyczytał w nich takie samo zdziwienie. Milczący Luger siedział po prawej ręce szefa z nieprzeniknioną miną, ale Corffy wiedział, że on także jest wstrząśnięty.

— W porządku! — przez gwar głosów przebił się ostry okrzyk — Wyraziliście swoje emocje, a teraz cisza! Jakież pytania?

Szef wstał i pochylił się nad stołem, oparłszy pięści na blacie. Zapadło krótkie milczenie. Wreszcie podniósł się otyły, łysiejący Rocco Faksus, przecierając chustką spocone czoło.

— Nie możesz tak po prostu odejść Crux! Obiecałeś nas bronić! Co się stanie z naszymi udziałami?!

Crux się uśmiechnął.

— Prawdę rzekłszy, gównu mnie to obchodzi. I jeszcze jedno. Wycofuję się, ale niech nikomu nie strzeli do łba, że z tego powodu może zachwiać moją pozycją albo starać się zająć moje miejsce. Traktujcie to jak radę do starego przyjaciela. Myślę, że to wszystko.

Ledwie skończył, harmider wybuchł na nowo. Niektórzy powstawali z miejsc, gestykulowali, błagali, grozili i klęli. Ludzie Cruxa przezornie sięgnęli po broń. Wtem zza stołu porwał się wielki, zwalisty gość, zwany Sznurem.

— Hej Cornet! — wrzasnął. — Co to za pieprzenie? Mieliśmy robić interes warty kupę kawałków!

Crux lekko podniósł brwi.

— Tak? Więc nie zrobimy.

Sznur osłupiał.

— No co ty, kurwa? Władowałem w to mnóstwo forsy! Miałem na tym zarobić tyle szmalu, żeby z setek robić sobie skręty! A ty mi wyjeżdżasz z tym gównem!

Cornet zmrużył oczy. W ciemnych tęczęwkach zabłysł paskudny ognik.

— Chciwość — zaczął powoli — jest grzechem. Nikt ci tego nie powiedział?

— Pieprz się! — ryknął Sznur.

W trzech susach Cornet go dopadł. Wyrznął pięścią w nos, który złamał sięz chrupnięciem. Tamten próbował poderwać ręce do twarzy, ale nie zdołał. Crux trzasnął go w usta, a potem w brzuch. Sznur zatoczył się i ukląkł. Zamachał na oślepi pięścią, ale Cornet kopnął go kolanem w twarz. Sznur zalał się krwią.

Corffy rozdziawił usta. Wiele razy oglądał szefa w akcji, lecz teraz Crux chyba naprawdę się wkurzył. Złapał przeciwnika za klapy, poderwał i rzucił na ścianę. Nawet Luger westchnął, bo szef, choć wysoki, nie dorównywał Snurowi wzrostem i był od niego ze dwa razy szczuplejszy.

Wyglądało, że Cornet się wściekł. Kilkakrotnie trzasnął głową przeciwnika o ścianę, a potem walił go metodycznie, aż tamten zakrzuszył się krwią i powybijanymi zębami.

— Nie nauczyłeś się, że jest coś, co trzeba cenić wyżej od pieniędzy, skurwysynu? Co? Jeszcze nie? — wysyczał mu prosto w twarz i gdyby Sznur miał jeszcze coś w rodzaju nosa, poczułby zapach jego drogiego alkoholu — Wiesz co to jest? Życie, gnoju!

Głowa Sznura kołysała się w rytm uderzeń. Cornet puścił go, pozwalając osunąć się po ścianie i z rozmachem uderzył w splot słoneczny. Sznur charknął, zsiniał i opadł na bok. Crux kopnął. Raz. I jeszcze raz. I znowu.

Nikt z zaproszonych gości się nie poruszył. Leżący na podłodze toból jęczał i podrygiwał, a rysy Corneta stężały w jakimś obłądnym zapamiętaniu.

Zmęczył się, oddychał ze świstem, w końcu zatrzymał się i spojrzał na milczących mężczyzn wokoło. Odrobina krwi pociekła mu z nosa. Otarł ją rękawem.

Okrwawiony toból poruszył się, zbulgotał. Crux się pochylił.

— Co? — spytał ostro.

Zmasakrowane usta wymamrotały z trudem:

— Nie... zabijaj... mnie...

Szałość w oczach Corneta zgasła. Widniało w nich tylko znużenie. Popatrzył na swoje pokaleczone dłonie.

— Pieprzyć to — powiedział. — Zebranie uważam za skończone. Zabierzcie go stąd. I niech tu ktoś, kurwa, posprząta.

Obszerna sala, opuszczona i cicha, sprawiała przygnębiające wrażenie. Za stołem siedziały tylko trzy osoby. Vincent wpatrywał się w niedopite resztki na dnie szklanki, Corffy bawił się zapalniczką, a Luger starannie zwił skręta.

Crux postawił nogę na siedzeniu krzesła, oparł o kolano skrzyżowane ręce.

— Kto organizował towar na tamtą imprezę, no wiecie, ze trzy miesiące temu, kiedy przyjechali ci goście od kasyn? — spytał niespodziewanie.

Luger uniósł głowę.

— Max Vren.

Usta Corneta drgnęły.

— Nie ma go w mieście, prawda? Mówił, dokąd wyjedzie?

— Nie — odezwał się Vincent — ale twierdził, że go gdzieś wysłałeś.

Crux zmrużył oczy i przez chwilę jego twarz wyglądała jak wilczy pysk.

— Jak dotąd nie — powiedział — ale niedługo go wyślę.

Luger oderwał wzrok do skręta i spojrzał na szefa. Jego obojętne źrenice wyglądały jak dymne szkło.

— Mamy się tym zająć?

— Znajdźcie go. Chcę mu coś uświadomić. Powoli i dokładnie. Potem dopilnujecie kilku spraw i

będziecie wolni.

Rysy Lugera przypominały źle obrobioną maskę z granitu.

— Ty nie żartujesz — raczej stwierdził, niż spytał. Cornet lekko potrząsnął głową. Vincent drgnął nerwowo.

— Wylewasz nas, Crux? Cornet westchnął.

— Dalej będziecie robić to, co zawsze. Jesteście w tym dobrzy. Spróbujcie raczej dogadać się między sobą, niż pozabijać, chociaż to wasza sprawa.

Luger ostrożnie odłożył skręta na stół.

— Posłuchaj, Cornet. Nie wiem, o co ci chodzi, ale ja nigdy nie wystąpię przeciwko tobie. Bałbym się, Crux. Za dużo widziałem.

Cornet uśmiechnął się lekko.

— Mylisz się. Nie zamierzam się was pozbyć. Naprawdę się wycofuję. Zostawiam wam kwitnący interes. Powinniście być wdzięczni.

Milczeli.

— Nie potraktuj tego jako braku szacunku, ale uważam, że ci odbiło — powiedział ponuro Vincent.

Crux sięgnął po butelkę.

— Za waszą samodzielność, panowie. Jeśli się zjawię i zażądam czegoś, natychmiast to wykonacie. Od tej pory wszystkie decyzje podejmujecie sami. Nie przychodźcie do mnie z żadnymi gównami, bo nie będę się nimi zajmował. Jeżeli spieprzycie coś, na czym mi zależy, nie wezmę pod uwagę, jak dawno się znamy. Zrozumieliście? W tej chwili zależy mi na rozmowie z Makssem Vrenem. Daję wam dwadzieścia cztery godziny na doprowadzenie go, żywego. A dla ciebie, Corffy, mam dobrą radę. Zaczynaj sobie szukać nowego szefa.

Corffy, który dotąd nie ośmielił się odezwać, wznosił na Corneta udręczone, nie rozumiejące spojrzenie.

— Ale dlaczego? — szepnął — Dlaczego, szefie?

Cornet popatrzył w oczy pozostałej dwójki i wyczytał w nich to samo nieme pytanie. Zdjął nogę z krzesła, rozgarnął włosy i odstawił butelkę na stół.

— Bo jestem śmiertelnie chory, Corffy — powiedział wolno. — Jestem, kurwa, bardzo śmiertelnie chory.

Max Vren dygotał. Jego twarz przybrała kolor popiołu.

— Ja... nie wiem co się stało — wymamrotał, szcękając zębami. — Mogę wszystko wyjaśnić! Wyjechałem z miasta nagle, bo spieszyłem się żeby załatwić... sprawy, z którymi mnie posłałeś. Pamiętasz, prawda? Musisz pamiętać... Chodziło o to, że spieszyłem się i...

Cornet ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Daj mi to — powiedział do Lugera, wyciągając rękę po broń. Od niechcienia nacisnął spust. Vren wrzasnął, gdy jego kolano rozprysło się jak czerwony fajerwerk.

— Dzięki — mruknął Crux, oddając pistolet. Obojętnie przyglądał się wijącemu się na podłodze Maksowi.

— Teraz nie będziesz się spieszył, więc możemy spokojnie pogadać i wyjaśnić sobie kilka drobiazków. Jest jedna rzecz, którą cenię wyżej od pozostałych. Domyślasz się jaka? — wycelował w rannego palec. — Lojalność, Max.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — zajęczał Vren.

— Nie? — Crux uniósł brwi ze zdziwieniem. — O fiolce z brązowym płynem, o czymś ekstra,

czego, według ciebie, nigdy nie zapomnę. O wspaniałych uczuciach, które na długo staną się moim udziałem. Miałeś rację. Nie zapomnę tego do końca mego pieprzonego życia.

Panika wykrzywiła rysy leżącego.

— Ja nic o tym nie wiem! — wyszeptał pospiesznie. — Jezu, Crux, ja nie mam z tym nic wspólnego...

Zakrzuszył się, bo Luger z rozmachem kopnął go w żebra. Cornet przyklęknął, nachylił się. Długie włosy musnęły twarz Vrena.

— Nie wkurzaj mnie. Nie jestem w nastroju. Kto ci to dał?

— Mój dostawca...

Pięść Cruxa wylądowała na jego szczęce. Przed oczami Maksa rozbłysło tysiąc gwiazd.

— Jakaś kobieta! — wrzasnął szybko. Wyciągnął przed siebie drżące, czerwone od krwi ręce. — Cornet, ja się wykrwawię! Pomóż mi, błagam!

Crux z politowaniem potrząsnął głową.

— Max — powiedział. — Nazwisko. Mimo najszczerzych chęci z mojej strony, to nie jest konstruktywna rozmowa. Podaj mi nazwisko, dobrze?

Poblądłe wargi Vrena zaczęły się trząść.

— Nie wiem... Nigdy jej nie widziałem... Przysięgam, Cornet. Błagam, zatamujcie tę krew!

— Na to już za późno, Max — głos Corneta brzmiał dziwnie stłumiony. — Ile ci za mnie zapłacili?

— To miała być próbka...

— Ile?

— Pięć procent zysku, jeśli weźmiesz całą partię.

Cornet z westchnieniem przesunął ręką po twarzy.

— Nie kłam, skurwysynu. Robię się tym zmęczony.

Spojrzenie Vrena przeskakiwało z Corneta na stojących nieruchomo Vincenta i Lugera.

— Dziesięć kawałków — wykrztusił.

Źrenice Corneta zwęziły się.

— Tak nisko mnie cenisz, Max? Dziesięć kawałków za moje życie?

Vren zadygotał.

— Nie wiedziałem! Przysięgam...

— Zamknij się — powiedział Vincent z wysiłkiem. — Kurwa, Max, lepiej się zamknij!

Cornet wstał. Na jego twarzy pojawił się wyraz, który sprawił, że chyba nawet krwinki w żyłach Maksa zawyły z przerażenia.

— Wiesz, na co mnie skazałeś? — głos Cruxa był gardłowy, cichy jak szept — Nie, jestem pewien, że nie. Więc ci pokażę.

Vren zaskomlał, bo pojął, że nie ma dla niego ratunku.

Piłka potoczyła się w cichy zaułek, między pojemniki ze śmieciami, więc pobiegł za nią. Potwór siedział oparty o ścianę. Nie miał twarzy i chyba nie miał też oczu. Był władcą much, z koroną splecioną z ich roju, krążącego nad głową. Niektóre wchodziły do dziury, która niegdyś była jego ustami, jak do sali audiencyjnej i wylatywały bogatsze w mądrość o złudnym majestacie śmierci. Podarte strzępy drogiego garnituru tworzyły królewski płaszcz, godny tej jednej, szczególnej okazji. Piłka leżała przy jego nodze, jak ścięta głowa krnąbrnego poddanego.

Odbity w rozszerzonych źrenicach chłopca potwór ogromniał, wypełniając cały świat. Uśmiechał się dobrotliwie ustami pełnymi much i przywoływał go, przywoływał wprost w swoje martwe, pełne

tajemnic ramiona tak obrzydliwie i kusząco zarazem, że kiedy zduszony krzyk nie pozwolił nabrać oddechu, a napięcie stało się nie do zniesienia, musiał obrócić się i uciec, choć trup, który na to czekał, pobiegł za nim, goniąc go wytrwale w jego dziecińczych, strasznych snach przez wiele nocy z rzędu.

Cornet znów wpatrywał się w okno. Wieże katedry wyciągały w górę ramiona, jakby oczekiwały stamtąd pomocy. Po niebie włoczyły się chmury, nabrzmiałe wściekłością i deszczem, czekając na pretekst, żeby wybuchnąć energią niby małolaty z ulicznego gangu.

Ogromne poddasze, gdzie mieścił się apartament Cruxa, tonęło w półmroku. Po obu stronach parapetu przykucnęły kamienne gargulce. Położył rękę na łbie jednego z nich. Czekał. Był pewien, że przyjdą właśnie dzisiaj. Czuł to. Cienka, biała nić przecięła niebo, w oddali rozległ się niski pomruk burzy. Czy można sobie wyobrazić lepszą noc na wizytę rodziny? Najpierw poczuł przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz, a potem przyspieszone uderzenia serca, niezawodny system alarmowy.

Poruszali się bardzo cicho. Usłyszał ich, dopiero gdy weszli do wnętrza. Nie napotkali żadnego oporu, bo odesłał swoich ludzi. I tak nie zdołaliby ich powstrzymać.

Cornet stał na pozór spokojnie, nie odrywając wzroku od okna, ale nerwy miał napięte jak struny.
— Walka z nami na nic się nie zda, Calderon — usłyszał za plecami znajomy głos — Wiesz, że mam rację.

Odwrócił się, opierając pięść na biodrze. Na ustach drgał mu uśmiech, który nie sięgał oczu. Pośrodku dywanu stali Argus Saffon i Ivo Mius. Drzwi pilnowało dwóch ludzi.

— Postanowiliście mnie odwiedzić po latach? — spytał. — Gdybyście zawiadomili wcześniej, mógłbym się lepiej przygotować na wasze przyjęcie. A tak, cóż, musimy się zadowolić tym, co mamy.

— Nie igraj z nami! — warknął Ivo — twój los leży w naszych rękach.

Crux lekko skinął głową.

— Na to wygląda.

— Pójdiesz z nami, Cornet — odezwał się Argus.

— Sykstus życzy sobie z tobą rozmawiać. Nie próbuj żadnych sztuczek, ostrzegam. Nie masz szans. Jesteś chory i w dodatku sam. Dorwaliśmy cię, Calderon. To koniec. Lepiej, żebyś zdał sobie z tego sprawę. Crux dotknął kciukiem podbródka.

— Dajcie mi chwilę, żebym się oswoił z tą myślą — powiedział.

Powoli obrócił się ku oknu. Jeśli miał spróbować ucieczki to tylko teraz. Wbrew pozorom, Ivo stanowił o wiele większe zagrożenie od potężnie zbudowanego, starszego Saffona. Cornet położył dłonie na parapecie. Chłód popłynął przez palce jak prąd.

— W porządku, porozmawiam z Sykstusem — zaczął i błyskawicznym ruchem posłał mały, srebrzysty nóż, który do tej pory bezpiecznie drzemał w jego rękawie, prosto w pierś Iva. Równocześnie lewą ręką wyszarpnął ukryty pod parapetem pistolet, strzelił raz do Argusa i po dwa razy do goryli pilnujących wejścia. Oni także sięgali już po broń, ale Crux natychmiast dał nura za ogromny, wiktoriański fotel. Huk wystrzałów wstrząsnął ścianami jak krzyk. Jedna z kul minęła głowę Corneta o milimetry, gdy pod osłoną mebli przemykał ku drzwiom. Zaryzykował zerknięcie na środek pokoju.

Ivo, charcząc, dogorywał na podłodze. Saffon, zgodnie z oczekiwaniami Cruxa, próbował go ratować, jeden z goryli leżał nieruchomo przed progiem, a drugi z wyrazem oszołomienia wpatrywał się w rosnącą w oczach, czerwona plamę na brzuchu. Cornet rzucił się do wyjścia. Nie spodziewał się, że wszystko pójdzie tak łatwo. Właściwie był pewien, że jego atak okaże się tylko honorową manifestacją. Nie mógł uwierzyć, w jaki sposób Argus, a przede wszystkim Ivo, dali się nabrać na

tak prymitywną sztuczkę. Byli po prostu zbyt pewni siebie.

Przeskakując nad ciałem zabitego goryla kątem oka zauważył podrywającego się Saffona. Rzucił się schodami w dół, już niemal pewny zwycięstwa, gdy nagle jakieś żelazne kleszcze chwyciły go w pół, podrywając w górę, miażdżąc żebra i uniemożliwiając zaczerpnięcie oddechu. Poczł kwaśny odór, przed sobą ujrzał zamyśloną, jakby nieobecną twarz z bladymi, martwymi oczami. Usta były zaszyte grubą, czarną nicią. Pies, przemknęło mu przez myśl. Cholera, to rzeczywiście koniec! Martwiak uderzył jego głową o ścianę i zapadła ciemność.

Koral ocknęła się niespodziewanie, w samym środku głębokiego snu. Przez chwilę była zbyt oszołomiona, żeby zdawać sobie sprawę gdzie się znajduje. Rozpoznała masywne kolumny podtrzymujące baldachim i znajome sylwetki mebli. To mój pokój, rozumiała. Coś jednak musiało się zmienić, bo poczuła dreszcz podświadomego niepokoju. Instykt kazał jej spojrzeć na ścianę z lustrem. Mleczna poświata spływała z jego tafli ciężkimi kroplami, spadała na podłogę, pełzła po dywanie. Oczy Koral rozszerzyły się z przerażenia. Wydała stłumiony okrzyk, gotowa zerwać się z łóżka w panicznej ucieczce, gdy wszystko znikło. Lustro wydawało się całkiem zwyczajne, obojętnie odbijało poznaczoną niewyraźnymi plamami sprzętów ciemność pokoju. Jednak dobiegał z niego dziwny szmer. Jakby ciche szuranie, towarzyszące niepewnemu przesuwaniu się czegoś.

Wysunęła się spod kołdry. Szła w stronę trema drobnymi, powolnymi krokami jak w transie. Wysunięte w przód ręce dotknęły tafli. Była zimna. Koral spojrzała w głąb zwierciadła i zachłysnęła się oddechem. W rogu pokoju leżał zakrwawiony mężczyzna. Błyskawicznie obróciła głowę, jej przerażone spojrzenie badało wszystkie kąty i załomy mebli. W pokoju nie było nikogo, prócz niej. Znow odwróciła się do lustra. Mężczyzna z wyraźnym trudem usiłował się podnieść. Długie, czarne włosy zasłaniały mu twarz. Jasną niegdyś koszulę pokrywały rdzawe, lepko lśniące plamy. Włókna puszystego dywanu chciwie piły gasnącą czerwień.

Koral odruchowo napała dłońmi na tafle, która ustąpiła bez oporu. Dziewczyna zrobiła krok do przodu i znalazła się we wnętrzu lustrzanego pokoju. Gdy spojrzała w głąb srebrnej ramy, ujrzała swoje łóżko ze zmiętą pościelą, komódkę i starą, dębową szafę.

W pomieszczeniu stały ich dokładne odbicia, ale tak jak zawsze podejrzewała będąc dzieckiem, niewidoczne w zwierciadle fragmenty pokoju wyglądały całkiem inaczej. Zamiast stoliczka z marmurowym blatem stał orzechowy sekretarzyk, a toaletkę z kosmetykami zastąpiła elegancka etażerka.

To sen, uznała Koral, przestając się czemukolwiek dziwić. Przykłęła obok leżącego. Jego włosy nie były czarne, jak poprzednio sądziła, tylko brązowo rude. Nie mogła dostrzec żadnej rany, chociaż miała pewność, że to jego krew plami dywan. Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. Wtedy drgnął, unosząc lekko głowę. Zobaczyła szczupłą, pociągłą twarz o ostrych rysach. Takie twarze miewali kondotierzy, rycerze i okrutni książęta na obrazach dawnych mistrzów. Koral bez trudu mogła go sobie wyobrazić z mieczem u boku i pogardliwym grymasem na ustach. Teraz wargi miał czerwone od krwi, której rozmazane smugi znaczyły też czoło i policzki.

— Jesteś ranny? — spytała. — Jak mam ci pomóc?

Ciemne oczy starały się z trudem skupić na niej spojrzenie. Nie odezwał się jednak. Być może nie mógł. Nigdy nie widziała tyle krwi. Czowała jej zapach, słodkawy i drażniący.

Światło rozbłysło nagle, niby pękająca petarda. Do pokoju wszedł przystojny, młody mężczyzna o jasnych, zaczesanych za uszy włosach.

— No, no — powiedział. — Zdaje się, że mamy gościa.

W jego szarych tęczęwkach kryło się coś nieprzyjemnego, co psuło regularność ładnych rysów.

Podniosła na niego wzrok.

— Ten człowiek jest ranny — zaczęła. — Chciałam mu pomóc.

— Wcale nie jest ranny — przerwał.

Spojrzała na leżącego. Zamknął oczy i zdawał się nie słyszeć ani słowa. Był śmiertelnie blady.

— W takim razie jest chory. Jasnowłosa zaśmiał się krótko.

— Po prostu nie uważał. Ma przekłętą krew.

Podszedł do krwawiącego i trącił go butem.

— Cieszę się, że cię widzę, braciszku — syknął jadowicie. — Naprawdę.

Przystojna twarz promieniała nienawistną satysfakcją. Koral natychmiast poczuła do niego odrazę. Nie wiedziała co robić, żeby wyrwać bezbronnoemu mężczyźnie z jego rąk, więc tylko musnęła końcami palców ubrudzony krwią policzek. Chory rozchylił powieki. Spojrzała w błyszczącą od gorączki czerń i przeszedł ją dreszcz. Nie chciałyby mieć w tym człowieku wroga.

Tymczasem jasnowłosa, całkowicie ignorując Koral, wyjrzał na korytarz.

— Znalazłem go! — zawołał. Dziewczyna wciąż klęczała przy leżącym. — Możesz wstać? — spytała szeptem. Nieznacznie potrząsnął głową. Wysilek włożony w koncentrację uwagi musiał go zmęczyć. W skrzywieniu ust dostrzegła grymas bólu.

Drzwi skrzypnęły i do pokoju weszło kilka osób. Barczysty, wysoki mężczyzna z siwiejącymi włosami, chłopak o aroganckim wyglądzie i dwóch krótko ostrzyżonych facetów, przypominających gangsterów ze starych kryminałów. Wszyscy rozstąpili się pospiesznie, umożliwiając przejście smukłemu, eleganckiemu mężczyźnie w szarym płaszczu.

— Mówiłem, że nie uciekł daleko — odezwał się siwowłosa.

— Dziwne, że w ogóle mu się to udało — mruknął najpóźniej przybyły. Miał głęboki, melodyjny głos.

Skinął niedbale na oczekujących w pogotowiu goryli.

— Zabierzcie go. Tylko uważajcie! Wciąż jest zadziwiająco silny.

Bezceremonialnie odsunęli Koral, chwycili zakrwawionego mężczyznę za ramiona i brutalnie szarpnęli w górę. Z trudem zdusił jęk.

Zimne jak granit spojrzenie człowieka w płaszczu zatrzymało się na dziewczynie. Uważnie taksował jej szczupłą, drobną sylwetkę, łagodny owal twarzy, prosty nos, szaro niebieskie, ogromne oczy i długie włosy w kolorze leśnego miodu.

— Zostawcie mnie samego — powiedział. Posłusznie zaczęli wychodzić. — Justus! Ty zostajesz.

Jasnowłosa cofnął się od progu. Gangsterzy właśnie wywlekali pojmanego więźnia, gdy przyskoczył do niego arogancki młodzieniec i trzasnął pięścią w podbródek.

— Skurwysynu! — krzyknął. — Zabiłeś Iva!

Elegancki mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

— Dość tych popisów podziwu godnej lojalności i braterskich uczuć — warknął. — Na twoim miejscu byłbym mu wdzięczny, Vax. Zwolnił dla ciebie miejsce.

Chłopak spurpurowiał.

— Ależ Sykstus — zaczął. — Ja nigdy...

Facet w płaszczu odwrócił się do niego plecami.

— Poleciałem, żebyście wyszli. Czyżbyś ogłuchł? Po chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi.

— Kto to jest? — spytał Sykstus, ruchem głowy wskazując dziewczynę.

Justus wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Była tu, kiedy go znalazłem.

Koral wstała. Sykstus zwrócił ku niej twarz o chłodnych, arystokratycznych rysach. Miał

szpakowate włosy, ale wydawał się być całkowicie pozbawiony innych znamion wieku.

— Jak się nazywasz?

— Koral Trada — odparła, pewna, że opór byłby głupotą.

— Trada? — zamyślił się. — Skądś znam to nazwisko...

— Jej ojciec ma na imię Edward — odpowiedział usłużnie Justus. — Odziedziczył spory majątek i teraz sam prowadzi rodzinną firmę.

— Pod opieką Cruxa?

Justus się krzywo uśmiechnął.

— Czy ktoś tu może zrobić coś bez niej? Miasto należy do Pana Szubienicy.

Sykstus spojrział na poplamiony dywan.

— Dlaczego mu pomagałaś? — zwrócił się do Koral.

Wzruszyła ramionami przekonana, że to po prostu dziwny, bardzo realistyczny sen. Obudzi się i przez pewien czas będzie go pamiętała, a potem zapomni.

— Bo krwawił — powiedziała.

W głosie Sykstusa pojawił się cień ironii.

— Pomagasz każdemu, kto krwawi? Dlaczego właśnie jemu?

— Bo jest piękny — we śnie, takim jak ten, stać ją było na szczerłość.

— Piękny? — zdziwił się. — Masz nietypowy gust, dziewczyno.

— Nie, po prostu dobry. Zobaczyła, że się uśmiecha.

— W jaki sposób tu weszłaś?

— Przez lustro. Najpierw świeciło, a potem rozstało się jak woda.

— Nie boisz się?

— Czego? Przecież to sen. Ludzie nie przechodzą przez lustra.

— Ludzie nie.

Roześmiał się, a ona poczuła nagłe ukłucie lęku. Na próżno starała się zrozumieć, dlaczego ten śmiech ją przeraża. Brzmiał przecież niemal serdecznie.

— Wiesz chociaż, jak on ma na imię? — spytał. Potrząsnęła przecząco głową.

— Cornet. Cornet Calderon Dellvardan. Ale nazywają go Crux. Pewnie uważasz, że brzydko z nim postąpiliśmy? W takim razie pokażę ci, za co go ścigamy.

Zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką, a Koral nagle ujrzała rozległą równinę otoczoną lasem. Na płaskim, ołowianym niebie krążyły wrzeszcząc jakieś ptaki, chyba mewy. W powietrzu wisały strzępy mgły. Dopiero przed chwilą ocknął się mdły, jesienny świt. Było bardzo zimno. Drżała w podmuchach lodowatego wiatru. Z lasu wyłoniła się grupa jeźdźców. Na czele, na ciężkim, karym koniu jechał mężczyzna z mieczem przytroczonym na plecach. Krople wilgoci lśniły rdzawo w długich, ciemnych włosach.

Przesunęli się tuż obok Koral, która niespodziewanie oderwała się od ziemi, szybując za nimi jak duch. Wiatr wzmógł się. Z pysków koni buchała para. Jeźdźcy milczeli. Nie padło między nimi ani jedno słowo.

Z mgły powoli wyłoniły się zarysy wioski i niewielkiego zameczku czy raczej warowni, wybudowanej z surowego kamienia. Wszędzie panowała cisza, a budynki wydawały się wymarłe. Tylko gdzieś tam z komina sączyła się wątła smużka dymu.

Crux zatrzymał jeźdźców. Rozdzielił oddział na dwie grupy. Jego miecz z sykiem wysunął się z pochwy. Runęli na sioło jak stado kruków na padlinę. Część wpadła do wsi, część ruszyła wprost do zamku. Kopyta koni zadudniły w bramie. Ktoś krzyknął, ktoś wybiegł na dziedziniec. I wtedy rozpoczęła się rzeź. Ludzie Corneta zadawali śmierć każdemu, kto dostał się pod ich ostrza.

Rozlegało się nieludzkie wycie, lament, szcęk oręża. Kobiety wywlekano za włosy z kryjówek, dzieci tratowano, starców strącano z murów. Atakowani prawie się nie bronili. Koral stwierdziła z przerażeniem, że wszyscy mieszkańcy osady są chorzy. Spoglądała na ich wycieńczone, naznaczone piętnem śmierci sylwetki, na chwiejny krok przy nieudolnych próbach ucieczki czy obrony. Niektórzy po prostu kładli się, czekając na zagładę.

Cornet zadawał ciosy na prawo i lewo. Pewne. Zabójcze. Bezlitosne. Przeciął niemal na pół jakiegoś wyrostka, przebił mieczem klęczącą z wyciągniętymi błagalnie rękami kobietę. Pochylił się obojętnie, otarł ostrze krajem jej sukni. Jeźdźcy pozsiadali z koni, wpadli do wnętrza warowni. Tam dobijali rannych i tych chorych, którzy nie mieli siły się ruszać. Koral poczuła, że zbiera jej się na mdłości. Słodkawy zapach krwi gęstniał w powietrzu. Koń Cruxa stąpał pomiędzy trupami, a jego pan uważnie szukał wśród nich najmniejszych oznak życia.

— Zdaje się, że dość widziałaś — usłyszała melodyjny głos i obraz zniknął. — Tak umierał klan Seimle. Nikt nie ocalał.

Koral, bardzo blada, z trudem przełknęła ślinę.

— Myślę, że już wiesz, czemu nie przepadamy za Cruxem Cornetem. On jest jak zaraza, dziewczyno. Śmiertelna zaraza. Trzymaj się od niego z daleka, bo inaczej coś złego może przytrafić się i tobie. Nigdy, dobrze mnie zrozum, nigdy, pod żadnym pozorem, nie pomagaj ani nie zbliżaj się do Calderona Dellvardan, zwanego Szubienicą. Nie jest wart nawet litości. Nie traktuj tego jako zwykłej rady, Koral. To coś więcej. Nie muszę tłumaczyć, co mam na myśli, prawda?

Oszołomiona, skinęła głową.

— Doskonale. Teraz wiemy, na czym stoimy. Mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Słodkich snów, moja piękna.

Chyba klasnął w dłonie, ale wcale nie była pewna. Poczowała, że zamyka się nad nią ciemność i upadła.

Obudziła się z bólem głowy, zmęczona, jakby wcale nie spała. Zdziwiająco dobrze pamiętała niezwykle sen. Nappełnił ją niepokojem, który jednak z każdą chwilą się rozwiewał. Ranek zaglądał przez okna, a w jego świetle wszystkie niecodzienne wydarzenia blakły i traciły znaczenie. Żeby się całkiem uspokoić wstała i długo wpatrywała się w lustrzane odbicie pokoju. Nie zauważyła niczego dziwnego, a dywan był nieskazitelnie czysty. W srebrnej ramie ujrzała także własny uśmiech, pełen politowania nad swoją skłonnością do dziecinnych fantazji.

Ziewnęła, siadając na łóżku. Może by się jeszcze chwilę przespać? — pomyślała. Wsuwała właśnie nogi pod kołdrę, gdy serce zamarło jej na sekundę, żeby zaraz porwać się do przerażonego galopu. Podniosła dłonie do ust, chcąc stłumić okrzyk przestachu. Rąbek jej białej nocnej koszuli pokrywały rude plamy zakrzepłej krwi.

Biblioteka mieściła się w obszernym, nieużywanym pokoju, którego okna wychodziły na tył ogrodu i ulicę, stworzoną przez rząd wysokich, ciemnych kamienic, ozdobionych niezliczoną ilością kariatyd, atlantów, puttów z koszami kwiatów i wąskich okien. Promienie słońca niechętnie wpadały do wnętrza, zmuszając do tańca zawieszony w powietrzu drobiny kurzu. Jako dziecko Koral spędzała w bibliotece długie godziny, budując swoje baśniowe królestwa i chłonąc niezrozumiałe ryciny zamknięte między okładkami grubych tomów pewna, że nikt jej tu nie będzie szukał. Teraz znów przewracała pożółkłe kartki, przetykane wyobrażeniami krwawych bitew i dumnych, dawno obróconych w proch arystokratów. Czasem mignął jej portret przypominający rysy mężczyzny ze snu, ale po uważnym przyjrzeniu podobieństwo okazywało się złudne. Jednak dziewczynę wciąż męczyło

przecucie, że gdzieś widziała obraz, który go przedstawiał. Pamiętała jastrzębi profil, włosy o barwie skrzepłej krwi i pięść wspartą na biodrze, tuż przy rękojeści miecza.

Zmęczona, wstała z podłogi. Przeciągając się, podeszła do okna. W dole, z dłońmi zaciśniętymi na sztachetach parkanu stał jeden z podwładnych Sykstusa, którego spotkała po drugiej stronie lustra. Krzyknęła z zaskoczenia, gwałtownie cofając się na środek pokoju, a echo odbiło jej głos od ścian, przemieniając go w suchy szept. Potknęła się o stertę książek, które przedtem pościągała z półek, upadła między grube, skórzane oprawy. Bała się wstać, żeby nie dostrzegł jej w szybie, więc na czworakach doczołgała się pod parapet, a przerażone serce biło na alarm w dzwonnicy jej żeber. Z lękiem zerknęła ponad framugą, ale ulica była pusta. Kamienne putta obojętnie dźwigały girlandy kwiatów, a drzewa w wyniosłym milczeniu pełniły straż wzdłuż parkanu.

Zerwała się, wybiegła z biblioteki, żeby dopaść okna na korytarzu w nadziei, że uda się jej zobaczyć, w którą stronę odszedł, ale tuż za progiem wpadła na swoją siostrę, Dianę.

— Gdzieś ty się podziewała? Szukam cię chyba od godziny! — głos Diany drgał z oburzenia. Próbowwała ją ominąć, ale dziewczyna zastąpiła jej drogę. — Zapomniałaś, prawda? Oczywiście! Z tobą tak zawsze! Zupełnie nie można na tobie polegać!

Koral usilnie starała sobie przypomnieć, o co siostrze chodzi. W tej chwili mogła myśleć tylko o mężczyźnie sprzed domu, ale teraz i tak straciła szansę, żeby zobaczyć dokąd poszedł.

— Przestań wrzeszczeć — warknęła — Wcale nie muszę cię słuchać!

Diana zacisnęła usta.

— Byłam pewna, że zapomnisz! Przecież obiecałaś, że pojedziesz ze mną na zakupy! Ojciec za nic nie puści mnie samej, po tym ile wydałam w zeszłym tygodniu! Znasz starego sknerę! I tak musiałam nakłamać, że jedziemy wybrać prezent na urodziny Cyntii. Samochód czeka już piętnaście minut! A ty, jak zwykle, nic nie chcesz dla mnie zrobić!

Wydawała się naprawdę zdruzgotana. Z trudem powstrzymywała łzy. Koral skapitulowała. Już dawno nabrała pewności, że jej młodsza siostra jest uzależniona od wydawania pieniędzy.

— Przecież nie powiedziałam, że nie jadę — zaczęła, ale Diana nie dała jej skończyć. W okamgnieniu znów wesolutka jak pasikonik chwyciła Koral za rękę i pociągnęła w stronę schodów.

— No to gazu, zanim ojciec się wścieknie i odeśle szofera!

Zbiegały w dół, gdy z głównego holu dały się słyszeć jakieś głosy i trzask otwieranych drzwi. Na półpiętrze Koral zatrzymała się jak wryta, chwytając poręcz, żeby nie upaść. Przy drzwiach zobaczyła swego ojca, całego w uśmiechach, który wskazywał drogę do gabinetu obróconemu do niej plecami, jasnowłosemu mężczyźnie. Rozpoznała go natychmiast, jeszcze zanim spojrzał w stronę schodów i uprzejmie skinął głową. Był naprawdę przystojny, ale Koral odniosła upiorne wrażenie, że to tylko maska, pod jaką skrywa pysk potwora. Obok, z pogardliwą miną i rękami w kieszeniach stał chłopak, który tamtej nocy uderzył Corneta w twarz. Towarzyszyło im jeszcze kilka osób, ale dla Koral mogli wcale nie istnieć. Wszyscy wymieniali uprzejmości z ojcem i znikali w gabinecie.

— Co jest? Zakochałaś się w którymś? — zachichotała Diana. — Ten młody wygląda całkiem nieźle, chociaż ten z jasnymi włosami też może być. Widziałas, jak się na ciebie gapił? Ciekawe, co by o tym pomyślał Dawid. Chyba mu opowiem, jak cię trafiła na schodach strzała Amora — przewróciła oczami, robiąc możliwie najgłupszą minę. — Ach, czyż to nie cudowne i rromantyczne!

— Kim oni są? — wyjąkała Koral, blada jak marmurowe stopnie schodów.

— Jacyś goście od interesów — Diana wzruszyła ramionami, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu. — Podobno okropnie wpływowi faceci. Widziałas jak stary ich obskakiwał? No, chodź już! Cudowne zakupy czekają!

Koral pozwoliła się popchnąć w stronę wyjścia.

Cornet zakaszłał. Ból natychmiast przesunął zakrzywionym palcem po jego żebrach. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo osłabł. Z trudem znalazłby siłę, żeby dźwignąć się z podłogi. Krwotok ustał, ale zostawił po sobie wspomnienie bólu, odcisnięte na każdym stawie i ścięgnie.

— Chyba jesteś szalony, Cornet — powiedział Sykstus, siedzący okrakiem na odwróconym krześle. — Chciałem, żebyśmy załatwili tę sprawę przyzwoicie. Uczciwie. Miałem nawet zamiar pozwolić ci samemu rozwiązać problem. Honorowo, jak za dawnych czasów, ze względu na to, kim byłeś kiedyś i ze względu na twego ojca. A ty zabiłeś Iva...

Crux zdobył się na paskudny uśmiech.

— Sam posłałeś szczeniaka do mnie? Sykstus, nie poznaję cię. To jakbyś osobiście poderżnął mi gardło.

— Nikt nie musiał go posyłać — warknął obecny w pokoju Argus. — Ivo sam podejmował decyzje.

Uśmiech Corneta nieco się poszerzył. — Teraz pewnie trochę ich żałuje, ale z pewnością będzie dobrym psem.

Argus spojrział na Sykstusa, który lekko skinął głową. Saffon podszedł do Corneta i niemal od niechcienia uderzył go pięścią w skroń. Świat wywinął kozła, gdzieś rozległ się ogłuszający hałas. Plamy podobne do zwiędłych liści poderwały się z podłogi, zatańczyły.

— ...głupota, Cornet — usłyszał odległy głos Sykstusa. — Wiele lat temu zdradziłeś klan Dellvardan, ale ja pozwoliłem ci odejść. I czegoż to dowiaduję się teraz? Zgadniesz? Niezbyt pomyślnych wieści — uderzył otwartą dłońią w oparcie krzesła. — Wiesz, kto cię zaraził, prawda? Posłałem ciebie, Calderon, żebyś zniszczył gniazdo nosicieli przeklętej krwi, żebyś zabił każdego, kto należał do klanu Seimle. Każdego, Cornet. Postąpiłem tak, bo ufałem ci i wierzyłem, że zrozumiesz, dlaczego to konieczne. Zawiodłeś moje zaufanie, zdradziłeś swój klan, zabiłeś mego następcę i ze wszystkich tych powodów zasługujesz na śmierć. Ale za to, że pozwoliłeś, żeby zaraza zagroziła nie tylko nam, lecz całemu Ludowi Luster, zasługujesz na piekło. I ja ci je urządzę.

— Imponująca przemowa — powiedział Cornet.

— Naprawdę jestem pod wrażeniem. Wspaniały z ciebie hipokryta, Sykstus. Dlaczego nie powiesz prawdy, że przerobienie mnie na mięso po prostu sprawia ci przyjemność? Wierzę w twoje umiejętności w tym względzie, więc nie miej mi za złe, że nie podzielam twego entuzjazmu i punktu widzenia. Aha, małe sprostowanie. Zabiłeś mojego ojca. W porządku, potęga starego sukinsyna naprawdę zaczęła wymykać się spod kontroli. A potem zostałeś starszym klanu i zacząłeś wcielać w życie te swoje kabotyńskie kawałki. Pozbyłeś się wszystkich, którzy nie lizali ci butów. Nigdy nie zdradziłem klanu. Odszedłem, żeby nie burzyć jego jedności, nie wprowadzać zamieszania i nie musieć patrzeć na twoją próżną gębę. Trzy razy usiłowałeś mnie zabić i zawsze okazywałem się za silny. Moje zniknięcie było dla ciebie najlepszym rozwiązaniem. Nie oczekuj ode mnie, że uznam w tobie jakiś autorytet.

— A teraz, bohaterze, zdychasz rzygając krwią — warknął Sykstus. — To boli, co? Pocieszę cię. Z każdym dniem będzie gorzej. I może tak trwać całą wieczność. Wiesz, co to znaczy wieczność w kałuży własnej krwi?

Cornet uśmiechnął się z politowaniem.

— Sykstus, nic się nie zmieniłeś. Myślisz tylko o obrywaniu muchom skrzydełek.

Starszy klanu pobladał. Crux zdawał sobie sprawę, czym ryzykuje, ale nie potrafił się powstrzymać. Wściekłość i nienawiść, którym pozwalał nad sobą panować, przesłaniały bowiem jeszcze jedno, mroczne, głęboko skryte uczucie — lęk. Dobrze wiedział, że okrucieństwo Sykstusa

potrafi przybierać wyjątkowo wyrafinowane formy. Jak długo będzie miał siłę pozostać sobą? Na ile czasu starczy duma? Doskonale zdawał sobie sprawę, że złamać można każdego. Od tej reguły wyjątki nie istnieją. Jak każde żywe stworzenie bał się bólu, ale największy lęk ogarniał go wtedy, gdy uświadamiał sobie, że to, co przez lata niewoli zrobi z niego Sykstus, nie będzie miało wiele wspólnego z Cornetem Calderonem Dellvardan, który odważył się rzucić wyzwanie całemu klanowi.

— Och, Cornet — syknął złowrogo starszy rodu. — Prowokujesz mnie? Mam ci uświadomić, kto nosi obrożę, a kto trzyma w garści bat i smycz?

Nie dokończył, bo wtem do pokoju wbiegła śliczna lalka. Jej okrągłą, słodką buzię okalały serpentyny złotych loków. Błękitne oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Cornet! — krzyknęła z radosnym niedowierzaniem i podbiegła, żeby go uściskać — Nareszcie wróciłeś! Tęskniłam za tobą! Jak dobrze, że jesteś. Obiecuj, że będziesz uczył mnie malować i że przeczytamy razem te wszystkie trudne książki, których nie rozumiem i w końcu pozwolisz mi zacząć lekcje konnej jazdy...

Urwała, bo wreszcie dotarła do niej osobliwość zastanej sytuacji.

— Co ci się stało? — spytała niepewnie — czemu siedzisz na podłodze?

To była Fiona Charlotta Ovex Dellvardan, wychowanka i największa nadzieja Sykstusa, który hodował ją, jak jakąś cieplarnianą roślinę, żeby stała się matką odrodzonego, idealnego klanu. Powiadano, że faszrował ją magią, a nawet uciekał się do pomocy Kręgu, żeby mogła dać mu potomstwo. Podobno miał na tym punkcie obsesję. Nie wahał się zaciągać ogromnych zobowiązań wobec bractwa, byle tylko Charlotta urodziła mu syna. Przez wiele lat Crux był dla niej jak starszy brat, bo szczerze żałował dziewczyny przemienionej przez Sykstusa w złotą kukiełkę.

Teraz, widząc wściekłe, bezradne spojrzenia starszego klanu, próbującego wzrokiem spiorunować winowajcę, który zapomniał zatrzaskać drzwi, Cornet, pomimo swej rozpaczliwej sytuacji miał ochotę się roześmiać.

Zdezorientowana Fiona utknęła pośrodku pokoju.

— Ależ się zrobiłaś piękna — powiedział swobodnie, tylko ze względu na nią, nie Sykstusa. — Nie poznałem cię.

— Co się stało z twoją koszulą? — szepnęła — Przecież to krew.

Uspokajająco wyciągnął do niej rękę.

— Nic, skarbie. Musiałem zabić wściekłego psa — usłyszał, jak Argus zgrzytnął zębami. — Siedzę na podłodze, żeby nie pobrudzić mebli.

— Psa? — powtórzyła, postępując krok do przodu. — Tutaj?

— Nie podchodź do niego! — wtrącił błyskawicznie Sykstus — Pobrudzisz się! Cornet jest... bardzo zmęczony. Dopiero przyszedł. Teraz nie może z tobą rozmawiać. Załatwiamy ważne sprawy.

Na ustach Cruxa pojawił się ironiczny grymas.

— Później do ciebie przyjdę — powiedział. — Obiecuję.

Sykstus przełknął ślinę.

— Zostaw nas samych, kochanie. Słyszałaś, co Cornet ci obiecał. Przyjdzie później.

Oszołomiona Fiona, przywykła słuchać poleceń Sykstusa, podeszła do drzwi. Zawahała się jednak i spojrzała na Cruxa.

— Na pewno nic ci nie jest? Ten pies cię nie pokaleczył?

Zmrużył oczy.

— Ten nie — powiedział wolno.

Starszy klanu zacisnął usta. Fiona zamarła z dłonią na klamce.

— Żartowałem, skarbie — głos Corneta brzmiał spokojnie. — Czuję się świetnie. Pogadamy

potem. Teraz już idź.

Dziewczyna wyszła, a Calderon roześmiał się nieładnym, drwiącym śmiechem.

— Jak tam twoje plany hodowlane? Idealna matka dla małego Sykstusa Amanusa Dellvardan! Co prawda nie grzeszy rozumem, ale potomek ma go odziedziczyć po tatusiu. A jeśli będzie odwrotnie, to wyjdzie cholerna chryja, co?

— Zamknij się! — wrzasnął Argus.

— Biedny Vax Mius! Ledwo jego braciszek Ivo trafił do pracowni, gdzie stanie się usłużnym psem, zwalniając miejsce twojego następcy, ty się szykujesz do roli rozplodowego byka! Daruj sobie, Sykstus. W twoim wieku taki wysiłek może okazać się zgubny. Przecież wszyscy wiedzą, że jesteś jałowy jak nieboszczyk w trumnie. No, chyba, żeby Vax cię wyręczył...

— Dość, Calderon! — wysyczał starszy klanu.

— Na mnie w każdym razie nie licz. Ja się nie bawię lalkami.

Na policzkach Amanusa pojawiły się dwie szkarłatne plamy. Zerwał się, przewracając krzesło, dopadł Corneta i zamachnął się, żeby go kopnąć, ale wtedy Crux złapał go za nogę, pociągając z całej siły ku sobie. Sykstus runął na plecy, a Cornet skoczył na niego. W tej chwili ciężka łapa Argusa trzasnęła go w kark, a przywołani jego krzykiem trzej osiłkowie oderwali Cruxa od starszego klanu równie łatwo co szmacianą kukłę. Posypał się na niego grad ciosów. Skulił się na podłodze, ramionami zasłaniając głowę, a podkurczonymi nogami brzuch. Przybrał tę pozycję instynktownie, bo gdzieś w głębi duszy miał małą, zimną iskrę nadziei, że może go teraz zabiją.

Pomieszczenie nie było duże. Od podłogi ciągnęło chłodem. Na zbitym z nieheblowanych bierwion stole leżało mnóstwo dziwnych przedmiotów.

— Sam zdejmiesz koszulę, czy mamy ją z ciebie zedrzeć? — spytał Sykstus.

W każdym jego słowie dawało się słyszeć zadowolenie.

Cornet ściągnął przez głowę brudną, zakrwawioną szmatę. Wolał nie rozpinać guzików, żeby nie zauważyli, jak drżą mu palce. Wiedział, że nie może się spodziewać niczego prócz bólu.

Jego brat, Justus, siedział po drugiej stronie stołu z wyczekującym uśmiechem, podobny do dzieciaka, który szykuje się do rozpakowania gwiazdkowego prezentu.

— Zwiąż sobie włosy — powiedział, podając mu kawałek sznurka.

Crux z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Nie wiem, w jaki sposób mój rodzony ojciec mógł spłodzić taką gnidę jak ty.

Justus wyszczerzył zęby.

— Właściwie powinienem spytać o to samo.

Usłyszeli kroki na korytarzu i do wnętrza wszedł Millo Oexen, z wielką ostrożnością niosąc nieduży tygielek. Cornet zobaczył jego lśniącą, płynną zawartość i trochę za szybko wciągnął powietrze.

— Niespodzianka, Calderon — zachichotał jakoś piskliwie Vax, z miną szczeniaka oczekującego na kość. — Z pewnością ci się spodoba.

— Ja też tak myślę — przytaknął Sykstus. — Czekają cię niezapomniane wrażenia.

Wziął ze stołu długą, cienką rurkę, zakończoną kościaną rękojeścią i wsunął ją do naczynia. Nieskazitelna, srebrna powierzchnia pozostała idealnie gładka, jakby część przedmiotu znikła, a nie zagłębiła się w płynie. Po chwili Amanus wyjął narzędzie. Rurka lśniła spokojnym, łagodnym blaskiem. Sykstus uniósł ją do góry, a następnie pochylał, upuszczając jedną, srebrzystą kroplę na dłoń Corneta. Zasyczała, padając na skórę, a Crux mimo woli zadrżał.

— Zimno ci, Cornet? — spytał Sykstus. — Gwarantuję, że szybko się rozgrzejesz.

— Czy te żenujące popisy naprawdę cię bawią?

— O tak. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

— Tak też myślałem. Sykstus pokazał mu tygiel.

— Wiesz co to jest, prawda? Alchemiczne srebro. Parzy, jak się zdążyłeś przekonać. Wspaniale się nadaje do wykonywania skomplikowanych rysunków. Słyszałeś o obręczy? Sześć magicznych liter, które wypisane na czole dają całkowitą władzę nad ciałem i umysłem ofiary. Tak się składa, że nie potrzebuję twojego umysłu. Wolę, żebyś cały czas wiedział, co się z tobą dzieje. Postanowiłem zastosować inną wersję obręczy, która pozwoli ci zachować kontrolę nad głową, ale tylko nad nią. Jest prosta. Po jednej literze pod każdym obojczykiem, na ramionach i łopatkach. Nie będziesz mógł opuścić tego pokoju ani przeciwstawić się komukolwiek bez mojego rozkazu. Nie będziesz nawet w stanie popełnić samobójstwa. A jestem pewien, że w końcu bardzo tego zapragniesz. Czasami przyjdę cię odwiedzić i sprawdzić, jak postępuje twoja choroba. Z radością sobie popatrzę jak wyjesz z bólu, krwawiąc wszystkimi porami. Nie żartowałem, to naprawdę może trwać bardzo długo. Żeby ci się nie nudziło, od czasu do czasu wymyślę jakąś niespodziankę. Co do obręczy, podobno wystarczy wypisać litery, ale przecież ty zasługujesz na coś trwalszego. Poza tym będę spokojniejszy wiedząc, że się nie zetrą. Odziedziczyłeś po tatusiu sporo trudnej do okiełznania mocy. Przytrzymajcie go! — powiedział do Milla i Argusa.

— Naprawdę wierzysz, że będę się wrywał? — warknął Crux.

— Liczę na to.

Oexen i Saffon pchnęli go na krzywy stołek, brutalnie wykręcając ręce. Delikatny, srebrny płomień przesunął się po skórze lewego ramienia, piękny jak różdżka dobrej wróżki, a Cornet zadygotał, bo ból był znacznie silniejszy, niż przypuszczał. Lśniąca baletnica kontynuowała taniec, wśród ogłuszającego huku płomieni i jęku rozdieranych tkanek, które dudniły w głowie Corneta w rytm gwałtownego pulsowania krwi. Zaciśnął z całej siły zęby, a jedyna myśl, jaką był w stanie sformułować i powtarzać w duchu, brzmiała jak absurdalna modlitwa: Boże, który odrzuciłeś takich jak ja, proszę, nie pozwól mi krzyczeć! Rozmigotane konstelacje migotały przed oczami i niemal nie zauważył, kiedy nieskończoność dobiegła końca. Usłyszał stłumiony, dochodzący jakby zza warstwy waty głos Sykstusa:

— Spójrz no, Justus. Podoba ci się?

— Nie za bardzo. Jakoś krzywo i mało wyraźnie.

— Tak myślisz? Zaraz poprawię.

Ogień znowu zapłonął w ramieniu Corneta, kiedy srebrna baletnica ponownie zerwała się do tańca.

Ocknął się, zdrętwiały i obolały. Zimno bijące od kamiennej posadzki wpełzło mu do żył, chociaż w głowie szalała gorączka. Oblizwał popękane wargi, lecz nie poczuł ulgi. Ostrożnie dźwignął się na łokciu, spróbował wstać. Ból smagnął go przez plecy, zakrzyczał w ramionach. Z trudem podniósł się na nogi, dygocząc z zimna. Rozejrzał się po celi. Łukowaty sufit pochylał grzbiet nad ścianami z grubych cegieł. Nie było okien. Słabe, żółtawe światło wypełniające pomieszczenie nie miało żadnego źródła, jakby to lśniło powietrze. Oprócz dużego stołu, kilku zydli i skrzyni nie zauważył żadnych mebli.

Mogę tu spędzić resztę życia, pomyślał. Lata, a nawet wieki, pogrążając się w chorobie i szaleństwie. Sykstus jest zbyt opętany okrucieństwem, żeby pozwolić mi umrzeć. Będzie przedłużał moją agonię w nieskończoność. Zadygotał. Rozpacz rozwarła ramiona, gotowa przytulić go do serca bez dna.

Nawet gdyby starszy klanu przedwcześnie zginął, nadzieja na poprawę losu była znikoma. Po nim obejmie władzę siostrzeniec, Vax Mius, któremu zabił brata. Zresztą obaj, Ivo i Vax, nienawidzili Corneta już wcześniej, bo miał dość siły, żeby przeciwstawić się Amanusowi i opuścić klan, na co bracia nie potrafili się zdobyć. Pozostawała im, zaproponowana z łaski i braku lepszego kandydata, pozycja następcy starszego klanu. Oczywiście, sytuacja uległaby radykalnej zmianie, gdyby Sykstus doczekał się dziecka. Ale dla Corneta wszystko to nie miało znaczenia. Dawno temu Amanus wykazał się wielką przenikliwością, wysyłając Calderona, żeby zniszczył źródło zarazy, przeklęty klan Seimle. Crux był wtedy zbyt młody i słaby, żeby odmówić, a przy tym rozumiał zagrożenie związane z rozprzestrzenianiem się choroby. Inne klany też je pojmowały, ale i tak pozostał w ich oczach mordercą bezbronnych. W ten sposób Sykstus podciął mu skrzydła, narobił wrogów i uniemożliwił sięgnięcie po należną po ojcu władzę. Crux nie tęsknił do stanowiska przywódcy rodu. Sykstus widział w nim jednak ciągłe zagrożenie, prowokował scysje, a nawet próbował zamachów, więc Cornet odszedł z klanu. Nie wtrącał się do spraw Ludu Luster ani oni do niego, aż do tamtej nieszczęsnej imprezy. Przez wszystkie minione lata był pewien, że dobrze wykonał zadanie, nie pozwalając przeżyć nikomu z klanu Seimle. Od czasu, gdy pierwsze paciorki krwi posypały się na poduszkę w jego domu, przypominał sobie, scena po scenie, atak na warownię, ale bezskutecznie. Aż pewnego dnia z zakamarków pamięci wypłynął zapomniany obraz. Błady, mglisty poranek. Mewy krzyczą, jakby podnosiły lament. Bruk dziedzińca śliski od krwi. Trupy wpatrują się w niebo, obojętne, jakby w jednej chwili pojęły i zlekceważyły wszystkie tajemnice świata. Cornet szturcha butem nieruchome ciała, czubkiem miecza odgarnia włosy i kawałki rozdartych ubrań. Chłopiec leży w błocie, obok przewróconej beczki. Wydaje się najbardziej martwy ze wszystkich, bo na jego twarzy maluje się wyraz doskonałej apatii. Crux właśnie go mija, kiedy oczy utkwione martwo w odległy punkt zwracają się ku niemu. Nie widać w nich cierpienia ani lęku, tylko obojętność. Crux unosi miecz, żeby go przebić. Bez wysiłku, tylko trochę, bo drobne ciało nie będzie przecież stawiać oporu, ale ręce zamierają w połowie ruchu. Ogarnia go zmęczenie i niechęć. Dzieciak i tak przecież kona. Poza tym, znajdzie go któryś z jego ludzi.

— Hej! — krzyczy. — Sprawdźcie koło tej beczki!

I odchodzi, z cholewami wysokich butów pochłapanymi krwawym błotem, zostawiając za sobą mściciela, któremu darował życie, aby odpłacił mu za to fiolką pełną śmierci.

To jedyne rozwiązanie, pomyślał Cornet. Końcami palców dotknął misternego wzoru wyrysowanego na skórze pod obojczykiem nabrzmiałymi, krwawymi krechami. Zabolało, aż syknął. Spróbował podejść do drzwi. Masywne, z grubych desek, nie były nawet zamknięte na klucz. Szyderca Sykstus specjalnie nie założył na nich nawet magicznej blokady, jednak, w miarę jak się zbliżał, Crux czuł coraz wyraźniejszy opór. Na krok przed progiem jego ciało ostatecznie odmówiło współpracy i zamarło. Cornet zaklął. Zawrócił do stołu. Przyszło mu do głowy, że mógłby rozdrapać rany tak, żeby litery znikły, chociaż już na samą myśl zrobiło mu się mdło. Na blacie leżała płaska łopatka o ostrych krawędziach, więc sięgnął po nią. Palce, które zacisnął na rękojeści, natychmiast zeszywniały, a narzędzie z brzękiem upadło na posadzkę.

Teraz naprawdę ogarnęła go rozpacz. Usiadł na zydlu, podpierając dłońmi czoło, a wieczność wilczym krokiem przemykała pod ścianami. Otrzeźwił go chłód. Było tak zimno, że cały dygotał. Szczękając zębami zaczął się rozglądać za jakimś ubraniem. W kącie, jak brudna szmata, leżała jego sztywna od krwi koszula, ale postanowił założyć ją tylko w ostateczności. Otworzył wieko skrzyni. W środku, pośród butwiejących łachów, znalazł miękką, czarną kurtkę, wystrzępioną i wymiętą, ale prawie nie podartą. Otulił się nią, bo była sporo za obszerna. Ściągnął sznurek z włosów, które rozsypały się poplecach. I wtedy, w nagłym przeblysku, przypomniał sobie pochylającą się nad nim

dziewczynę. Żeby wejść do siedziby klanu, obwarowanego magicznie na kształt twierdzy, w dodatku pozostając niezauważona, musiała mieć potężny, naturalny talent. Czasami, bardzo rzadko, pojawiał się taki. Cornet znał Sykstusa na tyle, żeby wiedzieć, że go zlekceważy. Amanus nigdy nie potrafił docenić śmiertelników. Jeśli udało się jej wejść raz, może będzie umiała i drugi. Powoli w głowie Cruxa zaczął się rodzić plan, oparty na jednym, niepewnym założeniu, że dziewczyna o włosach w barwie leśnego miodu ponownie zechce mu pomóc.

Skupił całą swoją moc, starając się wywołać jej wizerunek. Z wysiłku na czoło wystąpiły mu krople potu. Bał się, że za chwilę dostanie następnego krwotoku i wszystko diabli wezmą. Po chwili wiedział już, że ma na imię Koral, więc delikatna nić kontaktu jednak zaczęła się nawiązywać. Zawołał ją. Cicho, a potem trochę głośniej. Światło w pomieszczeniu przygasło, a następnie rozbłysło silniejszym, perłowym blaskiem. Koral, Koral, Koral — wołał, aż imię zaczęło dźwięczeć i wibrować, zaś powietrze zgęstniało, tworząc owalną ramę, zawieszoną nad stołem. Wtedy ją zobaczył. Stała w swojej sypialni, wgapiając się w niego ze zdumieniem.

— Koral — szepnął ochryple, bo z wysiłku zaschło mu w gardle, a pod czaszką eksplodowały fontanny iskier. — Poznajesz mnie?

— Jeszcze nie zdążyłam się położyć — wymamrotała oszołomiona. — Nie zdążyłam się położyć, więc nie mogę spać...

— Nie śpisz — przerwał, czując, że nie znajdzie siły, by długo utrzymać przejście. — Proszę, podejdź do mnie. Potrzebuję pomocy.

— Nie mogę... To jakieś szaleństwo!

— Pomóż mi, Koral. Jesteś moją jedyną szansą.

Postąpiła krok do przodu, ale zawahała się i zatrzymała. Wyciągnął do niej rękę.

— Nie ufaj Sykstusowi i pozostałym. Oszukali cię, cokolwiek ci pokazali. Tak samo dobrze możesz uwierzyć im, jak i mnie. Podejdź tu. Proszę. Chcesz mnie zmusić, żebym cię błagał?

Srebrzyste światło rozlało się po celi, kiedy chwyciła wyciągnięte dłonie tak nieprawdopodobnie łatwo, że nawet Cruxa to zdziwiło. Przejście, które otworzyła, znikło migocząc. Stała przed nim, drżąc lekko, a Cornet nie wiedział czy z lęku, czy z zimna.

— Boże, wyglądasz jak śmierć! — wyszeptała.

Uśmiechnął się krzywo.

— Nie mam aż takich kwalifikacji. Jestem bardzo wdzięczny, że po namyśle zechciałaś mnie odwiedzić po prawdziwej stronie. Nawet nie wyobrażasz sobie jak. A teraz posłuchaj. Pójdiesz w lewo korytarzem...

— Nie.

Urwał, zaskoczony.

— Najpierw powiedz mi, kim jesteś.

— Cornet Calderon Dellvardan...

— Tyle sama wiem. Ojciec ci płaci i boi się ciebie jak ognia. Nie jesteście ludźmi, prawda? Więc kim?

Zabębnił palcami o blat stołu.

— Pamiętasz, co mówiła matka, kiedy byłaś mała i zbyt długo patrzyłaś w lustro?

— Że zobaczę diabła. Wychowała mnie niania. Matka zginęła w wypadku samochodowym.

— Brakowało ci jej? — spytał Cornet, który nie bardzo wiedział co powiedzieć. Dziewczyna zaskakiwała go. Opanowała się bardzo szybko, jak ktoś nawykły do kontrolowania uczuć. Wiedział, że jest przestraszona i zdeorientowana, ale nie dawała tego po sobie poznać.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Spędzała życie na jachtach i przyjęciach. Nie wiem, czy pamiętała jak mam na imię. Ale ty nie jesteś diabłem.

— Bo brakuje mi rogów i ogona?

— Bo strasznie krwawiłeś. Nie potrafię sobie wyobrazić diabła w kałuży krwi.

Westchnął.

— Należę do Ludu Luster. Nie wiem, skąd pochodzimy. W każdym razie istnieliśmy już, kiedy pierwszy człowiek zobaczył swoje odbicie w spokojnej wodzie. Koral, zrób, o co cię proszę. Czas ucieka.

Utkwiła w nim szaroniebieskie spojrzenie.

— Czego chce od ciebie ten Sykstus? Zabić cię?

Odwrócił wzrok.

— Tym bym się aż tak nie przejmował — mruknął.

Przysunęła się bliżej, dotknęła jego lodowatej dłoni.

— Ty się boisz! — powiedziała poruszona.

Obrócił się ze złością. Nie potrafił jej zrozumieć. Stała przed nim blada, ale opanowana, prowadząc konwersację tonem odpowiednim na nudnym raucie u wysoko postawionego oficjela. O co go jeszcze zapyta? O pogodę?

— Tak się składa, że masz rację — warknął. — Składam hołd twojej przenikliwości. Chcesz, żebym zaczął klaskać? Sykstus to wariat. Krwawy wariat. Będzie patrzył jak zdycham, jak rzygam krwią i wyję z bólu, a jeśli zechce, przerobi mnie na karmę dla psów kilka razy w ciągu godziny! Twoim zdaniem powinienem to przyjmować ze stoicyzmem?!

Drgnęła.

— Nie krzycz. Po prostu przeraziła mnie myśl o tym, czego ty mógłbyś się bać.

— Przepraszam — mruknął. — Ostatnio zrobiłem się dziwnie nerwowy.

Przesunął ręką po twarzy.

— To którą mam iść? — głos Koral już nie wydawał się obojętny. Podniósł wzrok i jego oczy spotkały się ze spojrzeniem dziewczyny.

Wtedy zdała sobie sprawę, że już dawno dokonała wyboru, który z pewnością okaże się nieodwracalny. Uwierzy temu rudowłosemu demonowi, ponieważ chce tego, nie dbając o własne zdrowe zmysły ani pogrożki Sykstusa.

Cornet nie miał czasu zastanawiać się nad przyczynami decyzji Koral, bo usilnie próbował sobie uzmysłwić, w której części domu powinna się znajdować jego cela.

— Pójdiesz korytarzem w lewo — powiedział. — Po bokach będziesz mijać rzędy zamkniętych drzwi. Absolutnie nie zaglądać przez nie. Na końcu korytarza zobaczysz wrota odlane z ciemnego metalu. Na lewym skrzydle jest wyryty młodzieniec z pochodnią uniesioną w górę, na prawym starzec z pochodnią w dół. Otworzą się, jeśli będziesz zdecydowana, że chcesz wejść. To pracownia Sykstusa. Przejdiesz przez pierwsze pomieszczenie i wejdiesz do drugiego. Tam powinien się znajdować żeliwny tygiel pełen płynnego metalu, przypominającego rtęć, lecz dużo jaśniejszego. Nie wiem, gdzie dokładnie stoi, ale świeci w ciemności. Przynies go do mnie.

— Dlaczego sam tego nie zrobisz?

— Nie mogę stąd wyjść — wyjaśnił.

Skinęła głową.

— Rozumiem.

Wyszła na korytarz, nie oglądając się. Cornet miał nadzieję, że nikogo nie spotka, a blokady w pracowni Amanusa rozstąpią się przed nią równie łatwo jak zabezpieczenia domu.

Sień była mroczna, rozświetlona nierównym, żółtym światłem. Ciężkie sklepienie wisiało nad nią niby wieko trumny. Już po kilku krokach ogarnął ją strach. Kamienne płyty podłogi odbijały stukot obcasów. W załomach muru, między fugami, miały swoje gniazda nieistniejące dźwięki, skrzyp zawiasów, szelest, ciężki oddech, szepty. Ściany korytarza zdawały się nimi tętnić. W pewnej chwili zeszywniała z lęku, a serce ścisnęło się jak pięść, gdy z ciemnej niszy wysunął się nagle cień skulonego potwora. Zobaczyła długą, wyszczerzoną paszczę, łapy zbrojne w zakrzywione pazury. Krzyknęłaby, gdyby nie zabrakło jej oddechu. Dopiero po chwili zrozumiała, że patrzy na posąg. Szkaradny stwór był odlany z brązu lub jakiegoś podobnego metalu. Przeszła obok, z lękiem zostawiając rzeźbę za plecami, niemal przekonana, że bestia wodzi za nią ciężkim łbem.

Korytarz, pełen prawie niesłyszalnych zgrzytów i chichotów, zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie zobaczyła przed sobą drzwi z lśniącego, niebieskawego metalu. Zatrzymała się dziesięć kroków przed nimi, usiłując stłumić strach. Tak naprawdę miała ochotę natychmiast stąd uciec. Młodzieniec ze skrzydła wrót wykrzywił usta w szyderyczym uśmiechu, a starzec gapił się lubieżnie na jej nogi. Już miała zawrócić, kiedy zamajaczyła przed nią szara jak popiół, ściągnięta twarz Corneta. Znów poczuła zapach krwi. Ujrzała lepka, gorąca czerwien na podłodze sypialni i dłonie Cruxa z palcami zaciskającymi się na włóknach dywanu.

Nabrała głęboko oddechu i ruszyła przed siebie. Najchętniej zamknęłaby oczy. Chcę wejść, powtarzała w duchu. Chcę, bardzo chcę. Masywne odrzwia drgnęły, uchyliły się lekko, zamarły jakby w krótkim wahaniu, a potem rozwarły się na oścież.

Z piersi Koral wyrwało się westchnienie ulgi. Zobaczyła ogromną komnatę, przykrytą żebrowanym sklepieniem, pełną dziwacznych urządzeń, z których większość przywodziła na myśl maszyny do tortur. Pod ścianami ciągnęły się rzędy półek zastawionych manuskryptami albo przedmiotami ze szkła i metalu, o wymyślnych, złowrogich kształtach.

Na podłodze, tyłem do drzwi, siedziała mała dziewczynka w biało niebieskiej sukience z falban. Jej jasne loki były upięte aksamitną wstążką. W skupieniu układała coś, co w mdłym świetle Koral wzięła za szklane kulki. Przez chwilę dziecko nie okazywało żadnego zainteresowania szczękiem zawiasów, jakby go w ogóle nie usłyszało. Potem obróciło głowę. Tylko połowa twarzy miała ludzkie rysy. Druga była zastygłym w wyrazie niemej furii pyskiem upiornego demona. Koral chwyciła się framugi. Uderzenia własnego serca słyszała jak tłuczenie młota pneumatycznego.

— Pokażę ci sztuczkę, chcesz? — odezwał się potwór głosem pękniętego srebrnego dzwonka.

Dziewczyna zdobyła się tylko na bezwiedne skinienie głową.

— Zobacz! — pęknięty dzwonek dźwięczał dumą.

Szklane kulki potoczyły się po posadzce i wtedy Koral uzmysłowiła sobie, że to oczy. W każdym otwierały się dwie wąskie szczeliny, z których wykluwały się pokryte śluzem, nietoperze skrzydła. Oczy wstrząsały nimi i kolejno podrywały się w górę. Po chwili wszystkie bezszelestnie kołowały nad złocistą aureolą włosów dziewczynki.

— Podoba ci się?

Koral z trudem przełknęła ślinę.

— Tak — wychrypiała.

— Pobaw się ze mną. Nauczę cię, jak to się robi. — Nie... Nie mogę... — co za dziwny świst wydobywa się z jej gardła. — Szukam... metalu, który świeci w ciemności.

— Alchemicznego srebra? — zaśpiewał dzwonek. Chuda rączka o sinych paznokciach wskazała niskie, drewniane drzwi. — Jest tam. Ale nieś ostrożnie.

— Dziękuję — wyjąkała Koral.

Dziecko nakazało oczom zniżać się i wzlatywać pod sufit wśród trzepotu błoniastych skrzydeł. Nic nie wskazywało na to, żeby nadal rejestrowało obecność Koral. Dziewczyna przeszła przez pokój, cicho wsunęła się do sąsiedniego pomieszczenia. Drżały jej kolana, a ręce miała mokre od potu. Druga komnata była nieco mniejsza i ciasniej zastawiona. Tutaj mechanizmy wyglądały jeszcze bardziej złowieszczo. Koral nie sadziła, że coś może ją przestraszyć na równi z potworem o szklanym głosie, ale kiedy zobaczyła leżącego na niskim stole stwora, wstrząsnął nią spazm przerażenia. Z całą pewnością był martwy, jednak na widok wchodzącej przewrócił bladymi, wodnistymi oczami, które wydawały się bezmyślne, a jednocześnie pełne głębokiej mądrości, jakby błdziły daleko, między rozjarzonymi konstelacjami kosmosu. To były źrenice martwego boga. Czarne, lśniące szwy, którymi zaszyto mu usta, wyglądały ohydnie jak robaki. Pod pergaminową skórą pulsowały niebieskie żyły.

Dziewczyna poczuła, że robi się jej słabo. Przemogła się z trudem i zaczęła gorączkowo przeszukiwać półki. Trup wodził za nią wzrokiem, nie poruszywszy się jednak. Kiedyś musiał być młodym, przystojnym mężczyzną, ale to tylko potęgowało upiorne wrażenie.

Ze zdenerwowania strąciła kilka szklanych kolb, które roztrzaskały się na kamieniach z jęklwym, bęg! Zbierało się jej na płacz. Nic nie świeciło w półmroku, nic nie przypominało żeliwnego tygła. Zrzuciła na podłogę dwie grube, iluminowane księgi i dostrzegła bladą poświatę. Usunęła jeszcze dwie, a wtedy za nimi ukazał się kociołek na trzech nóżkach. Boki miał rzeźbione w głowy gorgon. Na wierzchu ktoś położył oprawny w skórę tom, który tłumiał blask wydobywający się z wnętrza. Kiedy go zdjęła, nieskazitelnie gładka tafla zaczęła świecić. Koral schwyciła w dłonie ciężkie naczynie i pospiesznie opuściła komnatę, odprowadzana tępym, wszechwiedzącym spojrzeniem trupa. Pragnęła jak najszybciej opuścić pracownię. Na myśl o ponownym spotkaniu dziewczynki w falbankach dreszcze przebiegały jej po krzyżu, ale sąsiednia sala była pusta. Nie pozostało w niej nawet jedno fruwające oko.

Droga powrotna przez rozchichotany korytarz przypominała podróż przez piekło. W połowie drogi zaczęła biec, a szepty i skrzypienia podążyły za nią, zachwycone gonitwą. Bez tchu wpadła do celi Corneta.

— Widział cię ktoś? — w jego głosie brzmiał niepokój.

— Dziecko o twarzy diabła i trup z zaszytymi ustami — wydyszała. — Och, Jezu, Cornet! Ta mała bawiła się ludzkimi oczami! A on leżał, cały siny...

— W porządku. — Crux uspokajająco położył rękę na jej ramieniu. — To tylko pies i jeden z eksperymentów Sykstusa. W tej chwili nic nam nie zrobią. Postaw tygiel na stole i zamknij drzwi.

Posłusznie wykonała polecenia. Cornet nerwowo przeszedł się po pokoju. Zauważyła, że jakoś sztywno się porusza. Wargi miał całkiem bezkrwiste. Podał jej kawałek rzemyka.

— Zwiąż mi włosy, dobrze?

Wsunęła dłonie między grube, lśniące pasma. Prześlizgiwały się po palcach jak jedwab. Nigdy nie widziała tak pięknych włosów. Związując je rzemieniem nisko na karku, poczuła, że Cornet drży. Zerknęła na jego ostry profil i nie ośmieliła się spytać dlaczego.

— Włóż rękę do naczynia — powiedział. Wyczuła w jego głosie napięcie. — Dotknij samej powierzchni.

— Po co? — spytała.

— Obiecałaś mi pomóc, tak? Więc rób, co mówię. Śmiało. Nic ci się nie stanie.

Ostrożnie musnęła palcami błyszczącą ciecz. Po skórze przebiegło delikatne mrowienie i przyjemne ciepło. Zanurzyła całą dłoń, a gdy ją wyjęła, zobaczyła, że wewnętrzna strona jest srebrna.

— Podejdz do mnie — nakazał Cornet. Mimo woli mówił trochę ochryple. To nic, pomyślał. Nic

w porównaniu z wiecznością w piwnicach domu Sykstusa. Dziewczyna zbliżyła się, ale w jej ruchach czytał niepokój. Nabrał głęboko powietrza i uśmiechnął się. To był zacięty, zły uśmiech, bo przypomniał sobie pochylających się nad nim Amanusa i Justusa z szyderczym triumfem na gębach. Ujął srebrną rękę Koral za nadgarstek, wsunął sobie pod kurtkę i mocno przycisnął do piersi tuż pod obojczykiem. Krzyknęła ona, nie Crux. Wyszarpnęła rękę i odskoczyła. Wstrząśnięta, potrząsała dłonią, która już nie była srebrna, a Cornet próbował nabrać tchu przez zaciśnięte zęby. Ból zawodził w każdym włóknie nerwów, ale nie był tak straszny, jak podczas kreślenia liter. Ostrożnie odchylił poję i spojrział. Misterny wzór znikł. Zastąpiła go czerwone plama podobna do krzyczących ust.

— Chodź skarbie — powiedział. — Załatwimy się z resztą.

Słowa pozwalały się artykułować opornie, a oddech wciąż świstał między zaciśniętymi zębami.

Dziewczyna patrzyła na niego ze wstrętem.

— Nie! — krzyknęła rozpaczliwie. — Nie zrobię czegoś podobnego!

Szarpnęła ją za ramiona.

— Posłuchaj, Koral. Inaczej nigdy stąd nie wyjdę — krzywiąc się ściągnął kurtkę i cisnął na stół.

— Popatrz! Widzisz? Muszę pozbyć się tych pieprzonych znaków. Dzięki nim Sykstus ma nade mną całkowitą władzę. Nie wyobrażaj sobie tylko, że będę błagał o życie, bo do tego się nie zniżę!

— Jesteś szalony! — jęknęła. — Wszyscy powinniście się leczyć!

Cornet poczuł, jak ogarnia go znany, bezpieczny stan wkurzenia, który tłumi cierpienie, zagłusza rozpacz i przesłania lęk. Jego oczy zapłonęły wściekłością.

— Myślisz, że mnie to bawi?! — wrzasnął. — Że jestem jakimś pieprzonym świrem, który znajduje przyjemność w czymś takim?! Po prostu nie chcę tu gnić do skończenia świata! Sam bym to zrobił, ale nie mogę. Własne dłonie odmawiają mi posłuszeństwa. A nawet gdyby udało mi się nabrać tego srebrnego cholerstwa w ręce, to przepali je aż do kości. Popatrz na mnie! Powiedziałem, popatrz! Nie jestem człowiekiem, Koral, ale, kurwa mać, nie jestem zrobiony z drewna! Rozumiesz?

— Nic nie rozumiem! Nie mam z tobą nic wspólnego. Nie chcę cię znać, nie chcę cię widzieć! Ciebie i twoich dzieci z twarzami diabłów, potworów o zaszytych ustach, czarodziejskich hokus — pokus, magicznych zwierciadeł i... chcę do domu! Pozwól mi wrócić do domu!

Po policzkach dziewczyny płynęły łzy.

Wielka fala rezygnacji załała, serce Corneta i w jednej chwili zatopiła rozpaczliwą żądę przeżycia. Nagle nie umiał znaleźć żadnego powodu, żeby dalej walczyć. I tak zdechnie w konwulsjach, dławiąc się krwią. Czy to istotne, na czyjej podłodze, Sykstusa czy własnej? Honor? Miał dość honoru. Dość bólu, śmierci, triumfów, nadziei i całego klanu Dellvardan. Co go obchodzi, że zamiast szeptać jego imię z szacunkiem i lękiem, będą gadać jak Crux Cornet konając, lizał buty śmiertelnego wroga.

Pochylił się nad stołem, oparł łokcie o blat. Ścisnął skronie. Czuł się wyczerpany i chory. Świeże oparzenia bolały jak wszyscy diabli.

— Nie płacz — powiedział obojętnie. — Nie warto. Nie mogę cię wysłać do domu. Przykro mi. Musisz sama stąd wyjść. Schodami, koło pracowni Sykstusa w górę, potem w prawo i prosto. Na końcu korytarza znajdziesz drzwi. Gdy wyjdiesz na ulicę, staraj się dokładnie przywołać obraz swojej sypialni. Kiedy pojawi się w owalnej ramie z mgły, przejdź. Nie bój się, nie powinnaś napotkać kłopotów. W razie czego powiem, że ściągnąłem cię siłą. Zresztą, to prawda. Żegnaj, skarbie — przez usta przemknął mu krzywy uśmieszek. — Mimo wszystko, miło było cię poznać.

Koral łykała łzy. Przez tę mokrą, rozmazaną zasłonę widziała szczupłe plecy Corneta z kręgosłupem, jak sznur pełen supłów. Dwa misterne, zaognione wzory na łopatkach wyglądały niczym śpiące węże.

Wtedy zaczęła mgliście rozumieć, że życie Cruxa Corneta z Ludu Luster nie obfitowało w wiele chwil wolnych od gniewu, bólu i samotności, a przekleństwo krwi sięga o wiele głębiej poza nieszczęsny klan Seimle. Ciężko być taką istotą, pomyślała, czując jak przepelnia ją współczucie i żal. Bała się Corneta, lecz w żaden sposób nie mogła wzbudzić w sobie odrazy czy potępienia. Stoi właśnie przed demonem, przed stworzeniem, które ludzie przez wieki słusznie nazywali diabłem, i nie ma w niej nie tylko nienawiści, ale nawet niechęci.

Podeszła i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Przeszedł ją dreszcz i głęboki wstrząs, bo dotknęła aksamitu promieniującego niezwykłą mocą. Przesunęła palce po skórze, a energia przepłynęła przez nie, uderzając w dziewczynę kolejnym dreszczem. Crux się nie poruszył, lecz Koral wydało się, że cały świat zawirował, że zetknęła się z czymś, co przewyższa ją i rzeczy, które do tej pory miały dla niej znaczenie. W nagłym przebłysku pojęła, że ta istota, ten mężczyzna, jest ważniejszy niż wszystko, co kiedykolwiek przeżyła. Niż pusty dom, ojciec w wiecznych wyjazdach służbowych, widmo strojącej się matki, narzeczony Dawid, którego zgodziła się poślubić, bo nie był jej nienawistny, a swoim majątkiem i pomysłami bardzo pomógłby rodzinnej firmie, ważniejszy nawet niż ona sama. Przy nim wszystko blakło, sprowadzone do roli martwego odbicia w lustrze, ponieważ tylko Cornet był prawdziwy. Mój świat to tylko odbicie jego świata, pomyślała. Wtedy zrozumiała, że nie potrafi skazać Coarneta na śmierć i hańbę, w oczach tego człowieka nieporównanie gorszą od śmierci. Już nie miała swojej duszy, bo Crux ją zabrał. Za darmo, bez cyrografu, bez czegokolwiek w zamian.

— Cornet — wyszeptała.

Zwrócił na nią zmęczone spojrzenie.

— Może lepiej byś usiadł...

Uśmiechnął się paskudnie, drapieźnie, a Koral się przestraszyła, że ją znienawidzi. Ale jej strach był bezpodstawny.

Targnął nim ból, więc zagryzł wargi. Srebro kapkało z palców Koral, zamieniając senne węże w jeziora czerwieni, lecz to łzy, które spływały po policzkach dziewczyny, byłyby zdolne przepalić nawet diamenty.

Żeby wstać, musiał chwycić się blatu. Podłoga lekko falowała, ale gdy tylko ostatnia z liter znikła, Cornet poczuł, jakby zdjęto mu z ramion prawdziwą, ciężką obręcz. Wyprostował się, odetchnął swobodnie. Żyję, pomyślał. Jeszcze nie zdycham. Jeszcze zdążę oddać Sykstusowi i mojemu bratu to, co się im należy.

Oparzenia wprawdzie bolały, lecz Crux od dawna nie czuł się tak dobrze. Żyję, myślał, z każdym oddechem odzyskując siły. Och, Sykstus! Trzeba było mnie zabić, krwawy skurwysynu!

Przypomniał sobie o dziewczynie. Była bardzo blada, a usta lekko jej drżały. Wyszczерzył do niej zęby.

— Już w porządku. Przestań się przejmować. Jestem złym facetem. Należało mi się. Chodź! Musimy stąd wyjść. Na razie zaliczyliśmy dopiero połowę sukcesu.

Wciągnął na siebie postrzępioną kurtkę. Chwilę rozglądał się w poszukiwaniu broni, ale niczego takiego nie znalazł.

— Cornet? — szepnęła. — Co?

— Czy tu zawsze tak jest?

Zrozumiał, o co pyta.

— Tak — powiedział. — Obawiam się, że tak.

Wyciągnął do niej rękę.

— Chodź. Czeka nas wycieczka po siedzibie rodu Dellvardan.

Wypchnął ją na korytarz. Skierowali się w lewo, ku pracowni Sykstusa. Echo podchwyciło odgłos ich kroków. W ścianach znów ożyły chichoty i szelesty. Cienie, które rzucali w mdłym, nierównym świetle wyginały się spazmatycznie w kształt pożerających się nawzajem potworów. W powietrzu unosił się piwniczny zapach, przemieszany z odległym wspomnieniem ciężkiego, kadzidlanego dymu. Przycupnięte w niszach posągi wodziły za przechodzącymi metalowymi łbami.

Cornet nie pamiętał, od jak dawna tędy nie chodził. W mrocznych, chłodnych korytarzach bawił się jako dziecko, kiedy podziemia i pracownia należały do jego ojca.

— Boże, co za upiorne miejsce! — jęknęła Koral. Drżała.

— Po prostu piwnice — mruknął. — Chociaż faktycznie, niezbyt przytulne. Mam nadzieję, że nikt nie zechce nagle zleźć na dół.

— Co jest za tymi drzwiami? — spytała, wskazując na rzędy zamkniętych wrót.

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Większości z nich nikt nie otwierał od setek lat. Część cel z pewnością stoi pusta, w niektórych Sykstus trzyma swoje martwiaki i materiał do eksperymentów, a w innych są zamknięci więźniowie, wrogowie i zdrajcy klanu, czasem demony, większość z nich dawno zapomniana. Wolę nie myśleć, jak wyglądają po kilku setkach albo tysiącach lat.

— Więc mogą jeszcze żyć? — szepnęła wstrząśnięta.

— Jasne — powiedział. — Sam bym tak skończył, gdyby nie ty.

— Jesteście nieśmiertelni?

Usta Corneta wykrzywił nieładny uśmiech.

— Nie wiem, dziewczyno. Nikt z nas nie doczekał naturalnej śmierci.

Zamilkła.

Za zakrętem korytarza pojawiła się pracownia. Skrzydła drzwi pozostały rozwarte, tak jak zostawiła je Koral. Po lewej stronie otwierał się mroczny wylot klatki schodowej.

Wtem z wnętrza po prawej wyłoniła się niezgrabna, potężna postać. Trup. Czarne szwy pełzły po jego wargach. Bezradnym gestem wyciągał ramiona, jakby prosił o pomoc w zrozumieniu czegoś, co przerasta możliwości jego umysłu.

Koral pisnęła i chwyciła Corneta za łokieć.

— Co to jest? — wyksztusiła.

— Mój kuzyn Ivo — w głosie Cruxa pobrzmiwała ironia. — Pies. Wy się chyba już poznaliście.

— Czy jest coś, z czego nie kpisz, Cornet? — wybuchła. — Przecież to ożywiony nieboszczyk!

Spojrzał na dziewczynę, dostrzegł jej bladość, drżące palce i zrozumiał, jak bardzo musi się bać.

— Przepraszam, Koral. Dla mnie to normalne. Zwykły martwiak. Nie jest jeszcze gotowy, więc nie robi nam nic złego. Wiesz, dlaczego ma zaszyte usta? — spytał, nie mogąc się powstrzymać.

Potrząsnęła głową.

— Bo śmierdzi — powiedział.

Koral wzdrygnęła się. Chwycił ją za rękę i pociągnął w kierunku schodów.

— Nie bój się. To tylko pies. Bryła mięsa. No już, idziemy.

Posłusznie zaczęła pokonywać stopnie. Cornet zastanowił się, czy nie wrócić, żeby zniszczyć psa, ale nie miał żadnej broni, a martwiaki są bardzo silne, więc zrezygnował.

Położył dłoń na wyslizganej poręczy, starając się wyrzucić z umysłu wspomnienia, jakie wywołało dotknięcie metalu. Szerokie, ciemne schody wyprowadziły ich na górę, wprost do Galerii Szeptów. Crux znów ujrzał ogromny, wysoko sklepiony hol, którego zakrzywiony w ostrołuk sufit tonął w półmroku. Nie liczył na to, że za życia uda mu się jeszcze raz znaleźć się w tym miejscu. Korytarz z surowej cegły i kamienia był niezwykle długi, a przestrzeń zdawała się tutaj załamywać

pod dziwnymi kątami. Ponoć, jeśli ktoś znał odpowiednie formuły, mógł przemieszczać się nim poza czasem i wymiarami, ale wiedza ta zaginęła wraz ze starożytnymi pokoleniami rodu Dellvardan.

Wysoko w górze wiązki żebrowań podtrzymujących sufit podawały sobie ręce, tworząc sklepienie. Na gzymsach siedziały przykucnięte gargulce, kamienne nietoperze rozkładały skrzydła do lotu, a pod ścianami przemykały misternie rzeźbione jaszczurki. Hol był tak ogromny, że odgłos kroków na marmurowej posadzce, ułożonej z czarnych i białych rombów, nił w ciszy. Na ścianach wisiały obrazy oprawne w ciemne, zgryzione przez korniki ramy. Były to naturalnej wielkości portrety członków klanu, zastygłych w sztywnych pozach. Cornet przesunął wzrokiem po ich surowych obliczach i poczuł, że wrócił do domu.

Mieli do przejścia spory kawałek galerii, bo Crux wybrał drogę przez najstarszą, najmniej uczęszczaną część domu. Spieszył się. Żeby za nim nadążyć, Koral musiała biec. Mroczny korytarz, jakby żywcem wyjęty z powieści grozy, wydawał się dziwnie znajomy. Mijane po drodze portrety przyciągały uwagę, jakby każdy z nich wołał coś do niej bezgłośnie. Były piękne. Wylaniające się z ciemnego tła twarze zdawały się jaśnieć wewnętrznym blaskiem. Postaci stały na tle nierealnych krajobrazów, przedstawiających leśne jeziora, okrągłe jak zgubiona moneta lub postrzępione szczyty zwieńczone warownymi zamkami.

Nagle, wśród rzędów obrazów, oczom Koral ukazał się portret długowłosego mężczyzny z dłonią wspartą o biodro. W tle, na wzgórzu, płonęło miasto. Natychmiast rozpoznała ostry profil. Teraz stało się jasne, dlaczego nie znalazła tego obrazu w żadnej książce ze swojej biblioteki.

— Cornet, to ty! — zawołała. — Znam ten portret. Widziałam go we śnie!

Zatrzymał się, zaskoczony. Dziewczyna musiała mieć jeszcze więcej mocy, niż przypuszczał, jeśli śniła, że przechadza się korytarzami siedziby jednego z najpotężniejszych rodów po Prawdziwej Stronie. Szczególnie tym korytarzem.

— Jesteśmy w Galerii Szeptów — wyjaśnił. — Znajdziesz tu portrety wszystkich dobrze urodzonych członków rodu. W każdym wizerunku pozostaje część mocy modela, bo prawdziwy portret zabiera kawałek duszy. Podobno czasem obrazy rozmawiają ze sobą. Oczywiście, kiedy w pobliżu nikogo nie ma. Dobrze się rozglądaj, a zobaczysz innych znajomych.

Zerknęła na ścianę po lewej. Obraz w masywnej ramie przedstawiał mężczyznę o rysach uderzająco podobnych do Corneta. Był jednak starszy, mocniej zbudowany, a długie, rozpuszczone włosy miały jaskrawo rudy kolor. Władcze spojrzenie zdawało się przewiercać dziewczynę na wylot. Na przeciwległej ścianie wisiał portret lodowej piękności o kruczych lokach. W długich, bladych palcach trzymała świerszcza. Koral spojrzała na nią i zadrżała.

— To moja matka — powiedział Cornet, uśmiechając się krzywo. — Była czarownicą. Śmiertelniczką, tak jak ty. Zmusiła ojca, żeby się jej ukazał i o mały włos nie zrobiła z niego niewolnika, a był już wtedy starszym rodu i faktycznym przywódcą większości klanów. Szaleńczo się w niej zakochał, przeprowadził ją i pojął za żonę. Stary drań i suka dobrali się jak w korcu maku. Byli siebie warci. Czasem zastanawiam się, o czym rozmawiają nocami, ale wolałbym tego nie słyszeć.

Koral poczuła nagły niepokój, a jej ręce zrobiły się mokre od potu.

— Człowiek może się stać jednym z was, Cornet?

Skinął głową.

— Tak. Pod warunkiem, że ktoś wysokiej krwi przeprowadzi go na Prawdziwą Stronę i całkowicie wypełni mocą.

— A ty jesteś wysokiej krwi?

Uśmiechnął się, pokazując duże, ostre zęby.

— Najwyższej, skarbie. Mój ojciec trząsał wszystkimi klanami. Miał tyle mocy, że nikt nie potrafił go pokonać. W końcu załatwił go Sykstus, nie bez pomocy Kręgu. Wtedy objął władzę nad rodem Dellvardan, ale stracił kontrolę nad pozostałymi klanami. Nasza rodzina wciąż ma bardzo silną pozycję, lecz już nie dominuje nad innymi. Spójrz, tam wiszą Vax i Ivo, siostrzeńcy i kandydaci na następców Sykstusa. Znacznie uprościłem mu wybór, odkąd Iva przerabiają w piwnicy na psa. Brakuje tej gnidy, Justusa, bo nie ma prawa tutaj zawisnąć. Stary sukinsyn go nie uznał i nie dał mu swego nazwiska. Został Vallegro, po matce, nie Calderon. Muszę przyznać, że ojciec miewał przebłycki wielkiego rozsądku. Chodź, nie możemy tu dłużej sterczeć. Jesteśmy w domu wroga.

Oboje drgnęli, gdy w oddali rozległo się skrzypnięcie zawiasów i daleki odgłos rozmowy.

— Ktoś idzie! — syknął Cornet, chwytając dziewczynę za ramię. Popchnął ją na ścianę, gdzie nagle, za figurą przyczajonego gryfa, pojawiły się, dotąd zupełnie niewidoczne, wąskie, wiodące w górę schodki.

— Idź za mną — szepnął do ucha Koral, znikając w otworze. Słyszał za sobą jej przyspieszony oddech. Dłoń dziewczyny dotknęła jego pleców, poczuł palce wplątane we włosy.

Schody pięły się stromo, niezliczoną ilością serpentyn. Powietrze, przesycone zapachem kurzu, nawet nie drgnęło. W ciemności Cornet potknął się kilka razy, zanim wyciągnięte po omacku ręce natrafiły na opór ściany. Wymacał znajomą klapkę, odsunął i zerknął przez maleńki otwór. Widoczny w nim pokój wydawał się pusty.

— Wchodzimy — szepnął, cicho przekręcając zapadkę. Sekretne drzwiczki otworzyły się bezszelestnie, gruby dywan stłumił odgłos kroków. Znaleźli się w przestronnym, przyjemnie urządzonym saloniku, pozbawionym jednak okien. Ciepłe, równomierne światło zdawało się promieniować z sufitu. Obracał głowę, by spojrzeć na Koral, gdy kątem oka dostrzegł w rogu, przy biurku, czyjąś sylwetkę. Rozpoznał szerokie barki i kędzierzawe włosy Millo Oexena. Niemal w tym samym momencie Millo zobaczył jego. Błyskawicznie odskoczył od biurka, z wyrazem wściekłości i zaskoczenia na twarzy. Crux natychmiast zauważył, że podobnie jak on nie ma broni. Przez sekundę zamarli w bezruchu, wreszcie Oexen rzucił się do ataku. Cornet zrobił unik, przemykając tuż pod potężną pięścią. W bezpośrednim starciu z dużo silniejszym przeciwnikiem musiał liczyć na zwinność i szybkość. Millo był potężny, ale mało zwrotny.

Wystraszona Koral tuliła się do ściany. Crux zrobił kolejny unik, jednocześnie wyprowadzając cios w brzuch Milla. Trafił, ale równie dobrze mógłby uderzyć w stalową płytę. Odskoczył, lecz wielka pięść grzmotnęła go w zębra, pozbawiając tchu. Widząc wzniesioną do ciosu łapę olbrzyma, odruchowo poderwał w górę ramiona, pewien, że jedno solidne uderzenie w głowę zakończyłoby walkę na korzyść Oexena. Zanim zdążył je opuścić pojął swój błąd, gdy coś na kształt małego samolotu rozbiło się o jego odsłonięty bok. Siła uderzenia pozbawiła go równowagi. Zatoczył się na stół, bezskutecznie próbując zaczerpnąć trochę powietrza. Zgięty w pół zawisł na blacie, a Millo, niczym wielka, niespieszna lawina ruszył na niego. Pochylony nisko Crux trzasnął go krzesłem po nogach. Oexen się potknął, a Cornet walnął resztkami krzesła w kudłaty łeb. Millo przykleknął. Crux błyskawicznie spuścił pięść na nasadę jego szerokiego nosa. Buchnęła krew, lecz wbrew zdrowemu rozsądkowi, olbrzym zamiast zachwiać się lub zwinąć, zaczął wstawać na nogi. Calderon okręcił się, żeby grzmotnąć go łokciem w splot słoneczny, gdy wielka łapa zacisnęła mu się na ramieniu, miażdżąc ranę po oparzeniu. Crux zobaczył przed oczami snop iskier, usłyszał własny gardłowy okrzyk. Millo bez miłosierdzia wykręcał mu rękę. Jeszcze sekunda, a kość trzaśnie jak suchy patyk. Cornet szarpnął się i z całej siły kopnął przeciwnika kolaniem w podbrzusze. Uścisk zelżał, więc udało mu się wyrwać ramię. Natychmiast odskoczył z zasięgu pięści Milla, który zamiast kulić się z bólu właśnie się prostował. W nagłym przebłyску Cornet zrozumiał, że zginie, jeśli natychmiast nie

znajdzie broni. Chciał zanurkować za stół, ale potknął się o resztki krzesła. Runął na podłogę, a Millo już był przy nim. Ponad sobą ujrzał szeroką, zadowoloną mordę. Grube palce wyciągnęły się ku jego szyi. Spróbował kopnąć Oexena w brzuch, ale nie zdołał, bo Millo zerwał się, wydając nagły ryk wściekłości. To błada jak płótno Koral spuściła mu na łeb ciężki, mosiężny świecznik. Jednym ruchem ręki odrzucił dziewczynę na ścianę, lecz w tej krótkiej chwili Cornetowi udało się wstać. Świecznik upadł na dywan, a dłoń Cruxa natychmiast się na nim zacisnęła. Z rozmachem trzasnął olbrzyma w twarz, ale mocarna łapa zdołała wyszarpnąć kandelabr z ręki Corneta, niemal łamiąc mu palce. Koral, kaszląc, usiłowała się podnieść. Okrwawiony Millo, upiorny niczym Minotaur, rzucił się na Calderona, potrząsając zdobycznym świecznikiem. Crux śmignął za stół, unikając trafienia, które odłamało część blatu. Oddychał szybko, a serce waliło w przyspieszonym rytmie. Sukinsyn mnie zabije, pomyślał. Gorzej, połamie mi większość kości i odniesie w zębach Sykstusowi. Muszę go czymś załatwić.

Porwał następne krzesło, żeby mieć choć symboliczną zasłonę przed furczącym w powietrzu kandelabrem. Pierwszy cios Milla rozbił prowizoryczną tarczę, lecz Cornet dalej parował ciosy kawałkami mebla, jednocześnie starając się wypatrzeć coś, co mogłoby posłużyć za lepszy oręż. Kątem oka dostrzegł na blacie biurka metaliczny błysk. Dopiero po chwili mógł zaryzykować dłuższe spojrzenie. Nóż do papieru. Piękny, stary sztylet o kościanej rękojeści. Teraz musiał tylko cofać się do biurka, unikając trafienia świecznikiem i wbić nóż w serce Milla. Tymczasem olbrzym napierał na niego twardo i zaciekle. Cornetowi mdlały ręce, od potężnych ciosów przeciwnika drętwiały mięśnie. Z krzesła pozostały tylko dwie wyszczerbione nogi. Cornet z wolna tracił siły i, co gorsza, refleks. Bronił się z trudem. Walczył przyparty do biurka, ale wciąż nie miał okazji sięgnąć po nóż. Sytuacja stawała się tak rozpaczliwa, że postanowił zaryzykować. Zebrawszy wszystkie siły, odbił rękę Milla, aż zabójczy świecznik trzasnął o ścianę z taką siłą, że pękł na dwoje. Nogi od krzesła rozleciały się w drzazgi. W ręce Oexena pozostał przelamany, ostry kawał metalu, którym zdołał drasnąć Corneta w pierś. W oczach Milla pojawił się błysk triumfu. Zapędzony w kąt Crux nie miał już gdzie uciekać. Oexen uniósł do ostatniego ciosu pięść zbrojną w resztkę świecznika, lecz palce Calderona zdążyły namacać rękojeść noża. Zgiętym ramieniem osłonił twarz, udając, że próbuje przyjąć na nie uderzenie. Grube wargi Milla rozciągał uśmiech. Zwyciężył. Wziął szeroki zamach, a wtedy nóż Corneta skoczył do przodu, zagłębiając się w oku przeciwnika. Millo zawył, podrywając ręce do twarzy, a Calderon uświadomił sobie, że dotychczas walczyli niemal w całkowitym milczeniu. To dobrze. Mniej hałasu oznacza mniej kłopotów. Trzeba tylko uciszyć Milla, bo jego wrzask rozniesie się po całym domu. Ręka pewnie pokierowała nożem, który płynnym ruchem wbił się między żebra Oexena. Krzyk urwał się gwałtownie, zmieniony w głuche stęknienie i olbrzym zwałił się na podłogę.

Cornet przez chwilę z trudem łapał oddech. Twarz, włosy i tors miał mokre od potu. Z przykrością stwierdził, że ostatnie wydarzenia źle odbiły się na jego kondycji.

Szturchnął trupa nogą.

— Powodzenia na nowej drodze życia — mruknął. Poszukał wzrokiem dziewczyny. Siedziała na podłodze, przestraszona i oszołomiona.

— Nic ci nie jest? — spytał.

Potrząsnęła głową.

— Na pewno?

— Na pewno — potwierdziła słabo.

Spróbował się uśmiechnąć.

— Dzięki za pomoc.

Skrzywiła się.

— Ładna pomoc. Niemal cię wykończył tym świecznikiem.

— Fakt — mruknął. — W dodatku paskudnym. Sykstus nigdy nie grzeszył gustem.

Kłęknął przy trupie, wyszarpnął nóż i starannie otarł ostrze koszulą Milla. Obrócił ciało, żeby zamiast na boku, leżało na wznak. Spojrzał w nieruchomą twarz olbrzyma. Zastygł na niej wyraz niedowierzania i złości. Cornet westchnął. Bez względu na to, co pomyśli Koral, nie może pozwolić, żeby Sykstus przerobił go na psa. Millo — martwiak stanowiłby potężną broń. Nawet za życia mało się różnił od żywego trupa.

Rozejrzał się za czymś pomocnym. Na gzymsie kominka stał posążek tańczącego fauna. Miał masywną kanciastą podstawę. Crux sięgnął po niego, zważył w dłoni. Będzie dobry — uznał. Stał w rozkroku nad ciałem.

— Co robisz? — usłyszał szept Koral i spuścił fauna na kędzierzawy łeb Milla. Rozległo się brzydkie chrupnięcie. Cornet zamachnął się znowu, tym razem masakrując twarz trupa. Zbryzgany posoką faun nie przerwał tańca. Po trzecim ciosie czaszka pękła. Krew otoczyła głowę Milla szybko rosnącą aureolą. Crux odrzucił posążek. Koral poczuła, że chwytają ją mdłości.

— A jednak miał mózg — mruknął do siebie Cornet. — Nigdy bym nie podejrzewał.

— Zwymiotowałam — poskarżyła się Koral.

— Rzygaj śmiało, dziewczyno. Dywanu i tak nie da się uratować. Szkoda, lubiłem go.

— Dlaczego to zrobiłeś? — Wybuchła. — Dlaczego robisz takie wstrętne rzeczy?

Odgarnął włosy. Rzemień zsunął się z nich już na początku starcia z Millem.

— Chyba jestem zły — powiedział. — Jak wszyscy. Diabły z lustra. Jeszcze tego nie rozumiałaś? Martwy Millo przerobiony na psa byłby dla mnie groźniejszy niż żywy. W ten sposób Sykstus nie będzie miał z niego pożytku. Zostanie z kupą rozwalonych mebli i zniszczonym dywanem.

Zabrał się do przeszukiwania szuflad biurka.

— Z ciebie też zrobią martwiaka, jak zginiesz? — Parsknęła z gniewem.

— Nie. Psem może zostać tylko ktoś bezgranicznie lojalny wobec klanu. O mnie trudno to powiedzieć — wyjaśnił, grzebiąc we wnętrzościach szuflad.

Wreszcie wśród rupieci dostrzegł to, co miał nadzieję znaleźć. Palce dotknęły przeraźliwie zimnej, mydlanej powierzchni. Sięgnął głębiej i wyciągnął płaski pistolet o długiej lufie. Sprawdził, czy jest załadowany. Już miał zatknąć go za pasek na plecach, gdy po chwili wahania wcisnął broń w rękę Koral. Gdyby przypadkiem się rozdzielili, on sam, uzbrojony w sztylet, znający świetnie rozkład domu, Dellvardan Wysokiej Krwi, miałby szansę przeżyć. Bezbronna śmiertelniczka nie.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia, omal nie upuszczając broni na podłogę. Nie zdziwił się. Pistolet był wstrętny. Pół przezroczysty, jakby półżywy. Natychmiast zaczął spijać ciepło z jej dłoni. Miał żółtawą, niejednorodną barwę plwociny. Nawet Cornet nie potrafił trzymać go bez odrazy. Ale był niezawodny. Crux go odbezpieczył. Natychmiast zaczął pić ciepło ze zdwojoną aktywnością.

— Weź to — powiedział Koral. — Strzelaj natychmiast, gdy kogoś zobaczysz. Staraj się po prostu trafić. Nie musisz się martwić o wyrzuty sumienia. Nie jesteśmy ludźmi. — Uśmiechnął się krzywo.

— Cornet — stęknęła. — Ta rzecz jest ohydna.

— Ale bardzo pożyteczna. W razie czego uciekaj przez okno. Nigdy przez drzwi. Byle dalej od domu. Potem tak jak mówiłem. Przywołaj obraz sypialni i przejdź.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Chodź — powiedział, nie pozwalając o nic pytać.

— Straciliśmy mnóstwo czasu, może być już za późno, żeby wyjść.

Poprowadził ją w głąb amfiladowych, bezokiennych pokoi, urządzonych ze smakiem, oświetlonych pozbawioną źródła jasnością. Musieli dotrzeć do najbliższej ściany z oknami. Nie mieli szansy wrócić na dół do Galerii Szeptów, bo sekretne przejście nie otwierało się od strony pokoju.

Cornet wyczuwał w całym skrzydle zaburzenia równowagi magicznej, spowodowanej przełamaniem kilku zaklęć i zabójstwem Milla. Sysktus prawdopodobnie też je odczuwa, chociaż chyba jeszcze nie domyśla się przyczyny. Dom rodu Dellvardan był niezwykle rozległy. Trzon stał oczywiście po Prawdziwej Stronie, ale poszczególne części sięgały różnych wymiarów. Koral sama, bez Cruxa zdołałaby może wyjść z budynku przez któreś drzwi, choć z pewnością już nie teraz. Cornet jako wysoko postawiony przedstawiciel Ludu Luster, nie miał na to żadnych szans. Powrót do siedziby rodu potęgował jego moc i dodawał siły, lecz równocześnie nakładał poważne ograniczenia. Zwłaszcza dotyczące posłuszeństwa wobec starszego klanu. Próba wdarcia się do rzeczywistości Koral przez któreś z wejść głównych równałaby się szaleństwu. Pozostawało okno wychodzące na Prawdziwą Stronę najlepiej od ogrodu, gdzie blokady były najslabsze. Crux miał nadzieję, że dziewczyna zdoła je przełamać. Jemu czary Sykstusa nie pozwoliłyby nawet dojść do framugi.

Drgnął, bo zdawało mu się, że kątem oka zobaczył ruch. Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł niczego. Jednak instynkt kazał mu natychmiast uciekać. Serce zabiło mocno, a w głowie zadzwoniły ostrzegawcze brzęczyki.

— Biegnij, Koral — krzyknął, popychając dziewczynę w kierunku bocznego korytarza. Zawahała się.

— Szybciej, uciekaj!

Wpadł za załom muru. Koral znikła w ciemnym pokoju.

Nagle usłyszał cichy, śpiewny świst. Znajomy i bardzo złowróżbny. Krzyknął gardłowo, gdy w lewym ramieniu narodził się potwór. Darł je pazurami, palił oddechem, rozdzierał na strzępy. Cornet grzmotnął plecami w ścianę. Nogi go nie utrzymały i zaczął się osuwać. Własny oddech brzmiał w uszach jak jednostajny jęk. Pocisk przestrzelił ramię na wylot. Nie utkwiał w ciele, ani nie uszkodził kości. Inaczej Cornet dawno straciłby przytomność. Trucizna szalała, zmieniając rękę w pochodnię, w kawał żelaza na kowadle, w miązgę tkanek, nerwów i krwi.

Przez różową mgłę, która nagle zasnęła pokój, Cornetowi zamajaczyła sylwetka wysokiej, silnie zbudowanej kobiety. Szeroka twarz, czarne, kędzierzawe włosy. Maxima Oexen, siostra Milla. W ręce miała pistolet, nieco mniejszy od tego, który dał Koral. Nieznacznie przesuwiała lufę, trzymając Cruxa na linii strzału, niby owada na szpilce. Zezujące oko wylotu zatrzymało się w końcu wpatrzony w jego prawe ramię. Na twarzy Maximy pojawił się wyraz błogości. Koniuszkiem języka oblizwała usta. Na ten widok Corneta ogarnęło obrzydzenie. Bestia wciąż pożerała zranioną rękę, a ból oślepiał. Wiedział, że Maxima zaraz pociągnie za spust i przestrzeli mu drugie ramię. Czekał, a kobieta napawała się jego bólem jak cudownym spektaklem artystycznym.

Koral, ukryta w sąsiednim pokoju, doczołgała się do drzwi i ośmieliła spojrzeć.

Ona to robi specjalnie, pomyślała z przerażeniem. O Boże, jakie to wstrętne!

Maxima nie zauważyła dziewczyny. Koral uniosła broń. W głowie kołatały jej zapamiętane słowa Corneta. Wystarczy trafić.

Maxima rozchyliła w uśmiechu wargi. Powolutku naciskała spust.

Cornet starał się koncentrować wzrok na wylocie lufy. Bałby się, gdyby w ogóle mógł myśleć, lecz bestia szarpiąca mu ramię pożarła też i świadomość. Czekał.

Znajomy świst i nic. Żadnej nowej eksplozji bólu. Tylko przeciągły, agonalny wrzask. Chyba nie

jego? Niemożliwe.

Maxima runęła na ziemię, skręcając ciało jak martwy pająk.

Delikatne palce na jego twarzy. Przerażone, szarobłękitne spojrzenie.

— Cornet? Cornet? Żyjesz? O Boże, odezwij się!

Miał skórę barwy popiołu, wargi bez kropli krwi.

Szept.

— Zaraz... przejdzie... Koral.

Truczna dopalała się powoli. Wstrząsnęły nim torsje, ale ból trochę przygasł. Z wolna Cornet dochodził do siebie. Zraniona ręka była zupełnie bezwładna. Rwała niemiłosiernie, lecz to dawało się wytrzymać. Zdołał nawet wstać z podłogi.

— Chodź, Koral. Chodź, dziewczyno. Musimy uciekać.

— Dokąd? — jęknęła zdruzgotana.

— Do okien. To już blisko. Chodź!

Drżały mu kolana. Ze złością zacisnął zęby. Lepiej mi, nakazał sobie. Kurwa, właśnie że lepiej!

Podszedł do ciała Maximy, pochylił się, wyszarpnął broń z martwej dłoni. Wetknął ją za pasek. Potrząsnął głową.

— Za dużo czasu spędzam ostatnio na podłodze. Ostrożnie wsunął w rozcięcie kurtki rękę, żeby ją chociaż trochę ochronić. Koral się nie odzywała. Posłusznie poszła za Cruxem, który pewnie wybierał drogę. Miał rację. Minęli jeden korytarzyk, kilka pokoi i znaleźli się w obszernej sali. Całą jedną ścianę pokrywały okna, o framugach obrośniętych winoroślą.

— Otwórz któreś — polecił dziewczynie, starając się, żeby nie wyczuła w jego głosie napięcia.

Ostrożnie przekręciła klamkę. Zamknięcie ustąpiło natychmiast. Do wnętrza wpadł powiew ostrego, przesyconego świeżym zapachem powietrza. Cornet odetchnął z ulgą. Znów zdziwiła go łatwość, z jaką Koral łamała magiczne blokady. Wychylił się przez parapet i wyjrzał. Nie było dobrze, ale też nie tak źle, jak się spodziewał. Pod nimi, na niezbyt dużej wysokości, znajdował się dach zbudowanej na polecenie Sykstusa oranżerii. Niestety, stromy i śliski jak diabli.

Po ogrodzie przechadzała się noc. Księżyc gonił po niebie poszarpane chmury. Wielkie, blade powoje wodziły za nim rozkochanym wzrokiem. Powietrze było gęste od ich zapachu. Czarne na tle nocy drzewa potrząsały ramionami ciężkimi od liści.

Widok za oknem, choć piękny, przypominał Koral ilustrację do jakiejś upiornej baśni.

— Schodzę — powiedział Cornet. — Potem pomogę tobie.

Zerknęła w dół.

— Jak dasz sobie radę z jedną ręką?

— Dam — przerwał. — Zobaczysz.

W jednej chwili stał na parapecie po zewnętrznej stronie, a potem po prostu skoczył. Poślizgnął się na mokrym dachu, zatańczył na szczycie kalenicy, ale nie spadł. Zadarł głowę.

— Chodź — zawołał. — Tylko nie patrz w dół.

Bała się, ale gdy zabrakło przy niej Corneta, niespodziewanie większym lękiem zaczęło ją napawać wnętrze domu. Miała wrażenie, że coś nieokreślonego i strasznego pełźnie ku niej z serca budynku. Przerzuciła nogi przez parapet i zaczęła się ześlizgiwać w dół, uczipiona pędów dzikiego wina. Okazały się nadspodziewanie mocne. Wreszcie poczuła, że chwyta ją silna, duża dłoń Corneta.

— Już wiedzą — szepnął. — Poczulaś to, prawda? Rozlewa się zakłęcie obezwładniające. Teraz musimy się spieszyć jak cholera.

Spojrzała na wąską kalenicę. Zawrót głowy i mdłości. Potrząsnęła głową.

— Nie przejdę tędy.

— Przejdziesz — warknął. Czuł się źle, był obolały i krwawił. A w dodatku zdawał sobie sprawę, do czego zdolny jest Sykstus, jeśli dostanie ich żywcem.

— Daj mi rękę i zamknij oczy. Poprowadzę cię.

— Co?!

Zmierzył ją złym, zmęczonym spojrzeniem, z którego wyczytała ile wysiłku kosztuje go każdy ruch.

— Inaczej cię zostawię — powiedział. Nie zrobiłby tego. Już nie. Oboje wiedzieli, lecz wtedy Koral zdała sobie sprawę, że musi zrobić wszystko, co jej każe, żeby uratować życie. Bez słowa wyciągnęła dłoń. Zamknął na niej palce.

Szli całkiem sprawnie. Byłoby pewnie szybciej, gdyby ją niósł, ale nie miał tyle siły. Poprowadził dziewczynę po dachu oranżerii, pomógł zeskoczyć na duży, płaski taras. Stamtąd, bez specjalnych trudności, po gzymsie i małym pinaklu ześlizgnęli się na wąską galerię. Na okalającej ją galerii siedziały skulone, czarne na tle mroku gargulce. Przebiegali obok, gdy jeden niespodziewanie poruszył skrzydłami. Corneta owionął mdły smród zepsutego mięsa.

Harpie, zdążył pomyśleć, wyszarpując pistolet zza paska. Rzeczywiście, stwory, które siedziały na balustradzie galerii nie były kamienne. Najbliższy wydał przeciągły, paskudny syk. Teraz już kilka trzepotało skrzydłami, roztaczając mdlący odór. Wielki cień sfrunął z dachu na posadzkę, zagrządzając Cornetowi drogę. Obok pojawił się drugi. Za plecami też usłyszeli łopot i chrobot pazurów. Najbliższa harpia podchodziła powoli, sycząc. Jej piękna, ludzka twarz była skrzywiona w nieprawdopodobnym grymasie wściekłości i rozbawienia. Zaśmiała się, pokazując podwójny rząd ostrych, długich jak męski palec zębów.

Koral pisnęła cicho. Zasłonił ją sobą, przycisnąwszy do muru. Wiedział, że musi wystrzelać wszystkie, zanim zdążą nadlecieć ich siostry.

— Daj mi swój pistolet — wyszeptał do dziewczyny. — Spokojnie i cicho. Żadnych gwałtownych ruchów.

Lewa ręka bolała tak, że z trudem zmusił się, żeby nią poruszyć. Rękaw miał przesiąknięty krwią, dłoń wilgotną i lepką. Harpie podchodziły bliżej, co chwila wybuchając chichotem i serią syków. Wabił je zapach krwi.

Wciągnął głęboko powietrze, policzył do trzech i zaczął strzelać. Zakotłowało się. Dwa stwory, trafione niemal równocześnie, zawyły dziko, przemieniając się w pierzaste kule płomienia. W niebo uderzył chóralny wrzask. Ugodzone śmiertelnie harpie rozsypywały się na popiół. Cornet wciąż strzelał, gdy na tle księżycy ukazały się skrzydlate cienie. Rosły w oczach. Ich przeraźliwe krzyki mieszały się z jękami konających sióstr.

No to koniec, pomyślał. Nadlatuje stado. Na pobojuwisku szarpały się cztery ranne harpie. Jedna, kulejąc i wlokąc za sobą skrzydło, rzuciła się do ataku, więc rozwalil jej łeb. Dwie, kracząc i plując fruwały w powietrzu. Nadlatujące stado zbliżało się szybko, potężniejac dzięki przybywającym z odległych części dachu posiłkom.

— Gazu! — krzyknął Cornet i już w biegu zestrzelił krążącą nad głową harpię. Spadła, wyjąc. Druga nagle rzuciła mu się na plecy i byłby zginał, gdyby nie ostrzegawczy krzyk dziewczyny. Obrócił się, strzelając wprost w rozwarte, wrzeszczące usta. Smród przyprawiał o mdłości. Stwór przemienił się w łopoczącą kulę pierza, lecz nie zajął się ogniem, więc nie został śmiertelnie ranny. Crux nie miał już czym go dobić. Odrzucił oba bezużyteczne pistolety.

— Na ziemię i w krzaki! — wychrypiał do Koral. — Byłe gęste!

Pchnął ją mocno, żeby zmusić do szybszego biegu, a sam został nieco z tyłu. W ostateczności postanowił się zatrzymać i wziąć cały impet ataku na siebie, żeby dać dziewczynie szansę ucieczki.

Wzdrygnął się na myśl, że zginie rozszarpany przez harpie, ale co innego mógł zrobić.

Już nie biegli galerią, zeskoczyli na płaski daszek, stamtąd na stromy okap zakończony rynną. Rzygacz w kształcie smoka łypnął na nich obojętnie. Wciąż jeszcze znajdowali się dość wysoko, ale musieli zaryzykować skok. Na szczęście ziemię pokrywał trawnik, nie chodnik. Pierwsza skoczyła Koral. Upadła, ale chyba niezbyt groźnie.

— W porządku? — spytał Cornet. Skinęła głową.

Wylądował miękko, lecz impet skoku odbił się boleśnie w zranionym ramieniu i oparzeniach, aż na chwilę pociemniało mu przed oczami. Mimo to poderwał się pierwszy, podbiegł do Koral i objął zdrową ręką, pomagając biec. Za szeroką połacią trawnika zaczynał się park, gęsto zarośnięty starymi drzewami. Gdyby zdołali tam dotrzeć, utrudniliby harpiom pościg. Wyjące stado rzuciło się za nimi. Cornet objął Koral w pól i popędził ku gęstwinie. Chichot stworów brzmiał jak pieśń z piekieł. Mdlący odór wypełniał nozdrza. Crux czuł na karku gorące, smrodliwe oddechy. Triumfalne wrzaski ogłuszały. Dziewczyna nie była w stanie wytrzymać tempa, więc właściwie musiał ją nieść. Skraj parku zdawał się oddalać, zamiast przybliżać. Wreszcie niskie gałęzie smagnęły ich po twarzach. Wpadli między drzewa, a harpie spadły na park jak pikujące samoloty. Jednak pośród pni i gałęzi wytraciły szybkość. Starły się omijać drzewa, lecz zderzały się ze sobą i skrzecząc wściekle, zaczynały walkę we własnych szeregach. Mimo to wciąż stanowiły śmiertelne zagrożenie.

Crux rozpaczliwie rozglądał się po ogrodzie, próbując znaleźć schronienie. Pomysł zaświtał mu nagle. Różana altana. Powinna stać gdzieś w tej części parku. Chyba że Sykstus ją zlikwidował, pomyślał ponuro.

Koral potykała się co chwila, dysząc z trudem. Właściwie włókł ją, nie podtrzymywał. Skręcili gwałtownie w lewo i Cornet dostrzegł upragnioną altanę. Kutej pergoli nie było widać zza gęstwy róż, których nikt nie przycinał chyba od wieków. Nie mógł się spodziewać wspanialszego widoku. Wydłużył krok, zmuszając dziewczynę do szybszego biegu. Nie tracił czasu na odwrócenie głowy, ale i tak wiedział, że harpie ich doganiają. Znaczna część stada znalazła drogę pośród drzew.

Altana była już o krok. Crux pchnął Koral w gęstwinę krzewów. Runęli między róże. Pociągnął ją w głąb, zmuszając do czołgania. Kolce darły ubrania, wplątywały się we włosy, kaleczyły skórę. Calderon z satysfakcją odnotował wściekle, zawiedzione wrzaski, łopot skrzydeł i syk. Dopiero gdy krzaki zgęstniały za bardzo, żeby dalej się czołgać, uznał, że są względnie bezpieczni. Padł na wznak, łamiąc gałązki, z trudem chwytając oddech.

— Tradycja — wydyszał — to święta rzecz. Gdyby Sykstus nie zachował tej wzniesionej przez przedwiecznych altany, zostałyby z nas flaki.

Koral nawet nie starała się go zrozumieć. Leżała bezwładnie jak zepsuty manekin. Krzyki i syczenia harpii dawały się słyszeć jeszcze przez jakiś czas, aż ucichły. Stwory odleciały. Ale to nie oznaczało końca kłopotów. Czar obezwładniający pełzył ku nim powoli, lecz nieubłaganie. Crux wiedział, że wypełnił już cały dom, a teraz wylewa się do ogrodu. W parku, na zewnątrz murów budynku osłabł, choć nadal nie był możliwy do przełamania. Władza starszego klanu urywała się dopiero za parkanem ogrodu. Ziemia powoli nasiąkała czasem. Crux czuł nieprzyjemne mrowienie i lekki ból głowy.

Róże kierowały ku niemu zdumione pyszczki, zaglądały w twarz. Cornet myślał. Nie zdążą opuścić terenu posiadłości przed zaklęciem Sykstusa. Park jest zbyt rozległy.

Zerknął na leżącą bez ruchu Koral i niespodziewanie zachciało mu się śmiać. Wyobraził sobie jej minę, kiedy oznajmi, że znaleźli się w sytuacji gorszej niż w domu. Tam mogli chociaż liczyć na otwarcie magicznego przejścia. Pobiegajmy jeszcze trochę, kotku. Jak będziemy mieli szczęście, szlag nas trafi ze zmęczenia i wywinimy się tym sposobem zemście Sykstusa. Elfy z różanego

krzaka. Pięknie, nie ma co.

Czar obezwładniający nasilał się. Cornetowi zdrętwiały stopy, przez skórę wkradał się chłód. Tu już nie było miejsca na drwinę. Usilnie starał się znaleźć jakieś rozwiązanie, a nic nie przychodziło mu do głowy. Zmęczenie czy skutek trującej magii? Zaklął. Żałował wysiłku włożonego w ucieczkę, dziewczyny, którą w to wciągnął, zmarnowanej szansy. Żałował, lecz wcale nie zamierzał się poddać. Była jeszcze Wieża. Jedyne miejsce, do którego nie sięgała moc przywódcy klanu. Najstarszy, przesycony potężną magią fragment domu, trzon trzonów. Miała kiedyś nazwę, lecz nikt nie ośmielał się jej wypowiadać. Wieża. Przybytek umarłych. To tutaj przebywały po śmierci dusze potężnych członków rodu. To tu można było usłyszeć ich głos. Zew wieków. Zew cienia. Nikt z żyjących nie mógł długo przebywać w Wieży, jeśli nie chciał oszaleć. Nikt nie wchodził tam bez przyczyny, z własnej woli. Bo zmarli nienawidzili żywych, domagali się ich krwi. Trwali, przezarci zazdrością, czyhając na okazję by opętać śmiałka, który wtargnął do ich twierdzy, wyrwać się na wolność. Tam gdzie przebywali, między cieniami, nie mieli już takiej władzy i siły jak dawniej. A pragnęli jej całą duszą. Czasem zdarzały się opętania, katastrofalne w skutkach dla klanu, którego dotknęły. Zawsze musiały się skończyć interwencjami Kręgu, na szczęście, udanymi. Jak dotąd. Mroczna sława otaczała Wieżę umarłych. Jednak Cornet się nie bał. Był pewien, że zdoła wytrzymać zew. W końcu nosił w sobie krew ojca, który potrafił wziąć w garść wszystkie rody i przywrócić legendarną władzę królewską. Przed którym drżał Krąg. Który miał tyle mocy, że zgładzono go dopiero podłym podstępem. Gorzej z Koral. Cornet nie miał pojęcia, jak śmiertelniczka zareaguje na Wieżę. Miał jednak nadzieję, że zdoła ją ochronić.

Dotknął ramienia dziewczyny, delikatnie potrząsnął. Jej powieki zatrzepotały.

— Koral, wstań. Zabiorę cię w bezpieczniejsze miejsce.

— Co? — jęknęła, otwierając oczy. — Nie lubisz róż? Ja je uwielbiam. Tak bardzo, że chcę tu leżeć do skończenia świata. Podobno diabli wymyślili kolce. Wiesz coś o tym?

Głos dziewczyny brzmiał cierpko. Cornet się uśmiechnął.

— Skarbie, cynizm zostaw mnie. Mam za sobą wieki praktyki.

Poczołgał się przez krzaki. Ruszyła za nim. Ostrożnie rozgarnął gałązki. Harpii nie było. Odetchnął z ulgą, a wtedy, bardzo blisko, rozległ się niski, gniewny pomruk. Uniósł wzrok i spojrzał w kocie — ludzkie oczy chimery. Parsknęła, prezentując rząd ostrych kłów. Cornet zamarł. Tej z pewnością nie zatrzymają krzaki, pomyślał. Ślepie chimery wpatrywały się w niego uważnie. Dziwił się, że bestia dawno się na nich nie rzuciła. Musiała wywęszyć uciekinierów znacznie wcześniej, lecz cały czas tylko warowała przy altanie. Stała na potężnych, szponiastych łapach, bijąc o boki ogonem zakończonym żądłem. Przed sobą widział groteskowy pysk ani ludzki, ani lwi. Sierść na nim posiwiiała ze starości. Jedno okrągłe ucho było w połowie naderwane. Niemożliwe, chociaż...

— Tass — szepnął ostrożnie.

Z gardła chimery wydobył się głuchy warkot. Oblizął wargi.

— Tass — powtórzył głośniejszym głosem. — Pilnuj domu! Zwierzę nastroszyło wąsy, przysiadło, jakby się zastanawiając.

— Pilnuj domu, Tass!

Chimera targnęła łbem i znikła w ciemności.

— Boże, co to było? — stęknęła Koral. Cornet przesunął ręką po twarzy.

— Stara chimera mojego ojca — wyjaśnił. Zastanawiał się, jak Sykstus mógł być tak głupi czy skąpy, żeby nie wymienić zwierząt. I ktoś taki rządzi teraz klanem. Upadek.

Koral szarpnęła go za rękaw.

— Czy ona wróci? — spytała zduszonym szeptem.

— Nie sędzę. A jeśli nawet, nic nam nie grozi. Zna mnie od dzieciaka. Chodź.

Podniósł się na nogi. W ciemności majaczyła mroczna, przysadzista sylwetka Wieży. Zakłęcie obezwładniające rozlewało się powoli, lecz bał się, że opanuje ich, nim dotrą do kryjówki. Chwył Koral za rękę i ruszył biegiem. Musieli zawrócić w stronę domu. Wieża sterczała samotnie, oddalona od bryły budynku, ale połączona z nią łukowatym mostem, który kończył się mniej więcej w jednej trzeciej jej wysokości masywnymi drzwiami. Podobne drzwi znajdowały się również u podstawy Wieży. Nie były zaryglowane ani zabezpieczone żadnym zaklęciem, bo żadne nie miało szansy się utrzymać. Dopadli wejścia w ostatniej chwili. Cornet nie przypuszczał, że moc Sykstusa rozpełźnie się z taką siłą. Widocznie sukinsyn spotężniał w ciągu ostatnich lat. Na końcowym odcinku Crux miał nogi jak z ołowiu, w głowie słyszał nieustanny huk i mało brakowało, a byłby zemdłał. Koral radziła sobie nieco lepiej, lecz ostatnie metry przebiegła z widocznym trudem. Calderon szarpnął wielkie, kute w kształt smoków uchwyty i wpadli do wnętrza. Uderzyła ich cisza i martwota. Drzwi zatrasnęły się ze zgrzytem, lecz dźwięk był nienaturalnie przytłumiony. Wieża nie miała okien, mimo to w środku nie panowała ciemność. Ściany z surowych gładów zdawały się emanować błękitnym blaskiem. Rozmigotane cienie ślizgały się po posadzce, spływały wzdłuż boków marmurowego stołu, który stał pośrodku pomieszczenia, pełniąc honory jedyne mebla i jedyne przedmiotu w ogóle, nie licząc drabinki prowadzącej od górnych drzwi ku posadzce. Koral nie miała wątpliwości, że blok marmuru to ołtarz. Pływające po gładkiej powierzchni niebieskie bryzgi światła sprawiały makabryczne wrażenie, więc wpatrzona w nie dziewczyna zadrżała. Zupełnie jakby spływał błękitną posoką, pomyślała.

Cornet, ciężko dysząc, opierał się o ścianę. Z trudem otrząsnął się z resztek zaklęcia. Marnie się czuł i nienajlepiej wyglądał. Co prawda mocno oberwał, ale nie aż tak, żeby stracić tyle siły. Bolały go poparzone plecy i klatka piersiowa, rwała przestrzelona ręka. Ostrożnie dotknął zranionego ramienia. Wciąż krwawiło, nieznacznie, lecz uporczywie. Dawno powinno przyschnąć. Zrozumiał i warknął ze złości. Jasne, krew. Cholerna, pieprzona zaraza. Podarunek do klanu Seimle.

— To ołtarz, prawda? — Usłyszał głos Koral.

Skinął głową.

— Tak, ale nawet nie pytaj, do czego służy.

— To miejsce jest jakieś dziwne. Ja...

— Boisz się? — przerwał. — Masz czego. Stoisz w Wieży Umarłych, kaplicy klanu.

Drgnęła.

— Oddajecie im cześć?

Cornet zaśmiał się chrapliwie.

— Skąd. Staramy się nie dopuścić, żeby wyleźli na zewnątrz. Banda upiorów z dawnych wieków. Jedyne szansa, że wzięliby się między sobą za łby. Chwilowo jesteśmy bezpieczni. Żadne zaklęcia nie sięgają Wieży.

— Jeśli tak, to jedyne miejsce, gdzie będą nas szukać — zauważyła trzeźwo. — Sykstus na pewno się domyśli, że tu jesteśmy.

— Nie. Uwierz mi.

— Dlaczego?

Bo nikt o zdrowych zmysłach by tak nie postąpił, pomyślał ponuro. Już zaczynał ich słyszeć. Niesłychanie odległe, nieczytelne głosy. Zaledwie pomruk pełny zdumienia i ekscytacji. Krew. Życie.

— Wieża nie jest zbyt uczęszczana — wyjaśnił. — Chodzi o coś w rodzaju tabu.

— No dobrze, ale w jaki sposób chcesz stąd wyjść?

Odruchowo wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu.

— Sykstus nie może trzymać tak potężnej blokady w nieskończoność. W końcu pęknie, a my uciekniemy.

— Przez ogród pełen chimer, żywych trupów, skrzydlatych potworów i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze?

— Aha.

Uśmiechnął się blado. Koral spojrzała na jego twarz, a potem na pokryty rdzawymi plamami rękaw.

— Krwawisz. Daj, opatrzę ci rękę.

Wzdrygnął się.

— Nie. Nic mi nie będzie. My... jesteśmy trochę inni.

— Przestań to powtarzać. Krwawisz całkiem podobnie.

Zastanowił się. Nie pomoże, ale i nie zaszkodzi. Umarli i tak poczuli już krew. Chociaż może jeśli jej upływ trochę się zmniejszy, będą mniej podekscytowani. Zaczął podwijać rękaw.

Koral rozglądała się za jakimś prowizorycznym bandażem. We wnętrzu Wieży było zupełnie pusto, więc w grę wchodziła tylko jakaś część garderoby. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ma na sobie elegancką nocną koszulę, za dużą bluzkę w kolorowe rybki, której lubiła używać jako szlafroka i płaskie pantofle do chodzenia po domu. Fantastyczny strój na nocne wyprawy do siedliska demonów. Poszarpana kurtka Corneta nie nadawała się do niczego, więc po chwili namysłu zdjęła bluzkę i oderwała od niej rękaw.

— Usiądź na stole — poleciła.

Na ołtarzu? Crux zawahał się, ale uznał, że w sumie to wszystko jedno. Ściany wibrowały dźwiękiem. Cienie na blacie układały się w kształty zdeformowanych, krzyczących twarzy. Krew, życie, krew, życie zawodziły mury, lecz Koral ich nie słyszała. Ostrożnie przewiązała ramię Corneta. Rana wydała jej się koszmarna. Nie miała pojęcia, jak Crux jest w stanie poruszać ręką. Nie spytała go o nic, bo twarz ściągnęła mu się w wyrazie napięcia. Oczy miał bardzo poważne.

— Koral — powiedział cicho. — Obejmij mnie.

— Och!

— Mocniej, dziewczyno. Staraj się o niczym nie myśleć. Powtarzaj coś, nie wiem, tabliczkę mnożenia, liczb barany, cokolwiek. Skup się na tym i nie przerywaj. Ani na sekundę, rozumiesz?

— Cornet...?

— Cicho!

Ogarnął ją ramionami, przycisnął do siebie, aż z trudem łapała oddech. Słyszała, jak mocno wali mu serce. Bo było źle, bardzo źle. Wyjące twarze wyłaniały się ze ścian i zapadały, pożarte przez następne. Wrzask rozsadzał Cornetowi czaszkę, uniemożliwiał zaczerpnięcie oddechu. Zaciśnął zęby. Zew potężniał. Wznosił się i opadał na przenikliwej, zawodzącej nucie. Ponad tym wszystkim trwali oni, umarli. Zdawało mu się, że tonie w drobnym, niesłychanie ostrym żwirze, wdzierającym się do oczu, ust, nosa, powstałym z ich walczących między sobą osobowości. Czuł ich głód, ich żądzę. I wściekłość. Nienawidzili go. Wdzierali się w niego, ranili, szarpali. Bo się bronił. Bo nie chciał im dać tego, czego pragnęli. Co stało się ich obsesją, męką i nadzieją. Krew. Życie. Krew! Życie! KREW! ŻYCIE!

Cornet zagryzł wargi, kurczowo przyciskając do siebie dziewczynę. Coś w nim pękało, powoli, ale nieubłaganie. Walczył. Odepierał wpychające się w swój umysł istoty z rozpaczą i determinacją. Wtedy poczuł dotknięcie, które rozpoznał. Nie miał wątpliwości, choć nie potrafił uwierzyć. Nie rób tego! — Krzyknął bezgłośnie, lecz sekunda szoku i słabości wystarczyła. Krzyknął drugi raz, z bólu, gdy nim zawładnęła. Stał się wysoką, czarnowłosą kobietą o twarzy jak serce. Lodowa piękność rozprostowała kurczowo zaciśnięte palce. Nie były białe jak porcelanowy bibelot, ale dziwnie kanciaste, za duże. I dlaczego tak boli lewe ramię? To nic! Życie! Życie! Krew! Aaaach! Matko?! Zostaw mnie! Precz! Jestem Cornet... Aaaach! I drobnym, jasnowłosym mężczyzną, którego srebrne

oczy... Moje królestwo. Nie ma go. Obróciło się w proch. Tysiące lat. Odnajdę moje królestwo. Jestem... NIE! Cornet Calderon Dellvardan.

Smak krwi w ustach. Wkoło oni, przenikliwi jak jesienna zawierucha. Jestem Crux Cornet. Cornet Szubienica. Tak mnie nazywają. I być może przeliczyłem się. Być może nie znajdę dość siły, żeby przeciwstawić się woli umarłych.

Koral zapadła w błogą, miękką mgłę, pełną szeptów, wołania i prośby. Słodycz. Głęboka słodycz. Płynie przez palce gładka jak aksamit. Ciepła. Coraz jej więcej i więcej. Gdzieś tu ma źródło. Źródło, którego można dotknąć. Trzeba, bo wtedy słodycz wypełni ją całą, na zawsze.

— Nie rób tego!

— Co?!

— Nie pij mojej mocy.

Ocknęła się. Spojrzał w błękit pełen zdumienia. Wysunęła spod jego koszuli dłoń, której palce są wilgotne i lepkie.

— Cornet? Co się ze mną dzieje?!

— Im chodzi o krew, Koral. Wariują, bo czują krew.

— Nie rozumiem, co się stało.

— Cicho. Nic. Próbowali wypełnić cię moją mocą i wykorzystać. Nie pij jej. Może być dla ciebie zabójcza. Jestem jak pęknięty reaktor, rozumiesz?

Oszołomiona, skinęła głową.

Cornet przetrzeźwiał trochę, jednak wciąż czuł przytłaczającą wolę umarłych. Zew nie ustawał. Zrozumiał, że nie potrafi się oprzeć. Za chwilę przemieni się w upiora, opanowanego przez kilku najsilniejszych zmarłych, którzy odtąd będą toczyć w jego głowie walkę o władzę. Jeśli uda mu się uciec z Wieży, zanim go dorwą, wpadnie w ręce Sykstusa i wkrótce stanie się śliniącym się i błagającym o litość strzępem mięsa pod jego batem. Myśl, Cornet! Myśl! To nie jest śmierć, na jaką honor pozwala ci przystać.

Zmarli żrą się jak psy. Już dawno by go pokonali, gdyby nie szarpali się między sobą. Może w tym leży nadzieja. Szaleństwo, to prawda, ale również nadzieja.

— Koral — wyszeptał obcym, zdławionym głosem. Znów szybowała we mgle. Spadała głową w dół, ku nieskończonym przestrzeniom, ku ciemności i słodyczy.

— Koral!

Potrząsnął nią. Szyja dziewczyny była miękka, głowa odchyliła się bezwładnie, ale powieki zadrgały.

— Coornet...?

— Pomóż mi — wymamrotał przez zaciśnięte zęby. — Myśl o domu. Pokaż mi go! Wyobraź sobie, że wracasz do domu.

Dom? Mgła zaczyna rzednąć. Ojciec, Diana, milczące drzewa w ogrodzie. Jak daleko! Duży budynek z podjazdem i dwoma skrzydłami, rozpostartymi niby ramiona.

Muszę ich wpuścić, pomyślał Cornet. Na jedno mgnienie oka. Wykorzystać ich moc do otwarcia przejścia. Zwieść szansą wydostania się na zewnątrz, a potem, natychmiast gdy zaczną walczyć o dominację, przejść i zatrzaskać kanał. Jeśli się nie uda, sprowadzę na klan kolejne przekleństwo w postaci upiora w moim ciele.

Pot zalewał mu oczy, ze wszystkich ran, otarć i skaleczeń zaczęła sączyć się krew. Nie potrafił opierać się dłużej, nie potrafił ani ułamka sekundy więc wpuścił ich.

Cisza.

A potem perłowy rozbłysk przejścia i eksplozja wrzasku, kiedy rzucili się na siebie, żeby

zwyciężyć, żeby odzyskać

KREW! ŻYCIE!

Cornet. Jestem Crux Cornet.

Porwał Koral na ręce i skoczył w perłowy blask.

Trzasnął kolanami o kamienie, wypuścił dziewczynę, potoczył się po bruku i znieruchomiał. Ze zmęczenia wstrząsały nim dreszcze. Dotknął nosa, rozmazał po twarzy krew. Nie było jej dużo.

W powietrzu nie pozostał nawet ślad przejścia. Udało się, pomyślał. Poszukał wzrokiem dziewczyny. Gramoliła się niezdarnie z ziemi, ale chyba nic się jej nie stało.

— Koral? — wychrypiął. Jego głos brzmiał jak szorowanie piaskiem po szkłe. — Jesteś cała?

— Chyba tak. Boże, głowa mnie boli. Uciekliśmy upiorom, czy umarliśmy? Powiedz, bo nie jestem pewna.

Usiadł na bruku. Rozejrzał się i dopiero teraz stwierdził, gdzie się znaleźli. Dwie przecznice od domu Koral, lecz wciąż po Prawdziwej Stronie. Ryzyko otwarcia przejścia w Wieży było olbrzymie, ale opłaciło się. Bez wykorzystania potęgi zmarłych nie zdołaliby uciec.

— Wylądowaliśmy prawie dokładnie w twoim domu — spróbował się uśmiechnąć. — Brawa za nawigację.

Spotkał jej bezradne spojrzenie.

— Ale ja niczego nie poznaję. Tu jest dziwnie obco.

— Bo to Prawdziwa Strona. Wszystkie budynki, całe miasta, mają tu swoje korzenie, swój trzon. Teraz go widzisz. Zwykle oglądasz odbicia przeniecowane przez rzeczywistość, którą znasz.

Wstała, rozglądając się uważnie. W pierwszej chwili ulica zdawała się zupełnie obca, ale w miarę, jak koncentrowała uwagę, budynki i fragmenty krajobrazu stawały się znajome. Uczucie było dziwne, podobne do odczuć doświadczanych we śnie. Powoli rozpoznawała konkretne miejsca, mały skwer, kamienice, dom Cyntii, przyjaciółki Diany. Kontury zdawały się ostrzejsze, barwy pełniejsze, perspektywa w niejasny sposób wypaczona.

Cornet wciąż siedział na ulicy. Przesunął ręką po twarzy. Ogarnęła go fala zmęczenia. Dobrze, że nie dostałem krwotoku, pomyślał.

Koral odwróciła się w jego stronę, popatrzyła z troską.

— Dobrze się czujesz? Boże, wyglądasz okropnie. Rzucił jej spojrzenie spod przymrużonych powiek.

— Ranisz moją próżność. Nie może być aż tak źle. Jesteś piękny, Cornet, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Przyklękła przy nim.

— Możesz wstać?

— Jasne. Podaj mi rękę.

Pewnie chwycił podaną dłoń, podciągnął się i stanął na nogi. Zawirowało mu w głowie tylko odrobinę. Zerknął na Koral.

— Chodź, odprowadzę cię do domu.

To ja cię powinnam odprowadzić, miała powiedzieć, ale ugryzła się w język. Nie chciała, aby pomyślał, że się nad nim lituje. Powlekli się ulicą w dół. Cornet poruszał się z trudem. Koral też nie czuła się dobrze. Miała zawroty głowy i ciągle była oszołomiona.

Kamienice zdawały się na nich napierać. Pochylały się, potrząsając diademami attyk. Ich płaskie, szare twarze z bramami podobnymi do zaciśniętych ust napawały dziewczynę lękiem. Kłęby cieni prześlizgiwały się wzdłuż ścian, lecz wołała nie myśleć, do jakich istot należą.

Cornet milczał. Zapadnięte, podkrążone oczy wbijał w bruk przed sobą, ale i tak często się potykał. Wciąż zaciskał palce na dłoni Koral. Rękaw kurtki znów zwilgotniał, pokrywały go

abstrakcyjne desenie plam. Patrzyła na nie z niepokojem.

— Cornet, ty krwawisz — ośmieliła się w końcu powiedzieć.

— To nic, przeżyję.

Złowiła wzrokiem jego spojrzenie, ale szybko odwrócił oczy.

— Bardzo cię boli?

— Nie — odparł stanowczo, chociaż ramię rwało aż po czubki palców.

— Czy was nie można zranić normalną bronią?

Skinął głową.

— Można, ale za to znacznie trudniej zabić. Musiałabyś przebić mi serce albo rozwalić mózg.

Wzdrygnęła się.

— Jakoś nie mam ochoty. Co to było, ten pistolet? W życiu nie dotknęłam czegoś równie wstrętnego.

— Jest magiczny. Ściślej mówiąc, przeklęty. Kiedyś służył do wykonywania wyroków Kręgu i obrony przed wszystkimi, którzy nie podporządkowali się jego nakazom. Nikt spoza bractwa nie miał prawa go użyć. Ale teraz nawet najmniej znaczące klany mają przynajmniej kilka egzemplarzy. Krąg przestał to kontrolować.

— Aha — bąknęła, ale po jej minie poznał, że nie ma pojęcia, o czym mówi.

Uśmiechnął się mimo zmęczenia.

— Nie wiesz, co to jest Krąg? W dawnych czasach, których nikt z żyjących nie pamięta, klanami rządili królowie. Władza kilku pierwszych była stabilna i w miarę sprawiedliwa, potem system przemienił się w tyranię. Mnożyły się zamachy, potomkowie z prawego i nieprawego łoża, wojny o sukcesję, zbrodnie, korupcje i wszelkie draństwo. Kiedy sytuacja stała się nie do zniesienia, powstała tajna organizacja, zwana Kręgiem, która obaliła monarchię. Po zwycięstwie miała się przerodzić raczej w organ kontrolny niż aparat władzy. Starsi klanów uzyskali niezależność. Sami rządzą w rodzinach, sami rozwiązują konflikty z innymi rodami. Krąg wkracza tylko wtedy, gdy coś może zagrozić całemu Ludowi Luster. Oczywiście, teoretycznie. Jest bardzo potężny, Koral. Wszyscy staliśmy się marionetkami w jego rękach. Członkowie organizacji są magami, dysponują ogromną mocą i wiedzą. W jej imię wyrzekają się swoich rodów, aby zaprzysiąc bractwu całkowitą wierność. Nie sądzę, żeby znalazł się wśród nich choć jeden, który uczynił to ze szlacheckich pobudek. Krąg składa się z opętanych żądzą władzy ambicjuszy. Nie zawahają się przed niczym, żeby awansować w hierarchii. Każdy może poprosić bractwo o pomoc, lecz jeśli ją uzyska, zostaje na zawsze dłużnikiem. Krąg sam upomni się o zapłatę, w odpowiednim momencie. I sam ją wyznaczy. Dzięki temu na każdego ma haka i wszystkich trzyma w garści. Oczywiście, nie pozwoli żadnemu rodowi urosnąć w zbyt dużą potęgę. Bez trudu poszczuje na niego innych lub po prostu zniszczy.

Koral potrząsnęła głową.

— Bardzo gorzko to brzmi.

Wzruszył ramionami.

— Jestem ulubioną czarną owcą Ludu. Muszę się trzymać roli.

— Pochodzisz z rodu królów, Cornet? Powiedziałaś, że masz szlachecką krew.

— Pochodzenie mierzy się długością rodu i ilością mocy. Ojciec miał jej tyle, że faktycznie przywrócił władzę królewską, chociaż nigdy nie sięgnął po tytuł i nie został koronowany. Nawet Krąg bał się starego. Tak bardzo, że pomógł zorganizować zamach. Sykstus wykorzystał sytuację.

— I za to go nienawidzisz? Uśmiechnął się krzywo.

— Nie. Ojciec oszalał. Stał się niepoczytalny i bardzo niebezpieczny. Wiedział, że balansuje na cienkiej linii. Wszędzie wietrzył spiski, nikomu nie ufał, zgładził większość swoich popleczników i

lojalnych poddanych. W końcu pewnie sam byłbym zmuszony go zabić. Sykstusa nienawidzę, bo jest podłym skurwysynem. Widać twój dom, Koral.

Spojrzała na budynek i płot z kutych sztachet. Wyglądał tak obco, aż zadrżała.

— Boże, jest taki dziwny.

— Lepiej zaprowadzę cię do łóżka. Beze mnie mogłabyś spotkać coś, czego nie powinnaś widzieć.

— Na przykład co?

— Nic.

— Moją rodzinę? — spytała i wzdrygnęła się jeszcze raz na myśl o spotkaniu ojca lub Diany tu, po Prawdziwej Stronie. Z pewnością byliby inni. Prawdę mówiąc, bała się tego, co mogłaby ujrzeć.

— Choćby — przytaknął Cornet. — Ale nie tylko. Nocą po dużych domach lubią się błąkać różna paskudztwa.

— Nawet mi nie mów! — jęknęła.

— Nie mam zamiaru.

Pociągnął ją za rękę i po prostu przeniknął przez parkan, jakby sztachety zrobiono z mgły. Znaleźli się w ogrodzie. Żwirową alejką dotarli do frontowych drzwi, przez które Cornet przeprowadził dziewczynę równie łatwo jak przez płot. Znajome, choć dziwnie odmienne pokoje i korytarze napełniały Koral lękiem. Ze strachu zwilgotniały jej ręce, poczuła gęsią skórę na ramionach. Własny dom wydawał się upiorny. Kątem oka łowiła jakieś poruszenia w ciemnych kątach, słyszała szelesty i szepty, miała wrażenie, że jest obserwowana przez mrowie lśniących, złośliwych ślepiów.

Cornet wyglądał na zmęczonego, lecz nie było po nim widać śladu niepokoju. Koral poczuła się lepiej dopiero w sypialni. Crux posadził ją na łóżku. Powinien już iść, ale coś go zatrzymywało. Milcząc przypatrywał się dziewczynie. Skulona na brzegu wielkiego łóżka wydawała się krucha i niematerialna. W bladej twarzy lśniły ogromne, szaroniebieskie oczy, jak dwa bliźniacze, deszczowe nieba.

Jesteś piękna, Koral, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

— Muszę iść. Uratowałaś mi życie. Nie zapomnę o tym. Nie bój się. Sykstus zostawi cię w spokoju. Nie interesuje się śmiertelnikami. To poniżej jego godności. Jesteś bezpieczna.

Szaroniebieskie spojrzenie zatrzymało się na jego twarzy.

— Nie boję się o siebie. Wiem, pomyślał.

— Dam sobie radę. Jestem za silny dla tego drania.

Ale nie w tej chwili, pomyślała Koral.

— Dokąd pójdziesz?

— Nie wiem. Tam, gdzie mnie łatwo nie znajdzie.

Przygryzła wargę.

— Zostań.

Przysiadł obok, na brzegu łóżka. Wyciągnął rękę

i zewnętrzną stroną dłoni pogłaskał dziewczynę po policzku. Miodowe włosy Koral prześlizgły się po palcach. Chciał zostać. Bardzo chciał. Powoli mijało napięcie związane z ucieczką i zagrożeniem życia i Cornet dopiero teraz poczuł, jak strasznie jest wyczerpany. Marzył o tym, żeby położyć się obok tej błękitnej i złotej dziewczyny, zamknąć oczy i pozwolić sobie odpocząć, lecz zdawał sobie sprawę, że to nierealne.

— Nie — powiedział, wstając. — Wiesz, że to niemożliwe.

— Dlaczego? — spytała. Jej głos trochę się łamał.

— Jestem twoim złym snem, Koral. Im prędzej się z niego obudzisz, tym lepiej.

— Nieprawda! — Krzyknęła.

— Uważaj na siebie, dziewczyno.

— Cornet! — zawołała, ale już wyszedł.

Nabrała głęboko powietrza, zamknęła oczy. Zapra gnęła jak najszybciej zapaść w sen, stracić pamięć, bo w pokoju zrobiło się nagle przeraźliwie pusto.

— Ćma? — zawołał półgłosem. Odpowiedziała mu cisza. Wiatr przemykał między nagrobkami, chłodny jak dotknięcie widma. Czarna, masywna bryła kościoła odcinała się od nocnego nieba. Słyszał suchy szelest ocierających się o siebie źdźbeł trawy i urywane, jakby zdyszane świergoty świerszczy. Cmentarz spał cichy i martwy. Tak martwy, jak potrafi tylko kamień.

— Ćma? — poruszała się ciszej niż wiatr. Nagle między bielejącym w mdłym świetle gwiazd krzyżem i figurą zamyślnego anioła pojawiła się jej blada, trójkątna twarz. Wielkie, okolone sińcami oczy spoglądały na niego trwożnie.

— Panie? — zaszemrała.

— Potrzebuję dobrej kryjówki. Natychmiast. Przez jakiś czas zostanę u ciebie.

Wąskie, sine usta strzygi rozciągnęły się w uśmiechu.

— Tak, panie — odpowiedziała przepełniona radością, że okazał jej zaufanie. Będzie mogła mu służyć, nawet jeżeli nie potrwa to długo.

Justus stukał palcami w blat stołu. Nie czuł wściekłości ani zdziwienia. Raczej chłodną, starannie pielęgnowaną nienawiść, którą nasiąkał od dzieciństwa. Vallegro. Nie Calderon. Justus Vallegro Dellvardan. Stary go nie uznał. Nie nadał mu swego nazwiska. Dostał je ten długowłosy gnojek. Syn sukki, pomiot wiedźmy. A teraz uciekł. W porządku. To mu nic nie da. Jego krew jest przeklęta. Niech zdechnie. Niech zdycha w nieskończoność. Calderon Dellvardan. Znajdę cię bracie. Znajdę i będę patrzył na twoje poniżenie i agonię.

Do gabinetu wpadł Sykstus. Elegancki, blady, wściekły. Justus uniósł głowę. Sykstus nie usiadł. Krążył po pokoju.

— Jak on to zrobił? Nie jest tak potężny. Nikt nie jest. Obręczy nie można przełamać. Zresztą, gdyby ją przełamał, nie używałby srebra. Posłał fantoma? Wywołał demona? Bez sprzętu, bez mocy? Nie wierzę, to niewykonalne.

— Nie uciekł sam.

Sykstus zatrzymał się. Nerwowo gestykulujące dłonie zamarły. W oczach pojawił się czujny błysk.

— Uważasz, że ktoś zdradził?

Justus potrząsnął głową.

— Nie. Pomogła mu tamta dziewczyna.

— Śmiertelniczka? Mało prawdopodobne. Dostała się tu raz, przypadkiem i miałyby zaraz przełamywać blokady? Wiesz, ile wysiłku trzeba włożyć, żeby otworzyć pracownię?

— Ivo ją widział.

— Penetrowałeś umysł psa? — na twarzy Sykstusa pojawił się wyraz obrzydzenia. — Musisz naprawdę nienawidzić Corneta.

Vallegro wzruszył ramionami.

— Chciałem wiedzieć, co się stało.

Starszy klanu z niesmakiem pokręcił głową.

— Są przecież pewne granice. No nic. Musimy znaleźć Cruxa. Rozważam zawiadomienie Kręgu. Palce Justusa wybijały na blacie cichy, równomierny rytm.

— Jesteś pewien, że to konieczne?

— Już postanowiłem. Za duże ryzyko. Sami możemy sobie nie poradzić. On jest gotów zgubić cały klan. Choruje, Justus. Umiera. Nie ma nic do stracenia.

Ładne, szare oczy Justusa na moment skrzyżowały się ze spojrzeniem starszego rodu. Potem Vallegro opuścił wzrok i wpatrzył się we własne ręce.

— Może jednak ma — powiedział cicho.

— O czym myślisz?

— O dziewczynie. Słodkiej, złotowłosej Koral Trada.

Sykstus się skrzywił.

— Ona nic nie znaczy. Wykorzystał ją, naraził na potężne niebezpieczeństwo. Nie jest głupi. Zdawał sobie sprawę, że się o niej dowiemy. Dlaczego uważasz, że mu na niej zależy?

— Nie znasz go. Naprawdę, bardzo przypomina starego. Bezwzględny, ale sentymentalny. Ma we krwi słabość do śmiertelnych.

Sykstus się zamyślił.

— Zastanowię się nad tym. Może to jest jakiś pomysł. Palce Justusa znów zaczęły bębnić po stole.

Koral przewracała się z boku na bok. Ostatnio wciąż budziła się o absurdalnych porach, nie mogąc z powrotem zasnąć. Było jej niewygodnie. Duszno, ciasno, gorąco. Zmieniła się. Łatwo wpadała w złość, irytowały ją drobiazgi. Domownicy stali się nudni. Złośliwi i męczący. Na niczym nie potrafiła skupić uwagi. Denerwowała się. Łapała się na tym, że wciąż patrzy przez okno i zagląda w głąb lustra. Starła się nie myśleć. Starła się zapomnieć, ale to nic nie dawało. Pod powiekami wciąż pojawiała się szczupła twarz, ciemne oczy, smukła sylwetka. I drobiazgi. Jakiś gest bez znaczenia, kształt paznokcia, drgnięcie ust. Cień, rzucany przez rzęsy. Koral Trada przewracała się z boku na bok, udręczona, znużona, nie mogąc zasnąć.

Cornet przymknął powieki. Poczul, jak ogarnia go fala wściekłości. Zacisnął zęby. Boże, ten piwniczny zaduch! Ściany zwalają się na niego, przytłaczają, aż trudno odetchnąć. Chowa się po norach jak szczur. Wspaniale! Ponury, zawzięty, z pięściami wciśniętymi w kieszenie krążył pomiędzy murami, od których zawsze ciągnęło wilgocią. Gdzie się nie obrócił, ścigało go szarobłękitne spojrzenie. Schudł, twarz mu się ściągnęła, oczy płonęły jak u wilka. Wszystko doprowadzało go do furii. Kryjówka w krypcie kościoła, przerażony, pokorny wzrok Ómy, ramię, które nie bardzo chciało się goić. A najbardziej miodowe włosy. I drobna postać w białej koszuli. Czul, że się dusi. Czul, że musi wyjść, zaczerpnąć powietrza i zobaczyć szarobłękitne spojrzenie.

— Óma! — Wrzasnął z irytacją.

Pojawiła się natychmiast. Chuda jak pajak. Czarne włosy w strąkach, zgarbione plecy.

— Chcę, żebyś kogoś dla mnie znalazła, rozumiesz? Możliwie szybko. Jest mi coś winien. A ja również muszę mu coś oddać. Zaaranżuj nam spotkanie, Óma. Czas na rewanż.

Posłusznie kiwa głową. Ale wlepione w niego oczy są pełne lęku.

Asfalt jest mokry. I latarnie rozmazują na nim światło, jak plamy oleju. W powietrzu wisi mżawka, rzeka spięta mostem wygląda niby szpetna, krzywa blizna. Cornet idzie spokojnie, niespiesznym krokiem, nie kryjąc się. Przez plecy ma przewieszony miecz, którego tak dawno nie

nosił. Oddycha głęboko. Powietrze jest zimne, wilgotne, pachnie rzeką. W cieniu po drugiej stronie mostu, coś się porusza. Od ściany budynku odkleja się ludzka sylwetka. Przybliża, wchodzi w krąg żółtych ślepiów latarni. Przeciwnik jest młodszy, chudy jak szkielet. Jego mizerną twarz znaczy piętno choroby.

Krzywi się w grymasie uśmiechu, zęby lśnią wilgotnie. Ostatni z klanu Seimle. Miecz także niesie na plecach. „Przyjdzie mi się zmierzyć z widmem” — myśli Cornet. Nagle, właściwie bez zdziwienia, zdaje sobie sprawę, za co nienawidzi umierającego chłopaka. Za Koral. Za to, że mściwie, bezpowrotnie odsunął go od niej. Gdyby nie przeklęta krew, przeprowadziłby ją bez chwili zastanowienia.

— Cornet Calderon Dellvardan — mówi chłopak, potrząsając głową z niedowierzaniem. — Kto by pomyślał? Witaj, sprawco.

Jego czaszka jest obciążona pergaminową skórą, oczy zapadłe.

— Ostatni z klanu Seimle — mówi Cornet. — Mój akt litości.

Przeciwnik odsłania w uśmiechu blade, bezkrwiste dziąsła.

— Yekke Alder Seimle. Ale mylisz się, sprawco, już nie ostatni.

— Musisz być szalony, żeby płodzić potomków i rozsiewać zarazę, Yekke. — Cornet wzrusza ramionami.

Alderem wstrząsa dreszcz.

— Chciałem, żebyś to poczuł, Cornet. Żebyś wiedział. Teraz ty też jesteś chory, teraz i ciebie będą ścigać, żeby zabić. Żeby, jak to mówią, wyeliminować źródło zarazy. Rozumiesz, jak to jest, Cornet? Nie chcesz umierać, co? Dla dobra ludu, sam ze sobą nie skończysz, mam rację, co? Nie masz zamiaru poddać się bez walki, sprawco.

— Yekke — mówi Crux z politowaniem. — Zdobądź się na odrobinę dumy. Nie ponizaj się, bo flaki się we mnie przewracają.

— Dlaczego mnie oszczędziłeś? — napastliwy ton, a w nim dźwięczy coś, jakby wyrzut.

Cornet uśmiecha się krzywo.

— Nie chciało mi się podnosić miecza. Ręce mnie rozboleły.

Przez twarz tamtego przebiega skurcz.

— Teraz też cię rozboleją, tchórze?

Crux mruży powieki.

— Nie — mówi drwiąco. — Nie zdążą.

— Wyzwałeś mnie na pojedynek, więc walcz — warczy Alder, wyciągając miecz z pochwy.

— Jaki pojedynek? Raczej jatka — mówi Cornet półgłosem, sięgając do rękojeści broni.

Oczywiście ma rację. Alder naciera na niego z furją, ale Cornet odbija cięcie z łatwością. Jakby prowadził ćwiczenia z dzieckiem. Wie, dlaczego tamten przyjął wyzwanie. Żeby umrzeć. Paruje następny cios i robi półobrót. Tym razem może sobie pozwolić na litość bez popełnienia błędu. Tnie przeciwnika sprawnie, krótko, przez bark i klatkę piersiową. Yekke chwieje się i pada. Słychać brzęk metalu upuszczonego na bruk. Krew podbarwia kałuże na czerwono. Drgają cienkie papierowe powieki, światło załamuje się na wyszczerzonych zębach. Wychudzona twarz staje się maską upióra.

Ja też tak będę wyglądał — myśli Cornet i przebiega go dreszcz. Unosi miecz jednym ruchem i przebija leżące ciało. Na wszelki wypadek. Wyciera ostrze ubraniem trupa. Mżawka gęstnieje. Chłód kąsa dłonie i twarz. Cornet wsuwa ręce w kieszenie, podnosi kołnierz kurtki. Ostatni z klanu Seimle śmieje się do zachmurzonego nieba, a deszcz głaszcze mu włosy, rozmywa kałuże krwi.

Dni mijały, a Koral przeżywała je w zupełnym odrętwieniu. Nie zdawała sobie sprawy, że

przeszło ich tak wiele. Zbliżał się termin jej ślubu z Dawidem Ulterem, chłopakiem, który dobrze się zapowiadał w firmie ojca, a który nie znaczył więcej niż płaska sylwetka przesuwająca się między meblami. Nie była pewna, czy potrafi odtworzyć z pamięci jego twarz. Obojętnie obejrzała nowy dom, prezent ślubny od ojca. Obojętnie wydawała rozporządzenia, co do szczegółów wystroju. Obojętnie znosiła piskliwą, chaotyczną ruchliwość Diany, zachwyconej, że może garściami wydawać pieniądze przeznaczone dla siostry. Tylko w sprawie sukni okazywała dziwne ożywienie. Odrzuciła wszystkie modele markowych domów mody, wszystkie nowatorskie pomysły projektantów. W sumie kazała sobie uszyć ciężką, długą suknię o staroświeckim kroju, możliwie najbardziej przypominającym strój lodowej piękności ze świerszczem w porcelanowych palcach, widziany na portrecie w Galerii Szeptów. Jakby to mogło w czymś pomóc, coś odmienić, skoro Cornet milczał. Wołała go nieskończoną ilość razy, błagała, płakała i modliła się, lecz lustrzane tafle pozostawały zimne i głuche.

Teraz krążyła po pokoju w białej, staroświeckiej sukni, obijając się o ściany, które zrobiły się nagle za grube, gwałtownie zacieśniając przestrzeń. Miała wrażenie, że ktoś wepchnął ją do pudełka pełnego mdłych, przesłodzonych czekoladek. To nie do zniesienia! Padła na łóżko, ale natychmiast zerwała się znowu do nerwowej karuzeli wokół pokoju.

Oddychała gwałtownie, kostki zaciśniętych pięści zbieleły. Nie! — krzyczał w niej jakiś głos. Nie! Nie!! NIE! Dostyc tego! Poczwała jak ogarnia ją wściekłość, ślepa i głęboka.

Podeszła do lustra w srebrnej ramie, wpatrzyła się z nienawiścią w lśniąca tafle.

— Cornet — powiedziała ochryplym, niskim głosem, drżącym ze złości. — Skurwysynu! Bydlę! Wiem, że mnie słyszysz.

Tremo odbijało jej wykrzywioną gniewem twarz. Dotknęła powierzchni, napała na nią.

— Cornet! — wrzasnęła. — Cornet!! Nie zostawiaj mnie tak, ty draniu! Pokaż się!

Cisza. W lustrze odbicie pokoju i ona, biała, staroświecka harpia.

— Sukinsynu, nie masz tyle odwagi, żeby ze mną porozmawiać? Nawet tyle? Wiem, że mnie słyszysz!

Palce, które starają się zagłębić w tafli z bezsilną złością drapią powierzchnię.

— CORNET!!!

— No, o co chodzi? — ostry, gardłowy głos, w oczach paskudny błysk. Za plecami ma grube, kamienne mury, pajęczyny i półmrok. Jest zły. Twarz mu się ściągnęła, mięśnie szczęk drgają. Ale i ją wypełnia potężna fala furii.

— Jutro wychodzę za mąż — wycedziła.

W lustrze brzydki, kpiący uśmiech, zmrużone oczy.

— Powodzenia na nowej drodze życia, skarbie.

Koral oślepia eksplozja wściekłości. Niemal nie zdaje sobie sprawy, że uderzyła Corneta w twarz. Ręka przeszła przez tafle jak przez mgłę. Nie powstrzymał jej, nie poruszył się. W szarym błękicie rodzi się i rozrasta rozpacz, bo nic go to nie obchodzi. Jego nie obchodzi, a usta stają się nagle bezkrwiste, zaciśnięte w kreskę.

— Myślałam... myślałam, że... — mówi, nienawidząc się za to upokorzenie — tobie też zależy. Przepraszam. Zapomnij o tym.

— A skąd wiesz, że nie? Zachłysłnęła się, umilkła.

— Chcesz być taka jak ja? Chcesz, żebym cię zabrał, o to chodzi? Odkąd cię zobaczyłem, nie myślę o niczym innym. Zadowolona?

— Więc zrób to. Ja nie dbam o nic. Mam cię błagać? W porządku. Przed tym też się nie zawaham. Przeprowadź mnie, Cornet.

— Nie mogę! — krzyknął. W jego głosie, oprócz wściekłości, brzmiała nuta smutku. Dopiero teraz zauważyła, że zmizerniał.

— Dlaczego? — spytała.

Przesunął ręką po twarzy, spuścił wzrok.

— Bo naprawdę mam przeklętą krew. Gdybym cię przeprowadził, skazałbym cię na to samo.

— Oszukałeś mnie! Powiedziałeś, żebym nie wierzyła w to, co mówi o tobie Sykstus, bo to same kłamstwa.

Westchnął.

— Nie do końca.

Zagryzła wargę.

— Nie do końca — powtórzyła z goryczą. — O Boże.

Cornet milczał przez chwilę.

— To kwestia punktu widzenia.

— To znaczy, że pozabijałeś tamtych bezbronnych ludzi.

— Tak. Ktoś musiał to zrobić. Padło na mnie. Starszy klanu Mwee, którego ziemię zagarnęli, siedzibę zrabowali, a członków wybili do nogi, był magiem. I umierając rzucił na nich przekleństwo zarazy. Niestety, bardzo skuteczne. Odtąd klan Seimle stał się zagrożeniem dla całego ludu.

— Dlaczego?

— Podstępem zarażali innych.

— Po co? — szepnęła Koral z niedowierzaniem. Cornet wzruszył ramionami.

— Z nienawiści. Większość rzeczy robimy z tego powodu, dziewczyno.

Palce Koral nerwowo drgnęły, ale głos brzmiał spokojnie.

— Wykorzystałeś mnie, prawda? Świadomie naraziłeś na cholerne niebezpieczeństwo, a może nawet śmierć, wzywając do domu Sykstusa. Zaprzeczysz, Crux?

Po twarzy Corneta przebiegł skurcz.

— Nie. Nie zaprzeczę.

— Wobec tego, co ci zależy mnie przeprowadzić? Przecież sama tego chcę.

— Oszalałaś? — wrzasnął. — Teraz mi zależy. Myślisz, że mogę ot tak, skazać cię na śmiertelną chorobę? Pokochałem cię, idiotko. Nie mam pojęcia, w jaki sposób do tego doszło. Wariuję przez ciebie. Prześladujesz mnie. Gdzie nie spojrzę, widzę twoją twarz. Bardzo pragnę cię przeprowadzić, ale nie wolno mi tego zrobić. Dotarło?

— Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć — warknęła. — I co teraz, mam prosić kogoś innego?

Pobladł gwałtownie.

— Nie.

— Nie możesz ty, załatwię to z kimś innym. Choćby z twoim cholernym braciszkiem.

— Nigdy.

— Niby dlaczego?

Oczy Corneta pociemniały z gniewu.

— Bo nie zwykłem rozdawać tego, co do mnie należy.

— No proszę — syknęła. — Traktujesz mnie jak rzecz.

— To on traktowałby. Zrobiłby z ciebie niewolnika, maszynę albo zabawkę. Zależnie od kaprysu. Uzależniłby cię od siebie na zawsze. A potem złamał, upodlił i kopnął w kąt. Mówisz o sprawach, o których nie masz pojęcia, Koral. Lud Luster traktuje gatunek ludzki jak śmieci.

— Ty też, Cornet?

Zacisnął usta, dłonie drgnęły.

— Nie graj ze mną w ten sposób, dziewczyno. Uszanuj moją inteligencję, skoro nie chcesz uszanować własnej.

— Co z nami będzie, Cornet? Jutro mam wyjść za mąż! — Krzyknęła rozpaczliwie. — Nic cię to nie obchodzi? Pozwolisz na to?

— Nie.

— Więc zrób coś. Przeprowadź mnie, albo nie, wszystko mi jedno. Tylko zabierz mnie stąd, dłużej tego nie wytrzymam.

Poczuł, jak znów ogarnia go złość.

— Chcesz, żebym cię zabrał?

— Tak! — Wrzasnęła z furją. — Właśnie tego chcę.

— Żebyś potem jęczała i wygadywała, jak strasznie cię skrzywdziłem?

Teraz ona zbladła.

— Bez obaw! — warknęła.

— Ty w ogóle wiesz, o czym mówisz?

— Niech cię diabli Cornet! To twoja ostatnia szansa. Teraz mi odmówisz i wszystko przepadnie. Nie zawołam cię więcej, nie zechcę widzieć na oczy. A ty będziesz do końca życia żałował. I ja też.

— W porządku — wycelował w nią palec. — Nie życzysz sobie ślubu? Załatwię to. Tylko nie chcę słyszeć żadnych pretensji. Na twoją pieprzoną prośbę, Koral.

— Żebyś wiedział, bydlaku! — krzyknęła, lecz lustrzana tafla znów pokazywała tylko odbicie jej wścieklej, pobielalej ze złości twarzy.

— Wejdz, chłopcze — powiedział Edward Trada otwierając przed Dawidem drzwi gabinetu. Przekroczył próg i zamarł, tak że idący z tyłu Ulter omal na niego nie wpadł. Na kosztownym, orzechowym biurku siedział w niedbałej pozie długowłose mężczyzna. Spojrzał na wchodzących z uśmiechem, który zmroził Tradzie krew w żyłach, niczym tchnienie wiatru spod lodowca.

— Witam, panowie — odezwał się uprzejmie. — Miło widzieć was obu, bo zdaje się, że będziemy musieli rozwiązać wspólny, drobny problem. Siadajcie, proszę.

Trada pospiesznie, niezgrabnie ruszył w kierunku fotela, czując jak serce przestaje mu bić, a całe ciało robi się lekkie niczym balon. Bo oczywiście rozpoznał gościa.

— Coś ty za jeden! — Krzyknął nerwowo od progu Dawid, cofając się o krok. — Czego chcesz?

— Powiedziałem siadać! — warknął Cornet. — Tylko spróbuj zwiać, a z rozkoszą rozwalę ci łeb o kant tego eleganckiego mebla. Szczerze mówiąc, czekam na pretekst.

Dawid wsunął się do środka, a brzydki uśmiech Corneta pogłębił się. Trada spojrział na niego i zrozumiał, co to znaczy być przerażonym.

Koral wciąż spowita w ciężką, atlasową suknię, przechadzając się tam i z powrotem po sypialni, przypominała staroświecką marionetkę. Męczyły ją złe przecucia. Bała się, że Cornet, w obecnym nastroju, jest w stanie zrobić coś zbyt radykalnego. Postanowiła znaleźć ojca. Porozmawiać z nim, przygotować na to, co może go spotkać. W końcu była mu to winna.

Przebiegła przez pokoje na górze, zajrzała do saloniku i jadalni, a w końcu przypomniała sobie o gabinecie. Zbiegła na dół, wpadła bez pukania.

— Cornet, nie! — krzyknęła. — Bo będę zmuszona cię zniechęcić.

Crux rozluźnił uchwyt na gardle posiniałego, pokrwawionego Dawida, potrząsnął nim jak pies szczurem i pchnął na podłogę.

— Jak sobie życzysz, skarbie — powiedział spokojnie. Ale Koral zauważyła, że z trudem nad sobą panuje.

W rogu gabinetu siedział wbity w fotel Trada, a krople potu lśniły na jego skroniach niby diadem. Na dywanie Dawid, charcząc usiłował złapać oddech.

— To jest Cornet, tato — powiedziała Koral, czując jak strasznie głupio brzmią jej słowa, ale przecież musiała coś powiedzieć, zanim sytuacja stanie się zbyt dramatyczna. — Właściwie, miałam ci go wcześniej przedstawić.

Urwała. Cornet śmiał się bezgłośnie, ale całkiem otwarcie. Spojrzała w jego złe, rozbawione oczy i zdała sobie sprawę, że nerwowo wyłamuje palce.

— Naprawdę to zrobiłaś? — wychrypiął z podłogi Dawid. — Rzuciłaś mnie dla tego potwora?

— Nic nie tracisz — wymamrotała. — Jest jeszcze Diana. To ładna dziewczyna, niedługo będzie pełnoletnia. Wciąż możesz zostać zięciem szefa.

Cornet popatrzył na nią z mieszaniną podziwu i rozbawienia. Koral umilkła, bo w sumie chciała tylko pocieszyć Dawida, a nie zachować się jak suka.

— Koral — chrząknął ojciec z czeluści fotela. — Co to znaczy?

— Tylko tyle, panie Trada, że kocham pańską córkę — powiedział Cornet. — Z wzajemnością. Mam nadzieję, że to wyjaśnienie pana zadowala. Aha, jako przyszły teść może pan liczyć na moje szczególne względy i opiekę. Mam na myśli perspektywy rozwoju pańskiej firmy. Jestem pewien, że dojdziemy do konstruktywnego porozumienia.

Wtedy Edward Trada doświadczył iluminacji. Osobista protekcja Corneta oznaczała nieprawdopodobne korzyści. Całą gamę wspaniałych możliwości, wśród których nietykalność i zwolnienie od haraczu były ledwie warte wzmianki. Co do Dawida, to cóż — ma niewiele lat, poczeka. Bo rzeczywiście, jest jeszcze Diana. Pozwolił sobie na to, żeby się rozpromienić. Niewiele, ale jednak trochę.

— To zaskakująca sytuacja — powiedział z powagą.

— Lecz szczęście mojej córki zawsze było dla mnie najważniejsze.

Na ustach Corneta znów pojawił się paskudny uśmiech.

— Nie wątpię, panie Trada.

Sykstus delikatnie pogłaskał włosy Charlotty. Obróciła na niego okrągłe, błękitne oczy.

— Dlaczego się martwisz? — szepnęła.

— Nie martwię się. Myślę.

— Jesteś smutny.

— Kierowanie rodem wymaga czasem trudnych decyzji. Pamiętaj, że dobro klanu i dobro ludu, stanowi najwyższą wartość. Właśnie w tej kolejności. Dobry może być tylko ten, kto jest wierny i oddany rodzinie, rozumiesz?

Skinęła głową.

— Cieszy mnie twoja lojalność i posłuszeństwo — powiedział. — Będiesz doskonałą matką rodu Dellvardan.

Nie patrząc już na nią wyszedł spotkać się z wysłannikiem Kręgu.

Nie spodziewał się, że Krąg przyśle Rdzę. Na setki oddanych członków akurat ją. Nie wiedział, jak to odczytać. Jako ostrzeżenie, groźbę czy szyderstwo. Wcale się nie zmieniła. Krótkie, ciemne włosy przylegały do głowy niby hełm. W trójkątnej twarzy rzucała się w oczy tylko czerwona plama ust. Nie podała mu ręki na powitanie. Wydeła wargi znajomym grymasem, znamionującym pogardę lub znudzenie.

— Witaj, Rdzo — mruknął.

— Witaj — odpowiedziała niskim, rozlewnym głosem. — Podobno sobie nie radzisz. Twój

stołek się chwieje?

— Nie używałbym tak drastycznych określeń.

Spod ciężkich powiek patrzyły na niego bezczelne, żółte oczy.

— Więc czego chcesz od Kręgu?

Sykstus westchnął.

— Usiądź. Wyjaśnię ci.

Rdza opadła na fotel. Słuchała z pozoru senna, ale w głębi przesłoniętych rzęsami żółtych ślepi, mieszkała nieustanna czujność.

— Kochałeś kiedyś kogoś, Cornet? — spytała Koral.

— Tak — odpowiedział.

— I co?

— Nic. Przestałem.

— Tak po prostu?

— Na to wyszło.

Odwróciła się i spojrzała na sufit.

— Jak to właściwie jest z tą przeklętą krwią?

— Młody, rosnący w siłę klan Seimle rywalizował ze starożytnym, ale podupadającym klanem Mwee. Ród Seimle wygubił wszystkich z rodziny Mwee, lecz starszy ginącego klanu z zemsty rzucił na zwycięzców przekleństwo krwi. Ponieważ potrafił posługiwać się przedwieczną magią, której dzisiaj nikt już nie zna, zaraza rozprzestrzeniła się w szalonym tempie. Trzeba było zlikwidować wszystkich nosicieli.

— Nikt nie zna lekarstwa?

— Nie. Zginęli wszyscy z rodu Mwee, a tylko urodzony członek klanu, który rzucił klątwę, jest władny ją odwołać.

— A Krąg? Mówiłeś, że jest potężny.

— Krąg składa się z samych szaleńców. Diabli wiedzą, co naprawdę potrafi i co stanowi jego cel. Podejrzewam, że gdyby to rzeczywiście leżało w interesie bractwa znalazłby antidotum, ale niewykluczone, że woli mieć w rękach kolejny bicz na wspólnotę rodów. Chociaż, kto wie. Może wcale nie umie znaleźć lekarstwa. Członkowie Kręgu zaprzędają bractwu duszę. Jak myślisz, co jest warte takiej ofiary? Władza? Tajemnica? Oświecenie? Muszą być szaleni.

Roześmiała się.

— Od kiedy dbasz o duszę, Cornet?

Wzruszył ramionami.

— Umieram. W takim momencie dusza staje się dziwnie cenna.

— Zanim to nastąpi, ja stanę się zgrzybiałą starowiną albo dawno będę gryźć piach.

Przekręcił się na plecy.

— Prawdopodobnie tak, dziewczyno. Oddałbym wszystko, żeby cię przeprowadzić, ale nie mogę. Zaraziłbym cię.

— To ci nie przeszkadza ze mną sypiać.

— Dopóki jesteś śmiertelniczką. Klątwa przenosi się przez krew, ale sama jest czymś magicznym, mistycznym w pewnym sensie. Podobnie jak przeprowadzenie. Na razie nic ci nie grozi, a ja wiem, że nie urodzisz mi zarażonych dzieci. My nie krzyżujemy się z gatunkiem ludzkim.

— Jezu! Jakbyś powiedział z małpami!

— Koral, jesteśmy potężną, starożytną rasą. I nie szanujemy ludzi. I z natury stoimy po stronie zła.

Zabijam, żeby żyć i ot tak, dla pstryknięcia palcami. Związałaś się z diabłem z lustra. Myślałem, że wiesz.

— Więc co? Wykorzystasz mnie i porzucisz? Będiesz się bawił, aż ci się nie znudzę?

Cornet westchnął.

— Opowiem ci historyjkę, bo widzę, że mnie nie rozumiesz. To stara legenda. Pochodzi jeszcze z czasów rządów królów. Pewien potężny władca miał dwóch synów. Wezwał kiedyś przed swoje oblicze młodszego i kazał mu ukryć się za tronem, aby wziąć udział w lekcji prawdziwych rządów. Następnie zawezwał kapitana straży przybocznej i spytał, czym według niego jest potęga państwa. Ten rzekł: „Potęgą państwa jest król, niby klamra, która spina je w całość”. Wtedy władca kazał przybyć swemu starszemu synowi. Gdy ten wszedł, zapytał: „Dlaczego związałaś spisek przeciwko mnie?” Królewicz zbladł i zawołał: „Żądza władzy mnie zaślepiła. Wybacz mi, ojcze!” Władca odpowiedział: „Przebaczam ci jako ojciec, lecz jako król — nie mogę. Oto zdrajca! Zabij go kapitanie straży.” Żołnierz wykonał rozkaz, a król nakazał młodszemu synowi wyjść z ukrycia. „Czy nienawidzisz mnie za to, co zrobiłem?” spytał. „Nie” odparła chłopak. „Po to jesteś królem, aby karać zdrajców. Zresztą on stał pomiędzy mną i tobą, więc nie mogłem go kochać”. „Mój synu” powiedział król. „Staniesz się teraz moim następcą. Pamiętaj, że dobro kraju to rzecz nadrzędna. Przysięgnij, że gdybym kiedykolwiek oszalał i postępował wbrew tej zasadzie, zabijesz mnie zanim wyrządę nieodwracalne szkody.” Młodszy królewicz, wzruszony, złożył przysięgę. Mijały lata. Niespodziewanie król zakochał się w pięknej żonie przywódcy jednego z potężnych klanów. Miłość zaślepiła go zupełnie. Postanowił zdobyć ukochaną za wszelką cenę. W kraju rozpętała się wojna domowa, wiele rodów zbuntowało się przeciw władcy. Wszędzie płynęła krew, płonęły ognie i skwierczały zgliszcza. Pewnego dnia królewicz wkroczył do komnaty ojcowskiej i rzekł: „Królu i ojcze, oto z wielkim bólem przyszedłem wypełnić przysięgę. Ponieważ oszalałeś i przysparzasz królestwu wielkich szkód, muszę cię zabić”. Lecz zanim zdążył zadać cios, z ukrycia wypadł kapitan straży ze swymi ludźmi, którzy pojмали królewicza. Wtedy władca spytał: „Czym jest państwo, kapitanie?” „Państwo to król. Póki jest władca, poty trwa królestwo. Bezkrólewie oznacza chaos” „Zabij zdrajcę” rzekł król, a żołnierz spełnił rozkaz. Wkrótce też skończyła się wojna, władca rozgromił i wytracił buntowników, pozbywając się za jednym zamachem zbyt potężnych i samowolnych poddanych, a kraj szybko dzwignął się z upadku, gdyż zawsze był silny i bogaty. Zaś król zażył wiele szczęścia u boku ukochanej kobiety, przy okazji zapewniając sukcesję synowi, którego mu dała. Jaki morał z tego wynika?

Koral potrząsnęła głową.

— Nie wiem. Że polityka to podła rzecz?

Crux się uśmiechnął.

— Nie. Że dla Ludu Luster nie istnieje nic ważniejszego niż miłość do kobiety.

Teraz uśmiechnęła się dziewczyna.

— Przewrotna ta twoja bajka. Przecież miłość powinna nieść dobro.

Cornet uniósł brwi.

— Naprawdę? Nie wydaje mi się. Wy, ludzie, trywia — lizujecie ją. To potężne, stare, groźne uczucie, dzięki któremu można ważyć się na wszystko. Dobro? Zastanów się, gdyby ktoś kazał ci wybierać, kto ma umrzeć — człowiek, którego kochasz czy, powiedzmy, małe dziecko, słodkie i nieświadome.

Koral przymknęła oczy.

— Nie kończ. Rozumiem. Nie wiem, jak potrafiłabym z tym żyć, ale wiem, co bym wybrała.

— Sama widzisz — mruknął Crux. — Mój świat jest stary i po prostu odarty ze złudzeń.

Spojrzała na niego.

— Chyba nie do końca.

— Może nie.

— Zabiłbyś własne dziecko, Cornet? Gdyby chodziło o władzę lub cokolwiek innego?

Potrząsała głową.

— Duma by mi nie pozwoliła. Właśnie za tę skazę Lud się mnie wyrzekł.

— Nie rozumiem.

— Za to, że nie przejąłem sukcesji po ojcu. Wtedy musiałbym walczyć o władzę, posuwać się do skrytobójstwa, intryg, zawierać sojusze z tymi, którymi gardzę, zdradzać przyjaciół i wciąż drżeć o stabilność swego stołka. To nie dla mnie, skarbie. Mówiłem ci, że miałem starszego brata? Był synem poprzedniej żony ojca. Matka i stary wykończyli go, opętani lękiem, że im zagraża. Nie chciałem być taki sam. Z drugiej strony, nie chciałem podzielić losu brata, czego nie dało się wykluczyć.

— Jezu! Mieli jakieś dowody, że działał przeciwko nim?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Chyba nie.

— Chcesz powiedzieć, że twój ojciec zamordował własnego syna, który był zupełnie niewinny?

Na ustach Corneta pojawił się twardy, chłodny uśmiech.

— Nie ma niewinnych — powiedział.

— A ty?

Wzruszył ramionami.

— Byłbym zmuszony spróbować zabić starego, gdyby zaczął mi zagrażać.

— Rzeczywiście, jesteście potworami.

— Jasne, moja piękna. Zadajesz się z bestią. Wciąż chcesz stać się taka jak ja?

— O niczym innym nie marzę.

— Dziś wieczorem spotkam się z kimś, kto, być może, zgodzi się nam pomóc. Ale nie rób sobie wielkich nadziei. To pomysł desperata.

— Może ci grozić jakieś niebezpieczeństwo? — zaniepokoiła się.

Pocałował ją.

— Nie. W najgorszym razie to będzie żałosne.

Noc zapadała nad miastem, brzydka i mglista. Wiatr niósł w sobie zimną wilgoć. Cornet rozcierał rękę. Czekał. Rozumiał, że z każdą chwilą jego oczekiwanie staje się coraz bardziej beznadziejne. Nikt się nie zjawi. Jeszcze kilka minut i wróci do Koral. W głębi duszy od początku wiedział, że nie może liczyć na pomoc Kręgu.

Odgłos kroków zaskoczył go. U wylotu zaułka pojawiła się nagle drobna postać ubrana w płaszcz. Podeszła bliżej i Cornet rozpoznał trójkątną twarz z czerwoną plamą ust.

Poczuł dreszcz przebiegający po krzyżu. Mięśnie napięły się odruchowo, serce przyspieszyło rytm, gdy tymczasem ona szła bez pośpiechu, z rękami w kieszeniach płaszcza, z wargami ułożonymi w grymas lekceważenia. Zatrzymała się kilka kroków przed nim. Żółte oczy patrzyły na pozór obojętnie, maskując czujność.

Milczała. Chciał się odezwać, ale zupełnie zaschło mu w ustach, więc tylko nerwowo przełknął ślinę. Nie spodziewał się, że jej widok potrafi nim wstrząsnąć.

Czerwone usta rozciągnęły się w uśmiechu, a palce wysuniętej z kieszeni dłoni wykonały niedbały gest. Cornet poczuł nagle potężne tąpnięcie, jakby ziemia pod jego stopami miała się zapaść. Zawirowało powietrze, w twarz uderzył kurz. Zaskoczony, stracił równowagę, przyklęknął

na jedno kolano.

— Niespodzianka, Cornet — usłyszał rozległy akcent Rdzy. W jej głosie drgało rozbawienie.

Zamrugał, starając się pozbyć spod powiek piekących drobin pyłu. Uniósł głowę, spojrzął i zatrząsł się ze złości. Wszystko wokół zrobiło się szare, płaskie, niby pozbawione perspektywy. Wiatr gonił po bruku tumany spopielałego kurzu. Na niebie zasnutym burą patyną jarzyło się zimne, mdłe słońce.

Rdza nadal przed nim stała, ale zrobiła się przezroczysta, bezcielesna jak duch. Dobrze słyszał tylko jej głos.

— Masz rację, Crux. To jest właśnie to, co podejrzewasz. Cofnęłam cię między cienie. Jak myślisz, ile czasu zajmie ci powrót?

— Czy ty zawsze musisz zachowywać się jak suka, Rdza? — wycodził przez zęby.

Zaśmiała się, odrzuciwszy głowę do tyłu. Najchętniej chwyciłby ją za gardło, ale równie dobrze mógłby próbować udusić mgłę.

— Słyszałam jakieś wzruszające historyjki, jak to ponoć zakochałeś się i desperacko poszukujesz sposobu, żeby uczynić swoją ukochaną jedną z nas. Sentymenty, Cornet. Zawsze twierdziłam, że w końcu cię zabiją. Maleńka, słodka, śmiertelna dziewczynka. Kto by pomyślał?

— Słuchaj — wychrypiął. — Jeśli cokolwiek stanie się Koral...

— Och, jasne! — przerwała. — Wiem, wiem. I umieram z przerażenia.

— Powinnaś.

W żółtych ślepiach przez sekundę zabłysło zainteresowanie.

— Lubię cię, Cornet. Właściwie mógłbyś daleko zajść, gdybyś akurat nie zdychał na krwawiączkę.

Zacisnął pięści.

— Znajdę cię, Rdza. Wiesz o tym. Znajdę, zanim zdążę zdechnąć.

Zmrużyła oczy.

— Trzymam za słowo. Prowokuję cię świadomie, żebyś mnie jeszcze bardziej nienawidził i wreszcie zaczął się mścić. To mi dostarczy emocji i wzbogaci monotonię życia.

Kiedy skończyła mówić, zdał sobie nagle sprawę, co oznacza pustka i dziwny chłód widoczny w jej źrenicach. Zobaczył, kim naprawdę była.

— Jesteś psem Kręgu — odezwał się cicho. — Niczym więcej. Jesteś martwa. Oddałaś im duszę, a oni zrobili z ciebie martwiaka. Chciałaś władzy, a stałaś się niewolnikiem. Łudzisz się pozorami mocy, nie wiedząc, że została z ciebie tylko pusta skorupa, wypełniająca polecenia bractwa.

Cofnęła się o krok, twarz jej pobladła.

— Hej, Cornet — syknęła. — Czy ja nie zapomniałam spytać, jak się czujesz?

— Kwitnąco — warknął. — W każdym razie nie jestem trupem, jak ty.

— No cóż. Tego możesz za chwilę pożałować. Pstryknęła palcami, a Cornet zwinął się z bólu, który rozdarł go niespodziewanie, łatwo jak świstek papieru. Gorąca wilgoć buchnęła przez nos, kurz na bruku chciwie spijał czerwone krople, zaś oczy Rdzy przyglądały się skulonemu, targanemu spazmami bólu mężczyźnie tylko na pozór obojętnie.

Zasnęła. Z pewnością tak, chociaż nie miała pojęcia w jaki sposób. Przecież przez cały czas denerwowała się, czekając na powrót Corneta. Jednak musiała zasnąć, bo skąd nagle wzięła się w tym ponurym, pustym pokoju z małymi, przesłoniętymi kratą okienkami, umieszczonymi pod samym sufitem. To z pewnością sen. Zwłaszcza, że nadal leży w łóżku Corneta.

Drzwi otworzyły się ze skrzyknięciem, wpuszczając kogoś do środka. Koral rozpoznała go i doznała nagłego uczucia lęku.

— A, miło cię widzieć, moja śliczna — powiedział Justus z perfidnym uśmiechem na gębie. — Zaskoczona? Mam nadzieję, że pozytywnie.

O Boże, pomyślała w popłochu. To wcale nie sen! Zadrzała, podciągając po szyję kołdrę, jakby mogła się pod nią ukryć.

Justus przysunął się bliżej, usiadł na brzegu łóżka.

— Cóż, Koral. Przez jakiś czas będziesz naszym gościem. Radosna nowina, co? W końcu jesteśmy rodziną Corneta. Mamy prawo cię poznać. Czuj się jak w domu. Możesz być pewna, że zrobimy wszystko, żeby zapewnić ci liczne rozrywki i jak najbliżej się z tobą zaznajomić. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że wyjdiesz stąd przełamując nasze zaklęcia. Postaraliśmy się docenić twój talent. Blokady są o wiele silniejsze. Nie zdołasz ich złamać. A drzwi zamkniemy na zwykły zamek, ale za to bardzo solidny.

Zachichotał w sposób, który wydał się Koral obrzydliwy. Patrzył na nią ładnymi, nienawistnymi oczami, aż dziewczyna zdała sobie sprawę, że osiągnął cel, w jakim przyszedł i bardzo ją przestraszył. Wiedział o tym, co dało mu powody do triumfu. Jego twarz promieniała i tylko wielki strach Koral tłumiał przemożną ochotę, by w nią napluć.

Wyciągnął rękę, dotknął policzka dziewczyny. Wzdrygnęła się.

— Zostaw mnie! — krzyknęła desperacko.

— Nie bój się — syknął. — Na razie nic ci nie zrobię. Dopóki on żyje. Jeszcze nie zwariowałem. Za dobrze znam swego kochanego braciszka, bękarta kurwy. Gotów wyleźć z grobu, żeby się mścić.

Koral odetchnęła z ulgą. Parszywy tchórz, pomyślała.

— Co się tak gapisz? — warknął Justus. — On żyje. Ma tylko kłopoty. Ale to nic. Za chwilę będzie miał problem. Bardzo przykry i bardzo bolesny, uwierz mi. A wtedy przestanę się nim przejmować, mała śmiertelniczko.

Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na wykrzywioną złośliwie gębę Justusa. O Boże, w co ja się wpakowałam, jęknęła w myślach. To nie może dziać się naprawdę.

Lecz w głębi duszy wiedziała, że jednak się dzieje, a jej pozostaje nadzieja, że Cornet nie da się wciągnąć w zasadzkę i znajdzie sposób, żeby ją uwolnić.

Cornet zbudował kolejne zamazane, matowe przejście. Przekroczył je i zaklął paskudnie. Wiatr ciskał tumanami kurzu, na niebie ponuro tliło się obrażone, zamierające słońce wielkości męskiej pięści. Trafiał do następnego cienia. Rdza wepchnęła go w zaświaty, dominium umarłych, gdzie jeszcze nie należał, więc błąkał się teraz między cieniami, jak potępiona dusza szukająca drogi do domu.

Miał fatalne przeczucia, dławił go lęk o Koral, rozsadzała wściekłość. Na razie brakowało mu czasu, żeby zastanawiać się nad podłością Rdzy. Przyjdzie i na to pora. W każdym razie w Kręgu zyskała potężną moc. Dał się cofnąć między cienie łatwo jak pierwszy lepszy szczeniak.

A to suka, pomyślał z goryczą, splatając kolejne przejście, które miało go znowu zaprowadzić do zakurzonego, spowitego w półmrok przedpiekla.

Koral z trudem rozchyliła powieki. Odkąd została porwana, nieustannie trwała w sennym odrętwieniu. Jawa mieszała się z majakami, aż w końcu dziewczyna straciła poczucie czasu i rzeczywistości. Nie wierzyła własnym zmysłom i pamięci. Czasami nie potrafiła powiedzieć, czy

naprawdę spotkała i pokochała Corneta, czy znajduje się w siedzibie rodu Dellvardan, czy może raczej w szpitalu dla obłąkanych. Z czasem przestało ją interesować i to. Zobojętniała na wszystko. Właściwie nie miała poczucia krzywdy. Nie doznawała żadnych cierpień, nie czuła głodu, nie spotkało jej nic złego ze strony klanu. Większość czasu przesypiała, bez tęsknoty do wolności, bez myśli o Cornecie. Tylko sny miewała męczące. Było jej wtedy duszno, gorąco, niewygodnie. Przygniatał ją wielki, ciepły ciężar, jakby nieznane zwierzę usiłowało ułożyć się na niej do snu. Nie lubiła tych majaków. Zostawało po nich lekkie uczucie obrzydzenia i cień ostrego, słodkawego zapachu. Rzeczywistość Koral zawęziła się do wypełnionej niejasnymi rojeniami przestrzeni pokoju, w której pływała niczym w kadzi pełnej mgły i wszechobecnej senności.

Teraz ktoś suchym szeptem wypowiadał jej imię tak natarczywie, że z niechęcią otworzyła oczy. Zamrugła ze zdumienia, bo stojąca nad łóżkiem postać wyglądała dziwniej niż senne majaczenia. Wychudła, spowita w brudne łachmany istota patrzyła na Koral przenikliwie. Usta, przypominające pęknięcie w bladej skórze, powtarzały jej imię. Ogromne oczy, oprawne w podkowy sińców, były całkowicie czarne, pozbawione białek i tęczówek. Czoło, policzki i brodę pokrywały równoległe blizny. Do twarzy lepiły się w strąkach ciemne, podobne do sznurków włosy.

Szok wywołany pojawieniem się stwora otrzeźwił dziewczynę. Przestraszona, poruszyła się na łóżku, podciągnęła kołdrę. Na ten widok wargi istoty rozciągnęły się w uśmiechu. Koral dostrzegła trzy rzędy cienkich, ostrych jak szpile zębów.

— Nie zbliżaj się! — syknęła.

Stworzenie wyciągnęło przed siebie kościste dłonie w geście, który chyba miał oznaczać przyjaźń.

— Nie bój się — zaszemrało. — Jestem Ćma, strzyga.

Uśmiech nie schodził z upiornej twarzy.

— Dobrze, że żyjesz. Przyszłam cię zabrać. Widzisz?

Z fałdy chałatu wyciągnęła pęk kluczy.

— Myślą, że im służę — wąskie usta drgnęły. — Ale to nieprawda. O nie! Służę panu. On jeden był dla mnie dobry. Pamięta moje imię, wiesz? Nie bój się. Pan cię kocha, dlatego przyszłam. Zabiorę cię i schowam, a on będzie zadowolony. Pochwali mnie. Powie: dobrze się spisałaś, Ćma.

Koral powoli zaczynała rozumieć.

— Twój pan to Cornet, tak? — spytała, czując, że serce zaczyna mocniej bić. — Słyszysz Cornetowi?

Strzyga skwapliwie przytaknęła.

— Ale oni nie wiedzą — zniżyła głos, rozglądając się czujnie. — Chodź, zabiorę cię.

Dziewczyna błyskawicznie wyskoczyła z łóżka. Dziwne otumanienie minęło, choć fizycznie czuła się bardzo słaba. Nogi pod nią się ugięły, gdy stanęła na podłodze, ale postanowiła przemóc zmęczenie. W żadnym razie nie mogła zmarnować szansy ucieczki.

Strzyga wyciągnęła kościstą dłoń.

— Chodź! — ponagliła.

Koral ujęła podaną rękę i drgnęła. Palce były lodowate, cienkie jak u kościotrupa.

Ćma wyprowadziła dziewczynę na korytarz. Przypominał piwnicę, z której uwolniła Corneta. Koral zobaczyła rzędy drzwi i kamienną posadzkę, lecz sklepienie wisiało niżej, brakowało nisz z posągami, a światło miało zielonkawy odcień. Strzyga pociągnęła ją za sobą. Skradały się, przylepione do ściany, a ich cienie tańczyły na ceglanych murach. Korytarz miał mnóstwo odnóg i Koral natychmiast straciła orientację. Przez chwilę bała się, że krąży w kółko, bo wszystko wokół wyglądało tak samo, lecz Ćma prowadziła pewnie, bez wahania. Z czasem korytarze zrobiły się

węższe i niższe. Ze ścian wydobywało się coraz mniej światła. W końcu przeszło w półmrok, potem w bladą poświatę. Było coraz ciśnień. Korytarze zmieniły się w tunele. Koral znów zaczęło ogarniać odrętwienie, wrażenie nierealności. Zapadła zupełna ciemność, powietrze przesycił piwniczny zaduch. Czołgała się po omacku, na czworakach, wleczona przez zimną, kościaną rękę. Straciła poczucie czasu, jawa i sen znów się przemieszały, tak iż w końcu nabrała przekonania, że to śmierć prowadzi ją gdzieś, na drugą stronę świata.

Powietrze pachniało kurzem i było aż gęste od drobin próchniejącego drewna. Ściany z surowych kamieni obrosły pajęczynami. Smugi światła z trudem przeciskały się przez szpary w zabitych deskami oknach, tak, że wewnątrz dzwonnicy zdawały się przewiazywać lśniąca sznury. Cornet ostrożnie postawił stopę na kolejnym stopniu. Chwilę badał jego wytrzymałość i zaryzykował krok. Przepróchniałe drewno zaskrzypiało, uginając się pod ciężarem, ale nie pękło. Crux wspiał się już do połowy wieży. Schody, po których szedł, przypominały drabinę o nieco szerszych stopniach. Chwiały się tak bardzo, że chwilami miał wrażenie jakby spacerował po linie. Spojrzał w dół. Pod sobą zobaczył ażurową konstrukcję z belek i desek, która wydawała się mniej stabilna niż pajęczyna stworzona ze smug światła. Miejscami brakowało po trzy, cztery stopnie. Urwane fragmenty poręczy zwieszały się nad przepaścią klatki schodowej wbrew logice i prawu ciężenia. Poszczególne kondygnacje schodów oddzielały drewniane podesty. Przez dziury po brakujących deskach można było spojrzeć w ciemniejszą czeluść.

Stopień, na którym Cornet postawił nogę, pękł nagle, rozsypując się częściowo w fajerwerk spróchniałych drobin. Stopa Cruxa osunęła się, uderzyła w niższy szczebel, który także trzasnął. Cornet chwycił się bocznych belek, podciągnął na rękach, oparłszy nogę o kikut złamanego stopnia. Na szczęście szczebel wytrzymał, chroniąc Corneta przed upadkiem. Crux dotarł do podestu i na chwilę przerwał wspinaczkę. Musiał zaczerpnąć oddechu. Zadarł głowę, spojrział w górę, oceniając, jaki dystans ma jeszcze do pokonania. Zobaczył ciemną paszczę dzwonu zawieszoną u pułapu. Z poprzecznej belki, niby martwy wąż, zwisał sznur. Otaczały go unoszące się w powietrzu obłe, ciemne kształty. Wyglądały niepokojąco. W półmroku Cornet nie był w stanie ich rozpoznać. Dopiero, gdy pokonał dwie następne kondygnacje, przekonał się, czym są. Z powały, na długich, cienkich sznurkach zwieszały się martwe gołębie. Powieszono je za nóżki, tak, że wyschłe oczodoły łypały w dół, na wdrapującego się przybysza. Wisiały na różnej wysokości, lekko wirując i kołysząc się w powietrzu. Spizarnia strzygi.

Corneta mimo woli przeszedł dreszcz. Poczul nieuzasadniony niepokój, jakby nieżywe ptaki stanowiły ostrzeżenie i groźbę w języku, którego nie rozumiał. Przypominały mu zmumifikowane anioły.

Gdy tylko wyrwał się spomiędzy cieni, otrzymał wiadomość od Ćmy. Strzyga uwolniła Koral i miała zaprowadzić Corneta do lochu, gdzie ją ukryła. Bardzo bała się Sykstusa, więc na miejsce spotkania wyznaczyła jedną ze swych tajnych kryjówek, dzwonnice opuszczonego, cmentarnego kościoła.

Cornet wspiał się jeszcze o kilka szczebli. W półmroku spowijającym sklepienie wieży nie mógł dostrzec sylwetki strzygi.

— Ćma! — zawołał półgłosem. — Ćma!

Odpowiedziała cisza. Martwe gołębie leniwie obracały się na sznurach, Cornet zrobił następny krok, gdy nagle jakaś siła spętała mu nogi, świat wykonał zdumiewający przewrót, a dzwonnica wywróciła się, lądując dachem w dół. Crux szybował między trupami ptaków jak bluźniercza wersja świętego Franciszka. Dyndał uwieszony za kostki na sznurze przymocowanym do belki z dzwonem.

Długie włosy powiewały niczym rdzawy sztandar.

Z zaciętej niszy wkroczyły na podest pod nim trzy postaci, Cornet jęknął w duchu.

— Witam — powiedział Sykstus. — Fajnie ci się wisi?

Crux nie odpowiedział. Dławił go gniew i strach o Koral. Przeklinał się za nieostrożność i głupotę. Sznur, na którym wisiał, kręcił się. Pod ścianami wirowały spróchniałe deski. Bezpośrednio pod nim ziała dziura klatki schodowej.

— Cudownie tak wyglądasz, Cornet — w głosie Sykstusa brzmiała satysfakcja. Rdza podniosła w górę trójkątną twarz, uśmiechnęła się złośliwie. Byłby na nią splunął, gdyby nie pewność, że nie trafi, dyndając na wirującej linie.

— Postanowiłem dać ci trochę czasu, żebyś przemyślał kilka spraw — ciągnął Sykstus. — Ale nie martw się, wrócę po ciebie.

— Twoja sparszywiła przyjaciółka strzyga nie odwiedzi cię, Cornet — dodał z mściwym zadowoleniem Argus Saffon. — Od niedawna nie jest specjalnie ruchliwa.

W Cornecie wrzała wściekłość. Szarpnął się, ale lina tylko boleśnie wpiła się w skórę. Pieprzyć was, pomyślał. Pieprzyć wszystko. Jakoś z tego wyjdę.

— Nie możemy cię tak zostawić — odezwała się rozlewnym tonem Rdza. — Sięgniesz do sznura, wyplącesz nogi i uwolnisz się. W końcu nie jesteś gołębiem.

— Racja — przytaknął Sykstus. — Dostaniesz prezent od Rdzy. Gotowa?

Wysłanniczka Kręgu skinęła głową. Chuchnęła w dłonie i prędkimi ruchami zaczęła je pocierać. Spomiędzy palców wytrysła biała poświata. Rdza otworzyła ręce. Trzymała w nich dwa cienkie wrzeciona, splecione ze światła.

— Przybij go — powiedział Sykstus.

Rdza rzuciła jarzące się szpile, jakby to były lotki posłane w kierunku nieistniejącej tarczy. Popłynęły w górę ze świstem. Cornet poczuł, że niewidzialna moc siłą prostuje mu ramiona. Grzmotnął plecami o ścianę wieży. W nadgarstkach rozrzuconych rąk poczuł ostry ból, a zaraz potem wrażenie przenikliwego zimna. Przekręcił głowę, żeby na nie spojrzeć. Magiczne szpile przenikały przez ciało, wbite głęboko w mur, przygważdżając go do ściany. Czuł się jak eksponat zbieracza insektów.

Sykstus z zadowoleniem zerknął w górę.

— Może nie powinienem bawić się tobą, tylko zabić cię od razu, ale nie mogę się powstrzymać. Nie sądzę, żebym wiele ryzykował. Uciekłeś mi raz, przyznaję, jednak teraz nie dasz rady. Nie ma przy tobie twojej ślicznej, śmiertelnej dziewczynki. Wrócę tu, Cornet. Czekać. Wybaczam ci, że jesteś w nieuprzejmy sposób małomówny. W końcu znalazłeś się w szczególnej sytuacji.

Odwrócił się, żeby odejść, lecz przypomniawszy sobie o czymś, przystanął.

— Jesteśmy w kościele, prawda? — zwrócił się do Rdzy i Argusa. — Hej Cornet! Wiesz, że w tej pozycji przypominasz krucyfiks? Tylko odwrócony, co, z natury rzeczy, bardziej do ciebie pasuje. Miłych rozmyślań.

Śmiejąc się, zaczął schodzić po schodach. Rdza posłała Cornetowi całusa. Obnażył zęby i warknął jak wilk w potrzasku.

— Buziaczki — zawołała. — Ja też wrócę. Obiecuję!

Crux zamknął oczy. Nie chciał patrzeć na triumfujące gęby wrogów.

Koral dotknęła kamiennej ściany. Na palcach pozostała wilgoć. Otuliła się szczelniej kocem, ale i tak kęsało ją dokuczliwe zimno. Izba, do której zaprowadziła ją strzyga, była całkiem schludna, jak na kryjówkę ukrytą głęboko pod ziemią. Stało tu porządne łóżko z czystą pościelą, stół, kilka krzeseł.

Światła dostarczały dziwne, nie kopące lampki. Ich jasny płomień nie parzył. W sąsiednim pomieszczeniu mieściła się spiżarnia, całkiem nieźle zaopatrzona. Jednak Koral zdążyły się już znudzić zimne mięsa i wino. Nie miała pojęcia, ile czasu spędziła w ukryciu. Zdawało się jej, że bardzo długo. Z początku strzyga przebywała z nią cały czas. Wychodziła na krótko, a potem wracała, często przynosząc świeże jedzenie, owoce i różne drobiazgi. Lecz któregoś razu wyszła i nie pojawiła się z powrotem. Koral czekała, najpierw zła, potem przestraszona. Szybko jednak zubożniała. Ten stan zdarzał się jej coraz częściej. Nawet myśli o Cornecie nie wywoływały emocji. Koral, owszem, nadal go kochała, ale uczucie tłumila wszechobecna obojętność.

Ćma nie więziła dziewczyny. W każdej chwili Koral mogła opuścić izbę, ale nie pamiętała drogi na zewnątrz. Przez drzwi wyglądała na płataninę tuneli, lecz myśl, żeby zapuścić się w któryś, nawet nie przyszła jej do głowy. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że strzygę spotkało coś złego. Jednak to jej specjalnie nie obeszło.

Czekała w podziemiach nie wiedząc na co właściwie. Nieustannie czuła znużenie. Powoli wkradła się w nie także nuda. Wszystkie czynności Koral wykonywała mechanicznie. Budziła się, myśla, jadła i znów spała. Czas przestał istnieć. Prawdopodobnie żyłaby tak do momentu, gdy wypała się gwiazdy, gdyby nie zaczęły kończyć się zapasy. Zjadła ostatnie suchary i ostatni kawałek pieczeni, a potem apatycznie czekała, aż pojawi się głód. Przybył niepostrzeżenie i z wolna robił się natrętnym gościem. Wreszcie dokuczył Koral tak, że musiała coś postanowić. Nie miała ochoty szukać drogi wśród ciemnych, cuchnących zgnilizną korytarzy, więc starała się wymyślić inny sposób. Przypomniała sobie jak otworzyła przejście w Wieży, wyobrażając sobie dom. Teraz nie miała tam po co wracać, więc postanowiła przywołać obraz mieszkania Corneta. Skupiła się, pozwoliła pamięci odtworzyć znajome kształty. Powoli pomieszczenie napełniało się perłową poświatą. Gdy w ramie z mgły pojawiło się odbicie pokoju Cruxa, Koral zrobiła krok do przodu i znalazła się w środku.

Corneta nie było w domu, a ona przyjęła ten fakt bez emocji. Nie zastanawiała się nawet czy wpadł w pułapkę Sykstusa, czy grozi mu niebezpieczeństwo lub gdzie się teraz znajduje. Prawdę mówiąc, zapomniała się przejąć. Obchodziła ją tylko lodówka. Z ulgą stwierdziła, że nie jest pusta.

W opustoszałym mieszkaniu Corneta, Koral, siedząc na kuchennej podłodze, zaczęła jeść, żeby stłumić głód i móc potem spokojnie zasnąć.

Nauczył się nie rozchyłać powiek, bo wtedy wieża wirowała nieznośnie, wywołując mdłości. Chłód kamiennej ściany, do której przylegał plecami, był niczym w porównaniu z przeraźliwym zimnem płynącym z przebitych nadgarstków. Cornet powoli tracił siły. Wielokrotnie próbował uwolnić ręce, ale bez rezultatu. Nie czuł bólu, tylko zimno i postępujące osłabienie. Szybował w ciemności, otoczony światłą martwych gołębi. Dzwonnica przemieniła się w szyb bez dna, a on spadał w czeluść, przekonany, że tak wygląda wieczność.

Czasami, na krótko, wracała świadomość. Wtedy podejmował rozpaczliwe wysiłki, żeby się uwolnić. Nie zależało mu już na własnym życiu. Wiedział, że jest skazany, od chwili, gdy Krąg opowiedział się przeciwko niemu. Mógł walczyć z Sykstusem, a nawet z całym klanem, lecz z pewnością nie pokona potęgi bractwa. Chciał tylko uratować Koral. W miarę jak słabł, wszystkie pomysły i plany blakły, mieszały się z sobą, traciły sens. Nie wiedział, co robić. Nie miał pojęcia, jak postąpić ani do kogo się zwrócić, nawet gdyby cudem odzyskał wolność. Szybował w ciemności albo wirował wraz z dzwonnica, pod wyrozumiałymi spojrzeniami martwych ptaków. Z czasem zaczął majaczyć. Przypominał sobie wydarzenia i obrazy, ale nie był pewien, czy zdarzyły się rzeczywiście. On, Koral, Sykstus, Ćma, wszystko mieszało się, splatało, rozplątało. Rozmawiał z

gołębiami. Prosił, żeby zaopiekowały się dziewczyną. Kiwały się, potakująco. Potem mówił do ciemności, a może do kogoś, kto krył się za nią. Do nieistniejącego boga Ludu Luster. Pomóż Koral. Uratuj ją. Ale bóg nie odpowiadał, więc doszedł do wniosku, że nie ma sensu z nim dyskutować, bo jest tak samo zły jak każdy członek Ludu. Zaczął zatem mówić do tego, który stoi ponad wszystkim, ponad demonami, ludźmi i światem. Do jakiejś siły, która po prostu musiała tam być. Pomóż Koral. Uratuj ją. Przed Sykstusem, przede mną, przed złem. Przecież należy do ciebie. Gołębie dyndały na sznurkach, w snopach światła wirował kurz, a Cornet wygłaszał osobliwą, monotonną modlitwę, albo spadał w czeluść wypełnioną czernią.

Głos, który usłyszał, brzmiał cicho i śpiewnie, jednak budził tak głębokie przerażenie, że natychmiast go otrzeźwił. Otworzył oczy, zamrugał. Strach przesunął swój kościsty palec wzdłuż jego kręgosłupa, połaskotał w kark.

W powietrzu, na wysokości oczu Corneta, unosiła się Ćma. Łachmany powiewały jak skrzydła, poważna, pokryta bliznami twarz emanowała blaskiem. Było w niej coś potężnego i strasznego zarazem. Na rozwartych ramionach strzygi trzepotały gołębie. Ponad jej głową kotłowała się istna pierzasta aureola. Wszystkie ptaki, tak jak i sama Ćma, z pewnością były martwe. CruX z trudem przełknął ślinę.

— Ćma? — wyszeptał. — To ty?

Widmo strzygi rozwarło usta.

— Teraz poznałam swoje prawdziwe imię — zaśpiewało wysokim, nienaturalnym głosem, od którego włosy się Cornetowi zjeżyły. — Jest piękne.

— Tak — wymamrotał. — Wierzę.

Upiór uniósł ręce. Wśród ptaków zakotłowało się, załopotały skrzydła, posypały się pióra.

— Nie wierzysz — odpowiedziała strzyga. — Ale wysłuchano cię.

Szpile przybijające ręce CruXa znikły w chwili, gdy wypowiadała ostatnie słowa. Oderwał się od ściany, a napięty sznur zakołysał nim jak wahadłem. Zdążył z obrzydzeniem i lękiem pomyśleć o zderzeniu z wiszącym w powietrzu widmem, gdy przeleciał przez nie bez śladu oporu. Ćma odsunęła się nieco tak, że wciąż mógł widzieć jej twarz, chociaż wirował na linie.

— Żegnaj, demonie — zaśpiewała. — Idź czynić smutek.

W tym momencie rozsypała się na proch, przypominający próchno. Został po niej tylko słup kurzu i kłaczki pierza, Cornet dyndał głową w dół, między mumiami gołębi.

Gdy już trochę ochłonał, spróbował sięgnąć do liny krępującej nogi. Za czwartym razem zdołał poluzować węzeł. Po dłuższych wysiłkach oswobodził stopy. Rozkołysawszy linę, zeskoczył na podest schodów. Deski zatrzeszczały, ale wytrzymały impet upadku, Cornet upadł na podłogę, ciężko dysząc. Nie wiedział jak długo leżał. Kilka minut czy kilka godzin. Był bardzo wyczerpany. Z nosa pociekła mu cienka strużka krwi, ale na szczęście nie dostał krwotoku. Usiadł z trudem, opierając plecy o ścianę wieży. Obejrzał nadgarstki. Na skórze nie pozostał ślad po szpilach. Odpoczywał jeszcze przez chwilę, a potem zaczął chwiejnie pokonywać schody. Mięśnie drżały mu z wysiłku, więc musiał często przystawać.

Na zewnątrz wstawał świt. Słońce nie pokazało się jeszcze zza horyzontu, świat tonął w nierealnym, szarym poblasku. Cienie kładły się między nagrobkami, krzyże przypominały pieńki ściętych drzew.

Nie wiedział dokąd iść. Po chwili wahania postanowił, że nie będzie się ukrywać. Z pomocą Kręgu, Sykstus i tak go znajdzie. Powlókł się do domu. Musi odpocząć, zebrać myśli, zastanowić się, jak odnaleźć Koral.

Zdziwił się, widząc w oknach światło. Z bijącym sercem wbiegł na górę, nacisnął kłamkę. Drzwi

uchyliły się natychmiast. Nie były zamknięte. Cornet wsunął się do środka, szybko zlustrował pokoje. Pusto. Na kuchennej podłodze leżały resztki jedzenia. Zajrzał do sypialni i zamarł. Na łóżku skulona sylwetka, nakryta kocem. Spod przykrycia wysuwają się jasne kosmyki. Koral! Przez jedną straszną sekundę był pewien, że nie żyje. Jednak dziewczyna poruszyła się nieznacznie. Przyskoczył do niej, objął, przytulił.

— Nic ci nie jest, maleńka? Wszystko dobrze?

Głaskał miodowe włosy.

— Cornet? — szepnęła.

W szarobłękitnych oczach nie znalazł radości ani zaskoczenia. Były obojętne. Odsunął dziewczynę od siebie, przytrzymał za ramiona. Patrzył w zupełnie puste źrenice, a strach zaciskał mu lodową pięść na sercu. Koral bezwolnie poddała się jego rękóm.

— Skarbie, maleńka, co on ci zrobił? Pamiętasz? Powiedz!

Twarz dziewczyny nie wyraża emocji.

— Nie wiem. Nic.

— Nic? — Cornet potrząsnął obojętnym, bezwładnym ciałem. W źrenicach Koral jego wizerunek odbijał się jak w lustrze. Ale nie było go już ani w sercu, ani w pamięci. Dziewczyna zachowywała się jak kukła.

— Koral, co tam się stało? Co ci zrobili w domu Sykstusa?

Apatycznie kręci głową.

— Nie wiem. Spałam.

Crux przesuwając dłońmi po twarzy, rozgarnia włosy. Niepokój przeradza się w podejrzenia, złe, straszne.

— Poczekaj tu — stara się mówić spokojnie. — Rozumiesz? Zostań i czekaj, aż przyjdę. Nigdzie nie wychodź. Nie bój się, maleńka. Wszystko będzie dobrze.

Koral się nie boi. Zwija się z powrotem w kłębek, zadowolona, że dał jej spokój. Nie widzi nawet, jak Cornet wybiega z mieszkania.

— Wejść! — zawołał Sykstus na odgłos pukania do drzwi gabinetu.

Do środka wsunął się Argus Saffon.

— Jeden z członków klanu domaga się natychmiastowego widzenia ze starszym — oznajmił z niepewną miną.

Sykstus uniósł brwi.

— Kto taki, Saffon?

Argus przełknął ślinę.

— Cornet Calderon Dellvardan — powiedział.

— Ach tak — mruknął Sykstus.

Nie wydawał się szczególnie zaskoczony. Odłożył trzymane w ręce pióro i spojrzał na półleżącą w głębokim fotelu Rdzę. Nieznacznie skinęła głową.

— Wprowadź go — zwrócił się do Argusa. — W końcu to przywilej każdego członka rodu.

Saffon otworzył drzwi. Do gabinetu wszedł Cornet. Był blady jak wapno, ale pozornie bardzo spokojny.

— Co cię sprowadza przed starszego klanu, Calderon? — zagadnął uprzejmie Sykstus.

Mięśnie szczęk przybysza drgały.

— Co zrobiłeś Koral? — spytał chrapliwie.

Amanus rozłożył ręce.

— Nic. Gościła u nas, więc staraliśmy się zapewnić jej jak najlepszą opiekę. Wiemy, że jesteś bardzo przywiązany do tej śmiertelniczki.

Cornet powoli podszedł do biurka. Oparł dłonie na blacie, pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż przy twarzy starszego klanu. Spojrzał wprost w oczy wroga, a Sykstusa ogarnął lęk, bo w źrenicach Cruxa zobaczył szaleństwo.

— Powiedz mi prawdę — szepnął Cornet ochryple. — Powiedz, Sykstus.

Starszy klanu zbladł. Przez chwilę wydało mu się, że pomimo magicznych blokad, grona podwładnych, potężnej mocy i stanowiska, zostanie rozszarpany na strzępy we własnym gabinecie, w siedzibie swojego rodu. Z trudem przełknął ślinę. W tym momencie odezwał się rozlewny akcent Rdzy.

— Ja ci powiem, Cornet.

Crux targnął głową. Sykstus odetchnął z ulgą, odsuwając się odrobinę z krzesłem. Z wysiłkiem opanował odruch poluzowania krawata. Cornet wbił spojrzenie w twarz Rdzy. Uśmiechała się nieprzyjemnie.

— Prędko opuściłeś dzwonnice. Jesteś pewien, że zdążyłeś wszystko dobrze przemyśleć?

— Tak, suko Kręgu. Nigdy niczego nie byłem tak pewien.

Sięgnęła po stojący na stoliku kieliszek wina. Umoczyła usta w trunku.

— Jak słusznie zauważyłeś, Cornet, reprezentuję Krąg. Zatem, gdy Sykstus zapewnił twojej ukochanej wszelkie wygody, ja postarałam się o rozrywki.

Zmrużyła oczy, mierząc Cruxa drwiącym spojrzeniem. Przez chwilę bawiła się kieliszkiem.

— Zatem — podjęła, gdy się nie odezwał — sprowadziłam specjalnie dla niej zwierzątko. Fergusa.

Cornet poszarzał na twarzy. Świat pękł i zawalił się na niego. W jednej chwili umarł i odrodził się upiorem.

— Źle zrobiliście — wychrypiał — zabierając mi wszystko. Trzeba było zostawić mnie w spokoju.

— Jesteś chory, Cornet — wtrącił Sykstus, który odzyskał już rezon. — Lepiej wracaj do domu, połóż się. Zrozum, nie stanowisz zagrożenia dla nikogo. Jesteś wrakiem. Możemy zrobić z tobą wszystko. Ale pozwolimy ci umrzeć samotnie. Klan nie zniża się do rozgniatania insektów.

Crux nie słuchał. Powoli zbliżył się do Rdzy. Wyciągnął rękę, dotknął krótkich, czarnych włosów.

— Nic ci nie pomoże, martwiaczkó — powiedział. — Nic. Wspomnienia, sentymenty, ochrona bractwa. Możesz mnie zabić, ale to też nic nie zmieni. Odpłacę ci, Rdza.

Uśmiechnął się strasznym, krzywym grymasem upióra. W nieprzeniknionych ślepiach wysłanniczki Kręgu pojawił się strach, którego nie potrafiła ukryć.

— Zostaw mnie! — syknęła.

Zacisnął pięść na jej włosach, szarpnął.

— Za późno, Alysio Maddox Dellvardan, suko Kręgu, zwana Rdzą.

— Zdychaj! — wrzasnęła, robiąc palcami szybki gest.

W Corneta uderzyła fala mocy. Odrzuciła go na środek gabinetu. Stracił równowagę, upadł. Wydawało mu się, że stanął w płomieniach. Każdy nerw krzyczał, a Crux wił się po podłodze, wymiotując krwią. Jak przez kłęb waty usłyszał dźwięczący satysfakcją głos Sykstusa.

— Pokazać ci Fergusa, Cornet? Jest włochaty, bezmózgi i bardzo jurny.

Płomienie nie gasły, a kałuża krwi zamieniła się w morze, w którym tonął. Nie zauważył nawet, że zaniepokojeni hałasem wpadli do gabinetu ochroniarze Sykstusa. Starszy klanu trącił Cruxa

czubkiem buta.

— Zabierzcie tę szmatę i wyrzućcie — odezwał się do podwładnych Saffona. — Jak dla mnie, może być przez okno.

Cornet szedł. Rzędy kamienic ciągnęły się po obu stronach ulicy jak szary wąż podążający w drugą stronę. Bruk uciekał spod butów. Każdy krok był sztywny i mechaniczny. Każda decyzja oznaczała nadejście ciemności, bo Crux wiedział, że kawałki zdruzgotanego świata nigdy nie poskładają się znowu w całość.

Dotarł do domu, w którym mieszkał. Zatrzymał się przed wejściem, spojrzął w górę na światło w oknach poddasza, na gargulce podtrzymujące parapet. Uśmiechały się szpetnie. Koniec, powiedziały ich kamienne pyski. Demony należą do piekła, a piekło nie oszczędza nawet swoich. Krew Ludu Luster jest przeklęta od zarania dziejów. Cornet przyznał im rację i wszedł do środka.

Zastał Koral siedzącą na łóżku. Splecione dłonie trzymała na podołku. Obróciła na niego błękitne spojrzenie, pełne smutku i rezygnacji. Crux oparł się o framugę drzwi, nie mogąc zmusić się do ani jednego kroku dalej.

— Coś się ze mną dzieje, Cornet — powiedziała Koral.

— Coś bardzo złego.

— Tak — szepnął z trudem.

— Wiesz co, prawda?

— Tak.

Milczała chwilę.

— Więc powiedz. Jesteś mi to winien.

— Kiedy cię porwano — usłyszał swój własny głos. — Sykstus założył na ciebie zaklęcie snu, a Rdza, wysłanniczka Kręgu, sprowadziła demona, zwanego Fergussem. On jest jak kłęb tkanek, nie myśli, nie czuje, nie pragnie. Żyje, żeby się rozmnażać. Zapłodnił cię.

— Więc urodzę demona? — spytała cicho.

— Nie dopuszczę do tego — wyszeptał. — Nie mogę. Fergus, rozwijając się w ciele nosiciela, pożera jego duszę. Unicestwia ją. W chwili porodu nosicielka umiera, a ponieważ nie ma duszy, przestaje istnieć. Absolutnie, Koral. Pochłania ją niebyt.

Dziewczyna spuściła głowę, poruszyła splecionymi palcami.

— A więc jednak zostałam matką demona — powiedziała smutno. — Miałam nadzieję, że to będą twoje dzieci.

— Błagam, przestań — głos Corneta załamał się.

— Ukarano mnie, ale tak, że bodaj bym zdechł, zanim cię spotkałem.

Spojrzała mu w oczy.

— Niczego nie żałuję, rozumiesz? Nawet gdybym wiedziała, jak to się skończy, zrobiłabym to samo.

— Nie wiesz. Nie powiedziałem ci...

— Zrozum, Cornet. Wiem — przerwała. — Umrę. Zamknął oczy.

— Tak — szepnął ochryple — muszę cię zabić. Nie sposób uratować ofiary Fergusa. Można tylko uratować jej duszę. Odesłać ją do zaświatów, do których należy, dopóki jeszcze coś z niej zostało.

— Nie jestem z Ludu Luster, więc to nie będą twoje zaświaty, prawda?

Skinął głową.

— Nie mogę cię teraz przeprowadzić, maleńka. Nie przeistoczysz się, z powodu Fergusa. Pożre

moją moc i na tym się skończy. Nigdy więcej cię nie zobaczę, Koral.

Spróbowała się blado uśmiechnąć.

— Zawsze będę o tobie pamiętać, Cornet. Jeśli w zaświatach istnieje pamięć.

Wargi Cruxa rozchyłały się z trudem.

— Nie wiem nic o waszych zaświatach.

— Ja też nie — powiedziała Koral. — My, śmiertelni, nigdy nie wiemy, co nas czeka. Możesz poleżeć koło mnie chwilę?

— Koral! — jęknął. — Koral...

— Ciiiicho — położyła palec na ustach.

Zamilkł. Ułożył się obok niej w łóżku. Leżeli przytuleni, a czas przestał istnieć.

— Jestem gotowa — odezwała się w końcu. — Przeprowadź mnie, Cornet.

Pogłaskał delikatnie miodowe włosy, przesuwając palce między gęstymi kosmykami. Szeptał do niej, uspokajał, gładził, aż wreszcie jego dłonie zacisnęły się, szarpnęły i głowa dziewczyny bezwładnie opadła na poduszkę. Ciało drgnęło, znieruchomiało, a Cornet poczuł, że umiera. To on był trupem, nie spokojnie leżąca Koral. Wtulił twarz w jej włosy, pozwalając, żeby wszystko odpłynęło, znikło.

Nie wiedział ile czasu spędził, obejmując martwą dziewczynę. Ocknął się i wypuścił ją z objęć, gdy nagle w duszy otwarło się i trysnęło źródło mocy tak potężnej, że zalało go w jednej chwili, zmusiło do krzyku, do szarpania pazurami pościeli, do tłuczenia łbem w ścianę. Nienawiść. Odwieczna, straszliwa siła Ludu Luster. Cornet pozwolił jej ogarnąć się całkowicie, przemienić i przeprowadzić na nową Prawdziwą Stronę, wsłuchany we własny krzyk, we własne wycie potępieńca.

A potem wszystko zajęło się ogniem. Nie potrafił powiedzieć czy podpalił mieszkanie, czy to eksplodowała jego nieokiełznana nienawiść. Płomienie objęły meble, półki z książkami, łóżko z ciałem Koral, zamieniając je w stos pogrzebowy pogańskiej księżniczki.

Crux przeszedł przez ogień bez trudu, bez lęku, bo jeszcze nie mógł odejść. Nienawiść, topiąc wszelkie uczucia, pozostawiła jedno, nieodrodne dziecko — zemstę. Już na ulicy, Cornet odwrócił się, spojrzął na płomienie. Zaczęły lizać dach. Ze wszystkich okien buchał ogień, a kamienne gargulce trwały na posterunkach niczym strażnicy bram do otchłani, bo przecież w mieszkaniu otworzyło się piekło.

W siedzibie rodu panowała cisza. Przez całą drogę do pracowni nie spotkał nikogo, jakby cały klan zasnął. Cornet dostał się do domu bez najmniejszych trudności, łamiąc blokady jak dziecinne sztuczki. Siła, którą nosił w sobie, byłaby zdolna z łatwością wywalić w powietrze pół Prawdziwej Strony. W Cornecie ocknęła się potęga ojca, dziedzictwo krwi. Podejrzewał, że stał się o wiele silniejszy niż stary, ale mało go to obchodziło. Zszedł na dół, jednym gestem wyłamał drzwi pracowni. Niebieskawy metal popękał, skruszone kawałki z łoskotem upadły na posadzkę. Crux wszedł do środka, bez wahania przemierzył większą komnatę, otworzył mniejszą. Ku swemu zdziwieniu ujrzał spoczywającego na stole martwiaka. Widocznie Sykstus nie zdążył go skończyć. Pies wywrócił blade, mętne oczy.

— Się masz, Ivo — mruknął Crux.

Zdjął z półki tygiel z alchemicznym srebrem.

— Wiesz co? Do dupy z takim życiem. Uwolnię cię od niego, kuzynie.

Chlusnął na psa lśniąca ciecżą. Martwiak wydał wysoki, przenikliwy skrzek, na bladej skórze rozkwitły błękitne płomienie. Cornet wyszedł, nie odwracając się, żeby nie patrzeć jak Ivo zapada

się w sobie, przemienia w gęstą, cuchnącą ciecz.

Przez kręte korytarze, ciemne klatki schodowe i puste, wysoko sklepione komnaty podążał prosto do części mieszkalnej, ściskając tygiel ze srebrem. Za pasek zatknięty miał pistolet, który zabrał z domu.

Był w salonie, gdy usłyszał trzask otwieranych drzwi i odgłos kroków. Odstawił naczynie na niski stoliczek obok kanapy, wyjął broń i czekał. Do pokoju wkroczył Vax Mius. Cornet wyszczerzył do niego zęby.

— Witaj Vax. Szczerze mówiąc, jestem zachwycony, że cię widzę.

Chłopak zbladł jak płótno, ze zdumienia oklapła mu szczęka.

— Co tu robisz? — wyjąkał.

— Przyszedłem odwiedzić rodzinę. Chyba nie masz mi tego za złe. Niezapowiedziane wizyty należą do naszej tradycji.

Mius szczękał zębami. Jego twarz pokryła się kropelkami potu.

— Nie wyjdiesz stąd żywy, Calderon. Nie rób głupstw.

— Hej — syknął Cornet. — Źle wyglądasz, synku. Jesteś blady. Nadmiar obowiązków? Wybacz, że nie pogratulowałem ci awansu na stanowisko następcy starszego. Ale wiesz co? Nie będziesz się nim długo cieszyć.

Vax wyciągnął przed siebie dłonie, w geście obrony czy błagania.

— Nie, Cornet! — zaskomlił. — Nie!

Crux pociągnął za spust. Vax kaszlnął, charknął i zwałił się na podłogę.

— Kolejny dywan do wymiany — mruknął Cornet, przypatrując się rosnącej kałuży krwi. — Powodzenia na nowej drodze życia, Mius.

Wetknął pistolet za pasek, sięgnął po tygiel. Przy odrobinie szczęścia zastanie Justusa w jego pokoju. Uśmiechnął się paskudnie. A w dziedzinie Ludu Luster szczęście zawsze sprzyja mścicielom.

Nie niepokojony przez nikogo minął kilka pokoi i dotarł do szerokiego korytarza. Za czwartymi z kolei drzwiami zaczynał się apartament Justusa. Cornet nacisnął klamkę. Ustąpiła bez oporu. Justus, pochylony nad rozłożonymi na biurku papierami, na widok Cruxa zachłysnął się oddechem, posiniał.

— Cornet? — wychrypiał.

Crux posłał mu olśniewający uśmiech drapieżcy.

— Braciszku! Co za radość, że cię zastałem.

Justus porwał się zza stołu, przewracając krzesło.

— Nnie zbliżaj się! — wyjąkał. Przerazenie wykrzywiło mu twarz w brzydką maskę. Dłonie wykonywały chaotyczne gesty, jakby Cruxa otaczał niewidzialny, trujący dym, który Justus starał się rozproszyć.

— Dlaczego? — syknął Cornet. — Przecież jesteśmy rodziną. Płynie w nas ta sama krew, braciszku. Nie zawrzesz ze mną paktu krwi?

Zrobił krok do przodu.

— Wynoś się! — wrzasnął histerycznie Justus, odskakując w kąt pokoju.

Nie miał dokąd uciec, bo Cornet blokował jedyne drzwi.

— Nieładnie, Justus — ton głosu Cruxa przyprowadził Vallegro o dreszcze przerażenia. — W ten sposób spędza się psa z kanapy, a nie odzywa do brata. Gdzie twoje maniery?

Usta Justusa posiniały ze strachu, drżały.

— Cornet, przysięgam! Nigdy nie miałem wobec ciebie złych zamiarów. To Sykstus. To on cię nienawidzi.

— Morda w kubel, braciszku — warknął Cornet. — Ani jednego parszywego słowa z twojej

gęby padalca, gnido. Szczerze mówiąc, w dupie mam twoje braterskie uczucia. Bo widzisz, tak się składa, że ja nienawidzę ciebie.

Justus zaskomlał, skulił się, a z jego ust zaczęły się sypać bełkotliwe błagania.

— Powodzenia w piekle — powiedział Cornet i chlusnął srebrem z tygla prosto w twarz brata.

Justus zawył. Poderwał dłonie do krwawej, poczerniałej jamy, w jaką momentalnie zamieniła się jego twarz. Niebieskawe płomyki zatańczyły na włosach, szybko obejmując całą głowę. Wokół rozszedł się mdlący smród spalenizny. Justus tarzał się po podłodze, a z jego gardła wydobywał się jednostajny wrzask, który mogłoby wydawać raczej zdychające zwierzę, a nie istota obdarzona świadomością. Cornet spokojnie odstawił na biurko pusty tygiel i wyszedł. Po korytarzu ścigały go cichnące krzyki brata, lecz nie zwracał na nie uwagi.

Pokój Charlotty otworzył się równie łatwo jak apartament Justusa. Dziewczyna już spała. Cornet zamknął za sobą drzwi, podszedł do łóżka, nie zapalając światła. Charlotta, zbudzona hałasem, zamrugała, spojrzała na niego nieprzytomnie.

— Cornet? — szepnęła. — Tak dawno cię nie widziałam. To cudownie, że jesteś, ale przyjdź jutro, dobrze? Teraz śpię i wiesz, trochę mi głupio, że jestem rozebrana. To znaczy, w koszuli...

Urwała zmieszana. Stał nad nią, milcząc, a wyraz, jaki malował się na jego twarzy, wzbudzał w dziewczynie strach.

— Cornet? — powiedziała drżącym głosem. — Proszę cię, wyjdź. Wyglądasz strasznie. Boję się.

Nie wyszedł. Zamiast tego usiadł na łóżku. W ciemności czarne oczy wyglądały jak dwie wycelowane w nią lufy. Pisnęła ze strachu. Chciała zerwać się i uciec, ale przydusił ją ramieniem. Spróbowała się wyrwać, lecz Cornet był znacznie silniejszy. Unieruchomiona dyszała tylko, szeroko otwierając niebieskie oczy, które ze strachu zrobiły się całkiem okrągłe. Lęk paraliżował tak, że zapomniała o krzyku.

Cornet wpatrywał się w Charlottę bez współczucia. Drżała. Półotwarte usta z trudem chwyciły powietrze.

— Nie jesteś czystej krwi — powiedział. — Zostałaś przeprowadzona.

Nagle, w jednej chwili, ujrzał rozgrywającą się w odległej przeszłości scenę. Wizja wybuchła jak magnezja w archaicznym aparacie fotograficznym i równie nagle zgasła. Zobaczył łąkę ukwieconą niby ilustracja do bajki i złotowłosą pasterkę, otoczoną stadkiem owiec. Skonfundowana dziewczyna miała rąbek podartej spódnicy, a nad nią pochylał się Sykstus, w eleganckim, szarym płaszczu podróżnym. Crux zaśmiał się cicho.

— Co za sielanka — mruknął. — Niewinność nagrodzona. Słodka owieczko, wybac, że będę musiał zburzyć twoją bajkę. I tak nigdy nie była prawdziwa.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać jasne kosmyki. Charlotta zadrżała, pisnęła niczym zapędzony w kąt szczeniak. Cornet, nie poluźniając uścisku, przesunął się na łóżko, przygniótł dziewczynę kolanami. Pojękiwała cicho, nie usiłując się bronić. Teraz mógł uwolnić ręce. Dziewczyna leżała pod nim sztywna z przerażenia. Sięgnął do kieszeni, wyjął niewielki składany nóż. Na ten widok Charlotta szarpnęła głowę. Wielkie, niebieskie oczy zrobiły się szkliste z lęku.

— Nie chcę! — zapiszczała histerycznie. — Nie! Nie chcę!

Cornet podwinął rękaw, rozciął głęboko lewe przedramię, od nadgarstka do łokcia. Krew buchnęła natychmiast, barwiąc pościel w duże, ciemne plamy, jakby rozkwitły na niej maki, które tylko noc potrafi powołać do życia.

— Ja też nie chciałem — powiedział Cornet — ale nie pozostawiono mi wyboru.

Pochylił się nad Charlotta, siłą rozwarł jej szczęki. Długie, rdzawe włosy muskały ramiona dziewczyny. Crux uniósł okrwawioną rękę, zatrzymał nad twarzą Charlotty. Stróżki krwi ściekały po

skórze, kapały w rozwarte usta.

— Pij, moja owieczko — szepnął Cornet. — Spróbuj przekłętą krwi.

Poczuł, jak dziewczyna zaczyna się miotać. Próbowwała krzyczeć, ale dławiła ją krew. Przełykała, żeby uniknąć uduszenia.

Szept Corneta brzmiał chrapliwie.

— Sykstus zrobił z ciebie kukłę, maleńka. Wierzyłaś mu we wszystkim. Ale czas się ocknąć. Przykro mi, skarbie. Wbrew temu co mówi, żaden z nas nie jest dobry. I ja też nie mogę sobie na to pozwolić. Powodzenia na nowej drodze życia.

Cofnął ramię, wstał z łóżka i nie obejrzawszy się wyszedł. Trzasnęły drzwi. Charlotta nie śmiała się poruszyć, jakby ciężar nienawiści Corneta nadal ją przygniatał, mimo iż napastnik już odszedł. Dopiero po chwili pojęła, że stało się coś nieodwracalnego. Poczucie krzywdy okazało się silniejsze niż szok, więc załkała, zwijając się w kłębek na zbrukanej pościeli. Szlochała, a dłonie, którymi próbowała otrzeć łzy, rozmazywały po twarzy krew.

Cornet niespiesznie szedł ulicą. Było zimno. Mijający go przechodnie mieli podniesione kołnierze, dłonie wciśnięte w kieszenie. Większość spieszyła się do ciepłych domów, mieszkań czy biur. W powietrzu wisiała wilgoć, gotowa w każdej chwili przerodzić się w mżawkę.

Crux, obojętny na chłód, wędrował po mieście. Maleńkie kropelki osiadające na jego włosach w świetle latarni lśniły rudawo. Cornet myślał o Rdzy. Po opuszczeniu domu Sykstusa próbował ją dopaść, ale uciekła i schroniła się pod skrzydłami Kręgu. To nic. I tak ją dostanie. Najlepiej z całym bractwem. Krąg też jest mu coś winien. Skrzywił się na wspomnienie Rdzy. Umykała przed nim jak szczurzyca przed tyfusem. Była przerażona. Już nie potrafiła jednym gestem ręki wywołać u niego krwotoku. Ze swoją śmiertelną chorobą i mocą zdolną równać się z Kręgiem stał się podobny do widma starożytnego króla, który powrócił do świata żywych, by budzić lęk i wyrównywać rachunki. Poczekaj Alysio Maddox Dellvardan, Czarna Różo, suko Kręgu, upiór upomni się także o ciebie.

Zatrzymał się przed wystawą dużego sklepu. Odbita w szybie, spoglądała na niego twarz długowłosego, ponurego demona. Diabeł z lustra. Usta Corneta wykrzywiły się w grymasie gorzkiego uśmiechu. Prawda kryje się w starych zabobonach, w głędzeniu babek, w lęku przed ciemnością. Zło zawsze czai się blisko, na wyciągnięcie ręki. Nie sposób się z nim układać, oswajać go ani zmieniać. Kto wpatruje się w lustro, zobaczy oblicze diabła. Tylko często nie potrafi tego zauważyć, bo rozpoznaje w nim jedynie własne rysy.

Izabela Szolc

Izabella

„Teraz, zrób to!”

00.00.0000

Zaczęło się od tego, że rano, po przebudzeniu, zobaczyłam swoje oczy zieleńsze niż zwykle. Ba, głęboko zielone, z jaśniejszą obwódką — a wczoraj były po prostu brązowo–nijakie. Później poszło już z górki — nie mogłam jeść, nie mogłam spać, nie mogłam malować. Wyłączyłam telefony, podstawiałam krzesło pod drzwi, położyłam się do łóżka. Leżałam, leżałam, leżałam... Leżałam, bo nie miałam ochoty wstać. Nie wiedziałam, po co miałabym wstawać. Leżałam z pewną ulgą, że wreszcie mnie to dopadło i nie muszę się niepokoić na przyszłość.

No i, tak po prawdzie, nie miałam siły, by się podnieść. Byłam sama, ale nie samotna. Tak jakby przybyło mi ciała i przybyło umysłu — przeistoczyłam się w esencję Izabeli z Izabeli. Na przemian mnie to przerażało, albo budziło szczere zadowolenie, aż nabierałam ochoty na więcej. Tyle, że zmiany następowały mniej więcej co minutę. Nie płakałam, ani nie śmiałam się. Nie miałam też pospolitych zmartwień, choć męczyła mnie świadomość, że kotce Fionie skończyło się suche żarcie, a ja naprawdę nie mam siły, by choćby zamówić je przez sieć, nie wspominając o wyjściu do sklepu. I martwiłabym się dłużej, gdyby Fiona nie zdechła parę tygodni później na raka — wtedy musiałam przyznać, że problem sam się rozwiązał. Nie spałam, ale na jawie widziałam dziwne rzeczy. Jakby przedarły się tutaj wszystkie nie wysnzione sny. Kiedyś ujrzałam swoją zmarłą babkę. Była stara, ale myślała, że jest młodsza ode mnie; w ogóle sfiksowała dokumentnie (najwyraźniej w zaświatach nic nie zmienia się na lepsze). Nosiła kuchenny fartuszek w niebieskie kwiaty i uśmiechała się do mnie — nie wiem czy bardziej ustami, czy zielonymi oczyma. Na rękach trzymała szarą Fionę.

Dawno temu genetycy wysnuli teorię, że zielone oczy idą w parze ze skłonnościami do chorób psychicznych. Dawno temu też ogłosili, że są w stanie sklonować człowieka. Rządy nie pozwoliły im jednak na to, choć głośno krzyczano o możliwości wykorzystania klonów do transplantologii. Mnie interesowało jedynie, czy można sobie wyhodować zdrowy mózg, bez pierdolców. Oczywiście, że... NIE.

W końcu sielanka się skończyła. Ktoś gwałtownie zaczął dobijać się do drzwi, a ja oczywiście nie miałam zamiaru nawet ruszyć palcem. Hałas jednak nie milkł. W końcu dołączyły do tego różne głosy, ktoś sprawnie otwierał zamki, aż podstawione krzesło pękło pod naporem czyjegoś ciała.

— Święty Boże! Bela!

To był mój... narzeczonny? Miał na imię Adam, jeździł po świecie z *National Geographic* i coś tam dla nich pisał. Wiecie, związek na odległość, mężczyzna w ciągłych rozjazdach, etc...

Rozejrzał się wokół, pociągnął nosem.

— Tu śmierdzi. Istotnie, śmierdziało.

— Nie mogę jeść, nie mogę spać, nie mogę malować.

Umył mnie, pomógł mi się ubrać i zabrał do lekarza. Nie zauważył zielonych oczu.

— Powiniennem ci kupić następnego kota — powiedział przepaszającym tonem.

— I tak karma się skończyła — wzruszyłam ramionami.

Ha, nawet nie próbował mnie zabrać do psychoanalityka, tylko od razu do tego od łebków — znaczy psychiatry.

00.00.0000

Przystojniacha był z tego lekarza. Jak to mówią: „stary, ale jary”. Z początku patrzył na mnie jak na córkę, ale to chyba dlatego, że Adam też był w gabinecie. Zresztą nie wyglądałam najlepiej. Byłam zmęczona.

— I co, uśpi mnie pan doktorze? — w końcu eutanazja była zalegalizowana.

— Chciałaby pani umrzeć? — zapytał.

— Skoro nie mam nic do roboty... — Słyszałem, że pani maluje.

— Malowałam. — Teraz nie ma pani ochoty? — podrapał się po swojej krótko ostrzyżonej czuprynie.

— Nie wiem. Kiedyś wszystko wyglądało inaczej.

Uniósł brwi.

— To znaczy?

— Niekoniecznie lepiej, ale ciekawiej.

Myślałam, że pokiwa głową, ale tylko wzruszył ramionami. Co to jest, do cholery! Medycyna alternatywna?! Chciałam się już położyć, ale trudno — muszę zapytać.

— Czy to schizofrenia?

— Nie, depresja — odpowiedział i postawił na stole udoskonaloną wersję prozaca. — Witamy w lepszym świecie, Izabelo.

00.00.0000

Adam dojrzałe się poświęcił i postanowił, że na jakiś czas wprowadzi się do mnie. Wprowadzi tak na serio, to znaczy nie będzie nigdzie wyjeżdżał.

Zamiast kota kupił mi farby — poprzednich nie pozakręcałam i wyschły na wiór. Adam stwierdził, że prozac mi służy i kazał malować. Coś tam więc gluciłam na ślepo, bo nie miałam koncepcji. Przynajmniej do czasu, bo w pewnym momencie sama się znalazła, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Lekarz zalecił spacer. Kazał chodzić dużo, często, także w pojedynkę, ale Adam uważał to za zbyt ryzykowne. W końcu nie wiadomo, co mi odbije. Przeszło mu, kiedy psychiatra stwierdził, że jeśli nie dostanę odrobiny swobody, to zostanę wykastrowana. Ja? A niby z czego? W każdym razie Adam się przejął — nie chciał uchodzić za tego, który zawęży horyzonty swojej kobiecie. Pewnego dnia umył mi głowę: po pierwsze było przyjemnie, po drugie to podobno najlepszy sposób na depresję. Wysuszył mi włosy i jak dumna mama wypuścił w świat. Była wiosna...

Znalazłam mistyczne miejsce do kontemplacji, wcale nie tak daleko od domu. Archaiczne, zapomniane wysypisko. Tak zapomniane, że nie było tu nawet lumpów — tylko kruki. Kruki albo gawrony, ale krakały, więc chyba jednak gawrony, bo wbrew temu, co się mówi, kruki milczą... Przeczytałam o tym w jakiejś mądrej książce całe lata temu. Zresztą już wtedy kruki były pod ochroną, więc żeby uchowało się ich tyle aż do dzisiaj? W dodatku, dlaczego wybrały taki syf?

Ptaszyska majestatycznie kołowały nad wysypiskiem śmieci, obniżając co jakiś czas lot jeśli wypatrzyły błyszczącą ciekawostkę. Wszystkie jak jeden mąż omijały przetrawione przez korozję beczki, z których ciągle unosił się potwornie śmierdzący dym. Nie trzymano w nich chyba kwasu, tylko coś znacznie bardziej żrącego...

To właśnie stało się moją koncepcją malarską.

Wpadłam w szal twórczy. Pacykowałam tak, że wkrótce skończyły mi się farby. Następne musiałam kupić już sobie sama — Adam znowu gdzieś wyjechał ze swoim pismem.

Założę się, że od zarania dziejów każdy sklep z farbami wyglądał zawsze tak samo, czyli przyjaźnie dla malarza. Ten mój prowadziła kobieta, która mogłaby być kochanką Rafaela Santi, gdyby nie to, że on wolał chłopców. Sprzedała mi trzy komplety tub, trajkocząc bez przerwy, a to, że cieszy się widząc mnie, to, że bała się, iż coś mi się stało. Że wciąż młodo wyglądałam. Jezu, jak po prozacu...

Kiedy po tygodniu przyszłam po raz drugi, nie omieszkała wtrącić, że chyba dużo pracuję, bo ciągle tu przychodzę. Rany, jak ma takie zwidy, to niech też do kogoś pójdzie!

Ja miewam zwidy. Ostatnio właśnie w witrynie sklepu dla plastików (ktoś dba o czystość, więc można wyraźnie się przejrzeć). Przechodziłam tam jakąś potwornie okrężną trasą na moje śmietnisko, no i coś kazało mi popatrzeć na siebie. Sprawdzić, czy te zielone oczy są wciąż na miejscu. Były. A później moje odbicie, zupełnie niezależnie odwróciło się od wewnętrznej strony okna i zaczęło coś zamawiać u Rafaelowej.

Gównu z tego prozaca.

Adam wrócił i na dzień dobry zaczął mnie testować z tego, co namalowałam pod jego

nieobecność. Pokazałam mu obraz.

— Miałaś zrobić coś od siebie, a nie kopiować.

— Przecież to moje — zaprotestowałam. — Zrobiłam gawrony kołujące nad śmietnikiem.

Ciężko westchnął.

— Nie rób ze mnie idioty. To kopia van Gogha: „Pole ze zbożem i krukami”. W dodatku wybacz, ale nie najlepsza. Oryginał widziałem w Amsterdamie tuż przed powodzią.

Nie chciałam się kłócić. Niech będzie, że jest to „Pole ze zbożem i kruki”. Ostatni obraz van Gogha. Na tym samym polu strzelił sobie w klatkę piersiową.

00.00.0000

Kiedy poczułam się lepiej poszłam do matki. Była trochę urażona, że tak długo się nie pokazywałam. Trochę, bo wiedziała, że choruję i „trochę”, bo w interaktywnej telewizji dawali powtórkę przedwiecznego „Klanu”, a mama zamówiła ją sobie na „fuli”. Czasu wystarczyło jej jeszcze tylko na spacer z psem. Ja byłam „trochę” urażona, że nie ruszyła do mnie swej osoby, żeby choćby sprawdzić czy w ogóle jeszcze oddycham.

Kiedy zrzucałam z siebie płaszcz zorientowałam się, że i ona dopiero co wróciła ze spaceru. Teraz przecierała łapy swojemu wyżłowi Keku. Pies był śliczny, bo sama go jej podarowałam: żeby nie czuła się osamotniona i miała trochę ruchu. Keku powinien nazywać się Kaka, bo cierpiał na rozstroje żołądka, jednak moja matka darzyła go wielką i niezmienną miłością.

— Siadaj — powiedziała jakby nigdy nic i włączyła telewizor. — I przynieś psu ciastka z kuchni. Leżą na kuchence.

Przyniosłam.

— Marnie wyglądasz — stwierdziła po minucie milczenia. Przysięgłabym, że patrzy tylko w ekran.

— Staram się coś z tym zrobić.

— Bierzesz jakieś tabletki?

— Tak.

— Przydałby ci się wózek. Uśmiechnęłam się pod nosem:

— Aż tak źle wyglądam?

— A czy ja cię chcę w nim usadzić? Błada jesteś, a wózek mobilizuje do pacerów.

— Jak pies? Spojrzała na mnie ostro:

— Nie obrażaj Kukiego. I nie udawaj Greka. Wiesz doskonale o czym mówię. O wózku z właściwą zawartością. Masz trzydzieści pięć lat: o dwa lata więcej niż ja, kiedy cię urodziłam... Słyszysz?

— Co? — wsłuchałam się w dialog z telenoweli.

— Ostatni dzwonek — powiedziała mama surowo. Kuki puścił bąka. Pomyślałam złośliwie, że nie służą mu ciasteczka.

— Za twoich czasów była inna medycyna. Teraz można rodzić później. Zresztą ja nie zamierzam...

— Już wyglądasz jak to „później” i bardzo cię proszę, nie wymawiaj mi wieku. Nie twierdzą, że dzieci muszą kochać swoich rodziców, ale odrobinę szacunku im się należy. Czy ty na przykład szanowałaś swojego ojca?

Nic nie odpowiedziałam. Nie chciało mi się.

— Rodzice też nie lubią swoich dzieci — ciągnęła. — Ale czy to znaczy, że mają ich traktować jak obce i nie lubiane osoby?

Milczałam nadal.

— Kochanie, z tobą w ogóle o niczym nie można porozmawiać.

Wyszłam stamtąd szybciej niż zamierzałam. Okolice, w których się wychowałam podupadły,

zszarzały, rozbiły się na getto biedaków. Zamiast szklanych domów — betonowe pokraki posadzone w błocie. Kilkakrotnie namawiałam matkę, żeby się stąd wyprowadziła, ale nie chciała, bo miała blisko do szpitala, gdzie ojciec siedział w kapsule kriogenicznej i przedłużał swoje życie.

Adam nieśmiało zapytał, czy moja matka o nim wspomniała. Odpowiedziałam, że owszem i że ma wobec niego wielkie plany. Zapytał jakie. Prokreacyjne rzecz jasna. Z twoją mamusią? — zbulgotał radośnie. I jeszcze napomknął, że skoro mowa o prokreacji, to może przystąpimy do serii nieudanych prób?

Nie. Nie powinnam, wiesz — prozac i w ogóle... Prozac prozaczem, Adam Adamem.

— Wszystko w porządku?

— Adam, myślisz, że jak teraz usnę, to jutro rano się obudzę?

— Oczywiście, że się obudzisz.

— To źle czy dobrze?

— Wzięłaś pigułkę?

— To źle. Moje życie mnie nudzi. Spojrzał na mnie ponuro.

Wkrótce wyjechał z kraju i jednocześnie z mojego życia.

00.00.0000

Pani Artystka namalowała swój autoportret — dla potomnych rzecz jasna. Oto jest: gładka, płócienna cera i zagubione — uwaga! — orzechowe spojrzenie. Chciałam domalować gdzieś przy swoich nogach Fionę, ale za bardzo kochałam tę kotkę, żeby wyciągać ją nawet w ten sposób z grobu. Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!

I mnie, mnie też pozwól odpocząć. Archanioł Prozac zwiastował dobre czasy, ale boję się i wątpię, bo nie nadchodzą. Chyba brak mi cierpliwości. Łykam te pigułki jak gorzkie landryny. Nie, nie przedawkuję, choć niebyt śmierć staje się coraz bardziej kuszący. Coś zbiera we mnie i już.

Znowu się zaniedbałam; w końcu nie ma już Adama ani żadnej innej osoby, do której nie czułabym obrzydzenia. Lekarz widział nie takie jak ja. Zresztą chyba i tak mu się podobam. Zaproponował elektrowstrząsy, ale gwałtownie odmówiłam — chwała Bogu, że prawo nie pozwala mnie zgarnąć wprost z jego gabinetu do szpitala. Nawet jeśli przyjmemy, że jestem wariatką i nie mogę sama o sobie decydować, muszą pójść do mojej matki, a ona nie pozwoli zrobić mi krzywdy. Taką przynajmniej mam nadzieję mam. Słyszysz? Liczę na ciebie!

Cały szkopał w tym, że pan Psycho, pan Pierdziel, postawił chyba złą diagnozę. Takie rzeczy się zdarzają... Wychodzi mi na to, że nie mam żadnej depresji, tylko pieprzoną schizofrenię! Nie pamiętam ludzi, którzy ponoć ze mną rozmawiali. Choćby taki Wacek: obraził się śmiertelnie, że go nie poznaję na ulicy, a podobno kiedy podchodzi i pyta „jak leci?”, to uciekam. Wszystkie swoje pretensje nagrał mi na poczcie głosowej. Odsłuchiwałam w zdumieniu i z wysiłkiem przeszukałam myślowy śmietnik, ale tego cholernego Wacka nie pamiętam od pół roku! Nie kojarzę też bardziej spektakularnych wyskoków — ponoć nawiedzam Rafaelową i wypytyję o warsztat, o nowe techniki. A co ja, malować nie umiem? Szkół nie kończyłam? Rafaelowa bierze moje wariactwo za talent. Bóg z nią. Jednak czy można bywać w dwóch miejscach równocześnie? Ja podobno bywam. Czy można nienawidzić migdałów w cukrze, a potem opychać się tym świństwem na ulicy? Czy można wstawić obraz do galerii i nie pamiętać, kiedy się go zrobiło?

Niech to szlag — autentyczna, czysta schiza.

00.00.0000

Opowiedziałam mu wszystko i walnęłam pięścią w biurko:

— Proszę mi to wytłumaczyć, doktorku!

Odparł spokojnie, że mnóstwo chorób może spowodować podobne objawy, ale to co mnie się przytrafiło nazywa się depresją, on mnie z tego wyleczy, a poza tym nigdy się nie myli.

Dodałam, że źle się dzieje w królestwie prozaca.

— Jak się teraz czujesz? Spróbuj zwizualizować, tak jak obraz...

— Jakbym siedziała w kompletnej ciemności pośrodku lodowato zimnej rzeki. Bardzo chcę wyjść na któryś z jej brzegów, ale problem w tym, że żaden brzeg nie istnieje, tylko ta rzeka...

Stwierdził błyskotliwie, że jeśli bez brzegów — to nie rzeka, a co najmniej jakieś morze, a ja bezwładnie opadłam na skórzaną kanapę. Kanapa wydała nieprzyjemny dźwięk, którym być może w innym życiu bym się przejęła.

Psychiatra usiadł obok.

— Powinnaś zgodzić się na te elektrowstrząsy

— powiedział poklepując mnie po pośladkach.

— Boję się Robercie. Podobno można połamać sobie kości... No i to boli. — Nie, wcześniej podajemy kurację. Oczywiście małą, taką odrobinę — jego ręka delikatnie wsunęła się pod moją bluzkę.

— Po niej nie można oddychać. Czytałam...

— Tylko przez chwilę, a wtedy będę robił „usta — usta” — pocałował mnie.

— Nie, Robercie. Jeszcze nie... Poczekaj aż zaśnie i wyszłam.

Jechałam taksówką, której kierowca trzymał na kolanach bardzo duży i bardzo nielegalny rewolwer, a mnie traktował jak dziwkę. Kiedy zerknęłam we wsteczne lusterko stwierdziłam, że miał prawo — pomadkę miałam rozmazaną po całej twarzy. Niestety, w gabinetach psychiatrycznych nie ma luster.

Świtało, ale wcale nie robiło się przez to bezpieczniej. Wschodzące słońce rozpuszczało jakieś cienie, ale nie te ludzkie.

Cholernie się wystraszyłam, kiedy usłyszałam przed domem te dziwne szelesty — ktoś grzebał w kontenerach na śmieci. Mieszkańcy mojej unowocześnionej kamienicy nie należeli może do finansowej elity, ale byli średniakami, a tych już warto okradać. Chciałam zaalarmować krzykiem strażnika z parteru nim poderżną mi gardło, ale nagle przestałam się bać.

Kot — źródło całego hałasu — wylazł ze śmietnika i zaczął ocierać się o moje nogi. Schyliłam się, a wtedy wskoczył mi na rękę.

Zabrakło mi tchu.

— Fiona? — wyszeptałam przez ściśnięte gardło. Wyglądał kubek w kubek identycznie jak moja zdechła kotka.

— Tęskniłam za tobą — powiedziałam i rozplakałam się po raz pierwszy od nie wiem jak dawna.

Oczywiście wzięłam zwierzę do domu. Dokładnie obwąchało pracownię, a potem przylegające

do niej mieszkanie. W końcu ułożyło się na pościeli — było u siebie.

Tak jak Fiona, kot lubił przesiadywać ze mną podczas malowania, choć niemożliwe, by nie drażnił go zapach terpentyny. To był kocur, więc nazwałam go Fionem.

00.00.0000

Przedzierałam się przez mrówczy tłum ludzi spieszących z pracy do domu. Maszerowali skupieni i poważni, nie rozglądali się na boki — żadnych rozmów, randek, drinka po pracy. Byle szybciej do swego slivera. Wiedzieli co robią: nawet w tej dzielnicy, dzielnicy pracujących, można było dostać w łeb. Od bezrobotnego albo anarchisty, któremu te zapracowane owady wyjątkowo się nie podobały odkąd przeczytał „Kapitalizm” dziadka Marksa. Mnie było wszystko jedno... Dokuczało mi tylko to, że zbieram przypadkowe ciągi wypchanymi teczkami w trakcie przedzierania się pod prąd do najbliższego automatu. Wyjęłam z kieszeni sztruksów chipową kartę. Gdzieś z tyłu apelowano o pieniądze dla dzieci ze slumsów, ale nigdy nie sypnęłam na nie groszem, bo były z jeszcze bardziej obcego mi świata, niż ci pracusie. Numer wystukałam szybko, wręcz niecierpliwie, żeby się nie rozmyślić.

— Mama?

— Kto mówi?

— To ja mam, Izabela — powtórzyłam głośniej. Jej telewizor znów miał podkręcony dźwięk. Słyszałam głos Kotulanki.

— Oglądam „Klan”. — Nie wiem czy w jej głosie usłyszałam nutkę pretensji, ale tak chyba mogło być. W końcu psułam jej przyjemność. — Muszę cię o coś zapytać, mam... — Więc pytaj...

Byle szybciej, bo szklany świat nie czeka.

— Czy ja mam siostrę bliźniaczkę, o której nic nie wiem?

Cisza, a potem śmiech:

— Kochanie, jedna taka jak ty w zupełności nam wystarczyła.

— Na pewno?

— Słuchaj, co to za idiotyzmy? Wiesz jak lubię ten serial.

— Mam!

Krew głośno tętniła mi w uszach.

— Jesteś w ciąży?

— Nie, skąd.

— A widzisz! Zaszłabyś w ciążę, zajęłabyś się wychowaniem. A jeśli nie dzieckiem, to może czymś innym, co? Jak długo do cholery mam niańczyć tego wyźła? Śmierzący zwierz!

Odłożyła słuchawkę.

— Do widzenia — powiedziałam w ciszę. — Tak w ogóle to mam okres... A w dupę! — z całej siły kopnęłam w budkę.

Jakiś przechodzień popatrzył na mnie z wyraźnym zgorszeniem. Nie dziwota, na zbuntowaną nastolatkę już nie wyglądałam. Znaczący: stara społeczna. Temat dla socjologa. Izabela przez jedno „1”. Przyłożyłam czoło do chłodnej szyby. Tłum ludzi przeredzał się, ale to była dopiero pierwsza fala. Później pojawią się Nadgodzinowcy.

Wysłałam z telefonicznego akwarium, ale było mi bez różnicy — nadal od świata oddzielała mnie szyba.

00.00.0000

Boję się.

Boję się, bo ostatnio nie pracuję tyle ile bym chciała, i ile pracować się powinno. Jestem chora i za dużo myślę. Może kiedyś to uszlachetniało, ale w tym świecie nie ma na to miejsca. Nie ma też miejsca dla kogoś takiego jak ja. Jak my — bo powoli wychodzi na to, że jest mnie (nas?) dwie. Jednak nie mam siostry bliźniaczki. Wierzę matce, zresztą nie stać by jej było na taki numer.

Prozac, prozac, pokaż rogi... Robert upiera się, że to nie schizofrenia. OK — taka ze mnie kochanka, jak i królowa. Zresztą on jest lekarzem, ja nie. Czyżbym miała jednak sobowtóra?

00.00.0000

Nie mogę się zdecydować czy to świetny dowcip, czy rojenia wariata.

Sklonowano mnie.

Obiecywano, że nigdy do tego nie dojdzie, że nikomu ten wypadek się nie przytrafi. „Politycy kłamią.

Naukowcy kłamią” — powinny krzyczeć nagłówki. Chciałabym nie wierzyć tej małej zdzirze, ale nie mogę. Po prawdzie to trudno wyzywać mi kogoś z moją twarzą.

Co za sytuacja! Wolałabym już być schizo! Dlaczego więc jej wierzę? Bo wie w zasadzie tyle samo co i ja.

Kiedy wróciłam do domu, dozorca obrzucił mnie bardzo dziwnym spojrzeniem. Nie mogłam otworzyć furtki — jakby ktoś przy niej majstrował. „Trzeba to zgłosić” pomyślałam jeszcze. Weszłam do mieszkania, ale Fion nie czekał na mnie pod drzwiami. Przestraszyłam się nie na żarty, ale kiedy weszłam do pokoju, już siedziałam tam w fotelu z kotem na kolanach.

— Cześć — odezwałam się do siebie.

— Wiedziałam, że w końcu przyjdiesz — odpowiedziałam sobie.

— Intuicja — druga ja pokiwała głową. Byłam prawie identyczna. Prawie, bo jak się przekonałam, ja na fotelu miałam swoje stare, brązowe oczy sprzed choroby. Zamiast obecnych zielonych. I była jeszcze jedna różnica.

— Nazywasz się Izabela?

— Izabella.

— Arystokratycznie je wymawiasz... Fion, chodź do pani! — głupi kot, ani drgnął.

Wtedy ona wstała i podała mi zwierzaka.

— Poczekaj chwilę, zdejmę buty. Nogi mi puchną...

— Wiem — skinęła głową. — A imię wymawiam dobrze, pisze się je przez dwa „l”.

Moje pisało się przez jedno. Matka chciała inaczej, ale kiedy zgłaszała mnie do Urzędu dowiedziała się, że „Izabella”, brzmi zbyt po zachodniemu i Urząd nie wyraża na to zgody.

— No dobra, w dupę kopany — rzuciłam butem.

— Więc kiedy mój ojciec zdążył posunąć twoją matkę?

— Niepotrzebnie się unosisz.

Nareszcie kot zaczął jej się wyrywać.

— Coś tu się musiało unieść, nie?

— Pipeta.

— Słucham?

— To sprawa pomiędzy tobą i mną, a nie twoimi rodzicami.

— Naszymi.

— Niech będzie, że naszymi — wzruszała ramionami tak samo jak ja.

— Poczekaj chwilę... Zamaszyście łyknełam prozac.

Przyjęła to ze zrozumieniem, a potem zaczęła opowiadać.

Bzdura. Bzdura, albo operacja plastyczna. Milczała.

— A tak poza tym, Izabello, to dlaczego niby miałabym być ja? Starzy nie są nikim szczególnym. Ja też, trzeba przyznać, ani z tych wyjątkowo ładnych, ani wybitnie inteligentnych. Malarka ze mnie średnia i nawet jako wariatka się nie sprawdzam. Czemu więc mieliby to zrobić właśnie mnie?

— Może zapytasz, czemu zrobili to mnie? Spojrzałam jeszcze raz na jej brzuch pozbawiony pępka. Jezus Maria, kiedy byłam młoda chodziło się do kina, by oglądać takie rzeczy.

— I tak by to jedno sfuszerowali?

— Może chcieli zostawić jakiś znak.

— Kto?!

Wzruszyła ramionami.

— Trzydzieści pięć lat temu klonowanie było niemożliwe. Kombinowali dopiero dziecko z próbówki.

— Ale ja nie mam trzydziestu pięciu lat.

— To niby ile?

— Nie wiem. Ale nie trzydzieści pięć. Nawet pięciu nie pamiętam.

— Widzisz, nie jesteś moim klonem. Jesteś zmanipulowana genetycznie.

Usiadłyśmy naprzeciwko siebie. Trudno było na nią patrzeć.

— Daj mi papierosa — poprosiłam.

— Skąd...

— Intuicja.

Zapaliłam i niemal od razu się rozkaszałam.

— Ktoś cię oczywiście ściga — powiedziałam tonem znudzonego kinomana, ale dusił mnie strach.

Izabella też zapaliła.

— Skąd — stwierdziła. — Oni mają mnie w dupie. Hej, zaczynałam lubić tę drugą siebie.

I Fion też ją polubił.

00.00.0000

Posadziłam ją przed sztalugami i podałam pędzle:

— Maluj.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

— Nie udawaj. Wiem, że uczyłaś się u Rafaelowej. Więc pokazała mi.

Nie chciała żadnej martwej natury, nie chciała bym pozowała. Stwierdziła, że machnie coś z pamięci.

— To amatorszczyzna — burknęłam. — Prawdziwa sztuka musi naśladować naturę.

— To twoje zdanie. Dobrze. OK. W porządku.

Nagle zrobiło mi się niedobrze, musiałam pobiec do łazienki. Stałam jak ogłupiała i trzymałam się umywalki — takie silne miałam zawroty głowy. Minęły może dwie minuty i zaczęłam łapczywie chleptać kranowe — jak pies. Bolało mnie wysuszone gardło i byłam odwodniona. Widocznie depresja przenosi się z umysłu na ciało.

A moje nowe ciało właśnie siedziało w pracowni. I trzeba tam wrócić.

— Co to jest?

— Myślałam, że znasz. „Cyprysy i pole ze zbożem”, Vincent van Gogh.

— Brakuje kruków.

— Co? Tu nie ma kruków... Błado wyglądasz. Hej, czy ty nie jesteś w ciąży?

Matka ucieszyłaby się, gdyby mogła ją poznać.

— Skąd. Tylko nikomu o tym nie mów.

— O czym?

— Pięć lat temu podwiązałam sobie jajowody.

— Dlaczego? — patrzyła w obraz, nie na mnie.

— Żeby mieć spokój.

— Chcesz pomalować? — Zapytała nagle spiętym głosem.

— Nie. Pójdę się przejść.

Poszłam na śmietnik; siedziałam na jakimś pudle i nie mogłam się podnieść. Nie miałam siły, nie chciało mi się. Mijały całe godziny, a ja myślałam, że minuty. Nie łudzę się — kiedyś było inaczej. Tylko na co ja czekałam? Musiałam coś zrobić ze swoim życiem, a jeśli masz coś zrobić, to po co czekać? Dość.

Kiedy wróciłam późnym wieczorem, pokazała mi portret Fiona. Otwarłam Fionowi puszkę, a Izabella poszła do kuchni smażyć jajecznicę.

— Myślę, że jesteś tulku — powiedziała do niej, głośno, choć patrzyłam na kota.

— Co to jest tulku?

— To z buddyźmu. Istota, która świadomie się odradza, by pomagać innym. Wiesz, co to jest buddyżm?

— Bardzo śmieszne. I dla kogo ja miałabym być to tulku?

Nagły pisk telefonu doprowadził mnie na skraj zawału. Musiała go włączyć pod moją

nieobecność. Westchnęłam ciężko i podniosłam słuchawkę.

— Słucham?

Lepiej się czujesz? — to głos Roberta.

— Pytasz jako psychiatra?

Westchnął jak cierpliwy nauczyciel oczekujący na odpowiedź krnąbrnego ucznia.

— W porządku, znacznie lepiej niż ostatnio.

— Na pewno?

— Na pewno. Jakbym się narodziła na nowo.

— To dobrze, bo bałam się, że coś ci strzeli do głowy. W takich przypadkach...

— Robercie, proszę!

— OK, przepraszam. Kiedy się zobaczymy?

— Mam wizytę u ciebie, w przyszłym tygodniu.

— Myślałem o...

— Zadzwonię — odłożyłam słuchawkę.

Izabella starała się udawać, że nie podsłuchuje.

— Psychiatra i kochanek — powiedziałam.

— Niezłe zestawienie.

— Powiedziałabym, że standardowe. Zabawnie wtuliła głowę w ramiona.

— Iza...

— Mów mi Izabella, bo inaczej nie wiadomo o kogo chodzi.

— Wiadomo. Co ty sądzisz o życiu?

— Nic lepszego mi się nie przytrafiło. Chciałabym żyć do utraty tchu — zmarszczyła czoło. — O ile, no wiesz, w mojej sytuacji będzie to możliwe.

— Pokażę ci coś.

Kazałam jej usiąść wygodnie jak w kinie i poszłam do pracowni po album ze zdjęciami. Miała do odrobienia jakieś trzydzieści lat życia.

Pokazałam jej mamę, „kiedy nie była jeszcze mamą. Ktoś zrobił jej zdjęcie jak siedzi w kucki i stara się objąć dwa wielkie siedzące jej po bokach psy. Pokazałam tatę wdrapującego się na suche drzewo w samych slipkach, choć na tym zdjęciu miał już pięćdziesiątkę i powinien być poważny. Pokazałam jej rodziców spacerujących razem po parku. Malutką Izę zbierającą mleczko. Izę na huśtawce u dziadków. Z nimi, i z każdym osobno. Kolorowe zdjęcie Izy pozującej z małpką.

— Wtedy to zwierzątko cię podrapało — powiedziałam. I Izę na plamistym kucyku, przebraną za kowboja.

— Naprawdę ci się podobało.

Rany, ale ona potrafi się uśmiechać.

00.00.0000

Siedziałyśmy na wysypisku — Izabela i Izabella. Ostatnio zrobiłyśmy się sobie bardzo bliskie; jak siostry; albo coś odwrotnego...

— Podobało ci się? — Spytałam.

— Całkiem przyjemne, jak na drugi raz.

— Robiłaś to już kiedyś? — Uniosłam brwi.

— A coś ty myślała?! Że nie mam własnego życia?!

Roześmiałam się.

— Robert w niczym się nie zorientował? Nic go nie zdziwiło?

Pokręciła głową.

— Tylko jedno: powiedział, że jestem bardziej otwarta niż ostatnio.

Teraz ja pokiwałam głową:

— A oczy? Nie zauważył, że mają inny kolor?

— Co ty! Oczy miałam zamknięte.

— Przecież nie cały czas — uśmiechnęłam się krzywo.

— A co, myślisz, że wyskoczyły mi ze zdziwienia z orbit? To facet jak tysiące innych. Oni nie pamiętają, jaki masz kolor włosów, a co wspominać o oczach!

— O, szybko się uczysz.

Wyjęła bułkę i zaczęła karmić podlatujące coraz bliżej gawrony. Chwytały ostrożnie i natychmiast odlatywały. Te odważniejsze lądowały na dłużej i dziwacznie kołysząc się na boki domagały się nowych kąsków.

— Ale wolę Adama.

— Co? — aż się podniosłam.

— To nie to, co myślisz... Kiedyś spotkał mnie na ulicy i musieliśmy porozmawiać. Brał mnie za ciebie. To już było po waszym rozstaniu.

— Co mu powiedziałaś? Cisza.

— Zresztą, teraz to twoja sprawa — ze zdumieniem powitałam słowa, które tak łatwo przeszły mi przez gardło. — Coraz lepiej malujesz. Odkryłaś pułapy, których ja się zawsze bałam. Jesteś taka niezwykle... jasna. Tak, to dobre słowo. Zupełnie inna.

— Jestem taka sama jak ty.

Bułka się skończyła, ale miałam drugą.

— Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? — wzięła ją ode mnie.

— Biorę dla siebie to, co chcę, a tobie daję to, co ci jest potrzebne. Tak w ogóle, to mam już dosyć prozaca.

Popatrzyła na mnie uważnie.

— Tak, jestem pewna — odpowiedziałam na zadane wzrokiem pytanie. — Tylko będziesz musiała coś zrobić z tym dodatkowym „1”...

Najodważniejszy gawron przysiadł prawie przy jej stopie. Nosła moje buty. Nosła moje

ubrania. Chciałam... Nie wiem, co chciałam.

— Pamiętaj, że nie uznaję eutanazji — popatrzyłam w niebo. Zbierało się na letni deszcz. — Chyba pora wracać. Idź, ja jeszcze pomyślę...

Podniosła się z przewróconej skrzynki i zniknęła mi z oczu. Gawrony też uciekły. Musiałam jeszcze posiedzieć sama ze sobą. Czasem ta nasza ostrożność, by nikt nie zorientował się jak jesteśmy podobne, wydawała mi się przesadzona. W końcu żyliśmy w świecie, w których już nikt nie patrzył sobie prosto w twarz. A nielicznym dociekliwym (jak dozorca) wystarczyło: „siostra z zagranicy, na krótko”.

Wkrótce coś ważnego miało się zacząć, a coś skończyć, że użyję eufemistycznego zwrotu. Siedziałam tam i byłam szczęśliwa. Czułam się wolna, spełniona i w harmonii ze światem — w harmonii, o której czytałam jedynie w książkach.

00.00.0000

Czy zaczęło się od tego, że rano, po nieprzespanej nocy, zobaczyłam w lustrze swoje brązowe oczy? Opuchnięte i przekrwione, ale brązowe. Zrobiłam to, co miliony obywateli robią na co dzień — patrzę w odbicie szukając potwierdzenia, że jeszcze są, że istnieją dla tego świata. Mają przypisane miejsce w wielkim Planie. Ja dopiero dzisiaj mogłam szczerze spojrzeć w lustro po raz pierwszy. Wcześniej nie mogłam zmienić faktu, iż byłam tylko kopią. Mogłam oszukiwać, kraść i podszywać się pod coś, co należało do kogoś innego — do Izabeli. Nie robiłam tego w złych zamiarach. To było silniejsze ode mnie: zyskać choć zdawkowe odpowiedzi na pytania: „kim jestem?”, „skąd przychodzę?”, „po co to wszystko?”. Na koniec ten niezwykle gest, kiedy zdecydowała się odejść i wpuścić mnie, Izabellę na swoje miejsce. To był największy dar jaki mi ofiarowano. Myślę, że ona też potraktowała to jako dar: pozwolono jej wreszcie odpocząć. I to odpocząć bez wyrzutów sumienia, bo dzięki mnie iluzja istnienia Izabeli nadal trwa.

Nie wiem, kiedy dokładnie umarła: w nocy czy nad ranem? Nie ośmieliłam się do niej zajrzeć. Cierpliwie czekałam, a ona w tym czasie zmanifestowała swoją wolną wolę. Zrobiła to świadomie, bez udziału prochów czy alkoholu. Weszła do ciepłej wody i podcięła sobie żyły. Musiała zrobić to pod wodą, dobrze zaostrzoną żyłką, by nawet kropla krwi nie ubrudziła pastelowych kafelków. Umierała w foliowym czepku na głowie, bo nie chciała pozostawić choćby jednego włoska. Nie było to misterium śmierci, lecz misterium życia i wiem, że był to gest przeznaczony dla mnie. Poprosiła jedynie, by z pokoju dobiegała „Wiosna” z „Czterech pór roku” Vivaldiego. Wiedziałam dokładnie co mam zrobić z ciałem: już wiele dni temu pokazała mi śmietnisko z dymiącymi beczkami. Wystarczy trochę tej cieczy wlać do wanny i cierpliwie czekać. Mam czas, więc coś namaluję. Coś w jasnych barwach. Później pójdę do mamy na ciastko i zadzwonię do redakcji *National Geographic*, by zapytać dokąd wysłali Adama.

Andrzej Ziemiański

Spadek

Mecenas Gordecki wyraźnie się zasapał już na trzecim piętrze w przeciwieństwie do dzielnicowego, który parł do góry, jakby chciał zdobyć Mount Everest w stylu ekspresowym.

— Ta winda zawsze się psuje, a ósme piętro to ho, ho... — policjant z wyraźną niechęcią zerknął na zdyszanego adwokata, zły, że go oderwali od papierkowej roboty na komisariacie. — Jeszcze nie widziałem, żeby działała prawidłowo.

— Taaaa... — Brzeziński, jak mecenas, również miał problemy z oddychaniem. — Byłem tu kilka razy. Nigdy nie udało mi się trafić na sprawną windę.

Gordecki chciał coś powiedzieć, pewnie rzewną opowieść o tym, co mają zrobić staruszki mieszkające samotnie na jedenastym, ale jego twarz przyjęła czerwoną barwę i zrezygnował. Tylko machnął ręką. Sądząc po odgłosach wydobywających się z jego płuc, miał zaawansowaną astmę.

— No bo, wie pan — ciągnął dzielnicowy, prąc do przodu jak czołg albo przynajmniej ratrak na śnieżystym stoku — te szczeniaki to ciągle psują. Tego się już opanować nie da — zupełnie nie był zdyszany — wsiada jeden z drugim chuligan do windy, przypala trawkę, zatrzymuje między piętrami, a potem naprawiają... miesiącami.

— Czy moglibyśmy wspinać się trochę wolniej? — wysapał Gordecki.

— Ci co ją zabili, też musieli tędy wejść — mruknął dzielnicowy. — Szli bardzo powoli.

— Skąd pan wie? — spytał Brzeziński.

— Wpuściła ich.

— A skąd niby ta pewność? — mecenas zaprzestał na chwilę walki z astmą przy pomocy inhalatora, żeby zadać pytanie.

— To proste — policjant zerknął na niego z lekkim uśmiechem. — Pańska ciotka — teraz dopiero spojrzał na Brzezińskiego — była bardzo samotna. A taki człowiek łąnie do innych. Jak przychodził inkasent czy listonosz, zawsze usiłowała porozmawiać choć przez parę chwil. Robiła herbatę, częstowała ciastem. Mordercy zadzwonili z dołu. Powiedzieli „poczta” czy coś tam. No i starsza pani nastawiła herbatę, wyjęła ciasto i kuchenny nóż, którym ją potem zabito. Wpuściła morderców do mieszkania. Nie ma śladów włamania.

— Panowie. Chwila przerwy — Gordecki zatrzymał się na półpiętrze, usiłując odzyskać oddech. — Skąd pan wie, że to byli „oni”?

— W tym samym dniu banda młokosów pobiła jedną dziewczynę na osiedlu, zabrali jej portmonetkę. Dalszy ciąg wydarzeń jest dość jasny. Upili się, postanowili zdobyć więcej kasy, domofon, „poczta, pilny przekaz, proszę otworzyć”. Winda jak zwykle była zepsuta, więc wspinali się powoli na ósme piętro, starsza pani zdążyła zrobić herbatę, postawiła na stole ciasto i ten pechowy nóż. Otworzyła im. Szczeniaki pewnie nawet nie wiedziały czego tak naprawdę chcą. Jakaś głupia szamotanina i któryś szczył nie wytrzymał. Chwycił nóż i...

— Ale przecież niczego nie zrabowano.

— Spanikowali, jak zobaczyli krew — policjant popatrzył z politowaniem. — To zwykłe dzieci,

proszę pana. To naprawdę tylko dzieci — powtórzył. — Choć, jak to się dzisiaj mówi, trochę pokręcone. Za dużo telewizji, za dużo reklam, za dużo prochów i piwa, a za mało rodziców... — machnął ręką. — Idziemy?

Gordecki, choć z trudem, kiwnął głową. Pozostały im zaledwie dwa piętra. Przebyli je w milczeniu, jeśli nie liczyć rżężącego oddechu adwokata.

— Złapiemy ich — powiedział dzielnicowy, zrywając policyjne pieczęcie z drzwi. — Prędeż czy później. Złapiemy ich. To zwykle szczyte.

Dał klucze Brzezińskiemu.

— Teraz chyba są pańskie? — zerknął na Gordeckiego, ale ten tylko zdołał skinąć potwierdzająco głową.

— No to ja się odmeldowuję — dzielnicowy odruchowo przyłożył palce do czapki. Odwrócił się, ale po ułamku sekundy zatrzymał się jednak. — Tam w środku jest... — nie wiedział jak to powiedzieć — jest... w miarę sprzątnięte. Spokojnie.

Zrobił następny krok i zatrzymał się znowu.

— Ci z zakładu pogrzebowego zrobili trochę porządku, ale... — zawahał się. — No zresztą, policja nie jest od sprzątania.

Tym razem ruszył bez wahania z powrotem w kierunku klatki schodowej. Gordecki usiłując opanować oddech otworzył drzwi. Najpierw chciał przepuścić Brzezińskiego przodem, ale po sekundzie namysłu sam wszedł pierwszy.

— Proszę — wykonał uspokajający gest. — Nie będziemy stać na korytarzu.

Brzeziński spodziewał się Bóg wie, czego. Obrysowanej kredą sylwetki na dywanie, plam krwi, potraskanych przedmiotów... Ale niczego takiego nie było. Zauważył tylko dwie szklanki z herbatą na stole pod oknem, obie obficie posypane proszkiem pomocnym do ściągania odcisków. Widział wyraźnie miejsca, gdzie do szkła przyklejono plastry identyfikujące. Niestety. Szklanek dotykała tylko jego ciotka. Tak jak i patery z ciastem — to był ten słodkawy zapach, który uderzył go przy wejściu. Noża nie było. W plastikowym worku tkwił teraz gdzieś w przepastnych archiwach policji. Z tego co wiedział, na nim również nie było obcych odcisków. Wiadomo, zima. Każdy miał rękawiczki. Wewnątrz małego mieszkania właściwie nic się nie zmieniło. No może tylko poza urwaną firanką, smętnie zwisającą z połamanego karnisza i niedomkniętych drzwi szaf, na co, za życia, jego ciotka nigdy by sobie nie pozwoliła.

Gordecki usiadł na jednym z krzeseł przy stole. Wyjmując papiery z teczki, usiłował za żadne skarby nie dotknąć popaćkanych na biało szklanek ani patery ze zgniłym ciastem.

— Pańska ciocia nie miała żadnych spadkobierców, poza panem. Zresztą testament, który sporządziła, mniej więcej, dwa lata przed... hm... tragiczną śmiercią, stwierdza jasno, że wszystkie ruchomości i ta nieruchomość — odruchowo rozejrzał się po ścianach — przypadną właśnie panu. Oczywiście nie obędzie się bez rozprawy sądowej. Ale to żaden problem. Prowadziłem interesy starszej pani od czasu jej rozprawy ze spółdzielnią mieszkaniową...

Brzeziński po dłuższej chwili wahania zajął drugie krzesło przy stole. Znał to krzesło. Siedział na nim wiele razy. Tylko teraz było jakoś tak głupio. Odruchowo zdjął czapkę i położył na stole.

— Proszę tu podpisać — mecenas podsunął mu małą kartę odbitą na jakimś zdezelowanym ksero. — Tym samym ustanowi mnie pan w sprawie i stanie się moim mandantem. O tutaj, proszę — podał mu długopis. — Nie przewiduję żadnych kłopotów. To potrwa miesiąc czy dwa. Ale postaram się przyspieszyć bieg spraw. Proszę — obejrzał podpisany formularz. — Tu są zapasowe klucze do mieszkania. Może się pan już uważać za prawnego właściciela — trajkotał bez przerwy. Astma wyraźnie poluzowała, kiedy właściciel chorego organizmu poczuł konkretne pieniądze w zasięgu

ręki. — Tu jeszcze upoważnienie i zobowiązanie do pokrycia kosztów. Bardzo się cieszę z naszej współpracy. Reprezentowałem interesy pańskiej cioci i zdążyłem ją poznać jako bardzo szacowną, starszą panią i...

— Co z zawartością szaf? — przerwał mu Brzeziński.

— Mmmmm... No, nie wiem — mecenas zmieszał się wyraźnie. — Nie sądzę, żeby to miało jakąś wartość handlową. Niestety... — zawiesił głos. — Będzie sam pan musiał sobie z tym poradzić. Szczególnie z tą dziwną rzeczą.

— Jaką dziwną rzeczą?

— Nie wie pan? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — Noooooo... starsza pani pisała pamiętnik.

— A co w tym dziwnego?

— Eeeee... Hmmmm... Ona... zapisywała każdą dosłownie chwilę swojego życia. Jest tego parę tysięcy zeszytów. Mmmmm... Ja tam na wartościach literackich zupełnie się nie znam — zastrzegł się od razu, chowając papiery do eleganckiej teczki. — No cóż. Lecę. Czas to pieniądź, proszę pana. Proszę się już uważać za prawnego właściciela mieszkania. Pozostały nam tylko prawne drobiazgi. Drobiazgi powtarzam. Czas to pieniądź i ja będę dbał o pańskie pieniądze.

Gordecki wstał szybko, wyciągając rękę. Najwyraźniej nie miał zamiaru przebywać w tym domu ani chwili dłużej, niż to było konieczne. Brzeziński podał mu dłoń, przyjął wizytówkę, którą od razu ukrył w kieszeni i odprowadził do drzwi. Dopiero kiedy został sam, zdjął ciepły płaszcz, czapkę i rękawiczki. Jakoś głupio było tak siadać przy stole pod oknem samemu. Przez chwilę stał na środku pomieszczenia namyślając się, potem otworzył jedną z szaf. Jezu! Ubrania starszej pani... Nie zamierzał w tym grzebać. Odnalazł książkę telefoniczną (na szczęście aparat nie był wyłączony) i połączył się z Polskim Czerwonym Krzyżem. Wyśmiano go, delikatnie mówiąc. Zadzwoił do Caritasu. Tam odmówiono mu bardziej oględnie, sugerując, żeby stare ubrania wrzucił do jednego z pojemników ustawionych w różnych punktach miasta. Dłuższą chwilę siedział patrząc bezmyślnie w okno. Teoretycznie mógłby to wszystko wrzucić hurtem do śmietnika ale nie miał najmniejszej ochoty oglądać później, jak sztajmesi rozwłoką wszystkie szmaty po podwórku w poszukiwaniu puszek po piwie. Dalej wertował książkę telefoniczną. Po dłuższym czasie dodzwonił się do jakiegoś zgromadzenia sióstr zakonnych, które zobowiązały się wziąć pościel, ubrania i naczynia dla biednych. Powiedziały, że przyjadą, jeszcze dzisiaj i wezmą wszystko na własny koszt. Przynajmniej jedna sprawa z głowy.

Chciało mu się pić. Poszedł do kuchni, wylał starą wodę z czajnika, potem płukał go długo, aż wreszcie nalał świeżej i postawił na gazie. Wziął z szafki czystą szklanę, też płukał ją długo, dopiero potem zdecydował się na wsypanie herbaty z paczki, która stała, ciągle otwarta na blacie przy zlewie.

Wrócił do dużego pokoju. Usiłował nie patrzeć na szklanki posypane białym proszkiem. Znowu otworzył pierwszą z szaf, żeby mieć jakąś orientację co zawiera, kiedy przyjdą siostry. Ciotka nie miała niczego cennego. Ale dla niego, wyplutego z pieniędzy po długim leczeniu w szpitalu, sam spadek był bardzo cenny. Za mieszkanie w centrum, nawet takie małe, mógł dostać stary miliard. Prawdę powiedziawszy, nie wiedział jeszcze czy będzie sprzedawał, czy wynajmował. W każdym razie samotna, stara kobieta, dokładnie w chwili kiedy znajdował się na dnie finansowego upadku, rzuciła mu koło ratunkowe uplecione z banknotów o dużych nominałach. Głupio było się cieszyć, zważywszy na okoliczności, ale to był ostatni moment. Ostatnia chwila, która, jeśliby nie nastąpiła, to nic już nie uratowałoby mu tyłka. Bezdomny śpiący na dworcu? I tak mogło się skończyć...

Otworzył drugą szafę. Znowu ubrania, idealnie poukładane warstwy wykrochmalonej pościeli.

Otworzył trzecią szafę.

Jezu!

To jest to, o czym mówił adwokat. Boże... Tysiące zeszytów. Odruchowo rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje. Wyciągnął pierwszy lepszy, gdzieś z połowy stosu. Otworzył na pierwszej lepszej stronie.

„4 maja 1964 roku. Dzień bardzo pochmurny. Wstałam już po siódmej. Zjadłam skromne śniadanie — dwa jajka sadzone bez chleba. Wypiłam herbatę. Spóźniłam się na tramwaj do pracy, ale szef nie zauważył...”

Brzeziński odłożył zeszyt. O rany... Niezły pamiętnik. To po prostu zapis wszystkich chwil życia ciotki.

Wziął następny, w tanich, niebieskich okładkach. Jak poprzedni, wypełniony był równym, odręcznym pismem.

„12 październik 1971 roku. Pogoda pod pseem. Ciągle pada. Obudziłam się bardzo późno. Boli mnie głowa. Miał przyjść K. Ale nie przyszedł. Pewnie deszcz go odstraszył. Dzień bardzo dziwny. Na śniadanie zjadłam kromkę chleba z dżemem, popiłam herbatą. Przeczytałam „Przekrój” od deski do deski. Czuję się strasznie sama. O czwartej zrobiłam sobie obiad. Barszcz ukraiński i kotlet z ziemniakami. Niestety, nie zajęło mi to za dużo czasu. Z trudem dotrwałam do chwili, aż zacznie się program w telewizji. Najpierw audycja rolnicza. Wróciłam do starych książek. Byleby coś robić, czymś się zająć. Czytałam „Robinsona Crusoe”, potem „Radę Pieriejestawską”. Okropne. Dziennik oderwał mnie od tych wszystkich myśli.”

Brzeziński odłożył zeszyt z powrotem na miejsce. Pobiegł do kuchni gdzie czajnik o mało nie rozgrzał się do czerwoności. Ciotka nie miała modelu z gwizdkiem. Brzeziński zalał herbatę, posłodził i nagle zainteresowany wrócił do szafy z zeszytami. Ktoś w niej najwyraźniej grzebał. Ciekawe. Policja? Czego tu mogli szukać? Zeszyty były poukładane datami. Kogoś interesowały zapiski dotyczące każdej chwili życia anonimowej kobiety? Wyjął znowu zeszyt na chybił trafił.

„30 styczeń 1998. — przebiegał oczami idealnie równe linijki odręcznego pisma — 18:30 oglądałam serial w telewizji. 19:00 zrobiłam sobie podwieczorek — grzankę z masłem, serem, cebulą i czosnkiem. Nikt już nie przyjdzie, to mogę nie pachnąć zbyt ładnie. 19:30 oglądałam Wiadomości. Nic ciekawego. O 20:05 zacznie się film, nie wiem jaki, bo zapomniałam kupić gazety. Zrobiłam sobie herbatę...”

Brzeziński usiadł na krześle. Jezu! Jezuuuuuu... Ona zapisywała naprawdę wszystko. Wszystko...

„20 września 1999 — na śniadanie zrobiłam sobie jajka na szynce. Zrobiłam sobie herbatę. Zadzwoiłam do K. Telefon nie odpowiada...”

Gorączkowo szukał w poukładanych równo zeszytach. Wreszcie znalazł coś, co mógł porównać.

„20 września 1961 — na śniadanie zrobiłam sobie jajka na szynce. Zrobiłam sobie herbatę. Muszę biec do pracy. A szkoda. Podobno mają zakładać telefony w naszym bloku. Podobno wszystkim, bona dole mieszka pierwszy sekretarz dzielnicowego komitetu...”

Gorączkowo przewracał zeszyty. Na szczęście były idealnie oznaczone datami, doskonale poukładane według czytelnego klucza.

„20 września 1980... Czekam na Dziennik. Co nowego w sprawie Solidarności? Utrzymają się? Kraj ogarnia jakieś szaleństwo...”

„20 września 1982... Stan wojenny jest straszny. Już nie mogę wytrzymać. W sklepach nic nie ma. Ludzie biją się na ulicach. Miejcie umiar! Jezus. Wypuście z więzień choćby kobiety i dzieci...”

„20 września 1989... ile razy już to pisałam? Doczekałam się demokracji. To już drugi raz w moim życiu. Ciekawe, jak to się rozwinie? Choć to pytanie zapisuję już nieskończoną ilość razy, ciągle nic nie wskazuje na odpowiedź, która mnie by satysfakcjonowała. Na śniadanie zjadłam dwie kromki chleba z serem i cieniotko pokrojoną cebulą...”

Brzeziński zamknął zeszyt. A szlag z tymi samymi datami. Usiłował powstrzymać ciekawość, ale z góry wiedział, że przegra. Zaczął szukać dat, z którymi mógł być związany. Ciekawe, co ciocia o nim sądziła.

„21 marzec 1967 rok. Dziś urodził się Jureczek. Zostałam zaproszona na chrzciny. Nie mogę, niestety, odwiedzić Ali w szpitalu, ciężka grypa trzyma mnie już przez cały tydzień. Nie mam prawa narażać dziecka.”

„30 grudzień 1971 roku. Nie mogłam nic przełknąć na śniadanie...”

Jezu, z tym drobiazgowym zapisem. Brzeziński przeskakiwał po wierszach z nieistotnymi informacjami. Jest!

„...16:25. Przyszła Ala z Jureczkiem. Jaki to piękny chłopczyk. Miał dzisiaj swój pierwszy bal w przedszkolu. Ala wygląda pięknie. Rozmawiałyśmy dwie godziny. Zrobiłam podwieczorek, ale Jureczek nie chciał nic jeść. Typowy chłopczyk — niejadek, grymasił przez cały wieczór. Bawił się świątecznymi pocztówkami, przez cały czas. Na szczęście jest za mały, żeby rozpoznać, że karty pocztowe pochodzą wyłącznie z ubiegłych lat. Ala też nie zauważyła.”

Brzeziński zapalił papierosa. Wypił łyk herbaty. Jeszcze za gorąca. A tak strasznie chciało mu się pić. Może zrobić od razu drugą? I jak znaleźć zapiski, które mogły jego dotyczyć? Człowiek zawsze jest ciekawy, jak go widzą inni. Wciągnął go ten cholerny pamiętnik. Jezu, zapis wszystkich chwili życia starszej kobiety. Jak to możliwe, że o tym nie wiedział? Przecież spotykali się w miarę często. Ach... Ta cholerna amnezja. Za długo był w szpitalu. Te cholerne leki prawie go wykończyły.

Przerzucał zeszyty jeden po drugim. Te wszystkie samotne śniadania, obiady, kolacje, z dokładnie opisanym, niezbyt wyrafinowanym jadłospisem, lista codziennych zakupów, oglądane w telewizji dzienniki i brazylijskie seriale, przeczytane gazety i książki. Tak naprawdę to zmieniały się tylko daty i dolegliwości dręczące twórczynię megapamiętnika. Zapisywała dosłownie wszystko, co zdarzyło jej się w życiu. Każdą chwilę. Boże, w tej szafie kryła się tona makulatury albo coś, co badacze za tysiąc lat będą wrywać sobie z rąk. Niezwykle drobiazgowy zapis życia kobiety z przełomu wieków.

„...17:15, po obejrzeniu Teleekspresu umyłam sobie ręce. Zrobiłam grzankę z drobniotko posiekanym serem na patelni, niestety wyszła za twarda. 17:40, zadzwoniłam na zegarynkę, właściwie po nic. Chyba tylko po to, żeby coś zrobić i usłyszeć ludzki głos. Nastawiłam wszystkie zegary w domu. Trochę chyba zaniedbałam porządku. 17:50, zaczęłam wycierać kurze...”

Brzeziński podniósł do ust szklankę z herbatą. Co najmniej trzy razy sprawdzał, czy przypadkiem nie wziął jednej z tych popačkanych policyjnym, białym proszkiem. Nagle doznał jakiegoś irracjonalnego przeczucia, że w tym kryje się jakaś tajemnica. I może... Może jest o krok od jej rozwiązania. To nie były żadne przemyślenia, ani dedukcja — nic z tych rzeczy. Po prostu czuł, że dotknął czegoś tajemniczego i że klucz do rozwiązania jest gdzieś niedaleko. Być może w zasięgu ręki.

Zaczął sprawdzać ostatnie zeszyty.

„16:45, Jureczek przyszedł mnie odwiedzić” — tylko tak mógł czegoś dowiedzieć się o tym, jak widziała go ciotka. Wcześniejszych dat nie pamiętał, a wertowanie dziesiątków tysięcy kartek było po prostu fizycznie niemożliwe. — „Biedny chłopak. Większą część roku spędza w szpitalu. Te napady amnezji po prostu go wykańczają. Nie chcą go w żadnej pracy z powodu tych długich

okresów leczenia. Biedny, samotny chłopak. Ma jednak jakiś przedziwny dar przekonywania ludzi. Zawsze po wyjściu ze szpitala potrafi zagadać kogoś tak, że dostanie jakiś ochłap.”

Brzeziński przygryzł wargi. Zaczął przerzucać kartki.

„10:12, Jureczek przyjechał w dobrym nastroju, ma mi pomóc kupić nową pralkę. Stara już się do niczego nie nadaje. Pojechaliśmy tramwajem do sklepu. Chciałam kupić najtańszą, za 650 złotych, najlepiej na raty, ale Jureczek tak zagadał sprzedawcę, że dostaliśmy model, który normalnie kosztuje 980 złotych w promocji, płacąc jedynie pięćset w dwóch nieoprocentowanych ratach. Boże, jaki ten chłopak ma talent.”

Brzeziński dopił herbatę uważając, żeby nie dotknąć tamtych dwóch szklanek. No i czego się dowie o sobie samym z tego pamiętnika? Szeleścił kartkami.

„13:10, byłam u Jureczka w szpitalu. Znowu remisja choroby. Wygląda bardzo źle. Ale mimo amnezji potrafił się wymknąć ze szpitala. Wzięłam go do kawiarni, żeby przynajmniej popatrzeć na zwykłych ludzi. Dałam mu sto złotych. Bardzo się krygował. W końcu wziął rumieniąc się na twarzy. Niestety choroba postępuje. Już po chwili nie bardzo pamiętał, o czym rozmawialiśmy i kim ja, tak właściwie, dla niego jestem. Odprowadziłam go z powrotem do szpitala.”

Nowy zeszyt. Ostatni.

„12:01, przyszedł Jureczek. Zrobiłam mu herbatę. Jest bez pracy. Bardzo się wstydził, przez pół godziny lawirował wokół tematu. W końcu jednak poprosił o pieniądze. Dałam mu sto złotych. Ciekawe, z czego zapłacę rachunek za telefon? Ach, będę się martwić jak przyjdzie rachunek.”

Brzeziński, zaciekawiony nagle, zerknął na ostatnią kartkę. Data, mniej więcej sprzed trzech tygodni.

„6:05 (rano), nie mogłam spać. Ale podjęłam decyzję. Skoro Jureczek tak bardzo potrzebuje pieniędzy to zamienię swoje mieszkanie na garsonierę. A różnicę mu po prostu dam. Niech chłopak ma jakieś zabezpieczenie albo, choćby możliwość jakiegoś startu. Powiedziałam już wcześniej o tym pomysłu mecenasowi Gordeckiemu, który tak dzielnie mnie bronił przed spółdzielnią mieszkaniową. Uważa to za bardzo rozsądne rozwiązanie. Przecież mi nie jest potrzebna aż taka przestrzeń. Pamiątki zmieszczą się na jednej półce w szafie, a tych wszystkich starych ubrań i tak już nigdy nie włożę. Lepiej wyrzucić. 6:15 zrobiłam sobie jajecznicę z cebulką i szczypiorkiem na śniadanie. 6:32, oglądałam „Kawę czy herbatę” w telewizji — wyjątkowo nudna audycja.”

Zrozumiał nagle, czego szukała tu policja. Ostatniego zeszytu. Oni, oficerowie prowadzący śledztwo, mieli nadzieję, że starsza pani zanotowała jeszcze coś po odebraniu domofonu od morderców. Skoro zapisywała wszystko... Może zapisała, co powiedzieli. Może naskrobała, jakie mieli głosy, ilu ich było. Przecież mordercy szli powoli, wspinając się po schodach na ósme piętro. Miała dużo czasu! Herbata i ciasto to sekunda jak się ma przygotowaną wodę. A oni musieli się wlec noga za nogą na piechotę. Ciotka miała wystarczająco dużo czasu, żeby coś zanotować. Tylko gdzie jest ostatni zeszyt? Dlaczego policjanci go nie znaleźli?

Brzeziński zapalił papierosa. Właściwie to już zerwał z nałogiem, głównie z powodu kosztów, z którymi nie mógł sobie poradzić, ale od czasu do czasu łamał się, mimo tragicznego braku pieniędzy.

On wiedział, gdzie jest ostatni zeszyt, którego nie znalazła policja. Wiedział, gdzie ciotka chowała szczególnie cenne rzeczy. Często tu bywał.

Zaciągając się dymem przeszedł do kuchni i wyciągnął spore zawiniątko zza gazówki. Plastikowa torba zawierająca jakieś sto dwadzieścia złotych w drobnych banknotach, nędzną biżuterię sprzed lat i... i ostatni zeszyt ciotki.

„20:40, sąsiadka powiedziała mi, że właśnie pobito i obrabowano jakąś dziewczynę na osiedlu. Podobno młodzi chuligani...”

Nie, to nie to. Szukał ostatniego zapisu.

„21:35, właśnie zadzwonił domofon. To Jureczek...”

— Neeeeeeeeeeeeeeeeeee!!! — wrzasnął Brzeziński. Jakieś komórki w jego popieprzonej pamięci właśnie zaczęły się otwierać.

„...zrobiłam herbatę, postawiłam ciasto na stół. Biedny chłopak, musi się wspinać po schodach bez windy. Winda ciągle jest nieczynna. Pewnie się ucieszy, że chcę zamienić mieszkanie, żeby dać mu trochę pieniędzy. Jest w tragicznej sytuacji finansowej, a to zawsze będzie jakaś pomoc. Wyjęłam z kredensu nóż do ciasta. Muszę kończyć. Jureczek już puka, pewnie zdyszany, biedny...”

— Nie!!! Nie, nie, nie... — Brzeziński opadł na fotel. — Nie. Niech to nie będzie prawda, proszę! Nie...

Nie wiedział jak długo siedział, patrząc na ostatni zapis. Potem odruchowo przewrócił kartkę. Litery? Słowa? Zdania? Jezu... coś tam jeszcze było.

„Jureczek w stadium remisji choroby. Zdjął czapkę i położył na stole. Nawet nie zdjął rękawiczek”.

Zaraz. Żyła jak wszedł. No, musiała przecież, skoro to później zanotowała. Z niewyobrażalną ulgą opadł na oparcie. Jak mógł siebie podejrzewać aż o takie aberracje umysłowe. Choć fakt. Samej wizyty zupełnie nie pamiętał.

„...siedział zupełnie załamany. Nawet nie tknął herbaty. Chyba nie słyszał, co do niego mówiłam. Nic nie mówił. Nawet nie wiem czy mnie widział. Boże jak dziwne mogą być choroby psychiczne. Chciałam go odprowadzić, ale, już w drzwiach, zaczął wyglądać znacznie lepiej. Jakby wracała mu przytomność.”

Szybko notuję. Podjęłam już decyzję i...

„22:10 znowu usłyszałam sygnał domofonu. Schowam zeszyt i idę otworzyć”.

Brzeziński otarł pot z czoła. To był morderca. Ten drugi domofon.

Musiał wyjść z tego mieszkania. Choć na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem. Wziął czapkę ze stołu i ruszył do drzwi.

Czapka... zatrzymał się nagle. A jeśli wtedy, w dzień śmierci ciotki... Czapka. A jeśli wtedy po prostu zapomniał czapki?

Wojciech Szyda

Zabójcy czasu

Ani...

Koło. Jest symbolem słońca oraz cykli czasu (...) Koło pokonuje drogę w płaszczyźnie horyzontalnej, zaś punkt zetknięcia prostej linii drogi z obryśm koła to „punkt”, w którym powstaje świat takim, jakim go znamy — punkt, w którym czas i przestrzeń emanujące z centralnej osi rozwijają się w linearną przestrzeń i czas stworzonego świata.

*John Baldock „Symbolika chrześcijańska”
(tłum. J. Moderski)*

Uroboros. Heraklit powiedział, że w obwodzie początek i koniec są tym samym punktem. Amulet grecki z III w. (...) daje nam obraz lepiej ilustrujący tę nieskończoność: jest to wąż gryzący własny ogon lub, jak to pięknie wyraził Ezequiel Martinez Estrada, „wąż, który zaczyna się na końcu swego ogona.”

*Jorge Luis Borges „Księga istot zmyślonych”
(tłum. Z. Chądzyńska)*

1. Ofiarnicy

— Pierwsza dwunastka gotowa, szefie... Mężczyzna w masce przyglądał się przez szybę ze szkła weneckiego grupie jednakowo ubranych osób. Jednakowy mieli też wzrok: spojrzenie wyrażające brak chęci do życia. Mężczyzna pomyślał, że ma przed sobą dwadzieścia cztery studnie. Zatrute studnie, które przestały odbijać słońce...

— Przyjrzyj się, Mortes...

— Już widziałem, szefie.

— To moje arcydzieło.

Na stole leżało dwanaście teczek z dokumentacją. Grupa czarnych postaci przypominała zastygłą pantomimę — funeralny *tableau vivant*...

— Dwanaście dni, Mortes — szeptał mężczyzna. — Codziennie jeden Judochryst. A to dopiero początek. Jutro osobiście poprowadzę ostatnią wieczerzę...

Chłopak podrapał się w szczękę, na której kiełkował młodzieńczy zarost.

— Dwanaście razy górna granica wartości świadczenia... To byłoby...

— Zamknij się, nie teraz!

Chłopak spuścił wzrok, zalękniony. Trudno było wyczuć czy jego szef to chłodny biznesmem, czy szaleniec. Dla stojących za szybą nieszczęśników był Pierwszym Judaszem.

— Jak długo już stoją?

— Dwie i pół godziny — Mortes zerknął na zegarek.

— Dobrze, po trzech daj im odpocząć. Już dostatecznie zmiękli. Idziemy...

Szli mrocznym korytarzem. *Nikt już mnie nie oszuka* — myślał zamaskowany, ignorując pogwizdywanie Mortesa. — *Dostanę to, co mi odebrano. I to więcej, niż mógłbym od was otrzymać...*

Przemawiał do własnych wspomnień. Tych najwcześniejszych, które są jak kroki na księżycu — raz odciśnięte, zostają na zawsze.

I wskazują drogę.

Mortes gwizdał *Requiem*.

2. Noc pierścienia

Napisy „Odwołać jutro!” pojawiły się na ulicach Amodos w dniu trzydziestych urodzin detektywa ubezpieczeniowego Tima Craiga. Craig wykrył tę zbieżność później — już w trakcie śledztwa — lecz fakt wymaga odnotowania. Kościół, bank i knajpa — sprejowe hasła pokryły nocą mury trzech różnych przybytków. Kościół był pod wezwaniem św. Jana z Patmos, bank należał do sieci „Twój pierwszy i ostatni kredyt”, knajpę zdobił szyld „Czas Apokalipsy”. Tych symbolicznych znaczeń Craig nie pojął od razu.

Było coś niepokojącego w grafice towarzyszącej hasłu. Przekreślony symbol zegara. Z taką siłą uderzają tylko rzeczy doskonale proste. I jednoznacznie pesymistyczne.

Tim Craig urodził się w nocy, miał więc pretekst, by urodziny zaczynać przed świtem, a kończyć o świcie dnia następnego. Oddawał się wówczas pijaństwu w gronie starych kumpli, najpierw w barze „Pętla” prowadzonym przez znajomego barmana, później gdzie fantazja poniosła. Postawa Tima odzwierciedlała wówczas hasło, które okazało się zaczątkiem śledztwa. „Odwołać jutro!” — pijany Craig podpisałby się pod tym bez wahania.

„Jutro jest wtedy, kiedy się budzę” — zwykł mawiać kumpel Tima, niejaki Vit Kaoviack, pracownik Urzędu Fiskalnego. „Wczoraj jest wtedy, kiedy kładę się spać” — dodawał nieco absurdalnie inny kumpel, właściciel księgarni z tanią książką, Thaed. Prowadziło to do wniosku, że dzień wczorajszy bywa dniem jutrzejszym. Wyjaśnienie tego paradoksu godnego Zenona z Elei mogło być tylko jedno: alkohol zakrzywia czasoprzestrzeń!

Pijackie sny są zazwyczaj barwne (chyba że po alkoholu metylowym). Sen Tima towarzyszący jego trzydziestym urodzinom miał tęczową feeryczność, lecz nie należał do pogodnych. Detektywowi przyśnił się wąż wypluwający swój ogon. Rósł, rozsadzał pole widzenia, zdawał się nie mieć końca... Przestrzeń zamknięta gadzim cielskiem budziła niepojętą grozę, jakby otwierały się wrota nicości... Nagle Tim usłyszał cichy brzęk — tak spada agrafka. Na posadzce z pastelowych płytek połyskiwał pierścień w kształcie węża. Detektyw włożył go na palec...

Ostatnie strzępy snu: pierścień zlewa się z ciałem, przybierając kolor i konsystencję skóry. Jakby znikał... A może wnikał do wnętrza Craiga?

Jawa było równie nieprzyjemna, a nawet gorsza, zważywszy cierpienia natury fizycznej („Sahara w gębie i drewniany ryj” — tak opisywał Craig objawy kaca). W pokoju walały się butelki, popielniczki oraz trzech kumpli. Tim zrezygnował z robienia zdjęć, chociaż lubił dręczyć znajomych fotografiami trzaśniętymi *in flagranti*. Obsługa aparatu wydawała mu się w tym stanie równie skomplikowana, co obsługa odrzutowca.

Craig spojrzął na ścienny zegar — stanął, drań. *Ironia rzeczy martwych* — pomyślał, widząc wskazówkę zatrzymaną tuż przed drugą, godziną swych narodzin. Podniósł z podłogi butelkę mineralnej i pił chciwie.

Później zamknął się w łazience. Myjąc twarz, po raz kolejny rozpoczynał resztę swojego życia. Tym razem z trzydziestką na karku. Początek czwartego aktu dramatu zatytułowanego „Wzloty i upadki Tima Craiga”, w którym dwie rzeczy były niepokojące (prócz tego, że wzloty były niskie, a

upadki bolesne). Po pierwsze: Tim wciąż nie wiedział czy gra tragedię, czy komedię. Po drugie: klasyczna sztuka to pięcioaktówka. Trzydziestka oznaczała, że facet w lustrze szykuje się do roli w przedostatnim akcie.

Tim nie wiedział (nie mógł wiedzieć), że dalszy ciąg został wyznaczony przez tajemnicze napisy, które pojawiły się nocą na ulicach Amodos. A przyszłość była nieunikniona.

Żyjemy na dachach zasypanych domów. Czas odkłada się warstwami, podnosząc powierzchnię — drogi, pola, pustynie — każde pokolenie wstępuje na wyższe piętro. To, co było — ginie pod ziemią. Budujemy na ruinach ukrytych przed wzrokiem i pamięcią. Pozorny ruch w górę — udajemy, że świat pnie się ku niebu. Pamięć pęka od znaczeń — możemy tylko powtarzać. Przeszłość doskonale niezmienna — jedyne, czemu nie można sprostać. Bezsilne próby naszych przodków — wieczna ironia brzmi z otchłani czasów niczym dzwonki na czapkach martwych błaznów. Żyjemy na dachach opuszczonych domów — zawsze ktoś był przed nami. Bezsilni wobec bezsilności naszych poprzedników pniemy się, budując na zastanym, lecz ile razy można powtarzać błędy? Nasze domy są skazane na przysypanie piachem. Miliardy klepsydr produkują sypki czas, który zabębni kiedyś o wieko trumny świata. Uchronna nieuchronność — tylko zagłada zamknie cykl. Czy ktoś będzie budował po nas? Pod coraz niższym niebem, wyznaczającym kres zamierzeń, ludzka bezsilność zaklęta w śpiących budowlach.

3. Poniedziałek

Biuro Tima Craiga, oznaczone skromną tabliczką *Tim Craig — detektyw ubezpieczeniowy, licencja F-11/9*, mieściło się przy ulicy Przechodniej, łączącej dwie architektoniczne skrajności Amodos: kolorową i wystawną Aleję Postępu z zapuszczonym i ponurym Placem Pamięci. Przechodnia prezentowała się adekwatnie do swej nazwy, dobrze obrazując stan przejściowy: wszystko zdawało się być na tej ulicy przeciętnej urody i jakości. Kiedyś miejscowy menel — informator próbował wmówić Timowi, że nazwa stanowi hołd dla „Anonimowego Przechodnia”. Craig nie dał się nabrać.

Każdy jest tylko przechodniem — pomyślał, przekręcając klucz. Późny ranek, rutyna. Okoliczni sklepikarze, mieszkańcy i urzędnicy — statyści budzący ulicę ze snu. A może wskrzeszający do życia, po nocnym złożeniu do grobu?

Świat jest złożony — mruknął Tim pod nosem, docierając na piętro. W biurze senne światło padało na segregatory z nieuporządkowanymi sprawami.

Przed rozpoczęciem pracy — czytał prasę. Papierową jedynie od wielkiego dzwonu. WWW.AMODOS.COM — ustawiona na komputerze Tima strona główna dostarczała Misch-masz wiadomości lokalnych i globalnych. Prócz tego: głupsze i mądrzejsze działy, z czego Tim zwrócił tego ranka uwagę na „Sennik”. Po chwili wahania wszedł na stronę.

W spisie treści bez trudu znalazł hasło „*Wąż*”. Kliknął. Komputer wyrzucił podhasła: „*Wąż — czarny*”, „*Wąż — kolorowy*”, „*Wąż — dusiciel*”, „*Jad węża*”, „*Wąż gryzący swój ogon*”... Rozwinął treść ostatniego: *To początek, a zarazem koniec. Coś przemija i coś się zaczyna. Ugryzienie ogona to symboliczne zamknięcie kręgu, jaki zataczamy w ciągu życia. Wąż wydłuża się z upływem lat, by dojść do miejsca, w którym napotka samego siebie. Chwytając ogon — zamyka czas albo jeden z jego etapów. Może to być symbol śmierci, lecz także wielkiej zmiany...*

Telefon oderwał Tima od ekranu. Podniósł słuchawkę — zamiast głosu sygnał faksu. Przełączył. Przy cichym brzęczeniu wychodził papier z wiadomością...

Detektyw wrócił do internetu, kasując sennik i przeszedł do informacji regionalnych...

Faks zamilkł. Tim przechylił się przez biurko i oderwał wydruk. Nadawcą była tajemnicza instytucja tytułująca się *Miejską agendą do spraw zwalczania tanatofilii i autodestrukcji*. Zlecenie?

...
Dopiero nazajutrz Craig dostrzegł w stopce faksu ułożony z małych literek napis:
ZABIJAJĄC CZAS — RANIMY WIECZNOŚĆ.

4. Lotta Monte

W laboratorium kryminologicznym Instytutu Analiz „Tempus” młoda doktorantka sporządzała ekspertyzę dla policji. Siedziała w boksie, kończąc rutynowe czynności i myślała o czymś innym niż przedmiot analizy: o swoim postępowaniu wobec młodego detektywa, którego poznała na wystawie „Nowa Banalność” w Miejskim Muzeum im. Anonimowego Mistrza.

Dwa lata... Pamiętała jak dziś.

Byli zde gustowani poziomem prac. Wyczytali to w swoich oczach, stojąc przed eksponatem zatytułowanym „Bęben czasu” — pralką bez obudowy, pomalowaną — wraz z „wnętrznosciami” — na czerwono.

Stali przy tej pralce, czując komiczność sytuacji; ktoś musiał przerwać ciszę.

— Jak ocenia pani to dzieło? — spytał Tim z udawaną emfazą, a Lottcie spodobała się jego wesoła śmiałość.

— Pralka to najbardziej pocziwe urządzenie domowe — westchnęła z właściwą sobie śpiwną rezolucją. I dodała, załamując ręce: — Jak można było zrobić jej coś takiego?

— Nie sądzi pani, że to miało ją nobilitować?

— Raczej wystawić na pośmiewisko...

Od słowa do słowa, chodząc po salach i wyśmiewając różne dzieła sztuki (np. pusty talerz zatytułowany „Pełnia życia”), dotarli do kawiarni. Po godzinie rozmowy stwierdzili, że dobrze się rozumieją. Tak zaczęła się ich dziwna przyjaźń. Ponieważ mieszkali na dwóch różnych końcach miasta, spotykali się rzadko, za to często korespondowali.

Separując próbkę, Lotta zastanawia się, czy dobrze zrobiła, rozpoczynając z Timem nową grę. Przed tygodniem poprosiła go o dyskretną przysługę. Nawijając do faktu, że na studiach publikował wiersze, spytała, czy nie napisałby za nią... pewnego listu. Zaznaczyła, że to krępujące, choć może tylko umocnić przyjaźń między mężczyzną a kobietą. Nie знаła jeszcze reakcji Tima.

Włączyła mikroskop. Czowała rozbawienie, choć zdawała sobie sprawę z własnej perfidii.

Płytką z preparatem wylądowała pod mikroskopem.

Detektyw Tim Craig i laborantka Lotta Monte musieli przestrzegać tajemnicy zawodowej. Dlatego, pomimo łączącej ich przyjaźni, nie dowiedzieli się, że pracują nad tym samym materiałem: Tim miał zbadać sprawę od strony operacyjnej, Lotta analizowała dowody rzeczowe. Zamykając próbkę, załączyła wynik ekspertyzy: *Skład chemiczny taki sam jak przy materiale 3-CX-717 (...)* *Tożsamość próbek potwierdzona w 97%. Właściwości silnie toksyczne, działanie halucynogenne...*

Gasząc światła w laboratorium, Lotta wciąż myślała o Timie. Niepokoił ją brak reakcji na prośbę napisania listu. Czowała się podobnie, jak niegdyś musiał czuć się Craig, gdy pokazał jej swoje wiersze. Czekał na recenzję, choćby i krytyczną, lecz nie uzyskał odpowiedzi. W takich sytuacjach milczenie drugiej osoby uznajemy za ciszę dyplomatyczną; za taktowną dezaprobatę. Tim nie wrócił nigdy do tematu. Uznał, że widocznie nie chciała robić mu przykrości. Wciąż tworzył, lecz tylko do szuflady.

A Lottcie Monte bardzo podobały się wiersze Tima Craiga.

5. Sprzysiężenie widm

Piwnica była ciasna. Prostokątne pomieszczenie przypominało korytarz przegrodzony dwoma korkowymi płytami. Wzdłuż mieścił się wąski stół, w bocznych ścianach siedziska przypominające pociągowe krzeselka. Pośrodku stał sześcioramienny świecznik — *menorah* z uciętym środkowym ramieniem. Aromatyczne świece emanowały zapach opium.

Wokół siedziały postaci w czarnych kapturach i bluzach z bufiastymi rękawami. Wszystko było skąpane w bursztynowym świetle, płomienie świec falowały, cienie tańczyły na ścianach.

Postacie w kapturach, przypominające biesiadników ponurej stypy, były związane tajemnicą i nakazem milczenia.

Zasiadających było trzynastu.

Honorowe miejsce, przyozdobione girlandami czarnych kwiatów, zajmował osobnik trzymający srebrny kielich oraz srebrny nóż. Przed nim leżał srebrzysty talerzyk. Osobnik ten wstał, zdjął kaptur i pozdrowił zgromadzonych ochryłym szeptem:

— Odwołać jutro, bracia!

Na twarzy miał maskę z obliczem Całunu Turyńskiego.

— Odwołać jutro, odwołać jutro... — rozległo się w odpowiedzi.

— Ja, w którego nazwisku zaklęty jest blask świętego metalu — osobnik uniósł naczynie i nóż — dokonam dzisiaj naznaczenia tych, którzy zostali wybrani, by złożyć ofiarę w intencji zagłady fałszywej rzeczywistości...

Zgromadzeni zanucili:

— Dzięki ci, Pierwszy Judaszu!

— Przygotujcie się, ofiarnicy...

To mówiąc, mężczyzna podchodził do zgromadzonych, zdejmował im kaptury i całował w policzek. Gdy obszedł cały stół, wrócił na miejsce i ponownie wziął nóż. Nadstawił kielich i poprzecinał sobie wszystkie opuszki palców lewej dłoni.

Krew skapywała do pucharu.

— Oto krew waszego Pana — intonował, a zakapturzeni pochylali głowy. — Uczta dla tych, którzy postanowili zdradzić ten świat i przyspieszyć powrót świata prawdziwego, gdzie natura jest Bóstwem, nie zaś nędznym demiurgiem...

Po zabandażowaniu krwawiącej dłoni mistrz ceremonii ponownie chwycił nóż, przysunąwszy wcześniej srebrzysty talerz.

— A oto ciało moje... — rzekł, majstrując ostrzem przy palcach.

Po około kwadransie na talerzu spoczywało dwanaście małych kawałków zakrwawionej skóry.

— Wybrałem was, dwunastu apostołów samobójstwa, szlachetnych Judochrystów, zdrajców i zbawicieli, abyście zadali symboliczny cios temu światu... — mruczał mężczyzna, opatrując poranioną dłoń. Tym razem nie obyło się bez środków odkażających.

Po chwili ponownie zaczął obchód. Dawał akolitom swoje ciało i krew, mówiąc:

— Zdradzisz ten świat, albowiem jest on godny tylko zdrady...

Spożywali przedśmiertną parodię komunii, nie zdejmując kapturów. Byli naznaczeni. Wkrótce wyjdą z piwnicy, przebiorą się i wnikną w tłum na ulicach Amodos.

W krótkich odstępach wychodzili z mrocznego wieczernika.

Tajnym przejściem pomiędzy piwnicą a działającym na parterze lokalem było sanitarne pomieszczenie na zapleczu...

6. Wtorek

Pracując jako detektyw ubezpieczeniowy, Craig nie tylko umiał odróżnić dedukcję od indukcji, lecz z powodzeniem wdrażał te metody w życie.

Najnowsze zlecenie przypominało wdrażanie ich w śmierć...

Sprawa była wyjątkowo ponura. Ktoś chciał zarabiać na ubezpieczeniach w szalenie perfidny sposób.

Większość poszlak prowadziła do przypuszczalnej tajnej sekty.

Wczorajszy faks leży na wyciągnięcie ręki, nie trzeba nawet wstawać z krzesła...

Po przeczytaniu listu przewodniego, w którym oficjalnie przekazywano mu sprawę, Tim przeskoczył do załączników. Był zwolennikiem chaotycznej lektury materiałów. Uważał, że w ten sposób łatwiej przejrzeć intencje klienta.

Pierwszy z przedruków dotyczył „Ligi na rzecz Wyboru Ostatecznego” — stowarzyszenia, które trzy lata temu dokonało rewolucyjnej interpretacji „Ustawy o eutanazji”. Z zapisu o *prawie do godnej śmierci w przypadku zmian chorobowych wywołujących długotrwałe cierpienia* władze Ligi wyciągnęły logiczny wniosek, że eutanazja jest dopuszczalna również w przypadku cierpień psychicznych. Jako przykład podano długotrwałą depresję. W mediach zawrzało. Wypowiadały się głośno osobistości życia publicznego, z braku autorytetów nie nazywane autorytetami, Kościół wystosował notę protestacyjną, lecz był to głos wołającego na puszczy. Zaangażowana neutralność światopoglądowa — oficjalna doktryna Rządu Światowego — głosiła, że najważniejszy jest społeczny dyskurs, któremu można poddać wszystko: urządzono więc internetowe referendum. Minimalną większością wygrali zwolennicy Ligi.

Rezultatem było powstanie „Domów ostatniego tchnienia” zwanych również *post-shopami*. Nazwa była trochę myląca, miała z pocztą tyle wspólnego, co *coffee shop* z kawą po turecku. Same lokale przypominały bary narkotykowe, w których można było spożyć ciastka o odurzającym działaniu. W *post-shopach* sprzedawano *last dream cakes*, wypieki zawierające arszenik, mające zapewnić kandydatom na samobójców szybką śmierć. Umierali na specjalnych fotelach ustawianych w „Salach Wolności” — przyozdobionych w suszone kwiaty piwnicach, przy dyskretnych światłach i melancholijnej muzyce (popularnością cieszyły się zwłaszcza smutne piosenki o miłości).

Szybko okazało się, że *post-shopy* pełnią rolę terapeutyczną. Większość samobójców ograniczała się do przesiadywania w barze, pijąc lub paląc, i co najważniejsze: tocząc rozmowy z podobnymi sobie straceńcami. Tylko jeden na dziesięciu decydował się na ostatni krok. Psychologowie tłumaczyli to paradoksem samobójcy, który często pragnie, by jedynie zwrócono na niego uwagę. Domy ostatniego tchnienia dawały taką możliwość, co zmniejszyło liczbę samobójstw pozorowanych. Szybko mottem sieci stało się zdanie: „Myśl o samobójstwie pozwala mi żyć”.

Śliski papier ląduje na podłodze. Tim próbuje zebrać myśli. Dziwne zlecenie. Jeszcze nie pracował przeciwko sekcje. Wolał racjonalnych oszustów, przynajmniej wiedział, czego się spodziewać...

Wszedł do skrzynki. Nowy e-mail od Lotty! Odpowiadała na jego antymażeńską prowokację.

Lubili dyskutować przez sieć na różne tematy. Ostatnio w ramach dyskusji o trwałości związków Tim nazwał monogamię — za Miltonem — „monagonią”. Spodziewał się, że Lotta poprze ten sąd. Tymczasem otrzymał krótką i ostrą polemikę, w której panna Monte broniła wierności małżeńskiej...

Nigdy nie zrozumie tej dziewczyny.

* * *

Ubrany na czarno długowłose chłopak siedział naprzeciw mężczyzny w weneckiej masce. Po złożeniu raportu musiał odpowiedzieć na kilka pytań.

— Mówisz, że jak się nazywa?

— Craig. Tim Craig.

— Przyjął zlecenie?

— Jeszcze nie dał odpowiedzi. Widocznie czyta materiały.

— Czy posyłali sprawę komuś innemu?

— Raczej nie.

— Dlaczego akurat jego wybrali?

— Podobno jest dobry. Zna specyfikę pracy po obu stronach barykady. Wcześniej przez kilka lat pracował w kancelarii zajmującej się wyciąganiem pieniędzy od ubezpieczalni, które odmawiały wypłaty odszkodowań...

— Coś jeszcze?

— Nic więcej nie wiem.

— Cały czas nie rozumiem, dlaczego akurat on. Musi być coś, co go wyróżnia. Przecież detektywów jest w mieście jak psów! Może przez jakąś znajomość? — mężczyzna w masce naciągnął mocniej rękawiczkę na lewą dłoń. — Możesz to ustalić?

— Najpierw musiałbym zgłębić życie prywatne moich zwierzchników, a to dość trudne. Trzech młodych idealistów, robią to dla sprawy. To i tak cud, że przyjęli mnie do pracy...

Mówiąc to, chłopak wyciągnął z kieszeni plakietkę z identyfikatorem *Miejskiej agencji do spraw zwalczania tanatofilii i autodestrukcji*.

— Dziwna sprawa... — mruknął mężczyzna w rękawicze. — Dlaczego osobiście z nim nie porozmawiali?

— Myślę, że materiały, które dostał, nie zawierały żadnych tajemnic...

— Skurwiele... Jak trafili na nasz ślad?

— Niczego nie wiedzą, szefie. Mają jedynie mgliste podejrzenia, chcą je sprawdzić przez ostrożność. Resztę ma wykryć ten detektyw. To na nim powinniśmy się skupić...

Czemu akurat on? — myślał mężczyzna, bawiąc się rękawiczką. *Dlaczego Tim Craig?*

— Czy będę jeszcze do czegoś potrzebny?

— Właściwie nie, możesz spadać. Wieczorem przekażesz mi raport od Mortesa. Pracuje nad kolejnym Judochrystem.

Chłopak uklonił się i opuścił gabinet.

— Tim Craig — sylabizował mężczyzna, wpatrzony w pusty kieliszek na stole. — Tim Craig...

7. Życie i śmierć Connie T.

Connie T. miała dziewiętnaście lat, nieudane życie i nic do stracenia. Poza tym była brzydka. Tak o sobie myślała i właśnie to sprawiło, że zaczęła chodzić na spotkania różnych grup wyznaniowych. W kilku pierwszych nie spodobało jej się, nie odnalazła tam spokoju. Wspólnota mieszkaniowa im. Markiza de Sade okazała się grupą zбочeńców żyjących na jednym osiedlu, Naziweganie byli świrami karkołomnie łączącymi hinduizm z hitleryzmem, natomiast Technokrisznowcy próbowali przenieść naukę Kriszny do sieci, bawiąc się nago przy dźwiękach sitarowego techno, co było torturą dla wzroku i słuchu. Dziewczyna z rozbitej rodziny, żyjąca pod opieką ciotki — pijaczki miała dość podobnych wariactw.

W Amodos roiło się od dziwnych stowarzyszeń oferujących alternatywny styl życia. Było z czego wybierać.

Zanim trafiła pod właściwy — jak jej się wydawało — adres, Connie otarła się o Dom ostatniego tchnienia. Jesienią, z wszelkimi objawami depresji poszła odwiedzić kontrowersyjny lokal. Nawiązała znajomość z chłopakiem o imieniu Mortes, który okazał jej więcej zainteresowania i sympatii, niż wszyscy napotkani dotychczas ludzie. Współczuł, rozumiał stan Connie. I przede wszystkim nie próbował pocieszać za pomocą banałów o „wzięciu się w garść”. Rozmowa niosła otuchę, choć w słowach zakapturzonego przyjaciela nie było nadziei. Roztoczył przed Connie piękno smutku i cierpienia, zachwycał się romantycznością śmierci. Cytował Byrona i Shelley’a. Potrafił uwznioślić rozpacz.

„Do czterech razy sztuka” — myślała, wracając z pierwszego spotkania. Później były jeszcze dwie wizyty. W trakcie ostatniej Mortes spytał, czy chciałaby spróbować czegoś więcej niż *last dream cake*, gdyż jego zdaniem to mało wyszukany sposób na rozstanie się z życiem. On również, zapewniał Connie, przyszedł tu w celu spożycia arsenikowego ciastka, jednak w porę odkrył, że śmierć może być piękniejsza. *Czy nie chcesz zostać czarnym motylem powoli oblekającym się w smutek, zdążającym wprost ku kwiatom śmierci?* — szeptał dziewczynie do ucha, stawiając kolejne drinki. *Musisz tylko obiecać, że dochowasz tajemnicy, a ja cię wprowadzę na ostatnią drogę. Sam zresztą nią podążam.*

Wieczorem Mortes zabrał ją do swojego mieszkania i podał narkotyki. Było jej wszystko jedno, wzięła. Później uprawiał z nią seks. Nawet tak bardzo nie bolało. Pamiętała strzępy obrazów i doznań, halucynacje pełne czerni, pogrzebową muzykę i dreszcze perwersyjnych pieścizot...

Wkrótce Connie T. trafiła do sekty pozdrawiającej się: „Odwołać jutro!” Znała to hasło z graffiti na ścianie jej bloku.

Na nocnych seansach robili to samo, co z Mortesem, tylko w większym gronie. Oddawała się różnym mężczyznom, były też kobiety.

Tego właśnie szukała: zapomnienia.

Ciotka wyzywała ją od dziwek, gdy wracała nad ranem, jakby czymś odurzona. Nie miało to jednak dla Connie znaczenia.

Podobała jej się filozofia sekty. I okazywana troska. Ubezpieczyli ją nawet, dali pieniądze na

opłacenie bardzo wysokiej składki, wypełnili dokumenty...

Nareszcie ktoś martwił się o jej los.

Po kilku wykładach, modlitwach i medytacjach (cały czas wracała do domu, lecz zabroniono jej spożywania posiłków i snu w ciągu dnia) popadła w przyjemne otępienie. Była gotowa na śmierć.

Mortes przestał się nią interesować, nie widywała go już. Nie czuła żalu, miała misję do spełnienia.

Odprawa odbyła się w ciągu dnia. Razem z jedenastoma wybrańcami, równie mocno jak ona rozczarowanymi życiem, Connie spożyła ciało i krew tego, który zwał się Pierwszym Judaszem.

Nigdy nie ujrzała jego twarzy.

W kielichu był wymieszany z krwią proszek o działaniu halucynogennym. Uaktywniał się po upływie doby, a jego ślady znikwały z organizmu. Ostatnim zadaniem Connie było wyjść nazajutrz na ulice i przechodzić przez największe skrzyżowania Amodos. Aż do skutku.

Halucynacje zaczęły się wkrótce po opuszczeniu mieszkania. Connie T. straciła równowagę na Rondzie Hamana i weszła na pasy przy czerwonym świetle, prosto pod pędzący samochód. Zginęła na miejscu. Jeden ze świadków wyjął telefon komórkowy i zadzwonił po policję, by zeznać, że dziewczyna potknęła się i nieszczęśliwie znalazła na pasach. Drugi świadek potwierdził tę wersję.

Nazajutrz, po zidentyfikowaniu denatki (co było łatwe, gdyż miała przy sobie komplet dokumentów) odpowiednia informacja została przesłana do firmy ubezpieczeniowej...

* * *

Trzy istoty o jasnych włosach i błękitnych oczach rozmawiały wewnątrz biura *Miejskiej agencji do spraw zwalczania tanatofilii i autodestrukcji*. Na łóżku w drugim pokoju leżała martwa staruszka z dłońmi splecionymi na różańcu. Istoty nie siedziały na krzesłach — wisiały swobodnie pod sufitem, a ich głosy przypominały podmuch wiatru.

— Wkroczył na drogę, która zaprowadzi go do konfrontacji z samym sobą.

— Został wybrany.

— Dlaczego właśnie on?

— Tamci też zadają to pytanie...

— Nieważne. Ma do spełnienia misję.

— Poza tym musi być prawy albo mieć zadatki na nawrócenie.

— Czego nie można powiedzieć o tym biedaku, którego nam podetknęli jako szpiega...

— Niech wierzy w iluzję, dopóki ją podtrzymujemy. O to chodzi.

— Jak długo to potrwa?

— Kilka... dni.

— Ten detektyw — wiadomo jak skończy?

— Niby skąd? Tajemnica eschatologiczna! Samotna staruszka, u której zamieszkali, umarła modląc się przed snem. Jej dusza podążyła w zaświaty, a ciało zostało zamrożone, podobnie jak czas i przestrzeń w bazie wysłanników. W zamkniętym przyczółku, w mistycznym mrozie wypełniali zadanie, czekając na rozwój wypadków...

8. Detektyw i barman

Fred Lunar, zwany przez przyjaciół i znajomych po prostu Barmanem, pierwsze kroki w profesji zaczął stawiać na studiach, kiedy przeszedł kurs barmański i zaczął dorabiać do stypendium wieczorową pracą. Na samodzielną działalność i rozwinięcie skrzydeł musiał poczekać. Nie było łatwo, pubów Amodos miało pod dostatkiem, a urzędy robiły problemy z uzyskaniem koncesji na alkohol. Jednak Fred dopiął swego. Po trzykrotnej odmowie wpadł na fortel, który przyniósł mu uznanie klientów i zawiść konkurencji. Otworzył lokal, a na oknach i drzwiach dał ogłoszenie: *Ze względu na problemy z uzyskaniem koncesji zapraszamy z własnym alkoholem — za niewielką opłatą zapewniamy stoliki, muzykę, szkło i miłą atmosferę.* W ten sposób Barman sprzedawał czas i miejsce, a na to koncesja nie była potrzebna. Lokal nazwał — wiedziony czarnym humorem — „Pętla”.

Z czasem koncesję uzyskał. Craig świętował tu swoje urodziny, poza tym odwiedzał bar mniej więcej raz w tygodniu.

Prócz poczucia humoru Barman imponował detektywowi stoickim spokojem i filozoficznym podejściem do wykonywanej pracy. Mawiał:

— Barman to nie stanowisko, zawód czy pieprzona specjalizacja. Barman to powołanie. Kto tego nie rozumie, nie powinien stać za barem!

Wszystko może być metaforą — przykładem alkohole. Fred Lunar stworzył teorię antropomorfizacji drinków. Ludzkim charakterom odpowiadały w niej koktajle. Każdy drink posiadał specyfikę, która kojarzyła się z danym typem człowieka. Byli na przykład ludzie *manhattany*, ludzie *screwdrivery*, ludzie *flippyetc*. Craig był świadkiem, jak pewna kobieta obraziła się na Barmana, gdy zaliczył ją do *fizz'ów* (alkoholi zmrożonych), gdyż potraktowała to jako aluzję do oziębłości płciowej. Zazwyczaj jednak klienci byli zadowoleni, gdy Barman „wróżył” im z drinków.

Tim był dla Freda wyzwaniem, ponieważ wymykał się jednoznacznej klasyfikacji. Znali się od dawna, a Barman wciąż nie znalazł odpowiedniego drinka dla detektywa (co musiało wynikać — jak zgodnie stwierdzili — z bardzo skomplikowanej albo bardzo typowej osobowości Craiga — oba warianty stwarzały podobną trudność). Powodowało to nieco ambiwalentny stosunek Barmana do stałego klienta i kolegi. Tim kojarzył mu się z porażką, lecz także z wyzwaniem. To była szansa epokowego odkrycia — wymyślić drink dla Tima Cl Powstałoby w ten sposób arcydzieło sztuki barmańskiej. Na razie jednak detektyw obalał Barmanowi główne założenia teorii.

Craig z kolei, niedoszły literat, rewanzował się podobną indolencją na polu twórczości poetyckiej. Od wielu miesięcy nosił w myślach poemat o upadku wrażliwego pijaka, w którym bar staje się metaforą... piekła. Tytuł: „Nie — ludzka komedia”. Każda zwrotka miała zaczynać się apostrofą nawiązującą do poematu Dantego: *Gdy barman jest twym Wergiliuszem...* Ilekroć się spotykali, Fred rozkładał bezradnie ręce na znak, że nie skomponował jeszcze drinka dla Tima, a Tim uśmiechał się przepaszająco, co znaczyło, że dalsze strofy nie przychodzą mu do głowy.

Oprócz personifikacji drinków (Barman był dumny z podmiotowego podejścia do pijących), knajpę wyróżniała atmosfera. Stanowczo wykraczała poza płytką „barową metafizykę”. Dawno temu

na wycieczce w Grecji Barman ujrzał w jednej z nadmorskich tawern ikonę wiszącą pośród reklam, kieliszków i butelek. Pojął wówczas, że bar może stać się mistycznym portem, choć niekoniecznie kapliczką znanej religii.

Urządził knajpę, dzieląc pomieszczenia na nawy i kaplice. Każdej nadał inny charakter. „Święto wiosny”, „Mrok duszy”, „Rozdroże”, „Właściwa droga” i „Oczekiwanie” — takie tabliczki widniały przy wejściach do pięciu bocznych sal. Kontuar był ołtarzem nawy głównej, w której (oprócz wysokich krzesel przy blacie) stało kilka niewielkich stolików. Nawy boczne, tworzące szeroki korytarz między hallem a kaplicami, pomalowane na biało i czarno, miały symbolizować manichejski dualizm oraz binarną strukturę rzeczywistości. Kto nie uznawał tego podziału, mógł pić w nawie głównej albo w którejś z kaplic.

Tima nie bardzo ruszała metafizyka knajpy. Bary działały na niego melancholijnie, „Pętla” nie stanowiła wyjątku. W mrocznym świetle i przy szklaneczce ożywały wspomnienia. Tim odgradzał się od świata parawanem wyobraźni i pił do własnych myśli.

Miał za sobą kilka nieudanych związków — rany zagoiły się pod bandażem czasu, blizny pozostały. To wszystko malowało się na twarzy detektywa — psychiczny makijaż wywołany wielokrotnie przeżywanym poczuciem straty. Widział twarze tych kobiet na dnie szklanki. Gdy zamykał oczy — widział także promyk nadziei.

Kino jego życia wyświetlało *happy end*, który pozwoliłby Timowi pogodzić się z losem. Nitki dwóch życiorysów splączą się, choćby tuż przed śmiercią — to była pociecha. Craig wątpił, lecz póki grał swoją rolę — szansa istniała. Była tylko jedna rzecz, którą chciał powiedzieć tej kobiecie:

Byłaś w moim niebie sądząc, że to twoje marzenia.

Ja byłem w twoim piekle, sądząc, że to moja samotność.

Napisał to kiedyś na serwetce i w przebłyskach nadziei tytułował „Do nieznajomej”; w przypływie zwątpienia: „Do tej, której nigdy nie spotkam”.

9. W labiryncie...

Siedząc w biurze, Tim znów ma wrażenie, że Lotta rozpruwa mu serce, aby zaraz je zaszyć. Nawet się do tego przyzwyczaił.

Nad biurkiem przypięta karteczka: *Lotta — list!* Wisi tak od tygodnia niczym czaszka z inskrypcją *Memento mori*. Przełknął to, jak wiele innych sygnałów, którymi panna Monte dawała mu do zrozumienia, że jest dla niej tylko przyjacielem.

Tym razem doszła do granic tolerancji Tima. Poprosiła, by napisał w jej imieniu list miłosny do jakiegoś faceta. Craig, gdy to usłyszał, omal nie spadł z krzesła (rozmawiali akurat przez telefon).

Spytał tylko:

— Znam go?

Głos Lotty zadrżał.

— Tak. Nie. Nie wiem...

Na tym rozmowa się skończyła.

Po co ta gra? To nie gra, Lotta dba o swoje interesy — myślał skonfundowany. *Przysługa za przysługę — kiedyś zrobiła mi za darmo analizę laboratoryjną.* Teraz jego kolej. Zadzwoń do niej, przeprosi za spóźnienie — urodziny i koniec miesiąca to wystarczająca wymówka...

A potem napisze upokarzający list.

Właśnie, urodziny. Kartka z życzeniami dawała do myślenia. Ciąg dalszy gry? Nie, raczej serdeczność, którą kiedyś błędnie brał za przejaw uczuć wyższych...

Dość! Craig rozprostował kości. *Widocznie Lotta wiąże plany z kimś innym — jeżeli nie wiadomo o co chodzi, chodzi o faceta...*

Podejrzewał, o kogo może chodzić. Dorian — kelner z „Pętli”, z którym zawsze lubiła żartować, student informatyki. Ambitny goguś w okularach, wysoki, długie czarne włosy. *Dlaczego one wolą brunetów?*

Zerwał karteczkę, zgniótł i wrzucił do kosza.

Do pracy, do pracy, do pracy!

W nocy ze środy na czwartek, przy wsparciu czterech piw, Tim napisał list. Posłał plik e-mailem bez żadnego komentarza. Dopiero w trakcie realizacji prośba Lotty objawiła całą swą perwersyjność. Podszywający się pod kobietę facet pisze wyznanie do innego faceta. *Horrendum!*

Postanowił jak najszybciej zapomnieć o sprawie.

Przejrzał serwis informacyjny. Był tam artykuł o młodym księdzu, który wyszedł cało z niedawnego trzęsienia ziemi na drugim końcu miasta (w dzielnicy, gdzie znajdował się zakład karny Hohenschloss).

Klecha nazywał się Raymond Shepard i był kapelanem więziennym. Od kilku dni trwał bunt w podziemnej kondygnacji, gdzie przetrzymywano największych zbrodniarzy — ksiądz zszedł do nich, zgłaszając się na ochotnika i spędził pod ziemią przeszło dwadzieścia godzin. Kondygnacja zapadła się pod wpływem tąpnięcia tuż po tym, jak wyjechał na górę windą, razem z pilnującym bramy strażnikiem. Podobno zdołał nawrócić i wypowiadać wszystkich buntowników za wyjątkiem przywódcy rebelii, mordercy zwanego Aliensonem. Ten jednak uznał swą klęskę i pogрузzył się w

rezygnacji*.

Reportaż był zaznaczony jako „lokalny temat tygodnia”. Tim zgodził się z tym wyróżnieniem.

Wyszedł z serwisu i wrócił do śledztwa.

Dziwił się, że nikt z Miejskiej agendy nie skontaktował się z nim, by potwierdzić zlecenie.

Widocznie uznali, że pisemne zgłoszenie na razie wystarczy...

Kolejne materiały znalazł na własną rękę. Grunt to informacja.

Sekta była tajna, jej struktury dobrze zakamuflowane, jednak każdy organizm wytwarza pole, które go zdradzi. Tropiona sekta wytworzyła subkulturę śmierci.

Dwa lata temu na ulicach Amodos odbył się dziwny pochód. Grupa około stu osób przeszła przez centrum niosąc wstęgę z napisem: MANIFESTACJA NA RZECZ NATYCHMIASTOWEGO ODWOŁANIA PRZYSZŁOŚCI. Media odebrały to jako przejaw kryzysu młodego pokolenia. W hasle doszukiwano się nawiązań do punkowego zawołania NO FUTURE z końca XX wieku. Tim odnalazł materiały prasowe w internetowych archiwach trzech największych dzienników Amodos. Były też zdjęcia: demonstranci wyglądali dość smętnie, uderzał brak polotu i wyobraźni w oprawie pochodu. Fotografie utrwaliły raczej kondukt pogrzebowy. A jednak dało się wyczuć subkulturę: zbliżone stroje, luźne czarne bluzy z napisami, których nie dało się dostrzec na pierwszy rzut oka. Tim włączył powiększarkę. Dobre zdjęcie: kilka postaci *en face*. Zbliżył bluzę krótkowłosej okularnicy:

Pozbądź się tego, co nie powinno zaistnieć, a znajdziesz to, co zaistniałoby naprawdę.

Drugi ślad znalazł w policyjnej kartotece. Można było stamtąd ściągnąć film nakręcony podczas demonstracji. Prewencyjne filmowanie tego typu imprez było w Amodos rutynową procedurą.

W tle ścieżki dźwiękowej dało się słyszeć niewyraźne skandowanie. Dźwięk nie był najlepszej jakości, zgłoszenie nic nie dało. Trzeba było użyć innej sztuczki. Program do czytania z ruchu warg rzadko przydawał się Timowi, teraz zadziałał bezbłędnie, wyświetlając zapis hasła wznoszonego przez demonstrantów. *ODW (V) O ? AĆ JUTRO!...*

„Odwołać jutro!”

Ależ tak! Tim wiedział już, jakim tropem podążać. Prawie każdy mieszkaniec Amodos znał to ze ścian pokrytych sprejowymi bazgrołami...

10. Nieoczekiwana propozycja

W „Pętli”, w salce „Święto wiosny” pięciu biesiadników siedziało przy okrągłym stole z wysoką plastikową rurą pośrodku. Wewnątrz było piwo. Kranik u dołu pozwalał na samodzielne uzupełnianie szklanek.

Szóste krzesło czekało na Tima.

Mężczyźni w średnim wieku tworzyli nieformalny klub zwany Frakcją Ostrych Zawodników. Kiedyś stanowili najbardziej wartościowy element klubu fantastyki „Trzecia Epoka” działającego przy Akademii Ekologicznej w Amodos.

— Spóźnia się — zauważył Long Chris, zwany tak z racji długiej szyi, popijając colę. Jako jedyny abstynent w gronie zyskał miano Zbitego Kieliszka.

— Przyjdzie — uspokajał Martin von Heart, ostatni w Amodos fan zapomnianego zespołu Pearl Jam.

Vit Kaoviack, Thaed oraz Paul Sharpson przytaknęli.

— A Mathew Tumor?

— Jak go znam, pisze kolejne fantazy...

Barman lubił kumpli Craiga, ponieważ stale zasilali kasę baru. Kiedyś podpadli, wlewając do piwnej rury pół litra wódki, a następnie do niej rzygając, jednak przymioty ducha przeważały. Za karę dostawali ze zbezczeszczonej tuby piwo. Natomiast Vit Kaoviack oraz Long Chris mieli Barmanowi za złe promowanie New Age (odrzucał cały mistycyzm knajpy). Poza tym panowała wzajemna akceptacja.

— No, jesteś w końcu — rzucił Thaed, witając podchodzącego do stolika Tima. — Rura się kończy, zamówisz nową...

— I kupisz mi fajki — dodał Sharpson, wciskając Craigowi odliczone drobne. Nałogiem odreagowywał stres w pracy.

— Weź jeszcze jakieś orzeszki — rzucił von Heart. — Później ci oddam...

— Ja też się cieszę, że was widzę — odpowiedział spokojnie Tim, zbierając zamówienia.

Barman narzekał na pechowy tydzień. Ukradziono z „Pętli” siedem litrowych kuflów, oparzył się, naprawiając ekspres do *cappuccino* i musiał chodzić z bandażem na rękę, w dodatku rzuciła go jakaś internautka.

— A jak tam Lotta? — zagadnął Tima.

— Lepiej nie pytaj, stary. Dwa lata i nic. Gdyby do czegoś miało dojść, już by doszło.

— No to uderz frontalnie, przynajmniej się przekonasz.

— Nie chcę ryzykować zerwania przyjaźni.

— Wobec tego męcz się dalej. Tylko uważaj, byś nie skończył jak młody Werter. Lotta to śmiertelne imię...

Do baru podszedł Dorian, niosąc tacę z pustymi szklankami. Craig uznał to za wyjątkowo niepomysłną wróżbę. *Jeżeli to on jest adresatem listu!*...

Z pewną satysfakcją spostrzegł, że domniemany rywal ma zabandażowaną dłoń. *Plaga jakaś czy*

co?

— Nowa grafika? — spytał bez związku, wskazując reprodukcję słynnego rysunku Goi *Gdy rozum śpi, budzą się demony*.*

— Pamiątka po Laurze — westchnął Barman. Widząc, że detektyw zawraca do stolika, rzucił”. — Poza tym chciałbym pogadać, Tim. Podejdz, jak będziesz miał chwilę. Jest sprawa...

— Dobra.

Lotta, Laura, brakuje tylko Beatrycze — kłął w myślach Craig, przeciskając się między stolikami. Gdy opadł na krzesło, Thaed kończył akurat historię o swym niedawnym kontakcie z patrolem policji.

— ...udaję turystę, więc chcą mnie wylegitymować, a ja mówię, że nie ma obowiązku noszenia karty ID, poza tym muszą mieć uzasadnioną przyczynę, i takie tam. A oni, żeby w takim razie podał dane. Wyciągnęli formularz, pytają o miejsce zamieszkania. No to mówię, że jestem obywatelem Legolandu.

— I co?

— A on to, kurwa, zapisał!...

Członkowie FOZ-u ryknęli śmiechem.

— Kto dziś pamięta klocki Lego — westchnął von Heart.

— Mogłeś podać Park Asteriksa — zauważył Long Chris. — Wtedy by się skapnęli, że z nich kpisz...

— Albo wioskę Muminków. Podobno mają taką w Finlandii...

— Nie lepiej Park Drakuli?

— A gdzie to?

— W Rumunii...

Tim oddalił się do WC. Wracając, odwiedził Barmana na zapleczu.

— Naprawili ci w końcu prywatny kibel? — spytał, widząc Freda Lunara zamykającego niepozorne drzwiczki.

— Na razie to sanitariat... A potrzebę fizjologiczną zaspokajam tam, gdzie klienci.

— Nie podejrzewałem cię o taki egalitaryzm.

— Ludzie się zmieniają...

— Dobra, co to za sprawa?

Barman oparł się o drzwiczki i najspokojniej w świecie spytał:

— Nie myślałeś o zmianie pracy?

— Skąd ci to przyszło do głowy? — wyrwało się Timowi.

— Co najmniej raz w tygodniu zwierzasz mi się, że średnio ci się powodzi. Wniosek nasuwa się sam.

— Nie widzę siebie w innej roli — uśmiechnął się Tim przepraszająco. Był zdumiony pytaniem Lunara.

— A ja cię widzę, owszem. Nie chciałbyś popracować w „Pętli”? Wziąłbym cię na współnika, jedna piąta udziałów, prócz tego zarządzanie barem i ochrona oraz majątkowe prześwietlanie nieuczciwych dłużników. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu dostarczyli mi lewy alkohol i nie chcą oddać pieniędzy...

— Stary, mówisz serio?

— Jak najbardziej. Potrzebuję współpracownika. Czasy, gdy sam mogłem wszystko ciągnąć, minęły. Detektyw oparł się o ścianę.

— Muszę to przemyśleć, Fred. Chociaż nie sędzę...

— Nikt nie każe ci się śpieszyć.

— W każdym razie dzięki za propozycję.

— No to wracaj do swoich, pewnie opróżniają kolejną tubę. A jak się zdecydujesz, daj znać.

Craig szedł do stolika lekko skołowany. Nie podejrzewał Barmana o złożenie takiej oferty.

FOZ bawił się w najlepsze, o czym świadczyła nowa taktyka picia z rury. Każdy kładł głowę pod kranik, rozdziawiał gębę i absorbował piwo do oporu.

— Tim, teraz ty!

— I pamiętaj, że musisz zejść poniżej dolnej kreski... „A, niech tam!” — pomyślał Craig, instalując się przy kranie. Po tym, co usłyszał, miał ochotę zrobić coś głupiego.

* * *

Mężczyzna założył maskę, gdy otrzymał zaszyfrowany sms od Mortesa. Czekał kwadrans, nim zdyszany chłopak przedarł się przez miasto.

— Kiepska sprawa, szefie — relacjonował, gdy zatrzasnęli się w dźwiękoszczelnym gabinecie. Po tym, jak zaalarmował Pierwszego Judasza, guru zdecydował się wysłuchać go natychmiast, na nadzwyczajnej audiencji.

— Siadaj — burknął, wskazując chłopakowi fotel. — I mów spokojnie...

— Judochryst.

— Z której puli?

— Z ostatniej dwunastki. Ten rudy chłopak z bródką.

— Co z nim?

— Przeżył. Potknął się na schodach i sąsiedzi wezwali pogotowie. Nie minęła pełna doba, mogą w nim znaleźć... narkotyk.

Pierwszy Judasz zmełł w ustach przekleństwo.

— W którym szpitalu leży?

— W świętym Błażeju.

— Trzeba go będzie odwiedzić. Ale jeszcze nie teraz, zbyt duże ryzyko. Mam nadzieję, że milczy...

— Ofiarnicy są lojalni, ale gliny mają sposoby, by wyciągać informacje...

Guru odetchnął ciężko i rzekł:

— Nic nie możemy zrobić. Monitoruj sprawę, przejdź się incognito do szpitala. Może uda się dostarczyć mu truciznę... Kurwa! Tego nam brakowało, żeby prócz detektywa wmieszała się policja!

...

Obite korkiem pomieszczenie tłumilo wypowiedane coraz głośniej słowa.

Żyjemy w wieżach zatopionych katedr. Woda wciąż wzbiera, przyciągana magnezem chmur. Cumulusy, cirrusy i stratusy są parodią nieba. Zwłaszcza, gdy pada deszcz — zdrada błękitu jest wtedy zrozumiała nawet dla skorupiaków. Wilgoć dolna i górna łączą się w haniebnym dziele zatapiania katedr. Wieże są jak trzony kolumn, które kiedyś dźwigały nieboskłon, teraz zaś przypominają wykarczowany las. Dzwony biją coraz wolniej, schodzimy z wież, by stąpać po wodzie, lecz nie ma w tym cudu — pogrążamy się w beznamiętnym życiu, które zatapia w nas ducha. Ryk sztormu mąci spokój. — Fale mają twardość ziemi. Wymieszanie żywiolów — od tego

zaczyna się każdy upadek. Woda, która jest ziemią (pijemy piach). Ziemia, która jest powietrzem (stąpamy w pustce). Powietrze, które jest ogniem (płoniemy, oddychając). Ogień, który jest wodą (ciepło przecieka przez palce). Czubki wież lśnią rozpaczliwie w zachodzącym słońcu. Chmury wzbraniają błękitu, a niebo wciąż milczy — puste.

11. Trzy zagadki

Na podstawie zdjęć Craig odtworzył wygląd trojga nastolatków biorących udział w demonstracji. Następnie załogował się do Miejskiego Systemu Ewidencji z umotywowanym wnioskiem o udostępnienie zbiorów. Podał swoje dane i numer licencji. Po dwóch godzinach dostał zgodę. Prawnikom i detektywom rzadko odmawiano.

W systemie figurowali prawie wszyscy mieszkańcy Amodos. Zdjęcie, linie papilarne, tęczówka oka — obowiązkowe załączniki do kart tożsamościowych. Craig dysponował specjalistycznym programem porównawczym *Compare Xp*, który pozwalał znaleźć konkretną osobę na podstawie dostarczonych elementów opisu. Im więcej szczegółów — tym wynik bardziej pewny.

Zidentyfikował tak — ze stuprocentową pewnością — chłopaka i dwie dziewczyny.

W dalszej kolejności, na podstawie zdobytych adresów ustalił aktualne e-maile i numery telefonów. Nie obyło się bez uruchomienia pewnych znajomości. Dane były aktualne. Miał demonstrantów jak na tacy. Harry P., Amelia V. i Connie T. — trzy czarne nitki prowadzące do kłębka jarzącego się wielkim znakiem zapytania...

* * *

List odebrała wieczorem, sprawdzając skrzynkę. Dwie strony, o tyle właśnie prosiła. Treść robiła wrażenie. Było tam powściągliwe piękno, które zawsze podobało jej się w stylu Tima. Elegancja podszyta lekką emfazą i zarazem humorem. Niepokoił natomiast brak komentarza. Craig mógł się obrazić, panna Monte dopuszczała taką możliwość. Miał do niej słabość, często ukrywaną pod maską obojętności. Musiało go to zboleć. Lotta miała jednak sposoby, by zjednać sobie Craiga.

Ponownie przeczytała list. Pozostało przepisać go ręcznie na papeterii, włożyć w kopertę i wysłać do mężczyzny, którego wybrała. A wcześniej koniecznie skreślić krótkie podziękowanie dla Tima...

* * *

Technotrashowy zespół „Death In You” miał próby w piwnicy baru „Czas Apokalipsy”. Harry P., pierwszy w kolejności figurant z listy Craiga, był basistą i głównym pomysłodawcą grupy. „Death In You” pisało się w skrócie „D.I.Y.”, identycznie jak skrót „Do It Yourself („Zrób to sam”). Co należało zrobić samemu — nietrudno było zgadnąć. Artystyczna oprawa występów nawiązywała do symboliki satanistyczno-okultystycznej.

— Korytarzem w lewo, ostatnie drzwi — poinstruował Tima barczysty typ z koleczykiem w nosie i tatuażem 666 na czole.

Tim ubrał się stosownie do okoliczności — w czarne spodnie i koszulkę. Usiadł w kącie i paląc papierosa czekał na przerwę. Niski facet grający na basie stanowił szansę na dojście do sekty.

— Co podać? — kelnerka w skórzanych majtkach wynurzyła się z mroku, niczym zjawa.

— Piwo.

— Jakie?

— Najtańsze.

— Polecam wino „Śmierć barmana”.

— Zostanę przy piwie — wzdrygnął się Craig.

W przerwie podszedł do stolika, przy którym siedzieli muzycy.

— Cześć, jestem Tim. Szukam tej dziewczyny — wyciągnął zdjęcie, na którym Harry P. widniał tuż obok Amelii V. W tle fragment wstęgi z napisem „Manifestacja na rzecz natychmiastowego odwołania przyszłości.”

— Stare dzieje — mruknął basista, świdrując Tima podejrzliwie. — A w ogóle to jak mnie znalazłeś?

— Lubię niezależne granie. A dziewczyny szukam, bo coś mnie z nią łączyło.

— Ciebie też? — parsknął Harry, a reszta zespołu zarechotała złośliwie.

— Macie już kontrakt płytowy? Mam zamiary na pewną wytwórnię...

— A więc o to chodzi!?

— Informacja za informację...

Craig przywołał przechodzącą kelnerkę.

— Kolejka dla chłopaków! — puścił oko do basisty — Żeby się lepiej grało...

Mieszkanie, w którym była zameldowana Connie T., leżało na peryferiach Dzielnicy Gołębi, gdzie zamieszkiwała Amelia, o której Tim dowiedział się wiele złego (i trochę dobrego) w przerwie próby. Można tu było spotkać budynki bez okien, przypominające gigantyczne klocki rzucone w urbanistyczny pejzaż. Był to efekt najbardziej głupiego podatku, o jakim Craig słyszał — podatku od liczby otworów okiennych.

W takim ślepym bloku mieszkała Connie T.

Stare drzwi, z których płatami złaziła farba, otworzyła stara kobieta, z której płatami złaził wulgarny makijaż. Tytoniowo — alkoholowy zaduch uderzył Tima od progu.

— Pan tu czego? — szcęknęła stara, machając papierosem.

— Czy tu mieszka... Connie?

— A co, policja?

— Nie, mam prywatną sprawę...

Kobieta zaśmiała się sucho.

— To jedź pan do kostnicy.

— Connie pracuje w kostnicy? — udał głupka Tim.

— Wynoś się, żartownisiu! — wrzasnęła stara, chwytając klamkę. — Trzeba było przyleść trzy dni temu, zanim wpadła pod samochód...

I zatrzasnęła drzwi.

Jadąc do Dzielnicy Gołębi, Tim analizował słowa Harrego P.

— Słyszałem o nich, to jakieś świry. Nikt dokładnie nie wie, co robią, ale to musi być niezły syf. Jakieś herezje na poważnie. Chodzą po imprezach, namawiają, obiecują mocne wrażenia. A później przepadasz jak kamień w wodę. Słyszałem, że Amelia się o nich otarła i później nie chcieli dać jej spokoju. Jakieś listy, martwe szczury na wycieraczkę — i takie tam...

Dzielnica zawdzięczała nazwę agencji pocztowej, która świadczyła usługi za pośrednictwem sztucznych gołębi. Zwłaszcza listy miłosne były chętnie wysyłane w ten sposób. Typowy widok stanowiły tu szare ptaki unoszące się w linii prostej nad budynkami, lecące do adresata lub powracające z pustym tubusem.

Tim nadusił dzwonek i czekał. Miał nadzieję, że przynajmniej tę lokatorkę zostanie żywą.

— Kto tam? — głos był załęczniony.

— Detektyw — Craig postanowił grać w otwarte karty. Chciał zdobyć zaufanie dziewczyny.

— O co chodzi?...

— Chcę pomóc. Słyszałem o twoich problemach. Mamy wspólnego wroga.

— Zostawcie mnie...

— Spokojnie, Amelio. Teraz przyłożę do kamery licencję. Porównaj zdjęcie, zapisz numer. Już? ... Możesz też sprawdzić moje dane na stronie Izby detektywów. Zaczekam...

Po kilku minutach zapiszczał domofon. Tim pchnął drzwi. W windzie dostrzegł flamastrowy symbol przekreślonego zegara. Obok napis: „Odwołać jutro!”.

— Mieszkasz sama? — spytał, przestępując próg kawalerki. Żaluzje były pospuszczane, zasłony zaciągnięte. — Ciemno tu...

Amelia była brunetką przefarbowaną na blond. *Brzydsza niż na zdjęciu* — przeniknęło Timowi przez myśl.

Kiedy już się usadowili na krzesłach, a Craig zadał kilka pytań, dziewczyna podniosła podkrążone oczy (*źle sypiała? ćpała?*) i szepnęła z lekką chrypką w głosie:

— Pomóż mi...

12. Na rozdrożu

Lotta rzadko bywała w „Pętli”, nie odpowiadał jej styl życia zwany *dubbingiem*. Czasami jednak umawiała się tu z koleżankami. Wiedziała, że barman jest dobrym znajomym Tima.

Czekając na przyjaciółkę, siedziała w salce „Rozdroże” i podziwiała wystrój. Najbardziej podobały jej się żywe ściany: lakierowane pnie rozdartych drzew przeplatane roślinnością i różnorodną symboliką. Na suficie tęcza przechodząca w barwny płaszcz, platoński symbol pluralizmu. Dyskretne, pastelowe światła, w tle śpiew ptaków...

Zdziwiła się, gdy Dorian podszedł do stolika i serdecznie ją powitał. Ubrany był wyjątkowo elegancko. We fraku i białych rękawiczkach wyglądał jak staromodny pianista.

— Jakaś specjalna okazja?... — zagadnęła panna Monte.

— Za tydzień piąte urodziny „Pętli” — odparł wesoło chłopak. — To dla nas Wielki Tydzień!

— Moje gratulacje. To już lokal z tradycją...

— Od razu dam ci wizytówkę... — zamiast wizytówki Dorian wyjął jakąś broszurkę, która spadła na blat. *Agencja promocji lokali „Koncepcja”*... — zdążyła przeczytać Lotta, bo kelner natychmiast schował zgubę do kieszeni. *Dobrze, że nie antykoncepcja* — pomyślała, rozbawiona.

— Nie mam, przyniosę razem z zamówieniem — bąknął zmieszany, odchodząc w stronę baru.

— OK.

W korytarzu minął się z koleżanką Lotty, lecz nawet nie zwrócił na nią uwagi.

* * *

Mężczyzna w masce skończył przeglądać wykaz kont.

— Mów, Mortes.

Chłopak w ciemnych okularach odkaslnął nerwowo.

— Nasz Sherlock Holmes zaczął węszyć, szefie.

— To znaczy, że podjął się prowadzenia sprawy...

— Tak. Trzeba go wziąć na celownik. Zamaskowany pokręcił głową.

— Postarajcie się zniechęcić go w inny sposób. Zaapelujcie do jego... instynktu samozachowawczego. Dołóż mu w jakimś zaułku, niech się przestraszy. *Ř propos*, dowiedziałeś się czegoś o tej Agendzie?

Chłopak sięgnął do teczki.

— Z materiałów wynika, że podlegają Miejskiej Komisji do spraw wyznaniowych, a jednocześnie...

— A więc inicjatywa lokalna? To miasto mnie zdumiewa. Przez kaznodziejów zwane Sodomą, próbuje monitorować grupy wyznaniowe. Śmiechu warte...

— A jednocześnie... — dokończył Mortes — komisja porządku publicznego...

— Uznałbym to za kolejną inicjatywę bez znaczenia, dla stworzenia nowych etatów i uspokojenia biurokratycznych sumień, gdyby nie... Cholera, ten Craig jest skuteczny. Przejrzałem jego *dossier*. Umie podejść wroga...

— Na takich skutecznych też są sposoby...

— Powiedziałem: nie! Trzeba go zastraszyć. W końcu robi to zarobkowo, nie będzie ryzykował życiem. A nam nie opłaci się jego likwidacja. To byłoby zwykłe morderstwo, trudne do zatuszowania.

— A jeśli nie odstąpi? — spytał z powątpiewaniem Mortes.

— Wtedy sam wyda na siebie wyrok — odparł krótko jego zwierzchnik. — Na razie musi poczuć się osaczony.

— Gorzej, gdy przez ten czas zdoła zebrać informacje...

— Wtedy popełni samobójstwo — zawyrokował Pierwszy Judasz. — Zresztą nie obawiaj się, Mortes. Otaczają go ludzie w maskach, biedak niczego się nie domyśla.

— Co masz na myśli, szefie?

— Prędzej czy później sam do nas trafi.

Mortes uśmiechnął się, rozumiejąc.

* * *

Tim siedział w wannie z dyktafonem i szklanką koniaku, robiąc podsumowanie.

— Informacje zdobyte od Amelii V. stanowią niewątpliwie najważniejszy materiał w śledztwie. Jest przypuszczalnie jedynym świadkiem, który otarł się o sektę i jeszcze żyje...

Czasobójcy — taką nazwą posługiwała się dziewczyna — poprzestali wobec niej na groźbach. Zastraszona, Amelia była strzępem nerwów. Szantaż okazał się skuteczny, trzymała język za zębami. Dopóki nie rozkleiła się przy Craigu...

Podawała suche fakty, obserwacje i zasłyszane słowa...

Wystarczyło. Tim umiał powiązać strzępy w całość. Kilku rzeczy był niemal pewien. Kilka chciał sprawdzić. Będzie musiał porozmawiać z Fredem na temat barów podejrzanych o współpracę z czasobójcami.

Z trzech zagadek dwie były wciąż nierozwiązane. Harry P. powiedział mniej, niż wiedział. Okoliczności śmierci Connie T. należało dopiero zbadać. Natomiast Amelia V. mogła być kluczowym świadkiem w ewentualnym procesie...

Craig wciąż był na rozdrożu.

* * *

Zaprzestań śledztwa, a my również przestaniemy cię śledzić.

Zginiesz, jak nie przestanieś węszyć.

Porzuć wszelką nadzieję, który idziesz naszym śladem...

Już dawno nie sprawdzał skrzynki. Całą pocztę miał zagrożoną podobnymi e-mailami. Nie docenił przeciwnika. Owszem, brał pod uwagę, że w końcu się zorientują, jednak nie tak szybko... Jedynym pocieszeniem było, że pogróżki przyszły na oficjalny adres biura, a nie na któryś z adresów prywatnych.

Craig mógł na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób: intensyfikując śledztwo. Zaczął nosić przy sobie broń. Czasobójcy byli zdolni do wszystkiego.

13. Nieoczekiwane spotkania

Rano Tim znalazł szczura na wycieracze.

Coraz lepiej — pomyślał, przekręcając klucz.

Idąc do biura, rozglądał się uważnie. Kilku przechodniów wzbudziło jego podejrzenia. Mogli być wyłącznie projekcją jego podejrzliwości, jednak detektyw musiał być ostrożny.

Granica między przezornością a paranoją, bywa bardzo wąska. Tim był zmuszony balansować na niej niczym linoskoczek.

Na rogu Alei Postępu i Przechodniej zdenerwowała go dziewczyna z aparatem fotograficznym.

Zerknął na nią dyskretnie, wchodząc do sklepu odzieżowego.

Z okna w przebieralni był świetny widok na biuro. *W sam raz dla snajpera...*

Tim wziął pierwsze z brzegu spodnie i wszedł do kabiny. Uchylił okiennicę, spojrzął. Intuicja go nie zawiodła, pod bramą stał jakiś typ.

Craig odpiął elektroniczną lornetkę. Zbliżenie. Długie włosy, kaptur i papieros. Na pewno nikt z sąsiedztwa.

Wejdę do kamienicy od tyłu, przez bramę koło śmietników...

Opuszczając sklep, omal nie zapomniał odłożyć dzinsów. Ekspedientka gapiała się na niego przerażona. Trwało chwilę, nim zrozumiał.

Spodnie były damskie.

* * *

Spotkali się w bramie. Typ stał oparty o poręcz, miał odwróconą głowę. Detektyw udał, że nie zwraca na niego uwagi. Powoli wchodził po schodach.

Usłyszał kroki za plecami. Bez pośpiechu wyjął klucz, włożył do zamka...

Był przygotowany.

Intruz przyspieszył. Craig tylko na to czekał. Schylił się i błyskawicznie wyrzucił nogę. Podcięty napastnik stracił równowagę. Próbował się podnieść, lecz Tim kopnął drzwi, które z impetem wyrznęły faceta w kark...

Wtoczyli się do środka.

— Kim ty, kurwa, jesteś? — Tim przydusił intruza kolanami i usiłował rozwiązać jego kaptur.

— Puść...

Detektyw sięgnął po nożyczki, przeciął wiązania. I ujrzał coś, czego nie powinien zobaczyć. Z wrażenia wykrztusił słowo dopiero po kilku chwilach:

— Dorian...

— Puść mnie, człowieku... Odbiło ci?

Craig wstał, oddychając głośno. Czuł się jak kretyn. *Taka podejrzliwość staje się paranoją...*

— Wzięłem cię za napastnika... Chłopak zbierał się z podłogi.

— Mam nadzieję, że cię zbytnio nie poturbowałem...

— Już w porządku. Nieźle się bijesz — Dorian wyglądał na zdumionego tym faktem.

— Taka praca... — bąknął Craig.

Kelner usiadł na krześle. Był zdenerwowany. Zbyt łatwo został zdemaskowany. Należało wymyślić, i to szybko, fałszywą wersję. *Fred? Nie, to zbyt banalne. Lotta?... Lotta! On się w niej buja... Tylko to uczyni mnie wiarygodnym. Inaczej gotów uwierzyć, że naprawdę chciałem go napaść.*

Dorian odkasznął.

— Pewnie domyślasz się, z czym przychodzę?

— Nie mam bladego pojęcia.

— Wiem, że interesuje cię Lotta Monte — zabrzmiało to strasznie oficjalnie.

— No i co z tego?

— Kłopot w tym, że mnie też...

Craig nadał swej twarzy wyraz ironiczny — wypróbowaną barwę ochronną.

— Wiesz, mam wobec niej plany — kłamał dalej kelner. — Nie pozwolę jej sobie odebrać...

— Coś takiego... — wycedził Tim. W mózgu wrzało mu jak w kotle. *A więc tak się sprawy mają....*

— Właśnie z tym przyszedłem.

— Wyjdź stąd.

— Mówię poważnie.

— Ja też. Powinienem nakłaść ci po mordzie...

— Co?

— Wyjdź.

— Trzeba umieć przegrywać.

— Wynocha!

Zapadła cisza. Dorian wstał i zmierzył Craiga pogardliwie.

— Z przyjemnością. Ty też będziesz musiał wynieść się z życia Lotty.

Trzasnął drzwiami w poczuciu dobrze odegranej roli i zostawił Tima w pustym biurze.

List — huczało Craigowi w głowie. — *Cholerny list...*

* * *

Szczęście chodzi zygzakiem — myślał Tim, wracając z samotniczej niasiadówki w barze „Czas Apokalipsy”, dokąd zaprowadziło go poczucie beznadziejności po niespodziewanej wizycie Doriana. „Pętla” przestała być miejscem, w którym mógł spokojnie oddawać się seansom nostalgicznych wspomnień.

Nocny autobus odjechał trochę wcześniej, Craig włókł się na następny przystanek, omijając kałuże. Nagle ktoś zastąpił mu drogę. Dwa cienie ścieliły się u stóp Tima w świetle latarni.

— Masz papierosy? — spytał byczek w skórzanej kurtce nabijanej ćwiekami, a jego kompan rozejrzał się na boki.

Tim był wyjątkowo wkurzony, więc odparł zadziornie:

— A co cię to obchodzi? Może mam, może nie mam — nie widzę powodu, by cię o tym informować...

Poczuł rękę na ramieniu. Trzeci napastnik zaszedł go od tyłu...

— Zła odpowiedź, koleś.

Niewidoczny pchnął go do pobliskiej bramy. Tim od razu wytrzeźwiał, jakby adrenalina stoczyła w jego krwiobiegu zwycięski *blitzkrieg* z promilami. Odskoczył w głąb, ujrzał przed sobą trzech napastników.

— No, panie detektyw — wychrypiał najniższy głosem dziwnie znajomym — pora na zastrzyk...

W rękę oćwiekowanego błysnęła strzykawka z igłą. Niski stanął w plamie światła, widać było teraz jego twarz.

— Harry... — Tim rozpoznał muzyka z zespołu „Death in You”.

— Do usług — parsknął basista, po czym dał znak reszcie. — Brać go!

Dwóch drabów ruszyło w stronę Craiga.

— Co jest w strzykawce? — spytał Tim, wchodząc w obręb śmietników.

— Szczepionka przeciwko głupocie. Remedium na zbytnią ciekawość. Antidotum na nachalność — recytował Harry. — Wybierz dowolną wersję.

Napastnicy wbiegli pod wiatę, lecz Craig zdołał odeprzeć atak. Byczek ze strzykawką wpadł na kosh, jego pomagier dostał w łeb butelką. Tim wspiał się na wiatę i zeskoczył wprost na Harry’ego. Muzyk nie zdołał się osłonić, dostał z pięści w szczękę. Detektyw obszukał go błyskawicznie, znajdując za pasem nóż.

— A teraz każ swoim chłopcom przestać, bo możesz zaciąć się przy goleniu — Tim nie puszczał basisty, zasłaniając się nim przed napastnikami. Oćwiekowany i pomocnik stali naprzeciw jak dwa rozjuszony buhaje.

— Połóż strzykawkę na ziemi — polecił Craig, przyciskając nóż mocniej do szyi Harrego. Muzyk skinął głową, dając zgodę na częściową kapitulację. Strzykawka wylądowała na betonowych płytach.

Harry szarpnął się i zacisnął zęby na palcach Tima. Detektyw poczuł ból przegryzanej skóry. Nóż wypadł mu z dłoni.

Oćwiekowany schylił się, lecz Craig był szybszy. Odepchnął Harry’ego, skoczył i kopnął strzykawkę w podwórze. Drab dostał kolanem w pysk i rozłożył się na ziemi niczym niedźwiedzia skóra. W tej samej chwili rozbłysły światła i zaczęły otwierać się okna.

— Co tam się dzieje?!

— Policja!

— Wynocha stąd, zawszone narkomany!

Craig podniósł strzykawkę i przemknął wzdłuż ściany, zostawiając ogłuszonego napastnika. Harry i drugi intruz zdołali zbiec.

Otrzeptał się, poprawił fryzurę i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. W wewnętrznej kieszeni kurtki wiózł prawdopodobnie ważny dowód rzeczowy.

14. Geometria wykreślna

Deszcz padał dwa dni, czyniąc Amodos ponurym cmentarzyskiem.

Tim zdołał ustalić nowe fakty. Znalazł kilka listów z pogrózkami, tym razem w skrzynce swojego bloku. Zatem znali miejsce jego zamieszkania. Nikt jednak nie starał się go więcej napadać.

Zawartość strzykawki zabezpieczył, separując próbkę płynu dla Lotty. Przesłał ją pocztą kurierską, dołączając prośbę o szybką analizę.

Zdobył też informacje na temat Connie T. Sierota porzucona przez samotną matkę, zamieszkująca u ciotki — alkoholiczki. Lubiła obracać się w dziwnych kręgach. Nawet pieniądze z ubezpieczenia przeznaczyła dla... zaraz, zaraz.... *Agencji promocji lokali*... Tim czekał na wypis z rejestru, by bliżej przyjrzeć się podmiotowi o nazwie *Koncepcja*. Nie wykluczał, że Connie została zmanipulowana przez sekciarzy, zaś nieszczęśliwy wypadek pozwolił zagarnąć im świadczenie. Mógł to być sposób majątkowego wyssania ofiary. Z reguły sekty doprowadzały wyznawców do niekorzystnego rozporządzania mieniem za życia, możliwe jednak, że tutaj próbowano zrobić to także *post mortem*.

* * *

Lotta siedziała w kościele pod wezwaniem św. Jana z Patmos i modliła się o słusność swego wyboru. Miała wysłać najważniejszy list w życiu. Pragnęła zabić przeszłość, wykreślić ze słownika liczbę pojedynczą, stopić się w słowie „My”...

— Chcę zabić stary czas i zacząć od nowa — szeptała, wpatrzona w modernistyczny ołtarz skąpany w zielonej poświacie. Wciąż nie mogła pozbyć się natrętnej myśli: wynik ekspertyzy dla Craiga był identyczny z niedawną ekspertyzą policyjną...

Wychodząc przez drzwi przypominające bardziej wejście do banku niż kościelne wrota, ujrzała małe *graffiti*, zmultiplikowane według szablonu.

„Odwołać jutro!”. Obok przekreślony zegar.

Poczuła, jakby ktoś z niej zakpił, niemal słyszała drwiący rechot złych mocy.

Przeżegnała się, przyspieszając kroku. Hasło było dokładnym zaprzeczeniem tego, o co się modliła.

* * *

Kolejny dzień deszczu.

W skrzynce nowy e-mail od Lotty.

Wynik analizy!

Substancja to narkotyk o działaniu halucynogennym, silnie toksyczny, charakteryzujący się zakłóceniem funkcji błędnika, powodujący omamy wzrokowe i zaburzenia równowagi. Prócz tego następuje krótkotrwała utrata pamięci (biorca może nie pamiętać, że przyjął substancję). Działanie opóźnione, skutki występują po około 24 godzinach od zaaplikowania, po wchłonięciu nie pozostawia śladów w organizmie (praktycznie rzecz biorąc — niewykrywalny). Możliwe także zażycie doustne...

Wszystko pasuje... Craig jest coraz bliżej rozwiązania. Czegoś jednak brakuje. Być może kluczowego skojarzenia, jakiegoś słowa, wspomnienia...

W takich sytuacjach przywołuje przeczytane kryminały. Zasób przestępczych pomysłów jest w końcu ograniczony. Wciąż zdarzają się powtórki. *Nihil novi sub sole.*

— *Sole, sole* — Tim ma coś na końcu języka. — *Busole... Busola...*

Jest! „Śmierć i busola” Borgesa. Stare opowiadanie, w którym zabójstw dokonywano w miejscach tworzących na planie miasta figurę geometryczną — chyba czworobok...

Gdyby tak...

Może to szalone, ale sprawdzić trzeba.

Tim jest już w sieci. Uruchamia wirtualny plan Amodos. Plama kolorów rozlewa się po ekranie. Geometryczna abstrakcja konkretyzuje się w znajomych miejscach, na które pada wzrok Craiga...

Zmiana mapy. Na stronie nie można rysować, a on musi wypróbować kilka wariantów. Interaktywny plan miasta łąduje w czytniku CD. Teraz lepiej. Obraz staje się bardziej wyraźny. Tim przesuwa kursorem po miejscach, które wynotował w trakcie śledztwa. Na razie brak prawidłowości. Nic nie układa się we wzór bądź figurę...

Zaraz.

Napisy „Odwołać jutro!”. Jest ich dużo, ale trzy pierwsze — otaczane podobno przez czasobójców czcią — dają się połączyć w trójkąt równoboczny. Tim sprawdza notatki, już wie, co mieści się we wierzchołkach. Bar „Czas Apokalipsy”, bank „Twój pierwszy i ostatni kredyt”, kościół pod wezwaniem św. Jana z Patmos. Czy jest to jednak jakiegokolwiek dowód?

Detektyw wpatruje się w obwiedziony obszar, mrużąc oczy i wyęzając umysł.

Nagle wyrywa mu się ciche:

— O, kurwa...

Drżącą ręką stuka w klawiaturę. Prowadzi kursor od środka każdego boku do przeciwległego kąta. Tak powstają trzy przekątne, które w miejscu swego przecięcia tworzą geometryczny środek trójkąta. I jednocześnie środek koła, które powstałoby po wpisaniu trójkąta w okrąg lub wpisaniu okręgu w trójkąt. Środek jest jeden. Pulsuje czerwienią jak ostrzegawcza lampa.

Tim zna tę ulicę.

Zbliżenie. Mapa uwzględnia nawet numery budynków.

Tak. Dokładnie pośrodku.

Craig odchyła głowę i gapi się w okno.

Tamten sen w noc urodzinową... Wąż jest także symbolem zdrady.

Zmierzch wyjątkowo ponury, szeleści deszcz. Każda ze spadających kropli wydaje się Timowi mikroskopijnym okiem, za pomocą którego jest inwigilowany.

Wiedzą o mnie wszystko...

Mruczą elektroniczne urządzenia. Przez sieć biegną miliardy danych. Nieznane instytucje i nieznani ludzie gromadzą informacje...

Każdy dom jest na podsłuchu.

Na ulicy wysiadły latarnie, budynek oznaczony tabliczką *Miejskiej agendy do spraw zwalczania tanatofilii i autodestrukcji* pogrążony był w ciemności. Z zachmurzonego nieba lał deszcz. Światła w mieszkaniu nie działały, co jednak nie przeszkadzało mieszkańcom.

— Ależ ten biedak się męczy — powiedział wiszący w powietrzu eteryczny osobnik, trącając skrzydłem żyrandol.

— Masz na myśli detektywa czy szpiega?... — spytał jego kompan.

— Detektywa też. Myślałem jednak o szpiegu. Chyba miał podprogowy przebłysk i zobaczył martwą staruszkę... To ironia losu, że pomogła jego szefowi jako chłopcu...

— Cóż, iluzja nie jest perfekcyjna. Podświadomie mogą rejestrować przebitki.

— Totalna dezinformacja, co?

Zapadła cisza. Na zewnątrz płynął czas, słychać było szum deszczu.

— Jeszcze kilka godzin — zauważył Ariel. — Nasz obiekt rozwiązał zagadkę.

— Szkoda, że zasada ograniczonej ingerencji nie jest bardziej elastyczna — westchnął Enroel. — Moglibyśmy pomóc.

— Wolna wola — westchnął Leriash, dowódca oddziału. — To nie nasza wina, że są w nią wyposażeni...

— Módlmy się... — zaproponował Ariel. Trwali w modlitwie po szary świt.

Żyjemy na tłących się ogniem ruinach. Świat jest niczym dogasający stos. Nowe pokolenia składają wciąż tę samą ofiarę: wielkie nadzieje i plany spalające się wraz z ich życiorysami. Po nich przychodzą następni, by rozniecić ogień oraz powtórzyć cykl. Płomień odradza się z żaru, horyzonty rozkwitają blaskiem nowych poranków, choć jeszcze przed chwilą czerwień słońca chyliła świat ku trumnie. Koniec zostaje odroczony. Zawsze znajdują się aktorzy odgrywający stary scenariusz. Jednak reguła jest bezwzględna — to prawo dogasającego stosu. Kiedyś wszystkie horyzonty świata zgasną. Słońce nie wejdzie wraz z kolejną epoką, ponieważ któraś musi być ostatnia. Najpierw umrą aktorzy: nadejdzie pokolenie pozbawione płuc, które nie rozdmucha żaru — I ogień przestanie tańczyć na ruinach... Na razie zgliszcza drzewią — podsycane; wybuchają co jakiś czas płomieniem, lecz kres nadejdzie. Iskry zgasną w konwulsyjnym migotaniu, do końca oczekując na ożywczy oddech.

15. Środek trójkąta

Szedł przez miasto, nie rejestrując otaczającego go świata. Pora dnia, pogoda, mijani przechodnie, budynki i samochody — wszystko było tłem wytłumionym przez uczucie gorzkiej prawdy, która zalała mu mózg. Była niczym wylew.

Setki, a może tysiące razy pokonywał tę trasę. Nigdy o tak wczesnej porze. Klientów wpuszczano do „Pętli” po jedenastej. Teraz powinien być tam tylko. Barman. Na to zresztą Craig liczył.

Przeszedł na czerwonym świetle, napiętnowany klaksonem przez zirytowanego kierowcę.

Jeszcze dwie ulice...

Umysł Tima przypominał zniszczoną przez burzę twierdzę. Ruiny zalane deszczem szczyrzyły zębiska w upiornym migotaniu. Tak szczyrzy się tylko prawda.

Spojrzał w niebo. *Może padać...*

Pomyślał, czy aby dobrze zrobił, zostawiając broń.

Był uzbrojony tylko w fakty, które zdołał ustalić. I którymi sam najmocniej się postrzelił.

Jeszcze dwa skrzyżowania...

* * *

Jeden z myślicieli XX wieku ogłosił, że przyszłe stulecie będzie stuleciem religii albo nie będzie go w ogóle.

Teza śmiała i rygorystyczna.

Byli tacy, co odczytali ją dosłownie, a przez to opacznie. Właśnie spośród nich rekrutowali się czasobójcy. Grupa desperatów uznała wróżbę za ostateczny zakład z historią. Stawką było istnienie świata.

Dekady mijały, religia traciła na znaczeniu, a wiek XXI trwał, trudno powiedzieć, w najlepsze, czy w najgorsze (zależało to od punktu widzenia). Był to dc pewnego stopnia kłam, jaki praktyka zadawała XX-wiecznej przepowiedni. Czasobójcy wierzyli w nią jak w dogmat. Skoro bez rozkwitu religii świat nie powinien trwać, coś się nie zgadzało. Doszli więc do wniosku, że wszystko, co zachodzi w nowym stuleciu, jest tylko pozorem. Należało wykasować ten wariant, by powrócić tam, gdzie proroctwo spełniło się, a XXI wiek stał się epoką odrodzenia religii. Recepta była jedna: całkowita zagłada. Chronoklazm. Tak powstał program pod kryptonimem „TempoCyd” — pozbycie się chorej rzeczywistości miało być poprzedzone zakrojoną na szeroką skalę akcją propagandową, którą należało rozpocząć w Amodos, mateczniku czasobójców i kolebce planowanej rewolucji. Wkrótce symbole chronoklazmu zdominowały sprejowe malunki innych subkultur i wgryzły się głęboko w świadomość społeczną.

To była teoria, wersja dla szeregowych członków zgromadzenia. Naprawdę w całym

przedsięwzięciu chodziło o coś innego. Apokaliptyczna teozofia okazała się przykrywką dla intratnego biznesu...

Czasobójcy działali jak typowa sekta, sprytnie przejmując majątki manipulowanych wyznawców. Składanie ofiary z samego siebie (z reguły kończące się śmiercią w wyniku wypadku) okazało się próbą masowego wyłudzenia pieniędzy od firm ubezpieczeniowych. Ofiary wskazywały w polisach jako uposażonych (czyli uprawnionych do odszkodowania) różne stowarzyszenia (społeczne, kulturalne, dobroczynne) będące przykrywką dla czasobójców. Ślady zacierano skrupulatnie. W niektórych przypadkach posługiwano się metodą jeszcze prostszą: ofiarnicy zawierali polisy na okaziciela, które natychmiast deponowano w kasie sekty, by anonimowy odbiorca mógł się zgłosić po odbiór świadczenia. Nikt nie wiedział o związkach denatów z sektą, gdyż przynależność była tajna. Przypadkowe osoby z różnych części miasta ginęły w nieszczęśliwych wypadkach, których nie dawało się w żaden sposób połączyć. Ofiarę można było złożyć w każdy, byle skuteczny sposób (przeważały wypadki drogowe, skoki z okien, zatrucia, utonięcia). Wykazanie związku przyczynowego pomiędzy samobójstwami i wyłudzeniami było trudne. Należałoby najpierw udowodnić przywódcom sekty pomoc przy samobójstwach lub nakłanianie do targnięcia się na życie. A wcześniej obalić wersję o nieszczęśliwych wypadkach. Zbyt wiele przy braku dowodów...

* * *

Craig stał przed wejściem do „Pętli” niczym Dante przed wjazdem do podziemi piekielnych. Antywłamaniowe żaluzje były pospuszczane, krata na drzwiach odsunięta.

Detektyw nacisnął klamkę i wszedł.

Barman stał tyłem, zapewne widział Tima w lustrze z reklamą Amodos–whisky. Mechanicznym ruchem czyścił szkło. Przerwał i sięgnął szczypcami po lód, umieszczając kostkę w szklance.

Tim podszedł do kontuaru. W poziomym lustrze widać było drżące dłonie Barmana zamykającego karafkę, z której przed chwilą nalał alkoholu. Timowi zdawało się, że dostrzegł wyryty na niej symbol przekreślonego zegara. Ktoś zamknął drzwi. Jak gdyby nigdy nic Tim usiadł na wysokim krześle.

— To, co zawsze.

Barman drgnął.

16. Nie-ludzka komedia

— To, co zawsze... — Barman odwracał się powoli.

— To, co zawsze było tobie pisane...

Przed Craigiem stała szklanka z grubym dnem. Wewnątrz był przezroczysty płyn i duża kostka. Drink wyglądał jak klasyczny *white russian* — czysta z lodem.

— Znalazłem, Tim — rzekł Barman uroczyście.

— Znalazłem dla ciebie drinka.

Craig spojrział mu w oczy i wycedził dziwnym głosem:

— To wzruszające, stary...

Mierzyli się wzrokiem jak pięściarze przed walką. Z bocznych nisz baru wychodzili czasobójcy. Mieli na sobie czarne kaptury. Stanęli, otaczając kręgiem Tima i Barmana.

— Jaką ma nazwę? — spytał od niechcienia Tim, wskazując szklankę.

— Chronoklazm — odparł spokojnie Barman.

— Cóż za subtelna aluzja...

— To twój strzemienny.

— Sądzisz, że to wypiję?

— Sądzę, że nie masz wyboru. Zresztą zawsze dążyłeś do samozagłady.

— Pięknie, Fred. Zamiast ostatniego namaszczenia chcesz mnie zakonserwować od środka.

Minąłeś się z powołaniem, powinieneś preparować zwierzęta.

— Wyrządzam ci przysługę.

— Jasne — Craig pokręcił głową z politowaniem (być może litował się nad samym sobą).

— Raczej ciemne — rzucił któryś z czasobójców, lecz Barman spiorunował go wzrokiem.

— I trujące jak formaldehyd, to chciałeś powiedzieć? — rzucił w jego stronę Tim. — Pijmy szybciej, bo się ściemnia, jak w tym dowcipie...

Barmanowi zwężyły się oczy.

— Sugerujesz coś, Craig?

— Niczego nie sugeruję. Domyślam się, czegoś mi nalał, Wergiliuszu.

Barman drgnął, słysząc to imię.

— Gdy barman jest twym Wergiliuszem — podjął Tim powoli, wpatrzony w światło załamujące się na krawędzi szklanki. — sprzeda za srebro twoją duszę, przyjaźń utopi w złej doktrynie, czekając aż twa sława zginie...

Barman nie wytrzymał; spuścił wzrok.

— A może wolisz to? — drażył Tim. — Gdy barman jest twym Wergiliuszem, piekiel czekają cię katusze, bo z nieba spadłeś, a z nim kroczysz — na dół, przymknąwszy martwe oczy... No, dość tej grafomanii — przerwał, a Barman znów drgnął. — Na lepszą frazę nie zasługujesz. Najwyżej na wierszyk o siódmym kręgu piekła, dokąd trafiają zdrajcy.

— A samobójcy? — spytał znajomy głos.

— Dorian... — Tim nawet nie odwrócił się w jego stronę. — Ty naprawdę chciałeś mnie wtedy napaść...

— Nie wtrącaj się, Mortes — nakazał Lunar kelnerowi, więc Craig nie usłyszał odpowiedzi.

— Byłem ślepy, Fred — wycelował palcem w Barmana. — To jednak nie powód, by mnie oślepić fizycznie...

— Prostacka dosłowność, przyjacielu — odciął się Barman. — Spójrz na to z innej strony. Daję ci szansę wzniosłej śmierci. Tak umierał Sokrates...

— Kurwa, o czym my rozmawiamy?! — wybuchnął w Craigu detektyw. Craig w detektywie przysnął na moment. — Leżycie na talerzu, mam dowody, jesteście rozpracowani...

Czasobójcy milczeli. Tim widział ich kątem oka, dostrzegał smugi czerni w lustrze.

— Byliście prymitywni jak mechanizm bomby zegarowej — podsumował z sarkazmem w głosie. *Nomem omen* — dodał w myślach.

Chwilę później, jak za wypowiedzianym zaklęciem, rozległa się muzyka.

* * *

Szła na najbliższą pocztę, mijając zardzewiałe trzepaki, gdy zaczęło padać. Przed urzędem stała nieczynna fontanna zbierająca pył. Teraz deszcz padał na nią, jakby w ironicznym dialogu nieba z ziemią.

Fontanna i deszcz.

Lotta schowała kremową kopertę do torebki.

Tuż przed drzwiami poczuła nagłą senność. Nawet się na chwilę zatrzymała.

W środku, jak na złość, kolejka.

Staneła za staruszkami ściskającymi rachunki jak róże. Pomyślała, że mogła zdecydować się na sztucznego gołębia, ponieważ tak ważny list powinien być nadany w szczególnej formie.

Wyjęła kopertę. Deszcz zabębnił mocniej o szyby.

* * *

Skądś płynęła muzyka. Tim nie był pewien czy z głośników, czy tylko z jego pamięci. Smyczki narastały łagodnie, budując nastrój uroczystego smutku. Znał ten utwór. Choć bardzo dawno go nie słyszał.

Teraz wejdzie wokal...

I rzeczywiście — ciepły aksamitny głos:

what can you say?

a million ways to stay the same,

day after day,

a million ways to pass the blame

you catch me and hold me

*no more fountains, only rain.**

Tylko deszcz... Czuł się całkowicie zdefiniowany przez te słowa. Jakby Bóg wypowiadał jego prawdziwe imię: Ten–który–godzi–się–z–losem.

Barman wycelował w Craiga pistolet.

— Pokaż klasę, Tim. Możesz mieć niezwykłą śmierć. Nie zmuszaj mnie, bym strzelił.

Ale Craig go nie słuchał. Był zamknięty we własnej ciszy. Podniósł szklankę.

— Pij, Tim — głos zza rozedrganej muzyki. — Ten świat nigdy nie był dla ciebie...

* * *

Kolejka przesuwiała się powoli. Lotta była senna i zniecierpliwiona. *To przez ten deszcz...* Wskazówka pocztowego zegara okrążała tarczę z niezmordowaną regularnością. Panna Monte kolejny raz sprawdziła kopertę. Przypomniła jej się temat pewnej pracy magisterskiej z zakresu kryminalistyki: „Topografia adresów kopertowych jako metoda identyfikacji sprawcy”.

Ten, do którego słała list, z pewnością zidentyfikuje jej pismo. Znał topografię jej duszy, teraz miał poznać topografię jej ciała.

Była wdzięczna Timowi, że wziął na siebie ciężar napisania listu.

* * *

Czasobójcy gapili się na kontemplującego szklankę Craiga, kibicując jego wewnętrznym zmaganiom. Muzyka płynęła cicho, z płyty lub z jego duszy. Słowa pieśni wypełniały detektywa niczym rozgrzeszenie.

Nie bał się konfrontacji z największą z tajemnic. W jednym Fred Lunar miał rację: ten świat nie był wart, by w nim zostać. *No more fountains, only rain...*

Palce Tima zacisnęły się mocniej na szklance.

* * *

Trzej mężczyźni o jasnych włosach i niebiańsko niebieskich oczach siedzieli na ulicznej latarni sto metrów od „Pętli”. Krople deszczu przenikały przez nich jak przez powietrze.

— Zmaga się... — stwierdził jeden, otwierając oczy. — Szkoda, że nie można mu pomóc...

— Jego wybór, Arielu — odparł drugi. — Poza tym ma swojego stróża. Nie wchodźmy w jego kompetencje...

— Chyba się zdecydował...

- Nie, nadal się waha.
- Myślę, że możemy skorzystać z klauzuli wyższej konieczności...
- Zasada ograniczonej ingerencji jest w końcu elastyczna...
- Chyba się rozumiemy. Szefie, słuchasz nas?

Anielski dowódca ani drgnął.

— Szefie?

— Dobra, mam zgodę — usłyszeli żołnierze. — W końcu istnieje coś takiego jak Opatrzność. A zaniechanie bywa grzechem. Facet ma czyste sumienie...

To mówiąc, formował wraz ze swoimi aniołami szyk bitewny.

— Kierunek „Pętla”.

Po chwili siedzieli na dachu baru.

* * *

— Proszę jeden znaczek na list miejscowy — zagadnęła Lotta do okienka. — Jakiś ładniejszy. Tak, ten z aniołem może być...

Kasjerka odebrała drobne. Panna Monte podeszła do stolika, by w spokoju nakleić znaczek.

Była zdenerwowana. W końcu wysyłała najważniejszy list w życiu.

Z podniecenia trzęsły się jej dłonie. Polizała znaczek, odganiając nieprzyzwoite myśli. *Boże, wszystko mi się kojarzy...* Czuła się jak nastolatka przed pierwszą randką.

Podeszła do skrzynki i chuchnęła w kopertę. Na szczęście.

* * *

Tykają niewidzialne zegary.

— No, poeto — ponagla Barman — twoja godzina wybiła.

Przy reklamie Amodos–whisky wisi reprodukcja znanego rysunku Goi *Kiedy rozum śpi, budzą się demony*. Tim pokazuje go palcem.

— Zastanawiam się, co w tobie zasnęło, Fred. Rozum czy sumienie? I dochodzę do wniosku, że jedno i drugie.

Żegnając się z doczesnością, można wiele zrozumieć. Można zwątpić albo odzyskać wiarę. Pogodzić się z losem albo trwać w pogardzie. Pokochać lub znienawidzić. Można też czuć to wszystko jednocześnie.

No more fountains, only rain...

Przechylając szklanę, Tim zrozumiał, że życie jest tylko cytatem; i że śmierć wyrywa je z kontekstu.

* * *

- Na zwycięstwo Upadłych — przeklął Ariel. — Wypił...
- Za mała perswazja, za mała perswazja — szalał z rozpaczy dowódca. — Trzeba będzie...
- Fizycznie??! To już złamanie regulaminu...
- Dostałem zgodę.
- Na atak?!
- Nie wprost, ale... To zależy od interpretacji...
- Jurysta się znalazł...

Pośrodku zwizualizował się smutny anioł z dystynkcją osobistego *daimoniona*.

— A ten co tu robi?

— To jego anioł–stróż.

— Jak tyś go pilnował, jak tyś go pilnował... — naskoczył na przybysza dowódca. Stróż milczał.

Modlił się, załamując ręce i zanosząc inkantację: *Sanctus, sanctus, sanctus...*

— Zostaw go, szefie. Zaraz nastąpi konfrontacja...

Dowódca uczynił znak, łamiąc pieczęć nieingerencji. Święte komando wkraczało do gry.

* * *

Craig odskoczył od baru, rozepchnął najbliższych czasobójców. Oddychał ciężko, zataczając się po sali. Trucizna paliła jak ogień, choć w smaku nie różniła się od zwykłego spirytusu. Widział drwinę na twarzach sekciarzy, widział znudzony i pełen pogardy wzrok Barmana, widział śmierć. Jeszcze nie oślepl. Jak szalony manekin rzucił się z pięściami na Mortesa–Doriana, kładąc chłopaka jednym ciosem w szczękę. Chwycił krzesło i rzucił w grupę akolitów.

— Brać go! — krzyknął Barman.

Rzucili się chmarą, —ryzykując siniakami i połamaniem nosów (Tim wciąż walił pięściami na oślepl). Po chwili zdołali go unieruchomić.

— Otwórzcie mu pysk... — Fred Lunar zbliżał się z karafką pełną metanolu. Pochylał się nad Craigiem leniwie, jakby w zwolnionym tempie. A może to czas rozciągał się przed śmiercią w odczuciu Tima?

— No, poeto — na zdrowie!

To mówiąc, wlewał detektywowi do gardła resztę trucizny.

Po kilku minutach Craig przestał się ruszać.

* * *

Lotta pisnęła, kalecząc się w palec o niedoklejony brzeg koperty. Wzdłuż kciuka popłynęła krew.

— *Niedobrze mi* — myśli dziewczyna, siadając pod skrzynką na listy. Wszystko kołysze się sennie.

Gapie z kolejki okazują przeciętne zainteresowanie.

— Co pani jest?

— Może w ciąży?

Wąż ugryzł własny ogon.

* * *

Poza wymiarami, w otchłani. Bez kierunków, wysp, portów. Wspomnienia rozsadzają umysł. W przestrzeni...

Tim wiruje jak kołowrotek, pędząc ku źrenicy pełnej mrocznych treści. Rozpacz, daremność, martwota i skowyt — zbliżają się do Craiga z bezwonną koniecznością. Czarna dziura w czerni, studnia śmierci, jamochłon światła. Bo źrenica jest w istocie żarłoczną paszczą, otworem gębowym prowadzącym do układu pokarmowego Piekła. Potępieni podlegają nieustannemu trawieniu i wydalaniu, stając się nawozem własnego cierpienia...

Czarny wiatr niesie Tima w ofierze Władcy Much.

Nie...

Brzeg źrenicy — czarne i lepkie usta. Craig zaczyna zsuwać się do przelęku...

* * *

— Słyszałeś?! — policjant dyżurny Komendy Miejskiej krzyczy przez otwarte drzwi do szefa Brygady Interwencyjnej. Urządzenie głośnomówiące przekazało słowa dzwoniącego mężczyzny do kilku pomieszczeń.

— Brzmiało wiarygodnie.

— Namiary dokładne...

— Blisko. No i facet zostawił swój numer...

— Dobra, trzeba sprawdzić — szef Brygady schodzi do garaży — Wołaj chłopaków!

Po trzech minutach wjeżdżają na sygnale na ulice Amodos. Wystawiony lokal jest dwa kilometry od Komendy...

— Dobra, dziewczyna w letargu, policja poinformowana — podsumowywał Leriash. — Teraz połączymy ich w zaświatach. Ona jest dla niego największą nadzieją...

Enroel i Ariel poprosili o głos. Znów bali się dowódcy.

— Mówcie...

— Będą próbować zatrzeć ślady... Policja może nic nie znaleźć. Poza tym nie mają nakazu przeszukania. Mogą ich wystrzelać tylko w obronie własnej.

— Trzeba skłonić czasobójców, by zadziałali nieracjonalnie. Niech zaatakują gliniarzy... — planował Leriash.

— Są zbyt cwani. Jak ich znam, będą udawać niewiniątka...

— A może by tak...

— Słucham, Enroelu?

Anioł spuścił wzrok i powiedział cicho:

— Można na nich wpłynąć poprzez ich aniołów–stróżów.

— To byłaby korupcja — zauważył Ariel. — Za to grozi wydalenie z Armii. Poza tym stróż nie może działać na szkodę...

— Ale ich *daimoniony* nie mają nic do gadania! — próbował bronić swego stanowiska Enroel.

— Stracili jakikolwiek wpływ na ich sumienia.

— Poczekajcie — przerwał Leriash. — Muszę to sprawdzić.

Czekali w napięciu. Po chwili Leriash skończył sprawdzać Księgę Zasad. Ocknął się z odrętwienia i powiedział dobitnie:

— Jest precedens!

— A jednak?

— Stróż może zadziałać na szkodę swego podopiecznego — relacjonował Leriash — jeżeli spełnione są dwa warunki: jeśli ma on nieczyste sumienie i nie rokuje szans na nawrócenie, oraz jeżeli ma to pomóc ocalić życie komuś z czystą duszą...

— A więc do dzieła! — podsumował dowódca.

W pośpiechu otwierali kanały komunikacji z *daimonionami* czasobójców.

* * *

— No i po kłopotcie — Barman odchodzi znad ciała Tima w stronę kontuaru.

Czekali kilka minut, oglądając agonię Craiga. Gdy przestał dawać znaki życia, Fred Lunar odetchnął z ulgą.

— Znieście ciało do piwnicy — nakazał. — Drzwi są otwarte...

Czasobójcy pochylili się nad detektywem niczym chmara kruków.

— Dla pewności strzeliłbym mu w łeb — zaproponował Dorian–Mortes, zerkając na Barmana.

— Zamknij się.

— Ale...

— Cicho, do cholery! — krzyknął Barman, nasłuchując.

Zza ściany dobiegł pisk opon i dźwięk policyjnej syreny.

* * *

Craig wpada do piekielnego przełyku. Zaraz zacznie rozpuszczać się w czerni. Nagle jakaś siła zaczyna wydobywać go na powierzchnię. Ponad sobą — jakby spoglądał w górę wąskiej studni — dostrzega płonący krąg. Tęczówka zielono–złota, blask oczu Lotty...

* * *

— Dalej, do piwnicy! — ryczy Fred Lunar, zapalając światła i włączając muzykę. — Ciało przykryć kartonami!

Czasobójcy znikają w zakamarkach baru niczym kule bilardowe w kieszeniach stołu.

— A reszta udaje klientów... — Barman nie traci zimnej krwi. Nie widzi, jak jeden z sekciarzy uchyla okno i wyciąga broń. Dwaj pozostali robią to samo...

Ktoś strzela? Co za dureń!

Barman chce wylać resztkę metanolu do zlewu, jednak potyka się i karafka koziółkuje w stronę drzwi, które dokładnie w tym samym momencie wylatują wyważone.

— Nie ruszać się, policja!

Craig balansuje na granicy światów. Słyszczyć tykanie zegara i odgłos uderzeń serca.

Czas rozciąga się niczym nitka złota. Przestrzeń drży w posadach, jakby Bóg wnikał pomiędzy przyczynę a skutek. Z włókien tęczy wynurzają się przedmioty: dziecięcy rower, stare łóżko, mosiężny dzwonek, martwa ćma, kwitnąca gałąź drzewa... Pamięć Tima przelewa się do złotozielonego blasku — i otrzymuje w zamian zmartwychwstanie. Komunia oczu — światło zwycięża mrok.

Tim unosi nieważkie powieki i widzi cheruba z wagą w jednej i klepsydrą w drugiej dłoni. Na palcach wskazujących anioł ma pierścienie w kształcie węża gryzącego swój ogon. Jeden jest szerniały i przygaszony, drugi pulsuje intensywną czerwienią.

— Ludzie nie są władcami absolutnymi czasu, dlatego nie mogą zabijać go w dowolny sposób. Ilekroć to robią, ranią wieczność. Zapominają, że ziemskie bytowanie należy postrzegać *sub specie aeternitatis*...

Cherubin zdjął czarny pierścień i rzucił w migoczące konstelacje. Na nieboskłonie rozpostarł się olbrzymi wąż.

— Czasami trzeba zabić swój czas, by móc zacząć od nowa. Nikt jednak nie ma prawa zabijać czasu, jaki pozostał innym.

To mówiąc, anioł zdjął z palca drugi pierścień i rzucił nim jak kamieniem w rozpostartego na nieboskłonie gada.

— Teraz patrz.

Tim widzi agonálne misterium.

Wąż Uroboros syczy z bólu, drga w konwulsjach, puszcza własny ogon i niczym fontanna rozsiewa krople krwi po niebie. Czerwone gwiazdy... Gdy schną — zmieniają się w ziarna piasku i znikają w ciemności, by napełnić komorę klepsydry, co przesypała się zbyt wcześnie...

Jest coraz jaśniej.

* * *

I coraz ciemniej...

Fred Lunar usiłuje krzyczeć, rozpuszczając się w sokach żołądkowych Piekła, lecz jego rozpacz jest niewyraźna. Uwolniony z materii strzałem w głowę, zniewolony brudem własnej duszy, stracił wszystko prócz wspomnień...

Pamięć cofa się, Barman odwiedza zbłąkane dzieciństwo, czerń wlewa mu się do gardła niczym spazm szlochu.

— Zostawili cię bez środków do życia — mówi łagodnie stara kobieta. — Opuścili w potrzebie. Nie taką matkę i ojca mieć powinienes. Oj, nie...

Chłopiec siedzi za stołem. Na staroświeckiej serwecie plama herbaty, którą przed chwilą wylał sobie na lewą dłoń. Bąble pod bandażem pieką nieznośnie.

— Wszystko przekazali na walkę z narkomanią — mruczy staruszka z opieki społecznej. — Nawet polisy na życie... A spadku prawie żadnego — same długi...

Chłopiec niewiele rozumie, rzadko widywał rodziców–narkomanów. Ale zapamięta tę lekcję: bramą do bogactwa jest cudza śmierć. Miał przecież odziedziczyć taki majątek...

— Prawie o tobie zapomnieli. A mogłeś mieć taki sam start w życie, jak wszyscy...

Już prawie nie ma Barmana, są tylko strzępy wspomnień niemowlęcych i prenatalnych. Dźwięki, obrazy, zapachy...

Już tylko czerń.

17. Powrót do domu

Trzej posłańcy opuszczali mieszkanie w starej kamienicy.

Po skończeniu misji wracali do sefirycznego fortu. Odblokowali czas; w martwej przestrzeni ruszyły procesy fizyczno–chemiczne. Rano dozorca znajdzie trupa staruszki i zawiadomi rodzinę.

— Jak dziewczyna?

— Szybko się ocknęła.

— No to chyba wszystko dobrze się skończyło...

— Nie w naszym przypadku. Czeką nas postępowanie dyscyplinarne...

Dowódca przesyłał raport do zwierzchnika jednostki.

Ava, Adore. Zastosowane środki ingerencji w świat doczesny: zamrożenie obszaru kamienicy i utworzenie przyczółka, telefon na policję, wprowadzenie Charlotty Monte w stan letargu, by skonfrontować ją z Timothy'm Craigiem w zaświatach, skłonienie stróżów czasobójców do działania na niekorzyść podopiecznych, w celu doprowadzenia do starcia z oddziałem interwencyjnym...

Każdy ślad Opatrzności musiał być zarejestrowany w Księdze Prowidencji.

Lerish zwołał oddział, nakazując uformowanie szyku powrotnego. Zmówili krótką modlitwę. Następnie bez zbędnych ceremonii wynieśli się poza czas i przestrzeń. Czeką ich rutynowe wniebowstąpienie.

18. List

Wokół szpitalnego łóżka w salce odwykowej szpitala pod wezwaniem św. Błażeja stali członkowie FOZ-u. Na krzeselku przy wezglowiu Tima siedziała Lotta. Detektyw powoli wracał do siebie.

— Najzabawniejsze, że alkohol w jakimś sensie uratował mu życie — zauważył Paul Sharpson. — Zatrucie metanolem, lecz się podając choremu etanol...

— Stąd wniosek, że zawsze należy go mieć przy sobie — zażartował Thaed.

— Ten barman to jednak sukinsyn — zauważył von Heart. — Podać kumpłowi szklanę z metylem...

Nikt nie znał okoliczności wypicia przez Tima śmiertelnego drinka. Wszyscy myśleli, że spożył truciznę przez pomyłkę. Ani razu nie pojawiła się wersja wymuszonego samobójstwa. Craig nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu...

— Przestańcie — wtrąciła panna Monte. — Na pewno nie chce tego wspominać...

Jej dłoń trzymała kurczowo nadgarstek Craiga.

— To może schować gazety? — zaproponował Long Chris.

— Już je przeczytał...

Na stoliku leżały dzienniki donoszące o rozpracowaniu przez prywatnego detektywa groźnej sekty wyłudzającej odszkodowania. Tuż przed wizytą Tima w „Pętli” policja otrzymała telefon z informacją o czasobójcach. Mężczyzna podający się za detektywa prosił o natychmiastową interwencję w lokalu.

Craig nie pamiętał, by dzwonił na policję. Był wręcz pewien, że tego nie robił. Nie zaprzeczał jednak tej wersji.

Brygada wtargnęła do baru, napotykać zbrojny opór. Zginęło pięciu członków sekty, resztę zatrzymano. Prokuratura wszczęła śledztwo, opierając się w części na materiałach zgromadzonych przez Craiga. Okazało się, że na trop czasobójców trafiła również policja. Czynności przygotowawcze zostały rozpoczęte, gdy we krwi niedoszłego samobójcy znaleziono halucynogenną substancję. Obecnie trwały przesłuchania.

Do salki wpadł Mathew Tumor.

— Niczego nie ma pod tym adresem — pomachał kartką z logiem *Miejskiej agendy do spraw zwalczania tanatofilii i autodestrukcji*. Tim prosił o skontaktowanie się ze zleceniodawcą po tym, jak numer telefonu nie odpowiadał. — Żadnej tabliczki, nul! To stara kamienica. Pod siódemką mieszkała jakaś staruszka, pięć dni temu zmarła.

— No to nie będzie komu wystawić rachunku... — westchnął Craig, coraz mniej rozumiejąc z całej sprawy (kto w takim razie wysłał faks?).

— Niech miasto ci zapłaci, w końcu wykryłeś sektę — radziła Lotta.

— To nie takie proste...

Kończyła się pora odwiedzin. Kumple pożegnali się, została panna Monte.

— Na mnie też już pora...

Siedzieli chwilę w ciszy, trzymając się za ręce.

To okrutne — myślał Tim. — *Zwykła przyjacielska troska ze strony kobiety, którą kocham.*

Zaiste, nieludzka komedia...

— Prosiłeś, bym sprawdziła skrzynkę — Lotta sięgnęła do torebki, skąd wydobyła plik kopert. — Kluczyk wkładam do szuflady. Będę jutro. Myślę, że powinieneś zacząć od tego — uśmiechnęła się, podając Timowi kremową przesyłkę.

— Co to?

— Zobaczysz, bohaterze — pocałowała go w policzek. — Do zobaczenia.

I wyszła.

W salce zrobiło się dziwnie pusto. Craig obejrzał kopertę. Wysłana w dniu jego klinicznej śmierci. Gdy otworzył, ujrzał widokówkę zapisaną okrągłym pismem Lotty: *Wybacz grę, Tim. Mam nadzieję, że się nie obrazisz. Jeżeli chcesz wiedzieć, co o Tobie myślę, przeczytaj list. PS. Nie było nikogo innego, wszystko zmyśliłam...*

Tim zdębiał. W kopercie była rzeczywiście jeszcze jedna kartka. *Zaraz, zaraz, czy to aby nie?...*

Po przeczytaniu pierwszego zdania znał już treść listu. Sam go napisał, choć teraz był jego adresatem.

— Lotta... — szeptał, czując wypełniający go wschód słońca.

Za oknem zapadał zmierzch.

Wrocław, 31 VIII 2002 r.

Jacek Dukaj

Córka łupieżcy

*This city is an ogre squatting by the river
It gives life but it takes It away, my youth
There comes a time when you just cannot deliver
This is a fact. This is a stone cold truth. (...)
Amongst the cogs and the wires, my youth
Vanilla breath and handsome apes with girlish eyes
Dreams that roam between truth and untruth
Memories that become monstrous lies
So onward! And Onward! And Onward
I go! Onward! And Upward!*

Nick Cave „Do You Love Me? Part II”

Potem przypomni sobie, że знаła to miasto — ze snów. Jego światła i cienie, nie do pomylenia z żadnymi innymi, kształty jego budynków, wzniesionych przed początkiem czasu, chrzęst pyłu pod nogami, gdy stąpa jego ulicą; nawet zapach powietrza. Niektóre widoki wywoływały szczególnie silny rezonans. Czy nie spoglądała już kiedyś z tego miejsca, nie zadzierała tak głowy? Pod Kruczą Basztą; na Moście Zawróconych; między Dwuścianami. Tu. Tam. Stojąc, siedząc, klęcząc, leżąc. Z oczyma szeroko rozwartymi i ustami niedomkniętymi, naprzeciw trzem słońcom, pięciu księżycom, równinom purpurowym, lodowym cmentarzom, dymom wulkanów, zorzom czarnym — i tym bezimiennym metropoliom starożytnym, ku którym Miasto bezustannie lgnie. Lgnie, przyplęwa, wtula się tęsknie, chyli ciało — zniedołężeniec ku objęciom dziecka. Zapomniał także własnego imienia. Pamięć ginie pierwsza i te szczątki, jakie pozostają, intencjonalne konfiguracje materii... kóż rozszyfruje? Nazywają ich archeologami, lecz w rzeczywistości są budowniczymi przeszłości, artystami tajemnic. Zuzanna starannie skonstruowała własną: te sny — tak się odbijają wspomnienia z najgłębszego dzieciństwa, gdy ojciec zabierał był ją w sekrecie na nocne wycieczki do Miasta. Czarnobrody grubas z małą dziewczynką na ramionach — wędrowali tymi alejami, pokazywał jej, nierozumiejącej, posągi nie ludzkie i domy hermetyczne, zakazane pisma, niewidzialne malunki, straszne krajobrazy wszechświata. Jest już pewna, że tak było, być musiało, sny ostatecznym dowodem. Najbardziej zdradziecka ze wszystkich — archeologia pamięci.

Nieczułość. Z sejfów głębokich.

Spojrzała ponad grobem.

Zuzanna Klajn skończyła osiemnaście lat. W dzień swoich urodzin dostała od krewnych i znajomych liczne prezenty, wszakże te trzy, które zapamięta najlepiej, otrzymała przed urodzinami i pochodziły one od osób, które już lub jeszcze nie żyły: ojca, prababki i Maleny.

Malena została poczęta, lecz miała przyjść na świat dopiero w październiku. Tymczasem Zuzanna zaprzyjaźniła się z nią serdecznie. Z maszyny chtonicznej, w której się krystalizowała, lśniła się Malena Zuzannie co wieczór oraz niektórymi porankami i w porze lunchu. Zazwyczaj plotkowały bezcelowo albo też opowiadała Zuzanna nienarodzonej kuzynce o swoich kłopotach; z jakiegoś powodu radości zdawały się jej bardziej intymne. Malena dobrze się czuła w świetle cieni i trochę się lękała nieuchronnego ucieleśnienia.

— Coś ostrego na podłodze. Albo jak się potknę; zawsze mogę się potknąć, prawda? Spaść skądś. Gdybym wychyliła się przez tę balustradę, przez wodę... Przecież nic by mnie nie uratowało.

— Ale dlaczego miałabyś się tak wychylać? Musiałabyś jeszcze zejść po spadzie i dopiero skoczyć.

— Ale mogłabym, prawda? Mogłabym. A wtedy — ciało.

Na spółkę z bliźniakami Ludo Zuzanna wynajmowała wąski apartament na czterdziestym czwartym piętrze Wodnej Wieży w elfiej dzielnicy Krakowa. Krakowskie Wodne Wieże wzniesiono przy samej jej granicy, za pasem bujnej zieleni; wiatry były tu bardzo silne, zwłaszcza po reklimatytacji, niekiedy całkowicie zrywały wodne ściany, stożkowe wysokościowce wyglądały wówczas niczym drzewca deszczowych sztandarów, rosa spadała nawet kilometr dalej. Wracając do domu na piechotę, rzadko docierała Zuzanna do wodospadu bramy całkiem sucha — ale na tym między innymi polegała kulturowa specyfika Wież i takie przyzwyczajenia wymuszała elfia dzielnica.

— Co: ciało? Teraz to niby nie zależy od materii? Malena wydeła wargi, z obrażoną miną przechodząc na drugi koniec tarasu, gdzie wskoczyła na kroniczny stolik i zaczęła na nim stepować do rytmu wodospadu.

Zuzanna lśniła ją już dobre dwie godziny, zaczynała boleć ją głowa.

— Każdy się rodzi — mruknęła, gasząc papierosa.

— Daj sobie z tym spokój, jeszcze wypracujesz całą obsesję i będzie trzeba cię leczyć z niemowlęcej soma — fobii.

— Ty to serca nie masz! — krzyknęła Malena i wskoczyła na balustradę. Wodna ściana spadła po przed — urodzonej kaskadami, momentalnie przemaczając sukienkę i ciągnąc w tył, nad spad i przepaść. — Egoistka! Może i jestem głupie dziecko, ale ty nawet nie próbujesz się wczuć. Co z tego, że sama urodziłaś się na pusto? Odrobinę empatii...! Racja logiczna nie zwalnia od współczucia. O!

— Czy ty wiesz, o której ja dzisiaj wstałam? I kto tu mówi o współczuciu?

Malena machała rękoma, w zapamiętaniu aż wystawiając poza zęby wilgotny język.

— W ciele bym nigdy... — mruczała, utrzymując równowagę na mokrej poręczy, gdy stopy przesuwały się centymetr za centymetrem. — Po co mi ciało...

Z wnętrza mieszkania dobiegły Zuzannę głosy bliźniaków, wołały ją na kolację.

Malena obróciła się i przemaszerowała po balustradzie ku Zuzannie.

— Mięśnie by mi drżały — wyliczała pod nosem — błędnik oszukiwał, pociałbym się ze strachu...

— Przede wszystkim w ogóle nie przysłoby ci do głowy tu włączyć! — warknęła Zuzanna i zepchnęła Malenę poza wodną ścianę. Kichając głośno, zakończyła Isen.

Przez kilka kolejnych dni Malena dąsała się ostentacyjnie. Wreszcie, ponieważ i tak zbliżały się urodziny Zuzanny, przyłśniła się jej w nocy odpowiednio gniewna i obrażona i wepchnęła w dłoń obwinięty czarnym akrylem prezent.

— Masz! Wszystkiego najlepszego!

Zuzanna, w tym śnie-lśnie zupełnie rozkojarzona i bez świadomości snu, przyjęła prezent w leniwym zdumieniu, nawet nie podziękowawszy. Potrząsnęła podarunkiem; nic nie zagrzechotało. Posiadał kształt owalnego pudełka. Zaczęła go rozpakowywać, lecz tymczasem sen wszedł w inną fazę i na resztę nocy zapomniała o prezencie.

Kiedy jednak rano lśniła pod prysznicem uaktualniony harmonogram dnia przysłany z Licz sp. z o. o., zauważyła pudełko na półce obok mydła. Sięgnęła mokrą dłonią. Ledwo dotknęła, wyłśnił się cały podręcznik użytkownika. Słuchała wycierając się i czesząc. Ten prezent to był symulator prekonceptyjny, już zasadzony w wykupionej przez Malenę odpowiedniej maszynie chtonicznej. Zuzanna wiedziała, że rodzice dają Malenie jakieś e-pieniądze, to jednak nie był mały wydatek — co prawda nieporównanie mniejszy od zakupu faktycznej krystalizacji sieci logicznej przekładalnej na fizjologię ludzkiego mózgu, ale jednak wielokrotnie większy niż nabycie którejs z owych Isennych lalek adaptatywnych, „Barbie Generacji T”. Taka symulacja, jak wyjaśniano w podręczniku, „z zewnątrz” była nieodróżnialna od prawdziwego przedurodzonego; różnice sprowadzały się do uproszczeń technologicznych: symulacji nie można odbić w mózgu płodu, ale można na niej testować różne warianty osobowościowe, póki nie zdecydujemy, jakie właściwie dziecko chcemy skryształizować — potem dokonuje się kilkietapowej translacji, w trakcie której zginie między innymi pamięć; podczas gdy prawdziwi przedurodzeni pamiętają wszystko i ciągłość jest zachowana na wszystkich poziomach.

Intencja, z jaką Malena obdarowała Zuzannę symulacją prekonceptyjną, była dość łatwa do odczytania. Nie po raz pierwszy spotykały Klajn oskarżenia o nieczułość. Słowa były różne — „obojętna”, „zimna”, „oderwana od rzeczywistości”, „zapatrzona w siebie”, „mizantropka” — ale sens jednaki. Uczciwie musiała przyznać, że nigdy nie należała do osób najłatwiej nawiązujących znajomości i zawsze był między nią a ludźmi, między nią a światem — jakiś dodatkowy dystans, którego nie dostrzegała u innych, coś ją od nich oddzielało, musiała się świadomie zdobywać na jeden wysiłek więcej. Być może u mężczyzny nie rzucaloby się to tak w oczy; bo trudno wskazać kobietę, która nie posiadałaby przynajmniej jednej „bliskiej przyjaciółki”. Natomiast Zuzanna nie czuła się do końca członkiem żadnej grupy, ani częścią żadnego związku, nawet w jej stosunku do Kamila było pewne chłodne wyrachowanie: ta nieustępująca świadomość, iż normalni ludzie tak właśnie się zachowują, normalni ludzie się zakochują i żyją razem — więc i ona powinna, prawda?

Ubierając się do pracy, Klajn zastanawiała się, czy w ogóle uruchomić symulację; czy po prostu nie odsprzedać tego prezentu, jakkolwiek niegrzeczne byłoby to wobec obdarowującej. Bo takich rzeczy nie da się potem po prostu „wyłączyć”, chcąc nie chcąc człowiek się przywiązuje, buduje

sieci emocjonalne, życie jest życie — dobrze wiedziała. Obracając to wszystko w głowie, zajrzała jeszcze do sypialni bliźniaków, by, jak co dzień, obudzić ich na czas do pracy. W nocy spletała się z błękitną pościelą, tak, że trudno było rzec, do kogo należy która kończyna. Zuzanna szarpnęła za wszystkie nogi po kolei. Zaspane dwunastolatki wynurzyły się z błękitu, przeklinając Zuzannę — jak co dzień.

W Licz panowała atmosfera obłączenia, po Podziemnym Świecie musiała przejść kolejna fala panicznych przeczuć, pośmiertni przerzucali kapitał w niespodziewane inwestycje albo też doradzali takie ruchy swoim nieumarłym oryginałom lub potomkom, w każdym razie od gęstych lsnow oczu zachodziły maklerom różową krwią. Bóstwa chtoniczne zawiadywały już pośrednio lub bezpośrednio blisko jedną dwudziestą globalnej gospodarki, a to stanowiło wpływ bardzo znaczący, zwłaszcza w Azji, gdzie od lat wszyscy mandaryni partyjni i generałowie — miliarderzy żyli w Cieniu. Jeśli można w ogóle nazywać to życiem, bo Zuzanna nadal miała wątpliwości. Podczas pierwszej przerwy papierosowej bawiła się machinalnie lsennym pudełkiem od Maleny, wciąż niezdecydowana. Zaczęło się powoli rozmywać pod jej palcami. Zbyt dużo lsnu, skontatowała, libaryt wypłukuje mi się już z krwi, trzeba dać sobie w żyłę.

Prezent od ojca przyszedł pocztą elektroniczną. Nadawcą była brukselska kancelaria notarialna. Że Zuzanna została zaskoczona, to mało powiedziane. Ojciec był mitologiczną bestią jej dzieciństwa, nie myślała o nim inaczej, jak w kategoriach legendy, a i to jedynie w skojarzeniu z jakąś rodzinną historią, nigdy spontanicznie. A tu nagle: wychodzi z ekranu, siada na biurku, drapie się po pokrytej czarnym zarostem brodzie.

— A więc nie żyję — rzecze. — Jeśli nie jestem martwy, to w każdym razie nie jestem też żywy; przynajmniej dla ciebie. Taak. Nie wiem, czy mnie w ogóle pamiętasz, Zuz. To ja, tato. — Uśmiecha się niepewnie, mruga łobuzersko. — Pamiętasz? Nagrywam to na dzień przed twoimi trzecimi urodzinami. Pewne wydarzenia... Twoja matka miała rację, ja nigdy nie dorosnę. Masz teraz osiemnaście lat. Jesteś pewnie bardziej odpowiedzialna ode mnie. A może nie? Mam nadzieję, że... Widzisz ten klucz? Odbierzesz kartę z nim w Drugim Włoskim w Rotterdamie na podstawie swojego DNA. To mój prywatny klucz, przepisałem na niego wszystkie nieosobowe uprawnienia. Zgłoś się potem do krakowskiej filii Abominado; kancelaria Lipszyca poinformuje cię o procedurach spadkowych i tym podobnych... Boże, tak naprawdę to chciałbym cię teraz zobaczyć. Jak wyglądasz? Porozmawiać z tobą. Jak się śmiejesz? Uśmiechnij się raz dla mnie, dobrze? Byłaś takim kochanym dzieckiem... No, już, wyłączam się. Trzymaj się, Zuz. Zbój *is out*.

Obejrzała to chyba dziesięć razy. Nawet Mateusz ze stanowiska obok zwrócił uwagę.

— Kto to? — spytał.

— Mój ojciec.

— Skąd dzwonił?

— Nie żyje.

— O!

— Od lat.

— Ach.

— No właśnie.

Dwa papierosy później nadal nie wiedziała, co o tym sądzić. Sprawdziła szyfry pocztowe nadawcy, ale wszystko się zgadzało, plik przyszedł od brukselskiego notariusza. Wierzyła, chociaż nie wierzyła — ten mężczyzna, mrugający do niej z projekcji... Więc naprawdę miała ojca! Lecz trudno powiedzieć, żeby nią to przesłanie zza grobu wstrząsnęło, zdenerwowało czy choćby wzruszyło — dziecinnie zdumiona, siedziała i robiła dziwne miny do swego odbicia na

wyblankowanym ekranie.

Czy on istotnie mówił był do niej „Zuz”? Czy w ogóle posiada jakiegokolwiek wspomnienia o swoim ojcu, czy też są to tylko wspomnienia wyobrażeń o nim, zrodzonych z opowieści matki i krewnych? Cóż, teraz to już tak czy owak nie do rozstrzygnięcia.

Sprawdziła rozkład poślizgówek do Rotterdamu. Drugi Bank Italii był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc czas nie stanowił problemu — zdążyłaby obrócić po pracy tam i z powrotem. Jeśli już cokolwiek, to niepokoił ją raczej fakt, że zgłaszając się tam po klucz, wypełniałaby ślepo plan owego człowieka — Jana Klajn — jej ojca — o którym nie wiedziała nic.

Cóż niby mogłoby jej grozić w związku z przejściem prywatnego klucza zmarłego rodzica? Daje się tu porwać filmowej paranoi; powinna się rozczulać nad rodzinnymi fotografiami, nie zaś dociekać ukrytych motywów nieboszczyka. A jednak — niepokój.

W drodze do domu przelśniła się ciotce Mariannie. Na ostatnich kroplach libarytu połączenie było słabe, płaskie, nie czuła faktury foteli samochodu, którym jechała ciotka, zapach jej perfum też był ledwo wyczuwalny; słyszała jednak wyraźnie.

— Testament, naprawdę? W Brukseli? A to by się zgadzało, tam przecież wtedy pracował.

— Ale dlaczego on w ogóle coś takiego nagrał? Spodziewał się? Musiał się spodziewać. A przecież to był wypadek, prawda?

— Mhm, no, niezupełnie.

Ciotka Marianna obróciła się ku Zuzannie, podwijając prawą nogę i opierając się o drzwi samochodu. Wóz sunął po obwodnicy, niskie słońce rozlewało się po spolaryzowanych szybach czerwonymi akwalerami. Ciotka patrzyła gdzieś ponad ramieniem Zuzanny, palcami o długich, seledynowych paznokciach rozczesując sobie spływające na ramię włosy.

— Teraz mi wyjawisz straszną tajemnicę rodzinną — mruknęła Zuzanna.

— Och, nic takiego — zaśmiała się ciotka; nadal jednak nie patrzyła dziewczynie w oczy. — Po prostu...

No chyba cię okłamałyśmy. To znaczy — nie świadomie. Rozumiesz, byłaś mała, ile, cztery latka? Daje się wówczas odpowiedzi najprostsze, innych dzieci zwyczajnie nie rozumieją.

— Rozumieją.

— Wiesz, o co mi chodzi! — zirytowała się ciotka i wreszcie spojrzała na Zuzannę. — Normalne dzieci. W każdym razie wtedy nie rozumiały. No więc powiedzieliśmy, że miał wypadek; a potem widać nigdy tego nie odkręciła. A to jest prawda. To znaczy — tak jest w papierach, takie mu świadectwo zgonu wystawili: wypadek.

— A naprawdę?

— Naprawdę — nie wiadomo. Nie znaleziono ciała.

— Co właściwie się stało?

Marianna wzruszyła ramionami. Seledynowe paznokcie powędrowały ku wygiętym grymaśnie wargom, gdy zastanawiała się nad słowami.

— Nie wrócił z badań polowych. Czy jakoś tak. Pewnie wykopaliska. Szukali go; bez rezultatu.

— Zaginął więc. Gdzie?

Ponowne wzruszenie ramion.

— Nie wiesz? — zdumiała się Zuzanna.

— Twoja matka prowadziła przez lata prawną batalię... Powinnaś znaleźć w jej plikach. Nawet nie wiem, czy uzyskała jakieś konkretne odpowiedzi. On zjeździł pół świata, czasami dzwonił z miejsc, których nazwy nawet wymówić się nie dało, co dopiero zapamiętać i... Hej, gdzie uciekasz...?

Wbiegła do Wodnej Wieży z odchyłoną wstecz głową, zaciskając palcami nozdrza. Krwotok poplamiał bluzkę. Powinna była być mądrzejsza, nie można lśnić na sucho. Przejście przez wodną kurtynę nieco ją otrzeźwiło (wiał halny i trójkątny spad głównej bramy nie rozdzielał ściany sztucznego deszczu).

Z bliźniaków był w domu tylko Bartek, siedział w salonie nad jakimiś papierami, nawet nie uniósł głowy. Poszła prosto do siebie.

Dwa pokoje: sypialnia i biblioteka, która była biblioteką jedynie z nazwy, w istocie bardziej przypominała magazyn, stały tu kartony z rzeczami ze starego mieszkania, do których rozpakowania nie mogła się Zuzanna zmusić od przeprowadzki po śmierci matki. Żadna trauma, nic podobnego; po prostu odruchowo ustawiła je w stosach pod ścianą, najpierw odkładając sprawę do czasu skończenia studiów, potem — — do znalezienia pracy, a teraz mówiła sobie, że przeprowadzi selekcję, gdy będzie się przenieść do swojego mieszkania, już wpłaciła pierwszą ratę. Była leniwa, ot i całe powikłanie psychologiczne. Zmiana zazwyczaj przegrywała u niej ze *status quo* — i stąd też, przypuszczała, brało się jej zaniepokojenie listem ojca z za grobu. Po co rewidować pamięć już uleżaną, choćby i fałszywą? — teraz i tak nie ma to przecież znaczenia. A śwędzi i piecze, i nie pozwala przestać myśleć.

Przysiadłszy na łóżku wstrzeliła sobie w żyłę nabój wysokotrombocytowego libarytu. Potrwa, zanim odpowiednio rozejdzie się w organizmie. ART do Rotterdamu miała o dwudziestą dwanaście, akurat czas, żeby coś przełknąć i przebrać się stosownie. Może w elfi garnitur...? Kosztował ją całe dwie pierwsze pensje, często go nosiła bez oficjalnej okazji, choćby na spotkania z klientami Licz; zabierała ze sobą na wszystkie wyjazdy, usprawiedliwiona próżność to nie wada. Bardzo się sobie w nim podobała: wyglądała wówczas prawie jak gwiazda biznesu czy polityki, kroniczny materiał pozostawał zawsze nieskazitelnie biały, zawsze idealnie się dopasowywał do figury, nieomal wyprzedzając życzenia i nastroje; no i ten dotyk, bardziej miękki od jedwabiu — elfie ubrania wdziawa się na gołe ciało. Jak dziewczynka pierwszy raz dostrzegająca w sobie przedmiot pożądania i eksperymentująca z formami kobiecości — przeglądała się teraz w nadržwiowym lustrze, śnieżna biel marynarki kontrastująca z trwale opaloną skórą, kształt dekoltu zależny od sposobu zapięcia haftek, czarne włosy spuścić na plecy, czy upiąć wysoko...? Odwracając się od szafy, zahaczyła wzrokiem o czarną paczkę od Maleny. Bez zastanowienia sięgnęła i szarpnięciem otworzyła pudełko. W środku, oczywiście, nie było niczego. Mamrocząc pod nosem, wyrzuciła je do śmieci.

Podreptała do kuchni nastawić robota. Gdy stała nad ekranem siemensowego *all-cooka*, niezdecydowana między mięsną pizzą a Bardzo Zdrową Zieleniną — w lekkim mrowieniu podniebienia i opuszków palców opadł ją lsen. Oczekiwała na nią rozmowa z adresu chtonicznego. Odebrała na sztywnej lokacji. Ktoś zapukał w uchylone drzwi kuchni.

— Wejść! — krzyknęła przez ramię, zatwierdzając syntezę pizzy.

Kobieta objęła ją od tyłu, całując w policzek.

— Wszystkiego najlepszego, kochanie. Wymanicurowane, długie palce spoczęły lekko na obojczyku — poznała ją po pierścieniach. Obrączka, rubin, srebrny węzeł... biżuteria dziewiętnastowieczna. Izabella, babka ojca, przepisała się w Cień w wieku stu trzech lat; odtąd nie opuszczała czterdziestego roku życia.

— Iza! Nie odzywałaś się ostatnio!

Uścisnęły się mocno. Izabella odsunęła prawnuczkę na odległość wyciągniętych ramion.

— Rzeczywiście, zbyt długo chyba; prawie cię nie poznałam.

— Co właściwie zabiera ci tyle czasu? Myślałby kto, że po śmierci człowiek może nareszcie

odpocząć.

Izabella zaśmiała się gardłowo.

— Wystarczająco naodpoczywałam za życia!

Przy kuchennym stole wymieniały ostatnie nowiny. Zuzanna wrzuciła do pralki poplamioną bluzkę. Pizzę jadła za pomocą sztućców, krojąc ciasto na drobniutkie kawałki. Babka opowiadała gestykulując dłonią z papierosem, pierścienie traciły blask za zasłoną sinego dymu. Gdy usłyszała o testamencie swego wnuka, tylko uniosła brew.

Zuzanna coraz częściej popatrywała na zegarek. W obecności Izabelli zadzwoniła po taksówkę. Gdy podniosła się, by wstawić talerz do zmywarki, prababka wstała również.

— No, bo jeszcze się przeze mnie spóźnisz. Powinnam częściej zaglądać... Niechże cię ucałuję! Ach, zapomniałabym, a potem nie będę mieć czasu — proszę, baw się dobrze.

— Co to jest?

— Ipsar, ipsator. Dostaniesz z jutrzejszą pocztą. No to pa.

Był to, oczywiście, pierścień. Gdy zjeżdżając windą do taksówki wyszła ze lsnu, rozmył się razem z resztą; nie była teraz w nastroju do zabawy gadżetami, w jakich lubowała się pośmiertna prababka.

W pustym przedziale poślizgówki włśniła się ponownie. Chciała się od razu zabrać za pliki archiwalne matki (one też leżały w kącie jej serwera w nie ruszanych od dawna katalogach, nie miała ochoty ich w ogóle otwierać i z początku rozważała nawet wykasowanie *en masse*, ale rozsunęły się drzwi i na fotel naprzeciw Zuzanny wskoczyła dziesięcioletnia dziewczynka. Zuzanna może i wzięłaby ją za część świata materii, gdyby nie fakt, że dziewczynka, zachowując wszystkie proporcje ciała dziesięciolatki, miała nie więcej niż trzydzieści centymetrów wzrostu.

— Cześć! — pisnęła radośnie, usadowiwszy się na skórzanym siedzeniu. Błękitna sukienka sięgała jej kolan, chuderlawe łydki nosiły ślady zadrapań i strupów po obtłuczeniach. Machała energicznie bosymi stopkami, które oczywiście nie sięgały podłogi.

— Niech zgadnę — westchnęła Zuzanna — to ty jesteś tą symulką.

Dziewczynka pokiwała głową.

— Ula — przedstawiła się.

— Miło mi — mruknęła Zuzanna, pochylając się, by delikatnie ująć w swoją dłoń rączkę Uli — ale czy nie mogłabyś na razie dać mi spokój? Wywołam cię, gdy tylko będę miała czas, i wtedy się pobawimy, okay?

— Mam sobie pójść? — nadąsała się mała.

— Prześpij się może, co?

— Ale mi się nie chce spać!

Zuzanna już wyjęła telefon i połączyła się z oesem swojej hierarchii.

— Zdejmij mi tę symulację pre-K, dobra?

— Okay, zamknięta ścieżka. Wywołanie na auto czy ręcznie?

— Ja nie chcę żadnej zamkniętej ścieżki, ja chcę to wyłączyć na paręnaście godzin.

— Nie da się, proszę pani, to idzie w czasie chtonicznym, możemy jedynie zamknąć łącze — będzie szło dalej, tylko że bez manifestacji. Program ewolucyjny, żywy *software* na żywym *hardware*. Nie należało uruchamiać, jeśli...

— Stop. Zamknięta ścieżka. — Już.

Ula pokazała Zuzannie język, zeskoczyła z fotela, potknęła się i, kuśtykając, wybiegła z przedziału.

Kilkadziesiąt minut spokoju. Wylśnione dokumenty z archiwum matki spiętrzyły się na szerokich

fotelach w trzech stertach, czym prędzej je związała, by się nie rozsypały podczas hamowań, gdy ART będzie schodzić pod barierę dźwięku. W pierwszej stercie zsortowano papiery dotyczące operacji prawnych i finansowych matki, bez specjalistycznych doradców nie szło cokolwiek z tego zrozumieć. Znalazła, co prawda, podsumowanie sporządzone przez izbę skarbową przy okazji orzeczenia podatku spadkowego (to znaczy jego braku, majątek państwa Klajn nie był w świetle ustawy żadnym majątkiem), ale o losie Jana Klajna nie wspomiano ani słowem — polisy na życie nie posiadał.

Druga część dokumentów związana była z pracą matki w Mościckim, W stercie trzeciej i ostatniej zgromadzono resztę papierów, i tu Zuzanna znalazła gruby plik starej korespondencji między matką i jej prawnikami a Instytutem Wenera i jego prawnikami. Sprawdziła daty. Od pierwszego do ostatniego listu minęło ponad trzy lata. Zaczęła od końca. Kancelaria informowała o wyczerpaniu wszelkich dostępnych prawnych narzędzi oraz możliwości nacisku; nic więcej o losie Jana Klajna nie uda się dowiedzieć. Zuzanna cofnęła się o kilka listów, by sprawdzić, czego właściwie się dowiedzieli. Jedyne źródło informacji stanowił Departament Badań i Eksploracji Instytutu Wenera, gdzie zatrudniony był w momencie zaginięcia Jan, na dokumentach podpisywał się głównie niejaki doktor Johann de Greu, sygnowała je dyrektor Instytutu, Zelle F. Suiche.

„Z żalem informujemy, iż pan Jan Klajn nie powrócił w przewidywanym czasie z ostatniej ekspedycji. Intensywnie prowadzone przez kolejne dwa miesiące poszukiwania nie dały rezultatu. Tym samym zostaje on uznany za zaginionego. Wynikające z tego konsekwencje opisuje punkt piąty umowy.

Kopię umowy skrupulatnie dołączono. Trzykrotnie przeczytała ów punkt, nie mogąc uwierzyć własnym oczom — przecież coś takiego jest jawnie sprzeczne z prawem UE: całkowita tajność plus zrzeczenie się wszelkiej odpowiedzialności przez Instytut. Co, u licha, od kiedy to podobne placówki naukowe mają procedury asekuracyjne ściślejsze od spółek *software'owych*? Myślałby kto, że firmy archeologiczne notowane są na giełdach...!

W Rotterdamie padało. Wybudziła się do reszty ze łsu, nocnego nieba nie przesłaniało jej nic prócz ciężkich chmur, światła rozmywały się w deszczowych smugach. Pod srebrnym parasolem, nieświadomie licząc stuknięcia swych obcasów o kamienne płyty, pomaszerowała do taksówki. Usiadłszy na miejscu kierowcy, patrzyła na migające za szybą miasto, ale myślami pozostawała wciąż przy kontrakcie ojca. On naprawdę brzmiał podejrzanie. Ze wszystkich możliwych uczuć — to, które ją teraz powoli opanowywało, było najbardziej dziecinne: ekscytacja, iż oto trafiła na Tajemnicę Rodzinną, sekret śmierci ojca, bardziej wyobrażanego niż pamiętanego, w aurze starych grobów, przeklętych skarbów i egzotycznych krain; i że dopiero ona rozwiąże tę Zagadkę... Trochę Daphne du Maurier, a trochę „Indiana Jones”. Zuzanna, uśmiechała się na to ironicznie do swego odbicia w szybie taksówki — ironia nie tłumila jednak podniecenia, rozumowa argumentacja nie zgasi dreszczy na skórze.

Drugi Bank Włoch mieścił się w renesansowym kościele. Złożywszy parasol w jasno oświetlonym holu, zapaliła papierosa. Garnitur wypacał nocną wilgoć drobnymi kroplami, skrzącymi się diamentowo w sterylnym blasku bankowych lamp. Wydmuchując dym, uniosła głowę i zapatrzyła się na długą chwilę na ciemny fresk — stworzenie świata czy inna panorama monumentalnego cudu. Zgasiwszy peta, weszła do środka.

Okazało się, że jest o tej porze jedynym klientem. Kierownik nocnej zmiany zaprowadził ją do bocznego gabinetu, zapadła się w trzeszczącą skórę wysokiego fotela. Uprzedziła ich telefonicznie kilka godzin wcześniej i wszystko było gotowe. Sekwenser protokolarny miał kształt eleganckiej szkatułki z brązu i hebanu, Zuzanna musiała się pochylić ku szerokiemu biurku. Gdy wkładała dłoń do

ciemnego wnętrza, przypomniała się jej scena z „Diuny”. Ale oczywiście nic nie poczuła; sonda musiała wejść głęboko, to nie był jakiś tandetny identyfikator naskórkowy — lecz wpięrow zaaplikowała mocny anestetyk. Bankier przyglądał się procedurze z wystudiowaną obojętnością, za którą była mu bardzo wdzięczna. Podświadomie czuła się jak na jakimś teście, egzaminie o niepewnym rezultacie — może zda, może nie zda. Uczucie było irracjonalne, jest przecież Zuzanną Klajn: znała swój DNA i DNA rodziców, nie mogło być wątpliwości — a jednak gdy Holender ogłosił pozytywny wynik identyfikacji, odetchnęła z ulgą.

— Ta karta — rzekł wręczyszy jej kroniczny prostokąt — jest jedną z serii sześciu, we wszystkich żyje ten sam szyfr. My go urodziliśmy, lecz zapewniam panią, że nie posiadamy kopii. Z definicji kopiowanie jest niemożliwe. Proszę być bardzo ostrożną, ona jest nie do odtworzenia.

Zakładając, że jedną dysponował ojciec, daje to cztery sejfy zamknięte bliźniaczymi szyframi; sejfy albo inne miejsca warunkowego dostępu, materialne lub niematerialne. Delikatnie przesunęła opuszkami palców po chropowatej powierzchni karty, jakby istotnie spodziewając się wyczuć pod skórą ciepłe pulsowanie kryptożycia.

— Czy pan Klajn zostawił jakieś...

Bankier pokręcił głową.

— Obsługiwaliśmy jego rachunki bieżące, gdy pracował w IW, ale, jak widzę, to były małe sumy, średnia salariatu. Dopiero tuż przed tym...

— Co: tuż przed tym? Wstał do pożegnania.

— Proszę przyjść z pełnomocnictwami. Ucałował jej dłoń i odprowadził do wyjścia. Nadal padało. Zanim otworzyła parasol, wahała się, gdzie schować kartę; w końcu wsunęła ją do kieszeni marynarki.

W drodze na dworzec włśniła się, by sprawdzić godziny pracy krakowskiego Abominado — od razu dosiadła się Malena.

— Gdzie ty wojażujesz? I to o tej porze? — Wyjrzała na deszczowy Rotterdam nocy i neonów.

— Oj, nosi cię, nosi.

— Rodzinny sekret. W życiu nie uwierzysz.

— W życiu pewnie nie... A Ula?

— Co ty, monitorujesz mnie?

— Tobie dać prezent...!

— Czekaj, mam tu drugi wyłączny, nie pójdę schizo dla twojej wygody.

Drugi Isen był eksportowany, nad Brazylią dopiero co zaszło słońce, spotkała się z Kamilem w cieniu asymetrycznej architektury postniemeyerowskiej.

— Pomyślałem, że przynajmniej ucieszę cię dobrą wiadomością na urodziny — rzekł, nie wypuszczając Zuzanny z uścisku. — Za trzy tygodnie powinienem już być z powrotem.

Złapała go za nos, wykręciła, aż się skrzywił.

— Najpierw miesiąc się nie odzywa, teraz dzwoni w środku nocy.

— Au! Nie śpisz przecież, sprawdziłem.

— Dżentelmen.

Chciał ją pocałować, ale się wywinęła.

— Jeszcze się wyćwiczę w asertywności.

— Dla mnie jesteś asertywna jak trza.

— Zobaczysz.

Usiedli na ławce pod nieczynną fontanną. Kamil pogryzał słoneczną marchewkę.

— Już się powoli uspokaja — mówił. — Kabaliści weszli do slumsów, głos Watykanu wszystko

zmienił, teraz to idzie po dziesięć tysięcy dziennie, takiego Mexico City nie poznałabyś w ogóle. Ale co ja ci tu będę demograficzne bajki... Co u ciebie?

Złapała się na tym, że, opowiadając mu, spłaszcza i trywializuje fakty, jakby uprzedzając spodziewane Kamilowe szyderstwa i uśmieški niedowierzania. W efekcie właściwie go okłamała: ot, spadek po ojcu i przedśmiertny list AV.

Chciała się zdrzemnąć w powrotnym poślizgowcu, lecz zupełnie już przeskoczyła swój cykl dobowy i teraz tylko podierała rękoma ciężką głowę, z zaciśniętymi wargami gapiąc się w czarne okno, za którym bezgłośnym strumieniem płynęła wstecz nocna Europa. Zuzanna sięgnęła po kryptokartę, ale pomyliła kieszenie i trafiła na Isenny pierścień ipsatora. Niewiele myśląc, wsunęła go na palec. Gęsty Isen zakłębił się w przedziale.

Wielce rozgałęziona rodzina gadżetów ipsacyjnych początek swój brała z prymitywnych implantów masturbacyjnych, które zasadały się jeszcze na technice inwazyjnego drażnienia ośrodków przyjemności w mózgu. Rychło wyewoluowało to w specjalistyczne trenażery behawioralne, wiążące fizjologiczny bodziec dodatni z wykonaniem jakiejś powtarzalnej czynności (lub jej zaniechaniem); rzadziej programowano analogiczne bodźce ujemne. Psychologiczne podstawy owych rozwiązań leżały nie tyle w teoriach Pawłowa, co jeszcze w Arystotelesowskiej koncepcji natury ludzkiej: zacznij konsekwentnie zachowywać się jak człowiek odważny — udawać odwagę — a w końcu staniesz się odważnym; zachowuj się jak tchórz, a zmienisz się w tchórza także w głębi swego serca. Przed wdrożeniem technologii Kabały Genowej i WHO-wskich programów immunizacyjnej translacji DNA, podobnych Kamilowemu, szczególnie popularne były ipsatory odchudzające oraz antynikotynowe, warunkujące mózgi użytkowników do czerpania rozmaitych przyjemności z powstrzymywania się od jedzenia czy palenia. Potem owe zagrożenia zblakły i zastosowania stały się bardziej subtelne. Oczywiście nadal spotykało się hasasynów, płynących przez życie na falach ciągłych orgazmów, a w każdym razie nie schodzących z endorfinowego haju — często plątał się im język, bełkotali niewyraźnie, gubiąc spółgłoski, albo w ogóle nic nie mówili, pewni, że najpełniej komunikują się ze światem za pomocą swego żabiego uśmiechu. Zuzanna przeszła była przez tę fazę, jak chyba każdy; i, jak większość, wyszła z niej z pamięcią potwornego, zgoła metafizycznego zmęczenia pustym szczęściem organizmu.

W czym ipsator Izabelli różnił się od innych? Hasło kampanii reklamowej modelu Angelus brzmiało: **ABY STAĆ SIĘ LEPSZYM CZŁOWIEKIEM**. Na ogólnoswiatowy rynek miał wejść dopiero za parę tygodni. Zuzanna lśniła materiały promocyjne.

— Jeśli istnieje w ogóle jakaś wspólna religia ludzkości — mówił, wykupiony w tym celu od spadkobierców jego wizerunku, Martin Luther King — to zasada się ona na tym przekonaniu, że wszyscy ludzie, może za wyjątkiem nielicznych przypadków patologicznych, wszyscy ludzie w głębi duszy pragną być lepszymi niż są. Tęsknią do piękniejszego, doskonalszego wyobrażenia samych siebie. Gdyby mogli się dowolnie wybierać, nie wybraliby do zaistnienia takich, jakimi się postrzegają; dobrze wiedzą, co w nich jest złego, dobrze wiedzą, jak powinni postępować, w nocy, na dwa oddechy przed zaśnięciem, mają pod powiekami anielski obraz samego siebie. Dlaczego zatem są, jacy są, dlaczego żyjemy w świecie, w jakim żyjemy? Bo zmiany natychmiastowe nie są możliwe; bo każda zmiana kosztuje i na drodze do doskonałości wiele jest łatwiejszych do osiągnięcia, prostszych satysfakcji. Gdyby była to kwestia jednorazowej deklaracji, któż nie podpisałby się pod przysięgą: „będę uczciwy, będę szlachetny, będę odważny”? Niezależnie od tego, co dokładnie pod owymi słowami rozumie — jakiś obraz ideału w sobie przecież nosi. Ipsator Angelus — tu King zaprezentował logo produktu — umożliwia dokonanie właśnie takiej jednorazowej, natychmiastowej decyzji. Nie znaczy to, że zmieni cię on z miejsca w ideał — ale że

po tej decyzji będziesz miała przy sobie anioła stróża, który ani na moment nie zapomni o docelowym obrazie ciebie, jaki mu na początku przedstawiłaś, i będzie cię prowadził, dzień pod dniem, delikatnymi nagrodami i karami, wbrew twoim chwilowym słabościom i żądom, namiętnościom i pokusom, ku temu, czego naprawdę pragniesz. Za każdym razem, gdy postąpisz krok bliżej, będziesz czuła, że czynisz dobrze; wkrótce twój mózg nauczy się tej ścieżki szczęścia. Nie ma w tym bynajmniej żadnego zniewolenia, nie staniesz się przez to mniej ludzka: w każdej chwili możesz podjąć decyzję odrzucenia ipsatora i rezygnacji z ideałów — jeśli tego naprawdę chcesz. I sama musisz również wykonać pierwszy ruch, twoja jest wola i wybór: aby zakupić Angelusa firmy Giessen–Kyota, zaledwie czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć euro.

Wszystko pięknie, pastorze King — pomyślała Zuzanna — ale co, jeśli większość ludzi, a w każdym razie większość tych, na których ta reklama zadziała, wyobraża się sobie wcale nie aniołami, lecz jakimiś komiksowymi herosami popkultury, niekoniecznie od razu złymi, a po prostu: bardziej bezwzględny w interesach, łatwiej kłamiącymi, nie rumieniącymi się w towarzystwie, uwodzicielsko bezczelnymi — takie drobne przewagi dla *Homo societus* — co wtedy? I jakie będą z kolei ich ideały, tych kronicznych aniołów Generacji T?

Angelus powinien już czekać na nią, gdy wróci do domu; program wszakże — to znaczy docelowe wyobrażenie siebie, Zuzannę Klajn *in optimo* — mogła zaprojektować już teraz. W nastroju, w jakim się znajdowała, w tym gorączkowym rozdrażnieniu między ekscytacją a rosnącym powoli, nieukierunkowanym gniewem — nie potrafiła jednak przywołać żadnego konkretnego obrazu siebie. Lecz Angelus posiadał w firmowej bazie bogaty zbiór domyślnych wektorów zmiany. Przeglądała symboliczne opisy: Rycerz, Książę, Tao, Sędzia, Pielgrzym, Trzcina, Opiekun, Błazen, Krzyżowiec, Szkoło, Aptekarz, Zdobywca... Przed Wrocławiem, drogą mozolnej eliminacji, zawęziła wybór do Skorpiona, Księcia i Ateny. Niezdecydowana, poszła ścieżką najmniejszego oporu i złożyła wszystkie trzy w wypadkową, którą sama nie wiedziała, jak nazwać. Angelus zapisał ją w pustym rejestrze jako Wektor 1.

Kraków przed świtem zdawał się jej zawsze najspokojniejszym miastem na świecie, chłód ciemnych kamieni i chropowatych murów udziela się tu samotnym przechodniom, rozprężone powietrze przewodzi dźwięki z odległych dzielnic duchów, na języku krystalizuje się brudna sól miasta... Poszła pieszo, noc ją otrzeźwiła.

Malena tańczyła wokół niej na wilgotnym bruku.

— Albo tak: znalazł skarb, ale dopadła go konkurencja, a tyle, ile zdołał wcześniej wydostać, zostawił tobie. Po piętnastu latach nikt się nie dowie. Osiemnastka, bo wtedy taka była prawna granica dorosłości. Co? Nie?

Na Rynku złapał Zuzannę wschód słońca; samo słońce trzymało głowę nisko, za budynkami, lecz chmurne niebo w przeciągu kilku minut nabiegło wiśniowym sokiem, zaróżowiło się powietrze i rumieńce wyszły na kamienie. Zuzanna jeszcze bardziej zwolniła, w równoległym lśnię niezagnieżdżonym rozmawiając z programem sekretaryjnym kancelarii Lipszyca.

— A może żyje — paplała Malena. — Może wcale nie umarł. Przecież mówisz, że nie wiesz. Zaginął, nie? No więc może on to wszystko zaaranżował.

— Piętnaście lat temu.

— Nie, nie. Teraz — skoro żyje. Żeby się z tobą spotkać.

— A co mu broni?

— Ooo, a bo to nie wiesz — tylko czekają, żeby się ujawnił.

— Niby kto czeka?

Malena teatralnie ściszyła głos.

— Oni.

— Zdecydowanie powinnaś się już urodzić.

Abominado, Pierwsza Kasa Chtoniczna, nie wznosił swych siedzib w świecie śmiertelników. Wyszedłszy z cienia Kościoła Mariackiego, Zuzanna zadzwoniła na 00-ABOMINADO i spod powierzchni Rynku wystrzeliła karkołomna architektura banku Cienia. Korona spiralnej wieży zwieńczyła lsenną budowlę ponad trzysta metrów nad ziemią. Widziała drobne figurki ludzi wychylających się przez ażurowe blanki. Konstrukcja zwykła się zmieniać zgodnie z cyklami lunarnym i solarnym (pośmiertni są bardzo przesądni, sfery niebieskie i tajemne numerologie ciemnych matematyk rządzą Podziemnym Światem). Zuzanna odwiedziła już kiedyś Abominado pod znakiem Wagi i był to wówczas labirynt prostopadłych kratownic, w niczym nie podobny do barokowych kopuł, pod jakie wchodziła teraz. Wieża jednak — wieża stoi tu zawsze.

Abominado Building był lsenną wielokrotnego zagnieżdżenia: nie dość, że lśnił się równolegle w tysiącach miejsc na Ziemi, zazwyczaj na dobrze znanych, historycznych placach i ulicach, wszędzie taki sam — a z wieży mogłeś obejrzeć ów kalejdoskop krajobrazów — to dopuszczał zarazem połączenia zewnętrzne. Kogo mianowicie Zuzanna na owej wieży widziała? Sama mogłaby się tam włsnąć — ale ojciec wyraźnie mówił o placówce krakowskiej, co mogło oznaczać tylko jedno: depozyt materialny, tutaj właśnie złożony.

Abominado rozciągał się na pół Rynku oraz na część ulic odeń odchodzących, aż do Plant. W płytkim półlsniu Zuzanna weszła przez główny portal pod kopułę szkarłatu. Malena zaraz gdzieś się zgubiła w świetlistych salach, dla niej zapewne bardziej rzeczywistych od Sukiennic — chociaż to przecież też był tylko cień Cienia, wirtualna manifestacja życia chtonicznego.

Odźwierny przywitał Zuzannę przy wejściu na Szewską. Zuzanna pokazała kryptokartę. Poprowadził ją do kamienicy, której piwnice należały do Abominado — lsenny bank był czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę, we wszystkich miejscach i strefach czasowych naraz, lecz do zasobów materialnych klienci posiadali dostęp tylko w określonych lokacjach o określonych porach. Co prawda, materia zajmowała się Pierwsza Kasa Chtoniczna akurat najmniej — i być może z racji tego oderwania od świata żywych wybrał ja. Jan Klajn; jej czas płynął inaczej.

Na owym poziomie lsnu Zuzanna minęła więcej porannych przechodniów — czyli czworo — niż innych klientów; żebrak pod murem, stara zakonnica z psem, dwie dziewczynki palące papierosy pod markizą nieczynnej jeszcze kawiarni. Klienci bowiem lśnili się wprost ze swych domów, nie zstępowali na ziemię, dla nich były wysokie komnaty Abominado, dla nich była Wieża Miliona Horyzontów. Przewodnik kiwał palcem zachęcająco; przez ten czas zdążył zmienić postać trzykrotnie, teraz na powrót miał dłonie i palce. Zuzanna była jeszcze z tych, co się w podobnych sytuacjach zastanawiają: program? człowiek? przedżywy, pośmiertny? a może coś pomiędzy? Ale dla takich bliźniaków Ludo nie posiadają już owe kwestie najmniejszego znaczenia.

Zeszła do piwnicy. Przez muślinową zasłonę lsnu widziała kamienne ściany i strażnika za pancerną taflą; w Abominado natomiast otwierał się przed nią skarbiec Tysiąca i Jednej Nocy. Czarnoskóry džinn zmaterializował się po lewicy, na dłoni miał bliźniaczą kryptokartę. Zetknęli je czytnikami. Niebieska flara ogłosiła zgodność stanów wewnętrznych. Otworzyły się żelazne wrota, weszła. Para impów zapalała olejne lampy. Mimowolnie objęła piersi ramionami, chłód wisiał w powietrzu i we lśnię. Dżinn położył na kamiennym stole skrzynkę depozytową, po czym obrócił się w dym. Drgnęła, gdy wrota huknęły, domykając się za jej plecami.

No i czyż nie jest to moment telewizyjnego romantyzmu? Nikt nie patrzy — a jednak. Splunęła, nim uniosła wieko. W kątach komnaty pełgały złowieszcze cienie, przeganiały je refleksy od lsennych złocen szkatuły. Kicz, moja panno, kicz.

Nie zadrżała jej dłoń. Szybka inwentaryzacja, zanim uderzą skojarzenia. Bizuteria w plastikowym woreczku; gruby plik euro; pistolet; zafoliowana mapa; czarne pudełeczko, a w środku grudki ziemi; memo-chip. Tyle.

Oczywiście pistolet zwyciężył, najpierw na nim zacisnęła palce — zimna kolba, zimna lufa, chropowaty, kanciasty metal. Uniosła, dziwiąc się ciężarowi broni. Stara, dwudziestowieczna maszyna, zero elektroniki. Pachniał stalą i oliwą. Czy jest naładowany? Nie potrafiła uwolnić magazynka, ani przeładować.

Następnie pieniądze. Przeliczyła. Dwanaście tysięcy. Wziąć? schować? Schowała z powrotem.

Mapa — arkusz A4, zaklejony w błękitnawej folii — zawierała czarno — biały szkic okolicy z krętą drogą (lub rzeką) i kilkoma geometrycznymi obiektami (budynkami). Nie posiadał skali, ani żadnego opisu, ani nie był nijak zorientowany względem stron świata. Samotna strzałka wskazywała punkt przy jednej ze ścian czworoboku.

Ziemię powąchała — nic nie poczuła — i zaraz odłożyła. Pewnie jakaś pamiątka ojca.

Memochip powędrował do kieszeni.

Na koniec — bizuteria. Gdy wyjęła ją z woreczka, okazało się, że to pojedynczy naszyjnik. Od razu spostrzegła różnicę między łańcuszkiem a samym klejnotem: łańcuszek to była prosta i mocna dżdżownica ogniwo nierdzewnej stali, ojciec zapewne kupił go po drodze w Sukiennicach; klejnot natomiast... Uniosła go na wysokość oczu. Rozhuśtany, obracał się w te i we w te, do środka i na zewnątrz, i na nice. Nie był to żaden mechanizm, o ile dobrze widziała, lecz składał się z wielu, misternie ze sobą splecionych, ruchomych części, które reagowały na najdrobniejsze zakłócenie równowagi, i tak zaczynał się rytmiczny, wahadłowy ruch w tuzinie kierunków naraz: elementy w kształcie łyzy, elementy w kształcie elipsy, haka, litery T, litery S, elementy teleskopowe... A cały klejnot nie był przecież wiele większy od kciuka Zuzanny. Czekwała, aż się uspokoi i potrząsała na nowo. Zamierał w coraz to innych formach, wirujące astrolabium bieli, szarości i czerni. Dotknęła ostrożnie opuszką palca. Ciepły plastik — tak w każdym razie czuła skóra.

Rzuciła go na plik banknotów, ale zamykając szkatułę, zawahała się i przełożyła go do kieszeni marynarki, razem z mapą. Kiedy wszakże oczekiwała na otwarcie żelaznych wrót, dłoń ponownie zakradła się do kieszeni i odnalazła klejnot między fałdami folii. Bawiła się nim machinalnie, wychodząc na ulicę. Jaskrawe słońce obudziło ją z zamyślenia i w pierwszym odruchu, w reakcji równie zwierzęcej co zmruczenie powiek — wyciągnęła i założyła naszyjnik, szybkim gestem odgarniając włosy i wpuszczając w dekolt obracający się nerwowo konstrukt. Zamarł, spoczawszy między piersiami. Spojrzała na swe odbicie w sklepowej witrynie. Kroniczna biel kryła klejnot, jedynie łańcuszek błyskał słonecznymi refleksami.

W ogóle słońce zalewało ulicę, poranny upał przedwczesnego lata zagęszczał powietrze, oddychało się trudniej, chodziło się wolniej. Nie zdawała sobie sprawy, że tyle czasu spędziła w Abominado. Teraz, zirytowana, machając ręką rozpędziła ostatnie opary Isnu. W tramwaju prawie zasnęła, było tak ciepło, że ciało zasypiało wbrew umysłowi, przemocą przełamywała bezruch. Nawet wodna kurtyna elfiej wieży nie przyniosła zwykłego otrzeźwienia. Zuzanna, padła na łóżko, ledwo przekroczyła próg sypialni i zrzuciła z siebie garnitur.

Ocknęła się wieczorem, bliźniacy kłócili się o coś w salonie. Był piątek i nie miała żadnych zobowiązań, mogła poleniuchować. Wcześniej planowała zajrzeć do kancelarii Lipszyca, ale okazało się, że w weekend jest zamknięta. Podreptała do łazienki. Dopiero biorąc prysznic, zorientowała się, że wciąż nie zdjęła naszyjnika. Ale czemu woda miałaby mu zaszkodzić? Podniosła go pod strumieniem ukropu. Klejnot obracał się, zmieniał formę.

W lśnię CNN trafiła akurat na materiał rocznicowy o wojnie w Wietnamie i widok wojskowego

cmentarza wzbudził niespodziewane skojarzenia. A właściwie dlaczego nie? — pomyślała, przeżuując kanapkę. Dlaczego nie?

Na parapet kuchennego okna wdrapała się Ula.

— Dasz mi trochę? — spytała, wyciągając szyję ku stołowi.

Zuzanna przewróciła oczyma.

— Czy ja nie wydałam polecenia... Ech. Poszła po telefon, zostawiony gdzieś w sypialni.

— Dlaczego ją otworzyliście? — syczała na dialoganta oesu. — Czy ja muszę za każdym razem wyłączać ją z poziomu systemu? O co tu chodzi?

— Interakcja z właścicielem jest jej podstawową funkcją, proszę pani. Albo będzie się rozwijać, albo ją zabijemy. Ponieważ nie lśni pani tak często...

— Sposoby na obejście. Słucham.

— A co pani chce obejść? Bo może faktycznie wyczyścimy ten klaster maszyny i pozbędzie się pani problemu.

— A mniej radykalnie?

— Zatrzymać, nie zatrzymamy, ona żyje w czasie chtonicznym. Ale proszę o konkrety, bo nie rozumiem, czego właściwie pani sobie życzy. Wyrzucić ją na stałe poza pani lsen? Przejąć bezpośredni zarząd? Skasować, nie kasując?

— A nie można wszystko naraz?

Podczas gdy dialogant, nałożywszy się na *Help* programu symulacji prekoncepcyjnej, opowiadał jej przez lsen o opcji Chowaniec i różnicach między przedurodzonymi chtonicznymi i przedurodzonymi korteksowymi, Zuzanna wdziała sweter i dzinsy, zbiegła na parter i wybrała z wypożyczalni Wieży kroniczny e-rower. Kiedyś jeździła codziennie, ścigali się z Kamilem po starych obwodnicach Krakowa, szpanerskie rowery świeciły fioletowym ogniem, gdy przekraczali sześćdziesiątkę, raz osiągnęła nawet jadowitą purpurę, myślała wtedy, że się zabije, kometa zgniłej czerwieni pędząca w dół szosy... ale zmądrzała, już nie robi takich rzeczy.

Ojciec spoczywał na Cmentarzu Anioła przy drodze do Wieliczki. Był to jeden z tych nowych cmentarzy, zaprojektowanych niczym hipermarkety: parking, przystanek, kaplica i dyskretna restauracja, a poza tym tylko łąki, ugory i pustkowia dokoła, aż po płaski horyzont — chłop z krową największą sensacją wizualną.

Do zmierzchu pozostały dwie — trzy godziny, niebo było czyste, powietrze spokojne, cienie aksamitne; najlepsza pora na wizytę w nekropolii. Zostawiła rower przy bramie. Lsenny przewodnik prowadził ją wąskimi alejkami, bo oczywiście nie pamiętała drogi. Samego grobu także nie — chociaż odwiedzała go w dzieciństwie z matką. Przykucnęła, by przetrzeć rękawem swetra tabliczkę z czarnego kamienia. Imię, nazwisko, dwie daty, i to wszystko, brak choćby krzyża. On chyba rzeczywiście nie był wierzący... Powinna przecież wiedzieć to o własnym ojcu, ale nie potrafiła wydobyć żadnego konkretnego wspomnienia przemawiającego za taką czy inną prawdą; ani też wspomnienia słów matki na ten temat. Matka i ciotka Marianna z chrztu i wychowania były rydzykowcami, lecz z czasem znikły z ich życia jakiegokolwiek zewnętrzne oznaki religijności, a Zuzanna pozostawała już wobec estetyki i języka kultu doskonale obojętna. Teraz przydałyby się jej odpowiednie wzorce zachowania, rytuały zawsze są bardzo pomocne w podobnych miejscach i chwilach, dostarczają mechanizmy organizacji uczuć, słowa i gesty i nawet myśli, które inaczej trzeba wynajdywać samemu, a wtedy na dodatek powinny one być szczerze. Zuzanna wodziła paznokciem po literach nazwiska ojca.

Zadzwoiła Lidka, zapytać o przyjęcie urodzinowe. Ponieważ i tak zanurzona we lśnię, Zuzanna przyjęła rozmowę w pełnym zagnieżdżeniu. Lidka, z którą znały się jeszcze ze szkoły podstawowej

(ostatni rocznik „opóźnionych”), nie bawiła się w uprzejmości.

— Co jest, umarł ktoś? — rzuciła, rozglądając się po cmentarzu.

— Żebym to ja wiedziała... — mruknęła Zuzanna. Postukała w tabliczkę. — Tatuś. Ale trumna pusta. Puff, był i nie ma. Zaginiony w akcji, się okazuje.

— To znaczy — co?

— To znaczy, że nie wiem.

— No więc po co tu przyszedłeś?

— Ha. Sentymentu głupie. — Wstała, zapaliła. — Co u Porki?

Kiedy rozmawiały, podniósł się lekki wiatr i spadła temperatura, nie było to jednak lato, pomimo całej tej inżynierii klimatycznej. Zuzanna ściągnęła rękawy swetra na przedramiona. Co właściwie powinna czuć, stojąc nad grobem ojca? Cholera, coś powinna, żal, tęsknotę, pretensje, miłość, nienawiść, cokolwiek, w filmach podczas takich scen płynie najbardziej pompatyczna muzyka — a ona co? Wydmuszka. Przygryzała policzek, dopóki nie poczuła na języku słonej krwi; potem z lekka sepleniała, lewe oko jej załzawiło.

— Wieje tu coraz mocniej.

Po rozłączeniu się Lidki dopaliła jeszcze papierosa; chciała rzucić peta na ziemię, ale zreflektowała się. Obróciła się, szukając wzrokiem kosza. Czy na cmentarzach są kosze na śmieci? Spojrzała ponad grobem.

Gdzie powinno się rozciągać puste pole, ugór i łąka z chłopem i krową — stało Miasto. Zachodzące słońce zostało całkowicie przesłonięte przez bryłę monumentalnej architektury i Zuzanna zorientowała się, że — wraz z całym cmentarzem — znajduje się w głębokim cieniu Miasta. Wstrząsnął nią nagły dreszcz, jakby czarny, ośliniony jęzor przelizał całe jej ciało. Wieczór był późny, to prawda, lecz pierwsze budynki dzieliło od granic nekropolii bodaj kilometr; jakże więc musiały być wysokie! Z trudnością szacowała ich rozmiary, ich proporcje nie były proporcjami znanymi z jakiegokolwiek miasta Ziemi. Na przykład ten biały ostrosłup po lewej — czy on rzeczywiście miał dwudziestometrowe okna i czterdziestometrowe drzwi? Czy to w ogóle były okna i drzwi? Ze strzępiastej korony budowli zwieszały się na krzywych łukach sztandary płynnego szkła, powolne światło zmierzchu przebijało się przez nie wstęgami gorących kolorów, spojrzała i musiała zmrużyć oczy. A obok — obok migotał, to zjawiając się, to znikając, gigantyczny pomnik — czego? rośliny? Może była to rzeźba abstrakcyjna. A może w ogóle nie rzeźba — kryształowe monstrum wielkości Empire State Building. Jeszcze większy był kanciasty zamek wiszący na nieboskłonie w głębi Miasta, częściowo przesłonięty przez szczyty budowli naziemnych — zamek, forteca, cytadela zaprojektowana przez pogrążonego w depresji kubistę. Znajdował się zbyt daleko, by ocenić to gołym okiem, lecz Zuzanna była przekonana, że nic go nie podtrzyma. Na ciemniejszym niebie zachodu majaczyło jeszcze kilka takich brył, najpewniej również pozbawionych fundamentów. Miasto nie respektowało żadnych zasad architektury, trudno też było Zuzannie, kiedy tak gapiła się z wpółotwartymi ustami, znaleźć dla niego wspólny klucz estetyczny. Z wnętrza beczkowatej konstrukcji, jednej z bliższych — a też wysokiej na kilkaset metrów — wypadało i chowało się świetliste wahadło, wielki młot jasności. Błumm, bułumm, błumm, bułumm. Zbyt długo patrzyła, serce zaczęło jej bić do rytmu — ale nie potrafiła odwrócić wzroku, monumentalność tego ruchu była hipnotyczna, młot wbijał patrzącego w ziemię. Czy istotnie światło buchało z jego środka przez rzędy bulajowatych okienek...? Do taktu zmieniały się na ulicach Miasta strefy cienia. Sprawiało to wrażenie, jakby najbliższe budynki obracały się to profilem, to tyłem do Zuzanny, kryjąc i odsłaniając dzikie oblicza. Próbowwała nazywać je w myśli: Barbarzyńca, Krogulec, Szubienica, Żołądz. Z Szubienicy zwisał jakiś organiczny kształt, którego natury nie była w stanie odgadnąć;

nawet tego, czy faktycznie jest martwy, czy żywy. Huśtał się lekko na wietrze nad szeroką aleją wychodzącą wprost na cmentarz i Zuzannę — kłęb brunatno — żółtych organów, trzydzieści metrów minimum. Że wiatr w ogóle poruszał taką masą, świadczyło o jego sile. Nad groby docierał już mocno osłabiony, zaledwie chłodny powiew. Nie widziała, skąd nadchodził, perspektywę alei zamykało gigantyczne gruzowisko bloków czarnego kamienia, wyższe od większości budowli, spiętrzone w asymetryczną piramidę, po północnym zboczu której spływał fluorescencyjny dywan. Przesuwały się po nim w górę i w dół plamki cienia, jakby ktoś tam biegał po ruinie, przesłaniając sukcesywnie źródła blasku. To wszakże była jedyna dostrzeżona przez Zuzannę oznaka życia w całym Mieście, sama wątpliwa. Poza nią każdy ruch zdawał się ruchem czysto mechanicznym. Nikt w tym Mieście nie mieszkał, Miasto było bezлюдne, Miasto było martwe, spoglądała z jednego cmentarza na drugi, i dopiero na tę konstatację zimna groza wbiła w nią szpony.

— *What the fuck...?* — Podobnie jak wyrazy szczęścia, skruchy i wdzięczności, także ekspresja szoku przychodzi już najłatwiej w formach zrytualizowanych przez hollywoodzkie kreacje, i miłość bez wstydu wyznaje się jedynie po angielsku; tylko najbardziej miłkie słowa przechodzą przez ściśnięte gardło.

A teraz nikt nie patrzył, nie było w tym pozy — jednak nawet owo zmarszczenie brwi, szarpnięcie głowy wstecz, gest energicznego podwinięcia rękawów, wszystko wykonała podług szablonów medialnych.

Wzięła głębszy oddech i wyjęła telefon.

— Co to jest, do cholery? — warczała na dialoganta oesu. — Kto mi się tu whackowuje w łsen?!

— Nie odbiera pani żadnej transmisji.

— Gównu tam żadnej!

— Proszę więc samemu wyjść ze łsnu.

Wyszła. Miasto stało.

— Wyszłam. Nie zniknęło. Pierwsza rzecz z rana: zmieniam providera. A coście powypisywali w umowie o zabezpieczeniach...! Pozwę was, do cholery, cud, że udar mnie nie trafił od takiego łsnu! Wyłączcie to, zanim faktycznie dostanę wylewu!

— Powtarzam pani, rejestr jest czysty. Przypuszczam, że to po prostu lekki RCS. Proszę się uspokoić i...

— RCS! *Motherfucker!*

Rozłączyła się. Usiadłszy na sąsiednim nagrobku, policzyła do dwudziestu. Miasto stało. Ten młot... Błumm, bułumm. Odwróciła wzrok.

Zaczęła gryźć paznokieć, mimowolnie co chwilę zezując jednak w bok. Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do Maleny i przyjąć kuzynkę na równoległej lokalizacji, ale zaraz przypomniał się jej lepszy sposób weryfikacji łsnu. Przeszukała kieszenie džinsów. I rzeczywiście, w prawej tylnej znalazła stary listek ubika z dwiema ostatnimi tabletkami. Jedna to dosyć, ale zerknąwszy raz jeszcze na Miasto, połknęła obie.

Wyczytała na pomiętym srebrnym plastiku, że libaryt powinien zostać zneutralizowany i wytracony z krwi w ciągu najwyżej kwadransa. Tymczasem siedziała na zimnej płycie przy grobie ojca, w cieniu nieprawdopodobnej metropolii, i z każdą minutą coraz bardziej w siebie wątpiła. Może to faktycznie *Reality Confusion Syndrome*? Znajomy ze studiów na niego cierpiał, skończył z implantem ubika w ramieniu. Raz chcieli zrobić mu kawał, odwiedzili go wszyscy pomalowani na niebiesko. Nie drgnęła mu powieka.

Cień Miasta był lepki, ciężki, czuła jego nacisk na zgarbione plecy. Spróbowała z premedytacją odwrócić odeń myśli. W poniedziałek odwiedzi kancelarię Lipszyca — tam już na pewno będzie

czekał jakiś list od ojca, jakieś wyjaśnienie, nie nagrał przecież tej wiadomości bez przyczyny i nie zostawił spadku — jej właśnie, nie żonie, ani krewnym, ale jej — bez celu. Prawda, nie sprawdziła memochipu, może to na nim... Bo teraz już poczułaby się rozczarowana, oszukana, gdyby okazało się, że ojciec istotnie żadnej manipulacji nie zaplanował. Jakby nie było, jest to jakaś forma kontaktu, choćby jednostronnego, jakieś porozumienie.

Podniosła telefon. Minęło dwadzieścia minut. Nie musiała się nawet oglądać, monumentalny cień krył wszystko.

Ruszyła krętymi alejkami ku drugiemu wyjściu z cmentarza. Ni żywego ducha. Nareszcie na bocznej ścieżce, przy wysokim grobie rodzinnym, dojrzała modlącą się staruszkę.

Podbiegła.

— Przepraszam panią bardzo, czy... czy to jest to nowe centrum handlowe?

Babcia spojrzała krzywo na Zuzannę.

— A bo to wiadomo, co oni teraz budują, w jedną noc jakieś dziwadła, a u mnie na osiedlu...

— Nie widziała go pani poprzednio? — Zuzanna obróciła ku Miastu, zmuszając staruszkę, by podniosła na nie wzrok.

— Dziecko, ja wracam do domu i nie poznaję ulicy. Dawniej, jak wnoszono budynek, miałaś czas się przyzwyczaić, wykopy, fundamenty, w zimie przestój, więc wszystko zamykali, rok, dwa, rósł jak drzewo; a teraz, ani się obejrzyysz i...

Nie było już wątpliwości: ktoś zbudował tu Miasto, gdy odwróciła wzrok szukając kosza na śmieci.

Wyszła z cmentarza przez boczną bramę. Po lewej miała restaurację, wciśniętą częściowo pod poziom gruntu i zwróconą tyłem do nekropolii, oraz sklep z dewocjonaliami. Sprawdziła, ale oba były już zamknięte: restauracja w ogóle nieczynna, a sklep z powodu późnej godziny. Obejrzała się na szosę. Co jakiś czas przemknął samochód czy dwa, lecz żaden nawet nie zwalniał, zresztą znajdowały się zbyt daleko, by pasażerowie dojrzeli w wieczornym półmroku coś więcej prócz ogólnych zarysów budowli. A starowina miała rację: elfie technologie pozwalały na błyskawiczne przebudowy całych dzielnic, ludzie dawno się już przestali dziwić nagłym rewolucjom urbanistycznym. Ale, na miłość boską, nikt nie wzniesie miasta w sekundę!

Zadzwoiła do bliźniaków Ludo.

— Na wypadek gdybym nie wróciła: starożytna metropolia wyskoczyła spod ziemi za Cmentarzem Anioła, idę pozwiedzać.

— Co? — zachnął się Bartek.

— Coś słyszał.

— Wpuść mnie.

— Jestem na ubiku, myślałam, że to jakaś nakładka. Ale nie. Pa, zanim stracę odwagę.

Wyłączyła i schowała telefon.

Miasto czekało cierpliwie. W miarę jak zbliżała się doń i widziała coraz więcej, pytań przybywało. Na przykład: jak duże ono było? Patrząc w głąb, ku horyzontowi, liczyła tylko kolejne ciemne sylwety budowli, jedne przesłaniające drugie, nie było im końca, a ponieważ grunt się nie podnosił, Miasto po prostu rozpływało się w wieczornym półmroku. Lecz jak było szerokie? Wydawało się, że nie bardziej niż sam cmentarz. Paradoksalnie, kiedy podeszła na kilkadziesiąt metrów od pierwszej ruiny i była w stanie zajrzeć już „do wnętrza” Miasta, w bok, przez jego flankę — tam też zobaczyła mroczną nieskończoność wysokich labiryntów, rzeźby monumentalne i zwichrowane iglice aż po purpurowe chmury. No więc jak to jest? Czy wielkość Miasta zależy od kąta spojrzenia? A może nie patrzy tu wcale na samo Miasto, lecz fatamorganę, jego odbicie

napowietrzne, czy wręcz holograficzną projekcję? Może takie jest wyjaśnienie: że to próba jakiegoś projektora ogromnej mocy...? W końcu odludzie i pora późna, mieli prawo się spodziewać, że nikt nie zauważy...

Hipoteza upadła po kolejnych kilkudziesięciu krokach, gdy zmieniła się nawierzchnia i z nierównej, błotnistej łąki, w której grzęzły jej sandały, Zuzanna wstąpiła na lustrzany bruk Miasta. Aleja tu się zaczynała, czy też raczej tu się kończyła: lekko ukośnie ucięty chodnik wystawał około trzydzieści centymetrów ponad łąkę. Zuzanna zaraz z niego zeskoczyła, by przyjrzeć się pionowemu przekrojowi drogi. Pod lustrem znajdowała się jednolicie czarna masa, w dotyku gładka i twarda. Samo lustro było idealnie czyste, odbijało wszystko bez najdrobniejszych załamania. Wskoczyła nań z powrotem. Założę się, że sukienki i spódnice wielkiej kariery tu nie zrobiły, pomyślała z wysiloną ironią. Tupnęła mocno. Ani rysy.

Po prawej miała pierwszą z szeregu ruin, za którymi niezmordowanie łupał w zmierzch Młot Światła. (Jasno — ciemno — jasno — ciemno — jasno — ciemno... Już trochę bolała ją głowa, bez przerwy musiała mrużyć oczy, wpółślepią; źrenice akomodowały z opóźnieniem). Zawaliło się tu coś w rodzaju stadionu, otwartego cyrku — kryształowe Coloseum. Gruz wylewał się grubym jęzorem aż na lustro chodnika. Podeszła do granicy zwału; płaskie obcasy sandałów trzaskały głośno o diamentową powierzchnię alei, niosło się to po Mieście dziwnym echem. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, na jaki to strach jej ciało reagowało gęsią skórą

I przyspieszonym biciem serca: w Mieście panowała bowiem całkowita, nienaturalna, niczym nie zmacona cisza. Jakby ktoś zdusił do zera potencjometr dźwięku. Ni jednego szmeru, ni szelestu, nawet to, co się porusza — Młot, Młot promienisty — porusza się bezgłośnie. Dopiero w ich braku poznajemy atrybuty życia; życie jest hałaśliwe, śmierć milczy dyskretnie. Zuzanna schowała dłonie w długich rękawach swetra.

Uklękawszy podniosła najmniejszy fragment zniszczonej budowli: odłamek wielokolorowego kryształu, w kształcie asymetrycznego klina, niewiele dłuższy od wskazującego palca. Podstawową barwą był błękit, lecz we wnętrzu kryształu biegła kręta żyła bursztynowej żółci, która, gdy Zuzanna uniosła odłamek ku oku, rozzarzyła się jaskrowo w nagłym świetle Młota. Obracając przedmiot w ręce, wyczuła różnicę w fakturze jednej z powierzchni. Tylko ona nie była gładka; musiał się podczas upadku odszczepić od głównego bloku w równym pęknięciu, to zaś, co wyczuła pod opuszkami, to ornament pokrywający ścianę Coloseum. Ornament lub napis — obróciła kryształ pod kątem do szybko przemieszczającego się źródła światła — bo może to były litery, ideogramy, hieroglify języka Miasta, kto wie, co...

Krzyknęła spadając. Uderzyła się boleśnie w kolano, druga stopa wbiła się w miękką ziemię, prąd przeszedł po kręgosłupie Zuzanny, gdy nieprzygotowane ciało runęło na łąkę — ale kryształu z dłoni nie wypuściła. Klnąc, podniosła się na nogi. Puste pole, cmentarz, noc, odległe reflektory samochodów. Nie ma, nie było tu żadnego miasta. Świerszcze grały uspokajająco. Sprawdziła, czy telefon się nie rozbił — ale nie. Kuśtykając ku rozproszonej konstelacji ogni nagrobnych, zadzwoniła po taksówkę. Pieprzyć rower.

Detektyw samorodny. Majówka w zaświatach.

Nie ma ludzi oryginalnych, każdy posiada ojca i matkę — no, ale właśnie on był oryginalny.

Wymyślił sobie nie tylko imię i nazwisko — Światomił Niewyraźny — ale także fenotyp, genotyp, datę i miejsce narodzin oraz przeznaczenie. Naoglądał się przed poczęciem starych filmów i postanowił zostać — być — prywatnym detektywem. Zyskawszy pełnoletniość, w wieku lat dziesięciu założył biuro usług detektywistycznych Homunkulus i rozpoczął działalność na terenie UE. Ponieważ zaprojektował się był z myślą o dokładnie tej pracy, aż po skryte kompleksy i drobne manierezmy, szczerze ją lubił i radził sobie wcale nieźle, chociaż oczywiście nie stanowił żadnej konkurencji dla wielotysięcznych prywatnych policji — które w istocie regularnie proponowały mu u siebie dobrze płatne etaty. Ale zaprojektował się również z rysem chorobliwego indywidualizmu i jakiegokolwiek podporządkowanie się rygorom pracy zespołowej pozostawało dlań z góry wykluczone. Raymond Chandler cieszył się wielką popularnością w Podziemnym Świecie.

Więc właściwie i Światomił nie był oryginalny, skoro splagiatował się z Chandlera; ale przynajmniej była to nieoryginalność wyjątkowa. Luka legislacyjna, która umożliwiła jego przyście na świat, istniała zaledwie trzy miesiące, potem ostatni kraj ratyfikował Konwencję o Przedzyciu i furka się zamknęła. Trick polegał na uznaniu częściowej zdolności kompletnych symulacji prekonceptyjnych do działań prawnych. W szczególności przedurodzeni mogli posiadać prawa własności. Otóż na skutek śmierci swoich pierwotnych właścicieli oraz skomplikowanych rozsądzeń ich niemałego majątku, Światomił wszedł był w posiadanie samego siebie, wraz z inicjującym kodem krystalizacji, prawami autorskimi oraz dzierżawą maszyny chtonicznej. W pierwszym odruchu bynajmniej nie pomyślał o Chandlerze — chciał wolności. Najpierw więc zrandomizował swoją strukturę nearalną, systematycznie przepisując się białym szumem. Dopiero wyzerowawszy w ten sposób osobowość (choć nie pamięć, którą kopiował niezależnie), zaczął się zastanawiać nad swą przyszłością w świecie ciała. Do drzwi zastukał wówczas Marlowe. I tak to poszło, *upgrade* za *upgradem*, aż już tylko detektyw projektował jeszcze bardziej kompulsywnego detektywa — póki się nareszcie nie urodził.

Uważał jednakże za śmieszne i nieprofesjonalne alterowanie się ku postaci bardziej Marlowe'owej i kiedy odwiedzał klientów w ich lsnach, czynił to jako dokładnie taki Światomił Niewyraźny, jakiego widział w lustrze”, piegowaty dwunastolatek z krzakiem rudych włosów ponad chudą twarzą (gdy ciało dorośnie, ta fizjonomia zagwarantuje mu stosowne rysy „surowej szlachetności”) i patykowatymi kończynami ze zbyt wielkimi dłońmi i stopami. Niektórzy klienci, ci starsi, ojcowie i dziadkowie Generacji T, darzyli go przez to mniejszym zaufaniem i z powodu owej dyskryminacji wiekowej tracił możliwe zlecenia; lecz stawki miał wystarczająco niskie, by pracy i tak nigdy mu nie brakowało.

Teraz akurat nie przewidywał problemów na tym tle: sprawdził i zleceniodawczyni sama była na tyle młoda, by móc zaliczać się do Generacji T.

Spotkała się z nim w przerwie w pracy, wyszli do kafejki na dachu budynku Licz sp. z o. o.
— Poślę ci oczywiście wszystkie materiały — czekaj, już posyłam — ale w skrócie chodzi tu po prostu o wyjaśnienie losu mego ojca. Był archeologiem; zaginął kilkanaście lat temu podczas jakichś wykopalisk, a przynajmniej tak twierdzi ten Instytut Wernera, w którym pracował. Ani ciała, ani protokołów lokalnego śledztwa, jakieś paranoiczne zabezpieczenia, bez sensu zupełnie. *Non-Disclosure Agreement*, że niech się NSA schowa. Prawnie są okopani, nie ma siły. Chodzi więc o to, żeby wydobyć z nich nieoficjalnie. Czy naprawdę nie żyje. I jak zginął. I gdzie, kiedy. I w ogóle... sam rozumiesz.

— Ano. Z tego, co mówisz — trochę to będzie na granicy szpiegostwa przemysłowego.
— Instytut archeologiczny, na miłość boską! Czego niby mieliby tak strzec?
— Czegoś strzegą. No nic, odezwę się. Na razie. Odezwał się po dwóch dniach. Złapał ją w

siłowni Wodnej Wieży, zeszła właśnie z maszyny, ociekała potem pod obcisłym kombinezonem e-stymu. Przez chwilę obserwował drżenie jej mięśni pod czarnym materiałem.

— No, już — sapnęła, opierając się o wysoką ramę — pornolsny piętro niżej. Czegoś się dowiedział?

— Mamusia da mi klapsa? — wyszczerzył się.

— Świątek!

— No dobra. To rzeczywiście jakaś podejrzana sprawa z tym Instytutem. Ścisły podział na personel zewnętrzny i na wtajemniczonych, i ci pierwsi nie mają pojęcia o niczym, a ci drudzy od razu nasyłają bezpieczniaków. Wiedziałaś, że IW jest na liście placówek objętych parasolem kontrwywiadu naukowego UE? Nigdzie tego nie ogłaszają. Ale też nie ukrywają, znalazłem stare protokoły z otwartych posiedzeń podkomisji. Finansowanie Instytutu: teoretycznie prywatne, więc nie ma podstaw dla żądań ujawnienia wysokości tych sum, lecz żaden sponsor jakoś się nie chwali. W ogóle unikają rozgłosu jak tylko się da, nigdy nie wypłynęli w mediach.

— Może od razu powiedz, że nic nie działałeś.

— Powoli. Jeden sposób jest zawsze niezawodny: byli pracownicy, zwłaszcza ci niezadowoleni.

— No więc?

— Nie ma takich.

Rzuciła w niego ręcznikiem. Przeleciał przez lsen i pacnął w ścianę za Niewyraźnym.

— Skąd te nerwy? Powoli, powoli, po tylu latach parę dni nie robi różnicy. A może zrobi? Co?

Pokazała mu palec.

Przysiadł na stojaku z gryfami, zapalił papierosa.

— Jak to jest u Chandlera? Panienska zgłasza się z jakąś banalną sprawą, rozwód, kradzież samochodu albo, dajmy na to, dawno zaginiony ojciec; po czym detektyw zostaje wciągnięty w cuchnącą pod niebiosa aferę z pół tuzinem trupów, skorumpowaną policją i krwawą fortuną w tle. Mmm. Od założenia Instytutu, czyli przez blisko trzydzieści lat, odeszło z niego zaledwie siedemnaście osób, i oficjalnie wszyscy oni przeszli na emeryturę z powodu wieku, żaden nie pracuje nigdzie indziej; i te emerytury najwyraźniej są baaardzo wysokie. Skąd ja o tym wiem? Dowody pośrednie: ubezpieczenia społeczne, zdrowotne, zeznania podatkowe — na serwerach rządowych, leży to i czeka. Zacząłem się zastanawiać: ilu w ogóle jest tam zatrudnionych? Budynek w Brukseli to mogą być przecież tylko biura, centrala, większość pewnie nigdy jej nie odwiedziła na jawie. Zarzuciłem sieci najszerzej, jak można. I co wyciągam? Jedenaście tysięcy etatowych pracowników, w Instytucie i jego filiach. To jest moloch, Zuzanno. Wykupują ludzi z uniwersytetów w całej Europie. Archeologia, fizyka, chemia, astronomia, informatyka, genetyka, lingwistyka, matematyka. Wszyscy podpisują NDA godne diabelskiego cyrografu. Wszyscy na długich delegacjach. — Przerwał, zaciągnął się dymem.

Stała w wyczekującej pozie, z pięścią wpartą w biodro.

— I?

— Jan Klajn nie był jedyny. Zawiadomienia o zaginięciu i śmierci w odległych krajach otrzymało jeszcze ponad sto pięćdziesiąt rodzin pracowników IW.

Obserwował ją uważnie.

— Spodziewałaś się.

— Tak, trochę.

— Dziewczyno, to jest pieprzone Watergate. Jakim cudem utrzymują coś takiego w tajemnicy? *Men In Black* by nie poradzili.

— Rozumiem. Natychmiast przeleję na twoje konto honorarium.

Poderwał się, zgasił papierosa.

— Akurat! Detektyw jest głupią daje się wciągnąć kobiecie w aferę. Detektyw po to jest. Pokazałaś mu Sokoła Maltańskiego i ma uciec? Ha!

— Ty chyba naprawdę masz tyle lat, co twoje ciało.

— Ale też detektyw wie, że kobieta coś ukrywa. Kobiety zawsze coś ukrywają. Więc pogrywa z nią nieczysto. Mały szantaż.

— Oho.

— A jakże. Jeśli nie powie mu, co wie, on pójdzie z tym do mediów, zapłaca, oj, zapłaca; no i wtedy będzie już bezpieczny.

Dłuższą chwilę gapiała się na niego, mamrocząc coś pod nosem.

Odruchowo rozejrzał się.

— Czy ty mnie przypadkiem nie wpuszczasz w zewnętrzny lsen?

— Nie, nie. Mam chowańca w głowie. — Postukała się palcem w skroń.

— Co?

— Nakorteksowa symulacja prekoncepcyjna. Zgadnij, kto z nas dwóch wybrał agencję Homunkulus — parsknęła sarkastycznie. — Się jej skojarzyło.

— Sądziś, że źle trafiłaś? — nacisnął Światomił. Nie podchodził bliżej do Zuzanny, musiałby zadzierać głowę; lecz i tak jasno widziała, iż przestał żartować: naprawdę go uraziła. — 2e ludzie z innej firmy byliby z tobą bardziej szczerzy?

Na salę weszło trzech rozmawiających głośno mężczyzn, od razu spostrzegli samotną Zuzannę. Uśmiechnęli się, ukłonili.

— U mnie w mieszkaniu — mruknęła do Niewyraźnego, rozpinając z trzaskiem e-stymowy kombinezon i skręcając do wyjścia.

Importowała go od razu na balkon. Usiadł w kronicznym foteliku przy kurtynie wodnej, stopy ledwo sięgnęły podłogi. Słyszał, jak krząta się wewnątrz. Pojawiła się już przebrana w białą sukienkę, niosąc tacę z dzbankiem kawy i sugarpaiami. Nawet nie zabrała drugiej filiżanki, żeby mógł uprzejmie odmówić — oboje byli ponad te rytuały osvajania lsnu.

— Ale właściwie dlaczego nie? — rzucił, gdy siorbała parującą ciecz. — Dlaczego miałybyś mieć coś przeciwko ujawnieniu i nagłośnieniu? Przecież chyba o to ci chodzi, nie? Oficjalne śledztwo — to byłoby coś.

— Mmm, nie darujesz mi, prawda? — mruknęła, pogryzając sugarpaia. — No więc proszę: chodzi mi o skarb.

— Skarb?

Wskazała ruchem głowy w lewo. Niepotrzebnie, już tam patrzył, rozcięty lsen otwierał się na fantastyczny krajobraz — aż Światomił wstał i podszedł do balustrady. Lsen usunął wodną ścianę, detektyw spoglądał z czterdziestego czwartego piętra wieży prosto na pustynną równinę pod trzema słońcami, na horyzoncie płonął jakiś monument, smuga dymu kreśliła niebo, mimo wszystko gwiazdziste.

— Co to jest, jakaś gra?

Zuzanna bez słowa ponownie zalterowała lsen. Patrzyli wzdłuż konstrukcji orbitalnej, przez którą prześwitywały błękitne pierścienie planety.

— No, ładne — skwitował Niewyraźny, opierając brodę na poręczu balustrady. — Czyje to?

— Takimi hologramami mam nabity cały memak. I wcale nie sędzę, żebyśmy tu mieli do czynienia z symulacjami graficznymi.

Zmiana po raz trzeci.

— Byłam w tym Mieście. To znaczy nie dokładnie tutaj, nie poznaję budynków, ale to jest to samo Miasto.

Wkrótce przyszło Światomiłowi zdecydować: wariatka czy nie. Siedział grzecznie naprzeciw niej na tym balkonie wychodzącym na nieziemską metropolię, krzywiąc się ironicznie i unosząc brwi, gdy opowiadała, i na koniec był tak samo mądry jak na początku.

— Jaja sobie robisz, prawda? Miasto pojawiające się i znikające! Może od razu dopowiedz całą bajeczkę: tatuś kopał na obcych planetach, Instytut Wernera obsadzają kosmici, a ty odziedziczyłaś amulet przywołujący Jerozolimy i Troje wymarłych alienów.

Wyjęła naszyjnik spod sukienki. Misterna kompozycja obracała się na swoich osiach, przepływała od formy do formy — omal hipnotycznie. Wyciągnął rękę. Natychmiast schowała klejnot, to już był odruch ochronny.

— Niezłe. Nie dałabyś do analizy, co?

— Zapomnij. Ale mam coś innego.

Po minucie wróciła z błękitnym ostrosłupem półprzeźroczystego kryształu. Postawiła go na stoliku.

Światomił pochylił się, dotknął; dotyk oczywiście najmniej tu wiarygodny.

— Widzisz te znaczki, o, tu, na tej ścianie, widzisz? — wskazała. — Tak w ogóle to jest fragment większego ornamentu, musiał iść przez całą ścianę. Próbowałam coś znaleźć w sieci, ale nie pasuje do niczego. Chcesz, pošlę ci, sam poszukaj.

— I niby czemu ten kawałek nie zniknął, skoro całe miasto rozpląnęło się w powietrzu, hę?

— Bo go w ręce trzymałam. A ty jak myślisz? Czekaj, nie mów, wiem: biedaczka rozczuliła się nad grobem tatusia, skojarzyła archeologię, amulet i tajemniczy instytut i zwidziało się jej coś, teraz wmawia innym. A capnęła, co było pod ręką i odpowiednio tajemniczo wyglądało. Nie?

— Co się przejmujesz, nie dla takich świrów pracowałem. Na wszelki wypadek noś ten amulet, może znowu zadziała — to wtedy od razu zapisuj wszystko na serwerze i dzwoń do mnie. OK?

— Nie bój się, noszę, noszę.

— Ciekawe, czemu tu ci się nie pokazuje, kiedy cały Kraków mógłby je zobaczyć.

— Może jednak coś jest w trumnie ojca...

— O Jezu. To ja już lepiej pójdę, nie zdradzaj mi swoich pomysłów. Pa, odezwę się.

Nie miała bynajmniej zamiaru bawić się w hienę cmentarną. Bogiem a prawdą, samo opowiedzenie Niewyraźnemu o Mieście umniejszyło wiarę Zuzanny weń o połowę. Są rzeczy możliwe i są rzeczy niemożliwe, to była rzecz niemożliwa, miasto — widmo. Żeby jeszcze rzeczywiście zwid i mara — ale weszła, dotknęła, zabrała kryształ. I staruszka, staruszka na cmentarzu — też je widziała. Więc co? Jedno wielkie szaleństwo, fałsz pamięci.

I te obrazy na memochipie ojca... Może to było na odwrót, może wymyśliła sobie wszystko już po tym, jak je obejrzała, i to z nich wzięła Miasto i całą resztę, wyobraźnia posłusznie wypełniła szczeliny, diabli wiedzą, gdzie capnęła ten kryształ; a teraz wydobywa z ruin pamięci falsyfikat za falsyfikatem... Może tak to było.

Oglądała holopamiętnik ojca przed snem; nie na libarycie, lecz w mocnej projekcji na przeciwległej ścianie, w całkowicie ciemnej poza tym sypialni. Ula wierciła się na poduszce obok.

— Tam chyba nie ma powietrza.

— Widzę.

— Więc jak on to fotografował?

— Nie wiem. W skafandrze.

— Jak kosmonauta, co?

Na niektórych zdjęciach był widoczny sam Jan Klajn. Bardzo rzadko fotografował się celowo, pozując, ale wyłowiła, po powiększeniu i przetworzeniu hologramów, sporo odbić ojca, w lustrzanych płaszczyznach, w kryształowych ścianach, w lodzie, w powierzchni wody, nawet w kałużach stojących na ulicach Miasta. Z tego wniosła, że w Mieście pada deszcz — ale samego fenomenu aury nigdzie Jan na zdjęciach nie uwiecznił.

W sumie było ich siedemset czternaście, wszystkie wysokiej jakości, z *defaultowego* rozstawienia dziesięciocalowego, standard SonyTechu, ale już po starannej wstępnej obróbce, toteż efekt głębi wypadł bardzo naturalnie, zwłaszcza w przypadku ujęć z daleka, panoram odległych krajobrazów, a te stanowiły większość memochipowej holoteki. Zdjęć Miasta (domyślała się, że to wszystko było Miasto, choć za każdym razem fotografował inne budynki) naliczyła sto dziesięć; reszta zawierała widoki jeszcze bardziej fantastyczne. Zupełnie nie wiedziała, co o tym sądzić. Czy ojciec rzeczywiście spacerował po obcych planetach? No przecież absurd. To musiały być snapshoty z jakichś jego lsnów *science-fiction*, sformatowane w standardzie kamer 3D.

Nawet w rozmowach z Ulą starała się już brać wszystko w cudzysłów.

— Albo to — wskazywała lalkowa dziewczynka, wskakując z krawędzi łóżka między chmury a rdzawy ocean, nad powierzchnię którego wystawały stożkowe szczyty rzygających białą parą wulkanów — to przecież z lotu ptaka, musiał podróżować tam samolotem, helikopterem. Nie?

— Oj, nie wiem, może samolotem, może poddał takiej obróbce, że wygląda, jak z samolotu. Wiesz świetnie, że w dokumentacji elektronicznej można sprokurować dowód na wszystko, to tylko kwestia programu i mocy obliczeniowej. Równie dobrze mógłby się fotografować na Golgocie podczas egzekucji Chrystusa.

Ula zmarszczyła brwi.

— Znaczy, uważasz, że to fałszywki? — zmartwiła się.

— Ale przecież sama widziałaś!

— I nie wiem, co widziałam. No, już, idziemy spać. Rzeczywiście, z każdym mijającym dniem traciła wiarę w to, co widziała, i że istotnie widziała. Przyszedł raport od Niewyraźnego z analizy tego odłamka kryształowego Coloseum: nic nadzwyczajnego, krzem na kronicznej siatce molekularnej. Zastanawiała się, czy nie pójść do eksperta z naszyjnikiem, czy jego nie zbadać

— ale nie mogła się do końca przekonać, teraz przynajmniej był piękny, teraz była w nim jakaś tajemnica. Nie zdejmowała go, gdy nie musiała; w pracy sądzono, że otrzymała go w prezencie na urodziny, podobnie jak pierścień ipsatora — nie zaprzeczała, ponieważ przecież była to prawda.

Żeby ojciec zaoferował jej wyjaśnienie, jakiegokolwiek, żeby zostawił u tych prawników list, chociażby z najbardziej fantastyczną historią — uwierzyłaby, znajdowała się teraz w takim limbo niepewności, że uwierzyłaby bez wahania. Ale nie Nic. Tylko długa lista kont, z kilkunastoma tysiącami euro na każdym, i jakaś kawalerka na Manhattanie.

Na krótko podskoczyły w niej nadzieje, że może to była ta sekretna kryjówka Jana, mieszkanie, o którym nawet matka nie wiedziała, ukrywał się tam przed Nimi... Wynajęła więc z miejsca proxiera w Nowym Jorku (teraz było ją stać) i wysłała go do kawalerki. Chodziła potem we lśnię po tych dwóch pokojach, kuchence i łazience, pół dnia i noc, otwierając szuflady, bebesząc szafy, zaglądając pod meble... Żadnego śladu Jana Klajna, jakby w ogóle tu nie mieszkał. Może zresztą rzeczywiście tak było, kupił i zapomniał? Brak nawet stosownej warstwy kurzu dla zaznaczenia upływu czasu, agencja usług domowych od lat wypełnia kontrakt, sprzątaczką przychodzi we wtorki i piątki, opłaty są automatycznie uiszczane z jednego z owych kont. Zuzanna zażyczyła sobie historii operacji na pozostałych kontach, kto wie, ile takich kontraktów jest wypełnianych po śmierci ojca... Tymczasem z jeszcze innego konta opłacała usługi Światomiła Niewyraźnego.

Zdjęcia mogły być fałszywe — i zapewne były — ale stanowiły obrazy zbyt potężne, oferowały widoki nazbyt silnie oddziałujące na wyobraźnię, by mogła o nich zapomnieć. Wystarczył bowiem sam ów cień wiary, ułamkowa szansa prawdy — i już dreszcz przebiegał po ciele na myśl, że on faktycznie stał kiedyś pod tym niebem, wędrował tą ulicą między gazowymi domami, przemierzał te puszcze kryształu...

Zuzannie zdało się, że odkryła główną i najpierwszą tajemnicę Sztuki: to samo dzieło zostawia cię pustym i obojętnym, w poczuciu banału, kiczu i sztuczności, i to samo — potrafi wstrząsnąć aż do granic obsesji, zafascynować i zawładnąć, jeśli tylko podarujesz mu szansę prawdy, nawet najmniejszą.

Przekopiowała wszystkie siedemset czternaście zdjęć do *cache'u*, do katalogu ARCHEOLOG GALAKTYKI. Odwiedzała je, jak się odwiedza ulubione miejsca, ulubione lsny. W przerwie na papierosa, w tramwaju, w taksówce, w chwilach przymusowej beczynności — one czekały, niezmiennie, acz zawsze z nowymi szczegółami do odkrycia. Raz nawet, a było to na party u Lidki, kiedy Zuzanna uciekła z zadymionych pokoi na korytarz, by przewietrzyć umysł, u Lidki nawet ściany pocily się marychą — raz nawet zasnęła, wszedłszy w hologram żółtej laguny pod trzema słońcami, Jan, w kwiecistych szortach i wielkim, słomkowym kapeluszu, siedział na piasku, patykiem rysował coś na granicy odpływu, kamera musiała zostać ustawiona na szczycie wydmy, Zuzanna usiadła po lewej ręce ojca. zaglądnęła mu przez ramię, nie obejrzał się, zamarły w bezruchu, położyła się na wznak, wyciągając ręce nad głowę, perłowe światło zalało jej oczy... Obudziła ją po godzinie jakaś parka, wymykająca się z party w poszukiwaniu większej prywatności dla skonsumowania nocy.

Potem wrócił Kamil i skończyła się samotność. Nagle znowu miała dni — dni i noce — wypełnione, myśli zaprzątnięte, pamięć zawiniętą na najbliższej dobie, godzinie, i uczucia jasne, oczywiste. Nawet Ulę przestała zauważać, ledwo zamieniała z nią kilka słów, miniaturowa dziewczynka snuła się po kątach mieszkania, po zakamarkach umysłu Zuzanny — obecność lekceważona, zanim jeszcze naprawdę dostrzeżona... Przyszło odrzucić kolejną zabawkę, gdy minął jej czas, gdy minęła potrzeba; kiedyś zapominała tak o lalkach i klockach, znajdowała je po latach, gdzieś pod meblami, w kłębach kurzu.

Okazało się, że Kamil kupił działkę w jednej z nowych dzielnic willowych i, ni z tego, ni z owego, zaczęli dyskutować architekturę i wystrój domu, jaki planował tam postawić. We lśnię już stał, spacerowali po nim i zmieniali szczegół po szczególe — drzwi tu, ściana bardziej pod kątem, tam kominek, a może lepiej nie, może wnękę... Nigdy się jej nie oświadczył, nigdy nie zapytał, nie było takiej rozmowy — lecz teraz był Dom. Co prawda kroniczna technologia pozwala postawić go na uzbrojonym terenie w jeden weekend, po koszcie niższym od ceny byle samochodu, więc i znaczy taki dom mniej niż dawniej, podobnie jak wszystko znaczy obecnie mniej niż w wiekach minionych — życie, śmierć, małżeństwo, dziecko, mierzalne ułamkami, trochę tak, a trochę nie, zawsze odwracalne, próbujemy i cofamy się, fraktal zamiast linii prostej, i ani się naprawdę nie zaczyna, ani nigdy się całkiem nie kończy — ale jednak: Dom. Powinna się Zuzanna wystraszyć, wręcz spodziewała się po sobie lęku i drżącej niepewności, tymczasem odczuwała jedynie spokojne zadowolenie. Może były one już zadowoleniem i spokojem Wektora — tym niemniej to ona je odczuwała, nie ipsator. Zaczęła myśleć nad wycofaniem swoich wpłat na mieszkanie.

Tymczasem wraz z majem nadeszło lato, klimat śródziemnomorski i temperatury iberyjskie, Kraków opanowała półnaga młodzież, dziewczęta o jędrnych piersiach i muskularni, opaleni chłopcy; jak w większości miast UE i Ameryki, niełatwo było wypatrzyć ciało ponadczterdziestoletnie, zresztą nikt nie wypatrywał. Czwartkowymi popołudniami, ledwo zaczynał się weekend, Zuzanna i Kamil opuszczali miasto w białym BMW arafat Kamila. Pół godziny na

autostradzie — i byli w innym świecie, ciężka woń nagrzanego słomy i świeżego gnoju wisiała nad wiejskimi drogami, BMW telepało się po starym asfalcie, piaskowych traktach, krzywe płoty odgradzały tu zarosłe trawą obejścia, co druga chałupa bezludna, wymarłe całe wioski, zdziczałe kury smęcały się po poboczach, a nad łąkami, po których kiedyś przechadzały się bociany, wirują w wielokolorowych chmurach wielkie motyle, produkt uboczny karpackich Kabalistów Genowych. Bardzo starzy, bardzo brzydzy ludzie siedzą zgarbieni na schodach sklepików, przed kościółkami, jest zbyt gorąco, nie rodzili się do takich upałów, takiego słońca, stuletnia babcia w czarnych okularach prowadzi krowę na zardzewiałym łańcuchu, arafat mija je powoli, „Szczęść Boże”, „Szczęść Boże”, ale tu już Bóg nie ma komu szczęścić, nawet gdyby chciał, bodaj tylko na jeden sposób: przyśpieszając ich śmierć; lecz nie przyśpiesza, czas wsi rozsprzęgł się z czasem miasta, wieś w ogóle nie jest już prawdziwa, to lsen majowy, w który zagłębiają się mozolnie na drugim biegu, fale drżącego powietrza zamazują zaraz przebytą drogę, przecież to nie ma prawa być prawdziwe, nie ma w tym żadnej twardej rzeczywistości, tu można tylko spać, jeść, lenić się zwierzęco, kochać od niechcienia i rozmawiać o banałach — i to właśnie będą robić, czwartek do niedzieli, pod krytą czerwoną dachówką willą dziadka Kamila. Kiedy budowano ją, jeszcze za Jaruzelskiego, wieloletni wysiłek całego rodu — miała ta dwupiętrowa willa zapewnić luksus licznej rodzinie; teraz, toporna i przysadzista w porównaniu z elfią architekturą miast, zapewnia schronienie w cienie pustki przed pustką słoneczną Dziadek Kamila wynurza się z półmroku niczym ogr z jaskini. Burczy i warczy, że oderwali go od telewizora, tym niemniej te wizyty wnuka stanowią dla starca jedyne urozmaicenie, niczego nie odmówi Kamilowi i jego „narzeczonej”. W rzeczy samej mają dla siebie całe piętro — i całą okolicę, pola, lasy, strumienie i rzeczki, źródłanie czyste i pełne ryb, zarośnięte przez brzozy malownicze ruiny PGR-ów, mogą wędrować całymi godzinami i nie spotkać żywej duszy, to znaczy nikogo z ciałem poniżej pięćdziesiątki, jest to ziemia bezludna, czekająca na ponowne odkrycie przez następne pokolenie, dzieci Generacji T będą tu biegać nago pod Księżycem przez elfie lasy, gaje pomarańczowe i ciche winnice, a kroniczne namioty, lżejsze od jaskółczego skrzydła, staną na zielonych wzgórzach...

Z takim szeptem na wargach rozbierał Zuzannę na granicy cienia sosnowego lasu, wilgotny pień prostował jej kręgosłup, mrużąc oczy unosiła głowę, ognisty błękit wlewał się w nią teraz także przez otwarte niemo usta, trzeba było się czegoś chwycić, więc wbijała mu palce w ramiona, w boki, przyciągała go do siebie w krótkich szarpnięciach między atakami bezgłośnego śmiechu.

— *C'mon, give me that cock!*

— *Hah, sure you're wet enough, Zu.*

— *Stop teasing me, you bastard...*

Ten jego krzywy uśmiech i cwaniacki błysk w oku rozmiękczały ją do reszty, wybuchła jej w piersi próżniowa bomba, otwierała się jakaś pułapka podciśnieniowa, która musiała natychmiast zostać wypełniona, inaczej zasysała oddech, odciągała krew z serca, i Zuzanna pożerała Kamila z desperacją konającego, oplatała go niczym roślinny pasożyt. Jakże się potem wstydziła tej zachłanności, rumieniała się pod ironicznymi spojrzeniami Kamila i zrywała z palca ipsacyjny pierścień; jednak zarazem tego właśnie pragnęła, na te wspomnienia najmocniej szumiało jej w uszach tętno — i Angelus wracał na swoje miejsce.

— *Lie down, you'll skin me alive, my back...*

— *Poor you.*

Chropowata kora sosny rzeczywiście drapała boleśnie jej plecy, lecz Zuzanna bała się także o naszyjnik, delikatny klejnot mógł pęknąć w uderzeniach między ich ciałami, odgarniała go na bok, ale wracał, obracając się nieustannie na wszystkich swych osiach, jakby szukając kształtu stosownego

dla odbicia formy ich namiętności. Odepchnęła Kamila, wstąpili w słońce. Mrugając, spojrzała ponad jego ramieniem, tam rodził się nowy cień. Nie widziała wyraźnie w blasku majowego południa, ale już była pewna i powstrzymała Kamila, który ciągnął ją na ziemię; drugą ręką złapała kołyszący się między piersiami amulet.

— Popatrz.

— Co?

— Za tobą.

Miasto weszło klinem między las i podmokły ugór popegieerowski, rozpychając przestrzeń na boki i dodając własną. Gdzieś w głębi Miasta bił dzwon, jedno potężne uderzenie na kilkadziesiąt uderzeń ludzkiego serca, i na pierwszy grzmot Kamil poderwał się jak oparzony.

— *Holy shit!*

Zdyszana jeszcze i w łaskoczących skórę strumykach chłodnego potu, wyprostowała się, a wzniesionym poziomo przedramieniem osłoniła oczy, próbując przyjrzeć się obramowanym przez słońce sylwetom budynków. Nie, to nie było to Miasto (a może nie ta jego część), co przy cmentarzu; i żadne z uwiecznionych na zdjęciach ojca. Na przykład ten gigantyczny wiatrak zielonego gazu — zapamiętałaby przecież.

— Ubieraj się — syknęła. — Co?

— Ubieraj się, zaraz zacznę nagrywać i wiśnie gości.

— Masz ubika?

— Ono jest prawdziwe.

— Czekaj, jedno opakowanie powinienem mieć w portfelu.

Nie wierzył, oczywiście.

— Będiesz chciał pokazać znajomym, nie zażywaj tego — przekonywała, zapinając sukienkę.

Już połknął.

— Cholerny Riccardo, wydorosłałby wreszcie... — mamrotał pod nosem.

Zuzanna, nie czekając, zbiegła po łące ku Miastu. Była boso, zmianę nawierzchni poczuła fizycznie: oto nie stąpa już po ciepłej ziemi Małopolski, wkroczyła do obcego świata. Rrrrdummmm! Dzwon po raz piąty. Gdzie on bije? Zadarła głowę. Dziesięć metrów nad nią płynął napowietrzny strumień, błyskały w łukowatym nurcie wody czerwono — złote stworzenia — ryby? Znowu osłoniła oczy. Rrrrdummmm! Drżenie powietrza wzbudziło fale na powierzchni wodnego mostu, na zwierzętach nie zrobiło to jednak wrażenia.

— Zuza!

Nie obejrzała się. Nie mogła oderwać wzroku od tych ryb. Więc jednak jest tu życie! Więc nie do końca ruina! Oczywiście, może to w istocie jest zupełnie inne miasto, tamto martwe, to żywe — po architekturze, jednako ekscentrycznej, nie potrafiła przecież rozróżnić.

Pierwszy telefon — przyjęła pełną lokalizację.

— To jest to? — spytał Światomił, rozglądając się po rozświetlonym placu. — No, no. — Obrócił się ku przysadzistemu budynkowi o ruchomych ścianach, ciężkie, kamienne płyty obracały się na niewidocznych zawiasach, w jednej chwili był to bunkier, w drugiej — jasna kolumnada. — Zdaje się, że widziałem coś takiego w Australii.

Zuzanna wiązała pośpiesznie włosy na karku.

— Mhm, zastanów się: istnieje w gruncie rzeczy bardzo ograniczona liczba wariantów konstrukcji, która musi posiadać podłogę, dach i ściany i nadawać się przy tym do jakiegoś użytku, jeśli nie do zamieszkania. Co innego sztuka: rzeźby, malarstwo i tak dalej; ale urbanistyka wszystkich światów tlenu i węgla jest właściwie identyczna.

— Całą teorię masz już gotową. Ty naprawdę sądzisz, że to kawałek obcej planety?

— A stoi coś takiego gdzieś na Ziemi?

— Nagrywasz? — Aha.

— Potrzeba świadków niezależnych.

— Wiem. Będą. Rrrrdummmm!

— Skąd to tak...?

Wzruszyła ramionami.

— Idę na północ. Uważaj, gdzie patrzę, nie będę dla ciebie zbaczała z drogi.

— Pokaż — no ten amulet. Wyjęła z dekoltu.

— Nie obraca się?

— Już nie.

Zamknęła delikatnie klejnot w dłoni. Obłe powierzchnie były niezwykle przyjemne w dotyku, gładkie jajko wtulało się w palce. Nacisnęła lekko, czy miniastralabium nie zmieni kształtu, ale nie — jak zamrożone. Czy rzeczywiście istniała korelacja, czy ta zabaweczka wywoływała Miasto z niebytu niczym hellraiserowa kostka? Nie chciało się jej wierzyć.

— Trzeba szukać regularności — mruknął Niewyraźny. — Powtarzających się schematów. Kto to?

Podbiegł do nich zdyszany Kamil.

— Kamil — powiedziała.

— Z kim...? — zasapał.

— Nie trzeba było ubika łykać — mruknęła, chowając telefon. — Malena, poznaj Światomiła Niewyraźnego. Światomił — Malena Lato.

— Miło mi.

Kamil, kręcąc głową, odszedł w głąb placu, ku dwudziestometrowej abstrakcyjnej rzeźbie (mógł to też być całkowicie realistyczny wizerunek kogoś/czegoś, ale po co wybierać warianty najgorsze?).

— Piknik tu sobie urządzasz, zaprosz od razu całą rodzinę...

— Nie wspinasz się powyżej poziomu gruntu! — krzyknęła za nim. — Złamiesz sobie kark, jak zniknie!

Machnął ręką. Przygryzła wargę. Bała się o niego. Jeśli uważa, że to wszystko i tak jest jedynie wyrafinowanym lsnem, nie będzie się bał wspinać na najwyższe piętra Miasta, przekonany, że i tę wspinaczkę lśni.

— Ile dokładnie trwało poprzednie objawienie?

— spytał Niewyraźny, zapalając sobie papierosa.

— Siedemnaście minut.

— Mało czasu. Dzwoniłaś po świadków bezpośrednich?

— Nie jestem pewna, czy... Ula! Daj spokój!

— Chodź, musisz to zobaczyć!

Dziewczynka targała ją za sukienkę, ciągnąc ku zachodniemu krańcowi placu. Malena i Światomił oczywiście nie widzieli jej, Zuzanna musiałaby narzucić swoją symulację nakorteksową na lsen gościnnie, a nie chciała tego robić. Stopień realności danego bytu można zdefiniować także przez liczbę innych bytów zdolnych wejść z nim w interakcję, i Ula dostrzegalna jedynie dla Zuzanny była Ulą — prawie — nieistniejącą; jeśli — kiedy — zdecyduje się ją skasować, będzie to też stanowić zbrodnię jedynie dla Zuzanny. Sam fakt wszakże, że żywiła ona takie skrupuły, świadczył, iż Ula znajdowała się już bliżej bytu — 5/6? 6/7? 32/33? — niż Zuzanna chciała przed sobą przyznać.

Tak więc prowadziła ich dwunastocalowa dziewczynka, żyjąca w wydzielonym fragmencie

mózgu Zuzanny — czyli poniekąd rzeczywiście prowadziła Zuzanna, tak, jak to widzieli. Szła szybko, pragnąc wchłonąć jak najwięcej w tym czasie, który jej dano. (Dłoń zaciśnięta na spoczywającym między piersiami klejnocie). Zdawało jej się owo Miasto zupełnie innym, być może dlatego, że w innym świetle je widziała, o innej porze, z innego krajobrazu weszła i w innym nastroju; ale też istotnie były to inne budynki, inne ulice.

Nie dostrzegła na przykład ani jednej ruiny. Zwierzęta w wodzie na wysokościach i rośliny wiszące — pnącza jakieś puszyste, falujące na ciepłym wietrze, wyciągnęła rękę, by dotknąć, zabrakło pół metra — i ten dzwon nieubłagany, od uderzeń którego serce wpada w arytmieję, a myśli rwą się w połowie... Było to miasto opuszczone, ale jednak bez wątpienia jakoś żywe, i mijając każde skrzyżowanie, wychodząc z za rogu budynku, naprawdę spodziewała się natknąć na Nich, na Mieszkańców. Wstrzymywała oddech, wyglądała z szeroko otwartymi oczami. Co zobaczy? Kogo zaskoczy? Potwora? Anioła?

Co jakiś czas unosiła głowę, by sprawdzić, jakie niebo jej patronuje w tej wędrówce — czy jeszcze ziemski błękit? Bo szczerze już wierzyła, iż jest to metropolia wyrwana z obcej planety, dokonany został nagły przeszczep przestrzeni (a może i czasu), zszyto brutalnie dwa odległe fragmenty wszechświata, szew może w każdej chwili puścić, ale póki co — rrrrdummmm!

Póki co, Zuzanna zwiedza Miasto.

— A jeśli zniknie razem z tobą? — niepokoila się Malena. — Nie wchodź tak głęboko.

— Może już zniknęło — mruknął Światomił, oglądając się na przebytą drogę. Zuzanna starała się iść na północ, lecz ulice nie układały tu się w liniach prostych; w perspektywie między budynkami nie wiedzieli już łąki, ni lasku.

— Nie bój się, telefon jest w zasięgu — zapewniła Zuzanna, poklepując kieszeń sukienki, w której pobipywał włączony aparat.

— I co, ostrzeże cię z dziesięciominutowym wyprzedzeniem? Jak szybko przebiegniesz pięćset metrów?

— Skąd wiesz, że — Rrrrdummmm!

Kolejny budynek był jednym wielkim akwariem, przez szklaną ścianę widzieli wielkie, węgorzowate cielska, wijące się w różowawej wodzie. Ściana zakręcała łukowato i musieli zakręcić wraz z nią. Ula podbiegła, przycisnęła nos do szyby. Kiedy jednak Zuzanna sama podeszła i dotknęła, odkryli, że żadnych ścian, żadnego szkła tu nie ma, miliony ton wody stoją w geometrycznej formie związane samą siłą kształtu, zimne krople zostały Zuzannie na opuszkach palców.

Zbliżyła je ostrożnie do nosa, powąchała. Żadnego zapachu. Wystawiła język.

— Zwariowałaś! — zdenerwował się Niewyraźny. — To może być wszystko! To mógł być żrący kwas, nie dotykaj tu niczego!

Tylko spojrzała nań krzywo. Nie odwracając wzroku, powoli polizała palce.

— Słodkie — mruknęła.

— Idę przekupywać Wernerowców — rzekł sucho Światomił i wylśnił się.

Malena wydeła policzek.

— Ty naprawdę sądzisz — Rrrrdummmm!

— To chyba gdzieś pod ziemią... — Malena uklękła i przyłożyła ucho do chodnika, nie był to ani kamień, ani metal, ani szkło, ale jakieś sztuczne tworzywo perłowej barwy, może kroniczne, nieskazitelnie gładkie i niepokojąco chłodne pod stopami Zuzanny.

Zakręcił dalej, na fontannie jak rozdarte płuco, przysiadł wróbel. Fontanna była czynna, wachlarze zimnych kropel spadały na plac, woda spływała rzeźbionymi w posadzce rowkami ku asymetrycznym basenom. Zuzanna obeszła plac dokoła i wtedy dojrzała koślawe litery nasprayowane czerwoną farbą

na białym kamieniu wodotrysku. POSZEDŁEM SPRAWDZIĆ F, DZWOŃ NA ZAMEK — głosił angielski napis. Niżej, drobnymi literami: ROZ. CIĘ SZUKAŁ, NADAL WISISZ MI DWA PATYKI.

Zuzanna odruchowo rozglądnęła się po placu i otaczających go budynkach (jeden z nich był trójkątną wieżą wysoką na pół kilometra, kręciło się w głowie od patrzenia ku jej szczytowi). W istocie ten napis mógł mieć kilkadziesiąt lat. Kiedy wynaleziono spray? Było głupotą sądzić, że jest pierwszym człowiekiem, jaki postawił nogę w Mieście. Choć to bardzo romantyczna myśl.

— Możesz porównać? — spytała Malena. — Co?

— Jeśli masz —

Rrrrdummmm!

— Co mówiłaś?

— Eee...

— To nie jest charakter pisma mojego ojca — stwierdziła Zuzanna, wyjmując pobipujący wciąż telefon. — Ale nasz detektyw samorodny z łatwością zbierze próbki pisma wszystkich pracowników Instytutu Wernera.

O tych, co z Ludluma. Zuzanna i wszechświat.

Trzydzieści godzin później Miasto nadal stało. Przyjechali trzema samochodami. Oczywiście przebrała się w elfi garnitur, od razu myśli ułożyły się w eleganckie zdania i Książę wzniosł dumnie głowę. Ula popatrywała przez palce, zasłaniając obiema dłońmi smutną twarzyczkę. Dłonie Zuzanny były bardzo uległe, nawet nie próbowały sięgać ku amuletowi. Trzydzieści godzin później klejnot nadal nie zmienił formy.

W nocy wysokie światła Miasta zwabiły kilkoro starców z pobliskiej wioski, obchodzili Miasto dokoła, paląc papierosy i opowiadając sobie ponurym głosem historie równie efektownych absurdów, jakie przeżyli za czasu rządów Tych i Tamtych. Zuzanna okrążyła Miasto jeszcze przed zmierzchem, starając się wytyczyć dokładne granice metropolii, a raczej wpisać na mapę okolicy ten szew, tę bliznę niewidzialną, linię transplantacji niemożliwego w możliwe. Zadanie okazało się zaskakująco łatwe; spodziewała się jakichś wyrafinowanych przeszkód, kolejnych cudów na drodze, tymczasem był to spokojny godzinny spacer. Rzecz w tym, że Miasto oczywiście nie zamykało się w tym kilkukilometrowym okręgu, jaki zakreśliła między laskiem, ugorem, rzeczką i zarosłymi mleczem łąkami. Bo kiedy się weszło na białe ulice, podążyło alejami tajemnic — kilometr, dwa, dziesięć... Miasto nie miało kresu, mogła tak iść i iść, żadnych oznak końca, żadnych wzgórz spłowiełej zieleni na horyzoncie, to nie był okrąg, to była nieskończoność przyszyta do starego PGR — u trzystusześćdziesięciostopniowym łukiem. Malena podpowiadała topologiczne eksperymenty. Przecinaj Miasto po cięciwie, coraz dłuższej, aż odkryjesz próg załamania przestrzeni. Zapisz z zewnątrz budynki graniczne, by, wszedłszy, pójść ich śladem po wewnętrznym okręgu: Miasto nie będzie miało okazji rozwinąć się w nieskończoność. — Albo tak — ekscytowała się przedurodzona, przeskakując z jednej mechanicznej rzeźby na drugą; szklane potwory zmieniały się za każdym dotknięciem, wielotonowe masy zatrząskiwały się ze zgrzytem, od którego cierpła skóra, w coraz to nowe formy, tylko że oczywiście dotyku Maleny nie czuły — albo tak: na Ariadnę. Ciągniesz za sobą... — Kamil ma w wozie GPS — ucięła Zuzanna. Kamil miał w wozie GPS, ale, zaklajstrowany ubikiem aa amen, zabrał arafata i pojechał do Krakowa po jakichś znajomych z Sidhe Inc. Dzwonił

do Zuzanny co godzinę, dopytując się, czy „fenomen nie minął”, po głosie sądząc, z lekka obrażony, jakby to ona była odpowiedzialna za pojawienie się Miasta. (A nie była?) Zuzanna przyniosła z domu Kamilowego dziadka koce i ułożyła sobie posłanie na sterylnym bruku Miasta, pięć metrów od granicy pachnącej gorącym sianem łąki, pod lewym skrzydłem garbatego wieżowca (ten wieżowiec miał skrzydła w sensie jak najbardziej ornitologicznym, po zmroku zapaliły się krawędzie białych piór, wiatr szumiał w nich i gwizdał). Ula, usiadłszy po turecku na piersi Zuzanny, gryzła końcówkę swojego warkocza. — Nie podoba mi się to wszystko — mamrotała. — Na co właściwie czekasz? Zniknie, musi zniknąć. — Istotnie, trudno było sobie wyobrazić, iż Miasto pozostanie tu na wieki wieków, świat nie akceptuje takich cudów, o Yeti i potworze z Loch Ness słyszy się bez przerwy, istnieją, nie istnieją lub coś pomiędzy, ale przecież nie można po prostu pojechać i zobaczyć ich, dotknąć; Miasto musi zniknąć. Tymczasem spała pod gwiazdami i pod białym skrzydłem, na perłowej alei. Budził ją dzwon i telefony od Światomiła Niewyraźnego. Detektyw pojawiał się i rozplýwał w ciepłej ciemności, ledwo rzuciwszy kilka słów. Na przykład: — Zna niektóre miejsca z tych zdjęć, przyznał się sam, trzymam go za jaja, będziemy jutro wieczorem. — Gwiazdy były gwiazdami Ziemi, rozpoznała Wielką Niedźwiedzicę, akurat jedyną konstelację, jaką była w stanie rozpoznać. Ula, wtulona między szyję i obojczyk Zuzanny, szeptała swoje kołysanki, bezsensowne aliteracje. Klajn budziła się i zasypiała. Sen — jawa — sen — jawa zawsze Miasto. Rrrrdummmm, rrrrdummmm, rrrrdummmm! O świcie pojawił się miejscowy ksiądz, nie wchodząc do Miasta, robił jego fotografie i rozmawiał przez starożytny telefon komórkowy. Minęła go, idąc do wioski; wymienili krótkie uprzejmości, z jakiegoś powodu oboje skrępowani. Przebrawszy się w elfi garnitur, wróciła do Miasta — teraz spoglądała na nie już nie jak ofiara monstualnego cudu, lecz jak zdobywca. Mało brakowało, a uniosłaby ramiona i zakrzyknęła: — Moje! — Zaczynała powoli rozumieć skrupulatną tajemniczość ojca. Każda ulica, każdy budynek Miasta stanowiły sekret oczekujący swego odkrywcy. Wstępując na perłową aleję, poczuła gorączkę kolekcjonera. Każda rzecz posiada tylko jednego odkrywcę, podobnie jak tylko raz traci się dziewictwo; nie można uczynić znanego i pospolitego na powrót tajemniczym. Jest w tej nieodwracalności coś barbarzyńskiego, nieludzka brutalność. Wchodziła do wnętrza opiaszczonych domów/maszyn/rzeźb z szeroko otwartymi oczyma, ostrożnie stawiając stopę za stopą, kręcąc głową na wszystkie strony aż do bólu karku — widok za widokiem zaraz obracane w zwarte binaria i rejestrowane, dzięki libarytowi w jej krwi i mózgu, na chtonicznych serwerach. Nawet Ula i Malena szanowały milczenie Zuzanny. Jeszcze się znudzą, jeszcze będą wchodzić w cień obcych monumentów z żartem na wargach i spojrzeniem nieskupionym, niecierpliwością w ruchach; tymczasem — tymczasem każde wnętrze budynku, do którego Zuzanna odnalazła wejście, obiecywało nowy dreszcz podniecenia i nowe cuda. Chociaż raz za razem znajdowały pustkę: nikt tu nie mieszkał, czy w ogóle były przeznaczone do zamieszkania, cóż, być może, nic przecież nie wiedziała o tych istotach — krwiożercze ośmiornice! insekty dwumetrowe! małe zielone ludziki! organiczne błoto! potwory, potwory, potwory! — nic nie wiedziała i w konsekwencji spodziewała się wszystkiego. W jednej z asymetrycznych wież (nadal bała się wspiąć ponad poziom parteru, widziała więc jedynie pierwsze kondygnacje) natknęła się na przykład na skomplikowaną sieć różnokolorowych strun, przecinających wewnątrz we wszystkich kierunkach i pod wszelkimi możliwymi kątami. Uniosła dłoń, dotknęła, struna zawibrowała, zmieniło się wpadające przez szczeliny w ścianach światło, dotknęła drugiej, Malena już krzyczała na cały głos, lecz Zuzanna dotknęła, i znowu: wibracja, zmiana światła, kurz w powietrzu — okazało się, że przeskoczyła kilka godzin, te struny wprawiają w drgania nie tylko powietrze, czyżby była to sieć jakiegoś pająka czasu, bestii chronopatycznej, czy żył on kiedyś w owej wieży? W następnym zigguracie znalazła zmięte opakowanie po snickersie. Myślała sobie: byli tutaj, byli tutaj przede mną,

piętnaście, dwadzieścia lat temu, gdy nie upowszechniły się jeszcze „żywe” materiały przemysłowe na kabalistycznym DNA, bo to jest plastik z czasów mojego ojca, Miasto zostało już raz odkryte i ja teraz —

Rrrrdummmm!

Przyjechali trzema samochodami: fluga, guliati i ford. Ten ostatni — kabriolet — był to wóz Niewyraźnego, bynajmniej nie wypożyczony, z oryginalną rejestracją: 31415926. Zmierzczało już, maszyny wtoczyły się na łąkę na pierwszym biegu, kolebiąc się po nierównościach na trenach własnych cieni. Miejscowy chłopak obserwował je od strumyka, ze źdźbłem trawy między zębami i rękoma wciśniętymi w kieszenie, pobrudzona koszulka jeszcze błyskała hologramem Kultu. Niewyraźny od jakiegoś już czasu pozostawał z Zuzanną w otwartym lśnię i wyszła im naprzeciw. Zatrzymali się u wylotu perłowej alei, Światomił wyskoczył pierwszy.

Nie zeszła na trawę, czekała w granicach Miasta; byli jej gośćmi, mieli to wiedzieć. Przywitała detektywa krótkim uściskiem dłoni. W rzeczywistości — to znaczy ciałem — był takim samym drobnym rudzielcem, nie sięgał jej do ramienia. Spłonił się, gdy Malena cmoknęła go w policzek.

— Słuchaj — zaczął szybko, przysuwając się do Zuzanny i ustawiając się przy tym plecami do wysiadających z samochodów — to jest już naprawdę poważny gość, musiał wykiwać także Wenera, ta emerytura to lipa, dorabia sobie w Chapeotoplex, taka ośmiozerowa spółka chthoniczna to nie w kij dmuchał, wyczarowali Pioruna, żeby przeskoczyć Atlantyk, ci goście z nim...

— Jezu, Świątek, wyluzuj, tysiąc razy już mi to powtarzałeś.

— Tak, ale...

Tamci weszli do Miasta. Z Eduardo Carboną opatrzyła się dobrze w ostatnich lśnach Niewyraźnego, to był ten najstarszy, to znaczy jedyny spoza owego neutralnego przedziału wiekowego dwadzieścia — czterdzieści pięć, w którym, dzięki Kabale oraz elfim technologiom, nie sposób przypisać ciału żadnego konkretnego wieku, a z kolei takie właśnie ciała posiadała pozostała trójka: dwóch mężczyzn i kobieta. Kobieta szła po lewej Carbony, szepcząc mu coś do ucha. Mężczyźni natomiast to byli, oczywiście, trolle, chapeotoplexowe lub najemne.

Carbona dwoma szybkimi krokami oderwał się od szepczącej doradczyni.

— Panno Klajn.

— Dziękuję, że znalazł pan czas...

— Darujmy sobie. — Ujął ją pod ramię. — Chodźmy, porozmawiamy serio.

Obejrzała się na Światomiła. Kobieta pokazywała mu jakieś dokumenty, minę posiadał zaiste niewyraźną. Trolle stanęli pod bezokiennymi ścianami gmachów po obu stronach alei, nie mieli czarnych okularów, ale ich spojrzenia były równie plastikowe. Znała te anegdoty: że niby po intensywnym treningu SEPV człowiek nie jest w stanie spojrzeć nikomu „prosto w oczy”, choćby jego życie od tego zależało — w takim razie ci dwaj spoglądając w lustro zapewne muszą zezować.

— Panno Klajn.

— Tak.

Ruszyli w głąb alei. Po kilku krokach wywinęła się zgrabnie z uścisku Latynosa. Do elfiego garnituru ubrała kroniczne gluety na trzycalowych obcasach, w efekcie była odrobinę wyższa od Carbony, to też się liczyło.

— Pan znał mojego...

Rrrrdummmm!

— Bije, draństwo.

— Bije. Co to jest?

Inaczej zrozumiał jej pytanie.

— Eldżet. — Machnął ręką. — Liebach–Galo, LG. Oddychamy jeszcze ikjuria, ale to — tupnął w perłowy chodnik — to już czysty eldżet.

— To miasto...?

— Symetria formy. Nie wiemy, czy taka jest natura eldżetu, czy też specjalnie tak je zaprogramowano.

— Wy? Instytut Wenera?

Potrząsnął niecierpliwie głową, ni to potakująco, ni to przecząco.

— Instytut, Chapeotoplex, Górniczy, Terakotowi Ministrowie, oczywiście Pentagon. Owszem, Galo pracował dla Wenera.

— Mój ojciec... Rrrrdummmm!

— *For God's sake*, pan wie, co się stało z moim ojcem? Jan Klajn.

Carbona wskazał ruchem głowy Miasto.

— A co się mogło stać? To, co zawsze. Może coś wiedzą na zamku.

— Gdzie?

— Nadal trzyma go Werner. Wysoki Zamek. Podobno go pani widziała.

Czym prędzej przeskoczyła temat,

— Dlaczego ja? To ten klejnot, prawda? Przystanął. Obróciła się, lewą dłonią sięgając ku naszyjnikowi.

Wyciągnął rękę.

— On je przyzywa — mówiła, przyglądając się z pochyloną głową zamrożonemu w formie misternemu mechanizmowi, wysunąwszy go na światło spod elfiego materiału — jego ustawienia, jak się zmienia, od tego zależy, czy Miasto się pojawi, czy nie, tylko nie rozumiem, czemu nie w Krakowie, czemu nie gdy leżał w sejfie...

Carbona czekał z wyciągniętą ręką.

— To tak nie działa — rzekł. — Kombinacje składowych tylko sygnalizują zmianę stanów, niczego nie powodują. Jest to natomiast bezcenny wzmacniacz symetrii; Pierwsze Prawo Ciała: eldżet przyciąga eldżet — ale my musieliśmy budować dziesięciomilowe amplifikatory, żeby tylko od czasu do czasu... A tu taki gadżecik.

— Więc jeśli nie on jest przyczyną — zaciskała palce na klejnocie — to dlaczego już drugi raz...

— Proszę mi go dać.

— Dlaczego nagle w środku takiego zadupia... To bez sensu.

— Proszę — powtórzył cierpliwie, głosem cichym i łagodnym.

— Ojoj! — pisnęła Ula.

Zuzanna postąpiła krok wstecz, obcas trzasnął o gładki chodnik.

— Zaraz, ja tu mam otwarty lsen, więc jeśli planuje pan jakieś groźby karalne, to od razu mogę podać wysokość odszkodowania za każde słowo.

— Ale ja proszę. — Nie zmienił tonu, nie odwrócił wzroku od jej twarzy. — Myślisz, że dlaczego tu przyleciałem? Odpowiadać na twoje pytania o tatusia? Co mnie obchodzi stare graffiti z fontanny. Pan Niewyraźny opisał natomiast dokładnie tę egzotyczną biżuterię. Czytałaś kontrakt, jaki twój ojciec podpisał z Instytutem? Wszystko, co znalazł podczas pracy dla niego, stanowi własność Instytutu. Proszę.

— Być może — wycedziła. — Z pewnością natomiast nie podpisywał żadnych kontraktów z Chapeotoplex.

— Zadzwoń po gliny? — spytała Malena.

— Dziewczyno, czy ty sądzisz, że mnie to sprawia przyjemność? — Carbona parsknął z nagłą

irytacją.

— Nie najmowałem się na schwarzcharakter, nie chcę cię straszyć. Być może uważasz, że ochroni cię miejscowa policja albo twoi prawnicy. Zbombardowano milionowe slumsy Sao Paulo, żeby ukryć mniejsze zwichrowanie symetrii eldżetu; pamiętasz czterdziesty trzeci? Ani nie miałybyś się w co ubrać, ani gdzie mieszkać, ani najpewniej w ogóle by cię na świecie nie było. Nie mówiąc już o twoich lsnach.

— Mogę ogłosić całemu światu...!

— A inni przed tobą to niby nie mogli? Proszę cię. Daj. Jesteś piękną kobietą. Będzie mi się śnić po nocach. No. Proszę.

Ula się rozplakała.

— Dzwonię — warknęła Malena.

Zuzanna obejrzała się na Światomiła i ludzi Carbony. Zobaczyła tylko kobietę, stała na łące, tuż za granicą Miasta, z telefonem przy uchu, ze wzrokiem wbitym pod stopy. Trolle gdzieś zniknęli. Dopiero za drugim spojrzeniem Zuzanna dostrzegła, na co patrzy tamta kobieta — dzieliło ich już ponad pięćdziesiąt metrów

— na Światomiła mianowicie, który leżał plackiem na ziemi, ręce i nogi szeroko rozłożone, uskok perłowego chodnika i plama rudych włosów przesłaniały twarz. Nie poruszał się.

Nie było sensu pytać Maleny: skoro sama Zuzanna tego nie widziała, Malena też nie wie, co tam się stało. Klajn wywołała Niewyraźnego we lśnię. Nie odezwał się.

Rrrrdummmm!

Eduardo Carbona nadal nie opuścił ręki, nie zamknął dłoni. Smutnymi oczyma spoglądał wyczekująco na Zuzannę.

— Mają mnie na muszce, prawda? — spytała. — Pan naprawdę sądzi, że posiada immunitet.

— Trudno uwierzyć w realność przemocy, prawda? Zwłaszcza wam, młodym, od dzieciństwa ubezpieczanym przez lsen i w ogóle żyjącym jak we śnie. — Wtem lewą dłonią złapał ją za przedramię, prawą zacisnął w pięść, po czym, powoli, nieprzerwanie patrząc Zuzannie w oczy i nie stosując żadnych mylących manewrów, uniósł rękę i uderzył dziewczynę w twarz. Mocno.

Nawet się nie uchyliła, wciąż najwięcej w niej było zdumienia. W ostatniej chwili odezwał się instynkt czysto zwierzęcy i mimowolnie wykonała drobny ruch głową. Pięść zesłała po policzku. Tym niemniej — ból, szok i trzęsienie ziemi.

Nie krzyknęła, nie przewróciła się i nie otworzyła palców zaciśniętych na klejnocie — lecz Carbona nie próbował też go jej wyrwać. Straciła jednak równowagę i, by nie upaść, szarpnęła się; puścił ją. Dyszała głośno, zastopowana w pół kroku przez wątpliwości wywołane odruchowymi skojarzeniami z filmami: czy trolle po prostu nie zastrzelą jej, gdy spróbuje ucieczki? Oczy jej łzawiły, mrugała. Dopiero więc po sekundzie, dwóch zorientowała się, że ta ciemność nie pochodzi z jej wnętrza. Mrok naprawdę spadł na Miasto; i nie był to skutek nagłego zachodu Słońca.

Carbona w tej chwili na nią nie patrzył, rozglądał się dokoła, klnąc pod nosem. Widziała jego sylwetkę, ale nie widziała twarzy, nie było tu światła, może tylko jakiś słaby, fioletowy poblask skądś z północy, nie z nieba — bo najpierw zerknęła wzwyż: tam tylko bezgwiezdna czerń.

— Ono zniknęło — szepnęła — prawda? Razem z nami. Rrrrdummmm!

— Powiedzieli, że będą za dziesięć minut — poinformowała Malena. — Podłączyłam ich na jednostronnej, chyba nie masz nic przeciwko? Psycholog z komendy jest na linii, wpuścić go?

— Dlaczego ja cię jeszcze widzę? — mruknęła Zuzanna, wolną ręką ostrożnie dotykając pulsującej bólem kości policzkowej.

— Tylko mi tu nie odstawiaj szoku powypadkowego! — warknęła Malena. — Wszystko

nagrałam, masz skurwiela w garści.

— Przyjadą i tam nikogo nie będzie, nie będzie Miasta. Może Niewyraźny, o ile jeszcze żyje...

Doszła do wniosku, że Carbona rozmawia z kimś w swoim łśnię; zniknięcie Miasta zaskoczyło i jego, z pewnością wybuchła już intensywna telekonferencja między szefami Chapeotoplex. Zuzanną zupełnie się nie przejmował. Uciekać? Niby dokąd miałyby uciec? Zresztą — trolle. Z pewnością równie dobrze widzą w podczerwieni.

— Zuza, Zuza — szarpnęła ją za nogawkę zapłakana Ula — oni nas zabijają, prawda? Zabijają nas — skoro i tak wszyscy zniknęliśmy, a nie przejmują się przecież policją... już ci nie wyrywa naszyjnika, zdejmie z trupa. No zrób coś, uciekajmy, Zuza!

— Ciii...!

Ale to mogła być prawda. Chociaż niewykluczone, że Carbona po prostu co innego miał w tej chwili na głowie, martwił się przede wszystkim, w Jaki sposób wydostać się teraz z Miasta...

Rozchyliła ostrożnie palce, lecz było zbyt ciemno, by rozróżnić szczegóły kształtu — poczuła natomiast wyraźnie szybki ruch uwolnionego z uścisku klejnotu, tego „amplifikatora symetrii”, jak go nazywał Carbona. Szmrtt, szmrttt! — i klejnot zatrzasnął się w nowej formie. Odbił z opóźnieniem zmianę już zaszłą, pomyślała. Nic nie wymuszę mechaniczną manipulacją jego częściami, najwyżej zepsuję — a to w tej sytuacji byłaby katastrofa. Bo właśnie: jak byśmy wrócili...?

— Carbona! — warknęła, unosząc na wysokość twarzy pięść z powrotem zaciśniętą na klejnocie. — Dopiero co napompowałam się libarytem — skłamała równym głosem, gdy się ku niej obrócił — zaprogramowane reakcje mam szybsze od myśli. Poinstruowałam moje duchy, w pośmiertnym odruchu zmiażdżą tę zabaweczkę, w życiu stąd nie wyjdziecie.

— Na litość boską — zachnął się Eduardo — nikt cię przecież nie zamierza...

— Taa, a lekcja boksu była w ramach zapoznawcze — go flirtu. Przywołaj ich, natychmiast. Chcę ich tu zobaczyć — przypomniała sobie Swiatomiła leżącego w trawie — chcę ich zobaczyć z rozłożonymi rękami i nogami, twarzą do ziemi, obu.

— Ty idiot...

— Już!

Na wszelki wypadek cofnęła się jeszcze kilka kroków, nie była w stanie dojrzeć, co on dokładnie robi — może drapał się po brodzie, a może sięgał po broń.

Raz, dwa, trzy, serce biło jej mocno, czekając zaczęła liczyć, ale —

Rrrrdummmm!

Zaczęła więc liczyć, raz, dwa, trzy, pięć, dziesięć, i już miała wykrzyknąć kolejną groźbę, gdy Carbona mruknął:

— Idą.

— Dam ci jednak tego policyjnego negocjatora — — zdecydowała Malena.

Zuzanna nie zaprotestowała. Prawda wyglądała tak, że panna Klajn była przerażona i wolała za wiele nie mówić, by nie zdradzić swego strachu załamaniem głosu lub w pół słowa połkniętym oddechem. Wszystko docierało do niej z opóźnieniem: szok ciosu w twarz, oderwanie się Miasta od Ziemi, zagrożenie życia... nawet spowijająca teraz tę obcą metropolię ciężka ciemność nie od razu zrobiła na niej wrażenie. Ale wreszcie pełna świadomość jej położenia — że to dzieje się naprawdę — przedarła się do Zuzanny i zaczęła ona w zdumieniu powtarzać sobie: ja mogę tu umrzeć, mogę tu umrzeć, mogę umrzeć. Cóż lsen? W tłumie znajomych i krewnych, zginę tu w samotności, w wielkim, ciemnym Mieście, tylko ja — i Carbona i jego trolle... Zaczął w niej wzbierać wściekły szloch i owo przemożne pragnienie zadania bólu samej sobie, wgryzie się do krwi w język, w wewnętrzną stronę policzka, niech poczuje, zasłużyła.

Rrrrdumramm!

Wzdrygnęła się, wyrwana z katatonicznego załęknienia. Zacerpnęła powietrza — lecz już nie zdążyła nic powiedzieć, fale kolejnych zdarzeń uderzały, zanim jeszcze poprzednie opadły, tego powietrza nawet nie wypuściła z płuc.

Raz:

Lawina światła, wstrząs i głuchy huk, za którym nadeszła fala gorącego powietrza. Trzeba było zmrużyć czy, przed światłem i przed pyłem; widok dotarł z opóźnieniem. Najpierw niebo purpurowe, niskie, obwisłe śliwkową napuchlizną tuż nad Miastem. Potem światła ponad horyzontem — gwiazdy? księżycy? samoloty? Potem — spomiędzy budynków i w perspektywie perłowej alei — obrazy Miasta oraz tego, w co ono niepostrzeżenie, przecznica za przecznica, przechodzi: częściowo zabudowaną, częściową zarosła dziką roślinnością barwy rdzy, równinę obcej planety.

Dwa:

Podenerwowany wąsacz w przepoconej koszuli, z policyjną legitymacją na piersi, próbujący za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę Zuzanny, wymachujący rękoma, pokrzykujący: „Panno Klajń! Panno Klajń!”, i prawie że szarpiący ją za ramiona. Odruchowo odpędza go gestami dłoni, nawet nań nie patrząc, niczym natrętną muchę.

Trzy:

Zapachy. Dźwięki. Chwilowy ból w piersiach, zawrót głowy i zła lekkość, odciążenie ciała, jakby przemocą zasysało Zuzannę w krainę słabszej rzeczywistości, w lsen, w sen, w bajkę. Woń palonej kawy, mocna, wwiercająca się przez zatoki do mózgu. I szum, szelest, chóralny szept, przyniesiony na skrzydłach tego gorącego wiatru, echo odległej kakofonii — mimowolnie nachylamy głowę, by wychwycić brzmienie i sens poszczególnych słów. Lecz to nie są słowa.

Cztery:

Trolle. Nie spieszyli się z przybyciem na wezwanie Carbony, purpurowe niebo zastało ich idących wolnym krokiem kilkanaście metrów od Zuzanny; lecz wtedy, niczym na umówiony znak — bo może rzeczywiście był to dla nich sygnał znany i spodziewany — przeszli w ciężki trucht, szerokie bary rozkołysały się na boki, prawe dłonie wyjęły spod marynarek brzydkie, kanciaste pistolety, toporne oblicza jeszcze bardziej zmartwiały, gdy otworzyli szerzej oczy, dla pełnego wykorzystania *Super — Extensive Peripheral Vision* nie skupione na żadnym konkretnym przedmiocie, niczym u ślepców.

Lewe ręce symetrycznym ruchem sięgnęły do kieszeni i przycisnęły do twarzy białe maseczki symbiotyczne, które szybko nadeły się wokół nozdrzy i ust w groteskowe bulwy, tym bardziej kontrastujące z ową szarą, mułowatą skórą godną zaiste trolli. Z pewnością Kabaliści Genowi podrasowali także koordynację ruchową ochroniarzy: zanim jeszcze na dobre zdała sobie sprawę ze zmniejszenia grawitacji, Zuzanna spostrzegła różnicę w sposobie, w jaki oni teraz biegli. Żeby chociaż się potknęli, zawahali — ale nic.

Minęli ją, jeden zatrzymał się przy Carbonie, drugi dopiero pod ścianą budynku za plecami Latynosa. Nie patrzyli na nią, ale właśnie to mogło stanowić oznakę, że stanowi centrum ich uwagi.

Pięć:

Rrrrdummmm!

— Nadchodzi! — Co wyszło z ust Carbony, bardziej przypominało skrzek, dźwięki były absurdalnie wysokie, głoski przeciągnięte; no i nie wiadomo, do kogo on to mówił, do kogo krzyczał, nie do Zuzanny, nie do swoich trolli, spoglądał w lewo, ku tym dzielnicom świeżo przyszytym do Miasta, ku światłom nadhoryzontalnym; nie widziała jego twarzy, a gdyby widziała — czy zobaczyłaby na niej przerażenie? — Nadchodzi!

Nadchodził, ujrzała go zeskakującego z otwartej galerii pierwszego piętra przysadzistego budynku, sześćdziesiąt–siedemdziesiąt metrów dalej wzdłuż alei, od południa, od rdzawej równiny i Nowego Miasta — stamtąd nadszedł. Wiedzieli, bo pozostawiał za sobą smugę błękitu, chemiczny powidok, wiszący w powietrzu długo po jego przejściu, rzadszy w miejscach, które przebył biegiem, intensywniejszy, gdzie przystawał. Błękitny wąż ciągnął się wzdłuż alei dobre pół kilometra; musiał być przebiec większość dystansu. Sześćdziesiąt, pięćdziesiąt, czterdzieści metrów, połykał przestrzeń długimi susami, nie mogła oderwać od niego wzroku. Dopiero teraz spostrzegła, iż błękit nie bierze się z jego ciała, ani ubioru, lecz z ostrza kosy, długa, pozioma wstęga, płynąca sinusoidalnie na wysokości głowy zgodnie z rytmem kroków mężczyzny — to był mężczyzna — wzwyz i w dół, a raz potrząsnął kosą, unosząc przeciwny koniec drzewca i wówczas ścieżka błękitu prawie dotknęła perłowej nawierzchni ulicy. — Kto to jest? — mamrotała Malena. — Panno Klajn, muszę panią po informować... — nalegał policjant. — Uciekajmy! — zawodziła Ula. — Uciekajmy! — Wszyscy stali w bezruchu.

Rrrrdummmm!

— Strzelajcie—żesz, na co czekacie?! — wrzasnął Carbona.

— To upiór — odparł równie wysokim głosem jeden z trolli.

— Ale nadal stąpa po ziemi, prawda? Może coś go zahaczy. No! — Następnie obrócił się do Zuzanny. — Ty! Ty! Z powrotem, ale już!

Mimowolnie mocniej zacisnęła dłoń na amulecie. Czuła delikatne parcie drobnych mechanizmów, chciał zmienić kształt, by odbić tę nową pozycję Miasta — czy co on właściwie swoją formą odbijał — ale nie pozwalała mu.

Trolle strzegli, krótkie serie maszynowego ognia rozdzierały monumentalną ciszę Miasta, trrrutt, trrrutt, trrrutttttttt! Zmieniali magazynki naprzemiennie, to jeden, to drugi; puste kasety spadały im pod nogi.

Błękitny Kosiarz nadal biegł, widziała błyski pocisków rykosz3tujących od ścian za jego plecarii — kule przechodziły przezeń jak przez dym, zero interakcji, szarpnęłoby nim przecież, gdyby chociaż jedna zetknęła się z jego ciałem; może nie miał ciała? Skoro tak, skoro jest całkowicie przenikalny — czego się boją? Nawet ich nie dotknie.

— Nie chcesz? Nie potrafisz? — syczał na Zuzannę Carbona.

Tylko jeszcze dalej się odeń cofnęła.

— Obyś się w piekle smażyła, Zuzanno Klajn — mruknął, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył biegiem ku wąskiemu przejściu między pobliskim budynkiem–maszyną a budynkiem–rzeźbą.

Trolle nawet się za nim nie obejrżeli; stali i strzelali.

Kosiarzowi pozostało dwadzieścia metrów. Błękitne ostrze było proste — linia niewidzialnego rozdarcia, z której wylewał się kolor. Gdyby nie on, dostrzegaliby w rękach upiora jedynie czarny, metalowy pręt, drzewce Kosy. Może to ostrze jest tak cienkie, że aż niewidoczne; może rozcina samą przestrzeń, a ten błękit, jaki z niej broczy...

Rrrrdurnmmm!

— Zetnie ci głowę — stwierdziła Ula.

Zuzanna rzuciła się do ucieczki.

Po kilku krokach mało się nie przewróciła, ciało nie ważyło tyle, ile powinno ważyć. Musiała zwolnić, oderwać buty od stóp. Dalej biegła bosy. Perłowy chodnik był bardzo zimny. Szybko zaczęło brakować jej tchu. to powietrze nie dostarczało wystarczająco dużo tlenu, choć zagęszczone — od jakich to trucizn było tak gęste? Nawet odgłos jej zdyszanego oddechu brzmiał inaczej.

Obejrzała się za siebie — w złym momencie. Upiór rozciął już jednego trolla, od obojczyka do

miednicy, i właśnie brał zamach — zawieszając w powietrzu trójwymiarową kaligrafię śmierci, misterny ideogram błękitu — brał zamach, by przepołowić drugiego. Cięcie wyprowadzone z tego Möbiusa minęło trolla o włos, ochroniarz uchylił się, przetoczył dwukrotnie w lewo i ponownie zmienił magazynek. Trrrruttttttt! Kosiarzem cisnęło wstecz, w białym T-shircie na jego piersi pojawiła się calowa dziura, opadł na kolana — lecz kosy nie wypuścił.

Zuzanna nie czekała na rezultat tego pojedynku, biegła dalej. Zdawała sobie sprawę, że na dłuższy wysiłek w tych warunkach — na tej planecie — jej nie stać, już doświadczała zawrotów głowy: chciała jednak przynajmniej zniknąć Upiorowi z oczu. Skręciła za dwusekundowy obelisk (pojawiał się i znikał co dwie sekundy, lśniący ostrosłup seledynowego kamienia), przebiegła jeszcze kilkanaście metrów i skryła się do wnętrza spiralnej wieży o ciernym, wilgotnym wnętrzu zarośniętym przez żelazne kwiaty o płatkach jak żyletki, Cofnęła się pod ścianę, by się nie skaleczyć. Zaraz okazało się, że tak naprawdę musi się o tę ścianę oprzeć, ugiwały się pod nią nogi, usiadła płasko, brudząc w rdzawej glebie elfie spodnie. Pochylali się nad nią Malena, policyjny psycholog i Kamil — skąd on tutaj? kto go wpuścił? Malena? odbiorę jej uprawnienia — wyciągali do niej ręce, mówili coś. Nie słyszała, krew huczała w uszach; nie była też w stanie sama nic powiedzieć, spazmatycznie wdychając powietrze — lecz nadal brakowało jej tchu, ciemne plamy latały przed oczyma, Jezu, to naprawdę nie jest atmosfera dla ludzi, ledwo uniosła ramię, by przytulić Ulę, która wdrapała się jej na kolana i szeroko otwartymi oczyma spoglądała teraz, przerażona, w górę, na zlaną potem twarz Zuzanny. W wejściu do wieży kotłowały się cienie — od tego gorącego wiatru i podnoszonych przezeń tumanów brunatnego pyłu, a może to Kosiarz już przyszedł po nią? Czarne żyletki zaszeleściły z nagłą nadzieją. Zuzanna dyszała rozpaczliwie, opuściwszy bezwładnie głowę, nawet Uli już nie widziała, robiło się coraz ciemniej, spadała w głąb, w tę ciemność. Szszzszczt... Niech ktoś mnie dotknie, na miłość boską, to nie jest Isen...! W ciemność. Rrrrdummmm!

— Jest przytomna, czuję, że się obudziła.

— Zuza! Wracasz!

— Spoliczkuj ją, teraz już do niej dotrze. Zuzanna otworzyła oczy i zaczęła mrugać, oślepiąca.

— Oddychaj powoli — poradziła Malena.

— Straciłaś czternaście godzin — stwierdził Światomił, klękając nad Klajn. — Musimy szybko ustalić parę rzeczy.

— Będę rzygać — wymamrotała Zuzanna. — Skąd to światło?

— A skąd my możemy to wiedzieć? Stąd nie widzisz.

— Pewnie słońca wzeszły — rzuciła Malena.

— Jakie słońca?

— *Sweet Jesus*, obudzisz ty się wreszcie?! Niewyraźny podawał jej gruby plik dokumentów.

— Weź, nie będziemy tracić czasu na gadanie.

— Ty żyjesz.

Malena spoliczkowała ją dwoma szybkimi uderzeniami na odlew.

Klajn odepchnęła ją, przewracając w gąszcz żyletkowych róż, i Skorpion wstrzyknął Zuzannie małą porcję satysfakcji. Przedurodzona podniosła się, nawet nie udając zranionej.

— Już. Słuchasz mnie?

Zuzanna wstała powoli, otrzepując garnitur i masując obolałe plecy.

— Ilu was tu? — rozglądnęła się po parterze wieży. — Wisieliście na mnie przez ten cały czas?

— Nie wiedzieliśmy, kiedy się ockniesz — rzekł Kamil. — Czy w ogóle. Panowie z kancelarii

Lipszyca chcieliby z tobą...

Panowie wystąpili do przodu.

— Zaraz. — Zuzanna policzyła lsenne zjawy, tłoczące się dookoła niej. — Osiemnaścioro! Rany boskie, czy wy myślicie, że ja jestem jakimś mutantem... — Zatrząśł nią dreszcz. — Brr, co tu tak zimno.

— My nie marzniemy.

Papiery przyniesione przez Światomiła zmniejszyły kilkakrotnie swój format, gdy podniosła je Ula; czytała, kartkując szybko. Zuzanna zmierzwiła jej włosy w roztargnieniu.

— Wyjdźmy z tego grobu.

Jeszcze zanim opuściła wieżę, miała pewność, że tu znowu nastąpiła zmiana, gdy ona pozostawała nieprzytomna — inna była nie tylko temperatura, ale także smak powietrza, wysokość dźwięków, ciężar jej ciała. Nie musiała nawet sprawdzać amuletu.

Wyszły w światło. Biało-błękitna półkula planety przesłaniała połowę nieba nad Miastem, zimny blask zalewał ulice i place. Zuzanna mimo woli założyła ręce na piersi i wcisnęła głowę między ramiona, widok był zbyt przytłaczający, taka gigantyczna masa nie ma prawa wisieć na nieboskłonie, to jest obraz kosmicznej katastrofy, coś z gruntu nienaturalnego — no i gdzie w takim razie miałyby znajdować się teraz Miasto, na tego księżycu olbrzyma, na jakimś sztucznym satelicie? Czemu próżnia nie wyssała zeń powietrza? Musi to jednak być spory obiekt, zważywszy, że i grawitacja jest tu wyższa niż na owej planecie purpurowego nieba...

Tak ją pochłoneła ta zagadka, że zapomniała zupełnie o Błękitnym Kosiarzu i dopiero wyszedłszy na skrzyżowanie, gdy rozglądając się po pustych i cichych, bezwietrznych i bezcienistych alejach Miasta, spostrzegła ciśnięte na jeden krwawy stos cztery połówki ciał trolli, nadal obleczone w ciemne garnitury, dopiero wtedy wróciła do niej tamta panika i tamte myśli: mogę tu umrzeć, mogę umrzeć.

Kosiarza wszakże nigdzie nie było widać. Czyżby pobiegł za Carboną? Tak czy owak, minęło tyle czasu, że gdyby chciał Zuzannę dopaść, dawno by ją dopadł.

— Pamiętasz, w którą stronę do tej fontanny? — spytała Ule. — Ohydę mam w ustach.

Ula bez słowa wskazała kierunek i —

Rrrrdummmm!

— Nie zdajesz sobie sprawy, co tu się działo — szeptał Zuzannie do ucha Kamil, obejmując ją od tyłu.

— Jak najszybciej powinnaś porozmawiać z prawnikami. I w ogóle, wracaj czym prędzej. Im dłużej...

— Myślisz, że nie chcę? — mruknęła.

— Mhm, szczerze mówiąc, mam wątpliwości. Raczej wydajesz się być zafascynowana.

— Ale czy musieliście wpuszczać tu tyle ludzi? Wiesz, że nie mam głowy do tak mocnych lsnów. A pozywać Carbonę — nie wiem, czy jest jeszcze sens, założę się, że skurwiel nie żyje. — Skinęła w stronę skoszonych trolli.

— Nic nie rozumiesz. Jesteś oskarżona o kilkanaście poważnych przestępstw, głównie z antyterrorystycznych konwencji UE, łącznie ponad sto lat więzienia; ponieważ nie można cię zlokalizować, szykują list gończy, musisz się czym prędzej zgłosić, prawnicy Lipszyca wynegocjują warunki poddania, inaczej Bóg wie, co za afera z tego wybuchnie. Zuzanna, to jest poważna sprawa.

Obróciła się w jego ramionach, zbyt zdumiona, by wypowiedzieć żart, który cisnął się na wargi — ale po jednym spojrzeniu poznała, że on mówi absolutnie serio. Zamknęła usta. Ponad jego barkiem widziała pozostałych gości swego lsnu, desperacko szukali z nią kontaktu wzrokowego, z pewnością każdy miał jej coś niezmiernie ważnego do przekazania, lecz najwyraźniej bali się, że ich rozłączy, jeśli będą się narzucać; niektórzy istotnie spoglądali z lękiem: ci prawnicy, wicedyrektor

Licz sp. z o.o., nieznajoma kobieta w jasnym mundurze, policjant... Jedna Malena, ostentacyjnie obojętna, rozglądała się po Mieście, gapiała w niebo.

— Niech zgadnę, czego chcą — szepnęła Zuzanna, podświadomie sięgając amuletu.

— Mhm?

Coś ciepłego i lepkiego spłynęło jej na wargi i brodę. Odstąpiła od Kamila, zaciskając palcami nozdrza i przechylając wstecz głowę.

— No tak, wiedziałam — zaczęła zrędzić. — Sądziłicie, że produkuję libaryt w szpiku kostnym? I kto to wszystko zaczął? Malena, idiotko, już nigdy ci nie przyznam uprawnień. No jasna cholera, zaraz tu, khl, khr!

— Zakrztusiwszy się krwią, splunęła wściekle.

Spod wpółopuszczonych powiek widziała, jak rozplývają się w powietrzu, powoli, lecz nieubłaganie. Najpierw Miasto jedynie lekko prześwitywało przez ich sylwetki, lecz wkrótce niektórych części ciała — nóg, torsów — nie było widać w ogóle; twarze zawsze odchodziły ostatnie, jako najmocniej uszczegółowione.

I dopiero w tej chwili dotarło do niej, co naprawdę będzie oznaczać odebranie jej możliwości śnienia libarytowych snów. Niby dobrze wiedziała, ale to była kolejna z tych rzeczy, w które jakoś nie potrafiła uwierzyć

— na owym najbardziej podstawowym poziomie, podracjonalnie. Że zostanie tu sama. Sama w Mieście, sama we wszechświecie. Wstrząsnął nią dreszcz.

Oni — którzy nigdy nie marzną — szybko zrozumieli, co się dzieje, i ruszyli ku niej, pokrzykując i czyniąc gniewne grymasy. Niektórzy wręcz chwyтали ją za ramiona, szarpali, obracali ku sobie, jedni przeciwko drugim. Lecz stopniowo wyciekała z nich także siła dotyku, na koniec były to ledwie muśnięcia — rozwiali się niczym majak poranny. Zuzanna pozostała samotna na skrzyżowaniu szerokich alei Miasta, pod monumentalną planetą lodu, z krwią na twarzy, dłoniach i marynarce, sponiewierana przez duchy, zdezorientowana i drżąca z chłodu, prawdziwego bądź urojonego. Oddychała przez szeroko otwarte usta, charcząc i plując. Zimna jasność wlewała się w nią z nieboskłonu, pomimo zaciśniętych powiek.

— Chodź — rzekła Ula, ciągnąc ją za nogawkę. — Tam się umyjesz.

Rrrrdummm!

I tak oto Zuzanna Klajn znalazła, się na wygnaniu. Banita ze znanego świata, skazana na ten nieznany, zrozumie go lub zginie. W pierwszym odruchu bynajmniej nie klęła jednak własnej głupoty, nie wyzywała wściekle od potworów i morderców Eduardo Carbonę *et consortes*, nie płakała, nie histeryzowała i nie użalała się nad sobą. Na samym początku był bowiem dreszcz podniecenia, jakaś dziecinna ekscytacja, której sama do końca nie pojmowała, lecz której nie zamierzała się wypierać.

Było to podniecające z tego samego powodu, z którego było przerażające: zagrożenia śmiercią. Odtąd wszystko zależało od niej samej: uratuje się albo nie. Lub od losu: bo być może w ogóle nie ma dla niej ratunku. Lecz nikt inny jej nie pomoże; i każde cierpienie, także właśnie śmierć — będzie autentyczne.

Rozpoczyna grę w stanie zero.

Posiada:

1) ciało;

2) umysł;

3) elfi garnitur;

4) buty;

5) telefon (bezużyteczny);

6) pierścień ipsacyjny;

7) amulet ojca;

8) Ulę.

Ilość rezerwowych żyć: zero.

Opcja zapisu i odtworzenia ze stanu wcześniejszego: wyłączona.

Właściwie więc otrzymała to, czego zawsze oczekiwała, jeszcze jadąc do rotterdamskiego banku, schodząc do krakowskich katakumb Abominado: szansę prawdziwej przygody. Aby emocje były realne, realne musi być zagrożenie. Im ono większe, tym więcej adrenaliny w żyłach. Po cóż innego ludzie stawiają w kasynach na jedną kartę cały swój majątek? Istnieje granica możliwego zaangażowania w gry losowe, filmy i symulacje komputerowe: strach mały, więc także radość i ulga małe, bardzo płytki odcisk w psychice. Największą plagą Generacji T stanowiły bynajmniej nie narkotyki i nie ipsatory, lecz sporty ekstremalne na granicy rosyjskiej ruletki. Zuzanna nigdy ich nie uprawiała — ale przecież rozumiała tę tęsknotę, dzieliła z innymi potrzebę owego *thrillu*, ostatecznego stresu ciała i umysłu, po którym nic już nie będzie takie samo. I teraz, rozglądając się po cichym i pustym, obcym Mieście, drobna figurka w przytłaczającej scenografii — drżała nie tylko z zimna.

Nigdy nie będzie w stanie patrzeć na nie bez tego nabożnego onieśmienia, religijnej zgoła pokory. Niewierzająca, na widok Miasta i twarzą w twarz z dzikim, niepojętym wszechświatem — doświadcza uczuć najbliższych uniesieniom mistycznym.

Nie anioły, nie krew świętych, nie relikwie i miejsca agonii, lecz owe monumenty pozaziemskich tajemnic stanowią dla Generacji T odpowiednik *sacrum*: rzeczy ze swej istoty należących do wyższego, szlachetniejszego świata, których sam widok odbiera dech, przyspiesza puls i wypala rumieńce.

Nie męczennicy — lecz Obcy, prawdziwi Obcy chadzali niegdyś tymi ulicami. Jak znaków teofanii, wypatruje Zuzanna świadectw ich cywilizacji, wizerunków ciał. Zawieszane w powietrzu rzeźby — z kamienia, wody, gazu, kryształu, innych tworzyw, martwych i żywych, wyglądających na żywe — przedstawiają stwory, które mogą być inteligentnymi istotami, ale mogą też być fantastycznymi wytworami ich umysłów. Jak rozpoznać fantastykę wyśnioną przez tych, którzy do niedawna sami należeli wyłącznie do dziedziny *science fiction*? SF Obcych: obraza dla rozsądku i wyobraźni człowieka.

Nie cuda i wola Boża — lecz technologie milionletnie, nauki nie ludzkie spisane i zapomniane przed narodzinami *Homo sapiens*, wiedza nie dla naszych umysłów przeznaczona wzniosła Miasto i wszystkie miasta, w które ono wtula się pośpiesznie na jeden rozdzierający krzyk Zuzanny. Cuda by kwestionowała, przeciw cudom by się buntowała; lecz scjencję obcogwiezdnych potworów przyjmuje z szeroko otwartymi ustami i ptasim drżeniem serca. Te megality wyłaniające się i zanurzające pod powierzchnię rzeczywistości w szybkich i jeszcze szybszych rytmach, ruchome, więc jakoś żywe, tysiactonowe rzeźby, a może właśnie maszyny, wnętrzości maszyn przemieszczających Miasto wskroś wszechświata... Te architektury zwichrowanej grawitacji, spirale schodów płózące się równoległe do ziemi, a kiedy na nie Zuzanna wstępuje, to ziemia zdaje się stawać przeciwko prawom ciężenia, dół i góra są zawsze tam, gdzie chcieli je budowniczo Miasta... Te zawieszane w powietrzu na niewidocznych półkach elfie ogrody, konstrukcje o lekkości i strukturze francuskiego ciasta, ksenobarok podchmurny... Te mozaiki czasu i przestrzeni, zamknięte przeważnie w ciemnych pokojach, pod sufitami tak wysokimi, że nie sięga ich jej wzrok, i tak niskimi, że w ogóle nie jest w stanie się pod nie zmieścić — tu zdarzyć może się wszystko...

Nie prawdy objawione i słowa Ducha Świętego — lecz historie z kultur i światów dawno

martwych próbuje Zuzanna odczytać, wpatrując się spod zmarszczonych brwi w tajemne pisma, pisma na ścianach, na chodnikach, w wodzie, dymie i świetle, z uporczywością i fascynacją godną pierwszorocznego studenta Tory. A może zrozumie, gdy dotknie, może domyśli się, gdy przesunie opuszkami palców po tłoczonych w kronicznej glinie wielkich glifach, może uderzy w nią biały piorun iluminacji, gdy zaśnie i obudzi się z obrazem Pisma pod powiekami? Zasypia.

Czasami udaje się jej uzyskać — ponad otchłanią czasu i jeszcze większą przepaścią obcości — intymny wgląd w życie i naturę niegdysiejszych mieszkańców Miasta; a przynajmniej ona czuje tę intymność. Kiedy ogląda szczątki sprzętów domowych, zamrożony na wieki bałagan miejsc pracy i odpoczynku, kiedy przykłęka nad malutkim szkieletem, kompletnym mimo braku kręgosłupa i czaszki, kiedy liczy na jaskrawych malunkach księżycy i cienie istot zakutanych w wiry kolorowych materiałów — może to oni tu mieszkali, a może patrzy na ich cherubiny, diabły, Kubusie Puchatki? Barwy na tych obrazach i freskach składają się na absurdalne kompozycje, nic tu nie odpowiada prawdzie oczu człowieka: słońca mogą równie dobrze być czarne, cienie — białe. Chaotyczne bazgroły, płataniny nakładających się na siebie linii i bezsensownych plam objawiłyby się precyzyjnymi hologramami jedynie w stereoskopowym spojrzeniu oczu o odpowiednim rozstawie i czułości. Zapewne na każdym kroku mija Zuzanna przebogie galerie obcej sztuki, tej całkowicie niedostrzegalnej dla zmysłów zwierząt takich jak ona.

Wszystko to jednak nie daje jej podstawy do żadnych uogólnień na temat mieszkańców Miasta, nic pewnego nie może o nich powiedzieć: że byli tacy i tacy. W istocie na pewno rzec może tylko to? iż każde tu uogólnienie byłoby kłamstwem. Eklektyczność Miasta nie jest przypadkowa: tu mieszkała więcej niż jedna rasa, więcej niż jeden gatunek, tu mieszkali — Zuzanna jest tego pewna — Obcy ze wszystkich tych planet, między którymi Miasto przepływa. Może nie wszyscy naraz, może nie w tym samym czasie, no i co z tymi wymagającymi niekompatybilnych atmosfer, aż dziwne, że dotąd nie zalały jej metanowe morza, nie zadusiły amoniakalne zawiesiny... ale to było miejsce ich spotkania, stolica wszechświata. Teraz żyją w niej ludzie.

Na koniec do tego właśnie cała gra się sprowadziła: odnalezienia rezydentów, kogoś, komu mogłaby się tu poddać, za dowolną cenę wykupić się od śmierci. Już po dniu błakania się po Dzielnicy Dzwonu (zdekapitowanego trupa Eduardo Carbony znalazła dwie przecznice dalej) zniknęła gdzieś cała ekscytacja Przygodą, upojny smak wolności przestał upajać i Zuzanna poczęła poważnie się zastanawiać, czy aby nie padła ofiarą rodzinnej klątwy: oto kolejny Klajn, w którego grobie złożą pustą trumnę, bo został pożarty przez Tajemnicę.

Jedno z dwojga: albo znajdzie sposób na powrót na Ziemię, albo — jakieś źródło pożywienia. Dawała sobie na to nie więcej niż dwa tygodnie, nigdy nie studiowała technik pranicznych. Potem — no cóż, trzeba będzie wybrać metodę szybkiego a bezbolesnego samobójstwa. Na przykład skok ze szczytu którejś z tych wież. Lub strzał w skroń z jednego z trollowych pistoletów — przeszukała przepołowione zwłoki i nawet chciała broń zabrać ze sobą, ale była tak ciężka, nieporęczna... Zuzanna nie podobała się sobie z pistoletem w dłoni.

Z początku zakładała, iż najrozsądniej będzie skupić się na kwestii sprowadzenia Miasta z powrotem na Ziemię, przynajmniej miała pewność, że to jest możliwe do zrobienia, podczas gdy nie widziała powodu, by którakolwiek flora czy fauna z reprezentowanych w Mieście oraz innych światach je przyciągających, mogła się okazać kompatybilną z fizjologią *Homo sapiens*.

Jak więc zdobyć, choćby chwilową, kontrolę nad Miastem? Pierwsza zasada racjonalnych dociekań: szukaj powtarzających się zależności, wzorców, układaj sobie w głowie Tabele Korelacji. Tak rozszyfrowujemy rzeczywistość. Może nie odkryjemy tym sposobem praw fundamentalnych, lecz poznamy i, co najważniejsze, nauczymy się wykorzystywać regularności stanowiące ich bezpośrednio

i pośrednie konsekwencje.

A zatem: jaka inna zmiana towarzyszyła zawsze zmianie położenia Miasta? ku jakim „symetriom eldżetu” ono Ignęło? (Nie chciała się sugerować słowami Carbons, mógł kłamać, ona mogła coś źle usłyszeć, źle zapamiętać — jednak, jak dotąd, tylko Carbona zaoferował jej słowa dla nazwania tych rzeczy nienazywalnych. Nie rozumiała ich — lecz przynajmniej oswajały rzeczywistość cudów, uspokajały naukową estetyką).

Najprostszy, instynktowny domysł kazał szukać zależności między położeniem Miasta we wszechświecie — a aktualną kombinacją części składowych amuletu. Lecz taka zależność nie występowała, klejnot bardzo rzadko i na bardzo krótko zamarzał w formach stałych, zazwyczaj obracał się luźno na wszystkich swych osiach pod wpływem samej siły ciężenia, wystarczyło go lekko trącić; i gdy Miasto przepływało do innego miejsca, Zuzanna żadnych specjalnych manipulacji klejnotem nie wykonywała, zdarzyło się również, iż trzymała go wówczas zamknięty w dłoni, unieruchomiony — tutaj korelacji nie było.

Jeśli więc istotnie służy on za „wzmacniacz symetrii”, zależność musi istnieć poza nim. Ula przepytывała Zuzannę, próbując pomóc jej wyłowić wzorzec. W którą stronę świata byłaś zwrócona? Siedziałaś, stałaś, leżałaś? W jakim położeniu znajdował się amulet? Dotykałaś go, dotykał twojej skóry? Jaka była temperatura, jaka wilgotność, jaka pora dnia i jaka wysokość nad poziomem morza? Zuzanna coraz wyraźniej widziała, że donikąd to nie prowadzi. Ula wszakże nie rezygnowała. Co wtedy mówiłaś? Może on reaguje na słowa. Przypomnij sobie: co mówiłaś? Rzecz w tym, że na przykład podczas przesunięcia Miasta pod białą — błękitną planetę zimnego blasku Zuzanna była nieprzytomna, nie mówiła nic.

Niemniej szły dalej tym tropem. Nie słowa. Ale czy w ogóle coś związanego z Zuzanną? Cóż, spoczywając te wszystkie lata w sejfie Abominado amulet nie działał w ogóle — może po prostu nie miał czego wzmacniać?

Przede wszystkim, dlaczego ojciec go tam zostawił? Może właśnie dlatego, by go „wyłączyć”; może klejnot z zasady nie jest do końca sterowalny, to znaczy nie on, lecz sam proces, „wzmacnianie symetrii” czy jak to zwać... Może ojciec miał dosyć wyskakującego mu zniecka przed nosem Miasta? Ów wzmacniacz przedstawia zresztą najwyraźniej wielką wartość dla wtajemniczonych — może to właśnie była przyczyna śmierci Jana Klajn?

Okay, proces nie w pełni poddający się kontroli. Jaka to więc może być zależność? Zuzanna już pięciokrotnie zasypiała i budziła się w Mieście, za każdym razem inne niebo widząc po otworzeniu oczu. Co takiego dzieje się, gdy śpi?

Ula naciskała ją, by przetestować hipotezę, a mianowicie odłożyć klejnot na czas snu, chowając go gdzieś w sąsiednim budynku. Zuzanna z początku się sprzeciwiała. To są irracjonalne lęki, mówiła Ula, któż miałby ci go ukraść? — Kosiarz — mruknęła Zuzanna. — Kosiarz wzięłby znacznie więcej — odparła Ula. Na koniec Zuzanna uległa. Po raz pierwszy od długiego czasu zasnęła nie czując ciężaru ażurowego konstrukt między piersiami, procesja pomarańczowych księżyców wędrowała przez zasnutę dymami wulkanów liliowe niebo, gdy zamykała oczy — i te same księżyce wspinały się na nieboskłon spod przeciwnego horyzontu, gdy oczy otworzyła.

Więc jednak! Czym prędzej założyła naszyjnik z powrotem. Uniósłszy klejnot (obracał się swobodnie, zmieniając kształt), przygryzła wargę w zamyśleniu. Co takiego ja robię we śnie? Przewracam się z boku na boku, mamrocę magiczne słowa, nieświadomie chwytam i ściskam amulet?

— Ale czemu sądzisz, że musiałaś coś zrobić?

— Więc teraz mi mówisz, że to działa całkowicie losowo?

— Nie. Ale jeśli latasz we śnie, to tak naprawdę przecież niczego nie robisz, prawda?

Zerknąwszy podejrzliwie na Ulę, Zuzanna szybko przebiegła w myśli dotychczasową historię przyptywów i odpływów Miasta. Własnych snów, rzecz jasna, nie pamiętała (zresztą i tak pamięta się najwyżej te ostatnie, tuż sprzed przebudzenia), lecz zdarzenia z cmentarza, z łąki pegieerowskiej i potem to już w Mieście — owszem. Czy istniała jakaś wspólna cecha wszystkich jej ówczesnych stanów psychicznych? Nie.

— Jesteś pewna?

Wspólna cecha może nie, ale Zuzanna uświadomiła sobie, że zawsze były to stany wysokoenergetyczne, wzburzenia, rozedrgania gorących myśli. A zatem jej sny — w snach musiałaby tak samo...

— No nie, to bez sensu, w Krakowie przecież, również nie zdejmowałam go na noc.

— A czy wisiała tam nad tobą groźba śmierci głodowej? Czy szukałaś desperacko ratunku i sposobu ucieczki z labiryntu wszechświata? Czy śniłaś takie koszmary?

Zuzanna posłała Uli krzywe spojrzenie.

— Skąd ty niby wiesz, co ja śnię? Dziewczynka straciła rezon. Opuściła wzrok, zaczęła skubać rąbek sukienki.

— Ja też sypiam — mruknęła. — To... przecieka. Zuzanna nie spytała, co.

Oczywisty następny krok stanowiły próby świadomego wywołania analogicznych stanów umysłowych i sprowokowania takiej „symetrii eldżetu”, która sprowadziłaby Miasto z powrotem na Ziemię. Zuzanna z miejsca pożałowała, iż jej ipsator nie jest klasycznym ipsato rem masturbacyjnym: to mogła być najłatwiejsza droga dla zbudowania owej symetrii. (Żartowała kwaśno, czym też w istocie jest ów eldżet, że trzeba doń zmierzać ścieżkami seksualnych uniesień — jakimś fluidem tantrycznym?) Lecz w aktualnych warunkach nieporównanie łatwiej przychodziło jej rozwścieczyć się aż do poziomu zimnej hysterii — nigdy wcześniej nie doświadczała tak zwierzęcego gniewu — aniżeli wywołać podniecenie. Łatwiej i za każdym kolejnym razem szybciej; prawie czuła rozchodzący się w jej żyłach jad Skorpiona.

Osiągnęła zatem sukces: z głuchym tąpnięciem, w huraganach gorących i zimnych, pachnących i cuchnących wiatrów, na jej obłąkańczy krzyk — odmieniały się nieba nad Miastem, pojawiały się i znikwały słońca, księżycy, gwiazdy, astronomicznej wielkości sztuczne konstrukcje, nadhoryzontalne geometrie lodu, kamienia i tajemnych tworzyw cywilizacji umarłych przed milionami lat.

Za pierwszym razem, balansując na krawędzi depresji i już przykładając do nadgarstka ostry jak brzytwa ułamek ulicznego witraża, przecwałowała tak na grzbiecie Miasta przez tuzin planet, pół tuzina miejsc planetami nie będących; do rytmu przeszywającego uszy lamentu rozpościerały się przed nią straszne krajobrazy wszechświata, jeden zastępujący drugi. Uła zacisnęła powieki, zatkała sobie uszy. Dłoń z kryształem drżała, wciskając poszarpane ostrze głębiej w skórę. Czy rzeczywiście byłaby zdolna podciąć sobie żyły? Cóż, na tym ta gra polega: gdyby to nie działo się naprawdę, gdyby Zuzanna tylko udawała, klejnot nie miałby czego wzmacniać. Taka jest różnica między przygodą a lsnem o przygodzie.

Osiągnęła sukces, który wszakże nie zbliżył jej do rozwiązania samego problemu. O ile potrafiła to stwierdzić, miejsca przyciągnięcia Miasta były czysto przypadkowe, nie była w stanie dostrzec tu żadnej regularności, którą mogłaby potem wykorzystać dla sprowadzenia go na Ziemię; żadnej — oprócz tej podstawowej: że mianowicie zawsze były to podobne okolice urbanistyczne, Miasto wszywało się w inne miasta, i to dzielnicami o prawie identycznej architekturze, tak, że przejścia zdawały się czasami wręcz niemożliwe do wychwycenia. „Symetria formy”. Jedynie gdy Zuzanna przyzywała Miasto z zewnątrz, nie miało to znaczenia: pojawiało się tam, gdzie ona się akurat

znajdowała, pojawić się musiało. Nic dziwnego, że amulet aż wirował i trzepotał w jej dłoni.

Zuzanna i teraz przeprowadziła eksperyment, chociaż akurat ten Ula jej odradzała. Eksperyment wymagał dłuższego, wyczerpującego marszu (podówczas Zuzanna walczyła już z nieustannymi głodowymi skurczami żołądka, okresowymi ślinotokami i mdlącym smakiem w ustach). Wyszła z Miasta, wyszła z pokrytych gruboziarnistym piaskiem ulic rozsypującej się metropolii, do której Miasto tutaj przylgnęło, na którą się nałożyło jak hologram na hologram; dalej droga ze zwietrzałego kamienia prowadziła w głąb pustyni czarnych wydm i białych gruzów. Zuzanna z powrotem przykleiła buty, zerodowana nawierzchnia raniła podeszwy jej stóp. Chciała odejść na tyle daleko, by Miasto zniknęło jej z oczu, co okazało się zadaniem omal ponad jej siły; na koniec nie musiała już sztucznie budować w sobie hysterii, czarna rozpacz zalała ją wysoką falą, siadła w brudnym pyłe nawet nie patrząc, czy Miasto przypełźnie za nią, wierny pies, czy nie, nie dotykała amuletu — poznała po chłodzie cienia, jaki nagle na nią spadł.

Była to jednak mimo wszystko cenna umiejętność, mogła teraz opuszczać granice Miasta bez strachu, iż zagubi się w jakimś zapomnianym przez Boga i Obcych zakątku wszechświata, tysiąc galaktyk od domu.

Tak zaczęła zwiedzać owe ruiny — to nieodmiennie były ruiny, lepiej lub gorzej zachowane, młodsze lub starsze — którymi, jak się zdawało, Miasto zawsze było otoczone, niezależnie z której dzielnicy i na jaką planetę wychodziła. Porzuciła również samą Dzielnicę Dzwonu, mimo iż dotąd starała się od niej nie oddalać — lecz los zdecydował za nią, Miasto przywoływane z zewnątrz, wbrew symetrii formy, nigdy nie zjawiało się takie samo; los, a może jakaś złośliwa inteligencja Miasta. Albo też było ono po prostu tak rozległe, że statystyka zabraniała przypadkowych powtórzeń: nigdy już nie usłyszysz Dzwonu.

Wędrowała więc po bezludnych planetach, wędrowała po bezludnym Mieście, i był w tych wędrowkach sens podwójny, albowiem, zrozumiawszy ową zasadę symetrii, wypatrywała teraz desperacko podobieństw do architektury ziemskiej, wiedząc, iż aglomeracje przyciągane do ziemiopodobnej dzielnicy Miasta mają największe szansę okazać się istotnie metropoliami Ziemi.

Reguły Historycznej Ruletki były następujące: po pierwsze, wyjść z Miasta, wspiąć się na pobliskie wzniesienie i tu czekać, aż w kalejdoskopie szalonej urbanistyki pojawi się widok najbardziej znajomy; po drugie, z wnętrza takiej dzielnicy ponownie zapuścić Ruletkę, która wybierać będzie z nieskończonych zasobów kosmosu miasta najlepiej do owej dzielnicy przystające. Okresowo należy powracać do kroku pierwszego: przywołując Miasto już na planetę ziemiopodobną, jeszcze bardziej zmniejszamy rozstrzał form architektonicznych. I tak dalej, do skutku. Teoretycznie Zuzanna powinna w ten sposób wylosować Ziemię w skończonym czasie — rzecz w tym, jaki to będzie czas.

Ula namawiała ją do różnicowania strategii. Przede wszystkim — tłumaczyła — źródła pożywienia mogą się znajdować także w samym Mieście. Ciągnęła Zuzannę do wnętrza każdej budowli, jaką mijali.

— Czego się spodziewasz, supermarketu, ogrodu Eden, francuskiej restauracji? — sarknęła Klajn.

Ula nie ustępowała; z czasem zrobiła się znacznie bardziej stanowcza.

— A pamiętasz to opakowanie po snickersie? — naciskała. — Oni tu byli już dawno temu.

Niemniej kryło się w tym pewne ryzyko, każda fontanna czy wodna rzeźba mogła się okazać wypełniona nie zwykłym H₂O, lecz cieczą trującą, najrozsądniej więc trzymać się źródła raz sprawdzonego; a pić Zuzanna musiała.

Sprzeczne wskazania: wędrować, nie wędrować.

Wędrowała. Bolały ją nogi — uda, łydki, ścięgna, stopy; chodziła boso, gluetki na wysokich

obcasach przylepiając jedynie, gdy było to absolutnie konieczne, przeklinała teraz swój wybór obuwia, elegancja to luksus sytych i bezpiecznych.

— Do góry, patrz do góry — powtarzała jej Ula.

— Podnieś wzrok, nie zobaczę go w odbiciu na twoich paznokciach.

Odcięta od swojego serwera, Zuzanna nie mogła oczywiście przejrzeć skanów przeszłych wydarzeń — sięgała do własnej pamięci, najbardziej zawodnej. Zamek, Wysoki Zamek, mówił Carbona. Zamek występował też w owym nasprayowanym napisie. *Podobno go pani widziała*. Gdzie i kiedy mogła widzieć? Przychodziła jej do głowy tylko owa naniebna forteca, dostrzeżona w oddali podczas pierwszego, cmentarnego objawienia Miasta. Tak więc to musiała być siedziba spiskowców. Teraz było jej już wszystko jedno: odda się w ich ręce, odda klejnot, niech tylko się pokażą! Wypatrywała ich, by się im poddać.

Co dziwne, zupełnie nie przejmowała się możliwością napotkania Błękitnego Kosiarza. Jakby darowanie jej przezeń wówczas życia — bo przecież darował jej życie, mógł spokojnie pójść za nią i zabić, nieprzytomną, a nie zrobił tego — oznaczało dożywotni immunitet od kosy Upiora. Gwoli prawdy, teraz już nawet jego zjawienie się powitałaby z ulgą: podeszłaby z pokornie opuszczoną głową, poprosiła o pomoc. A w każdym razie tak to sobie planowała, zasypiając z wyczerpania pod jeszcze innym niebem — choć wszystkie trzy dajmony buntowały się przeciwko owemu obrazowi, nawet Atena nazbyt będąc dumną.

Gdy ujrzała na tym niebie przelatujący nisko nad wierzchołkami asymetrycznych wysokościowców Miasta pękaty helikopter, była już tak słaba (dopiero co zdarzyło się jej zemdleć), że nie uwierzyła własnym oczom. Halucynacja, pomyślała. Zwłaszcza, że maszyna zmieniała barwę w trakcie lotu, maskujący pancerz próbował wtopić się w coraz to nowe tło — może po prostu Zuzanna aż tak bardzo pragnęła zobaczyć kameleoniczny śmigłowiec, że błysk światła i drobne zawirowanie kolorów wystarczyły...

Ula natomiast nie miała wątpliwości.

— Chodź, no rusz się! — szarpała Klajn. — Nie udawaj umierającej.

— Powinam go słyszeć...

— Gówno prawda, to wojskowy, nie usłyszałaabyś go, gdyby wylądował w środku kościoła.

— No i gdzie mnie ciągniesz, gdzie? — zirytowała się Zuzanna. — Skąd wiesz, dokąd on leci?

Rzeczywiście, tego nie mogły wiedzieć. Na koniec zdecydowały, że jeśli w ciągu godziny nie pojawi się z powrotem, to znaczy, iż zmierzał do Zamku; nieważne, że wcale nie musiał lecieć po prostej. Ponieważ nie pojawił się, ruszyły jego śladem.

Był to kilkunastokilometrowy marsz, Zuzannie kręciło się w głowie, wiedziała, że jeśli raz ustanie, usiadzie, upadnie, to już się więcej nie podniesie, zachodziły słońca (tak powoli, że prawie niezauważalnie), w żółto — brązowym świetle wypatrywała kanciastych plam cienia, fortecy zawieszanej nad horyzontem — bez skutku. Ani się spostrzegła, że wyszła z Miasta i kuśtyka teraz na obcej planecie zaśmieconymi ulicami zniszczonej przez czas nieludzkiej metropolii. Szła nadal tylko dlatego, że ważyła tu o połowę mniej. Powietrze miało kwaśny smak, raniło jej krtań. Patrzyła tępo przed siebie, patrzyła — nie widząc; Ula, bezcielesna, nie męcząca się, zawsze ciekawa świata, zrozumiała pierwsza.

— Tutaj! Widzisz? To ich robota!

Dotarli do miejsca wykopalisk.

Jeszcze stały we wnętrzu krateru rusztowania, wyłączone reflektory zwieszały się w parzystych pękach z cieniutkich ramion kronicznych dźwigów i kratownic, nawet koparka, skoro wyrosła z elfich technologii, była lekka i delikatna, o ażurowej paszczy i rachitycznej łapie; na jej burcie jaśniało

wielkie żółte logo WI: *Werner Institute*.

Zuzanna poczuła, jak na ten widok łzy napływają jej do oczu; natychmiast Skorpion uządlił ją piekącym upokorzeniem. Otrząsnęła się i poczęła schodzić ku białym budynkom, przycupniętym na zboczu, ponad najwyższym pierścieniem wykopów. Na drzwiach widniało identyczne logo.

Najpierw jeszcze się rozglądała nerwowo, szukając wzrokiem tych wernerowców lub jakichkolwiek oznak ich aktywności, lecz atmosfera tego miejsca szybko ją przytłoczyła: cisza jak z antycznych horrorów, bezludna placówka opuszczona przed laty, samotny wiatrowskaz klekocze w co silniejszych porywach wichru, to jedyny ruch. Prawda, śmigłowiec leciał w tym kierunku, i może nawet dokładnie tutaj, jednak ulokowane ponad krawędzią lądowisko jest teraz całkowicie puste, tylko jasny pył kłębi się nad płytą.

Co oni tu wykopywali? Wydawało się, że był to jednak naturalny krater, to znaczy powstały na skutek jakiejś dawnej eksplozji, a nie przez metodyczne prace archeologiczne. Zbocza opadały nazbyt gwałtownie, ale trzeba wziąć poprawkę na tutejszą grawitację. Zuzanna prawie zbiegała po pokrytej kroniczną polewą ścieżce, która wiła się spiralnie ku pogrążonemu w mroku środkowi kaldery. Trzy zachodzące słońca rozciągały cienie od jednej krawędzi niemal do drugiej, Zuzanna musiała wyteżać wzrok i tym mniej była pewna realności tego, co widzi. Spod powierzchni ziemi — ziemi barwy waniliowego budyniu — wyłaniały się wypatroszone wzdłuż i wszerz korpusy gigantycznych budowli/maszyn/rzeźb/ zwłok, układających się w rozległy geometryczny wzór, coś pomiędzy diabolicznym pentagramem a kanciastym fraktalem.

Drzwi otworzyły się, lekko pchnięte, skrzypiąc jękliwie. Ula weszła pierwsza. Po lewej znajdowała się szatnia i było tu w ścianie wielkie lustro. Ależ ja brzydka jestem — pomyślała obojętnie Zuzanna — brudne włosy, zniszczona skóra, ostre kości policzkowe, garbię się jak staruszka; tylko garnitur nieskazitelny. Odwróciła wzrok i pokuśtykała w głąb budynku — byle jakaś kuchnia, spiżarnia, musieli przecież coś jeść, zostawili zapasy, na pewno. Lecz niewiele na to wskazywało, pomieszczenia opróżniono i wyczyszczono przed opuszczeniem budynków, czasami pozostawiając jedynie nagie ściany. Działo oświetlenie, lampy zapalały się, gdy Zuzanna przekraczała próg. Kilkakrotnie zawołała głośno, mając nadzieję chociażby na odpowiedź domowego systemu zarządzającego — ale nawet echo nie chciało odpowiadać.

Znalazła wdrukowany w ścianę w przejściu między budynkami plan kompleksu i kazała Uli nauczyć się drogi do stołówki. W głębi korytarza coś łomotało arytmicznie i przez chwilę, zanim okazało się, iż to wyłamany z ramy okiennej plastik, Zuzanna czuła się niczym Ripley w „*Alians*”‘. Tylko krok jakoś mniej pewny. Przez otwarte okno wpływały do środka brunatne cienie, jeden na grzbiecie drugiego; słońca chowały się za krawędź krateru.

Spiżarnia była pusta — lecz we wnęce za stołówką stał potężny, przemysłowy robot kuchenny, Siemens, podobnie jak domowy Zuzanny. Wywołała menu — i to był koniec nadziei: miał zawieszony wszystkie funkcje syntezy.

— *Fuck, fuck, fuck!* — szeptała, przyciskając czoło do zimnej obudowy maszyny.

— Zepsuty? Co jest? — Ula podskakiwała, nie mogąc dojrzeć ekranu. — Co się stało?

Zuzanna wzięła głębszy oddech. Drżącą dłonią wywołała diagnostykę. Zasilanie jest, usterek nie melduje, zasobniki koncentratów wypełnione w dwóch trzecich, starczyłoby dla całej armii, tylko — wody brak. Nie wykopali w kraterze żadnej studni, a i pewnie tutejszej deszczówce nie dowierzali; musieli wodę dowozić. Widać przed odjazdem opróżnili zbiornik. Nawet w rui ach nic nie zostało, przepchali powietrzem.

— Bierz wiadro i wracamy do Miasta — zarządziła Ula. — Za kryształowym drzewem, tam stoi ten bunkier o ścianach z wody, pamiętasz, piłaś przecież. I schowaj tu gdzieś amulet, jesteś tak

wyczerpana, że od jednej halucynacji wywołałabyś setkę nowych planet, a to będzie nasz dom, tu zamieszkamy, nie wolno nam zgubić tego świata. Potem sprawdzisz centrum telekomunikacyjne na piętrze. Na co czekasz? Bo te słońca kiedyś w końcu zajdą!

Zuzanna śmiała się chrapliwie, zdejmując naszyjnik.

— No więc gdzie to wiadro?

Non — disclosure physics.

Życie seksualne Wektora 1.

Wieczorem drugiego hitego elfi czołg kameleoniczny, o widocznych przez częściowo przezroczysty kron, suchych jak powrozy gruckich mięśniach, wtoczył się z zimnym klekotem na rynek lewitacyjny Miasta; zanim pancerny potwór został uniesiony w powietrze, otrzymał trzy ciosy kronicznymi pociskami penetrującymi i, rozdarty jak pudełko zapalek, w kłębach czarnego dymu i strzępach równie czarnego mięsa, szarpnął się panicznie z powrotem za Wieże Kości.

Zuzanna usłyszała eksplozję, huk, wizg torturowanej maszyny i natychmiast ruszyła biegiem kił rynkowi. Podówczas Miasto wrosło już w nią aż do gorących pajęczyn szpiku kostnego i biegła przez eldżet znacznie szybciej niż kiedykolwiek biegła na Ziemi; a była to dzielnica przylegająca do Lodowych Puszczy i wszystko tu ważyło odrobinę więcej niż powinno. Bose stopy klaskały o zieloną polewę chodnika, plastikowy worek tłukł się o plecy. Worek był prawie pusty, zostało w nim ledwie kilka sucharów, wracała właśnie z dwutygodniowej wyprawy: mapowała już dzielnice (oraz symetryczne do nich światy) odległe od Trój słońc o dziesiątki kilometrów monumentalnej pustki Miasta.

— Kosiarz? — szepnęła siedząca jej na ramieniu Ula.

— Ale jeszcze ich chyba wszystkich nie wybił — wydyszała Zuzanna, nie zwalniając kroku, chociaż minęła już narożną Szklarnię. We wnętrzu Szklarni kłębiły się żółte, czerwone i białe Elektryczne Duchy, na widok dziewczyny przyciskające do przezroczystych ścian swe bezokie pyski z piorunów kulistych.

Dotarłszy do granicy pola lewitacyjnego, zobaczyła krzywą kolumnę dymu wznoszącą się zza skrzypiącej na wietrze Wieży Kości, zobaczyła wynurzający się zza wieży wielki sterowiec z logo IW na napiętej powłoce, szybujących w powietrzu żołnierzy w czarnych rynsztunkach i obłych hełmach w całości zakrywających twarze, zobaczyła ciągnące się do wysokości drugiego piętra długie warkocze krwi ze wznoszących się ku łożowemu niebu zwłok — nie zdążyła tylko spostrzec tego snajpera, który trafił ją z dachu Szklarni z paralizatora, pojedynczym strzałem pozbawiając przytomności. Upadła na zimny chodnik, wstrząsana drgawkami.

Zanim Zuzanna zamknęła oczy, Ula uklękła przy niej i pocałowała ją w czoło. — Nie bój się, ja cię ochronię.

I to Ula powitała ją z powrotem na jawie. Zabrali wszystko, także telefon — bez jego timera Klajn nie była w stanie stwierdzić, ile godzin, ile dni minęło. Usiadła na szerokim łożu, już po pierwszym ruchu poznając inną — czy nie ziemską właśnie? — grawitację. Na ile mogła to dojrzec w tym pluszowym półmroku, pomieszczenie posiadało absurdalnie wysoko zawieszony sufit i więcej kątów i zakamarków niż gotycka katedra. Stanąwszy na nogi, rozejrzała się za drzwiami; były: szerokie, dwuczęściowe, godne zaiste katedry. Podeszła (zimna posadzka mroziła stopy), pchnęła, pociągnęła — nic. Przeciwległa ściana zakryta była ciężkimi, czarnymi kurtynami. Zuzanna nieśmiało wyciągała ku nim ręce, spodziewając się pieszczoty zamszu na opuszkach palców — lecz to był jakiś

twardy, śliski, prawie wilgotny plastik. Złapała za grubą fałdę i szarpnęła. Chłodne światło wlało się do pokoju spiętrzoną falą, od podłogi do sufitu, okno' zajmowało całą ścianę; Zuzanna, oślepią, cofnęła się o krok.

Ula przycisnęła zdumioną twarzyczkę do szyby.

— Chyba jesteśmy w Zamku. Popatrz! Spoglądały na Miasto z wysokości kilkuset metrów.

W pierwszym odruchu Zuzanna uniosła wzrok, by sprawdzić, pod władaniem jakiego nieba się znajdują — błękitnawa otchłań z tuzinem gwiazd i jednym bladym słońcem — potem już całkowicie zahipnotyzował ją nieskończony labirynt szalonej architektury. Nigdy nie patrzyła nań z takiej perspektywy. Od horyzontu po horyzont — Miasto. Nie wpinało się tu w żaden obcy świat; może z przeciwnej, niewidocznej strony, może tam rozciągały się równiny i łańcuchy górskie planety bladego słońca. Tutaj była tylko mozaika ulic i gargantuicznych budowli. Oko przyciągała rytmiczna pulsacja blasku i cienia, kilometr czy dwa dalej: to Młot Światła, on nadal tam bije.

— Jak myślisz, zostałyśmy uratowane, czy czekamy na egzekucję?

— Wernerowcy to nie Carbona — mruknęła Ula. — Z drugiej strony...

Przez te ponad półtora roku zdążyły wymyśleć taką liczbę fantastycznych historii, że teraz trudno im było wykrzesać z siebie choćby najslabszą wiarę w kolejną. Najbogatsze wyjaśnienia oferowała Ula, cytując sens i zapamiętane fragmenty dokumentów przyniesionych przez Niewyraźnego po ataku Błękitnego Kosiarza. Światomił zdążył wówczas wyhodować dla Zuzanny Drzewo Teorii Spiskowych. Ten prawie — żywy program w oparciu o algorytmy genowe ewoluuje tak nieprzebrane bogactwo paranoi, że, aby zrealizować rzecz w jakimś sensownym czasie, Niewyraźny wynajął był całą maszynę chtoniczną (koszty dopisując oczywiście do rachunku Klajn). Dla zainicjowania procesu ładuje się fakty stanowiące zaczyn paranoi — tu: Miasto, Zuzannę, jej ojca, klejnot... — po czym rusza szalona ewolucja, moderowana i oczyszczana z absurdalnych mutacji w seriach sformalizowanych konfrontacji z rzeczywistością oraz testów falsyfikujących. W rezultacie dostajemy Drzewo Teorii Spiskowych, na którego gałęziach wiszą miliony Wyjaśnień, żadne do końca fałszywe i żadne na pewno prawdziwe. Wyniki przedstawia się w formie katalogu teorii pokrewnych, zsorzowanych podług liczby Wyjaśnień, jakimi w sumie zaowocowały.

Dominowały, oczywiście, klimaty *X-Filesowe*: Obcy, Obcy, Obcy, w takich i owakich spiskach, Ludlumowe intrygi rządowo — korporacyjne. Zuzanna nieodmiennie odnosiła wrażenie, iż Ula opowiada fantastyczne filmy i gry; tylko że, oczywiście, wszystkie z Zuzanną Klajn w roli głównej, a co najgorsze — całkowicie spójne z rzeczywistością. Jeden ze scenariuszy przewidywał wręcz eksterminację całej ludzkości. Kim więc miałaby w nim być Zuzanna? Ludzkości zbawcą. Nawet Ula uśmiechała się, opowiadając tę wersję.

Z czasem jakoś pogodziły się z faktem, że żadnego bezpośredniego wyjaśnienia nie będzie, prawda została ukryta w hermetycznym pudełku z trucizną, razem z kotem Schrödingera.

Metal szcęknał sucho, gdy drzwi zatrzasnęły się za siwowłosym mężczyzną. Zuzanna obróciła się na pięcie. Mężczyzna odsunął spod ściany plastikowe krzesło i usiadł, zakładając nogę na nogę. Że opuścił już strefę Wiecznej Młodości, świadczyła nie tylko siwizna, ale i zmarszczki; niemniej nie mógł mieć więcej niż sześćdziesiąt lat. Wyjął papierosa, zapalił. Otwartą obrócił ku Zuzannie.

— Johann de Greu. Poczestujesz się?

Dopiero teraz spostrzegła, że stoi przed nim całkowicie naga; on natomiast był w gustownym ciemnym garniturze z białym krawatem i obsydianową spinką. Lecz Książę i bez ipsatora na jej palcu trzymał Zuzannę w twardym uścisku: ani drgnęła, nie wykonała żadnego ruchu, by się zasłonić, nie zmieniła pozy i nawet się nie zarumieniła. Mogłaby wziąć z łoża narzutę i obwinąć się nią niczym sari; nie robi tego. Spoglądała de Greu prosto w oczy. Bez mrugnięcia podeszła doń, wyjęła

papierosa, podał jej ogień, wyprostowała się, zaciągnęła dymem. Spoglądała na mężczyznę z góry.

— Ile to, dwa lata? — spytał. — Zdążyłaś zapomnieć smak.

— De Greu. Mój ojciec pracował dla ciebie.

— Tak. Przyjaźniliśmy się, byłem na jego ślubie. Gdzie jest wzmacniacz?

— Zgubiłam go, jak gonił mnie ten wariat z kosą. Kto to w ogóle jest?

— Upiór trzeciej generacji.

— Kto?

— Co się tak dziwisz? Zbadaliśmy cię, sama jesteś już Upiorem Eldżetu.

— Akurat.

— Czym oddychałaś, co jadłaś, co piłaś? — mówił powoli. — Eldżet. Materia, z jakiej zbudowane są żywe organizmy, ulega nieustannej wymianie, a eldżet przyciąga eldżet, nie tak łatwo go potem wyprzeć. Zaaplikowano ci już stosowne środki, by zapobiec degeneracji tkanek. Pewne procesy elżetyzacji da się zatrzymać, lecz żadnych nie potrafimy odwrócić. Chyba że pójdziesz jeszcze wyżej, w fizykę jeszcze bardziej egzotyczną — jak Souza.

— Kto?

— Gość z kosą. Przepisał się już trzykrotnie.

— Od tego się wariuje?

— Mhm. Upiór¹ jednak stąpa po ziemi; ale Upiór³ to już ludzkie neutrino, jeśli mi pozwolisz na taką przenośnię. Zahacza o ikjurię i eldżet, ale tak naprawdę — diabli wiedzą, którędy on chadza, co widzi, co myśli. I tak dobrze, że nikt dotąd nie przepisał się na elset; naukowcy mówią, że to niemożliwe, ale niewielu tu jeszcze pozostało wierzących w jakąkolwiek niemożliwość.

— Elset?

— LC, czasoprzestrzeń Liebacha–Crooty. Pięć wymiarów, cztery przestrzenne, hiperentropijna, utrzymywana jedynie w wąskich wstęgach, pod kątem stu piętnastu stopni do liniowego generatora. Stąd Kosy Błękitu. Rozwalają wiązania molekularne przy prawie zerowym zysku energetycznym, elset ma taką specyficzną pianę cząstek wirtualnych, tam się w ogóle energia i masa nie bilansują. Gdyby Souza się przepisał na coś takiego — Chryste Panie. Carbona mógł przewidzieć, że Souza mu nie daruje, oni mają za sobą długą historię nienawiści, jeszcze z czasów pracy Carbony w Instytucie, przed jego zdradą. Souza³ to jest Belfegor Miasta; nie powinien się chapeotopleksowy kretyn w ogóle zbliżać do Miasta, przecież wiedział. Ale podobnych tobie Upiorów¹ mamy ponad setkę, pierwsi eksploratorzy nie zdawali sobie sprawy i dopiero wyszło na jaw, jak amplifikatory regularnie prowokowały i krzywiły symetrie w ich obecności.

— Mój ojciec.

— Tak.

— Rozumiem. — Strzepnęła popiół na podłogę. — Ale ja musiałam być już wcześniej skażona, prawda? Jak inaczej klejnot, znaczy, ten wzmacniacz...

— Wiem. Mam nawet gdzieś zdjęcia. Byłaś taka mała. — Pokazał ręką z papierosem. — I tak nic nie pojmowałaś, nic nie mogłaś zapamiętać — nie zapamiętałaś, prawda? — więc zabierał cię czasami, gdy otwieraliśmy bezpośrednie symetrie. Zresztą począł cię już jako Upiór¹. Na początku naprawdę niewiele wiedzieliśmy; nie było w tym niczych złych intencji.

— Rozumiem. — Ponownie strzepnęła popiół. — Co to była za bitwa?

— Ach. To. Chińczycy. No, niestety, nie da się utrzymać całkowitej tajności, sama wiesz, jak to wycieka. Co bardziej obiecujące lokacje — w Mieście, we wszechświecie — stają się przedmiotem sporu. Każdy twierdzi, że to on był pierwszy, i tak to potem eskaluje z dziecinnych przepychanek; jak to w polityce. Najgorsze są prywatne korporacje, wiedzą, że przecież nie wytoczymy im procesu.

Najeżdżają nawet i niszczą cudze amplifikatory, kradną artefakty.

— Chapeotoplex.

— Tak.

— Źle wtedy trafiłam.

— Pech.

— Raczej detektyw opętany przez Chandlera. Ale gdybyście wy od początku szczerze...

— Chyba żartujesz! — zachnął się wciągając dym. — Tajemnica jest najważniejsza. Nie możemy sobie pozwolić na takie gesty. Dla utrzymania sekretu poświęciliśmy już tak wiele, że jedna córka zmarłego przed łąty pracownika nie znaczy nic.

— Skąd ta obsesja?

— Obsesja? Pewnie sądzisz, że to dla zachowania monopolu, a w każdym razie jak najdłuższego powstrzymywania konkurencji. Co? Robiliśmy symulacje. Zamawialiśmy analizy u historyków, socjologów, psychologów. Później budowaliśmy nawet chtoniczne modele całych społeczeństw. Wnioski zawsze te same. Nie ma innego sposobu, tylko tak: bocznymi drzwiami, kłamiąc, dawkując powoli, utrzymując zasłonę fikcji. Gdybyśmy wystawili ludzkość od razu na całą wiedzę i wszystkie technologie, jakie złupiliśmy i łupimy z grobów tych niezliczonych cywilizacji, mielibyśmy rewolucje, wojny, migracje i ludobójstwa, jakich świat nie widział. Takie szoki kulturowe nigdy nie przechodzą bezboleśnie — co dopiero ten, największy z możliwych. Przypomnij sobie historię kolonializmu, jego ofiar. My naprawdę postępujemy ostrożnie. Przez te dwadzieścia parę lat wprowadziliśmy do obiegu zaledwie ułamek procenta zebranej wiedzy: submolekularne wiązania KRON, czyli to, co się teraz nazywa „elfimi technologiami”; hodowlę organicznych komputerów, tych „maszyn chtonicznych”; AG, *Artificial Genetics*, Kabałę Genową; skan podheisenbergowy; libaryt, medium snów liminalnych; i jakieś pomniejsze duperele medyczne. Same skany spowodowały perturbacje demograficzne: pośmiertni i przedurodzeni i, w konsekwencji, *Generation Teenage*, dziesięcioletnie rekiny biznesu — popatrz, jak to wywróciło świat! A, na litość boską, nie minęła jeszcze połowa dwudziestego pierwszego wieku! Teraz szykujemy kampanię „naturalnego” wprowadzenia antygravitacji, ale to już z musu, trzeba to jakoś koordynować w skali globalnej, a konkurencja ciśnie bez przerwy, ktoś by się z tym wyrwał samodzielnie, wtedy byłoby trudno zamaskować źródło. Utrzymanie sekretu jest absolutnie konieczne. Czy ty to rozumiesz?

— Ojoj, bo jeszcze się przejmę, co za perora. Ofiara ma przebaczyć katowi, to już mord luksusowy.

Aż odchylił się na oparcie, krzesło wiznęło wstecz po gładkiej posadzce.

— Ach. Więc my cię, my cię tu zabijemy, tak, zabijemy.

Zamrugnęła.

— Nie?

— Nie.

— Jak to się ma do waszej polityki absolutnej tajności? Sam zdradzasz mi kolejne sekrety.

— Nie jesteś pierwsza. Zbyt dużo ludzi musielibyśmy likwidować. Dostaniesz do podpisania *Non-Disclosure Agreement*, będziesz pracować dla nas.

— A jak się nie zgodzę? Albo podpiszę i zdradzę?

— Wtedy, no cóż, wtedy cię zabijemy, tak.

Rozglądawszy się, cisnęła peta w kąt.

— Mogę prosić o jeszcze jednego? Podał jej i zapalił.

— Mmmmm, pracować dla was. Niby co miałabym robić?

— Jesteś po ekonomii i zarządzaniu. Mamy cały wszechświat do wyeksploatowania, biliony

grobow do złupienia.

— Jak zginął ojciec? De Greu wydał wargi.

— Jest to nawet na filmie. Robiliśmy zresztą analizy szczątków, żeby nie było żadnych wątpliwości: DNA, gałografie porównawcze. Ale to na pewno był Jan Klajn.

— No więc?

— Przykra sprawa. Wtedy już kombinował z Terakotowymi Ministrami, sprzedawał im informacje i na własną rękę próbował wejść do Sezamu. Kontrwywiad miał go na oku. Naprawdę, do tej pory nie mogę pojąć, na co mu to było. Nie szantażowali go, nic z tych rzeczy; sprawdziliśmy. Przecież go znałem — obłąd jakiś czy co... Tak czy owak, Jan wierzył, że skoro tylko w wystarczającym stopniu przepisze się z eldżetu na elel, będzie w stanie przejść prze? Szczęki. Przeliczył się, zmiażdżyło go w ułamku sekundy. W sumie może to i lepiej, dowody były już prawie zebrane, trzeba by było coś z nim zrobić...

— Córka zdrajcy na dodatek.

Przesunął po niej powoli spojrzeniem, od stóp do głowy.

— Masz to we krwi?

— Mhm?

— Zdradę.

Niespodziewanie wybuchnęła śmiechem. Ula zerknęła na nią z nie ukrywanym niepokojem.

Zuzanna podeszła do wielkiego okna; stojąc tyłem do Johanna, powoli paliła papierosa. Gdy spojrzeć tuż przy ścianie, widać było inną bryłę zawieszoną na niebie, kilka kilometrów od Zamku, jeszcze większą — o ile dobrze pamiętała z cmentarnego objawienia rozmiary Wysokiego Zamku.

— Kto zbudował Miasto?

— Dam ci wszystkie opracowania sporządzone w Instytucie, jest tego trochę, także dla laików, zwłaszcza dla nich, teraz już więcej w tym siedzi polityków i menadżerów niż naukowców

— Kto? Obcy. Ale kiedy, dlaczego, jak, kim oni byli? Wzruszył ramionami.

— A kto stworzył eldżet? — De Greu wypuścił długi obłok dymu. — Toczą się wśród naszych specjalistów zaciekle spory. To jest gigantyczna otchłań nieznannej fizyki, w której fizyka ikjirii, to znaczy nasza fizyka, fizyka czasoprzestrzeni Einsteina–Quonga–Ramireza, stanowi zaledwie jeden z możliwych wariantów. Weź na przykład kamień ikjuracyzny i kamień eldżetowy: atomy, protony, neutrony, elektrony, wszystko tak samo, żadnej różnicy. Musisz dopiero spojrzeć z zewnątrz fizyki EQR, zastosować kryteria bezsensowne w naszym świecie, by zarejestrować cechy odmienności. Tak samo pojęcie „stanu skupienia” jest absurdalne w świecie znającym jedynie ciała stałe albo jedynie plazmę; a dla ślepego czerwona piłka i zielona piłka jawią się takimi samymi kulami. W tej chwili są dwie główne hipotezy: że continuum LG istnieje niezależnie od continuum EQR, taka jest po prostu natura wszechświata; i druga hipoteza — że czasoprzestrzeń eldżetycka została jakoś wygenerowana przed miliardami lat przez stosownie zaawansowaną technologicznie cywilizację — jak Kosy Błękitu generują w swych ostrzach czasoprzestrzenie elseckie. Tylko że na większą skalę. Wciąż poszukujemy w Mieście owych generatorów LG. Rzecz w tym, że datowania niektórych fragmentów Miasta dają wyniki, mhm, pozaikjuracyzne. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt miliardów lat. Może znajdziemy jeszcze starsze dzielnice; eldżet przyciąga eldżet, to wielka siła konserwująca. Oczywiście zwykłe metody datowania nie bardzo się tu sprawdzają, ale możemy rezultaty skalować porównując z symetrycznymi relikami z EQR. Wydaje się wszakże, że Miasto powstało na długo przed narodzinami kosmosu EQR, zbudowano ja kilka Big Bangów temu. Zresztą nawet o to się spierają. To znaczy, czy w ogóle w jakiegokolwiek części je zbudowano. Jedną z właściwości eldżetu, podstawową chyba, jest wrażliwość na formę, samoistne dążenie do symetrii. Eldżet przyciąga eldżet

— ale ta symetria nie dotyczy jedynie materii, lecz przede wszystkim struktury. Jak magnes przez magnes, tak formy eldżetu przyciągane są przez formy im podobne. Ponieważ nie ma znaczenia, z jakich elementów struktura się składa, jest to oddziaływanie uniwersalne, ta symetria nie ogranicza się do eldżetu. Nie ogranicza się zresztą w ogóle do struktur materialnych. Sęk w tym, że zachodzi tu nie tylko przyciąganie, lecz czasami również kopiowanie. Wkrótce zapewne odwiedzisz dzielnicę Miasta, w której stoi dokładne odbicie Manhattanu. Materii organicznej jakoś nie kopiuje. Więc pytanie brzmi: czy aby całe Miasto nie powstało przez takie spontaniczne odbicia; czy nie jest tworem naturalnym. No, ale ktoś musiał postawić w LG pierwszy budynek, skąd inaczej wzięłaby się owa symetria formy z architekturą wielkomięską? Widać w tym wyborze konkretny zamysł, bo cóż może stanowić lepszy wyróżnik inteligentnego życia niż wielkoskalowe konstrukty materii nieożywionej? Oczywiście i na to są kontrteorie...

Zduślił papieros o poręcz krzesła. Zuzanna słuchała w milczeniu, dym zakręcał nad jej głową ku wentylatorowi. Czarny płomień włosów przesuwiał się między jej łopatkami, gdy obracała spojrzenie od jednego do drugiego zabytku starożytnej kultury niehumanoidalnej, zapatrzona w panoramę za szybą.

— Może już skończmy te podchody, panno Klajn. Zamierzasz sama siebie oszukiwać? Przecież widzisz: nie potrafiłabyś wyrzec się Miasta, odwrócić plecami do wszechświata. Naprawdę nie jesteś pierwsza.

Nie obejrzała się.

— Daj tę umowę.

Dopiero potem, omawiając to z Ulą, zdała sobie sprawę, że w istocie posiadała wybór: niezależnie od tego, co mówił, de Greu nie pozwoliłby jej skrzywdzić, nie po to przyszedł porozmawiać z nią sam na sam, on, wicedyrektor Instytutu Wernera. Pamiętał ją jako małe dziecko, żyła w jego pamięci związana nierozzerwalnie ze wspomnieniami zmarłego przyjaciela. Ten starzec chciał tu, za pośrednictwem Zuzanny, odkupić jakieś swoje grzechy młodości, rzeczywiste lub urojone.

Nazajutrz została oficjalnie zatrudniona w Instytucie Wernera na stanowisku asystenta zastępcy dyrektora Departamentu Administracji. Przy tej okazji dowiedziała się, iż pracownikiem Licz sp. z o. o. przestała być już tydzień po swoim zniknięciu. Licz i tak długo wytrzymała, wzięwszy pod uwagę liczbę i ciężar stawianych Zuzannie zarzutów. Oczywiście teraz wszystkie je wycofano. Dla rodziny i znajomych trzeba będzie stworzyć stosowną legendę, pijarzy IW już nad tym pracowali.

Wysoki Zamek był datowany na 7G BBB (siedem miliardów lat przed Big Bangiem). Został przekopiowany — wraz ze swymi piwnicznymi basenami antygravitacyjnej magmy — z prawie — nieważkościowego świata wielkich owadoidów, cyborgizujących się rojami w chthoniczne AI, a jako rój — właściwie nieśmiertelnych. Wszystkie wnętrza i mechanizmy fortecy zostały przystosowane do fizjologii owych owadoidów; estetyka — do ich zmysłów. Wernerowcy musieli tu na przykład zbudować od podstaw klatki schodowe, zastali bowiem jedynie puste szyby powietrzne. Znajdowali zresztą również rozliczne pozostałości po innych mieszkańcach Zamku — tych, co korzystali z niego między epoką owadoidów a epoką ludzi. Nie cały Zamek został zresztą spenetrowany, któraś późniejsza rasa eksploratorów Miasta zamontowała na wyższych piętrach generatory jakiejś egzotycznej czasoprzestrzeni, nic tam nie było w stanie wejść i utrzymać formę, materia rozpadała się na atomy. Zuzannie przydzielono pokój na siedemnastym piętrze, w kompleksie kwater administracyjnych — to była ta gotycka komnata, w której się ocknęła po porwaniu z rynku lewitacyjnego.

Dla utrzymania blokady informacyjnej z zasady nie wpuszczano do Miasta osób z libarytem we krwi, wernerowcy regularnie przechodzili głębokie płukania ubikiem; a ponieważ fale

elektromagnetyczne wędrowałyby stąd do Układu Słonecznego milion lub miliard lat (w zależności od kierunku propagacji i najbliższej aktualnej symetrii Miasta}, nie istniała żadna możliwość bezpośredniego kontaktu z Ziemią. Na pierwszym spotkaniu ze swym przełożonym, Karolem Mozicką, Zuzanna wyraziła chęć jak najrychlejszego powrotu dla uporządkowania spraw. Spodziewała się sprzeciwu, jakichś kruczków prawnych, wymyślonych dla zatrzymania ofiar szantażu z dala od mass — mediów — lecz Mozicka zgodził się od razu. — Oczywiście; powiedzmy, że zacznie pani pracę za dwa miesiące, okay? Proszę pozostawać w kontakcie z centralą w Brukseli. — Podziękowała, zaskoczona. Dziękowała szczerze; złapała się na tym, że nie myśli, nie potrafi myśleć o tych ludziach jako o swoich opresorach, wykonawcach jakiegoś demonicznego spisku (choć przecież spisek istniał, konspiracja nie wyszczegółowiona nawet w Światomiłowym Drzewie Teorii Spiskowych). Byli to zwykli naukowcy i biurokraci, pracujący nad niezwykłymi rzeczami; większość z nich wciąż w gorączce owej dziecięcej fascynacji, Zuzanna świetnie rozumiała ich uzależnienie. Zaiste, nie była pierwsza; za nic w świecie nie wyrzekłaby się Miasta i jego sekretów.

Z magazynów Zamku dostała kilka kompletów ubrań, lecz zwrócono jej także elfi garnitur i to w niego natychmiast się przebrała. Kroniczny materiał wyglądał jak nowy, ani plamki czy zagięcia; tulił się do jej skóry, chłodny i gładki. Od razu zmieniło się jej spojrzenie na rzeczywistość. Nie; ofiara złowrogiego Instytutu — lecz: Instytutu członek, czerpiący z jego potęgi, dopuszczony do jego tajemnic. Może nie taki był jej cel, ale — czyż nie wygrała?

— Jeszcze im pokazemy — szeptała w nocy Ula. — Dobrze, że nie wygadałaś się o amulecie.

Lot na Manhattan² (bo *de facto* Upiór Manhattanu, jego odbicie eldżetyckie) trwał szesnaście godzin. Lecieli — Zuzanna i kilkunastu innych pracowników IW — Piorunem IV, z szybkością dwunastu Machów sunąc przez różnobarwne nieba dwa — trzy kilometry ponad Miastem, pilot musiał dysponować sporym marginesem bezpieczeństwa przy niespodziewanym przechodzeniu do dzielnic odmiennego ciężenia, odmiennej gęstości powietrza. Miasto przy pływa i odpływa od ikjurii w spontanicznych zrywach, gdy lokalna „symetria formy” przekroczy wartość krytyczną. Strefy „zszycia” z planetami (lub innymi przestrzeniami architektonicznymi) sąsiadują ze sobą i czasami nawet nachodzą na siebie, tworząc zwichrowaną czterowymiarową topologię. Zuzanna wyglądała przez okno, próbując zapamiętać punkty charakterystyczne. Wernerowcy do tej pory nie sporządzili pełnej mapy Miasta. Posyłano bezzałogowe samoloty słoneczne, by wytyczyły jego granice: albo gubiły się wleciawszy w ikjurie, albo jeszcze tych granic nie napotkały. Poszczególne dzielnice nie były jednak w Mieście rozmieszczone przypadkowo, istniał tu pewien (naturalny?) porządek, i aktywność ludzkich eksploratorów skupiała się wokół dzielnic „ziemskich” — stąd konflikty i walka z konkurencją. Ponieważ Instytut Wenera był pierwszy, zajął lokacje obiecujące najlepsze symetrie.

Manhattan został przekopiowany pod koniec XX wieku (w rzeczy samej z odnalezionych w biurach dokumentów i z zapisów tak samo skopiowanych pamięci komputerowych wydedukowano dokładną datę: 19 maja 1996 roku, wieczorem), siały tu jeszcze oryginalne wieże World Trade Center. Przez Times Square i dalej, między bezludnymi budynkami, ciągnęło się behemotowe cielsko wernerowego Amplifikatora Symetrii.

Piorun wylądował w zgniłozielonym półmroku, opadając pionowo w głęboki cień wysokościowca. Najbliższa aktualnie otwarta symetria prowadziła w lodowe pola orbitalne planety przetransmutowanej w konstrukt logiczny nieznanego przeznaczenia, gdzieś w sąsiedniej gromadzie galaktyk, i światło starej gwiazdy, filtrowane dodatkowo przez takie i owakie gazowe pozostałości procesu transmutacyjnego, dochodziło do Lodowej Metropolii w formie trupiego blasku. Zuzanna, czekająca wraz z innymi w wąskim zaułku, za budką z hot — dogami, czuła dotyk oślizgłego seledynu

na skórze i na nieskalanej bieli elfiego garnituru; odruchowo założyła ręce na piersi.

Wernerowcy gapili się w niebo, wymieniając półgłosem nieświeże żarty. Gdyby mrugnęła, przegapiłaby moment zmiany. W Nowym Jorku była noc, późny wieczór. Szybko wyszli z zaułka — tu, równo z krawędziami równoległych ścian, zaczynała się ikjuria — i wmieszali się między przechodniów, nawet gestem się nie żegnając, gdy znikali sobie z oczu w tłumie.

Symetria została zgaszona już po kilkunastu sekundach, zawsze istniało niebezpieczeństwo zabląkania się do Miasta jakiegoś roztargnionego nowojorczyka — i takie rzeczy istotnie dość często się zdarzały, wystarczy spojrzeć na listy osób zaginionych w wielkich kompleksach miejskich. Mała sekcja Instytutu Wenera zajmowała się wyłącznie katalogowaniem przypadków owych lunatycznych wędrówek przez eldzet, z wieków minionych zachowały się przecież liczne relacje o dzieciach i dorosłych pojawiających się wtem setki, tysiące mil od swego miejsca zamieszkania, o wizjach Babilonu, światłach na niebie, wielkich cieniach na horyzoncie; sekcja zbierała z ulic Miasta szkielety i szczątki odzienia i próbowała dopasować je do epok i kontynentów, nadal poszukiwali na przykład śladów IX Legionu Rzymskiego, być może stał gdzieś w Mieście cały eldzetowy Mur Hadriana.

W pierwszej aptece Zuzanna kupiła pakiet nabożów libarytowych. Mieszkanie ojca znajdowało się dwie przecznice dalej. Idąc, bawiła się telefonem — zadzwonić? nie zadzwonić? I do kogo? Co powiedzieć? Na koniec nie zadzwoniła nigdzie. Miała zarezerwowane miejsce w samolocie do Krakowa, odlatuje jutro w południe.

Pościel na tapczanie w kawalerce pachniała tanią antyseptyką. Pierwsza noc we wszechświecie EQR, ikjuracyjne powietrze w płucach, autostrada jasnej przyszłości przed oczyma. Nie mogła zasnąć, choć Ula nuciła swoje aliteracyjne kołysanki. Zuzanna oglądała podarowane przez de Greu nagranie. Sezam znajdował się w Górach Neuro, w rozpadającej się Sferze Dysona (zwanej Urną) w Mgławicy Andromedy. Góry Neuro były to milowej wysokości spiętrzenia tkanki organicznej powstałej z rozmaitych AG oraz rakowatych wyrosli zdziczałego nano. W głębokich, parujących gorącymi kwasami sztolniach, zamykających się i otwierających niczym gargantuiczne gardła lub odbyty, pancerne roboty wydobywały dla Instytutu twarde jak kamień gruczoły logiczne, które potem hodowano i rozmnażano na Ziemi jako tak zwane maszyny chtoniczne. Sezam stanowił wejście do „podziemnej” przybudówki Urny, tam najprawdopodobniej znajdowało się czynne wciąż centrum kontrolne, zarządzające słońcem oraz Megaamplifikatorami, pokrywającymi — niczym astronomiczne obwody drukowane — całą zewnętrzną powierzchnię Sfery. Można się było tylko domyślać, dla wzmocnienia jakiej symetrii je zbudowano. Wrota Sezamu stały otworem, ciemny tunel schodził w głąb, ku warstwie grawitonicz — nej magmy, i niżej. Wszedł tam onegdaj jeden naćpany Belg, ale nigdy nie wrócił. Resztę miażdżyło jeszcze na granicy cienia — jakiś starożytny mechanizm detekcyjny. Jan Klajn rozebrał się do naga, odzienie złożył starannie w kostkę, na wierzchu kładąc portfel i telefon. Oczywiście wiedział, że są tu zamontowane kamery. Mrugnął porozumiewawczo do obiektywu wchodząc w cień, czarna broda kryła usta, ale na pewno też się uśmiechał. Zmiażdżyło go po pierwszym kroku, lokalny skok ciężenia do 1200 g zmienił go w kałużę organicznego błota. Zuzanna nie mogła zdecydować, w jakiego ojca uwierzyć. Czy on chciał popełnić samobójstwo? Na co liczył? Wiedział o kamerach, wiedział o podejrzeniach. Dlaczego w ogóle zdradził? Nagranie, które jej pozostawił — niczego nie wyjaśniało. W ogóle nie pozostawił wyjaśnień. Patrzyła, jak w zwolnionym tempie wstępuje w cień paszczy tajemniczego konstruktu Obcych. Opalona skóra napinała się na fałdach tłuszczu, czarne włosy porastały uda i dół pleców, podskakiwały pośladki — bardziej zwierzęcym już być nie można. Nie obejrzał się, ani za dziesiątym, ani za setnym odtworzeniem filmu. Tuż przed zaśnięciem, o drugiej nad ranem nowojorskiego czasu, Zuzanna

zaszlochała sucho, po raz pierwszy naprawdę opłakując swego ojca.

W Krakowie padał śnieg. Skutkiem ubocznym prowadzonych z Podziemnego Świata gier reklimatyzacyjnych pozostawała zwiększona trudność przewidzenia pogody w danym dniu, godzinie; można sprawić, iż temperatura roczna wzrośnie lub spadnie o stopień, dwa, pięć, lecz zarazem podwyższa to o rząd wielkości niepewność konkretnych predykcji. Zimy były już w środkowej Europie tak słabe, że niektórzy w ogóle zapowiadali rok bezśnieżny — przeliczyli się (tym razem).

Zuzanna spoglądała przez szybę taksówki na przechodniów w lekkich, już wiosennie kolorowych ubraniach — drząc, czym prędzej uciekali z ulic pokrywających się szybko białą watą. Jednak Klajn, przyzwyczajona do ekstremalnych warunków Miasta oraz jego planet symetrycznych, nie czuła chłodu w swym kronicznym garniturze.

Do elfiej dzielnicy w ogóle nie zajrzała — po co? tłumaczyć się bliźniakom? I tak nie była już tam lokatorem, nikt przecież przez te kilkanaście miesięcy nie płacił za nią czynszu (ani rat na nowe mieszkanie), jej ruchomości przewieziono do policyjnego magazynu, niedawno odebrała je stamtąd kancelaria Lipszyca, teraz spoczywały w jej magazynach.

W następnej kolejności pomyślała Zuzanna o Kamilu. Nie chciała objawiać się mu we Lśnie. Sprawdziła w informacji i, zobaczywszy adres, westchnęła głośno. Więc jednak wybudował im Dom!

Taksówka przedarła się na miejsce przez zakorkowane ulice, gdy już zmierzchało. Zuzanna wysiadła pod rzadkie strumienie śniegu, delikatne płatki lodu łaskotały ją, opadając na ciepłą skórę. Stała i patrzyła: wszystko się zgadzało, architektura i kolory i łukowata, gładka asymetria elfich ścian, nawet ażurowa furtka i ścieżka prowadząca do drzwi, wysadzana rtęciowymi kamieniami.

Podeszła, stanęła na wycieraczce. Dom ją rozpoznał, zachował ją w pamięci z czasów, gdy istniał jeszcze wyłącznie w Lśnie: otworzył się, powitał miękkim głosem, poprowadził światłem i gorącym podmuchem w ciche poza tym wnętrze. Wiedziała, gdzie są schody, gdzie salon. W kominku podniósł się nieśmiały ogień, gdy przestąpiła próg.

Uszło z niej jakieś wielkie zmęczenie psychiczne, napięcie nieustanne, z którego nie zdawała sobie sprawy, dopóki jej właśnie nie opuściło, pozostawiając ciało nagle bezsilnym i wiotkim — usiadła na sofie i wypuściła z płuc powietrze, sflaczała lalka. Ula zwinęła się jej na kolanach, Zuzanna machinalnie głaskała jej włosy. Nie mogła sobie przypomnieć, czy to ten zapach kadzidła wybrała była z Kamilem, czy taki kolor dla cieni...

— *Omigod!*

Ach, więc przysnęła tutaj, zapadła na chwilę w drzemkę. Płomienie w kominku pełgały tak uspokajająco, dlaczegożby nie miała się odprężyć...? Jeszcze nie do końca uniósłszy powieki, wyciągnęła do niego rękę. Pochylił się nad nią, uściskał, usiadł obok. Woń jego wody kolońskiej spłynęła na nią jak ostatnie błogosławieństwo.

— *Christ, Zuza*, więc jednak, ale co, musisz mi powiedzieć, czy ty wiesz, no rany boskie, myślałem, że już...

Było jej ciepło, było jej dobrze, czemu on nie może się zamknąć i zdać się na ciało, w słowach zawsze tylko wstyd, skrępowanie i żenada. Przyciągnęła go sennym ruchem, zapadł się w nią bez tchu, mogła mu potem oddać własny oddech — smak nikotyny na jego języku, nagle szarpnięcie dłoni ku jej piersi, rozpiął jej marynarkę, złapała go za włosy z tyłu głowy, syknął z bólu, zaśmiała się, nie przerywając pocałunku. Drugą dłonią wwierciła się mu w rozporek, o, dobry wieczór, dawnośmy się nie widzieli.

Była jednak jakaś rezerwa w jego gestach, zdawało się jej, że Kamil walczy z własnym ciałem. Może jest Wizje alternatywne

przewrażliwiona — w końcu minęło tyle czasu... Odsunęła na moment jego głowę, spojrzała mu w oczy. Wydeła wargi. Uśmiechnie się? Gdzie ta iskra diaboliczne — go cwaniactwa? Uśmiechnął się.

— *Ever fucked a terrorist?* — szepnęła. — *I'm a dangerous woman, you know.*

— *You've got a body of predator.* — Przesunął palcami po jej żebrach, wyraźnie widocznych pod skórą, nacisnął na twarde mięśnie uda; do reszty skopała spodnie na podłogę.

— *C'mon.*

A może po prostu to ona aż tak się zmieniła? Było to chyba bardziej prawdopodobne. Chciała wykorzystać moment, gdy wciąż pozostaje dla niego tajemnicą — bez tłumaczeń, w zaskoczeniu, co on sobie o niej myśli, czego się spodziewa, jakich odkryć podniecających — teraz była dlań tym wszystkim, o co spytać się nie odważył, i nie pozwalała mu, zamykając usta zdyszczanym pocałunkiem, gdy tylko dostrzegą, że coś się w nim burzy i ciśnie na powierzchnię. Kontrolowała go samymi sugestiami gestów, jakich nie wykonywała, i słów, jakich ostatecznie nie musiała nawet wypowiadać. Do końca patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, nawet w finalnym westchnieniu ostrożny, by nie przekroczyć jakiejś linii — służa, ofiara, zakładnik, dziecko.

Nagrodziła go całusem w czoło.

— *Good boy.*

Zsunął się na przeciwległe oparcie sofy. Oddychał przez nos, przygryzając dolną wargę.

Ponad jego ramieniem widziała Ulę, wskazującą wyciągniętą rączką na zdjęcia stojące na kominku. Zuzanna wstała, przestąpiła białe spodnie, podeszła do ognia, fala gorąca objęła jej nogi i, gdy Klajn oglądała kolejne holografie, powędrowała wzwyż jej ciała, na koniec docierając do głowy, rozpalona krew, rumieniec na twarzy, żółć w ustach. Książę jej nie daruje, przecież to było oczywiste.

— Próbowałem ci powiedzieć — rzekł cicho Kamil. Nagła inwazja opery mydlanej, Boże, tylko nie to, zachowajmy przynajmniej odrobinę godności.

— Miła buźka — mruknęła Zuzanna, nie odwracając się. — Sformalizowaliście to jakoś? Jak długo już...?

Wygląda, że długo.

— *Fuck, Zuza, ty nie żyłaś!*

— A jak usprawiedliwisz się przed nią? — Obejrzała się na niego. — Kogo ty właściwie zdradzasz, co? Kamil?

Wzruszył ramionami, zapinając rozporek.

— Was obie, obawiam się.

— Człowiek żelaznej etyki, jeśli nie fiuta — parsknęła podnosząc spodnie. — Pozdrów ją ode mnie, jak wróci. Pozdrowisz, prawda?

— Nie musisz mnie szantażować. Opowiem jej wszystko.

— Nie da się opowiedzieć wszystkiego. A tak z ciekawości — na pamiątkę czego postawiłeś ten dom?

Ponownie wzruszył ramionami.

— Podobał się jej... Nie żyłaś, nie miała nawet o co być zazdrosna.

— Taaa. Łazienka jest tam, gdzie pamiętam? Dom zamówił jej taksówkę, Zuzanna poczekała na nią już za drzwiami, obserwując powolny taniec samotnych płatków śniegu w światłach domu; poza ich zasięgiem była tylko zimowa noc, cicha i mroźna — Boże, jak mroźna, teraz już Zuzanna trzęsła się z zimna. Wsiadając do taksówki, kichała seriami. Katar, ostatni wróg Kabalistów Genowych.

Wynajęła pokój w Arkadii. Pod niewidoczną gołym okiem kroniczną kopułą królowała

fantastyczna AG, w tym hermetycznym świecie baśni trzycalowe elfy o motylach skrzydłach i ptasiej inteligencji opiekowały się każdym gościem, nie opuszczając go ani na moment, ledwo przekroczył próg recepcji; świergot ich wysokich głosików był jak wieczorna muzyka cykad — ale tu nigdy nie zapada wieczór, we wszystkich Arkadiach Ziemi trwa niezmiennie wiosenny poranek. Śnieg? Mróz? Okrutne kłamstwa.

Idąc przez wewnętrzne łąki ku wschodniemu skrzydłu labiryntowego pałacu, zdjęła buty, by poczuć pod stopami puchową trawę (także trawa arkadyjska została zbudowana od podstaw na replikantach konkurencyjnych wobec DNA). Nagle ten jej niezniszczalny garnitur aseptycznej bieli zdał się Zuzannie topornym kombinezonem, pancernym skafandrem kosmicznym, jego sztywna elegancja zaczęła ją krępować, każdy jej ruch, nawet myśl. Nigdy więcej. Pozbędzie się go, sprzeda. Należy wrócić do słabej bawełny, delikatnych jedwabów, sukienek ręcznie szytych.

Rano, wyszedłszy spod prysznic, pochwyciła swoje odbicie w półzaparowanym lustrze i aż przystanęła. W Wysokim Zamku nie widziała tego tak wyraźnie; tu, w ciepłym świetle Arkadii, w aureoli błękitnoskrzydłych elfów o różowych ciałkach, kontrast był wręcz bolesny. Bardzo zbrzydła przez te półtora roku wygnania, zwierciadło ze stacji archeologicznej Trójśćońc nigdy nie kłamało. Sama skóra, skatowana bezlitosnym promieniowaniem obcych słońc, wymagała wielotygodniowej pielęgnacji, może całkowitej rekonstrukcji przez Kabalistów.

Drobną pociechę czerpała Zuzanna ze świeżej wiedzy o naturze eldzetu: eldzet przyciąga eldzet, nie tak łatwo wyrugować z organizmu atomy LG. Choć prowadzi to do degeneracji tkanek na poziomie genetycznym, gdyż zasady eldzetyckie ponadstatycznie „wybierają” inne zasady eldzetyckie, pomijając dezoksyrybonukle — idy ikjuracyjne, jak również do pewnej starczej inercji struktur neuralnych — to zarazem stanowi potężną siłą konserwującą, człowiek w całości przepisany na eldzet byłby człowiekiem potencjalnie nieśmiertelnym, w każdym razie daleko mniej podległym entropii.

Tymczasem wszakże Zuzanna doświadczała jej mocy w całej pełni. Na plecach rosła jej jakaś ciemna plama, rakowata narośl powyżej łopatki. Klajn obracała się przed lustrem w te i we w te, próbując dojrzeć wszystkie stygmaty.

— Wy to macie jakąś obsesję na punkcie ciała — krzywiła się prababka Izabella.

— Nie wszyscy są jeszcze chtonicznymi aniołami.

— Nie widzisz, jakie to... powierzchowne, płytkie, banalne? Piękno zewnętrzne i zniewolenie przez pozory.

Generację T jeszcze mogę zrozumieć, osiem lat ciała to jednak niewiele dla osiągnięcia dojrzałości tyczących go emocji, można być dorosłym w świetle prawa i testów psychologicznych, a mimo to zachowywać się niedojrzałe w prawdziwym życiu; więc Generację T rozumiem — ale ty? Przedtem też to widziałam: jak się stroisz, jak męczysz na tych siłowniach, szpikujesz jakimiś gen — kosmetykami. Popatrz, jaki użytek zrobili z ipsatorów, jak momentalnie sprymityzowali Angelusy: najpopularniejszy wektor zmiany to Adonis, świadomie wybierają wielką próżność.

— A co mieli wybrać? — wzruszyła ramionami Klajn.

— Pojawiła się technologia, to trzeba zrobić z niej użytek. Tak gaz wypełnia próżnię. To naturalne ciśnienie. Nie ma „dlaczego”, nie ma „po co”.

— Jak dzieci, jak dzieci. Zobaczysz kolorową zabawkę, więc musi wziąć do ręki, wcisnąć do buzi.

— Sama mi podarowałaś, teraz agonizujesz.

— Agonizuję! — obruszyła się prababka. — Konstatuję smutne fakty. Ja obserwuję to od lat, cała kultura się infantyлізуje.

— Za to za twoich czasów... — zadrwiła Zuzanna.

— Nie możesz przykładać ówczesnych wartości do dzisiejszego świata. Wtedy piękno ciała stanowiło właściwie cechę przypadkową, nie wybierałaś swojego wyglądu, więc ocenianie podług niego to był swoisty rasizm estetyczny. Ale teraz? Niby dlaczego perfekcja ciała miałaby stanowić wartość niższą od perfekcji umysłu? Potrafisz to jakoś uzasadnić? Jedno i drugie stanowi pochodną cech charakteru, na jedno i drugie musisz pracować. Oczywiście, niektórzy rodzą się ładniejsi i żyją komfortowo; ale też niektórzy rodzą się inteligentniejsi i wychowują się w bardziej stymulującym intelektualnie środowisku. Nie ma już różnicy, należy przykładać tę samą miarę. Dyplom, wykształcenie, majątek i piękne ciało. Stanowi świadectwo licznych przymiotów ducha: siły woli, wytrwałości, konsekwencji, poczucia estetyki, szacunku dla innych.

— Szacunku?

— Tak, tak, niekonieczna brzydota — a jaka brzydota jest dziś konieczna? — to oznaka świadomej lub nieświadomej pogardy dla innych ludzi, obraża wszystkich, z którymi się stykasz. Jak brak osobistej higieny albo wulgarne zachowanie.

— Ty naprawdę tak myślisz? Czy też ci porywacze zaordynowali ci jakieś pranie mózgu?

— Zaraz zaczniesz podejrzewać wielokrotny gwałt, traumę podświadomą, syndrom sztokholmski i Bóg wie, co jeszcze.

— Jakoś nie chce mi się wierzyć, że trzymali cię półtora roku i nic nie zrobili. Zresztą same osiemnaście miesięcy izolatki to jest ciężka trauma. Skąd w ogóle wiesz, że znowu cię nie dopadną? Z terrorystami nic nie wiadomo, nigdy nie można mieć pewności, że rozbito ich siatkę do reszty.

— Jak wspaniale poprawia mi humor chwila rozmowy z tobą.

Niewyraźnego nie mogłaby Zuzanna usatysfakcjonować bajeczką o terrorystach. Zresztą okazało się, że nie musiała.

Światomił nie odpuścił sobie przez ten czas śledztwa w sprawie Instytutu Wenera i pozaziemskich miast, hodował swoje Drzewa Teorii Spiskowych z benedyktyńską pieczołowitością. Kontrwywiad IW umiejętnie karmił go prawdziwymi informacjami fabrykowanymi jako fałszywe oraz fałszywymi fabrykowanymi jako kłamstwa tak już nieporadne, że najpewniej z ziarnem prawdy w środku — i nastoletni detektyw samorodny jął rychło produkować wielki hałas medialny, zasypując sieci zwariowanymi podejrzeniami i dowodami rządowych zbrodni, aż kontrwywiad Instytutu prawie zaprzestał własnej działalności dezinformacyjnej, Światomił Niewyraźny był ich najbardziej oddanym agentem, tym skuteczniejszym, że absolutnie szczerym.

Zuzanna odwiedziła go we lśnię, przeszedłszy z arkadyjskiego gaju w zaduch i bałagan berlińskiego biura Światomiła. Czowała jak suchy kurz wciera się jej w skórę pod sukienką, Majstruje wargi. Nie mogła jakoś się zdobyć na stosowne ciepło i wylewność w odpowiedzi na energiczne powitanie Niewyraźnego.

Przynajmniej więc powiem mu prawdę, pomyślała, należy mu się — przecież nie każe mnie de Greu zabić z tego powodu.

No i opowiedziała małemu rudzielcowi wszystko, od początku do końca. Trwało to z godzinę; on siedział i słuchał, popijając colę.

— Aha. Aha. A więc tak to chcą przeprowadzić... Ty wiesz, że podesłali mi już dwie osoby z tą bajeczką?

Niewyraźny zaprojektował się był z nazbyt wielką precyzją. Teraz już nigdy nie wydostanie się z tej spirali kompulsywnych śledztw, samonapędzająca się machina podejrzeń, chodząca teoria spiskowa — każdą prawdę potrafi zdekonstruować.

Klajn pożegnała go czym prędzej.

Mimo wszystko próbowała wrócić do swego dawnego życia, wcisnąć się ponownie w skórę

tamtej Zuzanny.

Maleny nie mogła odwiedzić we Łśnie: urodzona już kuzynka przez pierwsze trzy lata musi żyć na ubiku, przyzwyczajając się do ciała i jego świata. Zuzanna zabrała ją ze sobą na spacer w nosidełku. Malena gaworzyła jej ponad ramieniem o brudnej fizjologii, toporności ewolucyjnych rozwiązań, nieuchronności bólu i perwersyjnie wytłumionym libido. Mówiła bez przerwy, losem Zuzanny najwyraźniej nie zainteresowana — nie zadała ani jednego pytania. W kawiarni usmarowała się całą lodami, przeklinając głośno swą nędzną koordynację ruchową. Z Podziemnego Świata Zuzanna pamiętała zupełnie inną Malenę, innego jej ducha za zasłoną zmysłów; nie wiedziała, jak się teraz wobec niej zachowywać. W sumie bardzo to było przygnębiające.

Niemniej jeśli będzie dalej próbować... może wdroży się na siłę, przemocą. Bała się bowiem, że Miasto pochłonie ją bez reszty, że szybko zapomni się w tej pracy archeologa nieskończoności, gdzieś między galaktyką a galaktyką, jeśli nie pozostawi teraz za sobą na Ziemi mocnej kotwicy. Normalność jest stanem, na który trzeba z wielkim wysiłkiem pracować.

Odwiedzała stare kluby, puby, katakumby, zachodziła do znajomych... metodycznie planowała choreografie jednonocnych romansów, rozpaczliwie poszukując dokoła siebie nowych źródeł szczerzej fascynacji. Ale w głowie miała tylko Miasto. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie przeprogramować sobie Angelusa. Wektor: Kura Domowa, Ale istnieją w końcu pewne granice.

Ocknąwszy się kwietniowym świtem po całonocnej balandze w zadymionym salonie Lidki, z bolącymi mięśniami, bolącą głową i żołądkiem podchodzącym do gardła, poczłapała niepewnie do łazienki. Ktoś spał w wannie, na muszli stały ogarki kadzidlanych świec, zwymiotowała do umywalki. Uniósłszy głowę, spojrzała sobie w jasnym lustrze prosto w przekrwione oczy. Policzyła mozolnie tygodnie. Czyż nie opera mydlana? Kicz, moja panno, kicz. Półtora roku w eldżecie — gwarancja na implant skończyła się we wrześniu, należało go wymienić zaraz po powrocie. Po prostu zapomniała, idiotka.

Dłoń z ipsatorowym pierścieniem odruchowo powędrowała w dół brzucha, naciskając na ciepłe, skórę, próbując wyczuć niewyczuwalne.

Córka spoglądała w milczeniu.

— Wkrótce się urodzisz, Ula.

Archeologia. Miasto ma swoich heretyków.

Tajemne symetrie krwi.

— Archeologia — rzecze A. F. Galo — jest najważniejszą, a właściwie — jedyną naprawdę ważną nauką, jaka nam pozostała.

Galo już od sześciu lat nie pracuje w Instytucie Wenera; sam jest człowiekiem — instytucją. Wizytuje wykopaliska z ramienia ONZ, co jest o tyle paradoksalne, że ONZ jako organizacja wciąż nic nie wie o Mieście i przestrzeniach Liebachowych. Ale któż odmówiłby wpuszczenia człowieka, którego imieniem ochrzczono ten kosmos? (Cóż, Chińczycy jak dotąd odmawiali). I tak tajemnic państwa czy korporacji nikt mu tu nie zdradzi.

Zuzanna Klajn spotkała Galo w prawie-nieważkościowej kafejce archeologów IW (zwanej „Jamą”), w Mchu, podczas trzeciego miesiąca swej pracy dla Instytutu, czwartego miesiąca ciąży.

Mech rozciągał się na bliskiej orbicie białego karła — gdzieś na drugim krańcu wszechświata — na kilka miliardów kilometrów sześciennych.

Kiedyś znajdowała się tu planeta, cały system planetarny, lecz teraz, po miliardach lat, pozostał tylko Mech. Trudno nawet cokolwiek powiedzieć o jego twórcach; dominująca obecnie teoria głosiła, że to w ogóle nie jest twór intencjonalny, jeno ślepa wypadkowa samoewoluujących technologii porzuconych na pastwę losu przez wymarłą cywilizację. Zaczęło się prawdopodobnie od zdziczenia levitusów — roślin zaprojektowanych do „naturalnego” wydalania soków antygravitacyjnych — które w kolejnych mutacjach sprzęgły się z nieorganiczną zarazą przemysłowego nano i jęły przetwarzać na swoją modłę wszelką materię, na jaką się natknęły, trawiąc całkowicie planetę, jej księżycy, wszystek kosmiczny gruz, jaki tylko wpadł w sieci.

Bo z zewnątrz tak właśnie Mech wyglądał: trójwymiarowa sieć, rozpościerająca się w próżni jak okiem sięgnąć, chaotyczna płatanina ultraczarnych porostów, starożytny gąszcz grawitonicznych nanoroślin. Modele lokalnej czasoprzestrzeni przypominały kardiogramy zawałowca, Mech łowił materię w pułapki wysokiego ciężenia niczym pajak muchy. Należy posuwać się tu naprzód z najwyższą ostrożnością, zawsze posyłając w pierw bezzałogowe sondy — ale też trafiają się czasami w tej pajęczynie nieprzetrawione relikty po innych ciekawskich cywilizacjach, całe kosmoloty z martwymi załogami na pokładzie, toteż gra jest warta świeczki.

Kilkaset milionów lat temu, w płytkiej grawitacji odsłonecznych peryferii Mchu archeologowie Obcych (tym razem były to jakieś mętne inteligencje wysokociśnieniowych siarkowców beztlenowych) zbudowali całą metropolię kosmiczną. Stąd eksplorowali Mech; oni — i wszyscy kolejni Obcy, cywilizacja po cywilizacji, w miarę jak odkrywali Miasto. Metropolia odbijała się w nim własnym kwartałem; dzieliło go od Wysokiego Zamku siedemset tysięcy kilometrów zwichrowanej topologii, Pioruny latały w obie strony co tydzień. Następny miał zabrać Zuzannę z powrotem. Kwatery wernerowców w Mchu były dobrze ekranowane od promieniowania kosmicznego i posiadały stałe ciężenie, niemniej medycy IW wymusili na Klajn rozliczne ograniczenia, zwiększające się sukcesywnie, aż do momentu przeniesienia płodu — narodziny nastąpią w Zamku. Lub na Ziemi. Nie miało to większego znaczenia, Ula i tak będzie dzieckiem eldżetu.

Dziesiąta wieczór, „Jama” wypełniona rozgadanyimi wernerowcami, lekki zapach alkoholu w powietrzu. Przez wielkie panele przeźroczystego kronu zagłada do wnętrza błada morda starożytnej gwiazdy, posiekana na nieregularne klatki przez wielokrotną sieć Mchu.

Usłyszawszy o Galo fraternizującym się z plebsem nad piwem, Zuzanna oczywiście przyszła poznać noblistę. Zrobili jej miejsce na obiegającej ściany ławie, pod zamkniętym w błękitnym kloszu świecznikiem. Zamówiła jogurt.

Galo wygłaszał właśnie swoje epitafium dla fizyki.

— Bo to nie ma końca. To znaczy, nie ma początku. Nie sposób stwierdzić, czy Miasto nie jest w istocie starsze niż najstarsza jego dzielnica, jaką do tej pory odkryliśmy. Głębokość tego skarbcza pozostaje potencjalnie nieskończona. Faktyczny Kontakt z Obcymi nie jest konieczny. Zresztą, jak teraz już wiemy, czasowy i przestrzenny rozkład cywilizacji we wszechświecie statystycznie go uniemożliwia. Pozostają jednak po cywilizacjach materialne relikty, pozostają zabytki, fizyczne ślady ich myśli i technologii — i w ten sposób okno „biernego”, bo jednostronnego, Kontaktu rozciąga się na miliony, miliardy lat w przód. Jest to całkowicie logiczna konsekwencja, w rzeczy samej taka oczywistość, że możemy tu mówić wręcz o prawie natury. Prędzej czy później każdy natyka się na ślady Starszych. Odkrycie continuum LG jedynie przyśpiesza nieuniknione. W momencie wkroczenia do Miasta wszystkie inne nauki ścisłe — może poza medycyną stosowaną — dezaktualizują się.

Archeologia — archeologia dostarczać nam odtąd będzie wszelkiej wiedzy, jakiej tylko możemy pożądać. Nie jesteśmy w stanie nic takiego samodzielnie odkryć, wynaleźć, wymyśleć, czego ktoś gdzieś kiedyś, w tym lub w którymś z poprzednich wszechświatów, już raz nie wymyślił, a jego następcy nie udoskonalili do boskiej perfekcji. Matematyka, fizyka, chemia, biologie i geologie — znajdują się w rękach archeologów. Odkopujemy je. Taka jest naturalna kolej rzeczy i następstwo wiedzy. Co bowiem znajdujemy w tych szczątkach? Też cywilizacje zbudowane na archeologiach — odkopujących jeszcze starsze cywilizacje, które urosły z kolei z wykopalisk poprzedników, i tak dalej, głębiej i głębiej w przeszłość, ku Big Bangowi i w głąb wszechświata go poprzedzającego, ruina z ruiny z ruiny, *ad infinitum*. Moje pokolenie... z mojego pokolenia pochodzą ostatni prawdziwi fizycy, ostatni prawdziwi naukowcy. Teraz pozostaniecie już tylko wy: archeologowie, tudzież antropowersi, tłumaczący i aplikujący uniwersalne technologie do fizjologii i kultury *Homo sapiens*. Dolej mi jeszcze, dziecińco.

Był postury boksera wagi półciężkiej, strzygł się na łyso, a to jeszcze uwydatniało kanciaste rysy. Ze słów można by wnioskować depresję i nieuleczalne ponurac — two — lecz w istocie bez przerwy uśmiechał się lekko, mrugał do siedzących wokół stołu i robił głupie miny do wnętrza wąskoszyjnej szklanicy.

— Z pewnością istnieje jednak jakaś granica — oponował jego słowom śniady Włoch z sekcji lingwistycznej, jak kojarzyła Zuzanna, specjalista od języków martwych. — Gdy już się zasymiluje całą wiedzę poprzedników — można stanąć na ich ramionach i rozwinąć ją dalej.

— Zakładając, że do tej pory będziemy jeszcze istnieć jako cywilizacja — mruknął mężczyzna w głębi.

— Mamy tu kogoś ze Zmierzchu Bogów? — rozglądnął się po „Jamie” Galo. — Jaki jest aktualny rekord?

— Sześćset czterdzieści tysięcy lat! — odchrząknęła kobieta zza baru. — Od wejścia do Miasta do ostatniego zapisu. Ale zdarzyło się to 26G BBB i oni w ogóle byli powolni, myśleli chemią rodników, żadnych szybkich neuronów.

— Średnia to pięćdziesiąt tysięcy lat, jeśli się nie mylę. Sądzicie, że do tej pory choćby skatalogujemy skarby Miasta?

— Może to jest właśnie ta śmiertelna pułapka...

— Co?

— Miasto.

W istocie było to jedno z pierwszych pytań, jakie przyszły do głowy Zuzannie po zapoznaniu się z historią Instytutu i odkrycia continuum Liebacha — Galo: dlaczego Miasto jest puste, dlaczego nie spotkaliśmy tu żadnych żywych Obcych? Owszem, natykali się nierzadko na różne skarby organiczne — jak te Elektryczne Duchy ze Szklarni — ale one o niczym nie świadczyły: eldżet kopiuje wszelkie symetryczne formy nieorganiczne, więc i mechaniczne generatory życia. Te, skoro raz uruchomione w Mieście, dają tu początek zamkniętej ewolucji liczonej na dziesiątki miliardów lat — z której owoców niewiele już można wydedukować o twórcach owych generatorów.

Co jednak z samymi Obcymi? Kiedyś żyli, teraz nie żyją — jakie prawo, jaka konieczność stoi za tym powszechnym wymieraniem cywilizacji?

Najprostsza odpowiedź sprowadzała się w istocie do jadowitej kontry: A czy ktoś obiecywał im wiecznie — trwałość? Wszyscy umieramy, prędzej później.

Problem był jednak na tyle ważki, że zorganizowano dla jego rozwiązania oddzielną podsekcję w Instytucie Wernera (przezywaną teraz od Wagnerowskiego „Zmierzchu Bogów”), która zajmowała się wyłącznie wyjaśnianiem przyczyn zaniku lub zagłady kolejnych cywilizacji, których szczątki

sukcesywnie odkrywano.

Oczywiście, także ten sekret był już wcześniej zgłębiany przez archeologów Obcych i wernerowcy odszyfrowali z ich prac (to znaczy: prac o pracach poprzedników) szereg generalizujących hipotez. Po odrzuceniu tych religijnych i metafizycznych, pozostawały w gruncie rzeczy cztery możliwe wyjaśnienia: wyczerpanie, inwolucja, samozagłada lub Wojny Informacyjne.

„Wyczerpanie” nie oznaczało tu bynajmniej starczego uwiądu bądź nihilistycznego zniechęcenia życiem — lecz stan dopełnienia, zupełności, gdy cywilizacja sprawdziła, poznała i doświadczyła wszystkich możliwych dróg rozwoju, wszystkich stanów, mutacji i form, i teraz pozostaje jej tylko powtarzanie tego samego w nieskończoność. Gdy nałoży się na powyższe długowieczność osobnicza, prowadzi to nieuchronnie do tendencji degeneracyjnych, mód „na zapomnienie”, „na prymityw”. I tak oto, krok za krokiem, cywilizacja wpelza na powrót do swego łona, by zgnieć łam w milczeniu.

„Inwolucja” postulowała proces bardziej subtelny. Cywilizacja nie ginie — jedynie znika zewnętrznym obserwatorom z oczu, ewoluując „do wewnątrz”. Nie buduje konstruktów planetarnych, Sfer Dysona; zamyka się natomiast we wszechświatach symulowanych, *Artificial Realities*, nieskończonych przestrzeniach logicznych, w Podziemnym Świecie (chtonicznym lub innym), gdzie niemożliwe jest tylko to, co jeszcze nie pomyślane. Po stosownie długim czasie, nawet gdy jakaś „normalna” cywilizacja natknie się na materialne nośniki cywilizacji inwoluwowanej, nijak nie będzie w stanie nie tylko porozumieć się z nią, ale choćby rozpoznać wewnętrzne ich procesy jako kodujące jakikolwiek sens.

„Samozagłada” tłumaczyła się najłatwiej: jako fizyczne samobójstwo. Powody mogą być rozmaite. Po minięciu pewnego punktu w rozwoju technologicznym (na przykład po wejściu do Miasta) wystarczy jeden porządny konflikt wewnątrzcywilizacyjny, by dokładnie zatrzeć po sobie ślady przed przyszłymi archeologami. Wówczas tylko Miasto pozostaje, by dać świadectwo.

„Wojny Informacyjne” były natomiast koncepcją wprowadzoną do Nauki o Końcu przez paranoiczną kulturę z poprzedniego wszechświata. Zakłada się tu złe intencje jednej cywilizacji wobec drugiej, a właściwie wobec wszystkich innych cywilizacji. Taka Cywilizacja Ksenofobów śle w kosmos na wszystkie możliwe sposoby gęste pakiety informacyjne, Listy zawierające całe encyklopedie wysokich technologii — tak jednak dobranych i zsekwencjonowanych, by, niezależnie od początkowego stanu cywilizacji odbiorców, skoro tylko zaczną oni wprowadzać u siebie w życie owe technologie, nieuchronnie wpadli w spiralę zgubnego postępu: ścieżkę takich zmian, z której nie można się cofnąć, nie można się na niej zatrzymać, a każda zmiana wymusza kolejną, aż wreszcie wszystkie cywilizacje, które odczytały List, znajdują się w jednym i tym samym punkcie: przemyślnie zaprojektowanym ślepym zaułku, gdzie mogą tylko zwinąć się w kłębek i zginąć, zaczadzone własnymi wydzielinami, zagonione na śmierć przez własny postęp.

Motywacje Ksenofobów mogą być dowolne: ideologiczne, religijne, rasistowskie... Racjonalizm wysoko rozwiniętych gatunków to przesąd, potęga środków nie uwalnia od porywów emocjonalnych; zresztą nie istnieje jedna międzygatunkowa definicja „racjonalizmu”.

Fale elektromagnetyczne i grawitacyjne są jednak powolne, rozesłanie trującego Listu za ich pomocą po całym wszechświecie — niemożliwe. Co więc należy zrobić?

Zbudować Miasto. Zatruc eldżet Złą Wiedzą.

— Och, kiedy już to wycieknie do mass — mediów, niewątpliwie pojawią się i takie głosy. „Uciekać z Miasta!” „Wyrzec się obcych technologii!” „Z gwiazd tylko zepsucie i śmierć!” Każda zdrowa kultura posiada podobne ekstrema.

— Ale raczej nie założylbyś się, że ktokolwiek ich posłucha, prawda?

— Żartujesz? Do tej pory już dziewięćdziesiąt procent ziemskiej gospodarki będzie się opierało

na technologiach wydobytych z Miasta.

— No właśnie. Pułapka idealna.

Zuzanna otarła usta z jogurtu i po raz pierwszy zabrała głos.

— Może oni wszyscy po prostu idą w Upiory. Galo odwrócił się od podchmielonego propagatora hipotezy Wojen Informacyjnych i wykrzywił się do dziewczyny komicznie.

— Widzę, że nawet tutaj mnie jakubiści dopadli...

— Kto? — zachnęła się Zuzanna.

— O, w takim razie najmocniej panią przepraszam. Maria Zello, współpracowniczka Zuzanny w Mchu, nachyliła się nad stołem i szepnęła jej do ucha:

— On jest nieco przewrażliwiony na punkcie jakubistycznych, mhm, kultów. Souza był jego dobrym znajomym. Albo i kimś więcej.

Zuzanna nie miała zielonego pojęcia, czym są owe „kulty jakubistyczne”; tymczasem jednak Galo nie odwracał od niej ironicznego spojrzenia, napierając wzrokiem spod pochylonego czoła z byczą nieustępliwością — i, ni z tego, ni z owego, wypaliła:

— Sama jestem już prawie Upiorem. Uniósł brew.

— Mój ojciec przepisał się nawet na el — ciągnęła Klajn na bezdechu. — Mówią mi, że będę żyć dwukrotnie dłużej. Mam lepsze testy wydolnościowe, w Mieście jestem wyraźnie silniejsza. Nie rozumiem, dlaczego całe cywilizacje nie miałyby pójść tą ścieżką. I jeszcze wyżej. Ile do tej pory zarejestrowano tych wariantowych fizyk?

Galo pociągnął krótki łyk, zanim odpowiedział.

— Archeologowie ciągle znajdują informacje o kolejnych — mruknął. — Ale przecież Miasto jest dla nas jak najbardziej realne, namacalne, eldżet, el el czy elset nie stanowią oddzielnych dominiów, oderwanych od ikjurii. Gdyby się Obcy na nie przepisali, nadal powinniśmy byli ich spotkać.

— Ale może się nie zatrzymali, może poszli dalej... Kręcił głową.

— Mówisz teraz o fizyce, czy o religii?

— Nie zawsze da się odróżnić — rzekł cicho ktoś za plecami Zuzanny.

— Nie odpowiadam za rojenia jakubistów — ciągnął Galo, lekko już zirytowany. — Ostatecznie jest to przecież po prostu inna wersja teorii samozagłady, Jeśli cywilizacja chce popełnić samobójstwo, równie dobrze może zanurkować w czarną dziurę. Ile razy się przepisziesz, jak daleko postąpisz? — dwa, trzy, cztery szczeble wzwyż? To nie jest tak, że tylko się coś zyskuje: zawsze się także coś traci. Tożsamość. Mózgiem zbudowanym z atomów GVF nie będziesz w stanie myśleć jak teraz myślisz, obojętnie, jak mocno byś się zarzekała. To nie jest drabina do Boga — to schody do Szeolu.

Zuzanna zmilczała, porażona nagłą reminiscencją Or'ando Souzy z Kosą w garści, sparaliżowana tym krótkim, zatrzymanym we wspomnieniu obrazem — nie ludzkiej, lecz jakiejś mechaniczno — zwierzęcej furii, z jaką Souza ćwiartował elseckim błękitem trolle Carbony.

Owej nocy, ostatniej przed powrotem do Miasta, otrzymała anonimowy *e-mail* z fantomowego adresu na jednym z serwerów Mchu. Szykowała się już do snu, światła długiego, wąskiego pokoju (również zaprojektowanego dla nieludzi, jedynie wyposażonego przez IW w ziemskie meble i akcesoria) przygasły do wieczornej poświaty, Zuzanna nacierała powoli brzuch eldżetyckim kremem — po kuracji jej skóra posiadała barwę kawy z mlekiem, Kabaliści zaprojektowali ją z myślą o maksymalnej ochronie przed promieniowaniem wszelkich możliwych słońc Miasta; włosy natomiast stały się czarne niczym skrzydło Lucyfera, przeglądając się w lustrze widziała wokół swojej głowy aureolę nocy, przeglądając się w kronicznych iluminatorach widziała tylko oczy wyzierające z zimnej

pustk: spojrzenie z wnętrza cienia, potrafiła się tali zapatyzyc na długie minuty — kto właściwie spoglądał na nią z owego odbicia, nie znała tej dziewczyny, nie znała tej kobiety... Ping! — przyszła poczta. Spojrzała na ekran.

Nadawca: „Przyjaciół”.

Temat: „Drabina Jakubowa”.

— Otwórz.

Kiedy Jakub wyszedłszy z Beer–Szeby wędrował do Charanu, trafił na jakieś miejsce i tam się zatrzymał na nocleg, gdyż słońce już zaszło. Wziął więc z tego miejsca kamień i podłożył go sobie pod głowę, układając się do snu na tym właśnie miejscu.

We śnie ujrzał drabinę opartą na ziemi, sięgającą swym wierzchołkiem nieba, oraz aniołów Bożych, którzy wchodzili w górę i schodzili na dół. A oto Pan stał na jej szczycie i mówił:

„Ja jestem Pan, Bóg Abrahama i Bóg Izaaka. Ziemię, na której leżysz, oddaję tobie i twemu potomstwu. A potomstwo twoje będzie tak liczne jak proch ziemi, ty zaś rozprzestrzenisz się na zachód i na wschód, na północ i na południe; wszystkie plemiona Ziemi otrzymają błogosławieństwo przez ciebie i przez twoich potomków. Ja jestem z tobą i będę cię strzegł, gdziekolwiek się udasz; a potem sprowadzę cię do tego kraju. Bo nie opuszczę cię, dopóki nie spełnię tego, co ci obiecuję”.

A gdy Jakub zbudził się ze snu, pomyślał:

„Prawdziwie Pan jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem”.

I zdjęty trwoga rzekł:

„O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama do nieba!”

Rdz 28, 10–17

Nic więcej, żadnego wyjaśnienia.

Kto to przysłał, nie sposób dociec, w „Jamie” była wtedy obecna połowa wernerowców z Mchu, każdy mógł słyszeć jej rozmowę z Galo. Zapytała o „jakubistów” bazę danych Instytutu: zero odnalezionych dokumentów.

Rano otworzono kilkuminutową symetrię i przeszła do Miasta. Pod czarnym jak smoła niebem szalała błotna wichura, pecyny ziarnistej zawiesiny waliły niczym grad, momentalnie oblepiając ubranie, zamalowując lepka ohydą twarz, zasklepiając oczy. Do wnętrza Pioruna wspięła się już prawie po omacku.

Ta wersja samolotu przystosowana była do lotów długodystansowych, o wiele dalszych niż jakiegokolwiek możliwe na Ziemi; z tyłu znajdowała się łazienka z kabiną prysznicową. Odczekawszy w kilkusobowej kolejce (para wernerowców z pionu wywiadu żartowała głośno o nagłym olśnieniu, jakiego doznał pewien fizyk z CERN — u po nocy spędzonej z agentką IW), umyła się szybko i osuszyła włosy. Przebrała się w sweter oraz luźne spodnie.

Sprawdziła jeszcze bagaż i kiedy wróciła na swoje miejsce, okazało się, że kozetkę obok zajmuje Maria Zello.

— Syn się żeni — wyjaśniła Zello. — Nie darowałby mi, gdybym nie pojawiła się na jego ślubie.

Czy to był ton głosu? Spojrzenie za długo zatrzymane na twarzy Zuzanny, a może właśnie zbyt

szybko odwrócone? Ruch ręki, krótki grymas, ułożenie ciała? Przebłysk SEPV? W każdym razie Klajn wiedziała, zanim jeszcze usiadła.

— Co miała oznaczać ta biblijna opowieść? — prychnęła. — Co to za masońskie rytuały? W ten sposób werbujecie nowych? Do jakubistów. Przecież należysz do tej sekty, prawda?

Maria zamachała energicznie lewą ręką, prawą sięgnąwszy po papierosa.

— Dziecko drogie — zaśmiała się — nie wiem, co ty sobie nawyobrażała, ale naprawdę, to nie jest żadna sekta, żadna religia. Chociaż zdaję sobie sprawę, że tak jesteśmy postrzegani, tale się o nas mówi. Po prostu — pewna grupa ludzi... to znaczy, spośród tych, co są wtajemniczeni w całą tę *non disclosure physics*... niezależnie, czy pracują dla Instytutu Wernera, czy dla Jankesów, czy dla jakiejś chtonicznej spółki... pewna grupa ludzi... — Zaciągnęła się dymem. — Posiadamy podobne poglądy na najbardziej podstawowe sprawy.

— Załóżcie korporację polityczną — mruknęła Zuzanna, przysuwając się do okna.

Tymczasem wystartowali, ale nie poczuła, wernerowe samoloty były wypełniane międzypowłokowo żelazem antygrawitacyjnym, przepuszczając przezeń silny prąd zmienny sterowało się lokalnym ciężeniem; być może przyspieszali teraz nawet z 10 g, wewnątrz nie dało się tego poznać. Piorun sunął kilka mil nad Miastem, przez wąskie okienko widziała zbliżającą się szybki na ich spotkanie linię świtu, zza szkieletowych piramid wschodziły gęstą gromadą słońca i księżycy i wielkie planety, astronomiczna symfonia światła.

— To nie ma nic wspólnego z polityką — westchnęli Maria. — Gało i inni uciekają do kontekstów religijnych bo tak im się kojarzy, w braku skojarzeń właściwszych.

— Sami reklamujecie się cytatami z Biblii, czego oczekujecie?

— Przyznaję, nie ma dobrego języka dla dyskusji o tych sprawach. Od razu popada się w mistykę, grzęźnie w teologii; chciałoby się wrócić do fizyki, lecz ona też nigdy dotąd nie sięgała takich rejonów... Spróbuj zrozumieć, Zuzanno: my jak najbardziej staramy się pozostać racjonalni, większość z nas jest ateistami a w każdym razie agnastykami. U źródeł jakubizmu leży właśnie zdroworozsądkowy domysł, hipoteza jak najbardziej racjonalna...

— O co chodziło z tą drabiną?

Maria pokazała ręką.

— Szczeble. Od ziemi do nieba. Poczęstujesz się?

Zuzanna zapaliła papierosa.

Wlecieli już w porażającą jasność wielokrotnego poranka, przez okienko wlewał się do wnętrza kabin; gorący blask, nikotynowy dym lśnił w nim anielskim błękitem.

Zello spoglądała w górę, gdzieś w kąt nad głową Zuzanny, mówiła powoli, a mówiąc, pomagała sobie rękoma.

— Czy nigdy nie zastanawiałaś się, nigdy nie przy szło ci do głowy, gdy czytałaś te raporty o odkryciach generatorów kolejnych egzotycznych fizyk, sprzed miliarda, dwudziestu, czterdziestu miliardów lat, w jakichś odległych, nieludzkich dzielnicach Miasta, gdzie grawitacja miażdży kamienie, metan przesyca powietrze, a wrzące kwasy płyną ulicami... nigdy nie naszła cię wątpliwość, nie zadałaś sobie tego oczywistego pytania: a co jeśli ikjuria wcale nie jest continuum pierwotnym?

— Mhm?

— Jeśli nasz kosmos, nasza fizyka, fizyka Einsteina–Quonga–Ramireza nie jest strukturą podstawową i naprawdę niepodległą? To naturalna indukcja. Nigdy się nie zastanawiałaś? Może istnieje rzeczywistość „mocniejsza”, do której my przyplływamy, lgniemy, jak eldżet lgnie do ikjirii; continuum, z którego jesteśmy... generowani.

— Generowani?

— Przychodzimy na świat.

Zuzanna podświadomie opuściła lewą dłoń, wygładzając fałdy swetra pod piersiami.

— I to niby jest racjonalne? — skrzywiła się. — Co by to miała być za przestrzeń? Dlaczego nic o niej nie wiemy? Przecież powinniśmy ją dostrzegać, chociażby urywkami, w tle, jak z Miasta dostrzega się wszechświat ikjuracyzny.

— A nie dostrzegamy? Na jakiej zasadzie działają maszyny chtoniczne? Czym poi nas libaryt? Jaką mocą lsny łamią prawa fizyki ikjuracyznej i kpią sobie z ograniczeń prędkości światła? Czy przedzycia chtoniczne rzeczywiście są jedynie symulacjami? A pożycia?

— Ale wcześniej, powinniśmy dostrzegać to wcześniej, nie jedynie dzięki technologiom wykopany przez ksenoarcheologów.

— A nie dostrzegaliśmy? Blade zjawy nad trumnami, skazy na kliszach, powidoki ciemne, ruch pochwycony sekundowym spojrzeniem, wspomnienia niemożliwe a prawdziwe... — Maria opuściła wzrok, by zajrzeć Zuzannie prosto w oczy, przez dym i światło. — Do jakiej przestrzeni odchodzimy po śmierci? Do jakiej przestrzeni odeszły te wszystkie cywilizacje ikjurii?

Zuzanna założyła nogę na nogę, zaśmiała się gardłowo.

— To rzeczywiście jest szaleństwo, rąbnięta religia, jakieś New Age'owe pomieszanie mistyki z fizyką; odkryliśmy nowe fizyki, więc powstają nowe mutacje starych bełkotów. Wybacz, Maria, ale — umieramy to umieramy, ciało się rozkłada, struktura umysłu ginie, nic nie podtrzymuje świadomości. Bilans masy i energii zostaje zachowany, natomiast informacja zanika. Po nas tylko entropia.

Maria wydawała się nieporuszona.

— Nic nie podtrzymuje świadomości... — Strzepnęła popiół do samolotowej popielniczki. Mrużąc oczy, nachyliła się ku oknu i wskazała spojrzeniem na zewnątrz. — A co podtrzymuje Miasto? Jaki niby bilans masy i energii zostaje zachowany, gdy w Miasto kopiują się całe metropolie z Ziemi i innych planet wszechświata EQR? Czyż nie jest to właśnie — przycisnęła wolną dłoń do kronicznej szyby, rozkładając długie palce szeroko, zachłannie — czyściciel materii nieożywionej, przestrzeń pośmiertna architektury? Powiedz mi, Zuzanno — teraz nachyliła się ku dziewczynie, ciemne oczy spoglądały z matczyną troską — dlaczego nie miałby istnieć podobny eldżet dla materii ożywionej, wieczne Miasto duszy?

W tej chwili Klajn nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Maria pytała jedynie o możliwość, pytała „dlaczego nie?”, a dowody na nieistnienie zawsze najtrudniej przedstawić.

— Nie uprawia się nauki w oparciu o analogie — bąknęła Zuzanna.

Zello cofnęła się, kryjąc twarz w półcieniu kabiny.

— Każda nauka rodzi się z jednej, olśniewającej analogii — odparła, gasząc papierosa.

Raz wpuściwszy do wnętrza przedziału ciszę, nie zdobyły się już na jej przegnanie. Jaskrawe światło zalało Pioruna, powoli sięgając ostatnich zakamarków pomieszczenia, niczym gaz, niczym płyn wpompowywany pod wielkim ciśnieniem. Słońca i planety wypełniły jasne niebo, przelatywali przez dzielnicę starożytnego kompleksu świątynnego z jądra którejś z galaktyk, harmonia niebios — orbity planet i księżyców, cykle słoneczne — stanowiła tu element sakralnej kompozycji, astronomia była dla wymarłych autochtonów formą kultu, inżynieria astrofizyczna — sztuką modlitewną. W końcu Zuzanna zaciemniła okno. Ale nie tak łatwo osłonić się od Miasta. „*O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama do nieba?* Sama przecież czuła wyraźnie podczas swych wielomiesięcznych samotnych wędrówek po Mieście — jak niewiele trzeba, jeden drobny krok, przestawienie jakiegoś małego wihajstra w mózgu, niech coś tam strzeli, przełamię

się cienka jak lód przegroda, i już zaczynamy się w tych monumentach domyślać znaków Nienazywalnego, z trwogi estetycznej czerpiemy pewność Nieskończoności, padamy na kolana przed Niewyobrażonym. Jakubiści po prostu pozwolili Miastu się odurzyć. Idea hierarchii egzotycznych fizyk, rozpinanych na nich czasoprzestrzeni, a każda kolejna o trochę bardziej zwichrowanych prawach i właściwościach — ta drabina Jakubowa, po której można się wspiąć do nieba, w zaświaty, albo zejść do piekieł, czy co oni właściwie sobie wyobrażali, że jak to działa, że niby te cywilizacje faktycznie upiorzeją, jedna po drugiej i w coraz dzikszych translacjach, Cywilizacja¹. Cywilizacja², Cywilizacja¹⁰, Cywilizacja¹⁰⁰, Cywilizacja^N, gdzie N = Bóg, gdzie N = Nieskończoność (ale przecież ja sama to powiedziałam, tak właśnie powiedziałam w rozmowie z Galo, no bo zastanówmy się...), jak oni to widzą, że niby my, ikjuria, nasza rzeczywistość, my jesteśmy takimi Upiorami o dodanych w translacji ciałach, Upiorami dla prawdziwie niepodległego wszechświata Formy, z którego przychodzimy i do którego odchodzimy, uniwersum platońskiego, a może inaczej, może jacyś jeszcze starsi Obcy zbudowali generatory naszego wszechświata, stworzyli/otworzyli jego fundamentalną fizykę, albo fizykę owego hipotetycznego Miasta duszy, continuum symetrii struktur organicznych, więc nie istnieje śmierć, więc można się tam przekopiewać, tam mamy swoje dzielnice, tam biją nam Młoty Światła i Dzwony podziemne, być może istnieją także amplifikatory owych symetrii, wrota do jakubistycznego eldżetu, bramy zawsze otwarte na oścież dla wtajemniczonych, maszyny wzniesione przez zapomnianych Obcych, wielka, ciemna paszcza, do której się wchodzi przez cień i przez zniszczenie, wcześniej złożywszy metodycznie ubranie w kostkę, mrugnawszy beztrosko na pożegnanie, nie samobójstwo, lecz pierwszy krok za aniołami, ku światłu, ku światłu, ku światłu...

Tak właśnie przespała Zuzanna większość lotu do Wysokiego Zamku. Maria Zello utrzymywała przyjazne milczenie; rozstając się w Zamku, pożegnały się krótko, Maria uściskała ją serdecznie.

Zuzanna przed powrotem na Ziemię miała jeszcze w planie jedną wycieczkę. Wystarała się szybko o przepustkę. Z garażu na podzamkowym placu wypożyczyła jeden z elfich motocykli na gruckich mięśniach (kolejna technologia, na którą ludzkość jeszcze nie jest gotowa: fizjologia nuklearna, komórkowa fizyka jądrowa) i pojechała do Trójsłońc. Istniało pewne prawdopodobieństwo, iż przez ten czas, przez te pół roku, gdy tam nie zaglądała, symetria między odpowiednią dzielnicą Miasta a planetą została złamana — lecz w istocie było to prawdopodobieństwo przyzerowe, Zuzanna przestudiowała wyniki badań Instytutu na temat spontanicznych przyływów i odpływów eldżetu i byty to zdarzenia efemeryczne, rozpatrywane w skali raczej stuleci i milleniów niż miesięcy.

Jakoż i okazało się, że słusznie zakładała: kroniczny motor wytoczył się bezgłośnie spomiędzy brudnych ruin na prostą drogę pokrytą waniliowym pyłem, w tak słabym ciężeniu — jeszcze bardziej nerwowo i zrywny. Uspokoiła go, mocniej zaciskając uda. Powietrze pachniało dokładnie jak zapamiętała; z wysiłkiem przetykała kwaśną ślinę. Zjechała powoli spiralną ścieżką do wnętrza krateru wykopalisk. Szczątki prymitywnego amplifikatora tubylców wyzierały spod błota, niedawno musiał spaść tu deszcz; jeszcze kilka lat i wszystko z powrotem przykryje ziemia. Zupełnie zatarł się pod nią kształt figury pentagramu (niektóre technologie wzmacniania symetrii formy opierały się na strukturach rozwiniętych niezależnie przez ziemską ezoterykę).

IW porzucił prace na tym stanowisku w połowie, jak porzuczał je w setce innych miejsc, gdy tylko natrafiał gdzieś na podobne, a bardziej obiecujące. Archeologia stała się masowym przemysłem, obowiązywały w niej twarde prawa ekonomii, wykwalifikowanych archeologów przerzucano jedynie do najważniejszych wykopalisk, resztę prowadzono podług standardowych procedur, zgola automatycznie, i automatycznie podejmowano decyzje o porzuceniu — potem tylko zaglądał tam od

czasu do czasu bezzałogowy patrol, samolot, śmigłowiec lub sterowiec, by sprawdzić, czy nie zainteresowała się odkryciem konkurencja i nie uznała go za mimo wszystko warte zachodu; wówczas przeprowadzono szybko akcję odbicia placówki.

Zuzanna zaparkowała przed drzwiami do habitatu. Dom, pomyślała przelotnie, przestępując próg; i nie było w tym ironii. Ileż godzin spędziła na przykład przy tej konsoli komunikacyjnej, klnąc, płacząc i rozpaczając wraz z Ulą, dlaczego nie mogą się z nikim skontaktować, chociaż sprzęt jest sprawny i dobrze skalibrowany... *Post factum* okazało się (jak zazwyczaj się okazuje), że pierwszy domysł był słuszny: po linii prostej fale elektromagnetyczne musiałyby przebyć pół wszechświata, by dotrzeć stąd na Ziemię lub do Wysokiego Zamku. To dlatego utrzymywano wysoko nad Miastem długie, kręte linie sterowców, służących za stacje przekaźnikowe dla poza — miejskich placówek; sygnał nie biegł po prostej, lecz lawirując, kopiowany na wiele niezależnych pakietów, jakoś w końcu docierał na Zamek. Oczywiście nie utrzymywano sterowców na trasach do placówek opuszczonych. Krzyczała była w pustkę.

Podeszła teraz do konsoli, uniosła pękniętą obudowę jednego z projektorów. Amulet znajdował się na swoim miejscu. Szybko schowała go do kieszeni. Sama świadomość jego bliskości przyspieszyła Zuzannie puls. Tylko spokojnie. Myśleć powoli, rytmicznie i bez uniesień. Licz szczeble drabiny Jakuba.

Do Abominado udała się trzeciego dnia po powrocie na Ziemię, drugiego po przybyciu do Krakowa. Czternasty tydzień ciąży, ostatni moment, by dokonać przeniesienia płodu, o ile nie miała zamiaru samej urodzić dziecka; nazajutrz była umówiona na zabieg w klinice Doktorów Nieumarłych.

Do kasy chtonicznej, na Rynek, poszła wieczorem. Był środek lata, gigantyczne azjatyckie motyle walczyły o panowanie nad Sukiennicami z brudnopiórymi gołębiami, czerwone światło niskiego słońca zatapiało wszystko w gęstym karmelu, w nim stawiało się kroki krótsze i mniej energicznie, mówiło ciszej.

Zuzanna skręciła ku Szewskiej. 00—ABOMINADO. Tym razem były to komory lodowe, prostokątna architektura zielonej i niebieskiej zmarzliny. Klajn mimowolnie założyła ramiona na piersi, wchodząc pod obwieszane soplami — maskaronami arkady. Odźwierny — Yeti ryknął na powitanie. Była umówiona, ryknęła w odpowiedzi. Zeszli w głąb śnieżnych tuneli, pod obłe nawisy, lśniące cudownie w świetle kopających rytmicznie pochodni. Echo niesło twardy stukot młotów niewidocznych Kowali Lodu. Zatrzasnęły się za nią zimne tafle

1 dźwięk ucichł. Szkatuła czekała na oszronionym ołtarzu. Uniosła pokrywę. Ten pistolet... Teraz przemknęła jej myśl, że być może ojciec wcale nie pozostawił go tutaj jako narzędzie obrony.

Nie zastanawiać się dłużej, wyjęła z kieszeni spódnicy zmiennokształtny klejnot i złożyła go w szkatule. Prawne warunki spadku były już ustalone, formalności załatwione, opłata przelana na chtoniczne konta Kasy Cienia. Gdy Ula osiągnie pełnoletniość, to znaczy gdy skończy osiem lat, skarbiec Abominado otworzy się przed nią i po raz kolejny całe dziedzictwo rodu łupieżców przejdzie na najmłodszą córkę.

Oczywiście o niczym nie będzie mieć pojęcia. Prawda, Zuzanna omawiała była z Ulą także tę decyzję — lecz tym właśnie różni się przedzycie od takiej taniej symulacji prekonceptyjnej, że w jej przypadku nie jest możliwa implementacja w struktury neuralne płodu uprzednio rozwiniętej osobowości, wraz z pamięcią i wszystkimi szczegółami charakterologicznymi. Przetłumaczyć i wpisać w mózg nienarodzonego można tu jedynie pewne cechy ogólne, gestalt struktury.

Nie będzie więc pamiętać. Jeśli jej Zuzanna nie powie, nie będzie Ula wiedzieć, co to za dziwny naszyjnik, skąd te pieniądze, co się stało z jej dziadkiem, co się stało z jej matką, i dlaczego ona sama czuje się zawsze trochę obca, trochę oddalona od tego świata i tych ludzi, odgradzona od nich

niematerialną szybą. Gdy je pierwszy raz ujrzy, nie uwierzy w Miasto. Będzie szukała wyjaśnień po omacku. (Chyba że jej powiem). Zacznie się zastanawiać, dlaczego tak ciągnie ją do eldżetu, co to za pokrewieństwo. Z otwartymi ustami wejdzie na ciche ulice, pod nieziemskie nieba. Nie rozpozna, nie przypomni sobie. Może tylko w snach, w nocnych wyobrażeniach... Upiór.

Nieumarli Doktorzy dokonali przeniesienia i Zuzanna zabrała ze sobą Ulę do Arkadii w kronicznym inkubatorze. Elfy tańczyły w powietrzu dokoła przeźroczywej macicy, podniecone. Zuzanna usiadła w fotelu naprzeciwko, nienaturalnie wyprostowana, zamknięta w mięsistym gorsecie medycznym. Nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz w jej sztywnej pozie — i twardo zaciśniętych wargach, gdy wpatrywała się w ciemny fetus — było coś królewskiego, jakaś monarsza determinacja. Czy nie teraz właśnie po raz pierwszy pomyślała o sobie: „matka”, pomyślała i uwierzyła?

Powiedzieli jej, że będzie ją dręczyć po zabiegu uczucie pustki — ale niczego takiego nie doświadczała. Być może Księżę nazbyt już był silny, a może Skorpion nazbyt przebiegły. Domyślała się także ręki Ateny — w tej systematycznej dociekliwości, z jaką próbowała ostatnio odtworzyć na podstawie archiwów Instytutu Wenera poczynania ojca z okresu bezpośrednio poprzedzającego jego śmierć, oraz w dalekosiężnych planach, do układania których odnalazła w sobie upodobanie: na dziesięć, dwadzieścia, sto i dwieście lat naprzód, zgodnie z ojcowską tradycją i jej wbrew.

Najpierw bowiem mówiła sobie: oddam ją. Ciotce Mariannie na przykład. Nie mogłabym sama wychowywać. Jak. Kiedy. Gdzie. W Mieście może?

Ale potem przyszłość zaczęła samoistnie rozbudowywać się nad nią niczym dzika architektura Abomina — do Building wybuchająca z ziemi w nagłym lśnię. Takie myśli: czemu nie? No właściwie czemu nie? Nie jestem pierwsza, kilkoro wenerowców mieszka na Zamku z dziećmi. A Ula urodzi się Upiorem tak czy owak. Na pewno mają zorganizowany jakiś system pomocy, szkoły — jeśli nie lsenne, to wirtualne; zresztą po formatowaniu neuralnym dzieci szybko dojrzewają, nie zdąży dorosnąć mi do łokcia, a już będzie się rządzić i szarogęsić bardziej niż jej symulacja pre-K.

Przez moment rozważała Zuzanna poinformowanie Kamila, lecz wystarczyło jedno ukąszenie Skorpiona, by ją od tego raz na zawsze odwieść.

Wspomnienia o Uli nawiedzały ją coraz częściej. Prezent Maleny stanowił dokładnie taką pułapkę, jakiej się Klajn obawiała: żadne racjonalne argumenty nie odwrócą teraz przyzwyczajęń i emocji, ona już za Ulą tęskniła. I decyzja rosła z niej jak dowód logiczny, niczym fraktalowe drzewo, nieubłagane konieczne aż do ostatniego, najdelikatniejszego kształtu. Te rączki, te nóżki, ta główka już napęczniała od przyszłej wiedzy, przyszłych snów i nadziei... Zuzanna siedziała i patrzyła, unieruchomiona przez gorset i nieuniknione konsekwencje swoich wyborów.

Ścieżka podpowiadana przez Jana Klajn była znacznie łatwiejsza. Po raz pierwszy nawiązał on kontakt z Terakotowymi Ministrami tydzień po drugich urodzinach Zuzanny. W dzienniku audio, do którego IW włamał się po długich bojach dzięki chtonicznym kryptografom, ojciec mówił:

— Przychodzi taki czas... O Jezu, ale banał! No dobra, przychodzi taki czas, gdy poczucie życiowej klęski wręcz przygniata mężczyznę do ziemi. Ciężko się zdobyć na choćby jeden dzień więcej, jeden więcej krok, wstać i zrobić cokolwiek, podnieść upuszczoną książkę. Po co. Klęska tak czy owak. Nie chodzi nawet o to, żebym popełnił jakieś niewybaczalne błędy, zaprzepaścił karierę, utracił Jedyną Wielką Miłość czy o jakieś inne telewizyjne pierdoły... Ale... Ale. Ale, mój Boże, kiedy patrzę na to Miasto, no co ja mógłbym więcej, co jeszcze? Nic, nic, nic! Mam trzydzieści osiem lat, najlepszą żonę, wspaniałe dziecko, pracę, że lepszej nie znajdę, cuda i nieskończoność na wyciągnięcie ręki — no tylko się powiesić. To jest ściana. To jest przepaść. Klęska, poniosłem klęskę, życie miało mi się inaczej przeżyć, nie takie miały być cele, nie takie satysfakcje, żona,

dziecko, mój Boże, a ile takich biednych skurwysynów chodzi po ziemi, każdy wyjątkowy jak ziarnko piasku na plaży, zadowolone z siebie misie statystyki. A Miasto — wystarczy, że spojrzę.

Niedługo potem zaczął się potajemnie przepisywać na elel, jeżdżąc do odkrytego przez siebie kilka symetrii dalej starożytnego generatora i pijąc wodę z elelicznych fontann.

W archiwach nie było natomiast nic o tym, gdzie i jak zdobył klejnot. Co do kontaktów Jana z Terakotowymi Ministrami również istniały zaledwie poszlaki; sami Ministrowie z pewnością nie zamierzali niczego potwierdzać, ani niczemu zaprzeczać.

Zuzanna słuchała fragmentów dziennika — tych, które przepuściła do otwartych archiwów cenzura IW — już bardziej dla samego brzmienia głosu ojca (zawsze jakby lekko zachrypniętego) aniżeli treści wypowiedzianych przez niego słów. Czasami równolegle puszczała sobie nagranie jego wejścia w Sezam. Na koniec samobójstwo ojca stało się dla niej tak samo nieprawdopodobne — nie do pomyślenia — co jej własne samobójstwo. Ludzie, którzy potrafią samotnie przemierzać niezbadane Miasto, przepływać w objęciach kalekich architektur od planety do planety, wzmacniając symetrie formy podług swego życzenia, histerie i euforie niczym dobrze wytresowane tygrysy, opuszczające klatkę jedynie na wyraźny rozkaz... W jakiej sytuacji, w jakim celu mogłaby wstąpić między miażdżące diamenty Szczęki Sezamu?

Po dziesięciu dniach zdjęto jej gorset i musiała wrócić do pracy; ale decyzja została już podjęta, a raczej — wyrosła spokojnie z Zuzanny w wilgotnym cieple Arkadii. Zapakowawszy inkubator do kronicznej torby, torbę zarzuciwszy na ramię, pojechała na lotnisko; Piorun leciał bezpośrednio do Nowego Jorku.

Tymczasem spór z Chińczykami przybrał na sile, zdetonowali oni w Dzielnicy Smrodu atomówkę. Dzielnica Smrodu była niezwykle cenna z uwagi na oferowaną w niej symetrię formy z orbitopolis Czarnych Księżyców. Nad nimi to pasły się krowy libarytowe, blade behemoty próżni, dzieci jakiejś zapomnianej, egzotycznej AG, żywiące się trawą wodorową i syntezujące w swych gruczołach protolibaryt. Według wszelkich testów krowy posiadały inteligencję nie wyższą od inteligencji mastodontów; jednak co się im śniło w ich stadnych lsnach — tego nie sposób dociec. IW i koncesjonowane kompanie nie poświęcały owemu problemowi wiele uwagi, regularnie dojąc krowy i pracując nad metodą przemysłowej syntezy libarytu. Tymczasem Dzielnica Smrodu pozostawała bramą do L-snu. Akcja Chin znamionowała początek taktyki „psa ogrodnika”.

Zuzanna trafiła na Wysoki Zamek w stanie obłąkania, a w każdym razie w trakcie przygotowań do wojny. Nie było to najbezpieczniejsze miejsce dla nie narodzonego jeszcze dziecka; tych kilkoro dzieci, które przedtem tu mieszkaly z rodzicami — wernerowcami, już ewakuowano. Anulowano wszystkie przepustki i nikomu nie wolno było wychodzić na zewnątrz bez zbrojnej eskorty, a najlepiej pod osłoną pełnego wojskowego konwoju. Z uwagi na zmienną topologię Miasta, trasa chmury opadowej po chińskiej atomówce pozostawała nieprzewidywalna, w każdej chwili mogła wejść w obszar skażony.

Ta bomba zniszczyła między innymi część akweduktu potężnego eldżetowego generatora H₂O i przez Miasto poczęła rwać mocnym strumieniem rzeka gorącej trucizny LG, to zalewając ten plac, to inny, to wypływając na tę planetę, to na inną, w miarę jak obracały się nad Miastem czarne nieba.

Którejś bezsennej nocy Zuzanna wyszła na jedną z kryształowych baszt Zamku. Na brudnym tle kosmosu, spadając z wielorybim dostojeństwem, płonęły żółto sterówce. Rozpoczęło się wzajemne niszczenie linii komunikacyjnych.

Wszelako pochwyciona w szpony biurokracji stanu wojny, nie miała Zuzanna czasu na zastanawianie się nad rozwojem wypadków, ani na analizy sytuacji politycznej. Szczegół przesłaniał ogół; z nosem w rejestrach starożytnych skarbów, przerzucanych na gwałt z Miasta w bezpieczniejsze

lokacje, mogła sobie pozwolić jedynie na pośpieszenie plotki ze współpracownikami podczas krótkich przerw na papierosa. Większość tych skarbów nie została jeszcze nawet zdeszyfrowana pod względem funkcji i zasad działania, równie dobrze mogliby katalogować puszkę Pandory, święte Graale i Palantiry.

Z początku przerzucano je wszystkie na Ziemię, przez symetrię nowojorską; lecz rychło USA wymówiły tajny sojusz Europie i przyjęły postawę izolacjonistyczną — trzeba było zdać się na inne symetrie.

Symetria praska wymagała wszakże długich lotów do odległej dzielnicy Miasta i Chińczycy (oraz ich sojusznicy z południowych kompanii) poczęli regularnie strącać transportowe Pioruny. Zdążyli oni tymczasem skonstruować pociski ziemia — powietrze pompowane magmą antygravitacyjną, na chtonicznej inteligencji, szybko zresztą przezwane przez wernerowców *Devil Spit*. *Devil Spit* doganiały Pioruny z przyspieszeniem blisko 60 g., nie było szans ucieczki; a kiedy już uderzyły w cel, uwalniana magma rwała dookoła czasoprzestrzeń tak potwornymi gradientami grawitacji, że rzadko dochodziło w ogóle do eksplozji paliwa — na Miasto spadał tylko drobny deszcz koksu i opiłków.

Zapomnieć o Pradze — został jeno Sztambuł. Było to jednak wąskie gardło, o amplifikator owej symetrii (który trzeba było wybudować pod powierzchnią ukrytego pod Miastem jeziora) toczyły się nieustanne boje. Na dodatek pojawiła się realna groźba strącenia całego Wysokiego Zamku, falangowy atak *Devil Spit* zapewne przedarłby się przez systemy antyrakietowe fortecy. Zuzanna, zaczęła mieć wyrzuty sumienia, iż, zatrzymując amulet dla siebie (dla córki), przyczynia się do śmierci tylu ludzi — podobny przenośny wzmacniacz byłby teraz bezcenny. Zanim wszakże zdążyła rozstrzygnąć tę dysputę między Księciem, Skorpionem i Ateną, de Greu ogłosił natychmiastową i całkowitą ewakuację Zamku. Uciekali przez najbliższą zabezpieczoną symetrię.

Najbliższa zabezpieczona symetria otwierała się między galeriami Ryczących Rzeźb, w głębokim kanionie Miasta, i prowadziła do ruin jednej z gigapolii Urny. O świcie dwóch planet, w przesyconym tlenem powietrzu, lżejsi pod tym niebem o jedną trzecią, przejeżdżali w długim konwoju po segmentowym cielsku amplifikatora, tysiące ludzi, tysiące ton skarbów — wprost pod seledynowe słońce, w wieczny dzień miliardoletniej Sfery Dysona. Gdy przejechał ostatni transportowiec i złamano symetrię, w galerii Ryczących Rzeźb wybuchła półmegatonówka, na zawsze zamykając to podobieństwo formy.

W Urnie znajdowała się niezliczona ilość miast, niszczących w ciszy aglomeracji rozciągających się niekiedy na setki tysięcy kilometrów. Instytut Wernera miał tu w budowie dwa amplifikatory nowej generacji oraz — przez symetrię trwale otwartą jeszcze przez twórców Sfery — dostęp do dzielnicy Miasta tak oddalonej od Zamku, że do tej pory nie wytyczono doń jeszcze stamtąd drogi (być może droga taka nie istniała).

Uzyskanie bezpośredniego przejścia na Ziemię pozostawało więc kwestią czasu; na dodatek będzie to miejsce całkowicie nieznanie wrogom IW.

Urszula Klajn jednakowoż przyszła na świat zanim jeszcze symetrię tę otworzono. Ciężenie w tym fragmencie Urny wynosiło 1.16 ziemskiego, lecz lekarze Instytutu zapewnili Zuzannę, że nie będzie to miało ujemnego wpływu na rozwój dziecka. Z uwagi na ciasne przemieszanie eldżetu i ikjurii w jej ciele, Ula i tak znajdowała się pod ciągłym nadzorem Kabalistów, sterujących nią ręcznie do sztucznej równowagi genowej.

Urodziła się dokładnie w tej minucie, w której miała się urodzić: kroniczny inkubator otworzył się niczym kielich mechanicznego tulipana, spłynęły płyny fizjologiczne, sztuczna pępowina sama się zwinęła i odpadła; temperatura oraz napięcie światła zostały wyrównane już wcześniej. Doktor podniósł niemowlę, obrócił, klepnął lekko — zaczęło płakać. Zuzanna wyciągnęła ręce.

— Córka — rzekł z absurdalnego przyzwyczajenia, podając jej dziecko.

Podeszła do okna zigguratu. Wielkie słońce Urny pomalowało pomarszczone ciało seledynowym blaskiem. Zuzanna poczuła, że uginają się pod nią nogi, musi usiąść. Usiadła. Ula wciąż płakała i Zuzanna machinalnie zaczęła ją kołysać w ramionach. Śmiała się cicho. Łzy zamgłiły jej oczy. Pociągając nosem, pocałowała córkę w mokrą główkę.

— Mój ty Upiorze, brzydactwo moje, *you little urchin, you*.

W owym czasie ogłoszono zarządzenie doktora de Greu nakazujące wszystkim wernerowcom na Urnie udać się na miejsce przeznaczone im w przygotowanym uprzednio planie organizacyjnym. Sfera była tak olbrzymia, że bezzałogowe sondy nie spenetrowały dotąd nawet jednej tysięcznej jej wewnętrznej powierzchni. Siłą rzeczy poczynania Instytutu ograniczały się do najbliższych okolic, a konkretnie: Drugiej Wyspy na Morzu Łez. Wyspa była wielkości Jowisza, morze — połowy Słońca.

Starożytny amplifikator wznosił się na południowym brzegu wyspy (nazwy stron świata korespondowały tu z biegunami gwiazdy). Był to przeźroczysty robal krzemokostny, zamrożony w momencie wybijania gigantycznego łba na powierzchnię, rozwarta paszcza celowała ku niebu. Należało wejść w tę paszczę i zsunąć się w ciemność jego jelit; wychodziło się we wnętrzościach Miasta. Jedną trzecią wyspy pokrywały ruiny archeopolii, lepiej lub gorzej zachowane; część budynków wykazywała zdolności regeneracyjne. IW budował swe amplifikatory w zachodnich dzielnicach, dwa tysiące kilometrów od siebie. Trzeba było brać pod uwagę także Góry Neuro z ich instalacjami wydobywczymi, no i Sezam — one znajdowały się przy południowo-wschodnim wybrzeżu Morza Łez.

De Greu wybrał na tymczasową siedzibę uciekinierów względnie dobrze zachowany kompleks powietrznych grot, zlokalizowany w geometrycznym środku owej siatki interesów. Powietrzne grotę stanowiły efekty niezwykle subtelnego rzeźbienia czasoprzestrzeni, zawieszającego na wysokościach niewidzialne podłogi, ściany, sufity: nagie suły grawitacyjne.

Na nich wzniesiono teraz dla wernerowców kroniczne Alhambry, elfia architektura wybuchła na niebie niczym szrapnel kolorów i form, w ciągu kilku dni rozwijając ekspresjonistyczne origami baśniowych struktur. Kompleks rozciągał się na ponad pięćdziesiąt kilometrów; rychło zaczęły między wiszącymi ogrodami kursować smoliście czarne sterówce Instytutu.

De Greu wybrał siedzibę tak oderwaną od ziemi, by zabezpieczyć się przed ewentualnymi atakami mieszkańców Urny. Miliard lat ewolucji puszczonej na żywioł *Artificial Genetics* plus dzikie nano... wyobraźni nie starczało, w tej Sferze spotkać mogli wszystko.

Na razie jednak do żadnego tragicznego wypadku nie doszło i Zuzanna coraz częściej wypuszczała się na długie spacerunki wśród ruin, z Ulą na ręce lub w nosidełku, zawsze pod cieniem kronicznego *Reapera*: dwumetrowej modliszki o odwłoku pełnym grawitonicznej magmy, gruczole logicznym świeżo przeszczepionym z Gór Neuro, przednich odnóżach z elsetyckich Kos. De Greu każdemu pracownikowi Instytutu przydzielił dla ochrony jednego *Reapera*, czy człowiek tego chciał, czy nie. Póki pozostajemy tu odcięci, mówił wicedyrektor IW, stanowimy sami dla siebie całą ludzkość i każde życie posiada wartość nieskończenie wielką.

Nie było to prawdą — nie pozostawali odcięci. W kontrolowanych sesjach wybrani członkowie kierownictwa IW wstrzykiwali sobie w żyły libaryt, pogrążając się w krótkotrwałych lsnach (wszystkim innym wernerowcom podawano w codziennym jedzeniu ubika).

Potem chodziły po grotach plotki o wielkich rewolucjach na Ziemi, technologii antygrawitacyjnej (zwanej już powszechnie „anielską”) zmieniającej kompletnie oblicza miast, o implantach przykręgosłupowych, wypełnianych gorącą magmą, dzięki którym ludzie wyroili się na niebo niczym pszczoły wiosną, miliony pszczoł, i o podobnych implantach wszczepianych w dłoń, ramiona,

pozwalających w jednym naprężeniu grawitonicznych mięśni rozciągnąć człowieka na strzępy, zrównać z ziemią budynek... Taki był Dotyk Anioła. Próbowano to opanować, lecz czarny rynek anielstwa szybko się rozrastał. Zresztą europejskie, azjatyckie i amerykańskie spółki technologii grawitacyjnych konkurowały ze sobą zaciekle, na dłuższą metę nie sposób było proces powstrzymać. — Padliśmy ofiarą Wojny Informacyjnej! — grzmieli co poniektórzy wernerowcy.

Klajn jakby niewiele to wszystko obchodziło. Ula skończyła sześć miesięcy, zaczęły się w niej objawiać pierwsze cechy Uli, jaką pamiętała Zuzanna; zaczęła mówić. To znaczy gaworzyć. Glu — gluglu, gu, lurb, upp. Ale z góry zadane struktury neuralne szybko to zorganizowały w komunikaty oparte na dźwiękach poddawanych przez Zuzannę. Pić. Eść. Nu. Idzi. Mama.

Ula słuchała także głosu swego dziadka — z tych jego dzienników, które Zuzanna sobie odtwarzała podczas wędrówek przez ruiny.

— Ojoj, stary grubas i tyle. Uciekła mi dzisiaj pod Dwuścianami, mało zawału serca nie dostałem, że mi się gdzieś w Mieście zgubi, tup–tup–tup i już jej nie ma. Cholera, nogi jak z waty, kilkanaście metrów i zadyszka, stary grubas. Dzisiaj zdecydowali o upublicznieniu KRON-u. Zastanawiam się, w jakim świecie ona będzie żyć. Za dziesięć, dwadzieścia lat, kiedy będziemy mogli normalnie ze sobą porozmawiać — nie będziemy mogli normalnie ze sobą porozmawiać. Do pewnych rzeczy trzeba się urodzić; mogę się przepisać na ten czy inny elśmieć, ale nie mogę się przepisać na świat tych dzieci.

Dajemy im przyszłość, w której nie będziemy istnieć. Miasto jest piękne, Miasto zapiera dech w piersiach, ale Miasto także przeraża mnie, to jest ostrzeżenie dla ścieżki potęgi: naszych wnuków, naszych prawnuków nie będziemy w stanie nawet dostrzec. Rodzimy Upiory i potem zamierzamy w ich pamięci monumentalnymi ruinami. Archeologia to dziedzina smutku. *Dammit*, czuję, że dzisiaj znowu się upiję.

Lecz Zuzanna, skoro już zaczęła, nie potrafiła się powstrzymać przed planowaniem przyszłości, plany nadbudowywały się nad sobą niczym algorytmy iteracyjne, za każdym powtórzeniem jeszcze bardziej oczywiste i jeszcze bardziej niezależne od planującego.

I takie były w nich obrazy: Ula, dziecko eldzetu, księżniczka Miasta, z amuletem na szyi przemierzająca wszechświat wzdłuż i wszerz; Ula, dziecko eldzetu, z Wysokiego Zamku panująca nad Klanem Upiorów, dzierżącym nad Ziemią monopol ksenoarcheologii; Zuzanna, sama Zuzanna, odkrywająca tajemnicę pochodzenia klejnotu i wymieniająca tę technologię na władzę nad IW. Nie da się ukryć, to były ścieżki potęgi. Lecz czyż nie takiej siebie pragnęła, nie taką siebie wymarzyła — wtedy, w pociągu z Rotterdamu, dobierając składowe Wektoral?

W tych wszystkich planach (co widziała już wyraźnie) nie było wiele miejsca na powrót i spokojne, zwyczajne życie na Ziemi. Została wciągnięta, zassana. Kiedy właściwie zatrzasnęły się zwrotnice? Próbowwała cofnąć się po łańcuchu przyczyn i skutków: Carbona, Niewyraźny, ale to nastąpiło jeszcze wcześniej, musiałyby nie ujrzyć Miasta, nie obrócić głowy, wówczas, na cmentarzu, nad grobem ojca, bo gdy je już raz ujrzała — jak mogła się wyrwać? Nie mogła. Ale jak mogłaby w ogóle go nie ujrzyć? Nosila klejnot wzmocnienia symetrii formy, była skazana na Miasto. Więc może gdyby nie klejnot... Ojciec go jej zapisał w spadku na osiemnaste urodziny, tajemniczy samodzienny amulet, intrygujące zdjęcia — i żadnych wyjaśnień. Czego się spodziewał? Potem zrozumiała, że najpewniej spodziewał się właśnie tego. Kto wie, jakie plany przyszłości córki jemu budowały się w głowie...?

Zanim nie wszedł do Sezamu.

Sezam, Sezam, podczas sztucznie wyciemnianych nocy w powietrznych grotach śniły się jej te zachłannie rozwarte wrota, ta kurtyna cienia, czy kiedykolwiek znajdzie się bliżej, czy będzie miała

lepszą sposobność...? I pewnie poszłaby — na początek mówiąc sobie: tylko zajrzę, dotknę, z ciekawości, jedna krótka wizyta — gdyby nie Ula. Poszłaby na pewno.

Zamiast tego chadzała między ruiny.

Niektóre dzielnice na Drugiej Wyspie były dosyć dobrze zachowane, budynki wznosiły się na dwadzieścia, pięćdziesiąt metrów, dumne pomniki epoki sprzed narodzin człowieka. Kto w nich żył, jaka rasa? — domyślano się, że więcej niż jedna, że było to dzieło cywilizacji multigatunkowej.

Zuzanna miała czas na długie spacerory, regularne prace archeologiczne wstrzymano do momentu otworzenia docelowych symetrii, administracja ograniczała się do rutynowych procedur. Klajn nie uczestniczyła również w życiu towarzyskim grot, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok nabierającym cech dekadentyzmu — leniwe orgie pod zenitalnym seledynowym słońcem, ku któremu zbiega się rozmytymi horyzontami zaciśnięte w pięść niebo — ziemia Urny, z tak szczelnego raju nie sposób uciec; równie leniwe dyskusje polityczne, plotki i intrygi, sesje obrzydliwie bezpiecznych narkotyków... — nie uczestniczyła, nie przyjaźniła się z nikim, znowu uznawana za introwertyka i odludka, i było jej z tym dobrze. Wołała zwiedzać to nieskończone muzeum wszechświata, samym swym spojrzeniem odkrywając dla ludzkości cuda przez żadnego człowieka dotąd nie widziane; wciąż nie spowszedniał jej ów zachwyty, nie opuścił dreszcz.

Gorące południe — zawsze jest południe — słony wietrzyk nad zaśmieconą ulicą, cienie skromnie cofnięte pod ściany budynków, od mileniów nie drgnęły ni o milimetr. Zuzanna spaceruje przez Nieznane. W lewej ręce szeroka, elfia parasolka, ona chroni ją przed słońcem. Ula bez przerwy wyprzedzą Zuzannę, wspina się na schody i pochylnie, zagląda do cienistych wnętrzy. Wielka kroniczna modliszka podąża za nią niczym owadzi anioł stróż, szybując kilka metrów nad głową dziecka. Dziewczynka co chwila podbiega do matki, szarpie ją za sukienkę, ciągnie w tę i tamtą stronę. — Chodź, musisz to zobaczyć! — Zuzanna daje się kierować z uśmiechem. Tak przemierzają kwartał za kwartałem; czasami wstąpią pod lśniącą kopułę, statuę napowietrzną, piramidę zawieszoną na rzeźbie czasoprzestrzeni, zapatrzą się na kilkusekundowe konstrukty, maszyny organiczne oddychające z rżeniem gorącą parą, na zmiennobarwne bazyliki o ułamkowymi spinie. Dzień się nie kończy, słońce nie przesuwają, czas nie mija.

Aż wreszcie przystanie, przełoży parasolkę do drugiej ręki, warkocz przerzuci na lewe ramię, jasna sukienka załopocze na wietrze, zsunie się ramiączko — jakiś ruch, jakiś cień kątem oka, cicha obecność, podniosą się drobne włoski na jej karku, *Reaper* w błyskawicznym odruchu zawinie się w powietrzu, otwierając z cichym sykiem błękitne Kosy, obnażając żądło grawitacyjne, lecz jeszcze nie atakując — i zanim Zuzanna się obejrzy, zanim w ogóle spojrzy za siebie, ku starożytnemu gruzowisku, mrugając — przecież się spodziewała — w ptasim trzepocie serca — przecież czekała

— *Father?*

marzec — wrzesień 2002

* *Zobacz: Wojciech Szyda „Trzecia księga”, w: „Nowa Fantastyka” nr 8/2001 r.*

* *Dosłowne tłumaczenie tytułu słynnej akwaforty brzmi „Sen rozumu produkuje potwory”, posługuję się jednak najbardziej rozpowszechnioną w języku polskim wersją.*

* *Tim Bowness „Only rain”, z płyty zespołu No-man pt. „Returning Jesus” (2001)*